

Marek Kędzierski

Do domu
było daleko



ROZDZIAŁ 1

Wielka Brytania, rok 1940

Sir Frank Nelson czekał cierpliwie na przyjęcie przez premiera. Nominacja na szefa nowo utworzonej komórki specjalnej spadła na niego dość niespodziewanie. We wtajemniczonych kręgach wieści o planach niedawno powołanego premiera Winstona Churchilla i ministra Hugh Daltona pojawiały się coraz częściej. Nikt jednak nie oczekiwał, że ich pomysł tak szybko nabierze realnych kształtów.

Atmosfera w sekretariacie była ciężka. Trudy wojenne i przygnębiający nastrój udzielały się każdemu bez wyjątku. Bitwa o Anglię wciąż trwała. Zacięte walki na brytyjskim niebie jeszcze nie zapowiadały jej rychłego końca.

Do sekretariatu wszedł młody mężczyzna w mundurze służb cywilnych. W ręku trzymał plik kartek. Widząc Nelsona, zatrzymał się w progu na moment, zastanawiając się, czy jego obecność nie przeszkodzi w załatwieniu sprawy, z którą tutaj przyszedł. W końcu uznał, że nie musi się przejmować obcym jegomościem. Podeszedł więc do sekretarki i położył przed nią na biurku papiery.

- Najnowsze raporty - powiedział do niej ściszym głosem, zerkając na Nelsona.

- Szef się raczej nie ucieszy? - bardziej stwierdziła, niż spytała.

Młody człowiek tylko wzruszył ramionami. Gest mówił sam za siebie.

Natychmiast włożyła kartki do sztywnej, czarnej teczki. W niej zawsze nosiła dokumenty do podpisu. Tym razem nie będzie co podpisywać. Premier dostanie garść wiadomości, które nijak nie mogą nastroić go optymistycznie.

- Szkopy stają na głowie, ale nie dajemy się. - Postanowił dodać jej otuchy. - Nasi lotnicy wyczyniają rzeczy nie do uwierzenia.

- Ale w Londynie od bomb ciągle giną ludzie - zauważyła nie bez racji.

- To się skończy, zobaczysz.

- Tylko kiedy?

- Dwa miesiące. Mówię ci, Jenny.

- Chciałabym ci wierzyć.

Dziewczyna posłała mu sceptyczne spojrzenie. Ale młody człowiek niewiele się pomylił. W drugiej połowie września miał nastąpić faktyczny koniec bitwy o Anglię i pierwsza spektakularna porażka, zwycięskiej jak dotąd, III Rzeszy.

Nelson przysłuchiwał się wymianie zdań. Wyglądało na to, że tych dwoje łączyło coś

więcej niż tylko stosunki służbowe. Ciekawe. W końcu oboje byli młodzi. Mieli nie więcej niż po dwadzieścia parę lat. Wojenna miłość? Fajny temat na kliwy romans.

- Muszę wracać. - Mężczyzna poprawił mundur. - Trzymaj się, Jenny.

- Ty też.

Wyszedł. Sekretarka wzięła teczkę pod pachę i zapukała do gabinetu premiera. Z wewnątrz dobiegło ją stłumione „proszę”. Uchyliła drzwi i wsadziła głowę do środka.

Na biurku zawalonym papierami stała stylowa lampka. Rzuciła jasne światło na dokumenty i ślęczącego nad nimi Winstona Churchilla, który teraz podniósł wzrok znad okularów.

- Panie premierze, najświeższe raporty.

Przywołał ją ruchem ręki. Poszukał na biurku pudełka z cygarami i wyciągnął jedno. Odciął końcówkę, zapalił i zaciągnął się. Kobieta podeszła, wyjęła papiery z teczki i zawahała się. Na blacie nie było nawet skrawka wolnego miejsca, by je położyć. Churchill wyciągnął po nie dłoń, wybawiając ją z kłopotu.

- Co tam jeszcze? - spytał widząc, że nie odchodzi.

- Sir Frank czeka.

- Ach, Nelson! Rzeczywiście. - Popatrzył odruchowo na zegarek. - Byłbym zapomniał. Proś go, proś.

Wyszła z gabinetu i otworzyła szerzej drzwi.

- Sir Frank - zwróciła się oficjalnie do gościa - premier pana oczekuje.

W gabinecie Winstona Churchilla próżno by się doszukiwać akcentów budzących w gościach nastrój optymizmu. Surowe wnętrze wydawało się odzwierciedlać ogólnie panującą w kręgach rządowych atmosferę śmiertelnej powagi, zmęczenia i niezbyt pozytywnego postrzegania rzeczywistości.

Szef rządu z cygarem w ustach, bez słowa, wskazał gościowi krzesło. Wstał zza biurka, założył ręce na plecy i przeszedł się po pomieszczeniu.

- Jak pan to widzi?

Churchill od razu przeszedł do rzeczy. Czas był obecnie rzeczą zbyt cenną, żeby bawić się w niezobowiązujące pogawędki.

- Mam już pewne przemyślenia, na razie dość luźne koncepcje, ale powoli - myślę - sprawa będzie nabierała realnych kształtów.

- Powoli... Nie może być powoli. Czasu to akurat nie mamy.

- Rozumiem, panie premierze.

- Jakież szczegóły?

Sir Frank Nelson wydobyl z aktówki drobno zapisany dokument i podał go rozmówcy. Churchill wyciągnął z ust cygaro i położył je na popielniczce. Przebiegł wzrokiem tekst.

- Polacy... - Pokiwał głową, patrząc w kartkę.

- Bardzo się zapalili do projektu.

- Pilotów mają świetnych. Myśli pan...?

- Oczekują największej autonomii przy organizacji grupy. Dobór ludzi, szkolenie. I uważam, że warto na to pójść. Polacy to bardzo bitny naród. Mają problemy z dyscypliną, ale żołnierze z nich świetni. Jak mają o co walczyć, to...

- Tak, tak. Słyszałem. Cóż mogę powiedzieć. Jest pan Szefem SOE. Pan podejmuje decyzje, ale chciałbym, by mnie informowano.

- Oczywiście, panie premierze.

- Doskonale, sir Frank. Wie pan, czego oczekujemy?

- Domyślam się.

- Macie podpalić Europę. - Premier ponownie wypowiedział myśl, którą wcześniej usłyszał nie lubiany skądinąd przez niego minister Hugh Dalton, a słowa brzmiały wtedy: „*And now set Europe ablaze*”. - Niech ci Polacy jeszcze się do czegoś przydadzą.

- Rozumiem, panie premierze.

Churchill wziął cygaro i ponownie je umieścił w kąciku ust. Podeszedł do Nelsona i wyciągnął do niego dłoń.

- Życzę sukcesów, sir Frank. Panu, sobie i wszystkim, którzy zechcą przyłożyć się do upadku tego niemieckiego łobuza z Berlina.

Nelson skinął głową na pożegnanie. Chwilę potem Winston Churchill ponownie pochylił się nad stosami papierów na ogromnym biurku. Nie myślał już o organizacji Special Operations Executive, która już wkrótce miała zrodzić polską sekcję, złożoną z żołnierzy w późniejszym okresie znanych jako „Cichociemni”. Nie to miał w tej chwili na głowie.

ROZDZIAŁ 2

- Często tu chodzicie?

- Jak się da - mruknął Kazimierz Pogoda i zasepił się, jak to miał w zwyczaju.

Młody podchorąży, Juliusz Kwiatkowski, z ciekawością się rozglądał. Wnętrze czegoś na kształt zaimprovizowanej kawiarni tętniło życiem. Znalezienie wolnego stolika graniczyło z cudem, a kelnerzy uwijali się jak w ukropie wśród klienteli, z której znaczną część stanowili ludzie w wojskowych mundurach armii brytyjskiej, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. W roku 1941, kiedy to groźba inwazji na Wyspy została odsunięta, można było cieszyć się życiem.

On i jego towarzysze mieli szczęście. Kilka minut wcześniej zajęli akurat zwalniające się miejsca, ubiegając w tym trzech angielskich podoficerów Julek zatrzymał ich na moment, naświetlając im „problem”, który wymagał ich natychmiastowej uwagi. Przydała się tu płynna znajomość angielskiego, nabyta na Uniwersytecie Warszawskim, jeszcze przed rozpoczęciem wojny. Któż by wtedy pomyślał, że angielski będzie tak użyteczny do zdobycia miejsc siedzących w kafejce.

Jego towarzysze - Kazik Pogoda i Władek Hanćkowiak - nie czekali ani chwili. Natychmiast skorzystali z okazji. Sprzątnęli Anglikom stół praktycznie sprzed nosa. Na nic się zdały protesty Brytyjczyków, gdy już zorientowali się w sytuacji, że przecież oni byli pierwsi. Kazek i Władek rozkładali tylko bezradnie ręce z minami niewiniątek, dając do zrozumienia, że tajniki języka angielskiego są im jak najbardziej obce i choć szczerze by chcieli, nie są w stanie swoim aliantom w żaden sposób pomóc.

Sam Kwiatkowski z rozbawieniem przyglądał się bezsilności Anglików, którzy chcąc nie chcąc musieli się wycofać i szukać szczęścia gdzie indziej. Przyłączył się do kolegów chwilę po tym, jak niepyszni Brytyjczycy opuścili lokal.

Wokół panował duży gwar. Śmiechy, głośnie rozmowy, jakby wojna była czymś zupełnie odległym. Juliusz Kwiatkowski, który dopiero niedawno dotarł na Wyspy, siłą rzeczy porównywał panującą tu atmosferę do sytuacji w okupowanej Polsce. Porównanie to nie wyglądało za ciekawie.

- Na kelnera nie ma co liczyć - stwierdził Władek.

Władysław Hanćkowiak był niewysokim, krępy blondaskiem o twarzy podstarzałego cherubinka. Widząc jednak jego zawadiackie, zacięte spojrzenie, darmo by szukać w tym człowieku anielskich cech. Był to typ polskiego cwaniaka, który w każdej, absolutnie każdej sytuacji świetnie da sobie radę.

- Omijają naszych, psie krwie - potwierdził Kazek.

Kazimierz Pogoda był przeciwieństwem kolegi. Wysoki i barczysty, zawsze z ponurą miną, patrzący na świat spode łba. Takim ludziom najczęściej ustępuje się z drogi.

W lokalu dało się słyszeć polski język jeszcze z kilku stron. Miał rację. Angielscy kelnerzy ewidentnie preferowali swoich rodaków. Polacy generalnie musieli czekać, i to długo. O ile w ogóle się doczekali obsługi, to raczej daleka ona była od kurtuazyjnej grzeczności należnej klientom.

- Suszy mnie, cholewka. - Władek powiódł krytycznym wzrokiem po sali i wstał. - Idę coś skręcić.

- Daj spokój, Władziu - mruknął Kazek. - Przy barze nic nie dostaniesz. Nawet Angoli odsyłają. Nie widziałeś?

- Ja nie dostanę? - Hanćkowiak ewidentnie potraktował uwagę kolegi jak wyzwanie. - No to patrz, Kaziu, i się ucz.

Polak szybko przepychał się w kierunku baru.

- I co ja z nim mam. - Pogoda próbował dosięgnąć kumpla wzrokiem. Bez skutku. Blond czupryna zginęła wśród rosłych Anglików. - Parę razy były przez niego kłopoty.

- Jakie kłopoty? - spytał Kwiatkowski od niechcienia.

- Ot, ostatnio, nawrzucał patrolowi MP, jak nas chcieli wylegitymować. Goście się wnerwili i...

- I co?

- Po mordach trzeba było walić. Inaczej zabraliby nas na posterunek. Poszlibyśmy do raportu, do paki, kto tam wie. A tak, spokój jest.

Kazek relacjonował Kwiatkowskiemu wydarzenie beznamiętnym tonem, jakby opisywał ostatni wypad na ryby, gdzie właściwie nic się nie działo. Zwyczajna nuda, zanim szałwiarz zacznie się ruszać i ryba będzie brać.

- Nie znaleźli was potem?

- A co to, mało nas tutaj? Poza tym ściemniało się. Zresztą tu zawsze ciemno. Ta ich psia pogoda, żyć się czasem odechciewa.

- Znaczą, nie lubią nas?

- Nasi robią Brytoli w konia, jak chcą. Nikt tego nie lubi. Poza tym jesteśmy lepszymi żołnierzami. Ty świeży jesteś, to pewnie nie słyszałeś o naszych pilotach.

- Coś tam docierało do Warszawy. Bitwy powietrzne w '40. Szkopy dostały w tyłek i musiały dać spokój.

- Człowieku, szkopy dostały takiego łupnia, że mamusi kochana. Dywizjon 303 lał

drani popisowo. O kapitanie Skalskim słyszałeś? Z 306? Cyrk Skalskiego na nich mówią. Angole nie wychodzą z podziwu.

Wzrok Julka znowu powędrował na salę i zatrzymał się w jednym miejscu. I nie bez powodu. W towarzystwie trzech angielskich żołnierzy siedziała młoda kobieta, precudnej urody, nie tylko jak na standardy angielskie, które jak wiadomo do najwyższych nie należą, ale wręcz europejskie.

Dziewczyna miała ścięte na pazia czarne włosy sięgające do ramion, regularne, łagodne rysy twarzy i przepiękny uśmiech, którym co jakiś czas, w wydawałby się wymuszony sposób obdarzała siedzących przy niej mężczyzn. Brytyjscy żołnierze tymczasem dwoili się i troili, żeby skupić na sobie jej uwagę.

Przy stoliku wyrósł Władek z trzema szklankami wypełnionymi do połowy brązowym, przejrzystym płynem.

- Panowie - powiedział z tryumfem - najprawdziwsza szkocka whisky.

- No i załatwił - burknął Kazek. Wszystko można było powiedzieć o jego reakcji, tylko nie to, że się ucieszył. - Pewnie znowu będą kłopoty.

Władek nie zwracał na niego uwagi.

- Whisky i to na koszt firmy.

- No ładnie - ponury ton Kazika stał się jeszcze posępniejszy.

- Jak to na koszt firmy? - spytał Julek podejrzliwie.

- Normalnie, za darmoszkę.

- Niby dlaczego?

- Bo mam urok osobisty, kolego. Nie widać?

- Coś im nagadał?

- Kazałem poprosić szefa, że niby mam bardzo ważny interes. Powiedziałem, że zaraz będą mieli kontrolę MP, czy nie mają nielegalnego alkoholu i żołnierzom nie sprzedają. Że niby cynk dostałem. Gość się przejął i dał mi trzy szklaneczki w ramach podziękowania za dobry uczynek.

- Patrz, jak on potrafi kłamać - powiedział Kazik kwaśno. - Normalnie na zawołanie. On własną śmiercią nie zginie.

- Kaziu, wojna jest - Hanćkowiak położył mu rękę na ramieniu. - Nikt dzisiaj własną śmiercią nie ginie.

- Tak, tak, tak.

- Pij, bo się zmarnuje.

- Wy tu wojny nie macie - włączył się Kwiatkowski. - W Warszawie nawet z

jedzeniem marnie. Łapanki, rozstrzeliwanie na każdym kroku i za byle co. Jesteście jak na wczasach.

- Wiem, słyszy się, że w Polsce ciężko. - Hanćkowiak spoważniał. Wypił łyk. - Ale jeszcze trochę i Hitler pożałuje, że się urodził.

- Za to wypiję. - Julek podniósł szklankę. Koledzy poszli w jego ślady. - Ale z drugiej strony, nieźle tu macie. Widzieliście jaka panna?

Ruchem głowy wskazał angielską piękność w mundurze.

- Trzech gości ją obstawia. Jak na mojego nosa żadnych szans. Zero - stwierdził Władek. - Nie ma mocnych.

Kazimierz Pogoda z uznaniem patrzył na żołnierkę. Z jego miny wyczytać można było: „Nie powiem, niczego sobie babka”.

- Mówisz zero szans? - spytał Julek prowokacyjnie.

- Chcesz spróbować?

- Macie jakąś kartkę i ołówek?

Władek spojrzał wymownie na Pogodę. Tylko on mógł być przygotowany na taką ewentualność. Kazik nosił przy sobie przeróżne rzeczy, które - jak sam twierdził - zawsze mogą się przydać. Pochodził z zapadłej wsi, gdzieś na krańcach Polski, i tak go wychowano. Najgłupszy kawałek sznurka mógł kiedyś znaleźć swoje zastosowanie. Pytanie o kartkę i ołówek wcale nie musiało być więc pozbawione sensu. Tak też było. Kazik obmacał kieszenie i po chwili wydobyl kawałek papieru i krótki, ale za to solidnie zatemperowany ołówek. Położył to przed Kwiatkowskim z miną człowieka częstującego drugiego papierosem. Władek w tym momencie pomyślał, że gdyby poprosili Kazka o fałszywy paszport, do któregoś z neutralnych krajów, ten pewnie też by takowy wygrzebał z zakamarków kieszeni munduru.

Julek bez słowa zabrał się za pisanie. Naskrobał coś na kartce, złożył ją starannie na cztery części i oddał ołówek Pogodzie.

- Coś ty tam nagryzmolił? - Hanćkowiak nie mógł powstrzymać ciekawości.

- Zobaczysz - odparł Kwiatkowski tajemniczo. - O co się założysz, że ta panna mnie za chwilę pocałuje?

- Ciebie?

- Przecież nie ciebie. Paskudną gębę masz.

- A ty co, Eugeniusz Bodo jesteś?

- No, o co?

- Co chcesz?

- Jak wrócimy do jednostki, to mnie trzy razy dookoła baraku na plecach przewieziesz.

- A jak przegrasz?

- To samo. Ja ciebie powiozę.

- Stoi. - Władek wyciągnął dłoń dla potwierdzenia zakładu. - Kaziu, przecinaj.

Pogoda przeciął i umowa niniejszym nabrał mocy. Żaden z nich nie mógł już się wycofać. Byłoby niehonorowo, a dla honoru ci młodzi ludzie daliby się co najmniej pokrajać.

Julek wstał. Puścił do nich oko i poszedł w stronę stolika, który zdobila swą urodą piękna Angielka i który z rzeczonoego powodu przyciągał zazdrosny wzrok większości z obecnych mężczyzn, jak również zawistne spojrzenia kobiet, niemogących konkurować aparycją z dziewczyną.

Cała czwórka Brytyjczyków podniosła głowy, gdy Julek przed nimi stanął, rzucił zwyczajowe „Hello” i skinął głową na przywitanie. Zwracał się wyłącznie do Angielki. Żołnierzy, można powiedzieć, ostentacyjnie ignorował, czym bez wątpienia nie wzbudził ich sympatii. Ale nie o ich sympatię mu chodziło.

- Pozwoli pani, że się przedstawię. - Stuknął obcasami po żołniersku. - Podchorąży Juliusz Kwiatkowski, Wojsko Polskie - powiedział nienaganną angielszczyzną, choć z lekkim słowiańskim akcentem. - Pozwoliłem sobie szanowną panią niepokoić, ponieważ olśniła mnie pani swoją urodą i pod wpływem natchnienia, którym była pani łaskawa mnie obdarzyć, napisałem ten oto skromny wiersz, który chciałbym pani podarować.

Polak podał jej złożoną karteczkę. Angielka przebiegła wzrokiem tekst i się rozpromieniła.

- Piękne - skomentowała aksamitnym głosem. - Naprawdę piękne.

- To pani jest piękna - stwierdził Julek. - Ja tylko próbowałem oddać rzeczywistość.

- Pan jest...

- Skromnym piewczą otaczającej nas urody.

Kobieta jeszcze raz spojrzała na kartkę.

- Chyba zbyt skromnym. Muszę przyznać, że tymi kilkoma wersami sprawił mi pan niekłamaną przyjemność - powiedziała i obdarzyła go uśmiechem, za który siedzący obok Angole daliby się pokrajać.

Kwiatkowski uznał, że nadszedł właściwy moment, żeby pójść za ciosem.

- Czy w takim razie mógłbym mieć pewną prośbę?

- Jaką?

- Widzi pani, mam dzisiaj urodziny... i nie wyobrażam sobie bardziej niezwykłego prezentu, niż pocałunek najpiękniejszej kobiety na świecie... - znacząco położył palec wskazujący na policzku, dając jej tym samym do zrozumienia, że nie ma nic zdrożnego na

myśli.

Angielka zawahała się, lecz od razu dało się poznać, że było to wahanie z gatunku *pro forma*. Podobał jej się ten młody Polak. Dlatego wstała z krzesła i cmoknęła go w policzek, wzbudzając bezsilną złość wśród towarzyszących jej mężczyzn. Jak ten Polak śmiał? Na nich przecież ledwie patrzyła łaskawym wzrokiem, a ten przybłąda...

Tymczasem Władek nie wierzył własnym oczom. Na Kaziku nawet to nie zrobiło większego wrażenia. Ponura mina pozostała nienaruszona.

Kwiatkowski był zadowolony. Akcja zakończyła się pełnym sukcesem. Ponownie stuknął obcasami i skłonił się po żołniersku. Ponownie kompletnie zignorował Anglików. Kiedy odwrócił się, by odejść, najbliżej siedzący brytyjski oficer, niby od niechcienia, wyciągnął nogę, o którą Polak musiał się potknąć. Julek omal się nie przewrócił. Wzbudził tryumfalny śmiech całej trójki. Polaczek dostał nauczkę. Nie będzie bezkarnie wścibiał nosa w nie swoje sprawy. Jedynie dziewczyna zrobiła oburzoną minę.

Julek wyprostował się. Wrócił do stolika Anglików i tym razem zwrócił się bezpośrednio do mężczyzn, a szczególnie do tego, który podstawił mu przed momentem nogę.

- Mówi się przepraszam, gnojku.

Tamten bardzo powoli odwrócił głowę.

- Zgadza się, Polaku. Chcesz mnie przeprosić? - spytał bezczelnie.

Kpił sobie w żywe oczy. Czuł się bardzo pewnie. Był w swoim kraju, z grupą towarzyszy. Nie będzie mu jakiś byle Polaczek wchodził w paradę. A jeśli już, to dostanie nauczkę. Bolesną.

Z tym tylko, że ten Polaczek ani myślał puścić afront płazem. Może, gdyby był ulepiony z innej, tak zwanej normalnej gliny. Może, gdyby wychowywał się w tak zwanym normalnym środowisku, a nie w dzielnicy, gdzie walki na noże były na porządku dziennym, gdzie charakterne chłopaki rządziły życiem dzielnicy. Brytyjski żołnierz nie mógł tego wiedzieć. Nie spodziewał się nieoczekiwanego.

Kwiatkowski uznał wymianę zdań za zakończoną. Jakby od niechcienia złapał oparcie krzesła, na którym siedział Anglik, i pociągnął z całej siły ku dołowi. Mężczyzna rozłożył ręce, próbując złapać równowagę, lecz nie na wiele się to zdało. Wraz z przewróconym krzesłem z hukiem rąbnął plecami na podłogę. Julek uśmiechnął się złośliwie.

- Przepraszam szanownego pana.

Brytyjczyk skoczył na równe nogi jak oparzony. Postanowił dać Polaczkowi solidną nauczkę. Był trochę wyższy i lepiej zbudowany. Konfrontacja na pięści musiała się dla niego

skończyć korzystnie. Nie przewidział tylko, że Kwiatkowski nie dość, że wywodził się ze środowiska przedwojennych, warszawskich „kiziorów”, to jeszcze sporo czasu poświęcił na treningi bokserskie i do wybuchy wojny określano go jako bardzo utalentowanego zawodnika z jasną, sportową przyszłością.

Tego Anglik nie wiedział i to wszystko przyczyniło się do zupełnie niespodziewanego zdarzenia. Mężczyzna rzucił się na Julka, wściekły jak zranione zwierzę, chcąc szybko i raz na zawsze załatwić problem z tym niesfornym obcokrajowcem. W ten sposób popełnił pierwszy błąd. Kwiatkowski nie miał najmniejszych problemów, by uniknąć ciosu. Kolejny unik i pięść Anglika przeszła powietrze. Zamach był tak szeroki, że facet zachwiał się na nogach. Polak wykorzystał to bezlitośnie. Wyprowadził druzgocące uderzenie w wątrobę przeciwnika, a to sprawiło, że Anglik jęknął i zgiął się wpół. Następnie poszedł prawy sierpowy na szczękę, który tylko postawił kropkę nad „i”. Brytyjski oficer zwałił się bez przytomności na podłogę.

Jak na komendę na Polaka ruszyli rośli koledzy znokautowanego. Dwóch na jednego. Normalny przeciwnik nie miałby szans, ale ten nie był normalny, co szybko odczuli na własnej skórze. Kwiatkowski balansował ciałem w mistrzowski sposób. Strzelał pięściami celnie i masakrował twarze Anglików. Zakrwawieni ledwie trzymali się na nogach.

Przy innych stolikach nastąpiło poruszenie. Angielscy żołnierze podnosili się jeden po drugim. Nie mogli przecież nie zareagować, gdy jakiś Polak popisowo okładał ich rodaka. Nie mogli pozwolić, by ucierpiał honor Anglii. Jednak nie ruszyli z odsieczą. W różnych częściach sali od stolików powstawali żołnierze polscy, w tym Kazik i Władek. Byli w znacznej mniejszości, ale ich wzrok nie pozostawiał wątpliwości. Jeśli którykolwiek z Anglików odważy się dotknąć Julka Kwiatkowskiego, rozpęta się piekło. Widząc wyczyny jednego z Polaków, brytyjscy żołnierze uznali, że honor ojczyzny chyba nie jest wart poprzetrącanych szczęk i powybijanych zębów. Wrócili na swoje miejsca. Do nieprzewidywalnej w skutkach rozróby nie doszło.

W lokalu pojawiła się żandarmeria MP. Właściciel musiał ich wezwać wcześniej, gdy jeszcze Julek rozprawiał się z Anglikami, którzy teraz stracili już jakiegokolwiek ducha walki. Lizali rany. Wraz z pojawieniem się angielskiej żandarmerii wojskowej poszkodowani żołnierze nagle się ożywili. Zaczęli głośno tłumaczyć i gestykulować. Wskazywali na Kwiatkowskiego i oskarżali go o niesprovokowaną napaść. Stan, w jakim się znajdowali, zdawał się potwierdzać ich zeznania. Od razu nastawili żandarmów wrogo do Polaka. Pogoda i Hanćkowiak stanęli przy koledze, gotowi go bronić nawet przez funkcjonariuszami Military Police. Pobici żołnierze szybko uzmysłowili żandarmom, że ten Polak stanowi bardzo

poważne zagrożenie i natychmiast należy coś z nim zrobić. Tamci nie czekali. Wyciągnęli pistolety i wycelowali we Władka, Kazika i Julka.

- Ręce do góry! - wrzeszczeli jeden przez drugiego. - Jesteście aresztowani!

- To nie nasza wina - próbował tłumaczyć Kwiatkowski. - Oni mnie sprowokowali. Ta pani może potwierdzić.

Julek poszukał wzrokiem pięknej Angielki. Siedziała z niewyraźną miną. Poczucie solidarności z własnym narodem przeważyło. Nie zamierzała się wtrącać, tym bardziej stawać w obronie tego Polaka, który ewidentnie miał kłopoty. Odwróciła głowę.

- Zamknąć się! - żandarm nie przestawał wrzeszczeć.

- Wychodzić! Już! Wszyscy!

Najwyraźniej Kazik Pogoda i Władek Hanćkowiak również znaleźli się w sferze zainteresowań angielskiej żandarmerii wojskowej. Cóż było robić? Potyczka z funkcjonariuszami mogłaby się skończyć poważnymi oskarżeniami i sądem wojskowym. Na to nie mogli sobie pozwolić i doskonale o tym wiedzieli. Posłusznie opuścili lokal w towarzystwie czterech żandarmów.

*

- Głupio wyszło, co? - Julek szturchnął łokciem siedzącego obok Władka. - Wpakowałem was.

Hanćkowiak wyciągnął paczkę papierosów, Kazik skrzywił się, jakby właśnie pokosztował soku z cytryny.

- Dobrze nie jest - potwierdził smętnie. - Major znowu będzie się złościł.

Każdy inny żołnierz w takiej sytuacji zastosowałby zgoła inne określenie nastroju ich dowódcy, majora Tadeusza Raczkowskiego. Zwrot „będzie się złościł” był nad wyraz delikatnym określeniem reakcji majora na kolejne kłopoty, w jakie wpakowali się jego podoficerowie Hanćkowiak i Pogoda, od niedawna w towarzystwie Kwiatkowskiego. Ale Kazimierz Pogoda mimo swojego chłopskiego pochodzenia konsekwentnie unikał używania przekleństw. Głównie od czasu, kiedy udało mu się wyrwać z rodzinnej wsi i za poparciem lokalnego dziedzica wstąpić do szkoły wojskowej, gdzie dokończenie edukacji uniemożliwił mu wybuch wojny.

Władek zaciągnął się papierosem i zaczął puszczać równiuteńkie kółka. Sądząc po wyrazie twarzy, dobry nastrój nie opuszczał go ani na moment.

- Spokojnie panowie. Major pokrzyczy, pokrzyczy i tyle. Nie pierwszy raz, nie ostatni. Ja bym się tam nie martwił.

- Ty jakbyś do piekła poszedł, też byś się pewnie nie zmartwił - bąknął Kazek.

- Kaziu, piekło też dla ludzi.

Władek klepnął Pogodę po plecach.

- No, żeby nie czasem - powiedział Kazik z przekąsem. - Piekło to będzie, jak major po nas przyjdzie.

- Optymista z ciebie, Kaziu - zauważył Julek.

- Może i nieoptymista. Ale powiem ci, że lepiej, żeby się pesymista zawiódł w swoich oczekiwaniach niż optymista.

- Nie wiedziałem, że z ciebie taki filozof.

- Filozof nie filozof, ale w wojsku dyscyplina powinna być.

- To czegoś za Julkiem stawał, jakżeś taki zdyscyplinowany? - wtrącił się Hanćkowiak.

- Jak miałem nie stawać? - obruszył się Pogoda. - Angole naszego chcieli bić.

- No właśnie. I wszystko na ten temat - skostatował Władek i ponownie z lubością zaciągnął się papierosem.

Juliusz Kwiatkowski zamyślił się. Mieli dużo czasu. Major prędko nie przyjdzie. Napłynęły wspomnienia. Pojawiły się obrazy z zarówno bliższej, już wojennej przeszłości, jak i z czasów w sumie szczęśliwego, późnego dzieciństwa.

Znowu miał przed oczami obraz sprzed lat. Osiemnastoletni kolega, Broniek Miklas stał oparty o ścianę obskurnej bramy i skubał niedbale pestki słonecznika. Miał na głowie czapkę w kratę, zsuniętą daszkiem na lewą stronę, w typowy dla dzielnicy zawadiacki sposób. Apaszka pod szyją nadawała mu dodatkowego sznytu.

Naprzeciwko niego Edek Kował, chłopak w zbliżonym wieku, bawił się nożem sprężynowym. Przyglądał mu się za każdym razem, jakby nigdy wcześniej takiego dziwa na oczy nie widział. Zachodził w głowę, jak mechanizm jest zrobiony. Za uchem miał papierosa i sięgnął po niego znudzony czekaniem.

Dwunastoletni wtedy Julek przechadzał się po chodniku z rękami w kieszeniach wyświechtanych spodni. Na oczy miał zsunięty kaszkiet w czerwono-czarną kratkę, łypał spod niego na ulicę. Był wczesny wieczór. Stali tu już od popołudnia, czekając na jakiegoś frajera do oskubania. Czas się dłużył, a frajerzy jakby się umówili, żeby omijać tę skądinąd ruchliwą część dzielnicy.

- Nowy się do nas na kamienicę wprowadził. - Edek postanowił przerwać ciszę.

- I co?

Broniek nie przestał skubać pestek.

- Nie wiem. Fryzura na lelum polelum, chyba taki gogusiowaty trochę.

- Czyli naprostować by się frajera przydało...

- Noo - potwierdził Edek przeciągle.

Julek dostrzegł parę metrów dalej puszkę po konserwie. Podbiegł i zaczął ją kopać niczym piłkę futbolową, to do przodu, to w tył - jak rasowy futbolista. Broniek zmarszczył brwi i wodził za dzieciakiem wzrokiem. Edek ożywił się. Przez krótką chwilę obserwował dość nieporadne wyczyny Julka, aż wreszcie postanowił wziąć udział w zabawie. Wyskoczył z bramy na pustą ulicę.

- Podaj, mały, na skrzydło podaj! - wykrzykiwał, jak na prawdziwym boisku. - No, dawaj.

Julek przymierzył i posłał puszkę wprost pod nogi starszego kolegi. Edek przyjął, wycelował i strzelił w „światło bramki”, którym tutaj była brama. Puszka przemknęła w powietrzu obok ramienia Bronka. Chłopak wyszczerzył zęby z wściekłością. Rzucił pestki słonecznika na ziemię i ruszył z zaciśniętymi pięściami w stronę Edka, by dać mu lekcję właściwego zachowania. Od niechybnego lania uratował Edka Julek.

- Frajer - zakrzyknął półgłosem, żeby nie spłoszyć potencjalnej ofiary. - Idzie na nas.

Młodzieńcy zwrócili wzrok we wskazanym kierunku. Z naprzeciwka szedł ze spuszczoną głową szczupły mężczyzna w średnim wieku. Patrzył pod nogi niewidzącym wzrokiem. Wyraźnie nad czymś usilnie myślał i świat wokół niego, przynajmniej w tym momencie, zdawał się nie istnieć.

Miał na sobie szary prochowiec, na nosie okrągłe okulary w czarnej oprawie, a w prawej dłoni skórzaną teczkę, zapinaną na dwie klamry. Gładko ulizane i mocno przerzedzone włosy, z głębokim przedziałkiem po prawej stronie, dopełniały wizerunku urzędnika państwowego lub skrupulatnego księgowego jednej z warszawskich firm buchalterskich. W mniemaniu chłopców stanowił wprost wymarzony cel.

Edek i Broniek w mgnieniu oka zniknęli w bramie. Na chodniku został całkiem niewinnie wyglądający dwunastolatek - Julek Kwiatkowski. Chłopiec przechadzał się tam i z powrotem, zdawałoby się, nie mając nic innego do roboty. Patrzył to w niebo, to pod nogi, szurał czubkiem buta o płytę chodnika.

Kiedy mężczyzna zbliżył się na parę kroków, Julek nagle się ożywił.

- Przepraszam szanownego pana. - Zastąpił mu drogę. - Czy szanowny pan ma zegarek?

Mężczyzna obrzucił chłopca badawczym spojrzeniem. Wydawał się zaskoczony i lekko skonsternowany niespodziewanym spotkaniem.

- Co chcesz, mały? - Zatrzymał się i zmarszczył karcąco brwi.

- Chciałem spytać szanownego pana, która jest godzina - powiedział Julek z doskonale udawaną uniżonością.

Przechodzień cmoknął zniecierpliwiony, ale wyciągnął z wewnętrznej kieszeni srebrny zegarek na łańcuszku i otworzył ochronną klapkę. Rzucił okiem na tarczę.

- Jest szósta piętnaście - poinformował chłopca poirytowany. - A teraz zmiataj. Śpieszy mi się.

Jak na sygnał z bramy wyszli Bronek i Edek. Stanęli za Julkiem niczym obstawa. Bronek trzymał w ręku ciężką cegłę, a Edek, niby od niechcienia, zręcznie manipulował otwartym nożem sprężynowym.

- Chłopak jest z biednej rodziny - uznał za stosowne poinformować gościa Bronek. - Taki zegarek przydałby mu się.

Dla podkreślenia swojej argumentacji kilkakrotnie przerzucił cegłę z ręki do ręki. Edek przestał kręcić sprężynowcem i chwycił go mocno za rękę. Zobaczyli, jak nagle na wysokie czoło człowieka wystąpiły kropelki potu. Nie było wątpliwości - mężczyzna bał się. Spotkanie z miejscowymi, warszawskimi cwaniakami, mimo ich młodego wieku, mogło się dla niego skończyć tragicznie. Pochodzili z rejonów miasta, w które obcy zapuszczać się nie powinni. Traf chciał, że on akurat tego dnia miał do wykonania papierkową pracę w niewielkim przedsiębiorstwie nieopodal.

- Pa... panowie, to pamiątka rodzinna - próbował wzbudzić w młodzieńcach ludzkie uczucia. - Dostałem go od ojca, jak...

- Nie ma booja. - Bronek wykrzywił usta pogardliwie. Nie lubił tchórzy. - Zajmiemy się pamiątką rodzinną.

Pokazał palcem na Julka, dając tamtemu do zrozumienia, że czas, by zegarek zmienił właściciela, którym odtąd stać się miał Julek Kwiatkowski. Mężczyźnie nie trzeba było powtarzać. Drżącą ręką odpiął łańcuszek od kamizelki i położył przedmiot na wyciągniętej dłoni chłopca. Julek odwrócił się i pobiegł do bramy. Młodzieńcy nie poszli za nim. Stanęli przechodniowi na drodze i wyzywająco patrzyli na niego.

- Panowie, macie zegarek... pozwólcie, że...

- Pozwolimy, pozwolimy. - Bronek uśmiechnął się złowieszczo. - Ale najpierw...

Nie dokończył. Łobuz uderzył go cegłą w czoło na wysokości łuku brwiowego. Z przeciętej skóry trysnęła krew.

- O Jezu! - zawył mężczyzna i złapał się oburącz za głowę.

Edek wymierzył mu cios czubkiem buta w brzuch, co powaliło człowieka na kolana.

- O Matko Boska! - jęczał nieszczęśnik. - Panowie, za co? Przecież...

- Boś się ociągał, frajerze - poinformował go Bronek.

Zaczęli z całej siły kopać ofiarę, gdzie popadnie, skupiając się momentami na głowie. Mężczyzna szlochał i zawodził głośno. W pobliżu nie było nikogo, kto mógł lub po prostu chciałby przyjść mu z pomocą.

- O Jezu! - jęknął po kolejnym celnym uderzeniu. - Panowie, ja mam żonę i dzieci.

- Każdy ma dzieci, frajerze - krzyknął do niego Edek.

Przestali go kopać.

- Zwijamy się - zakomenderował Bronek. - Jeszcze kto policję wezwie.

Wbiegli do bramy i przemierzywszy kilka podwojek, wkrótce znaleźli się w zupełnie innej części dzielnicy, gdzie w umówionym miejscu czekał na nich Julek ze zdobyczą.

Wspomnienia powoli odpływały. Myśli po chwili wróciły do rzeczywistości. Siedzieli w areszcie na posterunku angielskiej MP. Czekali, aż przybędzie powiadomiony przez żandarmerię oficer, przełożony niesfornych Polaków. Siedzieli z Władkiem Hanćkowiakiem i Kazikiem Pogodą w celi i przyglądali się, przechadzającym się co jakiś czas za kratami funkcjonariuszom. Twarz Kazika przybrała jeszcze smętniejszy wyraz niż zwykle, choć mogłoby się to wydawać niemożliwe.

- Wywałą z wojska - zasępił się Pogoda. - Jak Bóg na niebie, wywałą. Albo do paki wsadzą, i wstyd będzie.

Kazik machnął ręką zrezygnowany. Gotował się na najgorsze. Jak zwykle zresztą.

Hanćkowiak uśmiechnął się szelmowsko. Trzymał papierosa w zębach.

- Widzisz, Kaziu, gdybyś z chłopów nie był, to... - zaczął Władek.

- Co z chłopów? - oburzył się Pogoda. - A co, że jak chłop to gorszy?

- Chłop to chłop. Na chłopie jeździli i zawsze jeździć będą. Nic na to nie poradzisz.

Kazik wbił wzrok w towarzysza niedoli. Zastanawiał się, czy Władek prawdę mówił, czy się tylko wygłupiał. Słyszał przecież, że w wojsku pochodzenie społeczne nie miało aż takiego znaczenia.

- Że co niby?

- My z Julkiem wysłuchamy od starego przepisowe opierdół, a ty na przykład, za kuchtę pójdziesz do końca wojny. Jak nie umiesz pitrasić, to cię do mycia garów zagonią. A co!

- Kurde - zafrasował się Kazik. - Ale zaraz, do garów podoficera?

- Ja tam nie wiem, stary. - Hanćkowiak zaciągnął się papierosem. - Życie jest ciężkie.

- Kurde. Diabli nadali tych Angoli.

Kazik spuścił głowę. Nie widział, jak Władek puścił do Julka oko. Kwiatkowski zaś

uraczył go miną z gatunku: „Przestałbyś już robić Kazka w konia. Porządny chłop jest”.

Czas płynął powoli i leniwie. Paczka papierosów, którą dysponował Władek Hanćkowiak, chudła z każdą godziną. Major nie śpieszył się za bardzo po swoich żołnierzy. A może to Anglicy nie śpieszyli się zbytnio z zawiadomieniem ich przełożonego. Może chcieli, żeby Polaczki skruszały. Trudno było wyczuć. W każdym razie nikt się po nich nie zgłaszał, i siedzieli jak kanarki w klatce, tęskniąc za świeżo utraconą wolnością.

Władek mylił się. Ani Anglicy nie opóźniali, ani major Raczkowski nie zamierzał odwlekać wizyty w areszcie. Wściekł się, gdy tylko usłyszał, co się stało. Incydenty tego typu nie należały właściwie na Wyspach Brytyjskich do rzadkości, ale w jego jednostce nie zdarzyło się to jeszcze, czym się zresztą, jak dotąd, chlubił. Teraz trzeba się będzie wstydu najeść. I to ponownie za sprawą podchorążego Władysława Hanćkowiaka.

Dowódca wpadł do aresztu jak burza. Po rozmowie z dowódcą żandarmerii stanął przed celą z marsową miną. Po drodze z jednostki zdążył odrobinę ochłonąć, ale wciąż z trudem opanowywał złość.

Drzwi aresztu otworzyły się i polscy podoficerowie stanęli przed dowódcą na baczność. Władek w ostatniej chwili wyciągnął z ust papierosa i rzucił na betonową podłogę, co nie umknęło uwadze majora. Skrzywił się z niesmakiem. Sam należał do zdawałoby się wymierającego gatunku niepalących.

- Panie majorze... - zaczął słuźbiście Władek.

Raczkowski natychmiast mu przerwał.

- Nie denerwuj mnie, Hanćkowiak - wycodził. - Mówię ci, nie denerwuj mnie.

Wbił w młodego podoficera wskazujący palec.

- Chciałem tylko zameldować... - Władek próbował jeszcze raz uratować jakoś sytuację.

- Tak? Zameldować? - Major był nieubłagany. - No popatrz. Jeszcze zdążysz. W jednostce będziecie, cała trójka, meldować przy pucowaniu korytarzy. Kij i szmata!

- Ośmielam się zauważyć... - Władek nie dawał za wygraną.

- ...że co? Że podoficerom takich kar się nie wyznacza? A ja wam wyznaczę. Wstydu się za was najadłem, to wy też możecie. Chyba, że odmówicie. Wtedy zawnioskuję, żeby was zdegradowano i wydalono do cywila. Kto powiedział, że nosząc mundur, musicie przynosić wstyd krajowi? Rozumiemy się?

- Tak jest! - zakrzyknęła trójka aresztantów jednocześnie.

Perspektywa zdegradowania nie przerażała ich tak bardzo, jak zapowiedź wyrzucenia z wojska. Hańba. Nie wiedzieli wtedy, że major właściwie nie był władny spełnić swoich

grózb. Co jak co, ale podoficerów traktuje się inaczej niż zwykłych żołnierzy. A i zdegradowanie nie byłoby łatwe do przeprowadzenia. W końcu, gdyby spojrzeć na sytuację z innego punktu widzenia, w pewnym sensie bronili honoru polskiego munduru. A że przed aliantami, to już zupełnie inna sprawa. W każdym razie podchorążowie Władysław Hanćkowiak, Juliusz Kwiatkowski i Kazimierz Pogoda przygotowywali się psychicznie do poniesienia kary za swój występki. Ten ostatni z mniejszą niechęcią niż pozostali. Jego chłopska dusza nie buntowała się przeciw pracy fizycznej, a sprzątanie korytarzy to przecież nic innego. Nie raz się takie rzeczy w przeszłości robiło i korona mu z głowy nie spadła.

- Do samochodu - rozkazał major - panowie podchorążowie - dodał zjadliwie.

Ku wyraźnemu zadowoleniu Anglików polscy wicherzyciele opuścili areszt jak niepyszni. Żandarmi nie wiedzieli, co oficer do nich mówił, ale po minach można było sądzić, że nie będą mieli w najbliższym czasie łatwego życia.

ROZDZIAŁ 3

Życie w jednostce toczyło się swoim rutynowym torem. Na porannej odprawie major, jak zwykle, przydzielił zadania i o dziwo ani słowem nie wspomniał o nieszczęsnym incydencie i o ewentualnych konsekwencjach dla trójki młodych podchorążych. Nie kazał im zostać po odprawie. Po prostu nic. Jakby nic się nie stało.

Trzej przyjaciele, i jeszcze do niedawna aresztanci, szli w stronę kantyny. Jak co dzień, chcieli przepłukać gardła, zanim wezmą się do zajęć. Wokół tętniło życie. Jeździły jeepy z oficerami, ciężarówki przewoziły sprzęt i żołnierze uwijali się sprawnie z rozładunkiem i załadunkiem.

Minęli salutujących im dwóch sierżantów. Władek Hanćkowiak szedł pogrążony w myślach jak nigdy. Kazik Pogoda przybrał typową dla siebie ponurą minę, a Julek leniwie rozglądał się wokół.

- Rozumiesz coś z tego? - zagadnął Hanćkowiaka.

Nie patrzył na Bronka. Zatrzymał wzrok na dwóch pułkownikach wychodzących z budynku dowództwa. Towarzyszył im major Raczkowski. Zawzięcie coś tłumaczył, jakby starał się przekonać do pomysłu, który niezbyt im się podobał.

- Co? - Hanćkowiak obudził się z zamyślenia.

- Myślisz, że stary nam odpuścił?

Pułkownicy z majorem zniknęli za załomem budynku.

- Myślę, że ma co innego teraz na głowie. - Władek zmarszczył brwi, zdawał się coś analizować. - A może tylko straszyl. Dać podoficerów na szmatę... - pokręcił głową - grubsza sprawa. Może co innego wymyślił.

- Co się odwlecze, to nie uciecze - wtrącił się Pogoda. - Zobaczycie.

Hanćkowiak z politowaniem spojrział na Kazka.

- Kaziu, a u was w gospodarstwie była krowa?

- Krowa? - zdziwił się pytaniem Pogoda.

- No krowa. Taka, co mleko daje.

- Wiem, co to jest krowa - obruszył się chłop z krwi i kości. - Na pewno lepiej od ciebie, paniczyku.

- Miałeś czy nie?

- Pięć krów mamy, jakby kogo interesowało.

- I nie zdechły ci?

- Co miały zdechnąć?

Władek wzruszył ramionami.

- Nie wiem, z twoim podejściem do życia...

Kwiatkowski roześmiał się. Nie pierwszy raz był świadkiem, jak Władek dworował sobie z Kazika. Robił to zawsze niewinnie i w gruncie rzeczy bez większej złośliwości.

- Idźże, bo jak cię... - Pogoda uniósł swoje potężne ramię.

- Spokojnie, Kaziu, nie denerwuj się. - Hanćkowiak odsunął się na krok i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Żartowałem.

Pogoda nic nie powiedział. Zasępił się ponownie, jak na niego przystało.

- Co mówiłeś, że stary ma dzisiaj inne rzeczy na głowie? - Kwiatkowski wrócił do początku rozmowy.

Władek zatrzymał się.

- Chłopaki, idźcie do kantyny. Ja zaraz przyjdę.

- Ty dokąd? - ożywił się Kazek.

- Zasięgnąć języka. Coś się u nas święci. - Wymownie pokazał palcem koniec swego solidnych rozmiarów nosa. - Mówię wam.

Obrócił się na pięcie i pomaszerował w głąb jednostki.

- Co, u licha? - Julek spojrzał na Kazka.

- Eee tam. - Pogoda machnął ręką i ruszył w stronę kantyny.

Jeszcze nie wiedzieli, że wykonanie kary zostało odroczone. I to najprawdopodobniej bezterminowo. Wśród najwyższej kadry dowódczej zrobiło się lekkie zamieszanie z powodu przybycia dość nietypowych gości.

W kantynie panował kontrolowany rozgardiasz. Liczne towarzystwo w tumanach papierosowego dymu głośno rozmawiało, przekrzykiwało się, co jakiś czas słyhać było salwy śmiechu. Kazik z Julkiem siedzieli przy małym, topornym stoliku z kubkami herbaty przed sobą. Co jakiś czas podchodził do nich znajomy podoficer i przyjaźnie się witał. Co któryś na moment przysiadł się, żeby zamienić z nimi parę słów. Kazek wlepił wzrok w złocisty płyn i świat w tej chwili zdawał się dla niego nie istnieć.

Myśli Kwiatkowskiego ponownie powędrowały do wydarzeń z niedalekiej przeszłości w Warszawie. Przed oczami przepływały obrazy z ciepłego domu, zawsze pachnącego wyśmienitym jedzeniem, które matka przygotowywała specjalnie dla niego, kiedy wychodził z jednostki na przepustki. Pamiętał dokładnie, jak młodsza siostra Marysia, wtedy jeszcze podłotek, rzucała mu się na szyję i cieszyła niczym małe dziecko. Uwielbiała starszego brata, do którego niejednokrotnie wzdychały jej koleżanki, o czym za każdym razem, naturalnie w

głębokiej tajemnicy, nie omieszkała go poinformować. Potem złościła się, gdy śmiał się w głos z podlotków.

Z zamyślenia obudziło go silne klepięcie w plecy. W ten sam sposób został potraktowany Kazek, który również wydawał się być zatopiony w swoich posępnych rozważaniach. Zorientowali się, że wewnątrz kantyny niemal opustoszało, jakby ktoś dał sygnał do wymarszu.

- Zbierajcie się panowie - zakrzyknął Władek - okazja wam ucieknie.

- Niby na co? - burknął Pogoda.

- Na przygodę życia - oświadczył pompatycznie.

- O co ci chodzi? - Julek Kwiatkowski zmarszczył brwi.

- Ruszajcie się - zniecierpliwił się Hanćkowiak. - Wytlumaczę wam po drodze. Szkoda czasu. No, już - dodał widząc, że przyjaciele nie wykazują zbytniego pośpiechu.

- Chodź, Kaziu - powiedział Kwiatkowski do Pogody - bo nam spokoju nie da.

Kiedy znaleźli się poza kantyną, Władek od razu poprowadził ich w stronę budynku dowództwa.

- No gadaj wreszcie, o co chodzi. - Julek zażądał wyjaśnień.

Pogoda wydawał się zupełnie niezainteresowany. Szedł obok, z rękami w kieszeniach i z wisielczą miną.

- Przyjechało dwóch oficerów i werbują.

- Gdzie werbują? Do czego?

- Podobno jakaś dywersyjna grupa się tworzy. Do Polski będą przerzucać.

- Do Polski? - ożywił się Pogoda.

- Ciebie, Kaziu, do Chin planują. Na mandaryna.

- Idź, bo jak cię... - zezłościł się Pogoda.

- To czemu nam nikt nie powiedział? - oburzył się Kwiatkowski.

- Czemu? - Władek powtórzył pytanie dla efektu. - Bo grandziarze jesteście. Brytyjskich oficerów bijecie.

Hanćkowiak zachichotał radośnie. Nie odpuścił okazji, by sobie podworować z towarzyszy.

- Żebyśmy ciebie nie obili - odparował Julek. - Święty się, kurde, znalazł.

- Nie no, ale poważnie. - Władek przestał się uśmiechać. - Szukają ochotników, ale tylko takich z nieposzlakowaną opinią. I tu możemy mieć problem.

- Jasny gwint - powiedział Kwiatkowski przez zęby.

Pogoda jedynie wzruszył ramionami, co miało znaczyć: „Nie, to nie. Po problemie”.

- Właśnie - przyznał Władziu. - Stary nas nie poprze. Dlatego sami musimy sobie poradzić.

- Co knujesz? - Julek podejrzliwie spojrzał na Hanćkowiaka.

- Skoro góra nie przysłała do Mahometa, to Mahomet musi przyjść do góry. Chodźcie panowie. Ze mną nie zginiecie.

Władek ruszył, nie czekając na kolegów. Poszli za nim i zrównali krok. Szli w milczeniu, zastanawiając się, cóż takiego Hanćkowiak wykombinował. Pogoda przewidywał kłopoty i układał w myślach sposoby zminimalizowania ewentualnych konsekwencji, gdy Kwiatkowski tymczasem zachodził w głowę, jak Władek zamierza przeskoczyć problem nieposzlakowanej opinii, co w ich wypadku wydawało się rzeczą ze wszech miar niemożliwą. Nie wytrzymał w końcu i spytał.

- Co chcesz zrobić?

- Przekonać „górze”, żeby zainteresowała się Mahometem.

- A może by jaśniej tak - zniecierpliwił się Julek.

- O, idą. - Władek zatrzymał wzrok na dwóch oficerach nieopodal. Jeden był w stopniu pułkownika, drugi w randze kapitana. - Ja gadam, wy potwierdzacie.

- Co? - spytał Kazik zbity z tropu, ale nie było czasu na wyjaśnienia.

Po chwili stanęli całą trójką przed oficerami i jak na komendę strzelili obcasami wysokich butów. Pułkownik zmarszczył brwi z dezaprobatą. Nie było mu w smak, że jacyś podoficerowie najwyraźniej zamierzają zabrać mu cenny czas.

- Podchorąży Władysław Hanćkowiak - zameldował się Władek przepisowo - oraz podchorąży Pogoda i Kwiatkowski.

Oficerowie przyłożyli niedbale palce do daszków rogatywek.

- O co chodzi, panowie? - spytał kapitan szorstko.

- Właśnie się dowiedzieliśmy, że prowadzicie panowie rekrutację do specjalnej grupy dywersyjnej i nas pominięto. A niesłusznie, ponieważ lepszych kandydatów od nas nie ma. Każdy z nas - tu spojrzał na stojących obok kolegów - wyróżnia się wyjątkowymi zdolnościami wojskowymi, wprost nieocenionymi na polu walki. Dlatego niezakwalifikowanie nas do tej grupy, byłoby poważnym, powiedziałbym nawet, niewybaczalnym błędem, przed którym chcielibyśmy niniejszym panów oficerów ustrzec. Jesteśmy elitą...

- Dostyc tego! - oficer ostro uciął przemówienie w wykonaniu Władka. - Selekcja zakończona. Dlaczego się nie zgłosiliście, kiedy był czas po temu?

- Melduję, panie pułkowniku, że nie zostaliśmy na czas poinformowani.

- Major Raczkowski rekomendował ludzi. I was nie było wśród rekomendowanych. Skoroście tacy zdolni...? - spytał pułkownik podejrzliwie.

- Możliwe, że major raczył o nas zapomnieć - wypalił Władek z bezczelnym kłamstwem.

Julek i Kazik spojrzeli na niego zaskoczeni. Przecież tę bzdurę natychmiast można zweryfikować. Nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy? Natychmiast jednak się opanowali. Nie mogli dać po sobie poznać, że coś jest nie tak. Zabrnęli już wystarczająco daleko. Trzeba było brnąć dalej. W końcu nie mieli nic do stracenia.

I wtedy właśnie wydarzyła się katastrofa. Tak przynajmniej młodzi podoficerowie to odbierali, bo w pobliżu pojawił się major Raczkowski we własnej osobie. Szedł w ich stronę z jakimiś dokumentami. Utkwił karcący wzrok w swoich podwładnych.

- Panie pułkowniku, tu jest dodatkowa lista. Już gotowa - powiedział, nie spuszczać oczu z Kazika, Julka i Władka, którzy zasalutowali mu, wyprężając się w postawie na baczność.

- Dziękuję, panie majorze. - Pułkownik wziął od niego dokumenty.

- Jakiś problem? - Raczkowski surowo zwrócił się do swoich podoficerów.

- Nie ma żadnego problemu, panie majorze - odpowiedział Władek natychmiast. - Tylko że...

- ...panowie podchorąży są niepokieszeni - dokończył za niego pułkownik - gdyż nie wzięto ich pod uwagę przy naszej rekrutacji. Nie zostali poinformowani, podobno...

Major zaciął usta. Znowu trójka „pod wezwaniem Hanćkowiaka” stawia go w dość niekomfortowym położeniu. Diabli ich nadali. Ile jeszcze będzie się z nimi musiał użerać? A może... Procesy myślowe w błyskawicznym tempie przebiegły po głowie majora.

Tymczasem trójka „pod wezwaniem Hanćkowiaka” układała w myślach plan wybrnięcia z sytuacji z możliwie najmniejszym uszczerbkiem na honorze. Zdawali sobie sprawę, że tym razem dowódca im nie daruje. A szanse na dostanie się do grupy dywersyjnej właśnie diabli wzięli, ostatecznie i bezpowrotnie. Że też major musiał pojawić się akurat teraz. Trzeba mieć pecha. Nie ma co.

I w tym momencie wydarzyła się rzecz wprost niebywała. Major nie tylko się nie wściekł, co zawsze manifestowało się nerwowym ruchem żuchwy, ale zrobił coś, co wprawiło trójkę podoficerów w autentyczne osłupienie. Uśmiechnął się i powiedział.

- To prawda. Mój błąd. Na szczęście można go jeszcze naprawić. - Był całkowicie spokojny i brzmiał wręcz życzliwie. - Hanćkowiak, Kwiatkowski i Pogoda to jedni z moich najlepszych ludzi. Świetnie się nadają. Lepszych nie znajdziecie.

Podchorążym w głowie nie mieściły się słowa, które właśnie usłyszeli z ust przełożonego. Co prawda, jako żołnierze rzeczywiście należeli do elity jednostki, lecz w kwestii regulaminowego prowadzenia się trudno by było zaliczyć ich do jakiegokolwiek, w miarę pozytywnej kategorii. Nie było co ukrywać, słynęli z wicherzycielstwa, warcholstwa i niepoprawnego cwaniactwa - głównie za sprawą Władka Hanćkowiaka - jak również z nadzwyczajnej skłonności do wdawania się w bijatyki i wszelkiego rodzaju awantury, przede wszystkim z żołnierzami brytyjskimi. A kiedy dołączył do nich Julek Kwiatkowski, ich i tak już solidnie nadszarpięta reputacja ucierpiała jeszcze bardziej. Tym dziwniejsza była wypowiedź majora Raczkowskiego. Z trudem udawało im się trzymać fason i nie dać po sobie poznać osłupienia spowodowanego wywodem dowódcy.

- Hmm - mruknął pułkownik. - Skoro tak, to mam tylko jedno pytanie. Czy jesteście panowie gotowi w każdej chwili podjąć się misji w kraju, która niewykluczone, może kosztować was życie?

- Zawsze i wszędzie - odparł Władek bez zwłoki.

Pułkownik przeniósł wzrok na Kwiatkowskiego.

- Bez wahania - usłyszał satysfakcjonującą odpowiedź.

Kiedy przysła kolej na Pogodę, pułkownik wolał się upewnić, czy ich decyzja nie jest podyktowana emocjami chwili.

- Chce się pan zastanowić? - spytał trzeciego podchorążego.

- Już się zastanowiłem, panie pułkowniku - odpowiedział Kazik smętnym tonem. - Zdecydowanie proszę o przyjęcie do grupy.

- W takim razie wszystko jasne. Macie piętnaście minut na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy. Ciężarówka stoi przy wyjeździe z jednostki. Jak się spóźnicie, pojedziemy bez was. Rozumiemy się?

- Tak jest, panie pułkowniku! - wykrzyknęli chórem.

- Chodźmy, kapitanie - zwrócił się do swojego oficera. - Czas na nas.

Kiedy odeszli, niedbale salutując, major obdarzył „trójcę” szerokim i wcale niezłośliwym uśmiechem.

- No, kochaniutcy, mam was z głowy. Teraz kto inny będzie się z wami użerać. Żegnam panów.

Odwrócił się, zrobił kilka kroków, po czym przystanął. Obejrzał się. Zawrócił i jeszcze raz stanął przed nimi.

- Panie majorze... - zaczął Władek w ramach jakiejś niezobowiązującej formułki pożegnalnej.

- Niech tam - przerwał mu major. - Co było, to było. Dajcie grabę. - Po kolei mocno i serdecznie uściskał im dłonie. - Trzymajcie się chłopaki. Jak będziecie w kraju, powiedzcie tam, że my tutaj też chcemy do Polski.

Spuścił wzrok, odwrócił się na pięcie i odszedł na dobre, nie zwracając uwagi na fakt, że oni też chcieli mu coś powiedzieć. Niniejszym kariery podoficerów Hanćkowiaka, Pogody i Kwiatkowskiego dobiegły końca w tej jednostce.

Droga do ośrodka szkoleniowego w Largo House była długa. W czasie jazdy ciężarówką ochotnicy szybko się zapoznali. Byli z przeróżnych części kraju - od Lwowa po Gdańsk i reprezentowali dość szeroki przekrój społeczeństwa.

Poznawszy się, żołnierze umilali sobie podróż świeżo zasłyszanymi dowcipami o okupantach, rozmowami, snuciem planów na przyszłość, jak i muzyką, gdy Lwowiak - Antoś Maciejko wyciągał harmoszkę i zaczął skocznie przygrywać. Z młodych, męskich gardel wypływał wówczas śpiew, co prawda momentami pobrzmiwała w nim fałszywa nuta, ale popisy młodzieńców budziły uśmiechy sympatii na twarzach jadących w szoferce pułkownika Tadeusza Janczewskiego i jego adiutanta - kapitana Bronisława Powalę. Mieli oni tylko nadzieję, że entuzjazm tych młodych ludzi nie opadnie w konfrontacji z morderczym szkoleniem, jakie ich czeka w ciągu najbliższych miesięcy w Largo House. Wiedzieli, że będą tacy, którzy się załamią i tacy, których poważna kontuzja wyeliminuje z dalszego szkolenia. Domyślali się, że może znajdą się i tacy, którzy po ukończeniu szkolenia nie wytrzymają psychicznie i nie zgodzą się na przerzut do Polski. Wszystko trzeba było brać pod uwagę. Dlatego ochotników zebrali więcej. Do ojczyzny polecą najlepsi z najlepszych.

Podróżujące towarzystwo zdołało rozbawić nawet Kazika Pogodę, co stanowiło nie lada osiągnięcie, natomiast Julek Kwiatkowski był jakiś nieswój, niewiele się odzywał. Trzymał się z boku. Wciąż tutaj „świeży”, ciągle przeżywał wydarzenia z kampanii wrześniowej, obrony Warszawy i rozstanie z rodziną, matką, ojcem i siostrą, którzy nie wiadomo, czy w ogóle jeszcze żyli.

Wspomnienia kotłowały się w głowie. Znów zobaczył pełne słońca mieszkanie, gdzie matka stawiała przed nim zupę, gdy wrócił z kolejnego treningu bokserckiego.

Przypominał sobie konkretne sytuacje. Znowu widział jak matka, Helena Kwiatkowska, pochyla się nad jego rozciętym łukiem brwiowym.

- Znowu? - spytała retorycznie, przyglądając się z bliska świeżo zalepionej ranie. - Dałbyś sobie spokój z tym boksem. Tyle jest różnych dyscyplin, a tyś akurat ten boks musiał sobie wybrać.

- Oj, mama. To męski sport. Czasami zdarzają się kontuzje - bronił się Julek.

- Edek, no powiedz coś - zwróciła się do ojca rodziny, Edwarda Kwiatkowskiego.

Ojciec, nauczyciel języka polskiego w jednym z liceów miasta stołecznego Warszawy, mocno posiwiał mężczyzna z sumiastym wąsem à la Piłsudski, siedział w ogromnym fotelu i czytał gazetę. Podniósł wzrok znad okrągłych okularów.

- Ma chłopak rację - powiedział swoim tubalnymi głosem. - Co, ma łamagą być? Niech się uczy ducha walki. Przecież do szkoły wojskowej zamierza iść.

- Oj, Edek. Myślałam, że mnie wesprzesz. Nie widzisz, jaki poobijany? - Jeszcze raz wnikliwie i z największą troską przyjrzała się rozcięciu, podczas gdy Julek ze smakiem pałaszował jak zwykle pyszną grochówkę, zagryzając grubą pajdą świeżego chleba. - Kto to widział, żeby student polonistyki, taki wrażliwy chłopak boksem się zajmował - dodała niemal rzewnie.

Edward Kwiatkowski wrócił do lektury gazety, ewidentnie uznawszy temat za zakończony. Helena Kwiatkowska zmierzwiła gęstą czuprynę syna.

- Mogę jeszcze? - spytał Julek, odkładając łyżkę na pusty talerz. I tym razem kobieta naląła mu zupy prawie po brzegi talerza.

- Jedz, synku. Jedz, na zdrowie - powiedziała, choć Julka nie trzeba było zachęcać.

Drzwi mieszkania otworzyły się i do środka wpadła - nie weszła, tylko właśnie wpadła - Marysia Kwiatkowska, nastolatka z długim blond warkoczem opadającym spod granatowego, przepisowego beretu na szkolny mundurek w tym samym kolorze.

- Serwus, rodzice!- zakrzyknęła świergotliwie od progu. Cmoknęła matkę w policzek. Ojciec ponownie uniósł wzrok znad gazety i posłał jej uśmiech.

- Siadaj, córciu - powiedziała matka. - Obiad jest.

- O, Julek! - usadowiła się na krześle obok brata. - Mam do ciebie sprawę - oświadczyła tajemniczo.

- Do mnie? - Zupa wylewała się Julkowi z ust.

- Bo Hania Bojarska, ta wiesz, co była u nas na wiosnę...

- Na wiosnę?

- No, mówię przecież. Pamiętasz, nie?

- Nie pamiętam. Jak mam pamiętać? Przecież ty przyprowadzasz tabuny koleżanek. Skąd mam wiedzieć, która to Hania Bojarska?

- No wiesz co? - zachnęła się Marysia.

- Maryniu, zupa stygnie - wtrąciła się matka. - Potem sobie porozmawiacie z Julkiem.

Dziewczynka posłusznie wzięła do ręki łyżkę.

- Nie pamiętasz? - spytała jeszcze raz z wyrzutem w głosie.

Oczekiwała, że brat bez problemu przywoła w pamięci wizerunek Hani Bojarskiej.

- Ten Hitler jest chyba niespełna rozumu! - zagrział głos Edwarda Kwiatkowskiego.

- Słyszeliście, co on wyprawia? Żydów wyjął spod prawa. A teraz jeszcze się za remilitaryzację Nadrenii zabrał. No po prostu skandal! A mocarstwa milczą! Chyba mu na to pozwolą.

Julek i Marysia rzucili matce spojrzenie mówiące: „A co nas to obchodzi?”, na co ona w ten sam sposób odpowiedziała im: „Nie zwracajcie uwagi. Ojciec ma swoje dziwactwa”.

Dziewczynka zabrała się z zapałem do jedzenia, a Julek odchylił się na oparcie krzesła. Mimo „pochłoniętych” dwóch talerzy grochówki, z niecierpliwością czekał na drugie danie. Wiedział doskonale, że to jeszcze nie koniec pyszności.

- Julek - odezwała się Marysia półszepem - posłuchaj mnie uważnie, bo to bardzo ważne.

- Zamieniam się w słuch - odpowiedział z uśmiechem. - Specjalnie dla mojej ulubionej siostry.

- Jak to ulubionej? A co, że niby masz inną?

- No nie, gdzieżbym śmiał - roześmiał się. - Przecież wiesz, że żadna inna nie podbije mojego serca - dodał zabawnie, siląc się na patos.

- Już nie przesadzaj. Ale właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

- Oczywiście.

- Więc Hania Bojarska...

- Nie zaczyna się zdania od „więc”, moja droga panno. - Ojciec uznał, że należy natychmiast skorygować ewidentny błąd składniowy.

- Tak, wiem, tatusiu - odparła w pośpiechu. - Wie... - ugryzła się w język w ostatniej chwili. - Hania Bojarska prosiła mnie, abym spytała, czy nie wybrałbyś się z nią na spacer do parku, znaczy ze mną też, no z nami, bo Hania...

- A ile ta Hania ma lat? - spytał Julek, nie przestając się uśmiechać.

- Czternaście. A niby co?

- Ja niby mam lat dziewiętnaście. Nie sądzisz, siostrunia, że różnica wieku może stanowić tu istotną przeszkodę?

- Hania to bardzo dojrzała i rozsądna panna i ona cię...

Natychmiast zakryła dłonią usta. Zorientowała się, że powiedziała o wiele za dużo. Na to Julek wybuchnął głośnym śmiechem. Ojciec złożył gazetę i spojrzał na dzieci nauczycielskim wzrokiem. Julek uspokoił się dopiero, gdy stanął przed nim talerz pachnących

pyz ze słoniną.

- Jedz, póki gorące. - Matka również uśmiechała się pod nosem, tylko tak, żeby córka nie widziała.

- Mama, czy mężczyźni zawsze są tacy niepoważni? - Marysia specjalnie spytała głośno, żeby „wszyscy” słyszeli.

- Zawsze, kochanie, zawsze - odparła matka i odwróciła się w stronę kuchni.

Warkot silnika ciężarówki wiozącej młodych żołnierzy do Szkocji i gwar głośnych rozmów odpędził wspomnienia.

- *Julik* - zawołał do niego Antoś Maciejko. - *Cu ty tak nic nie mówisz, a? Tamowaty*¹ ty jakiś.

- Cały czas cię, Antoś, słucham. - Julek rozchmurzył się.

- U was we Lwowie to musi być wesoło. - Ta joj, masz. - Antoś potwierdził na swój sposób. - *We Lwowi wszystkie ludzi wesołe*. Oj, żeby ty wiedział.

- A panny u was chociaż ładne są?

Julek postanowił Antosia „nakręcić” i nie musiał się za bardzo starać.

- *Nu masz. Dziunie u nas najpiękniejsze so*. Jak słoneczko na wiosnę *przygrzei*, to oczu nie *oderwiesz*.

- Co ty gadasz, Antoś - włączył się Władek Hanćkowiak. - Przecież wszyscy wiedzą, że warszawianki są najładniejsze. Nie chłopaki?

Z kilku gardeł zabrzmiały głośnie pomruki potwierdzenia.

- A we *Lwowi* ty był, że *taki rzeczy* mówisz?

Antoś ewidentnie nie zamierzał ustąpić pola. W powietrzu zawisła groźba konfliktu, który Hanćkowiak postanowił natychmiast zażegnać.

- Antoś, to ja mam propozycję. Uznajemy, że najpiękniejsze panny są w Warszawie i we Lwowie. Co ty na to?

- *Dubrze* gada. Dać mu wódki. Jak *dojędziem, smykniem*², co tam *majo*.

Towarzystwo po raz kolejny wybuchło śmiechem. Antoś Maciejko z każdą chwilą zyskiwał coraz większą sympatię wśród kolegów. Znowu przyłożył harmoszkę do ust i popłynęła melodia powszechnie znanego szlagieru z chwytliwym refrenem: „Tylko we Lwowie”. Do śpiewu nikogo nie trzeba było namawiać.

Julek ponownie zatopił się w myślach. Przed oczami płynęły teraz obrazy zgoła

¹ Małomówny (gwara lwowska)

² Popić sobie (gwara lwowska)

odmienne od tych z czasów przedwojennych. Kampania wrześniowa i obrona Warszawy. Beztroskie lata minęły bezpowrotnie.

Znowu wracał na chwilę do domu pełen entuzjazmu po skutecznym odparciu kolejnego niemieckiego ataku. Ponownie jego oczom ukazała się kompletnie zniszczona przez bombę kamienica, w której mieszkali praktycznie od zawsze. Stał jak wryty. Patrzył na ruiny i zgłiszcza, wciąż nie wierząc, że to rzeczywistość. Ktoś położył mu rękę na ramieniu. Julek nie odwrócił głowy. Było mu w tej chwili wszystko jedno.

- Musisz być dzielny, chłopcze - usłyszał dochodzący niczym z zaświatów głos dozorczy kamienicy, Franciszka Beresia. - Nadlecieli i nikt nie zdążył...

- Kiedy?

Julek z najwyższym trudem wydobywał z siebie słowa.

- Jakieś cztery godziny temu. Jak huknęło... Zbierać nie było co.

Chłopak ukrył twarz w dłoniach. Nie spodziewał się, nie przypuszczał, że wojna go osobiście, aż tak strasznie doświadczy. Co miał teraz robić? Nagle został na świecie zupełnie sam...

- Jakoś ich pochować... - głos mu się załamał.

- Dopilnuję, żeby pan profesor miał uczciwy pochówek. Nie martw się.

Kwiatkowski spojrzał na dozorcę. Zacisnął zęby. Nie rozpaczał. Nie czas był na rozpacz. Dusza wyła żałośnie, ale Julek zachował się po męsku. Nie chciał, by ktokolwiek widział jego łzy, które wkrótce niechybnie spłyną. Najpierw jednak poleje się niemiecka krew.

- Pochowajcie ich razem.

- Razem z kim? - nie zrozumiał Bereś.

- Mamę, Marynię i tatę.

- Ale uchowaj Boże! Szanowna pani profesorowa żyje. Z córką akurat wyszły coś do jedzenia zdobyć. Kazała ci przekazać, że jadą na prowincję do ciotki. Od razu, póki jeszcze z Warszawy można się jakoś wydostać. Mówiła, że będziesz wiedział. Tam ich znajdziesz.

Na te słowa w Julka wstąpiło nowe życie.

- Żyją? - wolał się upewnić.

- Żyją. A jakże.

- Dzięki Bogu! - powiedział z ulgą. - Muszę wracać na barykadę. Na Wolę nie wejda.

Zrodziła się w nim determinacja, by za wszelką cenę odplacić Niemcom za śmierć ojca oraz tułaczkę matki i siostry.

Gwar rozmów w samochodzie zelżał. Co niektórzy przysypiali, inni rozmawiali

półgłosem. Atmosfera stała się dość leniwa. Kazik Pogoda pochrapywał miarowo. Czekala ich jeszcze wielogodzinna podróż.

- I co? - zagadnął Hanćkowiak.

- Z czym?

- Raczej z kim? Z tą panną, co o niej tak zawzięcie myślisz.

- Matka i siostra w Polsce zostały. W '39 z Warszawy uciekały. Nawet nie wiem, czy im się udało.

- A ojciec?

- Zginął w bombardowaniu. Jak zaczęła się obrona Warszawy...

- Jasne, bracie.

- A twoi?

- Moi?

- Twoi. Matka, ojciec, rodzeństwo. Nigdy jakoś nie mówiłeś.

Władek wzruszył ramionami.

- Cóż, matka pracowała w banku w Krakowie, a ojciec był przedsiębiorcą. Handlowcem. Dużo podróżował w interesach. W domu prawie nie bywał. Ledwie go znałem. Starszy brat wszedł w interesy ojca. Mną zaopiekowała się ciotka, jak byłem jeszcze gówniarz.

- Fajna historyjka. Tylko że nic się kupy nie trzyma, Władziu.

Władek spojrział na przyjaciela spode łba.

- Tak?

- Tak. Bujać to my, ale nie nas, Władeczku.

- Przestań mówić do mnie „Władeczku”. Ciotka tak do mnie mówiła. Panie, świeć nad jej duszą.

- To co, tak naprawdę?

- Naprawdę? Matka rzeczywiście pracowała w banku. Jako sprzątaczką. Ojciec obrabiał sklepy i w ogóle co się dało. Co jakiś czas wpadał i szedł na parę lat. Brat podobnie. Masz prawdziwą historię. Szczęśliwy?

- Co z nimi?

- Nie wiem. Mnie zmobilizowali. Oni uciekli gdzieś na wschód. Diabli wiedzą gdzie.

- Mówisz jakby ci nie zależało.

- Nieszczęśliwie.

Antosiewi głowa opadła na piersi. Dopiero gdy tułów dotknął kolan, obudził się, rozejrzał się półprzytomnym wzrokiem i ponownie zapadł w sen.

ROZDZIAŁ 4

- Ruszać się, łamagi! - wrzasnął kapitan Stanisław Góra. - Dalej!

Ósmy kilometr porannego marszobiegu dokonywał bezlitosnej selekcji wśród żołnierzy przybyłych do ośrodka szkoleniowego w odludnym szkockim rejonie, gdzie znajdował się Largo House. Juliusz Kwiatkowski biegł na czele zaraz za kapitanem. Jedyłą oznaką zmęczenia był jego przyspieszony oddech. Przedwojenne treningi bokserskie zrobiły swoje. Kondycję miał żelazną. Musiał mieć. W ringu innej nie tolerowano. Z trudem, ale jednak, dotrzymywał mu kroku Kazik Pogoda. Zaprawiony ciężką, fizyczną pracą na roli, całkiem nieźle znosił kolejną porcję codziennego porannego marszobiegu. Gorzej było z Hanćkowiakiem i pozostałymi.

Władek Hanćkowiak zrównał z Kwiatkowskim krok.

- Cholera by to wzięła - dyszał. - Mieliliśmy Niemca bić, a tu mistrzów sportu z nas chyba chcą zrobić. Gdzieś ty taką krzepę złapał?

- Na treningach bokserskich - odparł Julek. - Nie masz krzepy, to w papę na ringu dostajesz i po tobie.

Antoś Maciejko również z trudem łapał oddech. Patrzył z podziwem na Julka.

- Ty, Julek, przebierasz nogami, *ni powim*, jak Kusociński jaki. *Bożesz*, ty *moj*.

- A coś Antoś myślał? - Hanćkowiak podniósł głowę. - My ze stolicy chłopaki do rzeczy jesteśmy. Mamy swój sznyt.

- *Przeciż* ty nie ze stolicy. Z Krakowa, *ty mówił* - zauważył całkiem słusznie Maciejko.

- Co ty, Antoś, historii nie znasz? Toż kiedyś Kraków stolicą Polski był. Aż stolicę Zygmunt Waza do Warszawy przeniósł. Kraków jakby stolica.

- Eee tam. *Głupi gadani* - skostatował Antoś i wziął kilka głębokich oddechów.

Kapitan postanowił trochę chłopakom odpuścić. Seria ćwiczeń ogólnorozwojowych, plus trochę rozciągania, dały im niezbędne wytchnienie. Wkrótce grupa całkowicie doszła do siebie.

Pogoda rozglądał się wokół. Krajobraz surowy, rzec by można ponury. Idealnie pasujący do osobowości Kazika. Wbrew pozorom otoczenie jednak niespecjalnie przypadło mu do gustu.

- Cholera, pusto tu jak u Żyda w poście - zauważył trafnie i podrapał się po czubku głowy. - Kozy są - wbił wzrok w pasące się nieopodal rogate zwierzęta - a gdzie ludzie? Przeciż to doić trzeba.

- To, Kaziu, masz szansę - podchwycił Hanćkowiak. - Wprawny jesteś, nie?

- A idźże, bo... - zirytował się Kazek. - Ale nas wywieźli.
- Toż, Kaziu - włączył się Antoś. - *Cu jojczysz*³. *Jedzeni cymes. Ludzi frygajq*⁴, że aż, a i widoczki palce lizać - na dowód czego powiódł wzrokiem wokół - towarzystwo fajne jest... i niedługo Niemca *bedzim* bić.

- Niemca? - bąknął Julek.

- A *jakżeżby* nie.

- Przecież Lwów Sowietci zajęli.

- Teraz i Niemiec we *Lwowi* jest. Z Sowietami potem *policzym* się.

- Czyli Antoś, szczęśliwy człowiek jesteś - stwierdził Władek.

- A *jakżeżby* nie.

- To ci niewiele do szczęścia potrzeba, Antoś - skonstatował Hanćkowiak.

- *Bożesz, ty moj. A tubi co brakuje?*

- Dziewczyn, Antoś, dziewczyn. W okolicy z tym marnie.

- *Toż ty nie wiesz, com ja słyszał.* - Maciejko ściszył głos. - *Oficery* gadali.

- Co gadali?

- Ochotniczki angielskie *przyjado* nam tutaj pomagać. Same *binie*⁵ z dobrych domów.

Mówio, że śliczne jak z *ubrazka*.

Nie zauważyli, kiedy stanął nad nimi kapitan.

- Dostyc opieprzania się! - wrzasnął na całe gardło. - Do ćwiczeń! Biegiem marsz!

Młodzi ludzie zerwali się i pognali w stronę strumienia, przez który przewieszane były trzy liny spełniające funkcję ćwiczebnego mostu. Znali już tę trasę i radzili sobie nie najgorzej bez ciągłego wpadania do zimnego nurtu wody poniżej. Przebiegli ścieżkę szybko i sprawnie.

Tym razem zboczyli trochę, na rozkaz kapitana, z wytyczonego szlaku. Ubiegli niecały kilometr, zatrzymali się w otwartym terenie, gdzie na początek ich oczom ukazała się wysoka na bodaj kilka metrów przeszkoda - ściana wykonana z grubych, drewnianych bali.

- A to cu? - zdziwił się Antoś nie mniej niż pozostali.

- Panowie - krzyknął kapitan - macie przed sobą przeszkodę, którą należy pokonać. Prościej mówiąc, przeskoczyć. Gotowi?

Żołnierze spojrzeli po sobie zdumieni. Przeskoczenie drewnianej ściany mogło się udać jedynie przy założeniu, że posiadają w mniej lub bardziej zaawansowanym stopniu

³ Narzekać (gwara lwowska)

⁴ Jeść (gwara lwowska)

⁵ Panny (gwara lwowska)

umiejętność latania. Tylko Kazik Pogoda wydawał się nieporuszony poleceniem kapitana. Przyglądał się przeszkodzie okiem znawcy. Pokiwał głową, jakby właśnie w pełni zrozumiał, co się do niego mówi.

- W życiu tego nie przeskoczę. - Władek rozłożył ręce na znak bezradności. - Niby jak mamy to zrobić.

Julek spojrzał na kapitana. Ten uśmiechał się półgębkiem, zagadkowo i trochę ironicznie.

- Co, nie ma chętnych?

Oficer założył ręce na piersiach. Nie spodziewał się entuzjazmu, ale też miał nadzieję, że znajdzie się odważny, choć szanse powodzenia i tak miałyby marne. Nie zawiódł się, od razu zgłosiło się kilku ochotników. Pierwszy wziął rozpęd i z wysokości spróbował dosięgnąć szczytu ściany. Wyciągnął się jak struna, ale mimo że był całkiem słusznego wzrostu, jego wysiłki spęzły na niczym. Uderzył przodem w bale i spadł na ziemię jak wór kartofli. Ochotnik wstał, otrzepał się i wrócił zrezygnowany do kolegów. Drugi śmiałek również rozpędził się i spróbował wbiec po balach tak wysoko, jak się da. Przez moment wydawało się, że dopnie celu, lecz pośliznął się na trzeciej belce, wyrzwał bokiem o drewno i podobnie jak żołnierz przed nim, rymnął ciężko na ziemię. Kolejny przymierzył się, skoncentrował - nie chciał powtórzyć błędu kolegów - i wtedy podszedł do niego Kazik Pogoda. Położył mu rękę na ramieniu. W ten sposób go powstrzymał.

- Podchorąży Pogoda - mruknął Góra. - Nie spodziewałem się.

Kazik nic nie powiedział. Otaksował przeszkodę jeszcze raz, potem napluł w dłoń i potarł jedną o drugą. Napiął mięśnie i pognął na ścianę. Wszyscy oczekiwali, że Kazik podzieli los poprzedników, bo jakżeby inaczej. Czekają ich jednak miłe zaskoczenie. Pogoda sprawnie niczym kot, używając umiejętnie rąk i stóp, wspiął się na pierwsze metry i gdy już wytracił siłę rozpędu i powinien się niechybnie od ściany oderwać, w ostatniej chwili, niemal cudem złapał ręką szczytu. Zaraz trzymał się już pewnie oburącz. Pomagając sobie nogami, wspiął się szybko na górę i chwilę potem lądował na nogach po drugiej stronie. Kiedy wrócił do kolegów, gratulacjom i poklepywaniu nie było końca.

- Kaziu, kurczę, masz mój szacunek - powiedział uroczyście Hanćkowiak. - Uratowałeś honor grupy.

- Niezły jesteś. - Julek klepnął go w ramię. - Całkiem niezły.

- *Nu cóż ty mówisz niezły* - sprzeciwił się Antoś - *Toż to miszczuniu* nasz kochany.

Lwowiak serdecznie uścisnął Pogodę.

- Ej, panowie koledzy! - przywołał ich do rzeczywistości kapitan. - To nie piknik na

Bielanach. Który następny?

- Jakżeś to zrobił? - Władek nachylił się do Kazika.

- Drewno jest nierówne. Musisz łąpać się tam, gdzie są sęki - wyjaśnił Kazik.

Władek skupił się. Widać było, jak napina mięśnie. Wystrzelił w stronę ściany i podobnie jak wcześniej Kazik Pogoda, za niedługo był już po drugiej stronie. Kapitan Góra kiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Toście mnie mile zaskoczyli, panowie”.

Sposób na przeszkodę rozszedł się wśród chłopaków lotem błyskawicy. Cała grupa była gotowa. Wkrótce po kolei z większym bądź mniejszym trudem pokonywali ścianę. Jedynie Antosiowi Maciejce nie udało się za pierwszym razem. Nie zraził się. Szczególnie że towarzysze zagrzewali go okrzykami: „Antoś, dasz radę! Dalej!”.

Druga próba również zakończyła się fiaskiem. Dopiero za trzecim podejściem lwowiak „załapał”, o co chodzi i pomyślnie pokonał przeszkodę, co koledzy przyjęli z entuzjazmem.

- Panowie - krzyknął do nich kapitan - jeszcze parę rundek. Biegiem! Skoro wam tak dobrze idzie - dodał do siebie pod nosem.

Był kontent, ale nie zamierzał tego przedwcześnie okazywać. Nie chciał, żeby żołnierze wpadli w samozadowolenie z powodu swoich umiejętności, które wymagały jeszcze sporego szlifowania.

Rose Mitchell, jedna z ochotniczek jednostki FANY, była kobietą nadzwyczajną. Piękna, szybko stała się obiektem westchnień, jeżeli nie wszystkich, to ogromnej większości szkolących się w Szkocji żołnierzy polskiej sekcji SOE, czyli przyszłych „Cichociemnych”. Rose podbijała młode męskie serca praktycznie bez najmniejszego wysiłku. I o dziwo nawet sam Władysław Hanćkowiak uległ jej urokowi. Postanowił ją zdobyć. Postawił to sobie za punkt honoru. Widząc dość nieporadne wysiłki kolegów w tym względzie, uznał, że najwyższy czas pokazać im, jak się to robi. Rose Mitchell mimo swojej nieprzeciętnej urody, była przecież tylko kobietą, która wcześniej czy później musi przed nim skapitulować. Naturalnie miał wszelkie powody, by spodziewać się, iż nastąpi to raczej wcześniej niż później.

Zabrał się do rzeczy profesjonalnie, wykorzystując swoją dogłębną znajomość płci przeciwnej i mimo młodego wieku, niemałe doświadczenie życiowe w relacjach z kobietami. Uwodził ją przy każdej nadarzającej się okazji. Prawił komplementy, karmił słodkimi słówkami, by wreszcie stanąć na wyżynach swoich umiejętności, które jak dotąd nigdy go nie zawiodły. Starał się za wszelką cenę zwrócić jej uwagę na siebie w znacznie większym

stopniu, niż udawało się to jego kolegom. Starał się bardzo i... nic. Rose cały czas pozostawała niezdojta. Jego wysiłki spełzały na niczym. Traktowała go, podobnie jak innych, przyjaźnie, często z wyrozumiałością i z identyczną dawką kobiecego ciepła, jaką okazywała wszystkim innym bez wyjątku.

- Nie wychodzi, co?

Julek Kwiatkowski klepnął Władka po ramieniu. Ten oderwał wzrok od niezdojtej twierdzy w osobie najpiękniejszej wolontariuszki z formacji FANY i odwrócił głowę. Popatrzył na przyjaciela, marszcząc brwi.

- Nie rozumiem - powiedział. Nie wiadomo czy do niego, czy do siebie. - Tyle starań. Każda jedna jadałaby mi już z ręki. Od dawna. O co chodzi?

- Wiedziałeś, że nasze FAN-ki pochodzą z arystokratycznych rodzin?

- Dowódca kiedyś wspominał. Mamy się z nimi obchodzić jak z jajkiem. Pełny Wersal.

- I nie daje ci to do myślenia?

- Co ma mi niby dawać do myślenia?

- Arystokratki. Rose to córka sir Roberta Mitchella.

- Co z tego? Kobieta to kobieta. Obojętnie czy córka jakiegoś „sera” - celowo spolszczył angielski tytuł - czy barona. Obojętnie, kapujesz? Są sposoby, na które wszystkie się łapią. Chcą, czy nie chcą.

- Zarozumiałość przez ciebie przemawia, Władziu, i to cię gubi - stwierdził Kwiatkowski z uśmiechem. I dlatego nie dasz rady. Rose jest poza twoim zasięgiem. Pogódź się z tym.

Hanćkowiak ponownie wbił wzrok w obiekt swojego pożądania. Kilkadziesiąt metrów dalej Rose rozmawiała z dwiema koleżankami. Jej jasnoblond włosy upięte do góry, mieniając się, lśniły w słońcu. Jak zwykle wyglądała zachwycająco.

- Nie ma na nią mocnych - Władek machnął ręką. - Taka kobieta... - dodał półszepem.

- Nie dla psa kiełbasa.

- Tak? - obruszył się Hanćkowiak. - Takiś mądry? Może byś sam popróbował? Nie powiesz mi chyba, że ci się Rose nie podoba.

- Trzy, najwyżej cztery tygodnie i jest moja.

- Bez żartów.

- Chcesz się założyć?

Władek wyciągnął rękę, gotów natychmiast, bez zbędnej zwłoki przypieczetować zakład. Jeszcze Julek się rozmyśli.

- Co stawiasz?

- Żołd do czasu wylotu do Polski - zadeklarował Kwiatkowski. - Może być?

- Stoi.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Cztery tygodnie.

- Może być i pięć - zaproponował Władek wspaniałomyślnie.

Był pewny swego. Całkowicie. Julek Kwiatkowski jako jeden z bodaj kilku żołnierzy nie próbował nigdy zbliżyć się do pięknej FAN-ki, dlatego nie wiedział, na co się porywa. Od początku był na przegranej pozycji. Jakże inaczej. Skoro jemu, Władysławowi Hanćkowiakowi, nie udało się uwieść Rose Mitchell, nikt inny nie ma najmniejszych szans. Nigdy wcześniej nie zawarł tak łatwego do wygrania zakładu. Niedługo wzbogaci się o dodatkowy żołd. Już planował, na co go wyda.

- Rose, dowódca chce cię widzieć.

Kwiatkowski stanął przy grupce kolegów otaczających najpiękniejszą FAN-kę. Wywołał tym samym jęk zawodu z męskich gardeł, co z kolei spowodowało, że na twarzy Angielki pojawił się uśmiech nieklamanej satysfakcji. Lubiła być adorowana. Zresztą jak każda kobieta.

- Mnie? Dowódca?

Była zaskoczona. Nie mniej niż chłopaki. Cóż dowódca mógł chcieć od FAN-ki?

- Co się dzieje, Julek? - spytał najbliższy stojący wielbiciel.

- Nie wiem. - Kwiatkowski wrzucił ramionami. - Dowódca jest zły. Rose pewnie coś narozrabiała.

- Ja? - Ton głosu dziewczyny był kwintesencją bezgranicznego zdumienia.

Rose Mitchell była ostatnią osobą, która w jakikolwiek sposób, gdziekolwiek mogłaby cokolwiek narozrabiać. Musiało tu nastąpić jakieś horrendalne nieporozumienie. Inaczej być nie mogło.

- Chodź, szkoda czasu - ponaglał Julek. - Też idę.

Po drodze żołnierz nic nie mówił. Rose natomiast zachodziła w głowę, jaki jest powód wezwania. Nie wytrzymała zbyt długo milczenia.

- Nie wiesz, o co chodzi?

- O nic - odpowiedział Julek, nie odwracając nawet w jej stronę głowy.

- Czemu tak mówisz? - Uznała jego odpowiedź za niegrzeczną. - O coś musi chodzić.

Jak wiesz, to powiedz.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się przyjaźnie.

- Naprawdę o nic. Nikt cię nie wzywał. Niby co dowódca mógłby chcieć od ciebie?

Stała jak wryta. Popatrzyła spod zmarszczonych brwi. Nie podobał jej się postępek Kwiatkowskiego. Zakrawał na głupi żart.

- To co się wygłupiasz?

Nie była zadowolona. Julek też przystanął. Charakterystycznym dla siebie gestem założył ramiona na brzuchu. Przechylił lekko głowę na prawo. - Chciałem cię odciągnąć od chłopaków. Przynajmniej na chwilę.

- Po co? - spytała, łagodniejąc.

Julek Kwiatkowski jako jeden z kilku żołnierzy pozostawał do tej pory nieczuły na jej wdzięki. Intrygował ją już od dłuższego czasu. Kilkakrotnie wcześniej próbowała nawet subtelnie zwrócić na siebie jego uwagę, ale skutki zawsze były mizerne. I czyżby teraz zdecydował się wykonać pierwszy krok? Ciekawe.

- Nie domyślasz się?

- W ogóle - skłamała.

Wydeła zalotnie usta i przyglądała mu się uważnie i wyczekująco. Spodziewała się choćby namiastki jakiegoś wyznania, próby zbliżenia się do niej. Miał więc dołączyć do bardzo licznego grona jej adoratorów.

Żadne wyznanie jednak nie nastąpiło.

- Coś ci pokażę. Spodoba ci się.

Wziął ją za ramię i poprowadził. Wkrótce doszli do zagajnika. W jednym z drzew na wysokości oczu dorosłego człowieka znajdowała się dziupla. Julek sięgnął do jej wnętrza i wyciągnął papierowy rulon. Podał Rose. Dziewczyna rozwinęła kartkę, spojrzała i otworzyła usta z zachwytem. Jej oczom ukazał się doskonały portret w ołówku. Jej portret. Przedstawiający ją jeszcze pochlebniej, niż wyglądała w rzeczywistości. Lecz tego nie zauważała. Kobieca próżność skutecznie eliminowała ewentualny samokrytycyzm. Patrzyła to na portret, to na młodego żołnierza.

- Piękne - powiedziała w końcu. - Ty rysowałeś?

- Jeszcze w Polsce mówili mi, że mam talent. Pomyślałem, że się ucieszysz.

Posłała mu zalotne spojrzenie.

- Dlaczego mnie zabrałeś od chłopaków?

Oczekiwała jednoznacznej odpowiedzi. Musiała przyznać, że Julek ujął ją tym znakomicie wykonanym rysunkiem. Pierwszy krok, jak mniemała, został uczyniony we właściwy sposób. Notowania mężczyzny w jej oczach solidnie wzrosły.

- Chciałem dać chłopakom trochę wytchnienia - zaskoczył ją swoją odpowiedzią. - Zawróciłaś im we łbach kompletnie. Wariacji dostają na twoim punkcie. Chyba zauważyłaś, nie?

Skrzywiła się nieco. Nie takich słów się spodziewała.

- A tobie?

- Co mi?

- Chyba nie zawróciłam ci w głowie.

Miała nadzieję na jakąkolwiek formę zaprzeczenia. Ale nadzieja ta nie miała się ziścić. Nie tym razem.

- Wyglądam?

Przez dłuższą chwilę nie spuszczała z niego wzroku.

- I co teraz proponujesz? - spytała wyczekująco.

- Nic. Muszę wracać do zajęć. A ty... daj chłopakom trochę odetchnąć. - Puścił do niej oko. - Gotowi się jeszcze o ciebie pobić.

- Myślisz?

Julek roześmiał się tylko.

- Na razie, Rose.

Zostawił ją lekko oszołomioną, bezceremonialnie odchodząc w swoją stronę. Patrzyła za nim. Właściwie nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Jedno było pewne: zaskoczył ją i wzbudził w niej, delikatnie mówiąc, mieszane uczucia.

Julek przewracał się z boku na bok. Ciszę nocną przerywały tylko miarowe pochrapywania kolegów z sąsiednich łóżek. Mimo wyczerpujących zajęć fizycznych w ciągu dnia, sen nie przychodził. Kołatały mu się w głowie różne myśli. Wspomnienia z Polski, sprzed wojny mieszały się z obrazami dni obecnych. Co jakiś czas pojawiała się przed oczami roześmiana twarz Rose Mitchell. Ciekaw był, czy rzeczywiście zdoła ją zdobyć. Nie pałał do niej jakimś gorącym uczuciem od pierwszego wejrzenia, jakie często padało na innych mężczyzn, ale musiał szczerze przyznać, że go pociągała i to nawet bardzo, tak zresztą jak i pozostałych. Spróbował wyciszyć galopujące myśli. Było już po północy, a pobudka wcześniej rano. Trzeba złapać parę godzin snu.

Delikatnie skrzypnęły drzwi. Uchyliły się, wpuszczając do wnętrza snop jasnego światła z korytarza. Weszły dwie ciemne postacie z latarkami. Julek domyślał się, co się teraz będzie działo. Kolejna próba.

Postacie podeszły do jednego z łóżek. Gwałtowne szarpnięcie za ramię wybudziło

śpiącego żołnierza. Młody człowiek otworzył szeroko oczy i zaraz je zmrużył oślepiony jaskrawym światłem latarki. Nie dali mu dojść do siebie.

- *Name?* - padło pytanie po niemiecku.

Tamten wahał się tylko chwilę. Nabrał głębokiego oddechu.

- Antoni Frączyk, syn Józefa i Genowefy - wyrecytował dane osobowe.

- *Wohin bist du?* - Ostre brzmienie niemieckiego języka raziło uszy. - Pochodzę z Torunia. Do Warszawy przyjechałem za robotą. Jestem ślusarzem.

- *Good* - angielskie słowo zakończyło krótkie przesłuchanie. - *Go back to sleep.*

Mężczyzna natychmiast przytulił głowę do poduszki, a przesłuchujący opuścili salę. Zdzisław Piątek, bo tak brzmiało prawdziwe nazwisko żołnierza, przeszedł próbę pomyślnie. Wyuczone fikcyjne dane personalne zapadły mu głęboko w pamięć. Takich testów Anglicy przeprowadzili już kilka i zawsze z powodzeniem. Na celowniku byli żołnierze, których przewidziano do skoku jako pierwszych.

Drzwi się zamknęły i zaległa cisza. Julek ułożył się na wznak. Zanim zasnął, usłyszał jeszcze jeden głos. Wypowiedziane przez sen słowa były mu, jak i wszystkim innym, doskonale znane: „Action station”. Z innej części sali również przez sen padła komenda: „Go”. Zaraz potem słychać było głucho uderzenie o podłogę. Ktoś spadł z łóżka, czyli skok został wykonany. Skoczek obudził się i szybko wgramolił z powrotem do ciepłej pościeli. Zdumiewające, jak głęboko automatyzm szkolenia wszedł chłopakom w krew.

Ranek przyszedł szybko. Zaczynał się kolejny dzień.

- Wstawaj, kolego. - Władek kopnął łóżko Julka. Wycierał ręcznikiem z twarzy resztki mydła po goleniu. - Skoki spadochronowe mamy. Z Hindusami i Holendrami.

- Pamiętam.

- Trzeba im pokazać klasę.

- Władek, gdzie moja woda po goleniu? - Kaziu Bednarz podszedł do nich. Był poirytowany. - Brałeś znowu?

- Stoi na twojej szafce.

- Nie ma. Patrzyłem przed chwilą.

- Już jest - zapewnił go Władek z szelmowskim uśmiechem.

- Kupiłbyś sobie wreszcie własną - bąknął Kazik i wrócił do swojej części sali.

- Nie wstyd ci? - Julek szybko założył spodnie i wojskową koszulkę.

- Wstyd to kraść i głupio wpaść, Jureczku - Hanćkowiakowi niezmiennie dopisywał humor. - Nie miałem czasu do sklepu zajrzeć.

- No tak. Dziewczyny. Czasochłonne zajęcie.

- A co, Rose ci jeszcze nie dała kosza?
- Niedoczekanie, Władziu.
- Się zobaczy.

Na poranną toaletę niewiele miał czasu. Musiał się sprężyć. Nikt tu na nikogo nie czekał. W razie czego, musiały na własną rękę dotrzeć na teren ćwiczeń.

Hanćkowiak jeszcze raz zaciągnął się papierosem i rzucił niedopałek w trawę. Zadeptał go czubkiem buta. Obaj z Julkiem, już w spadochronowych uprzężach, obserwowali skoki żołnierzy holenderskich i hinduskich. Wszystko przebiegało we właściwym tempie z niemal wzorowym wykonaniem. Dało się zauważyć świetne wyszkolenie spadochroniarzy.

- Radzą sobie - Julek pokiwał głową z uznaniem. - A jeszcze tak niedawno...
- Nudy - skrzywił się Władek. - Nudy na pudy. Zero polotu.

Julek zauważył u przyjaciela błysk w oku. Od razu domyślił się, co Hanćkowiakowi chodzi po głowie.

- Myślisz, że możemy...?
- A nawet powinniśmy.

Nie zauważyli, jak podszedł do nich angielski oficer - opiekun Holendrów i Hindusów. Znali z widzenia kapitana Richarda Pistona.

- *Well, gentlemen, look and learn*⁶ - powiedział z nieukrywaną dumą w głosie. - *Well done, isn't it*⁷?

To on wyszkolił Holendrów i Hindusów. Miał prawo być dumny. W tak krótkim czasie takie postępy. Mogło to robić wrażenie.

- *Could be better, sir*⁸ - zauważył Władek kąśliwie.

Anglik skwitował uwagę ironicznym uśmiechem.

- Do samolotu! - krzyknął na nich kapitan Stanisław Góra. - Hanćkowiak, Kwiatkowski, ruszać się!

Maszyna wzbiła się w powietrze. Polscy spadochroniarze siedzieli pod ścianą, oczekując komendy.

- Jak chłopaki? - Kaziu Bednarz nachylił się do Władka.
- Idziemy dwójkami.

⁶ Patrzcie i uczcie się (ang.)

⁷ Dobra robota, czyż nie? (ang.)

⁸ Mogło być lepiej (ang.)

- Dobra - Kazimierz wyraźnie ucieszył się na propozycję.

Samolot za chwilę miał osiągnąć odpowiednią wysokość.

Na dole kapitan Góra poczęstował Pistona papierosem.

- Świetnie się twoi spisują - pochwalił podopiecznych Anglika.

- Nie da się ukryć - przyznał Piston nieskromnie. O twoich też słyszałem.

Nie powiedział, co słyszał. Kapitan Góra miał nadzieję, że dobre rzeczy. Jego żołnierze, w odróżnieniu od innych nacji, wykazywali się zazwyczaj trudną do przewidzenia fantazją. Mogło to czasem rodzić zupełnie niepotrzebne komplikacje i dezaprobatę w oczach angielskich kolegów. Tym razem wolałby, żeby chłopakom nic „oryginalnego” nie przyszło do głowy. Nie chciał się przed Anglikiem wstydzić.

Samolot pojawił się na widoku. Skoki rozpoczną się lada chwila. Obaj przyłożyli lornetki do oczu. Drzwi maszyny otworzyły się i wyskoczył pierwszy spadochroniarz, a przynajmniej tak się oficerom wydawało. Szybko jednak zorientowali się, że nie był to jeden spadochroniarz, ale dwóch trzymających się za ramiona. Zaraz po nich pojawiła się kolejna dwójka i tak dalej. Wyczyn Polaków urągał normom bezpieczeństwa.

- Matko Boska! - jęknął polski kapitan.

Anglik zaś nie wierzył własnym oczom. Żuchwa opadała mu coraz niżej.

- *What the hell*⁹? - wydusił z siebie.

Stanisław Góra nie czekał na dalsze komentarze angielskiego kolegi. Pognał w stronę lądowiska. Kiedy dobiegł, chłopaki składały już spadochrony.

- Czy wyście do reszty pogłupieli?! - wykrzyknął na nich oburzony. - Holendrzy na was patrzą. Hindusi. I co sobie kapitan Piston teraz pomyśli? Z kim ja pracuję?

- Panie kapitanie - odezwał się Władek. - Melduję, że samolotem szarpnęło i Kwiatkowski na mnie wpadł. Chłopaki pewnie myślały, że dzisiaj tak trzeba...

- Hanćkowiak, do cholery, nie wkurzaj mnie! - Kapitan zacisnął pięści w bezsilnej złości.

- Ale panie kapitanie, kiedy naprawdę...

- Władziu - oficer załamał ręce - bo jak cię palnę zaraz w ten durny, krakowski łeb, to ci się odechce.

- Tak jest! - zsalutował Władek.

Chłopaki z trudem powstrzymywały śmiech.

- Składać spadochrony i z powrotem do samolotu - zakomenderował Góra. - Skaczecie

⁹ Co u diabła (ang.)

jeszcze raz. I jak mi teraz ktoś coś wywinie, to własnoręcznie łeb ukręcę. Zrozumiano?

- Tak jest, panie kapitanie - skoczkowie zakrzyknęli niemal jednocześnie.

Holendrzy i Hindusi rozprawiali głośno między sobą na temat skoku polskich żołnierzy. Trudno było się zorientować, czy wyrażali się pozytywnie, czy krytycznie. Fakt faktem, że wyczyny Polaków wywarły na nich bodaj niezapomniane wrażenie.

Samolot transportowy ponownie przepływał po bezchmurnym niebie. Polski kapitan obserwował go bacznie przez lornetkę. Drzwi się otworzyły i znowu pojawiła się postać. Z ciemnego otworu wyskakiwali spadochroniarze. Wypadali pojedynczo. Białe czasze otwierały się we właściwym momencie. Wszystko szło jak w zegarku. Oficer odetchnął. Wyglupy się skończyły.

Lądowali po kolei. Co niektórzy popisywali się jeszcze, odpinając uprząż kilka metrów nad ziemią. Wydawało im się, że kapitan nie zobaczy, a koledzy - a i owszem. Cała grupa była już na ziemi. Zbierali sprzęt, ale jeden ze skoczków wciąż się nie podnosił. Najbliżej stojący koledzy podbiegli do niego.

Kazimierz Bednarz krzywił twarz. Próbował się podnieść, ale nie dawał rady. Kapitan rozsunał skoczków i przykląkł nad żołnierzem.

- Co się dzieje, Bednarz?

- Coś mi się w nogę stało - odpowiedział Kaziu z zaciśniętym zębami. - Chyba skręciłem.

Góra przejechał dłonią po nodze skoczka. Kaziu odchylił głowę i jęknął z bólu. Dowódca wstał.

- Trzeba wezwać ambulans. - Jeden z żołnierzy natychmiast pobiegł do telefonu. - Otwarte złamanie.

- Jak to złamanie? - spytał Bednarz z rozpaczą w głosie. - Złamanie?

- Otwarte.

Wszyscy wiedzieli, co to oznacza. Tego typu kontuzja automatycznie eliminowała człowieka z dalszych szkoleń. Przystawał być członkiem polskiej sekcji SOE i po szpitalnym leczeniu zostawał przeniesiony do standardowej służby.

- Co z nim będzie? - spytał Julek, choć wiedział przecież, jaka musi paść odpowiedź.

- Po co pytasz? Znasz zasady.

- Panie kapitanie, nie może pan tego mu zrobić. Dla niego to...

- Podchorąży Kwiatkowski, zapomina się pan!

- To mnie proszę też wyrzucić.

- To oficjalna prośba?

- Julek - krzyknął Kazik. - Julek, przestań. Trudno, stało się. Panie kapitanie, proszę go nie słuchać. Julek, nie wygłupiaj się.

Przyjechała karetka. Dwaj sanitariusze szybko znaleźli się obok Bednarza. Jeden z nich rozciął nogawkę. Diagnoza kapitana była jak najbardziej słuszna. Unieruchomili nogę i ułożyli kontuzjowanego na noszach.

- Chłopaki - Bednarz zerwał guzik z munduru i rzucił do nich. Podniósł go Kazik Pogoda. - Zabierzcie go do Polski. Po wojnie mi oddacie.

Chwilę potem plutonowy Kazimierz Bednarz został zapakowany do karetki, która odwiozła go do najbliższego szpitala.

- Jaka decyzja, podchorąży Kwiatkowski? - Stanisław Góra patrzył Julkowi głęboko w oczy.

- Przepraszam, panie kapitanie, za niestosowne zachowanie.

- Tak myślałem. Wracamy do zajęć, panowie.

Nie wiedzieli, jak Kaziu Bednarz rzewnymi łzami żegnał się z jednostką.

ROZDZIAŁ 5

- Skąd masz ten samochód? - spytała Rose niepewnie.

Doskonale wiedziała, zresztą jak i wszyscy, że takie maszyny są do dyspozycji najwyższej kadry oficerskiej. Wyłącznie najwyższej kadry oficerskiej. Z wyjątkiem może nagłych wypadków, a ich przejażdżka w żaden sposób jako nagły wypadek zakwalifikowana być nie mogła.

- Pożyczyłem - odparł Kwiatkowski beztrąsko.

- Jak to, pożyczyłeś? - domagała się wyjaśnień.

- Normalnie.

- Przecież nikt by ci nie dał takiego samochodu.

- Może trafiłem na życzliwych ludzi...

- A może wezwą cię za to do raportu karnego. Nie chcę, żebyś miał kłopoty - stwierdziła naprawdę zaniepokojona.

- Kłopoty to moja specjalność, kochana. W końcu mamy podpalić Europę.

- Podpalić Europę?

- Podobno szacowny wujek Winston tak powiedział do pierwszego dowódcy SOE. My przecież jesteśmy polską sekcją SOE. Czyż nie?

- Nie podoba mi się to.

- Co? Płonąca Europa? Neron kiedyś Rzym podpalił.

- I jak skończył.

- Ale mnie nieszczęścia omijają szerokim łukiem. - Uśmiechnął się z samozadowoleniem.

- Wyglupiasz się, Julek. A ja naprawdę się martwię.

Zatrzymał samochód u stóp porośniętego gęstymi krzewami wzgórza. Zgasił silnik i wysiadł.

- Chodź, przejdziemy się.

Otworzył jej szarmancko drzwi od strony pasażera.

- Tutaj? - Spojrzała znacząco na wąską ścieżkę wijącą się dość stromo ku górze. - To chyba bardziej wspinaczka niż spacer.

- Zaręczam, że ci się spodoba.

- Znowu ciągniesz mnie na jakieś wariackie tańce u Irlandczyków?

- Nie tym razem.

Stał przy otwartych drzwiach do momentu, gdy po chwili wahania zdecydowała się

wreszcie wysiąść.

- Jesteś pewny? - wyraziła wątpliwość.

- Najzupełniej.

Wziął ją za rękę i bez ceregieli pociągnął za sobą. Rose zrobiła cierpiętniczą minę, ale pozwoliła się prowadzić, choć bez przekonania.

Uszli może kilkanaście kroków, kiedy Rose się potknęła. Julek złapał ją mocno, ratując przed niechybnym upadkiem na wyboistej dróżce. Dziewczyna przystanęła i przyjrzała się krytycznie czubkowi swojego buta. Był zabrudzony i można było na nim dostrzec wyraźne zadrapanie.

- Gdybyś mnie uprzedził, założyłabym inne buty - powiedziała z kwaśną miną. - Te średnio nadają się na wspinaczkę.

Kwiatkowski roześmiał się i pokręcił głową. Zdążył już się przyzwyczaić do tego, że Rose lubiła narzekać. Zawsze robiła to z niezwykłym wdziękiem, czym zaskarbiała sobie sympatię innych ludzi, a jego w szczególności.

Ni z tego, ni z owego porwał ją na rękę jak małe dziecko. Była drobna i lekka. Nie sprawiło mu to więc najmniejszego problemu. Kobieta krzyknęła zaskoczona i trochę wystraszona. Ewentualny upadek na kamienistą ziemię nie należałby do przyjemnych. Mógłby się nawet skończyć dotkliwym potłuczeniem i powierzchownymi ranami.

- Julek, co ty wyprawiasz?!

- Poniosę cię. Buciki się ucieszą.

- Przestań się wygłupiać. Postaw mnie.

- Uważasz, że nie dam rady?

- Oj, nie bądź dzieckiem.

- Uważasz, że nie dam rady? - powtórzył pytanie dobitnie.

- Nie wiem. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Dasz? Mogę być ciężka - dodała, celowo ważąc słowa.

- Chcesz się założyć?

- A jak przegrasz?

- Polacy nigdy nie przygrywają zakładów... Z angielskimi dziewczynami... - dodał zagadkowo.

- Tak? - Tonem głosu wyraziła powątpiewanie.

Julek dziarsko ruszył pod górę, niosąc wpatrzoną w niego Rose Mitchell. Szedł miarowym krokiem, cały czas tym samym tempem. Przez blisko dwustumetrowy odcinek ani razu nie dał po sobie poznać zmęczenia. Mordercze treningi w jednostce zrobili swoje. Miał

mięśnie ze stali. Kto by pomyślał, że żelazna kondycja przyda się kiedykolwiek w romantycznych okolicznościach.

Od dłuższego już czasu zabiegał o względy pięknej Angielki. Dopiero od niedawna z pełnym powodzeniem. Rose zdążyła już zapalać do niego autentycznym uczuciem. Z każdym dniem, z każdym spotkaniem coraz bardziej zyskiwał w jej oczach ten przystojny Polak. Jeszcze nie do końca zdawała sobie sprawę z faktu, że najzwyczajniej w świecie się w nim zakochała.

Na szczycie wzgórza postawił ją na ziemi. Poczul lekkie zmęczenie, które starał się przed nią za wszelką cenę ukryć. Jednak zmęczenie to było i tak niczym przy naprawdę sporym wysiłku, jakiego właśnie doświadczył.

Ponownie wziął ją za rękę i bez słowa poprowadził za sobą. Przez chwilę o nic nie pytała.

- Gdzie idziemy? - nie wytrzymała.

- Coś ci pokażę.

- Tutaj?

Rozejrzała się wokół. Otaczały ich tylko mniej lub bardziej wysokie krzaki i kilka drzew.

- Zaufaj mi - powiedział tajemniczo.

- Zdaje się, że nie mam wyjścia - mruknęła pod nosem.

Wkrótce stanęli na krawędzi zbocza po drugiej stronie. Na dole rozciągała się doskonale widoczna łąka pokryta zielenią traw. Widok sam w sobie był imponujący, ale Rose czekało jeszcze coś znacznie więcej. Patrzyła w dół zauroczona. Spojrzała na Julka. Na jej twarzy malował się zachwyt pomieszany z dziecinną wręcz radością. Ponownie wbiła wzrok w łąkę u stóp wzgórza. Aż trudno jej było uwierzyć, że to co widzi, jest prawdziwe. Nie odrywając oczu od widoku, wyszeptowała pytanie:

- Jak... dlaczego?

Julek spojrzał krytycznie na niespodziankę, dla której ją tu przyprowadził. Wśród trawy - bardzo wyraźnie widoczny - z ogromnej ilości ciętych kwiatów, pośród których dominowały róże, ułożony był wielki napis: ROSE. Co najmniej kilka osób musiało się nieźle natrudzić, żeby osiągnąć ten efekt.

Julek z pełną satysfakcją stwierdził, że niespodzianka wywarła na dziewczynie niesamowite wrażenie, czyli dokładnie takie, jakiego się spodziewał.

- O coś pytałaś? - zagadnął niewinnie, udając, że nie słyszał jej słów.

- Co to jest tam...? - Ruchem głowy wskazała łąkę.

- Odwiedziłem w nocy parę ogrodów tutejszych notabli. Chłopaki mi pomogli. Antosia to nawet jakiś kundel mało nie dziabnął. - Julek klepnął się znacząco w pośladek. - Pomyślałem, że ci wasi szlachetnie urodzeni nie będą mieli nic przeciwko. W końcu stać ich na nowe. Udało się, jak widzisz.

- Julek, przecież jak się właściciele tych ogrodów dowiedzą, kto ich tak urządził, będziesz miał straszne kłopoty.

- Nic się nie dowiedzą. Kto im powie? Bo ja nie.

- Dlaczego?

- Dlaczego im nie powiem? - Udał, że nie zrozumiał pytania. - Bo ich nie bardzo lubię.

- Wiesz, o co mi chodzi.

Zwlekał z odpowiedzią dłuższą chwilę. Patrzyła mu w oczy wyczekująco. Był to najlepszy moment, żeby wypowiedzieć właściwe słowa. Z każdą sekundą cisza wydawała się nieznośna, ale Julek wciąż milczał. Wpatrywał się w jej piękne, regularne rysy twarzy, pełne, czerwone usta i wielkie, zielone oczy.

- Bo mnie oczarowałaś, bo jesteś piękna i niezwykła. Bo jesteś tego warta - powiedział wreszcie. - Po prostu.

Popatrzyła na niego namiętnym wzrokiem. Wzrokiem mówiącym wszystko to, co zakochana kobieta chce powiedzieć mężczyźnie bez słów. Wzrokiem pełnym oddania i swego rodzaju zachęty. Czekala, aż odgadnie jej myśli i ukryte pragnienia i nie musiała długo czekać. Poszukał jej ust. Nie broniła się. Odwzajemniła pocałunek namiętnie i gorąco. Oboje dali się ponieść emocjom. Julek położył ją na ziemi. Nie oponowała. Rozpiął i rozsunął poły jej munduru. Poczula wszechogarniające podniecenie i potrzebę fizycznego zbliżenia z tym mężczyzną. Julek nie zamierzał zawieść jej oczekiwań.

ROZDZIAŁ 6

Warszawa, rok 1941

Helena Kwiatkowska wsparła się na ramieniu córki. Stały już dłuższą chwilę przed kamienicą zrujnowaną przez bombę lotniczą. Matka załkała bezgłośnie. Łkała z rozpaczony za zabitym mężem i kompletnie zniszczonym domem. Obie patrzyły na krzątających się tutaj ludzi. Rozbiórka budynku przebiegała powoli, ale w miarę sprawnie. Niewiele już zostało do zrobienia. Wszystko co przydatne, dawno już wywieziono. Cegły, metal i resztki mebli znalazły nowe zastosowanie i nowych właścicieli. Dom Kwiatkowskich już praktycznie nie istniał. Gdyby nie krewni spoza Warszawy, nie miałyby, gdzie się podziać.

- Chodźmy, mamusiu.

Marysia pociągnęła ją na bok. Niemiecki oficer robił zdjęcia ruinom i pracującym ludziom. Pokazywał coś koledze i tłumaczył z uśmiechem. Helena nie zauważała ich. Natomiast dziewczyna słała okupantom nienawistne spojrzenia.

- Poczekaj, dziecko, poczekaj.

Matka nie mogła oderwać wzroku od ruin. Była jak w transie. Zdawała się wciąż żywić nadzieję, że w jakiś cudowny sposób rzeczywistość, przed którą stała, zmieni się w nocny koszmar i rozplynie się w nicości, a ona obudzi się w swoim dawnym, przedwojennym, szczęśliwym życiu.

- Mamusiu, musimy iść - nalegała dziewczyna.

Mocniej pociągnęła matkę. Kobieta wreszcie uległa.

Krok po kroku pozwalała się odciągać od miejsca ich rodzinnej tragedii. Fotografujący Niemiec najwyraźniej zakończył sesję, bo obaj z towarzyszem odeszli.

- Tak, tak. - Helena Kwiatkowska wydawała się budzić z letargu. - Chodźmy. Nic tu po nas. Wracajmy do... - Chciała powiedzieć „do domu”, lecz zdała sobie sprawę, że przecież przed momentem widziała, co z ich domu zostało.

Spuściła wzrok. Widać było, że z ogromnym trudem opanowuje emocje. Mocno przycisnęła córkę do siebie.

Poszły w stronę centrum - na Nowy Świat. Życie w stolicy wracało do normy. Gdyby nie wszechobecne mundury i niemieckie pojazdy wojskowe oraz ślady walk sprzed niespełna dwóch lat, można by było pomyśleć, że Warszawa jest wciąż tym samym miastem, które mieszkańcy doskonale znają i pamiętają. Pootwierano sklepy i zakłady usługowe. Ludzie znowu chodzili po ulicach. Znowu jeździły tramwaje i dorożki.

Szły przed siebie - matka i córka. Oglądały swoje miasto oszpecone faszystowskimi

symbolami. Flagi ze swastyką i wizerunki nazistowskiego orła raziły, na początku w sposób nie do zniesienia. Jednak po jakimś czasie przychodziło przyzwyczajenie.

- Co oni zrobili z naszą Warszawą. - Helena z niesmakiem patrzyła na wątpliwej urody hitlerowskie „ozdobniki”. - Ty to widzisz?

- Widzę, mamusiu, widzę. - Marysia mocniej ścisnęła matkę za ramię. - Nie zatrzymuj się. Patrol idzie.

Z naprzeciwka zbliżało się trzech żandarmów. Szli leniwie i pogardliwym wzrokiem obrzucali polskich przechodniów. Czuli się prawdziwymi panami w tym przecież dla nich obcym mieście. Nie zauważali nienawistnych spojrzeń mieszkańców, tak jak nie zauważa się nienawistnego spojrzenia zwierzęcia zamkniętego w klatce i całkowicie zdanego na łaskę lub niełaskę złego człowieka, który je tam uwięził.

Niemcy zatrzymali starszego mężczyznę. Zaczęli go szarpać i wykrzykiwać na całe gardło: Jude! Jude! Mężczyzna próbował coś tłumaczyć. Starał się uśmiechać przymilnie. Pokazywał na swoją kenkartę i cierpliwie mówił... Nagle dowódca patrolu z całej siły zdzielił go pięścią w twarz. Mężczyzna zatoczył się i upadł na chodnik. Zaczęli go kopać po całym ciele. Nieszczęśnik skulił się w pozycji embrionalnej i ramionami próbował chronić głowę. Nie na wiele się to zdało. Ciężkie wojskowe buty raniły dotkliwie. Płyty chodnika zabarwiły się na czerwono. Wreszcie człowiek znieruchomiał. Niemiec splunął na niego i cała trójka leniwie poszła dalej. Starszy człowiek już się nie podniósł.

- Matko Boska! - jęknęła Helena Kwiatkowska. Kręciła głową z niedowierzaniem. Tego typu wydarzenia, których doświadczała Warszawa, coraz bardziej ją przerażały. - Matko Boska! - powtórzyła półszepem. - Do czego to doprowadzi? Że też kary Bożej na nich nie ma. Mordercy.

Marysia ciągnęła za sobą opierającą się matkę. Zdawała sobie sprawę, że Niemcom nie trzeba było wiele, by wykazali nimi niezdrowe zainteresowanie.

- Chodź, mamusiu. Nic tu po nas.

Kobieta ruszyła ze spuszczoną głową. Chyba najgorszy w tym wszystkim był fakt, że inni świadkowie ewidentnego morderstwa w biały dzień nie reagowali. Jakby nic się nie stało.

- Dobrze, że ojciec tego nie doczekał.

Dziewczyna przyspieszyła kroku. Rozglądała się ukradkiem, jakby czegoś się obawiała.

- Mamo, odprowadzę cię na stację i pojedziesz do cioci sama. Dobrze?

- Dlaczego sama? A ty dokąd się wybierasz?

- Muszę jeszcze coś pilnego załatwić. To bardzo ważne.

- Dziecko, znowu? Znikasz na całe dni. Już któryś raz z kolei. Jeszcze nie zdążysz przed godziną policyjną. Martwię się. W co ty się, dziewczyno, wplątałaś?

- Mamuś, w nic się nie wplątałam. Dzisiaj muszę zostać w Warszawie. Przenocuję u Hani Bojarskiej.

- Słucham? To ty na noc nie chcesz wrócić? - Helena Kwiatkowska załamała ręce. - Matko Boska!

- Mamo, ludzie patrzą. Nie trzeba na siebie zwracać uwagi. Dzisiaj muszę zostać w Warszawie. Jutro z rana będę u cioci. Obiecuję.

- Oj, żeby Julek był z nami, nie pozwoliłby ci na takie fanaberie.

- Gdyby Julek był z nami, to by mnie poparł. I to nie są żadne fanaberie.

- Więc co?

- Nie mogę ci, mamo, powiedzieć. Naprawdę. Po prostu pomagamy ludziom, którzy potrzebują naszej pomocy.

- My?

- No, ja, Hania Bojarska i jeszcze parę osób.

- Tylko żebyście od tego pomagania nie skończyły jak tamten na ulicy.

- Bez obawy, mamuś - powiedziała uspokajająco. - Nic nam nie będzie. Jesteśmy ostrożni.

- Najpierw Julek, teraz ty w jakieś konspiracje się bawisz. Wiesz, że jakby ci się coś stało, to bym tego nie przeżyła?

- Mateńko, po pierwsze, to Julek żyje. Ja to czuję. A po drugie, nic mi się nie ma prawa stać.

- Ten na chodniku pewnie też tak uważał.

- Mamo, przestań. Chodźmy szybciej, bo ci pociąg ucieknie.

Na Dworcu Głównym jak zwykle było tłoczno. Wszędzie pełno niemieckich mundurów, głównie oficerskich i młodzieży obojga płci z Hitlerjugend. Kontrast między nimi a grupkami polskich pasażerów był uderzający. Niemcy roześmiani, głośni, aroganccy na tle przygaszonych postaci, spoglądających na okupantów wrogo, ale i z obawą. Przecież zdrowie, a nawet życie niejednego z nich mogło zależeć od chwilowego kaprysu hitlerowskiego oficera, któremu przyjdzie do głowy fantazja, by dostrzec w człowieku znamiona żydowskiej rasy.

Marysia pod rękę prowadziła matkę na peron. Szła z podniesioną głową, starając się ostentacyjnie ignorować obecność żołnierzy rasy panów. Co niektórzy zatrzymywali na jej urodziwej twarzy butne spojrzenia. Dziewczyna była ładna i mimo że według ichniej

ideologii należała do kategorii podludzi, cieszyła męskie oko.

ROZDZIAŁ 7

Garden party u Mary Tate, serdecznej przyjaciółki Rose Mitchell, nie mogło się nie udać. Frekwencja jak zawsze dopisała. Przeważała naturalnie młodzież. Średnia wieku nie przekraczała dwudziestu paru lat mimo obecności niewielkiej grupy starych przyjaciół rodziców dziewczyny, których nie można było przecież nie zaprosić.

Juliusz Kwiatkowski, towarzyszący roześmianej Rose Mitchell, był jedynym Polakiem wśród lokalnej angielskiej śmietanki towarzyskiej. Synowie i córki wysoko postawionych oficjeli, z ogólnie szanowanych rodzin, nierzadko szlacheckich; niemal wszyscy młodzi w wojskowych mundurach, bawili się w typowo angielski sposób - gawędząc w małych grupkach, popijając wino i szampana z lampek, które każdy niedbale trzymał w dłoni.

Rose co jakiś czas witała się ze znajomymi. Większości z nich nie musiała przedstawiać swego przyjaciela. Koleżanki należały do formacji FANY i znały Julka doskonale. Sama gospodyni przyjęcia krążyła gdzieś wśród przybyłych. Co jakiś czas jej postać migłała między gośćmi. Mary raz po raz zatrzymywała się przy którymś. Zamieniała z nim kilka słów, uśmiechała się promiennie i niczym motyl frunęła dalej.

- Kwiat młodej elity brytyjskiego imperium - stwierdził Julek, przyglądając się, żeby nie powiedzieć gapiąc na obecnych.

- Słyszę nutkę sarkazmu?

Dała mu lekkiego kuksańca w bok. Spojrzał na nią, krzywiąc się zabawnie.

- Gdzież bym śmiał. Jeszcze mi któryś do gardła skoczy... albo lepiej któraś.

- Sama mogę to zrobić, jak...

Niski, męski głos dobiegający zza jej pleców nie pozwolił jej dokończyć.

- Rose? Rose Mitchell?

Dziewczyna odwróciła głowę. Wysoki, dystyngowany i charyzmatyczny mężczyzna w wieku mniej więcej sześćdziesięciu lat stał za nią i przyglądał się jej nie do końca pewny, czy zwrócił się do właściwej osoby.

- Milordzie - wyraźnie się ucieszyła na jego widok. - Jaka miła niespodzianka.

- Chodź, moje dziecko. Niech cię uścisknę.

Mężczyzna przecząc wszelkim stereotypom o angielskiej rezerwie, serdecznie uściskał Rose. Postawił ją przed sobą i jeszcze raz się jej przyjrzał.

- Jak ty wyrosłaś i wypiękniałaś.

- Dziękuję, milordzie. - Rose skinęła głową, słysząc komplement.

- Ile to już lat?

- Jak milord był ostatnio u nas, miałam urodziny. Szesnaste.

- Dobry Boże, jak ten czas leci! Mów, co u ciebie, moje dziecko. Jak rodzice?

Dziewczyna spojrzała na Julka i uśmiechnęła się szeroko.

- Pozwoli milord, że najpierw kogoś przedstawię. - Wzięła Kwiatkowskiego za rękę. -

Podchorąży Juliusz Kwiatkowski. Julek, poznaj lorda Jamesa Hiltona.

Mężczyzna z zaciekawieniem wyciągnął do młodzieńca dłoń. Polak odwzajemnił mocny uścisk.

- Miło mi cię poznać, młody człowieku.

- Mnie również - odpowiedział Julek zwyczajową formułką.

- SOE?

Pytanie Hiltona obudziło w Polaku czujność. Dlaczego to akurat go interesowało. Jakiegokolwiek informacje o jednostce, w której się szkolił, nie były jawne.

- Słucham?

- Gdzież indziej by cię Rose wynalazła?

- Nie wiem, czy...

- Julek - wtrąciła się dziewczyna - lord Hilton jest zaufanym Jego Królewskiej Mości i premiera. Nie musisz się bawić w tajemnice.

- Wasz twórca, Hugh Dalton i wasz szef, Frank Nelson, to moi serdeczni przyjaciele. Nie musisz się mnie obawiać, młody człowieku - dodał Hilton lekko rozbawiony obronną reakcją Julka.

- Hmm, jasne - mruknął Kwiatkowski.

- Po nazwisku wnioskuje, że sojusznik z Polski...

- Zgadza się. Polska sekcja SOE.

- Brawo! To wy, jak to stary Winston powiedział: „Macie podpalić Europę”.

Rose wzięła chłopaka pod rękę i przytuliła się do jego ramienia. Gest ten był aż nadto wyrazisty. Hilton miał jeszcze przed oczami małą dziewczynkę sprzed lat, która zasypywała go mnóstwem pytań, gdy czasami odwiedzał ich rodzinę. Teraz wyrosła na piękną kobietę, która znalazła swojego mężczyznę. „Daj jej, Boże, szczęście!” - pomyślał w duchu.

- Rose! - Mary Tate wyrosła przy nich jak spod ziemi. - Już się bałam, że nie przyjdiesz. Musimy zaraz porozmawiać. Milordzie, pan wybaczy, ale porywam Rose. Mamy swoje babskie sprawy do omówienia. Julek, dotrzymasz towarzystwa lordowi Hiltonowi, prawda?

- Naturalnie, jeśli milord sobie tego życzy - potwierdził Kwiatkowski.

- Uciekajcie, dziewczyny - powiedział Hilton pogodnie. - Tylko szybko wracajcie, bo ten młodzieniec długo sam nie będzie.

- Niech spróbuje - powiedziała Rose z udawaną groźbą w głosie.

Kiedy odeszły, zbliżył się do nich kelner z tacą pełną kieliszków z winem. Hilton wziął jeden dla siebie, a drugi podał Julkowi.

- Dawno się znacie? - lord wypił łyk trunku.

- Parę tygodni.

Starszy mężczyzna popatrzył na rozmawiające Mary i Rose. Mary gestykulowała zamasyście i coś przyjaciółce zawzięcie tłumaczyła. Rose zakryła dłonią usta i roześmiała się uradowana.

- Nieźle jak na parę tygodni - skostatował Anglik.

- Nieźle?

- Kompletnie jej zawróciłeś w głowie. Nie zepsuj tego.

- Nie zamierzam.

Tymczasem dyskusja o babskich sprawach, jak zwykle w takich sytuacjach, nabrała rozpędu i nie skończyłaby się prędko, gdyby Rose nie spojrzała na Julka, który - o dziwo - wydawał się być bardzo ożywiony rozmową z Hiltonem. A przecież ci mężczyźni reprezentowali dwa diametralnie różne światy.

- I jak się zaręczyli - mówiła z niesłabnącym entuzjazmem Mary - od razu pojechali do jej rodziców i... - dziewczyna na moment zawiesiła głos - Rose, ty mnie nie słuchasz.

- Słucham, słucham.

Wzrok Mary powędrował w kierunku zajętych rozmową dwóch mężczyzn. Sprawiali wrażenie dobrych znajomych, śmiało wymieniających poglądy.

- Wariujesz, dziewczyno. Na pewno jest tego wart?

Rose westchnęła i spojrzała na przyjaciółkę rozmarzonymi oczami.

Kilkadziesiąt metrów od Angielek Lord Hilton z coraz większym zainteresowaniem słuchał nowo poznanego, polskiego żołnierza, który wypowiadał się z ogromną swobodą, bez najmniejszych kompleksów i do tego niezwykle rzeczowo.

- Uważasz, że Hitler zaryzykuje? - Hilton utkwiał wzrok w rozmówcy.

- Nie ma wątpliwości. Moim zdaniem już bardzo niedługo.

Anglik miał wgląd w regularne raporty wywiadu. Wiedział, że Niemcy koncentrują znaczne siły na granicy sowieckiej. Ten Polak miał świętą rację. Wojna sowiecko-niemiecka wisiała na włosku.

- Swoje opinie opierasz na jakichś informacjach?

- Nie mam żadnych informacji. Wystarczy logicznie pomyśleć. Stalin zmasakrował najwyższą kadre oficerską. Odbudowanie jej zajmie lata. Tuchaczewski to była klasa sama w sobie. Na dzisiaj nie będzie komu powstrzymać Niemców. Atak nastąpi lada chwila i przewali się przez Sowiety jak walec.

I znowu opinia tego młodego podchorążego zadziwiająco trafnie pokrywała się z przewidywaniami najlepszych analityków pracujących dla rządu. Jednak ani przez chwilę nie dał po sobie poznać, jak ogromne wrażenie robi na nim ten młody Polak.

- Uważasz, że Niemcy pokonają Sowietów?

- Hitler to bufon. Będzie chciał zdobyć Moskwę, żeby zaspokoić rozdęte ego. Gdyby skupił się na polach naftowych Kaukazu, wygrałby.

- Nie zrobi tego?

- Nie głównymi siłami. Na mój gust wojna rozstrzygnie się o pola naftowe gdzieś nad Wołgą.

- Wiem, gdzie jest Stalingrad - powiedział Hilton cierpko.

- MI5?

- Wszechstronne wykształcenie na najlepszych brytyjskich uczelniach.

- Jasne.

- No właśnie. Ale wracając do tematu, masz wysokie mniemanie o niemieckiej armii. Ty, Polak? Po kampanii wrześniowej? Co najmniej dziwne. Sam przyznasz...

- To nie ma nic do rzeczy. Żeby pokonać przeciwnika, trzeba go dobrze poznać. Hitler ma takich generałów, jak choćby Guderian w siłach pancernych, ale przede wszystkim Erwin Rommel. Nie wiem, czy miał pan, milordzie, okazję przeczytać jego książkę „Infanterie greift”. Błyskotliwy umysł. Sprzymierzeni będą mieli z nim ogromne kłopoty. Podejrzewam, że już niedługo.

- Interesujące.

- Nazwałbym to inaczej: niepokojące.

Nawet nie zauważyli, kiedy obok nich stanęła Rose wraz z Mary.

- Przykro mi, milordzie, ale zabieram mojego chłopaka. Pewnie zrobił mu pan wykład o wielkiej polityce. Musi trochę ochłonać.

- Wręcz przeciwnie, moja droga Rose. To twój przyjaciel zrobił mi wykład.

- To chyba niemożliwe, milordzie.

- Ależ jak najbardziej. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

- Julek, czy to prawda? - zwróciła się z żartobliwym wyrzutem do Kwiatkowskiego.

- Podchorąży Kwiatkowski wykazał się błyskotliwą analizą sytuacji polityczno-

wojskowej w Europie. - Hilton odpowiedział za Polaka. - Jest więcej do ciebie podobnych tam w Polsce?

- Zdziwiłby się pan, milordzie.

- No to rzeczywiście mamy cennego sojusznika. Jeszcze biorąc pod uwagę wyczyny waszych pilotów rok temu... Tym bardziej.

- Szkoda tylko, że w '39 Anglia o nas nie pamiętała.

Julek nie mógł powstrzymać się od złości. Jako Polak miał prawo mieć żal do Brytyjczyków za ich praktyczną beczynność, kiedy jego ojczyzna zmagiała się z hitlerowską nawałnicą. Rose natychmiast spoważniała. W ten sposób nie mówiło się do człowieka pokroju lorda Hiltona. Takie słowa nie nastrajały życzliwie. Trzeba wiedzieć, kiedy zamilknąć, żeby nie powiedzieć za dużo. Julek, jak widać, nie wiedział. Dziewczyna spodziewała się nieprzyjemnej reakcji ze strony angielskiego szlachcica, lecz ku jej zaskoczeniu, takowa nie nastąpiła.

- Podoba mi się twój przyjaciel, moje dziecko. - Hilton uśmiechnął się życzliwie. - Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, panie podchorąży. Rose zna moją posiadłość. Będzie mi bardzo miło, jak mnie wkrótce odwiedzicie. Mogę na was liczyć?

Nie chodziło tu tylko o fałszywą, angielską kurtuazję. Zaproszenie było jak najzupełniej szczere. Rose i jej towarzysz pożegnali się z lordem, po czym udali się w stronę grupki młodych ludzi, których właśnie zabawiała Mary Tate.

- Jak to zrobiłeś? - strzeliła pytaniem Rose.

- Co?

Julek popatrzył na nią spod wyrażających zdziwienie brwi.

- Lord Hilton jest tobą zachwycony. A jemu zaimponować... Wyczyn graniczący z cudem.

- Chyba trochę przesadzasz.

- Nie przesadzam. Już po pierwszym spotkaniu zostałeś zaproszony do jego posiadłości. Takie rzeczy się nie zdarzają.

- Ciebie zna, i ciebie przede wszystkim zaprosił. Ja jestem do towarzystwa.

- Nie udawaj, Julek. To ja tu jestem do towarzystwa. Tylko pytanie, jak ci się tego udało dokonać.

- Bo widzisz, Rose - uśmiechnął się szelmowsko - mnie nie można nie lubić. Nie zauważyłaś?

- Zauważyłam... Oj, zauważyłam.

Przykleiła się do jego silnego ramienia.

ROZDZIAŁ 8

Julek przystanął na chodniku i obmacał kieszenie.

- Co? - zainteresował się Hanćkowiak.

- Cholera, chyba papierosów zapomniałem - odpowiedział Kwiatkowski. - Na stoliku zostały.

- Samochód nie będzie czekał - zauważył Kazik z miną filozofa. - Pojadą do jednostki bez nas. Trzeba będzie na pieszo posuwać.

- Daj spokój, Julek. - Władek zniecierpliwiał się. - Pewnie już i tak ktoś zabrał. Kazek ma rację. Nie uśmiecha mi się drałować kilkanaście kilometrów.

- Wy idźcie. Zaraz was dogonię. Zapalniczka też została.

Julek zawrócił i potruchtał z powrotem.

- Julek! - zawołał za nim Hanćkowiak.

- Idźcie. Dogonię was.

- I co? - Pogoda skrzywił się jak zwykle.

- I nic, Kaziu, idziemy. Jak nie zdąży, to się przespaceruje.

Kwiatkowski wpadł do knajpki. Odszukał wzrokiem stół. Właśnie siadali przy nim nowi goście. Papierosy i zapalniczka wciąż tam były. Podbiegł i zgarnął przedmioty, zanim ktokolwiek miał szansę się nimi zainteresować. Odprowadził go wzrok jednego z zaskoczonych angielskich gości. Polak wyszedł ponownie na ulicę. Zatrzymał się niedaleko wejścia. Jego spojrzenie przykuła dość nietypowa sytuacja. Nieopodal, może dwadzieścia metrów dalej, trzech roślących funkcjonariuszy MP legitymowało młodą kobietę, która z wyglądu miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Była drobna, o azjatyckich rysach twarzy, biorąc więc pod uwagę, że Japonia była wrogim państwem, dziewczyna wzbudziła podejrzenia.

Tłumaczyła coś Anglikom, gestykulując przy tym rękoma. Pokazywała na drugą stronę ulicy. Julek słyszał, że mówiła całkiem poprawną angielszczyzną, ale z mocnym, wschodnim akcentem. Z tego, co zdołał usłyszeć i zrozumieć, mówiła, że jest tu z kimś, kto poświadczy jej tożsamość. Ten ktoś miał być w sklepie po drugiej stronie ulicy. Mężczyźni wydawali się kompletnie ignorować jej wyjaśnienia. W pewnej chwili ruszyła w stronę jezdni, ewidentnie chcąc im coś pokazać. Jeden z nich złapał ją brutalnie za rękę i mocno szarpnął. Zatoczyła się. Próbowwała uwolnić ramię. Wtedy boleśnie wykręcili jej rękę do tyłu. Funkcjonariusz, trzymający dokumenty zatrzymanej, uderzył ją otwartą dłonią w głowę.

Julek nie chciał się mieszać, ale jego polska natura nie mogła znieść takiego

traktowania kobiety. Poza tym pokusa utarczki z funkcjonariuszami MP okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek. Podszedł do nich.

- Nie wolno tak traktować podejrzanego - powiedział do Anglików ostrym tonem. - Trzech mężczyzn bije słabą kobietę. Może ze mną byście spróbowali?

Mężczyzna, trzymający dokumenty Azjatki, popatrzył na Kwiatkowskiego najpierw z zaciekawieniem, potem z jawną wrogością.

- Polak - wycedził szyderczo, widząc naszywki na mundurze. - Szukasz kłopotów?

- Przestańcie ją szarpać.

- Może powinniśmy zacząć z tobą?

Anglik zrobił krok w jego kierunku. Niby mimochodem położył dłoń na rękojeści pałki. Chciał w ten sposób dać Polakowi do zrozumienia, że nie będzie tolerował wtrącania się w ich pracę, szczególnie kiedy robi to obcokrajowiec, korzystający przecież z ich angielskiej gościnności. Tacy powinni siedzieć cicho i dziękować Bogu, że Anglia łaskawie pozwala im - nieudacznikom z podbitych krajów - na ten zaszczyt, by walczyć w obronie korony brytyjskiej. Widać niektórym pewne oczywiste koncepcje trzeba tłumaczyć ręcznie.

- Może powinniście, angielskie palanty.

Tego już było za wiele dla funkcjonariuszy policji wojskowej. Ich zainteresowanie Azjatką zdecydowanie osłabło. Pojawiła się sprawa daleko ważniejsza. Trzeba było nauczyć tego bezczelnego Polaczka, jak należy odnosić się do brytyjskich wojskowych służb porządkowych. Wychodziło na to, że bardzo potrzebował takiej lekcji. Dobrze trafił, bo oni z niekłamaną przyjemnością mu takiej udzielą.

- To się doigrałeś, Polak. Jesteś aresztowany. Będziesz stawiał opór? - spytał Anglik, w duszy licząc na odpowiedź twierdzącą.

Nie przeliczył się.

- Możecie mi naskoczyć, tłuki - wypalił Julek prowokacyjnie. - Polskiego podoficera nie zaarrestuje byle śmieć.

Można by śmiało powiedzieć, że Anglik wręcz się ucieszył z takiego dictum. Tym sposobem wszelkie formalne przeszkody dla użycia „niezbędnych” środków przymusu zostały usunięte.

- Chłopaki, brać go! - rzucił rozkaz do kolegów.

Sam błyskawicznie dobył pałki i zamierzył się na Polaka. Nie mógł wiedzieć, że szkolenie z elementami jujitsu, które przechodzili żołnierze polskiej sekcji SOE, było bardzo efektywne. W połączeniu z refleksem pięściarskim i szybkością wyćwiczoną na treningach jeszcze w Warszawie okazało się zabójczo skuteczne.

Natychmiastowy unik, i pałka w rękę Anglika przeszła powietrze. Był to idealny moment na błyskawiczną kontrę. Julek nie mógł nie wykorzystać szansy. Celny sierpowy w podbródek spowodował klasyczny nokaut pierwszego z funkcjonariuszy. Drugi dostał kopnięcie w podbrzusze, zanim zdążył przypuścić atak. Od razu odechciało mu się dalszych działań. Chwycił się oburącz za brzuch i osunął na kolana. Trzeci delikwent, najroślejszy, ruszył na Kwiatkowskiego niczym zawodowy zapaśnik. Zamierzał go powalić na ziemię i przygnieść ciężarem ciała, w ten sposób uniemożliwiając mu dalszą obronę. Julek przewidział zamiar przeciwnika. Nauczył się tego na ringu. Nasadą otwartej dłoni wyprowadził z barku uderzenie w podbródek Anglika, który był sporo wyższy, co ułatwiło sprawę. Głowa mu odskoczyła do tyłu. Pociągnęła za sobą górną część tułowia i chcąc nie chcąc mężczyzna stracił równowagę. Zamachał jeszcze rękami, bezskutecznie próbując zachować środek ciężkości na właściwym miejscu. Runął na plecy i tyłem głowy wyrznął o płytę chodnikową.

Wydawało się, że zagrożenie ze strony funkcjonariuszy brytyjskiej MP zostało zażegnane. Julek spojrzał na przyklejoną do muru Azjatkę. Nagle wyrósł koło niej elegancko ubrany mężczyzna. Wyglądał jak encyklopedyczny stereotyp angielskiego dżentelmena. Z trudem powstrzymywał wzburzenie.

Kwiatkowskiemu nie dane było w jakikolwiek sposób zareagować. Usłyszał za sobą krzyk.

- Ręce do góry!!! Na ziemię!!! Już!!!

Odwrócił głowę. Czterech innych funkcjonariuszy MP - diabli wiedzą skąd się tu wzięli - celowało do niego z pistoletów. Sytuacja stała się nie do pozazdroszczenia. Przeciw broni palnej nic nie mógł zrobić. Zresztą skoro przybyły posiłki, najpewniej wezwane przez dżentelmena, nie było sensu się stawiać.

Dwóch Anglików dopadło go od tyłu. Sprawnie wykręcili i skuli mu ręce. Nie bronił się.

Azjatka szarpnęła dżentelmena za rękaw.

- Nie, Tony, nie - powiedziała głośno. - Powiedz im coś. On mnie bronił. Ci z MP mnie prześladowali. Chcieli chyba... - śmiało pokazała palcem na dochodzących do siebie trzech funkcjonariuszy.

- Zaczekajcie, panowie. - Głos dżentelmena zabrzmiał stanowczo. O dziwo, Anglicy bez szemrania wykonali polecenie. Musiał być kimś ważnym. Mężczyzna podszedł do Kwiatkowskiego. - To prawda?

- Nie lubię, jak się niepokoi kobiety. Pan chyba również. Wygląda pan na dżentelmena... - spojrzał za siebie.

- W odróżnieniu od tych kundli.

„Kundle” wyszczerzyły zęby z wściekłości, ale powstrzymały się od działania.

- Nazywam się Tony Pratchett. Pracuję dla lorda Hiltona. Pan kto jesteś?

- Podchorąży Juliusz Kwiatkowski. Jednostka polskiej sekcji SOE.

- Dziękuję za pana postawę. Seiko Hara też pracuje dla milorda. Nie powinni byli jej niepokoić. Ma wszystkie papiery w porządku.

- Pocieszył mnie pan. - Julek wysunął zza pleców skute rękę. - Coś z tym zrobimy?

- Napaść na funkcjonariuszy MP to poważna sprawa. Nie mogę pana teraz uwolnić, ale zajmę się problemem osobiście i dopilnuję, żeby potraktowano pana czyn w szczególnie łaskawy sposób. Może się pan nie martwić. Ma pan moje słowo.

- Słowo angielskiego dżentelmena. Od razu się lepiej poczułem.

Delikatna ironia w tym stwierdzeniu nie umknęła uwadze Tony’ego Pratchetta. Uśmiechnął się tylko z wyrozumiałością. Ach, ci Polacy.

- Jeżeli ten człowiek poskarży się na złe traktowanie - zwrócił się do Anglików - dopilnuję, żebyście do końca wojny mieli najgorszą służbę z możliwych. Wszyscy. Mam nadzieję, że się rozumiemy - dodał łagodnie i spojrział każdemu prosto w oczy.

- Tak jest, panie Pratchett - odpowiedział dowódca.

Od razu widać było, że nie w smak mu konieczność dobrego traktowania aresztanta. Szykował się na coś zgoła innego.

- Do widzenia, panu - Pratchett skinął głową Kwiatkowskiemu. - Mam nadzieję, że spotkamy się w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Kto wie - odparł Polak, delikatnie się uśmiechając.

Trzymający go Anglicy ruszyli z nim do zaparkowanego przy krawężniku jeepa.

Major Tadeusz Żądło świdrował podkomendnego surowym wzrokiem. Kwiatkowski stał w biurze dowódcy w pozycji „spocznij” i czekał na to, co było nieuniknione. W tym niewielkim pomieszczeniu lada chwila rozpęta się burza z piorunami. Tego był pewien.

- Coś ma pan do powiedzenia, panie podchorąży?

- Panie majorze, trzech oprychów szarpało bogu ducha winną kobietę. Miałem nie reagować?

- Zapomniał pan dodać, że tych trzech oprychów miało na sobie mundury brytyjskiej Military Police. Byli na służbie i wykonywali swoje obowiązki, których wykonywanie uniemożliwił im podchorąży Juliusz Kwiatkowski z polskiej sekcji SOE.

- Panie majorze, za pozwoleniem...

- Nie dość tego, ten podchorąży dopuścił się pobicia funkcjonariuszy na służbie. Czy ten podchorąży uważa, że nic się nie stało?

- Panie majorze, ja...

- Kwiatkowski, do jasnej cholery! - Spodziewany wybuch wreszcie nastąpił. - Mógłbyś się łaskawie zamknąć?!

- Tak jest, panie majorze.

- Masz wyjątkowy dar pakowania się w kłopoty, panie podchorąży. Nie wróży to nic dobrego. - Julek chciał się odezwać, ale przełożony zgromił go wzrokiem. Kwiatkowski zamknął przezornie usta. - Ile jeszcze razy będę musiał za ciebie świecić oczami?

- Melduję, że już nigdy.

- Takiś pewny?

- Panie majorze, to była sytuacja wyjątkowa.

- Taak. Wyjątkowa. Bardzo wyjątkowa. I następna też taka będzie.

- Nie będzie następnej, panie majorze.

- Czyli nastąpi cud i podchorąży Juliusz Kwiatkowski stanie się zdyscyplinowanym, wręcz wzorowym żołnierzem.

- Może nie aż tak, ale będzie ze mną zdecydowanie mniej kłopotów.

- Ja ciebie nie rozumiem, Julek. - Major uderzył w inny ton. - Jesteś w elitarnych oddziałach. Jak dobrze pójdzie, to za niedługo skaczesz do kraju. Po jaką cholere robisz wszystko, żeby zmarnować tę szansę?

- To nie tak, panie majorze. Ja...

- Dobra, dobra. Nie chce mi się już tego słuchać. Pamiętaj, jeżeli jeszcze raz... - Zawiesił głos.

Nie musiał kończyć. Kwiatkowski doskonale wiedział, co major miał na myśli.

- Tak jest.

- Zejdź mi z oczu.

- Odmeldowuję się.

Podwładny strzelił obcasami.

ROZDZIAŁ 9

Rose Mitchell weszła na teren jednostki i przyspieszyła kroku. Znała tu już każdy kąt, ale nie wiedziała, gdzie szukać Julka. Harmonogram zajęć wciąż im się ostatnio zmieniał i chłopak mógł być właściwie wszędzie. Chciała się z nim jak najszybciej spotkać i porozmawiać. Chciała, a nawet musiała. Miała przecież do przekazania wspaniałą wiadomość. Wątpliwości nie było żadnych. Lekarz stwierdził u niej pierwsze tygodnie ciąży. Trzeba było teraz jakoś zaplanować wspólną przyszłość. Trzeba sobie odpowiedzieć na całe mnóstwo pytań. Czy Julek zostanie w wojsku? Bo w jednostce specjalnej, która ma być wkrótce przerzucona do Polski, z czym wiąże się ogromne ryzyko, to na pewno nie. Co z nią? Pewnie będzie zmuszona wkrótce opuścić szeregi formacji FANY i wrócić do domu. Pozostaje też kwestia ślubu. Wypadałoby załatwić to jak najszybciej.

Myśli galopowały jej w głowie jedna za drugą. Było tak wiele „ale”, lecz mimo wszystko czuła się bardzo szczęśliwa. Znalazła przecież mężczyznę, z którym z całą pewnością chciała spędzić resztę życia. Ten Polak zdołał zawładnąć jej sercem, duszą i ciałem. Ona sama nie miała nic przeciwko temu.

- Rose! - usłyszała głos z tyłu. - Rose, zaczekaj.

Po chwili Stefan Szusznik, jeden z żołnierzy tutejszej jednostki SOE, zrównał z nią krok. Jak zwykle ucieszył się na jej widok. Wiedziała, że Stefek od długiego już czasu wzdycha do niej po cichu. Przedtem, podobnie zresztą jak inni, próbował ją podrywać otwarcie, ale odkąd pojawił się w jej życiu Kwiatkowski, usunął się na dalszy plan.

- Cześć, Steven - zangielszczyła jego imię, ale on - w odróżnieniu do niejednego Polaka tutaj - nie miał nic przeciwko temu. - Co tam u ciebie?

- Mam coś dla ciebie. - Stefan wyciągnął zza pleców maleńki bukietik świeżych polnych kwiatów. - Proszę. Dla najpiękniejszej FAN-ki.

Uśmiechnęła się ciepło.

- Jakie śliczne. - Przyłożyła bukietik do nosa i wciągnęła zapach. - Dziękuję. Słodki jesteś.

- Wiesz, Rose, w tę sobotę w miasteczku są tańce. Mam dostać przepustkę i pomyślałem, czy nie wybrałabyś się ze mną.

- Bardzo cię lubię, Steve, ale...

- No widzisz. - Wpadł jej w słowo. - Polubisz mnie jeszcze bardziej, jak zobaczysz, jaki ze mnie świetny tancerz.

- Pewnie tak, tylko wątpię, żeby Julkowi się taki pomysł spodobał.

- Julkowi? Julkowi Kwiatkowskiemu?

- Komu by innemu - przytaknęła z uśmiechem.

Na samą myśl o swoim mężczyźnie ciepło jej się na sercu robiło.

- To wy jeszcze razem jesteście? - Stefan wydał się być autentycznie zdziwiony.

- Razem, i to dużo bardziej razem niż wcześniej.

- Przecież już wygrał zakład - wypalił bez zastanowienia.

Rose zatrzymała się. Stefek też przystanął.

- Jaki zakład? - spytała podejrzliwie.

Polak patrzył na nią i nie odpowiadał. Gorączkowo analizował coś w myślach.

- To nic nie wiedziałś? - odezwał się wreszcie.

- Czego nie wiedziałam?

- Nie, nie. Nic. Nieważne. To w takim razie będę już leciał.

Chwyliła go za rękaw munduru polowego.

- Zaczekaj. - Nie pozwoliła mu odejść. - Zacząłeś, to dokończ. O jakim zakładzie mówiłeś?

- Rose, ja nic nie wiem. - Bronił się nieudolnie. - Chłopaki coś tam mówiły, ale pewnie nieprawda.

- Steven, bo się pogniewamy. Powiedz, co wiesz. Inaczej cię nie puszczę.

Rose była stanowcza jak nigdy. Dało się zauważyć, że Szusznik się łamie.

- Tylko słyszałem. - Przygotował sobie grunt. - Mogą to być plotki. I pewnie są. Chcesz się zajmować plotkami?

- Mów wreszcie.

- Dobra. - Spojrzał w niebo. - Podobno Julek z Władkiem Hanćkowiakiem złożyli się, że Julek cię uwiedzie. Chyba trzy tygodnie sobie dali. Wygrany dostawał żołąd od drugiego. Bodajże nawet przez parę miesięcy. Ale mówię, to na pewno tylko takie gadanie.

Angielce nagle zaszumiło w głowie. Ugięły się pod nią nogi. Zatoczyła się. Gdyby nie trzymała się rękawa Stefka, mogłaby upaść.

- Źle się czujesz? - spytał chłopak z troską.

- Nie, nic mi nie jest.

Rose próbowała się uśmiechnąć, ale nie najlepiej jej to wyszło.

- Na pewno? Może zaprowadzić cię do doktora?

- Nie potrzebuję doktora - powiedziała kategorycznie. - Jak zobaczysz Julka, to mu powiedz... Nie, właściwie nic mu nie mów. Muszę iść.

Dopiero teraz puściła rękaw jego moro i odeszła.

- Rose! - zawołał za nią.

Nie odwróciła się. Zatrzepotała tylko palcami na pożegnanie. Z pewnością nie chciała, by zobaczył, jak łzy napływają jej do oczu.

Mary Tate wzięła od przyjaciółki kompletnie mokrą od łez chusteczkę i podała jej suchą. Rose rozplakała się na dobre. Ogarnęła ją bezgraniczna rozpacz. Nie wiedziała, co robić, co z sobą począć. Jej sytuacja wydawała się beznadziejna.

- Posłuchaj, Rose. - Mary wzięła ją za rękę. - Jedno jest pewne. Musisz rozmówić się z Julkiem. Cokolwiek... Nie wiem... Musicie porozmawiać. Przecież nie może cię tak zostawić.

- Mary - Rose podniosła zapłakane oczy - on mnie nie zostawił. On się o mnie założył. Jak o przedmiot. Rozumiesz? Nie byłam dla niego człowiekiem. Nie chcę z nim rozmawiać. Nie mam o czym.

- Nie mów tak. A może Steven rzeczywiście tylko jakieś plotki powtarzał. Może to tylko koszarne nieporozumienie. Może jutro będziesz się z tego śmiała.

Rose ukryła twarz w dłoniach. Nic nie wskazywało na to, że słowa pociechy w ogóle do niej docierają. Była zdruzgotana. Przestała szlochać, jakby zabrakło jej sił. Podniosła załzawione oczy. Po raz setny wytarła je chusteczką.

- Wyobrażam sobie, co o mnie myślisz - powiedziała cicho. - Głupia gęś. Zakochała się w człowieku nie wiadomo skąd i roła sobie nie wiadomo co.

- No co ty, Rose - zaoponowała Mary. - Nie wariuj.

Objęła przyjaciółkę i przytuliła mocno. Tamta chlipnęła jeszcze parę razy, ale zaczęła się uspokajać.

- Mam mu powiedzieć? - spytała wciąż łamiącym się głosem.

- O ciąży? - dopytała Mary. Rose Mitchell skinęła głową. - Nie wiem, chyba powinnaś.

- Cześć, Julek. Trochę mi było przykro, że potraktowałeś mnie jak śmiecia, ale co tam. Chciałam ci tylko powiedzieć...

- Przestań. Proszę cię, przestań. - Mary chwyciła ją za jej drobne ramiona i potrząsnęła nią energicznie. - Tak nie można.

Rose popatrzyła przyjaciółce w oczy.

- Co ja mam robić? Powiedz mi, co ja mam robić?

- Nic. Przynajmniej na razie. Jutro poszukam Julka. Ty zostań i nigdzie nie chodź. Porozmawiam z nim. Jeżeli naprawdę zachował się tak podle, to...

- Przecież jestem dorosła. Wiedziałam, co robię. Może powinnam być ostrożniejsza w

zawieraniu bliższych znajomości.

- Rose, i ty go jeszcze bronisz?

- Może uznasz, że mi kompletnie odbiło, ale ja go Kocham. Najzwyczajniej w świecie Kocham Juliusza. Mimo wszystko. Jesteś w stanie to pojąć?

Mary westchnęła.

- Niestety jestem.

Rose powoli szła wąską ścieżką. Im bliżej szczytu wzniesienia, tym było coraz bardziej stromo. Mijała dobrze znane pnie drzew i krzewy. Jeszcze trochę wysiłku i ponownie stanie nad urwiskiem, z którego rozciąga się widok na całą okolicę, a w szczególności na pamiętną łąkę. Nigdy nie zapomni tego morza kwiatów, z którego zostało ułożone jej imię. Była wtedy taka szczęśliwa. Przeszczęśliwa. Chlipnęła kilkakrotnie na wspomnienie tych chwil. Teraz wydawały się takie nierealne.

Dotarła na szczyt. Podeszła do urwiska i spojrzała w dół. Jej imię dawno już zniknęło. Chyba na znak końca uczucia, które mimo wszystko wciąż płonęło i nijak nie dawało się zdusić.

Poczuła lekki powiew na twarzy. Wiatr zmierzwił jej włosy. Był ciepły i przyjemny. Przymknęła powieki, spod których znowu popłynęły łzy. Zaciśnęła zęby.

- Nie - powiedziała do siebie głośno. - Nie dasz się złamać. Jesteś silna. Rose, weź się w garść.

Właściwie nie wiedziała, po co tu przyszła. Mary mówiła, żeby pojechała do domu. Spotkała się z rodzicami i próbowała im jakoś to wszystko wytłumaczyć. Może powinna. Jednak coś ją ciągnęło w to, jeszcze tak niedawno, magiczne miejsce.

- Jak mogłaś być tak głupia? - spytała siebie. - Tak beznadziejnie głupia.

Wychyliła się ostrożnie i spojrzała w dół. Widok przyprawiał o zawrót głowy. Cofnęła się odruchowo. Nie była typem samobójcy. Grunt na skraju przepaści był kruchy i niepewny. Poczuła, jak jej stopa ześlizguje się z grani.

Następnego dnia jak zwykle Mary Tate zjawiała się w jednostce. Nie zajęła się jednak swoimi codziennymi obowiązkami. Miała coś do załatwienia. Szukała podchorążego Juliusza Kwiatkowskiego. Jak na złość, nigdzie go nie było. Pytała kolegów. Jedni wzruszali ramionami, inni mówili, że właśnie go widzieli „o tutaj, przed momentem”. A Julka nie było.

Wreszcie po dłuższych poszukiwaniach dostrzegła znajomą postać. Podbiegła do niego. Był odwrócony tyłem. Rozmawiał z kolegą.

- Cześć, Julek - powiedziała głośno do jego pleców.

Odwrócił głowę.

- Mary - ucieszył się na jej widok. Był w znakomitym nastroju. - Nie widziałaś gdzieś Rose? Muszę jej coś bardzo ważnego powiedzieć - dodał tajemniczo.

- Rose nie chce z tobą rozmawiać - stwierdziła bez ogródek. - Ani teraz, ani w przyszłości. Przynajmniej najbliższej.

Ponieważ powiedziała to śmiertelnie poważnie, Kwiatkowskiego zamurowało. Słowa kobiety nie brzmiały jak żart. Poza tym oczami ciskała pioruny.

- O czym ty mówisz? - spytał Julek ogłupiały.

- O czym? A jak tam zakład? Wygrałeś?

- Jaki zakład? - Kwiatkowski sprawiał wrażenie, że naprawdę nie rozumie, o co jej chodzi.

- Jaki? A że zdobędziesz Rose Mitchell i dostaniesz za to pieniądze.

Julek pojął problem. Nieszczęsny zakład z Hanćkowiakiem wyszedł na jaw. Nie pomyślał, że prędzej czy później Rose i tak się dowie. Nie było to już ważne. Zakład nie miał najmniejszego znaczenia. Nie w sytuacji, gdy dziewczyna stała się dla niego najważniejszą kobietą w życiu. Z tonu rozmowy nietrudno było wyczuć, że stało się coś niedobrego. W sumie niewinne męskie zabawy nagle stały się zarzewiem poważnego konfliktu między nimi. Będzie teraz musiał wytłumaczyć Rose, a pewnie najpierw Mary, że ten głupi zakład sprzed kilku miesięcy, to zupełnie nieistotny drobiazg. Problem w tym, że dla kobiet drobiazgi potrafią urosnąć do monstrualnych rozmiarów. To akurat wiedział.

- Jezu, Mary, już myślałem, że coś się stało - wydał z siebie sztuczny oddech ulgi.

- Uważasz, że nic się nie stało?

- Tamto, to były zwykłe wyglupy Dawno i nieprawda. - Starał się bagatelizować całą sprawę. - Bez znaczenia. Ale coś ci pokażę.

Mary nie dała się łatwo przekonać. Patrzyła na niego krzywo. Czyżby chciał ją czymś zwieść? Julek sięgnął do kieszeni munduru. Wyciągnął starannie złożoną białą chusteczkę. Odwinął ją, wziął w palce złoty pierścionek i podał Mary.

- Co to jest? - Mary lekko złagodziła ton.

- Pierścionek zaręczynowy. - Julek patrzył na klejnot z przyjemnością. Był piękny. Nie miał cienia wątpliwości, że Rose się spodoba. - Dzisiaj poproszę Rose o rękę. Myślisz, że się zgodzi?

Mary wzięła pierścionek do ręki. Istotnie był przepiękny.

- Chcesz się Rose oświadczyć?

- Kocham ją. Chcę z nią spędzić życie. Myślę, że ona też. Uważasz, że to nie wystarczy?

- Rose jest w ciąży.

- Co?

- To co słyszałeś, Polaku. Będziesz ojcem.

Julek stał jak wryty, ale trwało to tylko chwilę. Zaraz potem porwał ją w ramiona i wyciskał najserdeczniej, jak tylko potrafił. Zaskoczona Mary nie była w stanie nic powiedzieć. Z trudem wyrwała się z objęć.

- Gdzie ona jest? - spytał Julek wniebowzięty. - Muszę z nią porozmawiać. Muszę jej wszystko wytłumaczyć. Gdzie ona jest? - Gorączkował się Julek..

- Nie ty.

- A kto?

- Ja. Zrobię to dużo lepiej niż ty. Odkręcę wszystko, coś nakręcił z Władkiem. Potem możesz się oświadczać. Będziesz miał dużo większe szanse.

- Dobrze. Skoro mówisz, że tak będzie lepiej... Będziesz wiedziała, co jej powiedzieć? Najważniejsze, żeby zrozumiała, że ja...

- Julek, kobieta z kobietą dużo prędzej się dogada. Możesz mi wierzyć.

Nagle zobaczyli, że w ich kierunku, wykrzykując coś, biegł Edek Ignaczak, kolega Julka. Był wyraźnie podenerwowany.

- Julek, Rose miała wypadek. Jest w szpitalu w ciężkim stanie.

- Co?! - Kwiatkowski wyrzeszczał absurdalne pytanie. - Gdzie? Jak?

Nie zauważyli, kiedy podszedł do nich angielski kapitan, George Finn, prowadzący szkolenie na temat metod dywersji.

- Kwiatkowski, Ignaczak. Panowie podchorążowie potrzebują specjalnego zaproszenia na zajęcia? Może na piśmie wystosować?

- Panie kapitanie, właśnie się dowiedzieliśmy, że Rose Mitchell miała wypadek.

- Słyszałem - powiedział kapitan. - Nie ma co robić sensacji. Za minutę chcę was widzieć w baraku.

W Kwiatkowskim narastał bunt. Nie mógł znieść jawnej nonszalancji kapitana. Przecież nie chodziło o byle kogo, tylko o Rose Mitchell. Nawiasem mówiąc jego rodaczkę.

- Tak jest, panie kapitanie. - Edek Ignaczak przyjął rozkaz do wiadomości.

- Kwiatkowski?

Julek zacisnął zęby.

- Wal się, Finn - warknął.

- Słucham?! - Kapitan poczerwieniał ze złości.
- Chodź, Mary. - Zignorował angielskiego oficera. - Idziemy do szpitala.
- Podchorąży Kwiatkowski! - zawołał za nim Finn.

Julek nawet nie odwrócił głowy. Uniósł rękę i wystawił dwa palce, symbol victoria, lecz Anglicy rozumieją ten gest zgoła inaczej, o czym Polak doskonale wiedział. Gest ten mający swój rodowód w czasach średniowiecznych angielskich łuczników, był zdecydowanie obraźliwy. Kapitan zacisnął pięści w bezsilnej złości. Nie pierwszy raz miał kłopoty z tym skądinąd znakomitym żołnierzem. Wiele razy puszczał jego wybryki w niepamięć, ale tym razem miał już serdecznie dosyć. Postanowił, że złoży na niego oficjalny raport.

Na szpitalnym korytarzu można było spotkać zarówno cywili, jak i ludzi w mundurach - mniej więcej w tej samej proporcji. Nikogo więc nie dziwił widok przechadzającego się nerwowo mężczyzny w mundurze polowym.

Julek czekał na wiadomości. Powiedziano mu jednie, że stan Rose jest bardzo ciężki i że najbliższe godziny będą decydujące. Dziewczyna ponoć co jakiś czas odzyskiwała na chwilę przytomność. To dobrze wróżyło.

Mary Tate była u niej. Nie wiedział, czy zdołała z Rose zamienić choćby słowo. Nic nie wiedział. Próbował czegokolwiek dowiedzieć się od chodzących tam i z powrotem lekarzy, ale tylko kręcili głowami. Nie byli w stanie nic konkretnego powiedzieć. Kazali czekać. Czekać i jeszcze raz czekać. A czekania Kwiatkowski miał już powyżej uszu.

Wreszcie, po ponad godzinie, w drzwiach sali intensywnej terapii pojawiła się Mary. Podeszła do Julka z grobową miną.

- I co? - spytał rozgorączkowany. - I co?
- Lekarze robią, co mogą, ale niewiele mogą.
- Rany boskie! - Polak złapał się za głowę. - Rany boskie! Jak to się w ogóle stało?
- Była na wzgórzu, gdzie jej pokazywałeś imię z kwiatów. Obsunęła się ziemia i...
- Mogę ją zobaczyć?

Nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi sali i weszła. Postąpił zaraz za nią. Ujrzał Rose leżącą z zamkniętymi oczami na metalowym, szpitalnym łóżku. Gdyby nie straszliwie poobijana twarz i głowa można by sądzić, że śpi. Z podłączonej kroplówki kapał przezroczysty płyn jak lzy lejące się nad jej nieszczęsnym losem.

Usiadł na stołku i wziął ją za rękę. Nie zareagowała. Była nieprzytomna.

- Lekarze mówią, że słyszy, jak się do niej mówi - poinformowała go Mary.

Rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Rose, ukochana, nie zostawiaj mnie. Musisz żyć. Co ja bez ciebie pocznę? Rose, kocham cię. Słyszysz? Słyszysz?!

Nie otworzyła oczu. Nie nastąpiło cudowne ozdrowienie. A przecież cuda się zdarzają. Mary poprosiła lekarza prowadzącego o rozmowę i zapytała o rokowania. Usłyszała, że szanse dziewczyny na przeżycie są zerowe. Rose Mitchell gasła. Kwiatkowski nie przyjmował tego do wiadomości, ale takie były fakty. Zbyt wiele obrażeń wewnętrznych. To miała być tylko kwestia czasu.

Ale Julek wciąż miał nadzieję. Wierzył, że wszystko będzie jak dawniej, Rose wyzdrowieje, a oni będą razem szczęśliwi do końca życia. Przypominał sobie wspólnie spędzone chwile. Momenty, kiedy przekomarzał się z nią dla żartu. Udawała nadąsaną i musiał ją przeproszać. Jeszcze raz przeżywał ich długie spacerunki, rozmowy o przyszłości i godziny spędzone w wesołym towarzystwie Polaków. Chwil tych mimo czasu wojennego było całkiem sporo. Wystarczająco, by uczucie, jakim ją obdarzył, stało się dojrzałe i niewzruszone jak skała. I teraz to wszystko miałyby tak nagle się skończyć? Niemożliwe.

- Mówiłam jej, żeby nigdzie nie chodziła - szepnęła Mary. - Żeby pojechała do rodziców i spróbowała jakoś z tym wszystkim dojść do ładu. Gdyby mnie posłuchała...

Kobiecie głos się załamał. Wyciągnęła chusteczkę i wytarła załzawione oczy.

- Ktoś zawiadomił jej rodziców?

- Dzwonili ze szpitala do lokalnego magistratu - odparła. - Powiedzieli, że wyślą kogoś do posiadłości Mitchellów. Nie wiem, czy zdążą dzisiaj dojechać. Boże, żeby nie było za późno.

- Mary, nawet się nie waży tak myśleć. Kryzys minie i Rose wyzdrowieje. Rozumiesz? Tak ma być i koniec.

Stanowczość tych słów i bijąca od Julka wiara sprawiły, że Angielka zaczęła płakać. Znała prawdę i wiedziała, jakie Rose ma szanse. Ten młody człowiek w swojej nieświadomości zakładał coś, co się nie mogło zdarzyć.

- Obyś miał rację, Julek - powiedziała przez łzy. - Obyś miał rację.

- Mam rację - stwierdził nie znoszącym sprzeciwu głosem. - Udało ci się choć cokolwiek jej wytłumaczyć?

- Tak.

- I co?

- Zrozumiała. Myślę, że jej ulżyło.

- No widzisz. Teraz to już musi być dobrze.

Przeniósł wzrok na okno. Na zewnątrz zrobiło się ponuro. Zbierało się na deszcz.

Jakby aura uznała, że nie wypada inaczej w obliczu jego nieszczęścia. Patrzył na kołyszące się na wietrze korony drzew. Takie majestatyczne. Niemi świadkowie ludzkich losów.

Nagle poczuł, jak dłoń Rose drgnęła. Spojrzał na nią z nadzieją. Miała otwarte oczy. Patrzyła na niego łagodnie.

- Rose - Julek nie posiadał się z radości. - Kochana moja! Wszystko będzie dobrze.

Czule przyłożył jej dłoń do swego policzka. Kobieta próbowała się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego ledwie dostrzegalny grymas. Mary szybko podeszła z drugiej strony łóżka.

- Rose, lekarze mówią, że to nic poważnego - skłamała. Niezłomna wiara Julka zaczynała się jej udzielać.

- Miałaś bardzo dużo szczęścia. Jesteś okropnie potłuczona, ale to wszystko przejdzie.

Rose Mitchell otworzyła usta. Z niewyobrażalnym trudem, ledwie słyszalnym głosem zwróciła się do Julka.

- Pamiętaj...

- Co mam pamiętać, kochanie? - Nachylił się nad nią. - Co pamiętać?

- Mnie... pamiętaj - wydusiła z siebie ostatkiem sił.

- Najdroższa, nie mów tak, bo zacynam się martwić. Jak wyjdiesz ze szpitala...

Dziewczyna zamknęła oczy. Zaraz potem jej głowa opadła na bok. Przestała oddychać. Mary wybiegła po lekarza. Kazano im wyjść. Po jakimś czasie, który dłużył się niemiłosiernie, wyszedł do nich lekarz. Znacząco pokręcił głową. Wiedzieli już. Rose Mitchell odeszła.

ROZDZIAŁ 10

- Finn złożył na ciebie raport - powiedział oschle major Tadeusz Żądło.

Była to już kolejna wizyta Julka w gabinecie majora. Można by powiedzieć, że zaczyna być tutaj stałym gościem.

Oficer wstał zza biurka.

- Domyślam się - powiedział Kwiatkowski krótko. - Z całym szacunkiem, ale kapitan Finn to angielski palant.

- I tylko tyle masz mi do powiedzenia?

- Panie majorze, sytuacja była wyjątkowa, a kapitan...

- Wyjaśnijmy coś sobie, Julek. - Ku zdumieniu podchorążego major bodaj po raz pierwszy w życiu „odpuścił sobie” oficjalny ton zwracania się do podwładnych.

- Słyszałem, co się stało i w jakiś tam sposób ciebie rozumiem. Ale jesteś żołnierzem. Przede wszystkim żołnierzem. Wszystko inne to sprawy drugorzędne. Jest wojna i nie możemy sobie pozwolić na tak rażące pogwałcenie dyscypliny. Niewykonanie rozkazu w warunkach bojowych oznacza śmierć twoich towarzyszy.

- Panie majorze, nie byliśmy w warunkach bojowych.

- Julek, jesteś niezdyscyplinowany. Ciągłe się w coś pakujesz. Ten ostatni incydent... Już wtedy bym cię nie wybronił, gdyby nie wstawiennictwo tego Anglika od lorda Hiltona.

Słowa „już wtedy” zabrzmiały złowrogo. Dlaczego major wracał do zamkniętej sprawy?

- Panie majorze, postaram się, żeby nie było więcej ze mną żadnych kłopotów.

- Najgorsze, że jesteś świetnym żołnierzem. Chyba najlepszym, jakiego miałem. - Żądło zdawał się nie słyszeć zapewnień podwładnego, a przynajmniej tak to wyglądało.

- I tak pozostanie.

- Nie musisz już się starać, Julek.

- Nie rozumiem.

- Zapadła decyzja w twojej sprawie.

- Jaka decyzja?

- Ostateczna. Nie było komu się tym razem za tobą wstawić, a ja jestem „za krótki”.

- Nadal nie rozumiem, panie majorze.

Kwiatkowskiego mocno zaniepokoiły te słowa. Co major chciał przez to powiedzieć?

- Zostajesz usunięty z jednostki. W trybie natychmiastowym.

- Jak to „usunięty”?

- Może lepiej brzmi „przeniesiony”. Do sił lądowych.

- Nie może pan mi tego zrobić.

- Ja nic nie mogę. Gdyby to ode mnie zależało, męczyłbym się z tobą dalej. Niestety, dostałem wyraźny rozkaz, który muszę wykonać. Jeszcze dzisiaj wyjedziesz. Masz parę godzin, żeby się spakować i pożegnać z chłopakami.

Kwiatkowskiemu świat zawalił się po raz drugi. Najpierw odeszła ukochana kobieta, a teraz diabli wzięli wszystko to, czemu poświęcił tyle sił. Niniejszym szansę na rychły powrót do kraju wzięły w łeb. Zdawał sobie sprawę, że decyzja jest ostateczna i nieodwołalna. Będzie czekał na zakończenie wojny w jakiejś nikomu niepotrzebnej jednostce.

- Mogę się odmeldować? - spytał neutralnym tonem.

Postanowił do końca trzymać fason.

- Idź. I oby ci się to wszystko jakoś ułożyło.

- Jeszcze jedna rzecz, milordzie. - Tony Pratchett stał z plikiem dokumentów nad pochylonym nad papierami lordem Hiltonem. - Ta sprawa...

Hilton spojrzał na swojego zaufanego człowieka.

- Jaka sprawa?

- Ten wypadek z Rose Mitchell.

- Straszne nieszczęście. - Lord przetarł dłonią zmęczoną twarz. - Nie wiem, jak Mitchellowie się po tym pozbierają. Ale w czym problem?

- Jej... zdaje się, że już narzeczony. Nie wiem, czy się nawet zaręczyć zdążyli. Został wyrzucony z polskiego SOE.

- Czekaj, to ten, z którym Rose była na party?

- Ten sam.

- Cholernie błyskotliwy gość. Analityczny umysł. Opowiadał o możliwości ataku Niemiec na Sowiety. Byłem zdumiony jego wywodem. Nasz wywiad wszystko potwierdził.

- Właśnie. Moim zdaniem szkoda człowieka.

- Za co go wyrzucili?

- Ogólnie niesubordynacja, ten incydent z funkcjonariuszami MP...

- No tak. Poważna sprawa.

- Wtedy stanął w obronie Seiko, córki naszego ogrodnika. Nasi nie mieli prawa jej tak traktować.

- To też prawda. Co proponujesz, Tony?

- Zaopiekować się nim. Inaczej się zmarnuje.

- Sugerujesz, żeby zajął się nim nasz nieoceniony ogrodnik?
 - Lepiej nie mógłby trafić. Uważam, że ten Polak może nam się bardzo przydać w przyszłości.
 - Mimo swojej krnąbrnej natury?
 - Polacy tak mają. Ale nie przeszkadza im to być najlepszymi żołnierzami na świecie. Lord Hilton przyjrzał się Tony'emu z zaciekawieniem.
 - Takie słowa w ustach Anglika z krwi i kości? Pomyślałby kto, że jakaś Polka ci w głowie zawróciła.
 - Nie, milordzie. Po prostu wiele widziałem i wiele słyszałem.
 - Ale wojnę we wrześniu przegrali.
 - Z niewielką pomocą sojuszników... a i owszem.
 - Niech cię licho, Tony. - Roześmiał się arystokrata. - Chyba za często ostatnio bywałeś w polskiej sekcji SOE.
 - Mam go sprowadzić?
 - Dobrze. Niech nasz ogrodnik otoczy go troskliwą opieką. Ale jak Polak się nie zgodzi?
 - Zgodzi się. Postaram się być bardzo przekonujący.
 - Ty to potrafisz, Tony. Coś jeszcze?
 - Nie. Całą resztą spraw sam się zajmę. Proszę nie zapomnieć, że o siódmej czeka samochód.
 - A tak, spotkanie u Ministra Spraw Zagranicznych. Ciekawe, co mu się z Amerykanami udało załatwić.
- Tony Pratchett skinął głową na pożegnanie i opuścił gabinet lorda Hiltona.

ROZDZIAŁ 11

- Haniu, ja też chcę coś robić. - Marysia Kwiatkowska przystanęła i wzięła przyjaciółkę za rękę.

Hania Bojarska rozejrzała się po parku. Na szczęście nikogo nie zainteresowało pełne emocji zachowanie jej przyjaciółki.

- Przecież robisz - zwróciła jej uwagę półgłosem.

- Malowanie po murach? Haniu, zastanów się. To dobre dla dzieciaków. Ja chcę coś robić naprawdę.

Hania doskonale wiedziała, o co przyjaciółce chodzi. Wszystko pięknie, ale robienie czegoś „naprawdę” w czasach okupacji wiązało się z ogromnym ryzykiem. Marysia najprawdopodobniej nie zdawała sobie sprawy z tego, co może jej grozić, jeśli podejmie pewne decyzje. Katownie na Pawiaku, straszliwe przesłuchania na gestapo i całkiem realna groźba bolesnej śmierci z rąk faszystowskich siepaczy. Czy mogła przyjaciółkę na to wszystko narażać? Może trzeba jej było wybić z głowy walkę z okupantem?

- Maryniu, posłuchaj, to nie takie proste.

- Wiem, ale...

- Nie takie proste, jak ci się wydaje.

- To co, mam siedzieć bezczynnie, jak wszyscy coś robią?

Hania Bojarska westchnęła głośno. Z jednej strony świetnie rozumiała przyjaciółkę. Ale знаła Marysię. Dziewczyna była delikatna i wrażliwa. Miała prawo wciągać ją w podziemną działalność, gdzie życie ludzkie każdego dnia wisiało na włosku?

- Marysiu, to nie tak.

- Więc jak?

- Wiesz, co robią z naszymi na gestapo?

- Właśnie dlatego chcę walczyć. Co by Julek powiedział, gdybym wojnę w domu u cioci Anieli przesiedziała?

- Nic by nie powiedział. Odetchnąłby z ulgą.

- Nie znasz go.

- Ale znam ciebie.

- Haniu, nie rób mi tego. Musisz mi pomóc.

Wyszły z parku na ulicę. Ludzie mijali je w pośpiechu.

Gazeciarz głośno zachwalał swój dziennik, popularnie zwany „gadzinówką”.

- Widzę, że nie odpuszczisz.

- Czyli co?

- Czyli jutro cię gdzieś zaprowadzę. Mam nadzieję, że nie będę tego żałowała.

- Nie będziesz - zapewniła ją uradowana Marysia. - Gwarantuję, że będzie ze mnie pożytek.

- O to się nie boję.

- Tylko?

- Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybyś wpadła w łapy gestapo.

- Równie dobrze mogę wpaść w łapance.

- Wiesz, że to nie to samo.

Kolejny dzień był dla Marysi Kwiatkowskiej bardzo ważny. Punktualnie stawiała się na spotkanie z przyjaciółką. Hania bez słowa poprowadziła ją przez ciemne podwórko otoczone odrapanymi kamienicami. Przy suterenie przystanąła, rozejrzała się uważnie i zapukała w umówiony sposób. Poczekały chwilę. Drzwi uchyliły się. Młody mężczyzna uśmiechnął się na ich widok.

- Zachodźcie, dziewczyny - otworzył szerzej. - Jestem Tadek Pluciński - wyciągnął do Kwiatkowskiej rękę.

Mężczyzna był wysoki. Jego ostre rysy twarzy przyciągały wzrok. Niedbale zaczesana długa grzywka opadała zawadiacko na oko.

- Miło mi poznać, Maria Kwiatkowska.

- Hania mówiła, że chcesz się przyłączyć. - Od razu bez pardonowo przeszedł na „ty”, co mogło się nie podobać.

Dziewczyna nie okazała niezadowolenia. W końcu to ona czegoś od niego chciała. Poza tym słyszała, że w organizacji obowiązuje jedynie hierarchia wojskowa.

- Bezczytność w dzisiejszych czasach to wstyd.

- Ciekawe podejście - stwierdził sceptycznie.

Ciemny pokój surowo - wręcz prowizorycznie - urządzony, już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie niezamieszkanego przez stałego lokatora, choć w razie potrzeby stara rozpadająca się kanapa mogła służyć za posłanie na nocleg.

Marysia rzuciła kilka ciekawych spojrzeń wokół. To, co zobaczyła, nie spodobało jej się. Prymitywny wystrój raził wrażliwe oko. Tadeusz dostrzegł jej krytyczny wzrok.

- Mieszkasz tu? - spytała niezobowiązująco.

- Czasami. Czasami ja, czasem kto inny. Zależy jak wypadnie. Generalnie prowizorka. Siadajcie. - Marysia z przyjaciółką usadowiły się na zaskakująco wygodnej kanapie. Tadeusz postawił sobie krzesło naprzeciwko dziewcząt. - Powiedz mi coś o sobie, Marysiu.

Dziewczynę zaskoczyła ta prośba. Spodziewała się konkretów. Kiedy zacznie, jakie zadanie dostanie na początek w ramach sprawdzenia. Ale nie czegoś takiego.

- Nie wiem, co byś chciał wiedzieć...

- Przekonaj mnie, że powinniśmy ci zaufać.

- Słuchaj, Tadek - włączyła się Hania również zdziwiona wyraźną rezerwą kolegi. - Za Marysię rękę głową. Nie musisz się obawiać, że...

- Haniu - zwrócił się do niej grzecznie, ale stanowczo - pozwolisz, że twoja przyjaciółka będzie mówiła za siebie?

- Tak, ale...

- Haniu, bardzo proszę. - Nie pozwolił jej dokończyć. - To nie są żarty. Walka podziemna wymaga poświęceń. Czasem największych. Marysia musi dokładnie wiedzieć, na co się porywa.

- Wiem - wtrąciła się Kwiatkowska. - Mój brat we wrześniu '39 walczył w obronie Warszawy. Barykada na Woli. Mój dom zbombardowali hitlerowcy. Ojciec zginął pod gruzami. Niedawno na ulicy widziałam, jak szwabski patrol w biały dzień przy ludziach zakatował człowieka. Uważasz, że mam nad tym wszystkim przejść do porządku? Poczekać na prowincji, aż wojna się wreszcie skończy? Ja tak nie uważam.

- Bardzo to chwalebne. - Zaczynała mu się podobać ta zdeterminowana młoda osoba i to nie tylko z charakteru. Była niezwykle urodziwa. - Ale czy na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, co z naszymi robią na gestapo?

- Skłamałabym, jeśli powiedziałabym, że się nie boję. - Zawiesiła głos na moment. - Ale nie chcę, żeby inni za mnie nadstawiali karku. To nie jest w porządku. To również moja wojna. Na przykład właśnie z gestapo.

- W takim razie, witaj w szeregach państwa podziemnego.

Marysia uśmiechnęła się zadowolona.

- Nie zawiodę.

- Nie wątpię. Na początku przez jakiś czas będziesz pracowała ze mną. Postaram się wdrożyć cię w robotę.

- Dobrze.

Nie mogła powiedzieć, żeby jej się nie podobała perspektywa współpracy z Tadeuszem. Robił wrażenie. Może oschły i surowy na zewnątrz, ale miał w sobie to coś, czego kobiety w mężczyźnie zawsze szukają.

Posiadłość lorda Hiltona była ogromna. Zielone łąki, zagajniki i skupiska krzewów

rozciągały się po horyzont. Idealne miejsce do przejażdżek konnych. Pratchett kazał Julkowi zgłosić się do jakiegoś człowieka pracującego z tyłu rezydencji, któremu miał w czymś pomóc. Kwiatkowski znalazł za domem szerokie połacie doskonale utrzymanych bujnych ogrodów. Dywany kwiatów w równych, jednokolorowych rzędach zlewały się odcieniami z sąsiadującymi, tworząc wspaniałą mozaikę. Okalające ogród starannie przyszczyżone zarośla dopełniały zachwycającego widoku, który nikogo nie mógł pozostawić obojętnym.

W głębi ogrodu Polak dostrzegł pochyloną nad grzędami szczupłą postać. Nie było w pobliżu nikogo innego, więc uznał, że zagadnie ogrodnika. Pewnie będzie wiedział, gdzie ma iść i kogo konkretnie szukać.

Stał nad pochłoniętym pracą człowiekiem.

- Jest tu ktoś jeszcze? - powiedział do pleców ogrodnika.

Mężczyzna przestał pielnić grządki i wyprostował się. Niespodzianka. Julek miał przed sobą autentycznego Azjatę. Kolejnego po dziewczynie, która jakiś czas temu była powodem nieszczęsnego zatargu z funkcjonariuszami MP. Mężczyzna był zaawansowany wiekiem, choć właściwie u Azjatów precyzyjne określenie lat najczęściej stanowiło dla Europejczyka dość trudny do rozwiązania problem.

- Słucham? - Azjata miał silny, z całą pewnością nie starczy głos.

- Mam tu kogoś znaleźć. - Julek powiódł wzrokiem po ogrodzie. - W czymś pomóc.

- Tylko ja tu jestem. - Azjata wzruszył ramionami. - Tony cię przysłał?

- Taak. Ale raczej nie do robót ogrodowych.

- Miałem nadzieję, że pomożesz mi przy kwiatkach. Wymagają wiele pracy. Są delikatne jak...

- Nie obraż się, ale nie skorzystam - stwierdził Julek cierpko.

- Nie? - Azjata wydawał się całkowicie zaskoczony.

- Niestety.

- Mogę spytać dlaczego?

Julek uśmiechnął się powątpiewająco.

- A co, wyglądam na kwiaciarkę?

- Pewnie nie.

- Czyli rozumiemy się.

- Kwiaciarką nie jesteś. To już wiem. A kim?

- Podchorąży Juliusz Kwiatkowski, polska sekcja SOE. Jestem żołnierzem.

- Ach, tak. - Ogrodnik popatrzył wokół. - Widzisz tu gdzieś jakichś wrogów? Ja nie bardzo.

- O co ci chodzi?

- Marny tu pożytek z żołnierza.

- Domyślam się.

- Możesz mi chociaż podać sekator? - Azjata ponownie nachylił się nad grządkami. -

Muszę przyciąć parę łądyg.

Julek rozejrzał się wokół siebie.

- Gdzie jest?

- Tam na murze. - Ogrodnik pokazał szczyt wysokiej na pięć, może sześć metrów ściany, gdzie faktycznie leżało narzędzie ogrodnicze.

- Drabinę tu macie?

- Nie mamy. Ale po co ci drabina?

Azjata ponownie się wyprostował i spojrzał na Kwiatkowskiego z autentycznym zainteresowaniem.

- Co się wygłupiasz. Fruwać jeszcze się nie nauczyłem.

- Hmm. Może i tak.

Ni z tego, ni z owego ogrodnik podbiegł do szerokiej na nie więcej niż dwa metry przestrzeni między murem a ścianą budynku. Podskoczył, prawą nogą odbił się od muru na wysokości ponad metra, powtórzył ten sam ruch na ścianie budynku, i sekundę potem bez większego problemu schwycił sekator, a następnie zeskoczył na ziemię, lądując zwinnie jak kot. Minał osłupiałego swoim wyczynem Julka, wrócił do grządek i zabrał się jakby nigdy nie za robotę.

- Nieźle - Polak wy dobył z siebie komentarz. Starał się zamaskować fakt, że był pod wrażeniem. - Jak na ogrodnika, oczywiście.

Mężczyzna odłożył sekator i popatrzył na kwiaty z czułością.

- Piękne, nieprawdaż? Takie delikatne. Kwintesencja piękna.

- Ciekawie skomponowane.

Azjata popatrzył na żołnierza.

- Tak sądzisz?

- Pratchett kazał mi do ciebie iść. Nie?

- To prawda - potwierdził Azjata.

- Po co?

- Żebym cię czegoś nauczył.

- Ogrodnictwa? - spytał Kwiatkowski kpiąco.

- Może na początek odrobinę dobrych manier.

- Bez obrazy, ale w SOE przeszedłem szkolenie, o którym tobie, człowieku, nawet się nie śniło.

- Taaak. Wyobrażam sobie. - Pokiwał głową, jak wyjątkowo cierpliwy nauczyciel, który kolejny raz słyszy popełniany przez ucznia błąd. - Nazywam się Hiroshi Hara. - Julek nie skojarzył w pierwszej chwili tego nazwiska z nazwiskiem dziewczyny, którą ratował z łap funkcjonariuszy MP. - Chodź, coś ci pokażę.

Wydawało się, że z bólem serca zostawia swoje kwiaty i idzie w stronę budynku. Julek podążył za nim. Ciekaw był, co ten dziwny człowiek chowa w zanadrzu.

Stanęli pod murem, z którego parę minut wcześniej Japończyk (o jego narodowości poinformował Julka następnego dnia Pratchett) w niemal magiczny sposób zdjął sekator.

- Nie mogę się doczekać - rzekł Polak nie bez ironii.

Czym niby ten szczupły, starszy mężczyzna mógłby go jeszcze zaskoczyć. Sztuczka ze wspinaniem się po ścianach była jego zdaniem do opanowania. Kwestia ćwiczeń. Hiroshi Hara podał mu mały melon. Musiał go wcześniej skądś zdobyć. Melon w czasie wojny nie często gościł na angielskich stołach. Gospodarstwo lorda Hiltona było jak widać wyjątkiem.

- Weź go w rękę i zgnieć palcami - polecił mu Japończyk beznamiętnie.

Owoc był niedojrzały i twardy jak kamień. Mimo wszystko Julek spróbował. Wysilił się, jak potrafił i zgodnie z przewidywaniami nie wyrządził melonowi najmniejszej krzywdy.

- Nie da się - powiedział, dając za wygraną. - Za twardy.

Odrzucił owoc ogrodnikowi. Mężczyzna przerzucił go jak piłkę z ręki do ręki. Potem chwycił w prawą dłoń i... palcami powoli, prawie że bez wysiłku, wycisnął z miażdżonego owocu zielony sok. Odrzucił melon za siebie. Po raz kolejny Polak był pod wrażeniem.

- Wszystko się da, jak się chce - powiedział do zadziwionego młodzieńca. - Potrafisz stanąć na rękach?

- Ćwiczyłem boks. Jasne, że potrafię.

Julek wykonał polecenie wzorcowo. Stał na rękach idealnie prosto, końcówkami stóp dotykając ściany dla utrzymania równowagi.

- Teraz podnieś się z dłoni na palce - polecił Japończyk. Kwiatkowski spróbował, ale natychmiast stracił równowagę i zwałił się na ziemię. - Właśnie. Tak myślałem.

Wiele się nie zastanawiając, Hiroshi stanął na rękach przy murze. Uniósł się na palce obu dłoni. Następnie oderwał lewą od podłoża. Zaraz potem opierał ciężar całego ciała jedynie na trzech palcach. Wreszcie ponownie stanął na nogach.

- Nieźle - stwierdził Julek niby od niechcienia, ale Azjata zaimponował mu.

- Jak wyćwiczysz palce, zdobędziesz niezwykle skuteczną broń. Będą jak stalowe

obcegi. - Ogrodnik w mgnieniu oka złapał Julka za szyję. Polak odruchowo podniósł ramię, by wyswobodzić się techniką jujitsu. - Nie radzę - powstrzymał go Hiroshi. - Zdążę ci zmiążyć tchawicę. Normalnie taki sposób unieszkodliwienia przeciwnika zabiera sporo czasu. Oczywiście przy założeniu, że od razu uda ci się wykonać prawidłowy chwyt. Jak masz wyćwiczone palce, załatwiasz sprawę w ułamku sekundy, nawet jeśli chwyt nie jest do końca precyzyjny.

Mężczyzna puścił chłopaka.

- Jak to można wyćwiczyć? - spytał Julek.

- Odpowiednim treningiem. Ciężkim, ale skutecznym. Pozwól, że się tym zajmę. A teraz chodź, pomożesz mi przy kwiatach.

- Przy kwiatach?!

- Od czegoś trzeba zacząć, nie sądzisz?

Hiroshi Hara wrócił do swoich rabatek. Juliusz Kwiatkowski nad wyraz niechętnie podążył za nim.

Szli powoli ulicami okupowanej Warszawy. Trzymała go pod rękę. Znali się już dobre parę tygodni i zbliżali się do siebie coraz bardziej.

- Po wojnie będę inżynierem - powiedział Tadek stanowczo.

- Nigdy nie mówiłeś - zauważyła Marysia.

- Widziałem kiedyś takiego inżyniera, jak taki wielki dom stawiali u nas na dzielnicy. Chodził po budowie z planami, sprawdzał, wydawał polecenia i wszyscy go słuchali jak jakiegoś guru. A budynek rósł w oczach. Ja też będę inżynierem. - Miał wyraźnie bardzo jasno sprecyzowane plany na przyszłość. Tym też Marysi imponował. - A ty, co chcesz w życiu robić?

- Myślałam o ekonomii. Lubię cyferki. Ktoś w końcu takim inżynierom musi bilans zrobić, żeby się wszystko zgadzało.

Spojrzał na nią z delikatnym wyrzutem.

- Czemu mówisz „takim”? Myślisz, że sobie nie poradzę?

- Nie, no skąd. Myślę, że dobry ekonomista czy księgowy wszędzie jest potrzebny.

Przy stawianiu domów też.

- Czyli będziemy współpracować? - Mocniej przycisnął jej dłoń do boku.

- Jeszcze nie wiem, czy będę chciała z panem współpracować, panie przyszły inżynierze - powiedziała figlarnie. - A jak będzie pan mnie chciał uwieść?

- Muszę się ucziwie do czegoś przyznać.

- Do czego?

- Pan inżynier z pewnością będzie chciał uwieść panią ekonomistkę.

- To już jest jakiś argument.

- Za czy przeciw?

- Jeszcze nie wiem. - Dziewczyna w zabawny sposób udała, że nagle poważnieje. - Muszę się nad tym głęboko zastanowić.

- Do końca wojny ma pani czas, panno Marysiu.

W tym momencie Maria Kwiatkowska naprawdę spoważniała. Zdała sobie sprawę, co tak naprawdę jego słowa oznaczają.

- Niestety. Mamy jeszcze chyba dużo czasu. Tak prędko to się wszystko nie skończy.

Ledwie zdążyła wypowiedzieć zdanie, kiedy nagle zobaczyli wokół siebie zamieszanie. Ludzie przyspieszali kroku i zrywali się do biegu. Kto mógł, starał się zniknąć w otwartych bramach budynków, które dozorczy teraz przezornie zamykali na głucho. Aż nadto dobrze wiedzieli, co ten nagły ruch oznacza. Łapanka.

Przystanęli. Na końcu ulicy zobaczyli żołnierzy niemieckich wyskakujących z ciężarówki. Zamknęli ulicę. Wrzaskiem i uderzeniami kolb karabinów ustawili twarzą do budynku ludzi, którzy nie zdołali się nigdzie schronić. Kazali wszystkim podnieść ręce do góry, łącznie z dziećmi.

- Zawracamy - zakomenderował Tadek. Wylot drugiej strony ulicy wciąż był jeszcze wolny. - Idź szybko, ale nie biegnij. Bo będą strzelać.

Po obu stronach jezdni widzieli ludzi, którzy wpadli na ten sam pomysł co oni. Szybkim krokiem zmierzali ku końcowi rzędu kamienic, gdzie upatrywali jedynej szansy ucieczki z pułapki.

- Mam ulotki - powiedziała nerwowo Marysia.

- Co masz?

- Ulotki. - Klepnęła czarną skórzaną torbę, która miała przewieszoną przez ramię. - Miałam zanieść na Gwarną.

- Jak to? Przecież mówiłem, żebyś nic nie brała. Nie jesteś jeszcze nawet w organizacji.

- Wszyscy coś robili, tylko ja te paczki ciągle...

- Marysiu, na rany boskie, dziewczyno, dlaczego nie słuchasz, co się do ciebie mówi?

Wylot ulicy był coraz bliżej. Nie oglądali się za siebie. Wyglądało na to, że tym razem im się upiekło. Wyglądało tak jeszcze przez chwilę, bo zaraz potem, ku rozpaczycy wszystkich zdążających w tym kierunku, w poprzek jezdni zajeżdżała wojskowa ciężarówka. Wskoczyli

z niej hitlerowcy i pułapka się zamknęła. Drogi ucieczki już nie było.

- Niemcy! - wykrzyknęła Marysia. - Złapią nas.

Oboje zwolnili kroku. Za chwilę staną pod ścianą z podniesionymi rękami. Dziewczyna z przerażeniem myślała, co będzie, gdy znajdą przy niej ulotki, a znaleźć muszą.

- Posłuchaj - Tadek powiedział półgłosem. - Musimy się stąd wyrwać.

- Jak? Patrz, co się dzieje.

- Podejdziemy jak najbliżej szkopów. Jak będą ludzi rewidować, uciekamy ile sił w nogach.

- Co ty mówisz, Tadek? Przecież nas zastrzelą.

- Niekoniecznie. Mam parabellum. Zrobię trochę zamieszania. Ty masz biec w podwórko za rogiem. Nie ma oglądania się za siebie, rozumiesz? - Marysia przytaknęła skinieniem głowy. - Stamtąd jest drugie wyjście zaraz za suteroną. Na pewno zobaczysz. Tamtędy uciekniesz. Nie powinni cię złapać.

- A ty?

- Zatrzymam ich na trochę. Będą zaskoczeni. Potem ucieknę w drugą stronę. Odciągnę ich. Znam teren. Nie dostaną mnie.

- Boże drogi, przecież to szaleństwo. A jak ci się nie uda.

- Uda mi się - odpowiedział z niezachwianą pewnością siebie. - Nie takie rzeczy mi się udawały.

Chwilę potem, podobnie jak inni przechodnie, zostali brutalnie pchnięci pod mur. Zdołali stanąć najbliżej końca budynku. Wśród Niemców nastąpiło lekkie rozprężenie. Opuścili i przewieszali karabiny na ramiona. Akcja przebiegła bez zakłóceń i nie szykowały się żadne komplikacje. Dwóch oficerów przyglądało się złapanym. Jak zwykle szukali wśród nich ludzi budzących podejrzenia, ukrywających się Żydów. Ciemne włosy, wydatny nos i kości policzkowe wystarczyły, by podejrzenie zamieniło się w oskarżenie i niejednokrotnie natychmiast wykonany wyrok śmierci.

Tadeusz dostrzegł szansę. Nikt na nich nie patrzył.

- Teraz - szepnął Marii do ucha. - Ile masz sił w nogach - dodał i pchnął ją mocno przed siebie.

Dziewczyna wystrzeliła jak strzała. Strach ją uskrzydlił. Biegła najszybciej, jak potrafiła. Usłyszała za sobą strzały. Nie widziała, jak Tadek strzela w głowę Niemcowi, który pierwszy zorientował się w sytuacji i do niej wymierzył. Nie widziała, jak Tadek przebiega na drugą stronę ulicy, kryje się za przypadkowo zaparkowanym samochodem i celnie się ostrzeliwuje. Kolejnych dwóch Niemców padło na ziemię. Polak nie czekał. Puścił się pędem

w stronę załomu budynku na wysokości miejsca, gdzie przed dosłownie momentem zniknęła Marysia.

Dziewczyna nie słyszała za sobą pogoni, ale nie zwolniła ani na moment. Dobiegła do sutereny i odnalazła dalszą drogę ucieczki. Na chwilę się zatrzymała i spojrzała za siebie. To, co zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Tadek właśnie dobiegał do załomu budynku, kiedy seria z karabinu maszynowego roztrzaskała mu głowę. Upadł na chodnik, a pistolet wypadł mu z ręki i poturlał się kilka metrów dalej.

Marysia krzyknęła z rozpacz i popędziła dalej. Niemcy nie mogli jej już dopaść. Brakło jej tchu, ale płakała, głośno płakała. Na jej oczach zginął chłopak, który nie tylko uratował jej życie, poświęcając swoje, ale stał się dla niej kimś dużo bardziej bliskim niż którykolwiek z przyjaciół, a miała ich wielu.

Zapłakana wybiegła na ulicę pełną ludzi. Oddychała ciężko, a łzy ciekły jej z oczu strumieniami. Była już bezpieczna. Wiedziała o tym. Ona tak, on natomiast leżał gdzieś tam w kałuży krwi. Hitlerowcy mogli teraz pastwić się nad jego ciałem. Szła przed siebie, próbując złapać normalny oddech. Przechodnie rzucali jej ukradkowe spojrzenia. Nikogo specjalnie jej zachowanie nie dziwiło. W tych czasach tyle było nieszczęść, że okazji do płaczu pojawiała się codziennie całe mnóstwo.

Dziewczyna doszła wreszcie do domu Hani Bojarskiej. Stukała do drzwi, aż przyjaciółka otworzyła. Widząc w jakim jest stanie, wciągnęła ją natychmiast do środka.

- Marysiu, Jezus Maria, co się stało? - Hania zaprowadziła ją do pokoju gościnnego.

- Niemcy. Była łapanka. - Dziewczyna ponownie rozszlochała się na cały głos. - Tadeusz...

- Co z Tadeuszem? Gdzie jest?

- Tadeusz... - mówiła z trudem. Łkała. - Tadeusza zabili. Widziałam, jak umiera. Rozumiesz? Wszystko widziałam. On mnie ratował.

Hania wzięła ją w ramiona. Przytuliła mocno, aż tamta zaczęła się powoli uspokajać. Wreszcie posadziła roztrzęsioną przyjaciółkę na krześle.

- Jesteś pewna, że Tadeusz... zginął?

- Seria w głowę. - Dziewczyna kręciła głową. Wciąż nie mogła się z tym pogodzić. - Zginął na miejscu.

Marysia nie wytrzymała. Znowu wybuchnęła przejmującym płaczem. Dotknęło ją kolejne nieszczęście. Najpierw strata ojca i domu we wrześniu '39, potem Julek gdzieś się w świecie zagubił. Nawet nie wiedziała, czy brat żyje. Teraz to. Na jej oczach zginął młody człowiek, którego obdarzyła prawdziwym uczuciem. Czowała, że Tadeusz był jej pokrewną

duszą i - kto wie - może mogłaby z nim kiedyś zbudować wspólną przyszłość.

Placz wstrząsał jej szczupłym ciałem. Wszechogarniającej rozpacz nie dało się w tej chwili opanować. Czuła w sobie pustkę, jakby wyrwano jej kawał duszy.

- Zrobię ci herbaty - zaproponowała Hania. - Mamie udało się zdobyć cukier. - Próbowała się uśmiechnąć.

Hanna szczerze współczuła przyjaciółce. Znała Tadeusza bardzo dobrze. Przecież to ona ich ze sobą poznała. Widział rozwijającą się między nimi więź, powoli, ale systematycznie przeradzającą się w prawdziwe uczucie. Czasem aż miło było na nich popatrzeć. Pasowali do siebie. Okrutny los przerwał to raz na zawsze. Straszne, że wystarczył moment, pechowy zbieg okoliczności; coś, co w normalnych warunkach, bez wojny, bez okupacji, nie miało prawa się zdarzyć.

Martwiła się o Marysię. Czy zdoła sobie teraz z tym poradzić? Jedno wiedziała na pewno. Nie wolno jej było wciągnąć przyjaciółki do organizacji, nawet gdyby Marysia ją o to prosiła. W razie czego zorganizuje jej pozory jakichś działań, gdzie ciężko doświadczona dziewczyna będzie mogła się poczuć potrzebna. Teraz musi przede wszystkim odpocząć, jak najmniej myśleć o nieszczęściach. Zająć się czymś zwyczajnym, codziennym. Potrzebny jej po prostu święty spokój. Zbyt dużo przeżyła.

- Proszę. - Hania postawiła przed przyjaciółką filiżankę herbaty i cukierniczkę z najprawdziwszym cukrem, którego zdobycie w dzisiejszych czasach było nie lada wyczynem. - Napij się. Dobrze ci zrobi.

Dziewczyna wytarła oczy śnieżnobiałą chusteczką. Była wdzięczna Hani, że się o nią zatroszczyła.

- Dziękuję - chlipnęła.

- Zostaniesz dzisiaj u mnie. Przegadamy sobie pół nocy, jak kiedyś. Chcesz? I tak byś przed godziną policyjną do domu nie zdążyła.

ROZDZIAŁ 12

Tony Pratchett przystanął. Kilkadziesiąt metrów dalej przy wysokim murze stanowiącym granicę doskonale utrzymanego ogrodu w posiadłości lorda Hiltona, Hiroshi zdawkowo coś tłumaczył Kwiatkowskiemu. Polak był skupiony. Słuchał uważnie i co jakiś czas rzucał spojrzenia w stronę muru.

Japończyk odszedł. Julek stanął twarzą do ściany i skoncentrował się jeszcze bardziej. Tymczasem Hiroshi podniósł z ziemi drewniane koło o średnicy mniej więcej metra i zręcznym pchnięciem potoczył je wzdłuż muru. Kiedy koło znalazło się na wysokości Kwiatkowskiego, Japończyk błyskawicznie dobył zza pasa nóż i cisnął nim w drewno toczące się kilkanaście metrów przed nim. Stalowe ostrze wbiło się niemal w sam środek. Zaraz potem Julek wyciągnął drugi nóż i zrobił dokładnie to samo, lecz minimalnie mniej celnie. Sprawił, że koło zachwiało się i upadło pod murem.

Hiroshi przyglądał się ćwiczeniom krytycznie. Wzruszył ramionami i zrobił minę mówiącą: „Od biedy może być, ale mógłbyś się człowieku bardziej postarać”. Za to Tony był pod wrażeniem. Wyglądało na to, że ogrodnik lorda Hiltona solidnie przyłożył się do rozwijania umiejętności tego Polaka, z którym jego zwierzchnik, wydawałoby się, wiązał jakieś plany.

- Musisz się bardziej skupić - surowo powiedział Japończyk do Julka. Tony podszedł do nich. - Nie ma myślenia o niebieskich migdałach. Myślisz, że Niemiec da ci drugą szansę?

Kwiatkowski ściągnął brwi. Nie podobało mu się, że wciąż jest strofowany. Sam widział, jak ogromne postępy robił praktycznie codziennie, a Hiroshi Hara na każdym kroku manifestował niezadowolenie. Polak był jednak na tyle rozsądny, by z nietypową dla siebie pokorą przyjmować uwagi ogrodnika, w ogromnej większości krytyczne. Zdążył się przekonać, że może się od niego bardzo dużo nauczyć. A umiejętności te mogą się okazać niezwykle przydatne w walce z okupantem o wolną Polskę.

- Jak się sprawuje nasz Polak? - spytał Anglik na tyle głośno, by Julek słyszał.

- Nieźle. - Słowo to w ustach wiecznie niezadowolonego Hiroshiego zabrzmiało jak najśłodszy komplement.

- Ale duszę ma rogatą. To czasem przeszkadza.

- Lepiej niż nieźle. - Julek postanowił skorygować i tak pochlebną opinię Japończyka.

- Hiroshiemu głupio jest przyznać.

- Nie bądź taki zarozumiały - skarcił go ogrodnik.

Polak uśmiechnął się szczerze. Doskonale orientował się, że pod tą srogą i zasadniczą

powierzchnością kryje się wrażliwość, serdeczność i moc ludzkich uczuć. Dało się to zauważyć szczególnie w jego relacjach z córką, którą kochał nad życie. Był głęboko wdzięczny Julkowi, że ten stanął swego czasu w jej obronie, choć nigdy tego jawnie nie pokazał.

- Hiroshi, przecież nie miałeś zdolniejszego ucznia.

- Widzisz, co ja z nim mam? - Japończyk zdawał się skarżyć Tony'emu. - Lord powinien mi za niego jakąś ekstra gratyfikację dać. Orka na ugorze.

- Wspomnę o tym milordowi.

- Żartowałem. Nie jest z nim tak źle.

- Ach, jak miło mi to słyszeć - ponownie wtrącił się Kwiatkowski.

- Julek - skrzywił się Hiroshi - wziąłbyś się za ćwiczenia.

- Nie, właściwie do Polaka przyszedłem. Mam wiadomość.

- Jaką? - spytał Julek nieufnie.

Czyżby Angole coś w jego sprawie zamyślali?

- Jest przerzut do Polski jutro w nocy. Grupa dywersyjna z waszego SOE. - Tony miał na myśli następny zespół Cichociemnych lecących do kraju. - Pomyślałem, że cię to zainteresuje.

Julek przygaś na te słowa. Wszystko by oddał, żeby znaleźć się w tej grupie.

- Już to przerabiałem. Dwa razy prosiłem dowódców, żeby mnie zabrali. Nie chcą. Gdyby mnie milord nie przygarnął...

- Wiem. Ale gdyby sytuacja tym razem nie była trochę inna, nie strzepiłbym sobie języka.

- Dlaczego inna? - ożywił się Kwiatkowski.

- Zabierają ze sobą kuriera. Nazywa się Stanisław Szeląg. Twój go nie znają. Mogę się postarać, żeby nasza angielska załoga też go nie rozpoznała.

- Mam kuriera...?

- Nie wiem, co masz. Pomyśl. Pogadaj z nim. Spróbuj człowieka przekonać. W odpowiedni sposób, oczywiście. Słyszałem, że potrafisz.

- Kiedy?

- Co kiedy?

- Kiedy jest lot?

- Mówiłem, jutro w nocy.

- Rozstajemy się Hiroshi - Julek zwrócił się do Japończyka.

- Idź, wracaj do swojej Polski - odparł ogrodnik. - Niech cię więcej nie oglądam -

dodał z niespotykaną u niego tkliwością.

Polak złapał go w objęcia i uściskał.

- Zabierzesz mnie do miasta? - spytał Anglika.

- Jasne.

Stanisław Szelaąg okazał się niskim, szczupłym człowieczkiem. Wysokie czoło i wydatny nos tworzyły fizjonomię niekoniecznie przyciągającą wzrok płci przeciwnej. Można było spokojnie powiedzieć, że był nijaki - przeciwieństwo Juliusza Kwiatkowskiego, postawnego i przystojnego mężczyzny.

Siedzieli w pubie przy półlitrowych kuflach piwa popularnie tu zwanych „pintami”. Wokół tętniło życie. Rozbrzmiewał gwar rozmów. Ktoś próbował grać na gitarze i rozlegały się chóralne śpiewy - atmosfera wyjątkowo sprzyjająca rozmowie tych dwóch Polaków.

- Cieszę się, że cię poznałem przed wylotem. - Szelaąg był zadowolony z tego przypadkowego, jak mu się wydawało, spotkania. - Zawsze to jakoś łatwiej, jak się kogoś zna.

- Chłopaki są w porządku, Stasiu, - Julek wypił łyk piwa. - Na pewno się dogadacie.

- Mówią, że kozaki z was tam w SOE.

- Trzeba było kiedyś przyjechać, zobaczyć.

- Żartujesz chyba. Nawet nie wiadomo do końca, gdzie stacjonujecie. Gdzieś w Szkocji, co?

- Różnie. Zależy od typu szkolenia - odpowiedział Julek wymijająco. - Tak w ogóle, to skąd, Stasiu, jesteś?

- Z Gdańska.

- Pierwsi wojnę widzieliście.

- Ojciec zginął w obronie Poczty Polskiej. Może słyszałeś?

- Każdy słyszał. Poczta Polska i Westerplatte. Cały kraj na was patrzył.

- Na Westerplatte brat walczył. Podobno pod sam koniec zginął.

- Przykre. Tobie się udało.

- Mnie do wojska nie chcieli. Mówili, że za wątlý jestem. A ja też chciałem walczyć. Jak kampania wrześniowa się kończyła, koledzy zabrali mnie ze sobą. Przez Rumunię i Francję tutaj się dostaliśmy. W Gdańsku matka i siostra zostały. Nawet nie wiem, czy żyją. To co się słyszy, co szkopy u nas wyprawiają... w głowie się nie mieści. - Stanisław napił się złocistego płynu. - A ty skąd jesteś?

- Z Warszawy.

- Aaa, stolica. Inny sznyt, jak to wy tam mówicie, nie?

- Nie wiem, dawno nie byłem w kraju. - Julek wyciągnął szyję i rozejrzał się za kelnerką. Nie było żadnej w pobliżu. - Poczekaj, Stasiu, zaraz wracam.

Zanim Staszek o cokolwiek spytał, Kwiatkowski wstał i pośpieszył w stronę baru. Nie było łatwo się dopchać, ale po chwili zdołał zwrócić na siebie uwagę i złożył zamówienie. Następnie, już spokojniej, wrócił do nowo poznanego kolegi.

- Denerwujesz się? - spytał kurier.

Julek nie zrozumiał, o co mu chodzi.

- Czym?

- Jak to, czym? Dzisiaj w nocy przerzucają nas do Polski.

- A, tak. Trochę. Widzę, że znasz się na ludziach, Stasiu. Co ci będę mówił, mam pietra. Chyba pierwszy raz.

- Kwiatkowski zdał sobie sprawę, że nadarza się świetna okazja, by odegrać komedię, doskonale pasującą do jego planów. - W takiej sytuacji najlepiej strzelić sobie lufę dla kurazu.

- Co zrobić?

- Wódki się napić. Cóż innego? Od razu człowiek odważnieje.

Jakby na zamówienie pojawiła się kelnerka. Postawiła na stoliku butelkę wódki i dwa kieliszki. Kwiatkowski zapłacił i od razu zabrał się za odkręcanie butelki, choć w kuflach daleko jeszcze było do dna. Zaskoczony Szelaż obserwował poczynania towarzysza.

- Teraz chcesz prawie litr wódki wypić?

- Z tobą, Stasiu, z tobą - odparł Julek i rozlał do stugramowych kieliszków.

- Przecież dzisiaj w nocy skaczymy.

- Właśnie dlatego. Po jednym. - Julek uniósł kieliszek i poczekał na Staszka. Ten z wahaniem poszedł w jego ślady. W sumie nie chciał uchodzić za mięczaka. - Do dna!

Kurier przymknął oczy i dzielnie wychylił zawartość kieliszka. Kwiatkowski zręcznie wylał wódkę za siebie.

- Bo wiesz, Julek, ja właściwie nie piję. - Kurier postawił kieliszek i odsunął go od siebie. - Słabą głowę mam.

Juliusz Kwiatkowski w duchu dziękował niebiosom za takie zrządzenie losu. Stanisław Szelaż był już jego.

- Nie przejmuj się, Stasiu. Ze mną lecis. Może być nerwowo, a nie ma nic lepszego na stresy niż wódeczka. Jeszcze po maluchu.

Julek nalał kolejną porcję.

- Nie powinniśmy. - Szelaż pokręcił głową.

- Daj spokój, Stasiu. Zawsze robisz tylko to, co powinienes?

- Nie do końca.

- Wielu rzeczy nie powinniśmy. - Julek ponownie uniósł szklaneczkę. - Dawaj, ostatniego. Trzeba jakoś pożegnać angielską ziemię.

- Ostatniego - uległ kurier, acz widać było, że niechętnie sięga po swoje naczynie.

- Bo wiesz, Stasiu, ja to ci zazdroszczę. - Julek uznał, że czas uderzyć w sentymentalną nutę.

- Mi? Dlaczego?

Wymowa kuriera stawała się lekko bełkotliwa. Dwieście gramów wódki przy słabej głowie zrobiło swoje.

- Masz dla kogo żyć. Tam w Gdańsku. Wszyscy moi bliscy zginęli - starał się przekonująco kłamać. - Jestem sam. Nie mam nikogo. Ciężko tak się żyje.

Staszek Szelaąg, człowiek o szczerym sercu, złapał przynętę.

- Nie mów tak. Jest wojna. Ludzie tracą bliskich.

- Ale żeby wszystkich? Co do jednego?

Kwiatkowski niby od niechcienia nalał sobie kolejną porcję trunku. Przyłożył szyjkę butelki do szklaneczki kuriera.

- Nie, mi już nie lej.

Staszek odsunął naczynie.

- No widzisz. Nawet napić się ze mną nie chcesz. Gówniane życie.

- Nie, Julek, to nie tak. - Kwiatkowski z satysfakcją odnotował, że język Szelaągowi plątał się coraz bardziej.

- Napiłbym się, ale...

- Stasiu, może jutro zginiemy. - Wódka popłynęła do szklaneczki Staszka. - Proszę cię, napij się ze mną. Ten ostatni raz.

Kurier się złamał. Kolejne sto gramów powędrowało w jego trzewia. Dalej było już tylko łatwiej. Osobiste zwierzenia, męskie rozmowy i wkrótce butelka mocnego alkoholu zaświeciła pustką. Stanisław Szelaąg nie był w stanie ustać na nogach, ale humor mu dopisywał. Nie wiedział jeszcze, że angielska ziemia będzie go gościć jeszcze przez znacznie dłuższy czas, niż się spodziewał, i że kolejne godziny spędzi na błogim śnie w pobliskim parku.

Tony przywiózł Julka na lotnisko niemal w ostatniej chwili. Zatrzymał się na skraju pasa startowego. Wszyscy czekali już na kuriera.

- Pozdrów tą swoją Polskę - powiedział Anglik na pożegnanie.

- Pozdrowię. Dzięki, Tony. Za wszystko. Może się jeszcze spotkamy w lepszych czasach.

- Kto wie. Wynoś się, bo polecą bez ciebie.

Julek wysiadł z samochodu i pobiegł do samolotu. Przy wejściu stało czterech Cichociemnych. Kwiatkowski unikał ich wzroku, na wypadek, gdyby któryś go pamiętał. Na szczęście było ciemno, co ułatwiało sprawę.

Angielscy piloci nie zadawali zbędnych pytań. Padł rozkaz, by wsiadać na pokład maszyny. Lecz w tym samym momencie z ciemności wyłonił się wojskowy jeep, który podjechał do nich i ostro zahamował. Wyskoczył z niego oficer. Julek w pierwszej chwili go nie poznał, ale zaraz potem zrobiło mu się gorąco.

Major Tadeusz Żądło podszedł do swoich ludzi.

- Jak, chłopaki? - Klepnął pierwszego z brzegu w ramię. - Gotowi na spotkanie z ojczyzną?

- Tak jest, panie majorze! - odpowiedział zagadnięty.

Julek nie rozpoznał głosu. Rysy twarzy były trudno dostrzegalne w mroku rozjaśnianym jedynie światłami z odległego o kilkaset metrów hangaru.

- To lećcie i dajcie szkopom popalić.

- Tak jest! - tym razem odezwały się wszystkie cztery osoby.

Julek siedział cicho z nadzieją, że major zakończył już „ceremonię” pożegnania i wreszcie sobie pójdzie. Jednak nadzieja szybko prysła.

- Kurier. - Major zwrócił uwagę na człowieka, stojącego trochę na uboczu. - Trzymaj się chłopaków. - Oficer podszedł bliżej. - Nie dadzą ci... - przerwał, jakby mu nagle głos odebrało. Zapadła grobowa cisza. Major wpatrywał się w „kuriera”, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Panie majorze... - bąknął Julek.

- Kwiatkowski, cholero, co ty tu robisz?

Angielscy piloci słysząc reakcje polskiego oficera, jak na komendę spojrzeli w niebo. Ich całą uwagę nagle pochłonął widok niezliczonych gwiazd.

- Skaczę, panie majorze.

- Jak skaczesz? Kurier skacze. Nie ty.

- Niech mi pan tego nie robi, panie majorze.

- Człowieku, ty chyba oszalałeś.

- Ja muszę do Polski. Niech mnie pan nie zatrzymuje, panie majorze.

- Gdzie kurier?

- Upił się i śpi. Jutro będzie jak nowy. Może trochę skacowany.

- Szlag by cię trafił, Kwiatkowski. - Tadeusz Żądło ostentacyjnie załamał rękę. - Szlag by cię trafił. Zejdź mi z oczu. - Wskazał palcem wejście do samolotu. - Niech cię w Polsce rozliczą. Co mi tam.

- Dziękuję, panie majorze.

- Pewnie. Przynajmniej nie będę cię już musiał oglądać.

- Właśnie. Podjął pan właściwą decyzję.

- Wsiadaj i przestań pieprzyć. Nie będą na ciebie czekać.

- Tak jest! - Julek zrobił krok w stronę maszyny.

- Czekaj! - zatrzymał go ostry głos majora.

Oficer podniósł dwa palce do czapki. Niejednokrotnie zdarzało się wcześniej, że ludzie w ostatniej chwili załamywali się psychicznie i odmawiali udziału w przerzucie. Tu była sytuacja odwrotna. Żądło wiedział, że ma do czynienia ze świetnym żołnierzem. Postanowił mu to okazać.

Podchorąży Kwiatkowski strzelił obcasami i stanął na baczność. Oddał honory. Tak samo postąpili pozostali czterej Cichociemni, choć zdumiał ich ten gest w stosunku do kuriera. Major Tadeusz Żądło wsiadł do jeepa i kazał kierowcy od razu odjechać. Żołnierze wskoczyli na pokład. Samolot zawył i maszyna zaczęła kołować na start.

Huk silników mocno utrudniał rozmowy w środku. Mimo to czterej Cichociemni nie czekali, by poznać Julka. Właściwie znali go z widzenia i wszyscy słyszeli o jego perypetiach. Każdy był ciekaw człowieka, o którym sporo w jednostce mówiono, i który mimo wyraźnego sprzeciwu dowództwa zdołał dołączyć do skoku. Padło wiele pytań, lecz na większość z nich Julek bez żenady odmówił odpowiedzi. Rozumieli go. Nie miał ochoty na zwierzenia. Ignacy Pająk, Lech Paszczyk, Bronisław Bobrzyk i Bolek Pluciński zostawili go w spokoju. Mieli przed sobą kilkugodzinny lot. Zawsze to okazja, by nadrobić zaległości w spaniu.

Julek odetchnął z ulgą. Udało mu się. Był w samolocie i leciał do Polski. Na miejscu będzie się musiał dużo tłumaczyć. Nie wiadomo, jak dowództwo polskiego podziemia potraktuje jego występki. Na pewno zarzucą mu niezdyscyplinowanie, niesubordynację, narażenie misji i diabli wiedzą co jeszcze. W najgorszym razie grozi mu sąd wojskowy, ale przecież nie zafundują mu wyroku śmierci. Najwyżej wywalą z organizacji z wilczym biletem. Najwyżej się wstydu obje. Ale najważniejsze, że będzie w Polsce, wśród swoich. Odnajdzie matkę i siostrę. Odtąd nie dadzą się rozdzielić.

Słowa pilota wybudziły ich z płytkiego snu.

- Za piętnaście minut będziemy nad celem. - Jego głos brzmiał beznamiętnie. -

Przygotujcie się.

Cała piątka przypięła klamry spadochronów do liny nad głową. Skupiali się przed skokiem w czarną noc.

Samolot obniżył pułap. Drugi pilot wyszedł z kabiny. Otworzył drzwi. Padło wyćwiczone: *Action Station*, co było sygnałem do przygotowania się do skoku, a zaraz potem: Go! Pięciu Cichociemnych wyskoczyło z samolotu. Maszyna poderwała się, gwałtownie zwiększyła wysokość i obrała kurs powrotny.

Pięciu spadochroniarzy wylądowało bezpiecznie. Odpięli uprząże i zrzucili kombinezony lotnicze, pod którymi mieli cywilne ubrania. Byli gotowi do drogi.

- Panowie - Lech Paszczyk wciągnął nosem powietrze - czujecie? Tylko Polska tak pachnie.

- Jeszcze się nawąchasz - zwrócił mu uwagę Ignacy Pająk. - Trzeba się stąd...

W tym samym momencie usłyszeli złowieszczą komendę:

- *Halt!* Nie wiedzieli postaci. Niemiec krył się w ciemności za drzewami. Nie było szans, żeby go unieszkodliwić.

- *Hände hoch!* - rozległ się okrzyk z innego kierunku.

Sytuacja stawała się beznadziejna. Chwilę potem podbiegło do nich dwóch żołnierzy z pistoletami automatycznymi. Jeden trzymał ich na muszce, a drugi obszukiwał. Pistolety Cichociemnych po kolei znalazły się na leśnym poszyciu.

Julek analizował sytuację. Niemców było dwóch. Ich pięciu. Na tak bliską odległość pistolety maszynowe nie musiały stanowić zbyt dużej przewagi. Spojrzał na Ignacego Pajaka - dowódcę grupy. Broniek, Bolek i Lechu również na niego zerkali, oczekując rozkazu. Ignacy zachowywał spokój. Nie chciał ryzykować życia kolegów. W lesie mógł się czaić jeszcze jeden szkop, który w razie czego wykosiłby ich ogniem maszynowym. Mógł, ale nie musiał. Z drugiej strony Niemcy nie są głupi. Nie podchodziliby do pięciu skoczków, nie mając za plecami wsparcia.

Zaraz potem okazało się, że Ignacy miał rację. Hitlerowcy ustawili ich dwójkami, Julek na początku. Z ciemności wyłoniło się jeszcze dwóch, również uzbrojonych w broń automatyczną. Zachowywali odległość uniemożliwiającą skuteczny atak.

- Co robimy? - spytał Bolek półgłosem.

- Czekamy na okazję - odpowiedział mu dowódca.

- W końcu...

- *Rue!* - wrzasnął Niemiec. - *Loss, loss.*

Zostali pchnięci kolbami. Nawet gdyby nie znali podstaw niemieckiego, był to dla

nich całkowicie jasny sygnał, że mają iść przed siebie. Poszli we wskazanym kierunku.

Z lasu wyszli dość szybko i przez całą drogę, która trwała dobre pół godziny, hitlerowcy ani na chwilę nie stracili czujności. Cały czas pilnowali się. Eskortowali ich wiejską drogą w pobliżu domostw gospodarskich, gdzie wraz ze świtaniem pojawiały się postacie ludzi bojaźliwie zagląających zza płotów w ich kierunku.

Wreszcie dotarli do zaimprovizowanego posterunku. Była to drewniana chata zbudowana z grubych, solidnych bali. Polaków wepchnięto po kilku schodkach do środka. Wewnątrz było jeszcze dwóch żołnierzy. Na ścianie od razu rzucał się w oczy wielki portret Adolfa Hitlera w ozdobnej ramie. Zaraz obok wisiały dwa pięcioprzelotowe mauzery i dwa wojskowe pasy.

Niemcy poczuli się pewnie. Ustawili skoczków pod ścianą. Głośno ze sobą rozmawiali. Zaczęli nawet dowcipkować. Mieli przewagę liczebną i uzbrojenie. Nie musieli się przecież niczego obawiać ze strony „bandytów” - jak zwyczajowo określali członków polskiego ruchu oporu.

Jeden z nich ustawiał Polaków w rzędzie twarzą do ściany. Ignacy i Julek kątem oka zobaczyli, jak pozostali odwieszają karabiny na hakach w ścianie i przestają zwracać uwagę na aresztantów. Mężczyźni wymienili spojrzenia. Właśnie nadarzała się okazja, na którą Ignacy czekał. Kwiatkowski, który w tym momencie znajdował się najbliżej szarpiącego ich Niemca, wiedział, co robić. Odwrócił się błyskawicznie i kantem dłoni uderzył żołnierza w szyję. Cios ten natychmiast pozbawił hitlerowca przytomności. Jeszcze zanim ten upadł, Julek wyrwał mu karabin i przeładował. W pierwszej chwili cała piątka osłupiała. Dopiero po chwili dwóch Szwabów skoczyło po broń, ale Kwiatkowski miał już ich na muszce. Dwie celne serie szarpnęły ich ciałami. Zwalili się na ziemię, zanim zdążyli dotknąć karabinów. Trzem pozostałym udało się chwycić pistolety, ale byli już przy nich polscy spadochroniarze. Długimi miesiącami szkoleni w walce wręcz, nie dali żandarmom najmniejszych szans. Wprawne uderzenia w skroń, tył głowy, chwyt za szyję i duszenie szybko wyeliminowały wrogów. Sytuacja była w pełni opanowana.

- Dobra robota, panowie - Ignacy Pająk wyrwał kabel telefoniczny ze ściany. - Dobrze się stało, żeś do nas dołączył. - Klepnął Kwiatkowskiego w ramię.

- *My pleasure*¹⁰ - Julek uśmiechnął się.

Bronek, Bolek i Lechu zbierali pistolety i wkładali sobie z tyłu za pas.

- Przydałyby się automaty. - Bolek Pluciński spojrzał na dowódcę.

¹⁰ Cała przyjemność po mojej stronie (ang.)

- Nie ma mowy - odpowiedział Ignacy. - Za duże ryzyko. Do miasta idziemy. Tylko broń krótka.

- Tak jest.

- Teraz do Warszawy - Pająk podał Julkowi pistolet. - Musimy dotrzeć na Chełmską. Warszawiak jesteś. Wiesz, gdzie to?

- Chyba kojarzę.

- Daleko od dworca?

- Będzie kawalek. Ale tramwajem podjedziemy. Podobno już kursują.

Do Warszawy dojechali pociągiem. Na Dworcu Głównym przywitał ich tłum ludzi wsiadających, wysiadających oraz oczekujących nierzadko godzinami na swój pociąg. Mężczyźni, kobiety i dzieci momentami z największym trudem przepychali się do wagonów z tobołami. Tylko umundurowani Niemcy, którym natychmiast schodzono z drogi, nie mieli problemów.

Spadochroniarze przystanęli przy drzwiach wejściowych na halę dworca. Przepuścili wychodzących ludzi. W pewnej chwili tłum tak zgęstniał, że Broniek Bobrzyk musiał się przesunąć o krok. Zrobiło się zamieszanie. Poczuł, jak następuje komuś na but. Odwrócił głowę.

- *Sorry* - powiedział odruchowo.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że automatycznie wypowiedane słowo w podobnych sytuacjach podczas pobytu w Anglii tutaj może stanowić śmiertelne zagrożenie.

Odwrócił głowę i, o zgrozo, miał przed sobą tłustego, niemieckiego feldfebla. Żołnierz zgromił go wzrokiem, ale nie podniósł alarmu. Była szansa, że angielskie „*sorry*”, które w Anglii weszło im w krew, a które Broniek nieopatrznie teraz wypowiedział, zginęło w gwarze głosów.

Bolek i Ignacy stali najbliżej. Natychmiast uświadomili sobie zagrożenie. Instynktownie podnieśli dłonie na wysokość ukrytych pod krótkimi kurtkami pistoletów.

- *Raus, du polnisches Schwein!* - wrzasnął na Bronka Niemiec.

Jednocześnie szarpnął chłopaka mocno, usuwając go sobie z drogi. Polak potknął się i mało nie upadł, ale zacisnął zęby. Wiedział doskonale, że nie może sobie pozwolić na jakąkolwiek reakcję. Próba nauczenia tego szkopa dobrych manier z całą pewnością skończyłaby się tragicznie dla nich wszystkich. Niemiec tymczasem zadarł wysoko głowę i odszedł. Co jakiś czas rozdzielał kuksańce, gdyby jakiś inny „Polaczek” miał czelność wejść mu w drogę. Spadochroniarze odetchnęli z ulgą. Niebezpieczeństwo minęło.

Warszawska ulica pełna przechodniów i sporadycznie pojawiających się tutaj

umundurowanych okupantów budziła w mężczyznach autentyczną ciekawość. Rozglądali się na wszystkie strony jak dzieci, które znalazły się w ogromnym sklepie z zabawkami. Interesowało ich wszystko. Sposób, w jaki ludzie tutaj się ubierali (w Anglii przeszli odpowiednie szkolenie i teraz mieli szansę porównać to, co powiedziano im na zajęciach z rzeczywistością); uliczni handlarze, wszechobecne riksze rowerowe, a najbardziej chyba polskie dziewczyny. Chłopaków, którzy wiele miesięcy spędzili na Wyspach Brytyjskich, warszawianki wręcz porażały swoją nieprzeciętną urodą.

- Z tą bym mógł się ożenić - Bronek szturchnął Bolka i pokazał mu idącą po drugiej stronie ładną brunetkę. - Z tą też. - Zwrócił uwagę na inną.

- Skąd wiesz, że chciałaby cię? - ostudził jego zapał Bolek.

- Jasne, że chciałaby.

- Takiś pewny? - włączył się w rozmowę rozbawiony Lechu.

- A co mi brakuje? - zachnął się Bronek.

- Urody, Broniu, urody. - Bolek wyszczerzył zęby w uśmiechu i klepnął go po plecach. - W lustreczko spójrz, bracie.

Julek i Ignacy szli przodem. Lustrowali okolicę. Dowódca nie mógł sobie pozwolić na „wyluzowanie”. Był odpowiedzialny za grupę, a tutaj zagrożenie mogło pojawić się w każdej chwili. Wypatrywał niemieckich żandarmów. Najczęściej chodzili trójkami i zatrzymywali ludzi, którzy mogli się im w jakikolwiek sposób wydać podejrzani. Skoczkowie, co prawda, dokumenty mieli doskonale podrobione, ale wystarczyłoby, żeby żandarmowi przyszła ochota któregoś z nich zrewidować, i kłopot gotowy. Przecież każdy z nich był uzbrojony. Naturalnie patrol przypląciłby to życiem, co do tego nie było wątpliwości, ale musieliby natychmiast uciekać, i dotarcie do punktu kontaktowego stanowiłoby spory problem. Na szczęście oprócz co jakiś czas przechodzących obok niemieckich oficerów i żołnierzy, żadnego innego niebezpieczeństwa nie było.

- Daleko jeszcze? - spytał Ignasz.

- Już właściwie jesteśmy. Poprzeczna za rogiem.

- Czyli chyba się udało.

- Na to wygląda.

Przeszli kolejne kilkadziesiąt metrów i skręcili w wąską uliczkę. Brama numer osiem od razu rzucała się w oczy. Byli na miejscu.

- Słowem, witamy w Warszawie. - Ignacy Pająk wreszcie mógł się rozluźnić. - Jak wrażenia?

Kwiatkowski również odetchnął. W końcu dotarli do celu. Bez dalszych przygód.

Problemów po wylądowaniu wystarczyło aż nadto.

- Jakaś inna ta Warszawa - odpowiedział Julek nostalgicznie.

Ignac obejrzał się. Pozostała trójka wychodziła właśnie zza rogu. Rozmawiali głośno i co jakiś czas wybuchali spontanicznym śmiechem. Dla postronnych oczu wyglądali jak normalni, młodzi ludzie, jakich w tym mieście można było spotkać tysiące. Nie wyróżniali się ubiorem, zachowywali się swobodnie, wtapiali się w warszawski tłum. Niedługo rozpoczną działalność, która Niemcom napsuje jeszcze sporo krwi.

- *Halt!* Ni stąd, ni zowąd dobiegła ich głośna komenda. Julek i Ignac spojrzeli jednocześnie na drugą stronę ulicy.

W ich kierunku szło trzech niemieckich żandarmów. Polacy zatrzymali się. Dowódca patrolu podszedł do dwójki spadochroniarzy. Dwóch pozostałych trzymało się kilka kroków z tyłu. Nie ściągnęli z ramion karabinów, ale bacznie obserwowali zatrzymanych.

- *Ausweis!* Nie trzeba było znać niemieckiego, by wiedzieć, o co chodzi. Jednak zaskoczenie sprawiło, że zarówno Ignacy, jak i Julek zawahali się. Nie sięgnęli natychmiast po kenkarty, jak zrobiliby to każdy inny zatrzymany w tym mieście. Nie mieli wyrobionego tego typu nawyku. Jeszcze nie. Niemiec również odnotował to wahanie. Jego podkomendni zsunęli paski karabinów z ramion.

Tymczasem Bolek, Lechu i Bronek również się zatrzymali. Stali parę metrów od dowódcy. Wzrok Niemca padł na nich. W jego oczach pojawiła się obawa. Miał właśnie przed sobą pięciu młodych Polaków, którzy mogli budzić podejrzenia. Miał też doświadczenie w poruszaniu się po tym wrogim mieście. Wiedział doskonale, że tutejszy ruch oporu działał bardzo aktywnie. Przeszło mu przez myśl, że mogą być uzbrojeni. Serce mu mocniej zabiło.

Julek wyciągnął wreszcie swój dokument i podał go żandarmowi. Ignacy postąpił tak samo. Trójka pozostałych spadochroniarzy przyglądała się sytuacji w napięciu. Nikt od nich papierów nie zażądał. Mimo to, ku zaniepokojeniu Niemców, nie szli swoją drogą.

Żandarm popatrzył w kenkarty. Bił się z myślami. Nie był typem człowieka, który z radością poświęciłby życie za Adolfa Hitlera. Sytuacja stała się groźna, bo z pięcioma prawdopodobnie uzbrojonymi ludźmi nie mieli szans. Dlatego najchętniej wycofałby się.

Ściągnął brwi i zrobił surową minę. W żadnym razie nie chciał, żeby Polacy dostrzegli, że się boi. Porównał zdjęcia z twarzami zatrzymanych. Wszystko właściwie się zgadzało. Ponad ramieniem Julka zobaczył, jak trzech mężczyzn powoli odsuwa się od siebie, jakby przygotowywali się do jakiegoś manewru. Zerknął za siebie. Jego ludzie unieśli lufy karabinów. Nietypowość sytuacji również nie uszła ich uwadze.

Dowódca patrolu zamknął dokumenty i oddał je Polakom.

- *In Ordnung* - powiedział szczekliwym tonem. - *Gehen*.

Skinął na podwładnych, przeszli przez ulicę i ruszyli w przeciwnym kierunku.

- Diabli nadali. - Ignacy startł dłonią pot z czoła. - Mało, cholera, brakowało. Jakby wiedzieli, że mamy broń...

- Myślę, że wiedzieli - powiedział spokojnie Julek.

- Chybaś oszalał. Zgarnęliby nas.

- Wiedzieli doskonale. Wiedzieli też, że nie uszliby z życiem. Szkopy to też ludzie. Boją się. Ten ich dowódca miał pietra jak diabli. Szczerze wątpię, czy chciał umierać za swojego *Führera*. Moim zdaniem byliśmy całkowicie bezpieczni.

Ignacy przyglądał mu się przez chwilę. Musiał przyznać, że ten pasażer na gapę go zadziwił. Tymczasem dołączyli do nich Lechu, Bolek i Bronek.

- Już myślałem, że trzeba będzie szkopów... - Bolek przesunął palcem po gardle. - Mamy chyba mocne papiery.

- Papiery też - powiedział Ignacy Pająk i jeszcze raz zerknął na Kwiatkowskiego. - Ciekawe, gdzie cię przydzielią.

- Pewnie wywalą na zbitą mordę - Julek wzruszył ramionami. - Niesubordynacja.

- Staniemy za tobą.

- Dzięki, Ignaś. Ale w wojsku to tak nie działa. Jest rozkaz i już. Sam wiesz. Dyscyplinarka mnie czeka. - Julek popatrzył w górę na kamienicę. Numer mieszkania, którego szukali musiał być na pierwszym albo drugim piętrze. - Chodźmy, bo znowu jakiś Szwab się napatoczy.

Korytarz był ciemny, a drewniane schody skrzypiały niemiłosiernie przy każdym kroku. Stanęli wreszcie przed drzwiami oznaczonymi dziewiątką. Ignacy zapukał głośno. W środku zrobił się ruch. Ktoś podszedł. Szczęknęły dwa zamki i w szparze uchylonych drzwi pojawiła się twarz starszej kobiety.

- O co chodzi? - spytała podejrzliwie.

- Czy ma pani elektryczne żelazko do pożyczenia? - Ignacy bacznie obserwował, jak się zachowa, słysząc umówione hasło.

Jej wzrok nagle złagodniał.

- Mam, ale tylko z duszą - odpowiedziała niepewnie.

- Może być z duszą. - Ignacy Pająk uśmiechnął się do niej.

Kobieta rozpromieniła się. Otworzyła drzwi na oścież.

- Zachodźcie, chłopcy, zachodźcie. Tyleśmy na was czekali.

Nieduży przedpokój prowadził do przestronnego, przytulnie urządzonego mieszkania. Na środku pokoju gościnnego stał wielki, prostokątny stół przykryty kolorowym, lnianym obrusem. W fotelu koło kaflowego pieca siedziała młoda dziewczyna. Wstała na ich widok. Podeszła do Julka i wyciągnęła rękę.

- Jestem Krysia Szumska. - Uśmiechnęła się.

Jej jasnoblonde włosy splecione w gruby warkocz uwydatniały ładny owal twarzy. Nie mogła się nie podobać i od razu przyciągnęła spojrzenia młodych mężczyzn.

- Warto było przelecieć pół Europy dla takiego powitania. - Julek podniósł jej dłoń do ust.

Dziewczyna delikatnie, acz stanowczo wysunęła rękę i przywitała się z pozostałymi.

- Pani Janina Macioszonek - zwrócił się do starszej kobiety Ignacy - dobrze pamiętam?

- Bardzo dobrze, synku - odpowiedziała gospodyni pogodnie. - Bardzo dobrze.

- Pani Janino, powiedziano nam, że skontaktuje nas pani z właściwymi ludźmi z podziemia. Nie chcielibyśmy pani niepotrzebnie narażać.

- Nic się nie martwcie. Siadajcie, chłopcy do stołu. Na pewno głodni jesteście. Krysia zaraz pójdzie, gdzie trzeba. Przyprowadzi kogoś z organizacji i ciotki.

- Ciotki? - zdumiał się Ignac. - Czyje ciotki?

- Jak to czyje? Wasze.

- Chłopaki, macie tu jakieś ciotki? - spytał swoich ludzi. - Julek, o ciebie pewnie chodzi.

- Skąd! Poza Warszawą mam rodzinę.

- Oj, zapomniałam, że wy przecież prosto z Anglii jesteście. - Pani Janina uśmiechnęła się po matczynemu.

- Wasi, co przed wami przyjechali, tak mówili o dziewczętach. Przez dwa tygodnie każdy nowy dostaje opiekunkę, żebyście się w Warszawie nie pogubili i żebyście się w nowej sytuacji umieli znaleźć. Ciotki to młode łączniczki. Bardzo fajne dziewczyny.

- Zaczyna mi się tu coraz bardziej podobać. - Bronek Bobrzyk uśmiechnął się od ucha do ucha. - Panna Krysia też ciotuchną jest? Bo jak tak, to zgłaszam się na ochotnika.

Krysia pokręciła przecząco głową, na co Bronek złapał się teatralnie za złamane serce.

- Oj, chłopcy, chłopcy - upomniała go wesoło pani Janina. - Widzę, że wam figle w głowie, a poważne zadania na was czekają.

- Proszę nie zwracać na Bronka uwagi - odezwał się Bolek. - Żadna go nie chce i dlatego się tak naprasza.

Krysia roześmiała się perliście. Janina Macioszonek poszła do kuchni przygotować jedzenie.

- Panowie, odpocznijcie sobie - powiedziała dziewczyna - będę za jakieś dwie godziny. Zabierzemy was na wasze kwatery.

To mówiąc, wyszła z mieszkania. Zaraz potem stół zappełnił się produktami żywnościowymi, których zdobycie w okupowanej Polsce graniczyło z cudem. Czegóż jednak nie robiło się dla żołnierzy, którzy specjalnie z Anglii przybyli, by walczyć ze zniechęconym okupantem.

Krysia prowadziła Julka ulicami Warszawy. Rozpoznawał je, choć wyglądały teraz jakoś inaczej. Zniknęła gdzieś ta charakterystyczna, przyjemna atmosfera. Może zdusiły ją wszechobecne insygnia hitlerowskich Niemiec. Ludzie też wydawali się przygaszeni. Długo go tu nie było i nie zdawał sobie tak naprawdę sprawy, jak wielkie mieszkańcy miasta mogą mieć po temu powody.

- Będziesz mieszkał u jednego piekarza - powiedziała dziewczyna, gdy stwierdziła, że za bardzo się rozgląda.

Takie zachowanie mogło niepotrzebnie zwracać uwagę.

- Jego żona nie wie, kim naprawdę jesteś. On tak. Będziesz u niego rozwoził pieczywo. Znasz miasto.

- Fajnie. Przynajmniej codziennie świeży chleb dostanę.

- Ty tak. Większość chleba Niemcy zabierają.

Doszli do wysokiego muru przegradzającego w poprzek ulicę.

- A to co?

- Getto. Nie mówili wam o gettcie?

- Coś słyszałem.

- Zamknęli tu wszystkich Żydów. Mówi się, że lepiej do piekła trafić niż do getta.

Prawdziwy koszmar.

Mężczyzna podszedł do ściany i przejechał po niej dłonią. Cegły były zimne.

- Ktoś stamtąd wychodzi?

- Legalnie?

- Obojętnie.

- Zdarza się. Ale to bardzo rzadkie przypadki. Najczęściej jest to podróż na tamten świat.

Dziewczyna sprawiała wrażenie innej osoby niż ta, którą po raz pierwszy zobaczył w

mieszkań Janiny Macioszonek. Poważna, zamyślona, zdawało się momentami, że nieobecna. Z gettem musiały wiązać ją jakieś osobiste przeżycia.

- Masz tam kogoś? - zaryzykował bezpośrednie pytanie.

Nie odpowiedziała. Nie spojrzała na niego. Utkwiła wzrok w bruku.

- Narzeczonego - powiedziała po dłuższej chwili.

- Miałam.

- Zginął?

- Zakatowali go, bo przyniósł nielegalnie parę ziemniaków dla głodującej rodziny.

- Jak miał na imię?

Spojrzała na niego. Dostrzegła współczujący wzrok.

- Dawid.

- Przykro mi. - Uścisnął jej dłoń. - Naprawdę.

Odwzajemniła uścisk.

- A ty masz kogoś? - starała się roz pogodzić. - Czeka na ciebie ktoś w Anglii?

- Pewnie by czekała, gdyby nie zginęła w nieszczęśliwym wypadku.

Stanęli przed poszarzałą, odrapaną kamienicą.

- To tutaj. Mieszkanie numer cztery. Człowiek nazywa się Jerzy Gębka. Już na ciebie czeka. Do widzenia.

Chciała odejść, ale zatrzymał ją.

- Tylko mi nie przydzielono ciotki...

- Jesteś kurierem. Nie potrzebujesz.

- Nie sądzisz, że mogę się w Warszawie zagubić i kłopotu sobie narobić?

- Nie sądzę - stwierdziła z lekkim uśmiechem. - Z pewnością dasz sobie radę.

- Ale jakbyś mi poświęciła parę dni, byłoby mi dużo łatwiej. - Nie odpuszczał. -

Chyba, że jesteś bardzo zajęta.

- Jestem.

- Jeden dzień?

- Może.

- Jak cię znajdę?

- Ja ciebie znajdę. Niebawem. Na razie, panie podchorąży Kwiatkowski. Może z ciebie też będzie dobry kurier. Kto wie?

Odeszła w głąb ulicy, zanim zdążył odpowiedzieć. Czyżby wiedziała? Czyżby informacja o zamianie kurierów już do Warszawy dotarła i rozeszła się po organizacji? Cholernie szybko. Wygląda więc na to, że w najbliższym czasie czeka go „spowiedź” w

dowództwie.

Drewniane krzesło było twarde i niewygodne. Kwiatkowski siedział przed kolegium dyscyplinarnym złożonym z trzech wysokiej rangi oficerów. Przeglądali dokumenty zgromadzone na jego temat w ciągu ostatnich kilku dni. Znajdowały się tam opinie przełożonych, kolegów z jednostki SOE, i Bóg jeden raczy wiedzieć co jeszcze. W każdym razie teczka zawierała imponujący plik papierów.

- Panie podchorąży - zwrócił się do niego major Piotr Wilga - rozumie pan, dlaczego się tu spotykamy?

Major był ponad pięćdziesięcioletnim mężczyzną o surowym spojrzeniu i ogorzałej twarzy. Jego niski, spokojny głos przyjemnie brzmiał w uszach.

- Tak jest, panie majorze.

- Zdaje pan sobie sprawę, że swoim nieodpowiedzialnym postępkami spowodował pan komplikacje w sprawnym działaniu organizacji państwa podziemnego?

- Zdaję sobie sprawę i jest mi z tego powodu naprawdę przykro, ale nie miałem innych możliwości dotarcia do kraju i walki zbrojnej z Niemcami. Moja ojczyzna jest pod okupacją i nie mogłem beczynnie czekać w Anglii. Nikt tam nie chciał mi pomóc.

Pułkownik Jan Bobrzański i jego kolega major Andrzej Urbańczyk słuchali z uwagą wywodów podchorążego. Bobrzański przypatrywał się młodemu żołnierzowi. Urbańczyk gryzmolił coś na kartce. Major Wilga ponownie zagłębił się w dokumentacji.

- Chwalebne, że tak się pan garnie do walki - powiedział pułkownik - ale w naszej sytuacji dyscyplina jest sprawą pierwszorzędą. Bez ścisłej dyscypliny Niemcy rozprawiliby się z ruchem oporu w mgnieniu oka. Pan tę dyscyplinę złamał.

- Ja to wszystko rozumiem, panie pułkowniku, ale proszę mi uwierzyć, że zrobiłem to dla wyższych celów. Nie po to mnie szkolono w SOE, żebym siedział w posiadłości lorda Hiltona i uprawiał jego ogródek. Co miałem zrobić, skoro nikt mnie nie chciał zabrać do Polski?

Major Wilga szepnął coś pułkownikowi do ucha. Pokazał mu jeden z dokumentów. Bobrzański przeczytał fragment tekstu i skinął głową. Trudno było stwierdzić, czy to dobry znak, czy zły.

- Mamy tu wszelkie informacje - podjął rozmowę Wilga - jakie udało nam się zdobyć na pana temat. Na przykład opinie pana kolegów z SOE, bardzo pochlebne. Opinia pana dowódcy, kapitana Stanisława Góry również bardzo dobra. Opinia majora Tadeusza Żądły, powiedziałbym, dwuznaczna: „Żołnierz o wybitnych umiejętnościach, niezłomnym

charakterze i poczuciu honoru, ale bywa niesubordynowany”. Niedobrze.

- Panie majorze, przyznaję, że zdarzały się problemy, ale nie z mojej winy.
- Pobicie angielskich oficerów w kantynie wojskowej.
- Obrona własna. I nie w kantynie tylko w kafejce.

Major podniósł na niego wzrok.

- Publiczne zelżenie angielskiego przełożonego.
- Finn to był kretyn. Nie rozumiał zwykłych życiowych sytuacji.
- Panie podchorąży, za takie coś tutaj poszedłby pan pod sąd wojskowy.
- Rozumiem. - Julek spuścił głowę. - Jestem gotów ponieść wszelkie konsekwencje.

- Z drugiej strony, akcja po tym, jak grupa została złapana po wylądowaniu, zasługuje na najwyższe uznanie. W działaniu bojowym sprawdził się pan doskonale. Tak twierdzą ludzie porucznika Pająka.

W Julku zaświtała nadzieja.

- Organizacja będzie miała ze mnie ogromny pożytek.

- Nie wątpię, panie podchorąży - włączył się pułkownik. - Na razie jednak jest pan zawieszony. Musimy się głęboko zastanowić, co zrobić w pańskiej sprawie. Proszę się zapoznawać z warunkami w mieście i czekać. Wkrótce zostanie pan poinformowany o decyzji.

- Tak jest.

- To wszystko. Żegnam, panie podchorąży.

Julek zasalutował przepisowo i opuścił pokój.

Przed bramą domu czekała go miła niespodzianka w osobie Krysi Szumskiej. Nie była tu przypadkowo. Wiedziała o przesłuchaniu i przyszła specjalnie dla niego.

- Cześć - rzuciła na powitanie. - Jak się spotkanie udało?

- Skąd wiedziałaś?

- Taką tu mam funkcję, żeby wiedzieć różne rzeczy.

- Wywiad?

- Nic więcej ci nie powiem, Julek. Chyba sam rozumiesz. Ale chodź, zabiorę cię na spacer.

Chłopak szedł w minorowym nastroju. Nie zauważał spojrzeń mijających ich młodych mężczyzn. Dziewczyna wyraźnie się podobała.

- Gdzie idziemy? - spytał, ciężko wzdychając.

- Do parku.

- Romantycznie. - Nastrój bardzo powoli zaczynał mu się poprawiać.

- Nie. Mniejsze szanse, że się wpadnie w łapance - powiedziała z uśmiechem. - I co, zawiesili cię?

- To też już wiesz?

- Nie mogli inaczej. Złamałeś procedury. W organizacji musimy ściśle trzymać się reguł. Każde odstępstwo od nich może stanowić śmiertelne zagrożenie. Z czasem sam zrozumiesz. Tu jest inaczej niż w Anglii.

- Pewnie masz rację. Ale...

- Nie pewnie. Na pewno mam rację. Dowództwo naprawdę wie, co robi.

- Marna to dla mnie pociecha.

Wzięła go pod rękę. Musiał przyznać, że bardzo spodobał mu się ten gest. Zrobiło się całkiem miło.

- Ale wszystko się ułoży - powiedziała optymistycznie. - Niedługo się na tobie poznają i dostaniesz swój przydział.

- Myślisz?

- Zobaczysz. Ja to wiem - zapewniła go solennie. - A teraz korzystaj z wolnego czasu. Pojedź za Warszawę. Z rodziną się spotkaj... Marysia tęskni za braciszkiem. Mama na pewno też.

Julek przystanął na moment. Popatrzył na nią zaskoczony. Pociągnęła go za sobą. Nie trzeba było zwracać niepotrzebnie uwagi.

- Mocną mamy służbę wywiadowczą - przyznał, przypatrując jej się nieufnie. - Gdzie mieszkają też wiecie?

- Cały czas u ciotki. Marysia z mamą pracują w szwalni.

- O każdym tak... informacje zbieracie?

- Nie. Tylko o tobie. - Uśmiechnęła się zagadkowo.

- Niby dlaczego akurat o mnie? - obruszył się. - Aż tak podpadłem?

- Bo z Marysią ładnych parę lat chodziłyśmy do jednej klasy - odpowiedziała pogodnie. - Cały czas się przyjaźnimy. I tyle.

Julek spojrzał wymownie w niebo. Mógł się domyślić.

- No tak - stwierdził trochę zły na siebie. - Marysia zawsze miała tabuny koleżanek.

- Z których co najmniej połowa podkochiwała się w jej bracie.

- Tak? - Uniósł brwi udając, że informacja ta jest dla niego zaskoczeniem. - A panna Krysia, w której połowie była?

- W tej drugiej, panie kawalerze - zawiodła jego oczekiwania. - W tej drugiej.

- A czemuż to? Nie podobałem się?

Otaksowała go wzrokiem krytycznie.

- Z wyglądu właściwie ujdzie. A z charakteru cię nie znam - powiedziała zalotnie.

- Jestem czarujący - pośpieszył z autoprezentacją - romantyczny, inteligentny, ujmujący w obejściu...

- I bardzo zarozumiały - dokończyła za niego. - Ale może i interesujący.

Doszli na skraj parku. Nie czuło się wojny. Gdyby nie widok niemieckich mundurów, co jakiś czas pojawiających się na horyzoncie, można by odnieść wrażenie, że są na normalnej, niezobowiązującej randce w wolnym kraju.

- Krysiu, ale tak poważnie, podobno nam nie wolno kontaktować się z rodziną. Bardzo chciałbym zobaczyć mamę i Marysię, ale nie chcę więcej kłopotów. Da się coś zrobić?

- Co się przejmujesz? - uspokoiła go. - Nie jesteś jeszcze w organizacji. Poza tym nikt nie musi wiedzieć.

- Mówiłaś niedawno, że dyscyplina, ścisłe trzymanie się reguł, śmiertelne zagrożenie...

- Bo tak jest.

- A teraz mi sugerujesz...

- Powiem ci szczerze, w tajemnicy. Ludzie od was z Anglii kontaktują się z bliskimi. Może nie wszyscy, ale duża część. Inaczej się nie da. Człowiek jest tylko człowiekiem. Dowództwo stara się nad tym panować. Nie będziesz wyjątkiem.

- Nie zdążyłem się jeszcze zorientować w transporcie publicznym. Pomożesz?

- Wsadzę cię w pociąg.

- Dzięki. Ale teraz, z piękną dziewczyną u boku... może by tak do kina?

- To ty nie wiesz, Juliuszu Kwiatkowski, że „tylko świnie siedzą w kinie”? - zaserwowała mu popularne powiedzenie.

Spochmurniał.

- Nie wiedziałem.

- Nie przejmuj się. Pospacerujmy. Jest piękna pogoda, błękit nieba nad nami. Cóż nam więcej trzeba.

- Masz rację. Dają tu gdzieś lody?

Dom ciotki Anieli Mistarz stał nienaruszony, jakby tu nigdy wojny nie było. Małe senne miasteczko żyło swoim powolnym rytmem. Ludzie wydawali się jacyś spokojniejsi. W sumie mieli prawo. Hitlerowskich mundurów się tu nie zauważało. Jedynie funkcjonariusze granatowej policji, choć rzadko widywani, najczęściej w poprawnych relacjach z lokalną

społecznością - byli oznaką panującej władzy.

W przydomowym ogródku zobaczył pochyloną nad grządkami starszą kobietę. Nie od razu rozpoznał w niej ciocię Anielcię. Miała mocno przyprószone siwizną włosy wystające spod zawiązanej pod brodą kolorowej chustki.

Wszedł na posesję przez rozpadającą się, drewnianą furtkę. Kobieta podniosła głowę i aż oniemiała. Poznała siostrzeńca natychmiast. Rzuciła na ziemię „pazurki”, którymi obrabiała grządki, i chwyciła Julka w ramiona. Wyściskała go serdecznie, zanim zorientowała się, że ma czarne od ziemi dłonie.

- Przepraszam cię, Juleczku, mam brudne ręce.

Stała jeszcze dobrą chwilę i patrzyła na niego z rozrzewnieniem. Oczy jej się zaszkliły.

- Nie szkodzi, ciociu - powiedział z uśmiechem. - Ależ ciocia ładnie wygląda. Pozazdrościć - dodał pogodnie.

- Co też ty mówisz, chłopcze. Chodź do domu. Na pewno głodny jesteś. Zaraz ci coś przygotuję. Tylko ręce umyję.

Posadziła siostrzeńca przy owalnym stole przykrytym białym obrusem i wyszła do łazienki. Julek rozejrzał się po pomieszczeniu. Niewiele tu się zmieniło od czasu jego ostatniej wizyty przed wybuchem wojny. W ogóle niewiele się tu zmieniło, od kiedy zmarł wujek. Na początku cioci Anieli było bardzo ciężko. Mama często ją odwiedzała. Z czasem kobieta doszła do siebie po śmierci męża. Byli bezdzietni, więc ich duży dom wydawał się taki pusty. Wejście Anieli przerwało wspomnienia. Niosła przed sobą talerz gorącej zupy, który postawiła przed Julkiem i wręczyła mu łyżkę.

- Pomidorowa - ucieszył się.

- Masz dzisiaj szczęście, chłopcze. Taka jak lubisz. Jedz na zdrowie. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Na drugie są pierogi ze śmietaną albo z cebulką, jak kto woli.

- Pyszności. Ciocia wie, jak człowieka ugościć. - Zabrał się za zupę. Po kilku łyżkach spytał: - A mama i Marysia gdzie?

- Jak raz powinny z pracy wrócić. - Ciotka spojrzała odruchowo na zegar ścienny. - Ale się ucieszą, jak cię zobaczą. Myśmy cię tu już prawie oplakały. A Marysia cały czas mówiła, że czuje, że żyjesz.

- Ciocia nie ma pracy?

- Sprzedaję warzywa na targu. Zawsze jakiś grosz. I przyjmuję rzeczy do prania. Nawet z Warszawy. Radzimy sobie jakoś we trójkę. Zostaniesz z nami, prawda? Tutaj u nas spokój, jakby wojny nie było.

- Właśnie zauważyłem. Nie to co w Warszawie. Człowiek potyka się o szkopów.
- W Warszawie ci powiedzieli, gdzie rodziny szukać?
- Spotkałem koleżankę Marysi. Z klasy. We wrześniu '39 dozorca też mi mówił, ale wtedy jakoś się nie złożyło.

- To gdzie ty się tyle czasu podziewał?

- Dużo by mówić.

- Jeszcze zdążymy się nagadać. - Ciocia Aniela zabrała pusty talerz. - Wojna tak szybko się nie skończy.

Kobieta wyszła do kuchni i wróciła z talerzem pachnących pierogów.

- Dzisiaj przed wieczorem muszę być w Warszawie - powiedział Julek, biorąc w dłoń widelec.

- A po cóż to? - Ciotka złożyła ręce jak do modlitwy. - Przecież w Warszawie łapanki. Na ulicy rozstrzelują. Gdzie ci będzie lepiej niż tutaj? Marysię też ostatnio do Warszawy nosi. No bój się Boga!

Skrzypnęły drzwi wejściowe i do pokoju weszła Helena Kwiatkowska z córką. Julek wstał od stołu.

- Matko Boska! - krzyknęła Kwiatkowska i podbiegła do syna. - Julek, synku mój!

Złapała go mocno w ramiona i wyściskała z całej siły. Marysia stała obok i trzymał się za głowę, nie wierząc własnym oczom.

Matka wreszcie puściła go z objęć.

- Wiedziałam, że wrócisz. - Marysia skorzystała z okazji i teraz ona wzięła brata w ramiona. - Mama i ciocia traciły nadzieję, a ja wiedziałam.

- No dość tych powitań - wtrąciła się ciotka. - Dajcie chłopakowi zjeść.

Julek ponownie usiadł do stołu. Matka go nie odstępowała. Nie mogła się nacieszyć obecnością syna. Patrzyła na niego z ogromną ulgą. Dziękowała w duchu niebiosom, że jej go wróciły. Mężczyzna tymczasem pochłaniał pieroga za pierogiem.

- Zostaniesz tu z nami, synku - powiedziała Helena, głaszcząc go po głowie. - Znajdziemy ci jakąś pracę i razem doczekamy końca wojny.

- On się dzisiaj jeszcze do Warszawy wybiera - stwierdziła ciotka cierpko.

Matka spojrzała na syna zdumiona.

- Julek, o czym ciocia mówi?

Julek odsunął talerz.

- Mamo, kwateruję w Warszawie i dziś jeszcze muszę wrócić.

- Poszaleli ci młodzi. - Helena Kwiatkowska załamała ręce. - No zupełnie dzisiaj

poszaleli. Marysi mało Niemcy nie zastrzelili, jak się w jakąś konspirację wdała, a teraz ten mi tu „kwateruje” w Warszawie. Synku, nie jesteś już w wojsku. Nie musisz nigdzie „kwaterować”.

- Ale mammo...

- A jeżeli już musisz - nie dała sobie przerwać - to kwateruj tutaj, u cioci. Prawda Anielcia? - Ciotka energicznie pokiwała głową. - Nie ma już polskiego wojska i nie obowiązuje cię służba.

- Jest, mamusiu, jest - powiedział spokojnie. - Silniejsze, niż by ci się wydawało. I nadal obowiązuje mnie przysięga wojskowa.

- Nie chcę tego słuchać. Marysia, powiedz mu coś. On jeszcze nie wie, co Niemcy wyrabiają. Z księżycą spadł.

- Nie z księżycą, tylko z angielskiego samolotu transportowego. - Julek pośpieszył ze sprostowaniem. - Na spadochronie. Z kilkoma innymi żołnierzami.

- A cóżeś ty w Anglii robił? - Kwiatkowska wzniosła ręce jak ksiądz podczas mszy. - Jeszcze tam cię nie było?

- Szkoliłem się do walki z okupantem. Żeby Polskę wyzwalać.

- Ty wiesz, ilu takich wyzwolicieli w mogile leży? Hitlerowcy mordują bez mrugnięcia okiem. Byłeś w tej twojej Anglii i nie wiesz, co się tu dzieje. Synku, zostań z nami. Raz posłuchaj rady starej matki.

- Nie mogę, mamusiu. Mam rozkazy.

- Anielcia, może ty mu przemówisz do rozumu - matka zwróciła się w desperacji do swojej siostry. - Ja nie potrafię.

- Julek, mama ma rację. - Ciotka podjęła próbę przemawiania do rozumu. - Gdzie ci będzie bezpieczniej?

- Siostra, też tak uważasz? - zwrócił się do Marysi.

Dziewczyna spuściła wzrok na moment, jakby zobaczyła coś na podłodze. Rozumiała brata doskonale. Wiedziała, co się dzieje w ruchu oporu. Wiedziała, że Polska podziemna walczyła. Spojrzała na matkę.

- Mamusiu, tak trzeba - powiedziała niemalże szeptem. - Julek wie, co robi i na pewno będzie ostrożny. Dobrze mówię, brat?

- Jak zawsze - ucieszył się Julek, że choć u niej znalazł oparcie.

Helena Kwiatkowska usiadła przy stole.

- Obiecuj, że będziesz regularnie przyjeżdżał, żebym się nie martwiła.

- Jak tylko będę mógł.

- To teraz opowiadaj, co się przez ten cały czas z tobą działo.

Piekarz Antoni Kosik, u którego Julek mieszkał, był jowialnym, korpulentnym człowiekiem z uśmiechem przyklejonym do ust. Humor go nigdy nie opuszczał. Zarażał pogodą ducha od świtu do nocy.

- Panie szanowny - gospodarz rano zapukał do drzwi pokoju zajmowanego przez Julka. Jego żona, sporo od niego młodsza, całkiem przyjemna kobieta, krzątała się po kuchni. - Na randkę się pan szykuj. Przyszła panna cudnej urody. - Cmoknął w trzy palce dla dodania efektu. Jednocześnie dostrzegł niezadowoloną minę małżonki. - Nie tak cudnej jak moja kochana żoneczka, oczywiście. - Posłał jej całusa, co kobieta skwitowała wzruszeniem ramion, czym zresztą Antoni nie przejął się w najmniejszym stopniu.

Julek wyszedł do kuchni. Kosik poruszył brwiami kilkakrotnie i ledwie zauważalnym ruchem głowy wskazał stojącą w progu Krystynę Szumską. Uniósł dłoń na wysokość brzucha i wskazującym sufit kciukiem, ale tak, żeby Kosikowa nie widziała, wyraził najwyższe uznanie dla gościa sublokatora.

- Co za miła niespodzianka. - Julek podszedł do niej i szarmancko ucałował jej dłoń na przywitanie.

Żona gospodarza rzuciła mężowi wymowne spojrzenie: „Czemu ty taki nie jesteś?”

- Niedziela dzisiaj - powiedziała Krysia. - Zabieram cię. Na Bielany.

Antoni Kosik pokiwał głową z uznaniem.

- Może coś zjecie najpierw - zaproponowała życzliwie Kosikowa. - Zaraz będzie śniadanie.

- Bardzo pani miła - odpowiedziała dziewczyna - ale zjemy coś na mieście. Szkoda dnia.

Julek spojrzał łapczywie na kanapki na stole. Zawsze były przepyszne, choć bez wędlin, których zdobycie w okupowanej Warszawie nastęrczało ogromnych trudności.

- Takich na mieście nie zjemy. - Kwiatkowski wzrokiem wskazał je Krysi i w chwilę schwycił w locie po jednej dla siebie i dziewczyny.

Do Bielan dojechali kolejką. Nie byli pierwsi. Wielu warszawiaków wpadło na ten sam pomysł. Robiło się naprawdę tłoczno.

- Jak mnie tak dalej będziesz zabierała na romantyczne spacerzy - powiedział jej Julek do ucha - to się w tobie zakocham. Jak Bóg na niebie.

Popatrzyła na niego dwuznacznie.

- I co wtedy?

- Będziesz miała problem.

- Ja?

- Nie dam ci spokoju.

- Tak? - powiedziała z powątpiewaniem.

- Nie wierzysz?

Wydeła usta. Trudno było odgadnąć, co to miało znaczyć. Spojrzała dyskretnie za siebie i na boki.

- Mam dla ciebie wiadomość od góry - oznajmiła, poważniejąc w jednej chwili.

Julkowi serce szybciej zabiło.

- I co?

- Dużo ludzi się za tobą wstawiło. Dostajesz przydział - oświadczyła z uśmiechem. - Będziesz z kolegami z Anglii: Władkiem Hanćkowiakiem i Kazikiem Pogodą. Gratuluję.

Juliusz Kwiatkowski czuł całym ciałem, że szczęście się do niego zaczyna uśmiechać. W przyływie radości porwał Krysię w ramiona i zakręcił. Dziewczyna krzyknęła zaskoczona.

- Puść mnie. - Próbowwała się wyrwać, ale nie wkładała w to zbyt wiele wysiłku. - Co robisz? Ludzie patrzą.

W końcu ją uwolnił.

- Przepraszam, ale nie mogłem się powstrzymać. - Postawił ją na nogi. - Od dawna nikt mi nie przyniósł tak dobrych wiadomości.

- Strach ci coś mówić. Gotów byś mnie udusić.

- Nie udusiłbym.

Szedł obok i co chwilę zerkał na nią z ukosa.

- Co? - spytała wprost.

- Mówił ci ktoś, że piękna z ciebie dziewczyna?

Skrzywiła koralowe usta.

- Co chwilę mi mówią. Ameryki nie odkryłeś.

„Pierwsze koty za płoty” pomyślał Julek. Krysia Szumska jawiła się jako niezwykle trudna twierdza do zdobycia. Tym bardziej zaczęła go intrygować.

- Ładnie tu. - Wciągnął do płuc powietrze. - Ten goły facet zawsze tu biega? Popatrz, jak go Pan Bóg stworzył. Że się ludzi nie wstydzi...

- Jaki goły facet? - spojrzenie dziewczyny powędrowało za wzrokiem Julka. - Gdzie?

- Nigdzie. - Kwiatkowski uśmiechnął się szelmowsko. - Byłem tylko ciekaw, czy cię to zainteresuje.

Krysia zmarszczyła kształtny nosek.

- Też coś. Mógłbyś trochę spoważnieć.

- Mógłbym.

- Więc?

- Ale na razie nie chcę.

- Jak bym cię nie znała, pomyślałabym, że masz w głowie fiu-bździu.

- Nie znasz mnie, Kysiu - powiedział całkiem serio. - Może powinnaś naprawić ten błąd.

- Może.

Robił na niej wrażenie już właściwie od początku. Nie darmo koleżanki z klasy obierały go sobie przed wojną za obiekt platonicznych westchnień. Jej też nie pozostawiał obojętną. Bez wątpienia miał w sobie to „coś”. Ale za żadne skarby świata nie przyznałaby mu się do tego. A już na pewno nie teraz.

ROZDZIAŁ 13

- Przejmiecie kuriera - instruował swoich ludzi kapitan Jan Czerny. - Będzie miał ze sobą bardzo ważne papiery. Na miejscu zdecydujecie, czy lepiej je zakopać i potem odebrać, czy można je od razu wieźć do Warszawy. Wszystko jasne?

- Jasne - potwierdził Władek Hanćkowiak.

Julek Kwiatkowski i Kazik Pogoda przytaknęli.

- Świetnie. Tylko pamiętajcie, bez „kozakowania” po drodze. Bierzecie kuriera i do Warszawy.

- Panie kapitanie - zaprotestował Władek - przecież pan nas zna. Akcja będzie bez pudła. Jak zwykle.

- Właśnie. Znam was, panowie, i dlatego mówię. Gdyby coś, nie daj Boże... to kuriera za kołnierz i w nogi. Chyba że w ostateczności... wiecie, o co chodzi, nie?

- Wiemy - odparł Hanćkowiak.

- To ciebie też dotyczy, Julek. - Kapitan zwrócił się bezpośrednio do Kwiatkowskiego.

- Dowództwo ciągle pamięta, żeś „na gapę” do kraju przyleciał.

- Panie kapitanie, co miałem robić? Wszyscy do Polski lecieli bić Szwaba, a ja miałem siedzieć w Anglii u lorda Hiltona?

- Swoją drogą i tak nieźle trafiłeś. Ten lord to mocny gość. Ale nieważne. Chłopaki za ciebie zaręczyli. Wchodzisz do akcji można powiedzieć warunkowo. Sprawisz się, dowództwo inaczej na ciebie będzie patrzeć. Nawiasem mówiąc, ten kurier to ten sam, coś go wtedy wykołegował z przerzutu. Pewnie będzie chciał ci podziękować - dodał kapitan z przekąsem.

- Nie będzie tak źle.

- No myślę. Dobra. Ruszacie dzisiaj wieczorem. W nocy macie być na strefie zrzutu.

Pytania?

- Panie kapitanie - Władka wyraźnie nurtowały jakieś wątpliwości. - Ten czwarty..., niepotrzebny. My we trzech damy radę. Nie trzeba nam obcego.

- Poruczniku Hanćkowiak - głos kapitana przybrał surowy ton, gdy zwrócił się do Władka, dowódcy grupy, i jedynego oficera w jej składzie, który awans otrzymał jeszcze przed skokiem do kraju - przypominam, że to nie jest towarzystwo wzajemnej adoracji. Obowiązuje dyscyplina wojskowa. Wszystkich.

- Tak jest.

- Czwarty jest dla dodatkowego bezpieczeństwa. Poza tym, to porządny chłopak.

Znam go. Z jego ojcem biliśmy bolszewika w '20. Kazałem mu przyjść trochę później, żeby...

Do opuszczonej hali fabrycznej wszedł szczupły, młody mężczyzna. Spod czarnej czupryny spoglądały na nich mądre, lekko melancholijne oczy. Rzucił kilka krótkich spojrzeń na obecnych i skinął głową kapitanowi.

- Plutonowy Jan Brochwicz - przedstawił się kolegom oficjalnie i czekał na reakcję. - Spóźniłem się?

- Nie spóźniłeś się, Janek. - Kapitan Jan Czerny podszedł do niego. - Poznaj chłopaków. Władek - Hanćkowiak uśmiechnął się zawadiacko - Julek - Kwiatkowski przyłożył palec do czoła, markując wojskowy salut - i Kazek - ponury Pogoda zagryzł usta. Nie wiadomo było, co ten gest miał oznaczać. - Będziesz w grupie najniższy stopniem. Władek to porucznik, pozostali to podchorążowie.

- Rozumiem. - Oficjalny ton nowego zaczynał przeszkadzać Władkowi.

- Będziesz nam po piwo skakał, bracie - oświadczył wesoło Hanćkowiak i klepnął go po plecach. - Najmłodszy jesteś.

- Chyba nie po to wstąpiłem do ruchu oporu... - Janek ewidentnie nie załapał niewinnego żarciku.

Władek uniósł brwi i spojrzał na kolegów. Jego mina mówiła sama za siebie: „Ale się nam towarzysz trafił”.

- Poruczniku, żart nie na miejscu - upomniał Władka kapitan. - Plutonowy to dobry żołnierz, tylko...

- Trochę nieprzytomny? - wyrwało się Julkowi.

Czerny zmarszczył brwi.

- Widzę, że jesteście, panowie, dzisiaj w doskonałych humorach - stwierdził kapitan kwaśno.

- Kazek nie. Wystarczy spojrzeć. - Hanćkowiak ruchem brody wskazał przyjaciela. - Mina, jakby mu krasuła zdechła.

Pogoda skrzywił się okropnie.

- I jego porucznikiem zrobili - powiedział żałośnie.

- Nie przystoi.

Kazimierz Pogoda silił się na złośliwość, ale doskonale sobie zdawał sprawę, że Hanćkowiak dostał stopień oficerski w pełni zasłużenie. Nie było wątpliwości, że Władek miał odpowiednie cechy, zdolności przywódcze, umiejętności postępowania z ludźmi, potrafił zachować zimną krew, gdy była taka potrzeba (podobnie zresztą jak Julek, ale ten był ciągle jeszcze w niełasce). Czasem tylko to złośliwe poczucie humoru mogło denerwować. Z

Julkiem za to dogadywali się znakomicie.

- Poruczniku, dowodzisz bardzo ważną akcją - przełożony przywołał Władka do porządku. - Trochę powagi nie zaszkodzi.

- Przepraszam, panie kapitanie. To dla uspokojenia napiętej atmosfery. - Władek spoważniał w jednej chwili. Znowu stał się rasowym dowódcą, jakiego widzieli w nim przełożeni. - Wszyscy sobie doskonale zdajemy sprawę z wagi zadania.

- Na dworzec idziecie osobno i spotykacie się w pociągu. Jakiś patrol mógłby się niepotrzebnie przyczepić. Dalej już wszystko wiecie.

- Tak jest, kapitanie - potwierdził Hanćkowiak.

- Liczę na was, chłopaki. Od powodzenia tego zadania wiele zależy. Jasne?

Członkowie grupy Władka przytaknęli jeden po drugim. Janek Brochwicz najenergiczniej, a przynajmniej tak innym się wydawało.

Ponad godzinę później wsiadali dla bezpieczeństwa do różnych wagonów. Spotkają się, jak ewentualne zagrożenie ze strony niemieckich żandarmów zostanie na peronie.

Władek, jak się można było spodziewać, znalazł sobie miejsce siedzące. Dwaj przyjaciele szybko do niego dołączyli.

- Gdzie Janek? - spytał ich dowódca.

- Nie wiem - odparł Pogoda. - Powinien być.

Hanćkowiak popatrzył na Julka. Kwiatkowski pokręcił przecząco głową.

- Miejmy nadzieję, że jest gdzieś w pociągu. Jak zaraz nie przyjdzie, trzeba będzie go poszukać.

- A jak go gdzieś zatrzymali? - Kazek tradycyjnie wyraził swoje „optymistyczne” podejście do sprawy. - Wie o akcji. Albo jeszcze gorzej, jak on jest...

- Kaziu - przerwał mu Władek - przez twoje gadanie wojnę przegramy.

- A idźże... - obruszył się Pogoda.

Z drugiej strony, dowódca wiedział, że Kazimierz ma rację. Pół biedy, jeśli Janek wpadł na przykład w łapance. Nie będzie sypał. Nikt zresztą od razu nie przesłuchiwałby go, szczególnie pod kątem jego współpracy z podziemiem. Byli całkowicie bezpieczni. We trójkę bez problemu mogliby przeprowadzić całą akcję. Dużo gorszy scenariusz przyszłych wydarzeń jawił się w przypadku, gdyby jakimś cudem kapitan Czerny pomylił się co do Brochwicza. Ludzie stawali się niemieckimi konfidentami z różnych powodów. Właściwie nikomu nie można było ufać do końca. Jeżeli plutonowy Brochwicz ich zadenuncjował, akcję należałoby natychmiast odwołać. Nawet jeśli Janek nie zna dokładnego miejsca zrzutu kuriera, a tak pewnie jest, to by zorganizowano obławę, przez którą by się nie przebili. Nie

wiadomo też, czy udałoby się powiadomić Londyn, żeby samolot nie startował. Chyba, że start już nastąpił, co również było możliwe. Decyzję należało podjąć natychmiast i w razie czego, jak najszybciej dotrzeć z powrotem do Warszawy.

Gorączkowe rozważania przerwało pojawienie się Janka.

- Już jestem - zameldował plutonowy.

Władek spojrział ostentacyjnie na zegarek.

- Nie śpieszyłeś się.

- Jedna starowinka nie dawała sobie rady z tobołkami. Pomogłem. Potem znalazłem jej miejsce do siedzenia. Sama była. Nikt...

- Posłuchaj, Jasiu - dowódca wszedł mu w słowo - powiem tylko raz. Było polecenie „natychmiast”. Nie rozumiesz po polsku, chłopie? Od tego, jak będziesz wykonywał polecenia - Władek ściszał głos, ale też specjalnie unikał słowa „rozkaz”, bo w wagonie przecież nie byli sami - może zależeć życie moje, chłopaków i twoje też. Dociera?

- Tak jest, panie... - Hanćkowiak zmroził go spojrzeniem. Janek opamiętał się w ostatniej chwili. Słowo „poruczniku” nie padło - ... kierownik - dokończył przytomnie.

Widać było, że Jan Brochwicz zrozumiał swój błąd. Ostre słowa przyjął z pokorą. Był młody, młodszy od nich i jeszcze nie bardzo doświadczony. Pewnie dlatego kapitan przydzielił go do ich grupy. Chciał, żeby zrobili z niego „ludzi”. Ale żeby od razu na akcję? Kapitan musi mieć o nim wyjątkowo dobre zdanie.

- Świetnie, kolego - odezwał się Władek łagodniej. - Powiedz nam, skąd się w ogóle wzięłeś.

- Jestem z Warszawy. Z matką mieszkamy na Fredry.

- A co porabiasz w życiu? Oprócz pomagania starszkom, oczywiście.

Janek przełknął złośliwy komentarz.

- Pracuję w drukarni i piszę.

- Co piszesz?

- Wiersze - odparł chłopak w sposób, jakby ten fakt był rzeczą najzupełniej oczywistą.

- Wiersze? - dopytał się Władek.

Dwaj pozostali byli nie mniej zaskoczeni.

- Co się dziwisz? Wiersze.

Spojrzeli po sobie. „Nowy” był dziwniejszy, niż się na początku mogło wydawać, jeszcze do tego poeta im się trafił. Ciekawi byli, co potrafi poza składaniem rymów.

- A o czym te wiersze piszesz? - indagował go Hanćkowiak.

- O wszystkim, co mnie wzrusza, zachwyca...

- O panienkach?

- O dziewczętach - poprawił go Janek. - Słowo „panienka” źle się kojarzy. Ale tak, piszę o pięknie w każdej postaci.

- Jasiu, a że się tak głupio spytam - wtrącił się Julek - strzelać ty umiesz?

- Umiem.

- A strzelałeś już kiedyś do człowieka?

- Nie.

- Wiesz, co może być, jak się zawahasz?

- Może zginąć któryś z was.

- I co ty na to?

- Nie zawaham się.

Janek Brochwicz odpowiedział z niezachwianą pewnością siebie. Był wysoki, ale sprawiał wrażenie dość wątlęgo. Jednak sposób, w jaki z nimi rozmawiał, niósł w sobie swego rodzaju stanowczość i nieugiętość. Władek czuł instynktownie, że na tym młodym plutonowym, mimo jego poetyckiego dziwactwa, będzie można polegać.

Niedużą polaną otaczał gęsty las. Samolot nie wylądowałby tu, ale szkolony spadochroniarz bez większego problemu.

Poczekali cierpliwie, aż zapadną ciemności. O północy rozpalili ogniska sygnalizacyjne. Czas płynął. Nasłuchiwali znajomego jeszcze z Anglii warkotu maszyny. Niebo było pogodne. Tylko nieliczne chmury mogły ograniczać widoczność.

- Już powinien być. - Kazek zaczynał się niecierpliwić.

- To nie ekspres Berlin-Warszawa, kolego - odpowiedział mu Władek. - Cierpliwości. Masz, zapal sobie.

- Wyciągnął do niego paczkę papierosów.

- Teraz? - Zdziwiło go podejście Hanćkowiaka.

Można by odnieść wrażenie, że zupełnie się akcją nie przejmuje. Jednak wrażenie to było mylne. Dowódca wewnątrz był maksymalnie skupiony. Widział, że Pogoda jest nieco podenerwowany. W gruncie rzeczy nie bez słuszności. Teoretycznie. Niemcy mogli przecież dostrzec samolot i postawić w stan gotowości swoje wojska, stacjonujące gdzieś w pobliżu. To oznaczałoby spore kłopoty. Ale musieliby mieć pecha. A Władek zawsze mówił o sobie, jako o dziecku szczęścia, co czasem drażniło Kazika, bo w jego mniemaniu oznaczało to kuszenie losu.

- Młody?

Ta sama oferta skierowana została do Janka. Zaprzeczył ruchem głowy. Władek

zerknął na Julka. Ten uśmiechnął się i puścił oko. Rozumieli się bez słów. Juliusz Kwiatkowski był gotów do działania. Nie musiał uspokajać nerwów dawką nikotyny.

Wreszcie usłyszeli wyczekiwany dźwięk. Na niebie pojawiła się maleńka sylwetka samolotu. Po chwili odpadła od niego czarna kropka - spadochroniarz rozpoczął podróż ku polskiej ziemi. Spadał powoli. Stanowił teraz doskonały cel dla przypadkowego żołnierza niemieckiego. Na szczęście nic niepokojącego się nie działo. Wkrótce człowiek wylądował na polanie. Cała czwórka podbiegła do ognisk i sprawnie je ugasiła. Trzeba było zamaskować ślady, jak najlepiej się dało. Niemcy mogliby się domyślić i w przyszłości obserwować miejsce ewentualnego kolejnego zrzutu.

Julek i Kazik podbiegli do skoczka. Pomogli mu wydostać się z uprzęży. Sprzęt spadochronowy zaraz potem został zakopany. Pod ochroną drzew było już bezpiecznie.

- Cześć, kolego - Hanćkowiak przywitał się jako pierwszy. - Władek jestem.

- Staszek... Szelaż - przedstawił się kurier.

Uścisnęli sobie dłonie.

- To jest Kaziu - przedstawił Pogodę - nasz wesolek... - Ponura mina Kazimierza Pogody zadawała oczywisty kłam komentarzowi Władka, co tym bardziej nie uszło uwadze Szelaża. - Ten młody to Janek, nasz poeta organizacyjny - nastąpił kolejny uścisk ręki. - A Julka to podobno już znasz.

- Tobie to w pysk powinienem dać za to, coś mi w Anglii zrobił.

Otwarty konflikt zawisł w powietrzu. Hanćkowiak się zaniepokoił. Nie wróżyło to dobrze.

- Wal. Nie będę się bronił - powiedział Kwiatkowski z rozbrajającą szczerością. - Masz prawo.

Szelaż zmierzył go spojrzeniem i... wyciągnął do niego rękę.

- Popytałem potem o ciebie. Chłopaki mówili, że jesteś w porządku.

Zarzewie konfliktu zgasło. Dowódca nie musiał robić za rozjemcę.

- Skoroście sobie wszystko wyjaśnili, idziemy - zakomenderował Władek. - Musimy cię, Stasiu, do stolicy dostarczyć. Podobno ważne papiery wiesz.

Jeszcze raz rzucił okiem na kuriera. Szelaż nie miał przy sobie żadnej teczki lub czegokolwiek, gdzie mógłby dokumenty schować.

- Zgadza się.

- Za pazuchą?

Kurier klepnął się w brzuch. Rozpięta kurtka odsłaniała szeroki pas na brzuchu.

- Cholernie ważne dokumenty. I ciężkie. Mógłbyś za nie kupić sobie parę porządnych

kamienic w Warszawie.

Władek i jego towarzysze domyślili się, co miał na myśli. Staszek przywiózł środki finansowe na działalność podziemia. W rzeczy samej niezwykle cenny transport. Trzeba go teraz pilnować jak oka w głowie. Finansowe wsparcie, jakie otrzymali z Anglii, w żadnym razie nie może się dostać w ręce Niemców.

Czekanie do świtu upłynęło na rozmowach, wspomnieniach sprzed wojny i sprawdzaniu broni. Może się przydać. Musi działać niezawodnie. Julek opowiedział Staszce swoją historię. Starał się wytłumaczyć z niehonorowego postępków. Właściwie nie musiał, ale zależało mu na tym, żeby Szeląg nie miał o nim złego zdania. Janek zapisywał coś w mikroskopijnym kajeciku. Władek przymknął oczy i starał się przewidzieć trudności, na jakie mogą się natknąć w drodze do Warszawy. Wymyślał potencjalne problemy i od razu je rozwiązywał. Wiedział, że w pełni może liczyć na Julka i Kazka.

Młody Janek stanowił swego rodzaju zagadkę. Ale skoro kapitan im go przydzielił, należało zakładać, że będzie w razie czego z chłopaka pożytek. Kurier też na pewno przeszedł odpowiednie szkolenie. Wychodziło na to, że w razie czego powinni dać sobie radę, choć szanse dotarcia do stolicy bez przeszkód były zdecydowanie większe niż możliwość starcia się z hitlerowcami. Niczego jednak nie wolno było wykluczać.

Gdy zrobiło się już zupełnie jasno, wyszli z lasu. Rozdzielili się, żeby nie zwracać zbytnej uwagi. Władek szedł z kurierem, a pozostali dobre kilkadziesiąt metrów za nimi. Nie spuszczała się z oczu, cały czas gotowi do podjęcia odpowiednich działań.

- Skąd jesteś, Stasiu? - spytał Władek niezobowiązująco.

Szeląg spojrzał na kompana.

- Julek ci nie mówił?

- Julek? Skąd miałby... a no tak. - Hanćkowiak domyślił się.

- Męskie zwierzenia przy wódce. Kapujesz, nie?

- Julek to potrafi.

- Oj, potrafi. Ale z Gdańska jestem, jakby co.

- Bohaterskie miasto.

- Już to od kogoś słyszałem. - Szeląg uśmiechnął się kwaśno. - A ty? Warszawiak pewnie.

- Z Krakowa.

- A oni?

- Julek z Warszawy, Kazek spod Lublina. Małorolny, ale kształcony. Porządny chłop.

- Janek?

- Nowy. Wczoraj do nas dołączył.
- Naprawdę poeta?
- Sam mówił, to chyba tak.
- Spokojny jakiś.
- Taki cichociemny trochę.
- Słyszałem, jak o was tak ktoś mówił.
- O nas?
- O was. O polskiej sekcji SOE. „Cichociemni”.
- No popatrz. Brzmi w sumie nieźle. Cichociemni - powtórzył Władek dla efektu. -

Czemu nie.

Rozmowę przerwał widok człowieka w oddali. Najeżdżał z naprzeciwka na rowerze. Wyraźnie się śpieszył, bo kręcił, ile sił w nogach. Szybko się zbliżył i Władek ku swojemu zdumieniu rozpoznał kolegę w osobie Antosia Maciejki. Zziąjany Antoś zatrzymał się przed nimi. Złapanie oddechu zabrało mu dobrą chwilę. Widać było, że gnał do nich na złamanie karku.

- Antoś? - odezwał się Hanćkowiak. - Ty co...?

- *Szczęści, że ja was zdybał*¹¹. Pilny rozkaz - wydyszał Maciejko. - *Znaczy si, zadanie dla was. Góra si dowiedziała, że szkopy naszego pułkownika w furdygarni*¹² *majo. Nie wiedzo kogo mają. Na razi. Tu niedaleczko na posterunku pod miasteczkiem jest i trochę jeszcze ludzi. Trza by go odbić, bo go wywiozo, nie wiadomo gdzie. Góra si pyta, czy rady dacie.*

- Posterunek, we czwórkę mamy wziąć?

- Ja był i widział. Dwóch na zewnątrz i paru w środku. Zaskoczmy ich. Powinno się udać. I pięciu teraz jest nas.

- Nie pięciu, Antoś. Ktoś musi z kurierem zostać.

Trzej pozostali doszli do rozmawiających.

- Co się dzieje? - spytał Julek i podał rękę Antosowi.

Kazik również ucisnął dłoń koledze.

- Robota jest. Antoś przywiózł informację, że niedaleko na posterunku naszego pułkownika trzymają. Nie zdają sobie sprawy, kto im się trafił. Pewnie złapali go przypadkiem. Jak go wywiozą na przykład do Warszawy, to się połapią i będzie niedobrze.

¹¹ Znalazł; spotkał (gwara lwowska)]

¹² Więzienie (gwara lwowska)

- No właśnie - potwierdził Maciejko. - *Trza by go odbić.*

- Jezusie Nazareński - odezwał się Pogoda - we czwórkę mamy posterunek brać?

Kazik nie wziął pod uwagę Janka.

- Już to robiliśmy - uspokoił go Władek. - Nie pamiętasz, w Anglii? Posterunek kolejowy.

- Tam nie było wojska.

- Jak nie było? Przecież jechali z odsieczą. Sam żeś ich zatrzymywał.

- Na posterunku nie było.

Pogoda pociągnął nosem. Argumenty Władka nie wzbudziły w nim optymistycznego nastawienia.

- Chyba nie pękasz, podchorąży Pogoda?

- Ja nigdy nie pękam.

- Julek?

- Idziemy. Bez dwóch zdań.

- A ja? - Janek postanowił zmanifestować swoją obecność. - Co mam robić?

- Swoje - odpowiedział dowódca. - Idziecie ze Staszkiem do lasu. Czekacie koło polany. My do was dojdziemy i pomyślimy, co dalej. Jakby co, to zakopujecie towar i do Warszawy z meldunkiem.

- Też chcę iść na akcję. - Jankowi nie przypadła do gustu rola opiekuna kuriera.

- Nie tym razem, Jasiu. Jeszcze nie raz będziesz miał okazję dać się zabić.

- Tak jest - odpowiedział Brochwicz niepokieszony.

Janek i Stanisław Szelaąg zawrócili drogą do lasu. Władek z Antosiem poszli przodem. Julek i Kazek trzymali się kilkadziesiąt metrów za nimi. Nie budzili podejrzeń. Nie przyciągali spojrzeń. Ot, turyści z plecakami, przemierzający kraj.

Budynek posterunku stał na skraju miasteczka, nieopodal pierwszych zabudowań. Solidny, murowany, nieduży. Nie mógł mieścić większej załogi, co obserwujący go z daleka młodzi ludzie z ulgą odnotowali. Tak jak mówił Antoś, przed wejściem stało dwóch uzbrojonych wartowników. Co jakiś czas przechadzali się leniwie. Widać było, że czują się zupełnie pewnie. Nie przewidywali kłopotów, ale broń cały czas mieli na ramieniu.

- Trzeba by tych dwóch najpierw zdjąć. - Władek podał lornetkę Julkowi. - Od tyłu się nie da. Za daleko od wejścia. Zobaczą i narobią hałasu. Żeby się ruszyli, cholera, to dałoby się.

Ale Niemcy ruszać się nie zamierzali. Pilnowali przecież drzwi posterunku. Wyjście na nich zza rogu budynku nie mogło zakończyć się powodzeniem. Odległość była zbyt duża.

- Trzeba ich podejść od frontu - stwierdził Julek beztrąsko.

Cała trójka spojrzała na niego jak na wariata.

- Ułańska u *ciebi* fantazja - zauważył Antoś sceptycznie.

Szanse pomyślnego ataku od frontu były równe zeru. Nawet kompletny laik to widział. Otwarta przestrzeń. Niemcy mieliby ich jak na widelcu. W żadnym razie nie daliby im podejść.

- Nie czas na żarty, Julek - upomniał go dowódca.

- Mówię poważnie. - Kwiatkowski zacisnął usta. - Tych dwóch biorę na siebie. Wy idźcie od tyłu, żeby was przez okno nie zobaczyli.

- Jak chcesz to zrobić? - Władek miał wątpliwości.

- U lorda Hiltona uczyli mnie, jak sobie radzić w takich sytuacjach.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Jak ci się nie uda, szkopy zaalarmują najbliższą jednostkę. Dopadną nas.

Julek jeszcze raz dokonał oględzin przez lornetkę.

- Uda mi się - powiedział z niezachwianą pewnością siebie. Wyciągnął pistolet i oddał Władkowi. - Nie będę potrzebował.

- Jesteś pewny?

- Najzupełniej.

- Dobra. - Hanćkowiak schował broń Julka za pas. - Zaczynamy.

Rozdzielili się. Władek obchodził budynek od prawej, a Kazek i Antoś poszli od lewej. Wtedy Juliusz Kwiatkowski wyszedł na drogę, prowadzącą wprost na posterunek. W ciągu kilku minut pokonał dzielącą go od Niemców odległość i od razu zwrócił ich uwagę. Nie wyglądali na zaniepokojonych. Mieli przed sobą niegroźnie wyglądającego człowieka, ale mimo to obydwaj zdjęli karabiny z ramion.

- *Halt!* - wrzasnął wartownik, gdy Polak zbliżył się na odległość kilkunastu metrów.

Julek posłusznie przystanął i podniósł ręce na wysokość ramion.

- *Ich bin Volksdeutsch, herr Officier* - zawołał do nich uspokajająco. - Chciałbym coś powiedzieć.

Obydwaj wartownicy rozejrzeli się na boki. W pobliżu nie było nikogo ani niczego, czym należałoby się przejmować.

- Chodź tu.

Julek z pokornym wyrazem twarzy i usłużnym uśmiechem podszedł do Niemca. Hitlerowiec lewą dłonią obszukał go pobieżnie. Gdyby Julek miał pistolet, mężczyzna znalazłby go niechybnie. Jego prawy palec tkwił na spuście karabinu. Drugi wartownik,

stojący kilka metrów dalej, też trzymał broń w pogotowiu. Obydwaj najwyraźniej nauczeni byli doświadczeniem, że w Polsce nigdy do końca nie można czuć się bezpiecznie.

Przeszukanie zakończyło się po myśli wartownika. Polak nie był uzbrojony. Z powrotem przełożył mauzera na plecy lufą do góry. Jego kolega uspokojony, postąpił podobnie. Nie było bezpośredniego zagrożenia. Takie przynajmniej odnieśli wrażenie.

- Co chciałeś powiedzieć? - spytał Niemiec łagodniejszym tonem.

Nie zauważył, że z rękawa kurtki Polaka wysunął się nóż. Julek zrobił krok w tył i płynnym ruchem wykonał cięcie. Niemiec złapał się za rozplątane gardło i padł na plecy. Jego kolega natychmiast zorientował się w sytuacji. Ściągnął karabin z ramienia, ale nie dane mu było zrobić nic więcej. Kwiatkowski rzucił w niego nożem. Stalowe ostrze rozpruło powietrze i prawie po rękojeść utkwilo w piersi hitlerowca, na wysokości serca. Julek wiedział, że musi trafić bardzo dokładnie. Hiroshi Hara, na pewno w tej chwili zajęty pielęgnowaniem ogrodów lorda Hiltona, byłby ze swojego ucznia dumny. Niemiec upadł na swoją broń. Nie żył.

W tej samej chwili zza budynku wybiegli koledzy Kwiatkowskiego. Władek, nie zatrzymując się, rzucił Julkowi pistolet. Nie było chwili do stracenia. Wpadli do wnętrza, ubezpieczając się wzajemnie. Strzelali do kompletnie zaskoczonych żołnierzy jak do tarcz. Zapanował ogłuszający huk. Jeden Niemiec rzucił się do swojego automatu. Kazik przymierzył i strzelił mu w głowę. Inny żołnierz schował się za biurko, lecz zaraz był przy nim Władek. Niemiec podniósł ręce. Władek wiedział, że nie mogli brać jeńców. Dwa strzały i niemiecki żołnierz dokonał żywota. Antos wyeliminował Niemca, który skoczył w stronę korytarza, w głąb budynku. Kula trafiła go w tył głowy. Żołnierz padł na twarz z rozłożonymi na boki ramionami. Zaraz potem zaległa cisza. W pomieszczeniu leżały trupy czterech szeregowców, dwóch feldfebli i jednego podoficera. Z korytarza nie dochodziły żadne dźwięki, ale trzeba go było sprawdzić. Kazik z Antosiem wbiegli tam z bronią gotową do strzału. Nie znaleźli nikogo. Posterunek został opanowany.

W korytarzu znajdowały się drzwi do dwóch cel. Władek otworzył pierwsze. Cella pełna była wystraszonych ludzi - sześciu mężczyzn w różnym wieku i dwie młode kobiety. Niektórzy z mężczyzn mieli na twarzach ślady pobicia. Nie obchodzono się z nimi łagodnie.

- Wychodźcie - powiedział do uwięzionych - jesteście wolni.

Patrzyli po sobie niepewnie, nie wierząc, że właśnie nadeszło ocalenie.

Pierwszy wyszedł szpakowaty mężczyzna około pięćdziesiątki. Trzymał się prosto i od razu dostrzegало się jego surowe, przenikliwe spojrzenie.

- Jestem pułkownik Knecht. - Przyłożył dwa palce do czoła. - Co to za oddział?

- Grupa uderzeniowa Armii Krajowej - Władek zasalutował. - Porucznik Zadra - podał

swój pseudonim, co uzasadniała obecność postronnych ludzi - na rozkaz.

- Dziękuję, poruczniku. - Knecht uściśnął mu dłoń.

- Musimy natychmiast uciekać. Słyszałem, jak feldfeble rozmawiali. Czekają na transport. Mieli nas gdzieś wywieźć.

Pozostali więźniowie pośpiesznie opuszczali celę. Kobiety zatrzymały się na moment i z uśmiechem dziękowały wybawcom.

- Kim jesteście? - spytała mniej więcej osiemnastoletnia dziewczyna.

- Wojsko Polskie, ślicznotko - poinformował ją Hanćkowiak.

Antoś zabrał pułkownika na zewnątrz. Julek podszedł do dowódcy.

- Mówili, że w drugiej celi też ktoś jest.

Władek bez słowa podszedł do kolejnych drzwi i otworzył zasuwę. W środku było czworo ludzi. W jednym rogu znajdowali się starszy mężczyzna i kobieta w podobnym wieku oraz młody chłopak, drugi młodzieniec siedział w przeciwległej części pomieszczenia.

- Wychodźcie - powiedział do nich Władek. - Musicie uciekać. Zaraz tu będą Niemcy.

- Jezusie Nazareński - ucieszyła się kobieta. - Nasi.

- Tak, proszę pani. Ale pośpieszcie się.

Wydawało się, że samotnie siedzący mężczyzna ociąga się. Starzec zaś wychodząc, nachylił się do Władka.

- Ten - wskazał wzrokiem człowieka w kącie - to kapusta. On nas zadenuncjował. I do tego jeszcze komunista. Ja bym go nie puścił.

- Idźcie już.

Dołączył do nich Antoś.

- *Ludzi mówio*, że tu kolaboranta komunistę mamy.

- Ktoś ty? - spytał Hanćkowiak więźnia.

- Nie słyszałeś? - odpowiedział młody mężczyzna hardo. - Jestem komunistą.

- I denuncjatorem. - Głos porucznika zabrzmiał oskarżycielsko.

- Przez nich wpadli moi ludzie. - Komunista nawet w najmniejszym stopniu nie okazywał lęku.. A przecież jego życie zawisło na włosku. Kara za kolaborację z Niemcami była tylko jedna.

- Pod mur gada, job jego mać - Antoś nie miał wątpliwości.

- Masz coś na swoją obronę? - Władek uniósł pistolet.

- Nie wy macie prawo mnie sądzić.

- Tak myślisz?

- Działam w interesie polskiej klasy robotniczej, uciśnionej przez takich jak wy. Ale to

się niedługo zmieni.

Władek przeładował pistolet. Mężczyzna podniósł dumnie głowę. Nie bał się śmierci.

- Nie rób tego - powiedział ostro Julek. Położył przyjacielowi dłoń na nadgarstku. - Nie wolno bez sądu. Nie jesteśmy zbrodniarzami.

- Bronisz komunisty?

- Ten komunista to też Polak. Błądzi, ale Polak.

Maciejko skrzywił się. W duchu musiał przyznać Julkowi rację. Nie godziło się tak po hitlerowsku.

- Masz szczęście, towarzyszu - z przekąsem powiedział Władek, chowając pistolet. - Gdyby nie kolega, zostałbyś tu już na zawsze. - Komunista otaksował Julka surowym spojrzeniem, jakby chciał go sobie dokładnie zapamiętać. - Wolny jesteś. Idź i nie grzesz więcej.

- Nie liczyłbym na to - burknął mężczyzna.

- Idziemy, bo zaraz się rozmyślę - stwierdził Władek zde gustowany.

Kable telefoniczne zostały już pozrywane. Cichociemni pozbiali broń krótką i spakowali do plecaków. Zbrojmistrz się ucieszy.

W opuszczonej hali fabrycznej czekał już na nich kapitan. Najpierw wszedł Kazik, zaraz po nim Janek, a chwilę potem Julek z Władkiem.

- Wezwałem was w trybie pilnym... - Jan Czerny zawiesił teatralnie głos - w związku z waszą akcją parę dni temu.

Chłopaki wymienili spojrzenia. Nie mieli czego się wstydić.

- Mieliśmy dużo szczęścia - powiedział skromie podchorąży Kwiatkowski.

- Poza tym doskonale planowanie, wyjątkowe umiejętności, bezbłędne wykonanie i szczęśliwe zakończenie. - Władysław Hanćkowiak skromnością nie grzeszył. - No i doborowy zespół. Musi pan przyznać, kapitanie.

- Bez Julka byśmy nie dali rady - stwierdził rzeczowo Kazik.

- Co powiesz, Janek? - Kapitan zwrócił się do młodego Brochwicza.

- Nie brałem udziału w akcji. Konwojowałem kuriera. Ale słyszałem, że wszystko przeprowadzone zostało wzorowo.

- No widzisz, Jasiu. - Władek przyjął jego słowa z wyraźnym zadowoleniem. - Jakiś hymn pochwalny byś napisał, co?

- Nie piszę na zamówienie, tylko z natchnienia.

Kapitan przysłuchiwał się wymianie zdań z rozbawieniem. Był dumny ze swoich

ludzi. Trafiła mu się bodaj najlepsza grupa z możliwych. Miał szczerą nadzieję, że Janek Brochwicz stanie się wkrótce jej integralną częścią. Bardzo chciał, by syn serdecznego przyjaciela odnalazł się wśród chłopaków.

- Mam dla was wiadomość, panowie. Bardzo dobrą wiadomość. - Powiódł wzrokiem po obecnych. - Decyzją najwyższego dowództwa, za ostatnią akcją podchorążowie Pogoda i Kwiatkowski oraz porucznik Hanćkowiak zostają odznaczeni. Tak samo plutonowy Brochwicz. Gratuluję, chłopaki.

- Ku chwale ojczyzny! - zabrzmiały cztery męskie głosy.

Ściskali się nawzajem. Nawet Kazimierz Pogoda uśmiechał się radośnie, a w jego przypadku było to wydarzenie graniczące z cudem.

ROZDZIAŁ 14

Ciężkie, metalowe drzwi otworzyły się z przeraźliwym jękiem. Cztery kobiety zerwały się z prycz i stanęły na baczność. Spóźnione nawet o chwilę przyjęcie postawy zasadniczej mogło się zakończyć dotkliwym pobiciem. Strażniczka, dobrze znana i ciesząca się niechlubną sławą na Pawiaku, Gerda Müller, lubowała się w wymierzaniu kar cielesnych skórzanym pejczem, z którym się nigdy nie rozstawała. Niejedna więźniarka już doświadczyła jej ciężkiej ręki, ukarana za najdrobniejsze przewinienie lub też brak takowego - bez większej różnicy. Wszystko i tak zależało od aktualnego nastroju Niemki. Nastroju, który niezmiernie rzadko można było określić inaczej niż podły.

Jedna z więźniarek, Krystyna Bączyk, głośno zameldowała:

- Cela jedenaście, stan pięć, obecnych pięć.

Strażniczka obrzuciła ją spojrzeniem, wyrażającym najwyższą pogardę i niemal obrzydzenie, jakie człowiek zwykle manifestuje na widok odrażającego, oślizłego gada. Polki stały ze spuszczonej oczami. Żadna nie śmiała nawet na moment podnieść wzroku. Doskonale wiedziały, czym taka „bezcelność” natychmiast by się skończyła. Marysię jako nową na Pawiaku szybko pouczono, czego robić nie wolno i za co spotkać ją może sroga kara. Wystraszona dziewczyna postanowiła za wszelką cenę stosować się do panujących tu zasad. Miała szczerą nadzieję, że dzięki temu wyjdzie. Przecież została wzięta z ulicy, podczas zwykłej łapanki. Nikt nie mógł wiedzieć, iż miała jakiegokolwiek kontakty z polskim podziemiem.

- Śmierdźcie jak świnie! - krzyknęła Gerda Müller.

- Polskie świnie - dodała z przekąsem. - Rzygać mi się chce, jak na was patrzę. Mam nadzieję, że zdechniecie tu szybko.

Polki ani drgnęły. Zdążyły się już przyzwyczaić do porcji obelg na każde „dzień dobry” w wykonaniu Niemki.

Strażniczka podeszła do Marysi. Przystawiła jej rękojęść pejcza do podbródka i podniosła głowę. Dziewczyna mimo woli zadrzała.

- Nowa? - spytała Müller łagodnie.

- Tak jest, proszę pani - odpowiedziała Polka półgłosem.

- Nazwisko?

- Kwiatkowska. Maria Kwiatkowska.

Marysia zatrzymała wzrok na twarzy Niemki. To był błąd, którego nie powinna popełnić. Niemka w mgnieniu oka zmieniła się w dzikie zwierzę. Wykrzywiona wściekłością

twarz przerażała. Skórzany pejcz trzykrotnie spadł na plecy zszokowanej Marysi. Skuliła się i padła na kolana.

- Na przesłuchanie, ścierko!!! - Müller darła się jak oszalała. - Ruszaj się!!! Już!

Dziewczyna poderwała się i wybiegła z celi.

Pokój przesłuchań miał nisko osadzony sufit, małe okienko w ścianie, przez które dochodziło niewiele światła, i wykafelkowaną podłogę z odpływem kanalizacyjnym pośrodku. Już przy wejściu uderzał specyficzny, ciężki zapach potu i stęchlizny. Pod ścianą stało toporne, drewniane biurko, a naprzeciwko - dwa metry od wejścia - ustawiony był nieduży stół, na którym sadzano przesłuchiwanym.

Maria Kwiatkowska została wepchnięta do środka przez polską strażniczkę, która weszła zaraz za nią. W pomieszczeniu czekał wysoki gestapowiec.

- Siadaj!!!- wrzasnęła strażniczka.

Marysia natychmiast usiadła na stołku. Nie chciała, żeby ktokolwiek uznał, że próbuje stawiać najmniejszy choćby opór. Plecy po uderzeniach pejczem piekły niemiłosiernie. Wolą nie dawać pretekstu do bicia, chociaż to akurat w niewielkim stopniu zależało od niej, z czego zdawała sobie sprawę. Nieraz słyszała opowieści o Pawiaku i nie napawały one optymizmem.

- Jestem Franz Mischke - powiedział Niemiec zupełnie spokojnym, wręcz łagodnym tonem. - Obersturmführer Mischke. Porozmawiamy sobie trochę. Nazwisko.

Polska strażniczka natychmiast przetłumaczyła słowa Niemca.

- Nazywam się Maria Kwiatkowska, panie oficerze - odpowiedziała bez zwłoki po niemiecku. - Ale ja tu jestem przez pomyłkę. Ja nic nie wiem.

- Ach, mówisz po niemiecku. Doskonale - ucieszył się Obersturmführer. Czyli czegoś pożytecznego w tej zaszrannej Polsce cię jednak nauczyli. - Popatrzył na strażniczkę.

- Co się gapisz? Wynoś się. Nie będziesz potrzebna.

Polka zaczerwieniła się. Była wściekła nie tyle na Niemca, ile na sytuację, w której została potraktowana tak obcesowo w obecności więźniarki. Miała wystarczająco rozumu w głowie, żeby nie oponować i się nie odezwać. Jakakolwiek reakcja uznana przez Mischkego za niestosowną, bez wątpienia skończyłaby się dla niej tragicznie. Ruszyła czym prędzej do drzwi.

- Gdzie?! - wrzasnął za nią mężczyzna.

W lot pojęła swój błąd.

- Panie Obersturmführer, proszę o pozwolenie odejścia.

- No. - Pogroził jej palcem. - Won.

Kiedy metalowe drzwi zatrzasnęły się za strażniczką, gestapowiec podszedł do dziewczyny i położył jej ręce na ramionach. Zadrzała. Mężczyzna uśmiechnął się do siebie z satysfakcją. Lubił widzieć uczucie strachu u przesłuchiwanego. Dawało mu to poczucie władzy absolutnej. Władzy, którą się napawał i wykorzystywał w najbardziej nikczemny sposób, o czym Marysia jeszcze nie zdążyła się przekonać. Przecież była „nowa”.

- Nie bój się - powiedział do dziewczyny uspokajająco. - Jak będziesz współpracować, nic ci się nie stanie. Obiecuję.

- Będę współpracować, panie Obersturmführer, ale ja naprawdę nic nie wiem.

- Nic nie wiesz? - Obszedł krzesło i stanął przed Marysią.

- Nic - potwierdziła skwapliwie. - Jestem z łapanki. Całkiem przypadkowo.

- Bo wiesz, u nas się mówi rzeczy, o których się nie wie. Kwestia odpowiedniej motywacji. A my potrafimy odpowiednio zmotywować.

Mimochodem podszedł do ściany, na której wisiały narzędzia zwyczajowo wykorzystywane przez gestapo w przesłuchaniach. Pejczyce różnej grubości, metalowe pręty, łańcuch i gruby sznur. Przejechał po nich palcami od niechcienia.

Marysia poczuła zimny dreszcz biegnący jej po plecach. Nie wiedziała, że Mischke właściwie blefował. Nie miał cienia podejrzeń, co do jej znajomości z kilkoma Cichociemnymi. Właściwie przekonany był, że dziewczyna mówi prawdę. Nie planował wymuszać na niej konkretnych zeznań. Potrzebna mu była do czegoś innego.

Za to Polka nabrała wątpliwości. Czyżby gestapo coś wiedziało? Czyżby rzeczywiście trafiła tu nieprzypadkowo? Ale skąd mogli wiedzieć? Przecież jej działalność w ruchu oporu była marginalna, żeby nie powiedzieć dziecienna. Rozlepianie plakatów, pisanie na murach i dostarczanie odzieży potrzebującym. Oprócz brata i jego kolegów nikogo nie znała. Żadnych adresów, kontaktów. Praktycznie nic. Więc o co mogło chodzić?

- Panie oficerze, ja naprawdę...

- Zamknij mordę!!! - huknął na nią ni stąd, ni zowąd.

- Będziesz mówić, jak ci pozwolę! Rozumiesz, ty polska Świnio?!

Chwycił ją za szczękę i potrząsnął energicznie.

- Tak jest, panie Obersturmführer - wyksztusiła, dygocąc ze strachu.

- Wy Polacy to bandycki naród. Każdy z was to bandyta, ścierwo nie zasługujące na miano człowieka. Rozumiesz?

- Tak - wyszeptała.

- Dobrze - odwrócił się od niej teatralnie. - To mów. Wszystko. Nazwiska, adresy, twoja funkcja w organizacji. Wszystko - powiedział już znacznie spokojniejszym głosem.

Dziewczyna bała się odezwać. Ale milczenie równie dobrze może doprowadzić tego człowieka do furii. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

- Panie Obersturmführer, ja wiem, że pan myśli, że ja... - próbowała jakoś pozbierać myśli - że ja...

- Gównu cię obchodzi, co myślę. - Odwrócił się do niej gwałtownie. - Masz gadać. Nie będziesz marnować mojego cennego czasu.

Marysia zamilkła. Sytuacja stała się po prostu dramatyczna. Mogła teoretycznie podać nazwiska kolegów Julka, o których wiedziała, że są ściśle związani z warszawskim podziemiem. Ale po pierwsze nie знаła ich adresów, a same nazwiska właściwie nie by Niemcowi nie dały, a po drugie, najważniejsze, nie mogła przecież zdradzić tych ludzi. Coś takiego nie mieściło jej się w głowie. Może była niewiele znaczącym elementem ruchu oporu, ale nie, od niej niczego się nie dowiedzą. W tej chwili podjęła takie postanowienie i poczuła niespodziewany przypływ odwagi. Przestała się trząść. W ciągu jednej chwili nabrała dystansu do sytuacji. Tak. Chociaż wie niewiele, to i tak Niemiec z niej tego nie wyciągnie. Nie. Nie załamie się. Niech ją bije, niech nawet zabije. Nie będzie mówić. Nic.

- Ja nic nie wiem - powiedziała, spuszczać głowę i zaciskając zęby.

Spodziewała się uderzenia lub w najlepszym razie wściekłych wrzasków, ale o dziwo Obersturmführer odezwał się swoim łagodnym tonem.

- Ładna jesteś. Nawet bardzo.

Podniosła na niego oczy. Nie rozumiała. Co to ma do rzeczy? Zobaczyła, że się uśmiecha. Dostrzegła też w jego oczach coś, co najpierw ją tylko zaniepokoiło, by potem wzbudzić strach. Czy to możliwe, żeby ten Niemiec...

- Panie Obersturmführer, bardzo proszę mnie puścić. Przecież ja naprawdę...

Nie oczekiwał od niej informacji. Zawsze chełpił się swoją umiejętnością rozpoznawania ludzi związanych z podziemiem. Wyczuwał ich na kilometr. Potem wystarczyło już tylko zastosować odpowiednie metody przesłuchania, niestety niejednokrotnie ze skutkiem śmiertelnym, czyli „ucieczką” podejrzanych. Lecz czasem udało się złamać człowieka i uzyskać informacje prowadzące dalej.

W przypadku tej Polki nie miał wątpliwości. Nie mogła należeć do żadnej grupy. Nie sprawiała wrażenia głupiej, ale też nie wyglądała na typ bojowniczkę. Za to była bardzo ładna. Takie wolą raczej korzystać z życia.

Wierzył jej. Nic nie powie, bo nic nie wie. Nie zmienia to faktu, że przesłuchanie jej może być przyjemnością. I to powtarzalną. Ostatnio rzadko kiedy miał do czynienia z urodziwymi więźniarkami. A nie ma to jak łączyć pracę z przyjemnością.

- Rozbieraj się! - warknął wściekle.

- Słucham? - Dziewczyna nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

- Głucha jesteś?! - wrzasnął. - Rozbieraj się!

Złapał ją za sukienkę i szarpnął z całej siły. Rozerwał materiał na ramieniu. Wtedy z całą mocą dotarło do niej, czego Niemiec od niej chce. Wstała i zsunęła z siebie sukienkę. Mischke zajęty był mocowaniem sznura do haka w suficie. Kiedy zobaczył, że dziewczyna stoi w bieliźnie, szybko pozbawił ją złudzeń.

- Na co czekasz?! Ściągaj, wszystko! Mam ci pomóc?!

Ostatnie części garderoby znalazły się na podłodze. Gestapowiec bez ceregieli złapał nagą dziewczynę za ręce i spętał jej nadgarstki. Następnie przeciągnął sznur przez hak, szarpnął tak mocno, że dłonie Marysi znalazły się pod sufitem, a stopy ledwie dotykały podłoża. Drugi koniec sznura przywiązał do haka wbitego w ścianę.

Dziewczyna spuściła głowę i zamknęła oczy. Popłynęły łzy z bólu, bezsilności i zwykłego, kobiecego wstydu.

Mężczyzna obszedł ją dookoła. Nie zawiódł się. Miała piękne, jędrne ciało, które budziło w nim zwierzęce, niepohamowane pożądanie. Uśmiechał się do siebie z lubością. Kobieta była w tej chwili całkowicie w jego władzy. Mógł z nią zrobić, co chciał. Nie zamierzał przepuścić takiej okazji.

Marysia czekała na ciosy, które niechybnie musiały zaraz spaść. A jednak zamiast uderzeń którymś z narzędzi wiszących na ścianie, poczuła na ciele jego szorstkie dłonie. Stał za nią i przesuwał palce powoli po udach, brzuchu, piersiach. Otworzyła szeroko oczy i zeszywniała. Dłonie Niemca powędrowały ku jej kroczu. Na nic zdało się zaciskanie ud. Mischke był silniejszy. Polka zacisnęła zęby i zaczęła się szarpać. Skutek był żaden. Gestapowiec obmacywał ją, jak chciał. Zrezygnowana dziewczyna przestała walczyć. Chciała przeczekać. Żeby ten koszmar jak najszybciej się skończył. Wolałaby już pewnie być bita, lecz nie taki los szykował jej „przysłuchujący”.

Obersturmführer podszedł do biurka. Oparł się ręką o blat i lubieżnie się jej przypatrywał.

- No co, będziesz gadać? - spytał, choć wiedział, jaka odpowiedź musi paść.

- Nic nie wiem - wydusiła z siebie z najwyższym trudem.

Nagle obszedł biurko, chwycił oburącz za krawędzie i popchnął je w jej kierunku. Ostre kandy mebla uderzyły ją na wysokości miednicy. Niemiec pchnął jeszcze trochę, tak że dolna część ciała dziewczyny opierała się na krawędzi biurka. Stopy straciły przyczepność z podłożem.

Mischke podszedł do ściany i poluzował sznur. Podbrzusze Polki dotknęło blatu, lecz jej klatka piersiowa nadal była w powietrzu. Zwiesiła głowę i pojękiwała, szlochając jednocześnie. Pozycja była wyjątkowo bolesna, ponieważ stawy barkowe miała wykręcone do tyłu.

Gestapowiec stanął za nią. Usłyszała szcęk zamka w drzwiach, gdy przekręcał klucz.

- To teraz się zabawimy - powiedział z wyraźną satysfakcją w głosie.

Kolejne dźwięki, jakie dobiegły do jej uszu, to rozpinana klamra ciężkiego, wojskowego pasa, odpinane guziki i zsuwane spodnie. Wiedziała, co chce zrobić, ale wciąż nie wierzyła, że to naprawdę może się wydarzyć. Chwilę potem złudzenia przysły. Jego ręce znowu oblały jej piersi. Kolanami rozchylił jej uda i wziął ją od tyłu. Jego miarowe ruchy lędźwi sprawiały, że krawędzie biurka jeszcze bardziej wbijały się w miednicę. Nie chciała krzyczeć. Zagryzła wargi w bolesnej rozpacz i czekała, aż skończy. Zbierało jej się na wymioty, które z najwyższym trudem starała się powstrzymać. Gwałt zakończył się po kilku minutach, które dla Marysi były wiecznością. Obolała i upokorzona do granic możliwości cicho łkała. Mischke stanął na widoku. Zapinał spodnie i pas. Uśmiechał się zadowolony z siebie.

- Co, nie podobało ci się? - Podszedł do niej, chwycił ją za włosy i unióś głowę. Skrzywiła się z bólu. - Powinnaś czuć się szczęśliwa, że niemiecki oficer uczynił ci ten zaszczyt, suko.

Dziewczyna miała zamknięte oczy, ciężko oddychała. Cierpienie fizyczne i psychiczne ją zamroczyło. Marzyła tylko, żeby to się wreszcie skończyło i żeby mogła wrócić do celi. Nic więcej.

- No, ale żebyś nie mówiła, że przesłuchanie nie przebiegało we właściwej atmosferze... jaki ja jestem mądry - dodał do siebie z samozadowoleniem.

Podszedł do ściany. Odwróciła wzrok w jego kierunku. Zobaczyła tylko, jak wziął ze ściany pejcz, przymierzył do ręki i straciła go z oczu, gdy stanął za nią. Dotkliwie razy za każdym razem wywoływały u niej niekontrolowany krzyk. Bił z całej siły, po plecach, pośladkach i nogach. Aż wreszcie przestał.

Dziewczyna poczuła w ustach smak krwi. Musiała bezwiednie przegryźć sobie wargę lub język. Nie wiedziała. Ból krocza i maltretowanego ciała był daleko bardziej przejmujący. Była na granicy omdlenia, gdy więzy zostały poluznione. Opadła ciężko na blat biurka.

- Nie za dużo naraz - powiedział Mischke łagodnie. Nachylił się nad nią. - Zdamy. Jeszcze się przecież spotkamy. Obiecuję. - Wyprostował się i kopnął sukienkę w jej stronę. - Ubieraj się.

Ostatkiem sił, krzywiąc się z bólu, założyła na siebie ubranie. Gestapowiec otworzył drzwi i zawołał z korytarza polską strażniczkę.

- Wyprowadzić! - zakomenderował.

Strażniczka wypchnęła brutalnie Marysię z pomieszczenia.

Do celi została wrzucona jak worek ziemniaków. Towarzyszki niedoli natychmiast ją obstąpiły. Dziewczyna nie była w stanie nic powiedzieć. Rozszlochała się na cały głos. Tylko to jej pozostało.

Park był pełen spacerowiczów. Matek z dziećmi, nielicznych niemieckich oficerów w towarzystwie kobiet, i głównie młodych ludzi przechadzających się alejkami. Władek usiadł na ławce obok czekającego na niego Julka. Rozparł się wygodnie i rozejrzał wokół, jakby chciał się upewnić, że ich spotkanie nie przyciąga uwagi niepowołanych osób. Bez słowa wymienili uściski dłoni.

- I co? - spytał Julek od razu.

- Na razie nic.

Władek wyciągnął paczkę papierosów. Poczęstował kolegę, lecz ten odmówił ruchem głowy.

- Jasna cholera! Zupełnie nic?

- Ruszyliśmy kontakty i czekamy. Na teraz to wiadomo na bank, że Marysia jest na Pawiaku. Ktoś ją widział.

- Tylko co z tego, że wiadomo.

- Nie gorączkuj się. Wzięli ją z łapanki. Pewnie nie będą jej nawet przesłuchiwać, bo po co? Jest dla nich nikim. Czekamy. Może nadarzy się okazja, żeby ją odbić. Może jakiś transport... Spokojnie.

- Łatwo ci mówić. Spokojnie. Ona tam nie wytrzyma.

- Wytrzyma. Zobaczysz. Znajdziemy sposób. Najważniejsze, że nie wzięli jej z żadnej akcji. Wtedy byłoby kiepsko.

- Muszę iść. - Julek wstał z ławki. - Matka od zmysłów odchodzi. Jakby co, to wiesz, gdzie mnie szukać.

- Jasne. Serwus.

Kwiatkowski odszedł szybkim krokiem. Władek jeszcze chwilę posiedział na ławce i ruszył w swoją stronę.

- Kwiatkowska, na przesłuchanie! - wrzask strażniczki postawił więźniarki na nogi w

mgnieniu oka.

- Cela jedenaście, stan pięć... - zaczęła deklamować jedna z osadzonych.

- Zamknij się, szmato! - Strażniczka, jak widać nie miała dziś ochoty wysłuchiwać zwyczajowych meldunków.

Marysia struchlała. Minęła ledwie doba, a koszmarne spotkanie z Obersturmführerem Franzem Mischke znowu miało stać się faktem. Nie było wątpliwości, że to on po nią posłał. Najwidoczniej rzeczywiście mu się spodobała i zamierzał ponownie wprowadzić w czyn swoje perwersyjne, makabryczne metody przesłuchania, a ona znów miała stać się jego ofiarą.

Dziewczyna miała jednak całą noc na przemyślenia. Nie zmarnowała czasu. Wymyśliła plan, który dawał jej choćby możliwość rychłego zakończenia tego koszmaru. Istniało spore prawdopodobieństwo, że Mischke się na to złapie. Był jak pies gończy, który pochwyti każdy trop prowadzący do pochwylenia ofiary. Dziewczyna musiała tylko zabrzmieć odpowiednio przekonująco. Będzie miała na to jedną jedyną szansę. Nie może jej zmarnować.

Ciemny korytarz doprowadził kobiety do wywołujących przerażenie drzwi. Otworzył się i dwóch gestapowców wyniosło za ramiona mężczyznę. Miał podartą koszulę, zakrwawione bosc stopy i siniaki na głowie. Był zmasakrowany, ale przytomny. Broczył krwią z ust, nosa i uszu. Żałośnie pojękiwał.

Na ten widok Marysia zapadła się w sobie. Serce niemal jej przystanęło ze strachu. Wyczyny Obersturmführera Mischkego mogły wzbudzić przerażenie w najmężniejszym człowieku. A brutalne przesłuchania, podczas których katowanie ofiar należało do porządku dnia, nieczęsto prowadzone były przez oficera osobiście. Kaźnie podejrzanym najczęściej urządzali gestapowcy niższego stopnia, wśród których zwykli sadyści nie należeli do rzadkości. Ale Obersturmführer Franz Mischke uwielbiał zadawać ból, a przesłuchania na Pawiaku niezmiennie dostarczały znakomitych okazji, by zaspokoić jego nieokiełznane żądze na tym polu.

Marysię wepchnięto do pomieszczenia. Potknęła się i mało nie upadła. Franz Mischke przysiadł na krawędzi biurka. W prawej dłoni trzymał pejcz. Uderzał nim od niechcienia w cholewę wysokiego, oficerskiego buta. Polska strażniczka została za drzwiami.

- Siadaj! - rozkazał Niemiec ostro. Wykonała polecenie natychmiast. Usiadła i spuściła głowę. Podeszedł i popatrzył na nią z góry. - Stęskniłaś się za mną?

- Panie Obersturmführer - podniosła wzrok. - Powiem wszystko.

Zaskoczyła go tym stwierdzeniem kompletnie. Pejcz w jego ręku znieruchomiał. Przyglądał jej się z zainteresowaniem. Czyżby...?

- Powiesz wszystko? No, proszę. Słucham.

- Nie znam adresów, kontaktów, ale znam dwóch, co są na pewno w podziemiu. Na pewno. Mają chyba całkiem wysokie funkcje. Nie wiem, bo się nie znam. Nie miałam do czynienia z podziemiem. To nie mój świat.

- Mów, mów. Może mnie zainteresujesz.

- Ja chcę żyć, panie Obersturmführer. Czy jak wskażę tych dwóch, wypuści mnie pan?

Zastanowił się przez moment. Ciekawe, na co przypadkowo można trafić. Wierzył jej. Nie widział w niej konspiratorki. Nie sądził, żeby kłamała. Chcąc ratować swoją skórę, gotowa jest sprzedać dwóch członków ruchu oporu. Nieźle. Z drugiej strony, warto zapamiętać. W tym kraju albo się jest bandytą, albo bandytów się zna. Niebywałe.

- Wypuszczę cię. Masz moje słowo. Gdy tylko zostaną aresztowani, będziesz wolna.

Naturalnie danego słowa nie zamierzał dotrzymywać. Potrzebna mu była tutaj. Niekoniecznie do składania zeznań.

- Spotykają się w Cafe Roma.

- Kiedy?

- Nie mają ustalonych dni. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Po prostu przychodzą.

Rozmawiają i w ogóle.

- I ty nam ich pokażesz, tak?

- Tak, panie Obersturmführer.

- Skąd mam wiedzieć, że nie będziesz próbowała ich ostrzec?

- Panie Obersturmführer, ja chcę żyć. Nie chcę się w nic mieszać.

- Rozumiem cię. Jesteś młoda, ładna... i rozsądna. Bardzo rozsądna. Opłaci ci się to. -

Popatrzył na zegarek.

- Wcześniej jeszcze. Spróbujemy dzisiaj. Może ci szczęście dopisze. Módl się o to. -

Otworzył drzwi. - Stern, do mnie! - krzyknął na korytarz.

Natychmiast pojawił się młody gestapowiec i wyprężył się w postawie na baczność.

- Herr Obersturmführer?

- Doprowadzić ją do porządku. - Wskazał ruchem głowy Marysię. - Potem weźmiesz czterech ludzi i jedziemy do Cafe Roma.

- Jawohl, Herr Obersturmführer.

Stern złapał dziewczynę za ramię i wyprowadził z pomieszczenia.

Władek Hanćkowiak i Antoś Maciejko rozejrzeli się po sali pełnej gości. Władek wyciągnął papierosa. Podszedł do uwijającej się między stolikami kelnerki i szepnął jej coś

do ucha. Młoda dziewczyna uśmiechnęła się. Zaprowadziła go do jedyne wolnego stolika z napisem „rezerwacja”. Antoś podążył za nimi.

- Daj nam, kochana Krysiu, dwie herbaty. - Władek złożył zamówienie. - Poza tym wyglądasz dziś zachwycająco. Wiesz?

- Co ty powiesz. - Dziewczyna uśmiechnęła się, że bagatelizuje komplement.

- Aż mi serce mocniej bije. A macie może cukier?

- Nie mamy - uśmiechnęła się kelnerka. - Ale dla was coś się znajdzie.

- Uwielbiam cię - powiedział Władek.

- Pewnie - stwierdziła Krysiu i poszła zrealizować zamówienie.

Antoś sięgnął po swoją paczkę papierosów. Powiódł wzrokiem po sali.

- Popatrz, *ludzi siedzo*, jakby wojny nie widzieli. - Pokiwał głową w zamyśleniu. - Herbaty *pijo*, panny *podrywają*...

- Zazdrościsz?

- Ta joj, *taż* ja *si* ciesze, że *ludzi* szczęśliwi są. U nas we *Lwowi* to jak... - Antoś rozpoczął swoją kolejną opowieść o magicznym mieście, ale Władek nie słuchał.

Jego spojrzenie zatrzymało się na stoliku w głębi sali, a szczególnie na siedzącej przy nim młodej kobiecie. Miała wyraźne ślady pobicia na twarzy, ale wątpliwości co do tego, kim była, szybko zniknęły. W rogu sali, najdalej od drzwi, siedziała Marysia Kwiatkowska. Ich spojrzenia na ułamek sekundy spotkały się, ale dziewczyna natychmiast odwróciła wzrok, jakby go nie rozpoznała albo nie chciała rozpoznać. Patrzyła po sali, szczególnie lustrując wchodzących. Wydawała się kogoś szukać, na kogoś czekać.

Antoś dostrzegł zainteresowanie kolegi i popatrzył w tym samym kierunku co on.

- Boże *moj* - powiedział ucieszywszy się. - *Taż* to *Marysja* Kwiatkowska tam siedzi. Władek, *patrzaj* ty.

Hanćkowiak błyskawicznie przeanalizował sytuację. Julek nic nie mówił, że Marysię wypuścili z Pawiaka. Powiedziałyby na pewno. Poza tym nie siedziałyby tutaj sama. Coś jest nie tak. Ewidentnie. Dyskretnie przyjrzał się sali. Przy dwóch stolikach w różnych częściach sali siedziało po dwóch mężczyzn. Przynajmniej tę czwórkę uznał za Niemców. Rozmawiali półgłosem, ale co jakiś czas zerkali w stronę Marysi. Szczególnie jeden praktycznie nie spuszczał z niej oka. Obserwował punkty, na których ona zatrzymała wzrok choćby chwilę dłużej. Wyraźnie na coś czekał.

Antoś podniósł się z krzesła. Z radosnym uśmiechem na twarzy najwyraźniej postanowił podejść i przywitać się z koleżanką. Władek natychmiast zareagował. Złapał go mocno za rękaw i gwałtownie szarpnął.

- Siadaj, Antoś - syknął. - Ale już!

- *Nu*, co ty? - Uśmiech Antosia przerodził się w oburzenie. Jego dobroduszną osobowość niezwykle rzadko dopuszczała do głosu prawdziwą złość. - *Taż* niemądry ty. Z *Marysją* przywitać się chciałem. Nie poznajesz?

- Zamknij się i słuchaj - warknął Władek. - To wsypa. Marysia jest tu na wabia. Nie wiem na kogo, ale jest. Rozejrzyj się, tylko ostrożnie. Czterech gości przy stolikach. Daję głowę, że gestapowcy. Czekają na kogoś.

Antoś rzucił kilka ukradkowych spojrzeń.

- Co robimy?

- Siedzimy, człowieku, siedzimy - odpowiedział Hanćkowiak niecierpliwie. - Nie po nas tu przyszli. Inaczej już by nas zgarnęli.

Wreszcie przyszła zamówiona herbata. Kelnerka Krysia postawiła przed nimi szklanki. Położyła też na stole papierowe zawiniątko z cukrem.

- Na mój rachunek, dobrze? - Władek obdarzył ją czarującym uśmiechem.

- Dobrze - odpowiedziała tym samym.

Starali się zachowywać naturalnie. Żaden z nich już nie spojrzał w stronę Marii Kwiatkowskiej. Rozmawiali, momentami specjalnie głośno, by nie wzbudzać podejrzeń, o pogodzie i dziewczynach, o nowej lodziarni i plotkach rodzinnych. Jakby nigdy nic.

Minęła prawie godzina. Jeden z gestapowców uznał najwidoczniej, że siedemnasta jest wystarczająco późną godziną, by na dzisiaj zakończyć akcję. Dał znak dwóm ludziom. Podeszli do Marysi i bez słowa wyprowadzili ją z lokalu.

Franz Mischke miał zawiedzioną minę. Dowodził całą operacją osobiście i liczył na sukces. Skinął na swoich ludzi i wraz z nimi opuścił lokal.

W samochodzie odwrócił się do Marysi.

- I co, nie przyszli ci twoi znajomi?

- Przyjdą na pewno - odpowiedziała - Przyjdą. Może jutro. Chodzą tam prawie codziennie.

- No to módl się, żeby jutro przyszli. Twoja ostatnia szansa. Nie zamierzam więcej marnować czasu. Rozumiesz?

- Rozumiem, panie Obersturmführer. Jutro na pewno przyjdą i ich panu pokażę.

- Nie mi. Jutro kto inny z tobą pójdzie. Bandyty mogliby się zorientować.

- Tak, oczywiście.

- Inaczej zajmiemy się twoją rodziną, a tego byś chyba nie chciała...

Mischke uśmiechnął się do siebie.

- Co się stało? Coś wiesz o Marysi?

Julek rozejrzał się wokół. Ulica, przy której mieszkał, była jak zwykle pełna ludzi, ale wyglądało na to, że mogli rozmawiać swobodnie. Nikt się nie interesował dwoma młodymi mężczyznami. Nie było widać żadnego patrolu niemieckiego.

- Wiem - odpowiedział Włodek półgłosem.

- Gadaj. Co z nią?

- Spokojnie. Zwracasz na siebie uwagę.

Julek ponownie otaksował obie strony ulicy.

- No, mówże.

- Szkopy coś wiedzą. Przyprawdzili Marysię do Cafe Roma. Wyglądało na to, że na wabia. Ale Marysia widziała nas, znaczy mnie i Antosia, i nic nie powiedziała. Jakby chodziło o kogoś innego. Pilnowali ją cały czas. Razem czterech w cywilu.

- Rany boskie, można ją było odbić. - Julek przyłożył dłoń do czoła.

- Nie można było. Nie byliśmy przygotowani. Nie mieliśmy żadnej szansy.

- Może trzeba było spróbować.

- Człowieku, myśl rozsądnie. My dwaj bez broni, przeciwko czterem uzbrojonym gestapowcom. Może nawet więcej ich było.

- W takim razie co teraz? - Kwiatkowski był zdesperowany.

- Jak ją przyprowadzili dzisiaj i nikogo nie zgarnęli, to przyprowadzą ją też jutro.

- Akcja?

W Julka wstąpiła nadzieja.

- Oficjalnie do jutra nic się nie da załatwić. Ani zgody góry, ani broni...

- Czyli co?

- Gadałem z chłopakami, Antoś, Kazik i Zygmunt Michta. Są gotowi. Ale musi być nieoficjalnie. Broń się załatwi.

- Masz jakiś plan?

- Jutro z samego rana o ósmej spotykamy się nad Wisłą, tam gdzie zawsze. Obgadamy wszystko. Nie spóźnij się. Musimy być w Cafe Roma zaraz, jak tylko otworzą. Potem ludzie się zejdą i może być problem z miejscami.

- Będę.

- Dobra. Na razie.

Włodek przeszedł na drugą stronę ulicy i szybkim krokiem oddalił się w stronę Rynku.

Dwóch rosyjskich gestapowców po cywilnemu wprowadziło Marysię do kawiarni. Posadzili ją przy tym samym stoliku, co dnia poprzedniego, skąd miała doskonały ogłód wnętrza. Trzech innych tajniaków zajęło stolik w głębi, przedtem bezceremonialnie wyrzuciwszy z miejsc dwoje młodych Polaków, którzy bez protestów natychmiast opuścili lokal.

Oberscharführer Stern rzucił kilka badawczych spojrzeń po sali pełnej gości. Nie zauważył nic podejrzanego. Przy żadnym stoliku nie siedzieli wyłącznie mężczyźni, co mogłoby budzić niepokój. Najczęściej towarzystwo było mieszane. Niektórzy coś pili, inni jedli. Nikt nie wydawał się zwracać uwagi na tajniaków. Gestapowiec zatrzymał wzrok na Marysi. Była spokojna. Siedziała i patrzyła bez emocji. Wyglądało na to, że bandyci się jeszcze nie pojawili, o ile w ogóle się pojawią.

Dziewczynie serce biło coraz szybciej. Od razu dostrzegła Władka i Antosia w towarzystwie jakiejś dziewczyny. Nie знаła jej. Pewnie z organizacji. Prawdopodobnie była z nimi dla uśpienia czujności Niemców. Szukała wzrokiem innych. Może gdzieś był Julek. Nie, nie było. Wyglądało na to, że Julek jako osobiście zaangażowany nie dostał pozwolenia na udział w akcji. Wszystko przecież musi być przeprowadzone na zimno.

Mijały minuty. Nic się nie działo. Władek z kolegą i koleżanką bawili się w najlepsze. Nikt na nią nie patrzył. Uznała, że trzeba czekać. Akcja została z pewnością bardzo szczegółowo zaplanowana. Chłopcy wiedzieli, co robić. Czekala. Czas płynął i nic się nie działo. Wciąż nic.

Wtedy zobaczyła Julka. Nadzieja na ocalenie wybuchła z całą mocą. Julek podszedł do stolika, przy którym siedział Władek, Antoś i nieznajoma dziewczyna. Zamienili kilka słów i... cała czwórka wyszła. Żadne z nich ani na moment nie spojrzęło w jej kierunku. Nikt nawet nie próbował szukać jej wzrokiem. Serce jej zamarło. Jak to możliwe? Przecież dzień wcześniej Władek ją widział. Antoś też. Nie powiedzieli Julkowi? Zdecydowali, że zostawią ją samą sobie? Może stwierdzili, że ewentualna próba odbicia jej jest zbyt niebezpieczna. Ryzyko mogło być zbyt duże. Zrozpaczona zastanawiała się, co teraz będzie. Co ją czeka. Ocalenie nie nadejdzie.

Oczy jej się zaszkliły. Rzuciła krótkie spojrzenie na pilnujących ją gestapowców. Obserwowali ją dyskretnie. Dla niepoznaki czytali gazety, rozmawiali ściszymi głosami i starali się zachowywać zupełnie naturalnie. Nie zwracali na siebie specjalnej uwagi.

Spuściła głowę. Zapadła się w sobie. Opanowało ją nagłe, bolesne przygnębienie. Nadzieja uleciała. W tej chwili było jej już wszystko jedno. Chciała umrzeć. Najlepiej jak najszybciej. Trucizna byłaby idealnym rozwiązaniem. Może uda się jej wysłać gryps z

więzienia z prośbą o truciznę. Do czasu, gdy ktoś jej ją podrzuci, będzie musiała jakoś wytrzymać na przesłuchaniach.

Jeszcze raz podniosła wzrok. Popatrzyła na zgromadzonych w lokalu ludzi. Nawet nie zdawali sobie sprawy, jak bardzo byli szczęśliwi. Czuła się, jakby znalazła się za grubą, pancerną szybą na zawsze odgradzającą ją od rzeczywistości, której jeszcze tak niedawno była częścią. Co za życie?

I w tym momencie wydarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego. Nie wierzyła własnym oczom. Do kawiarni wszedł Julek. Podobnie jak kilka minut wcześniej nie spojrzał w jej kierunku. Od razu skierował się w głąb sali. Sprawiał wrażenie, jakby czegoś zapomniał i wracał po to do stolika. Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Julek podszedł do Sterna i siedzących z nim trzech gestapowców. Zanim ci zdążyli się zorientować w sytuacji, Polak wyciągnął pistolet i z zimną krwią każdemu wpakował po dwie kule. Niemcy przy drugim stoliku zerwali się na równe nogi. Dobyli broni, ale nie zdążyli zrobić z niej użytku. Kazik Pogoda i Zygmunt Michta byli za ich plecami. Pięć celnych strzałów pozbawiło gestapowców życia. Chłopcy podbiegli do Marysi, bez słowa złapali ją pod pachy i wybiegli z nią z kawiarni tak szybko, że momentami nie dotykała stopami ziemi.

Na zewnątrz czekał samochód. Władek i Antoś ubezpieczali akcję od ulicy. Najwyraźniej pilnowali, by jakiś przygodny patrol nie popsuł im szyków. Gdy tylko samochód z Marysią odjechał, Władek z Antosiem zniknęli w dwóch różnych bramach.

Z kawiarni zaczęli się wysypywać ludzie. Nikt nie zamierzał czekać na przybycie Niemców. W panice rozbiegali się we wszystkie strony.

- Akcja na medal, co? - stwierdził Zygmunt za kierownicą i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Zwolnił. Najgorsze już było za nimi. Szybka jazda mogłaby wzbudzić podejrzenia. A tego nie chcieli.

- Już wszystko dobrze. - Julek objął siostrę. - Nic ci nie grozi. Zaraz będziemy w domu.

- W domu? - Ożywiła się. - Oni na pewno wiedzą, gdzie mieszkamy. Aresztują wszystkich.

- Nikogo nie aresztują - uspokoił ją brat. - Mamę zabrałem z mieszkania. Czeka na ciebie u przyjaciół. Jak tylko dojdiesz do siebie, wyjedziecie z Warszawy. Do rodziny, pod Lwów.

Odetchnęła z ulgą. Julek pomyślał o wszystkim. Zawsze można było na nim polegać. Przytuliła się do jego silnego ramienia. Wreszcie czuła się całkowicie bezpieczna.

- Wiedziałałam, że po mnie przyjdiesz.

Uśmiechnęła się do siebie.

- Jak niby miałbym zostawić swoją maleńką siostrzyczkę. Nie mogło być inaczej. Ale bez chłopaków nie dałbym rady. Za kierownicą jest Zygmunt, a ten ponurak to Kazek.

Kazimierz Pogoda skrzywił się w uśmiechu. Etykietka ponuraka ostatnio zaczęła mu przeszkadzać. Odstraszało to dziewczyny. Próbował więc, coś z tym zrobić.

- Dziękuję, chłopcy - powiedziała półgłosem.

- Zawsze do usług pięknym damom - odpowiedział Zygmunt wesoło.

- Teraz, to chyba niezbyt piękna.

Jej posiniaczona twarz znieruchomiała na wspomnienie koszmarnych doświadczeń.

- Bili cię... - Julek raczej stwierdził, niż spytał.

- To był prawdziwy koszmar. Jeden gestapowiec... nazywa się Mischke. Obersturmführer. On...

Rozpląkała się nagle. Szlochała głośno, nie mogąc się pohamować.

- Zapłaci za to - powiedział Julek przez zaciśnięte zęby. - Obiecuję ci, że drogo zapłaci.

ROZDZIAŁ 15

- Julek, to nie jest twoja prywatna wojna - powiedział Władek Hanćkowiak śmiertelnie poważnie i podniósł kufel do ust.

W obskurnej pijalni piwa panował ścisk i gwar. Wszystkie miejsca były zajęte przez - w ogromnej większości - męską klientelę. Ludzie raczyli się niezbyt wyszukany piwem i robili generalnie dużo hałasu. Prowadzenie normalnej rozmowy w takich warunkach nie należało ani do łatwych, ani przyjemnych, ale młodzi mężczyźni - od jakiegoś czasu stali bywalcy tego osobliwego przybytku - zdążyli się już przyzwyczaić i opracować sposoby skutecznej komunikacji. Przynajmniej mieli pewność, że nikt nie będzie ich podsłuchiwał, bo w takim zgiełku było to praktycznie niemożliwe.

Julek patrzył niewidzącymi oczami przed siebie. Resztki piwnej piany zalegały mu nad górną wargą.

- Mam skurwielowi odpuścić? - rzucił pytanie w przestrzeń.

- Góra nie zaakceptuje zamachu na Mischkego. Dowiadywałem się. - Władek pociągnął kolejny łyk. - Na pewno nie teraz. Może trzeba po prostu poczekać.

- Przecież podobno ktoś kiedyś mówił, że Mischke powinien zostać zlikwidowany. Nie?

- Kapitan Reszka mówił. Ale od mówienia do wykonania wyroku bardzo daleka droga. Tak jak ci mówiłem, nie teraz.

- Nie teraz? - Kwiatkowski wciąż nie patrzył na przyjaciela. - To kiedy?

- Nie wiem, kiedy. Co ci mam powiedzieć? Taki zamach po pierwsze trzeba bardzo dobrze zaplanować, przygotować... Mischke się pilnuje. Szkopy rozstrzelają zakładników. Góra uważa, że na teraz Mischke nie jest wart tylu ofiar. Jeszcze przyjdzie czas. Zobaczysz.

- Przyjdzie albo nie przyjdzie. A ja sam załatwię gnoja.

- Julek, do cholery, uspokój się! Jesteś żołnierzem. Obowiązuje cię dyscyplina wojskowa. Rozkazy.

- A co, zadenuncjujesz mnie?

- Daj spokój - obruszył się Hanćkowiak. - Przecież wiesz, że nie o to mi chodzi.

- Władziu, ty wiesz, co ten szmaciarz Marysi zrobił?

- Wyobrażam sobie. Pawiak to nie piknik na Bielanych.

- Nie wiesz i nie wyobrażasz sobie. - Popatrzył Hanćkowiakowi prosto w oczy. - On ją...

Julek zacisnął zęby, aż zazgrzytały. Wypił kilka solidnych łyków piwa.

- Rozumiem, że jesteś wściekły. Masz prawo.

- Nie, nie rozumiesz.

- Najważniejsze, że Marysia jest wolna. - Władek zignorował uwagę towarzysza. - Wyszła z tego piekła i teraz trzeba dopilnować, żeby była bezpieczna. Ona i wasza mama.

- Może masz rację.

Zrezygnowany głos Kwiatkowskiego sprawił Władkowi prawdziwą ulgę. Wyglądało na to, że niebezpieczeństwo szaleńczego zamachu na Obersturmführera Franza Mischkego, zostało zażegnane.

- Ludzi w twojej sytuacji są setki i nikt nie rzuca się z motyką na słońce. Mówię ci, że prędzej czy później dostaniemy tego drania. Trzeba do sprawy podejść na zimno. Niech się poczuje pewnie, popełni jakiś błąd, a wtedy...

- ... a wtedy góra łaskawie wyda zezwolenie na akcję - dokończył Julek z powątpiewaniem. - Takie proste, nie?

- Rany, ten znowu swoje. - Zdesperowany Hanćkowiak rozłożył ręce. - Zrozum, człowieku, musimy działać razem. Jako organizacja. Sam nic nie zwojujesz. Mogą tylko być cholerne kłopoty. Stuknij się wreszcie w ten pusty łeb.

Julek wychylił piwo do dna.

- Dobra. Nie przekonałeś mnie, ale niech ci będzie. - Westchnął. - Jutro zabieram mamę i Marysię do Lwowa. Nie będzie mnie parę dni, jakby kto pytał.

- Jak chcesz to zrobić?

- Jest gość, co pracuje dla Niemców. Może jeździć, gdzie chce. Zabierze nas ze sobą.

- Pewny?

- Przyjaciel rodziny z dawnych czasów. Pewny.

- Jak dla Niemców pracuje...

Julek popatrzył na przyjaciela z politowaniem.

- Myślisz, Władziu, że ryzykowałbym, gdybym nie miał stuprocentowej pewności?

- Tak tylko pytałem. Wiesz, jakby co trzeba...

- Wiem. I doceniam.

Tydzień później Juliusz Kwiatkowski zameldował swój powrót do Warszawy. Nikt z chłopaków nie wspominał przy nim nazwiska Franz Mischke. Tak na wszelki wypadek. Wyglądało na to, że obsesyjne pragnienie zemsty zaczęło mu powoli mijać. Szykowała się kolejna akcja, w której Kwiatkowski miał brać czynny udział. Wydano wyrok na konfidentkę gestapo, młodą dziewczynę mieszkającą kilkadziesiąt kilometrów od Warszawy.

Miał tam jechać Zygmunt Michta, który generalnie zajmował się wykonywaniem wyroków sądu podziemnego, a Julka postanowiono przydzielić mu do obstawy. Michta nie potrzebował towarzystwa. Niejeden raz wykonywał wyrok na zdrajcy. Tym razem jednak, decyzja zapadła na wniosek dowódcy grupy, kapitana Reszki, który za namową chłopaków chciał Kwiatkowskiemu dać konkretne zadanie, by ten zapomniał o Obersturmführerze Franzu Mischke.

Gdy podróż zatłoczonym pociągiem dobiegała końca, Zygmunt wyciągnął zza pazuchy zdjęcie. Przyjrzał się fotografii i podał Julkowi.

- Nazywa się Marta Sawikowska.

Julek patrzył przez dłuższą chwilę na podobiznę prześlicznej dziewczyny. Od pierwszej chwili uderzało jej niezwykle spojrzenie - ciepłe i łagodne, jednocześnie pełne radości życia i pogody ducha. Trudno było uwierzyć, że ma się oto przed sobą zdrajczynię narodu polskiego.

Starał się nie pokazywać emocji, jakie wzbudziła w nim fotografia.

- Ładna - rzucił tylko od niechcenia i oddał zdjęcie towarzyszowi. Pociąg zatrzymał się na maleńkiej stacji. Zygmunt wyjrzał przez okno.

- To tu - powiedział krótko. - Wsiadamy.

Razem z nimi wysiadło tylko kilkoro innych pasażerów, ale peron nie był pusty. Ludzie czekali na pociąg, objuczeni różnej wielkości tobołkami. Matki z dziećmi, mężczyźni o zmęczonych twarzach. Wtopili się w szarzyzną maleńkiej miejscowości, o której mało kto słyszał.

- Wiesz jak iść? - spytał Kwiatkowski.

Z zainteresowaniem obserwował tłoczących się ludzi przy wejściu do wagonu. Nie wszystkim uda się wsiąść.

- Ja nie - odparł Michta - ale tutejszy kolejarz na pewno.

Zygmunt podszedł do zawiadowcy, starszego mężczyzny z sumiastymi, siwymi wąsami à la marszałek Piłsudski, który czekał z opuszczonym lizakiem na peronie, aż pasażerowie poupychają się w wagonach. Julek widział, jak pokazuje kolejarzowi kartkę z adresem. Mężczyzna pokiwał głową i wskazał kierunek do miasteczka.

- I co? - spytał Kwiatkowski.

Zygmunt skinął.

- Wiemy wszystko. Tak jak mówił nasz człowiek. Domek pod miasteczkiem. Na uboczu. Idealnie.

- Daleko?

- Parę kroków. Kolejarz mówił, że za dwadzieścia minut będzie. Dobrym marszem.

Miasteczko było senne. Mieszkańcy zajęci swoimi sprawami, głównie pracą w gospodarstwie. Co jakiś czas mijali starszych, siedzących przed domem ludzi, najczęściej kobiety w charakterystycznych, kolorowych chustkach zawiązanych pod brodą. Na obcych spoglądano zwykle w przelotny i raczej obojętny sposób. Takie to były czasy. Lepiej nic nie wiedzieć i nic nie widzieć. Ktoś może zacząć zadawać niepotrzebne pytania, a zbyt duża wiedza dzisiaj często okazywała się zgubna. Lepiej pilnować własnego nosa. Na takie podejście liczyli egzekutorzy AK. Nadmierne zainteresowanie mogło oznaczać kłopoty. Na szczęście ludzie tu byli wystarczająco rozsądni, by takowego zainteresowania nie wykazywać.

W centralnej części miasteczka napotkali spory tłum i całą masę furmanek z zaprzężonymi końmi, czasem po jednym, czasem po dwa. Śmiało weszli w zgromadzoną cizbę. Dodatkowy kamuflaż.

- Jest dobrze - stwierdził Zygmunt. - Dzisiaj dzień targowy. Nikt nas w razie czego nie skojarzy.

Wokół panował łące targowy zgiełk. Mężczyźni, którzy stanowili tu zdecydowaną większość, głośno się targowali, zachwalali produkty rolne i zwierzęta do sprzedaży, dobijali targu i pieczętowali zawarte interesy potężnymi łykami wódki „z gwinta”. Zgubienie się w takim towarzystwie było rzeczą zupełnie naturalną.

- Widziałeś? - zagadnął Julek, kiedy opuścili plac targowy. - Jakby wojny nie było. Mogłeś kupić, co chcesz.

- Zawsze tak było, jest i będzie. Na wsi, bracie, nie zginiesz.

- No tak. My, mieszcuchy, tego nie rozumiemy.

- Czego nie rozumiemy?

- Że wieś nas żywi.

- Widzę, żeś się z Kaziem Pogodą zakumplował. - Zygmunt uśmiechnął się półgębkiem.

- Dlaczego?

- Nakładł ci do głowy tych wiejskich mądrości.

- Myślisz, że nie ma racji?

- Ma czy nie ma, Kaziu to zatwardziały chłop. Syn ziemi, żeby nie powiedzieć wojujący syn ziemi. Siłą od pługą oderwany. Cud, że do komunistów nie poszedł.

- Nie lubisz Kazia?

- Nie, jest w porządku. Ale chłop zawsze pozostanie chłopem. Nic nie zrobisz.

Maleńki, dość obskurny domek otoczony rozpadającym się drewnianym ogrodzeniem świadczył już na pierwszy rzut oka o biedzie, z którą jego mieszkańcy, a właściwie mieszkanki - wdowa z córką - musiały się borykać. Choć czasem pozory mylą. Zdrajcy najczęściej otrzymują za swoje podle usługi sówite wynagrodzenie. Zrozumiałym więc mógł być fakt, iż współpracownica gestapo, którą mieli zlikwidować, nie chciała się afiszować gwałtowną poprawą bytu, co z pewnością wzbudziłoby zaciekawienie, szybko prowadzące do bezinteresownej zawiści, a stąd już tylko krok do nieprzewidywalnych w skutkach sąsiedzkich działań.

Weszli na skromną posesję. Do domu prowadziły trzy drewniane stopnie. W sieni zastali około pięćdziesięcioletnią kobietę, zamiatającą podłogę. Znieruchomiała zaskoczona. Dwaj eleganccy młodzi mężczyźni to niecodzienny widok w jej skromnych progach.

- Panowie... do kogo? - spytała nieśmiało. Widać było, że niespodziewana wizyta wprawiła ją w niemałe zakłopotanie.

- Musimy się zobaczyć z panną Martą Sawikowską - powiedział Zygmunt oficjalnym tonem. - To bardzo ważne.

- Tak, tak. Córka jest. Przyjechała z Warszawy. Źle się czuję ostatnio i przyjechała mi pomóc. - W słowach kobiety dało się wyczuć nutę usprawiedliwienia. Weszli do izby. Wnętrze było nader skromnie urządzone, ale jednocześnie czyste i zadbane. - Martusia, kochanie. Masz gości. Panowie do ciebie.

Dziewczyna była jeszcze piękniejsza niż na fotografii. Delikatne rysy twarzy i ciepłe spojrzenie niemal od razu wzbudzały sympatię. Patrzyła na nich spokojnie. W jej oczach nie było strachu, który prawie zawsze towarzyszy zdrajcom w podobnych sytuacjach. Patrzyła z pewnego rodzaju ufnością, jakby w najmniejszym stopniu nie zdawała sobie sprawy, że oto może nadszedł czas zapłacić za swoje czyny. Niemożliwe, żeby nie słyszała o wyrokach wykonywanych na zdrajcach ojczyzny.

- Marta Sawikowska? - spytał Zygmunt pro forma.

- Tak. Słucham panów - odpowiedziała bez cienia emocji w głosie.

Julkowi przemknęła przez głowę myśl. Niesamowite jak stalowe nerwy musi mieć ta wydawałoby się krucha dziewczyna.

- Wyrokiem sądu Polski podziemnej zostałaś skazana na śmierć za zdradę ojczyzny.

Dziewczyna nie zdążyła zareagować. Zdumienie odebrało jej głos. Matka zdołała tylko otworzyć usta. Chciała coś powiedzieć, ale słowa uwięzły jej w gardle.

Zygmunt sprawnie wyciągnął pistolet i strzelił trzy razy. Dwa pociski ugodziły Martę Sawikowską w brzuch, trzeci w głowę. Osunęła się bez życia na podłogę. Krew z ran płynęła

powoli niewielką strużką.

Matka wytrzeszczyła oczy. Spoglądała to na martwą córkę, to na jej zabójcę. Straszliwe wydarzenie, którego właśnie była świadkiem, zdawało się nie docierać do niej w pełni. Nie wierzyła, że to, co się przed jej oczami dzieje, może być prawdą. Siedziała sparaliżowana emocjami i jak mechaniczna lalka przenosiła wzrok z córki na Zygmunta.

Mężczyźni wyszli na zewnątrz. Nie widzieli kobiety - matki zastrzelonego dziecka, która w jednej chwili całkowicie osiwała. Nie widzieli, jak kiwa się miarowo na stołku, powoli tracąc z rozpaczki zmysły. Nie widzieli, jak pęka jej serce i padając, uderza głową o podłogę. Nic nie widzieli. Zadanie zostało wykonane. Zdrajczynie zlikwidowana.

Szli w stronę dworca kolejowego. Zatrzymali się w bezpiecznej odległości. Zygmunt wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował Kwiatkowskiego. Julek dostrzegł jakiś niepokój w zachowaniu kolegi. Zygmunt zaciągał się głęboko.

- Taka ładna dziewczyna i sprzedała się szkopom - powiedział trochę sztucznie.

- Podobno wielu porządnych ludzi przez nią zamęczyli.

- No właśnie. - W głosie Michty zabrzmiała ulga.

- Pierwsza?

- Co pierwsza?

- Likwidacja. Pytam, czy pierwszy wyrok.

Zygmunt nie odpowiedział. Patrzył przed siebie.

- Jak Szwaba albo szmalcownika rozwalić to nigdy ręka nie zadrzała. Ale dziewczynę...

- Wiem.

- Myślisz, że się łamię?

- Nie, Zygmus. Myślę, że masz ludzkie uczucia.

- W cholerę z tym. Pomyślałby kto, że jest się czym przejmować. - Wyglądało na to, że Zygmunt wziął się w garść. - Patrz, że matka nawet nie krzyknęła.

Zauważyli biegnącą w ich kierunku postać. Poruszała się szybko. Wkrótce rozpoznali Władka Hanćkowiaka. Ucieszył się na ich widok. Zatrzymał się przy nich, dysząc ciężko jak maratończyk na mecie.

- Już myślałem, że was nie złapię - wydusił z siebie, z trudem łapiąc powietrze. - Mało brakowało.

- Co ty tu robisz? - spytał Julek zaskoczony.

Hanćkowiak położył mu rękę na ramieniu.

- Kurczę. - Udało mu się wreszcie uspokoić oddech.

- Akcja odwołana. Pomyłka. Marta Sawikowska nie zdradziła. Jakież horrendalne nieporozumienie. Dopiero dzisiaj się wyjaśniło. Wstrzymujemy likwidację.

- Rany boskie! - wyszeptał Michta. - Rany boskie!

- Co? - Włodek spojrzał na Zygmunta podejrzliwie. Potem na Julka. - No co? Wy chyba nie...

- Jakież pół godziny temu - poinformował go Kwiatkowski.

- Szlag by to trafił. - Hanćkowiak był zły, zły na siebie, że nie zdążył. - Dobra. Trudno. Stało się.

- Trudno? - Zygmunt nie potrafił się z tym pogodzić.

- Zygmunt, to jest wojna. Na wojnie są ofiary. Nic na to nie poradzisz. - Włodek patrzył mu prosto w oczy. - Wynosimy się stąd. Już.

Ruszyli w stronę stacji kolejowej. Nikt się nie odzywał. Kiedy milczenie stawało się momentami zbyt dokuczliwe, Hanćkowiak zagadywał neutralnie. Ale rozmowa zupełnie się nie kleiła.

W pociągu panował ścisk. Chętnych na podróż do Warszawy było sporo więcej niż miejsc w prymitywnych wagonach. O ile stanąć jeszcze się gdzieś dało, to na to, żeby usiąść nie było żadnych szans. Na szczęście podróż miała trwać nie dłużej niż trzy godziny. Da się wytrzymać.

Stali przy drzwiach do wagonu. Co jakiś czas ktoś przechodził, a właściwie przeciskał się w jedną lub drugą stronę.

- Krysię widziałem wczoraj - Włodek szturchnął opartego o ścianę wagonu Julka, który przyglądał się współpasażerom bez zainteresowania.

- Krysię?

Julek popatrzył na przyjaciela zdziwiony.

- Co, swojej „ciotki” nie kojarzysz?

- Miała wyjechać z Warszawy na parę dni.

- Miała, ale się o ciebie martwi.

- Nic mi nie mówiła.

- Ostatnio trudno ci cokolwiek powiedzieć, ale pewnie nie zauważyłeś.

- Przesadzasz - Julek postanowił zbagatelizować słuszną skądinąd uwagę.

- Skoro tak mówisz... Swoją drogą miał ktoś fantazję, żeby nasze dziewczyny „ciotkami” ochrzcić.

- Podobno ktoś z góry tak powiedział, i się przyjęło - odparł Kwiatkowski.

Wrócił do obserwacji pasażerów. Było na co popatrzeć. Ludzie w przeróżnym wieku,

różnej płci. Dałby głowę, że całkiem sporo spośród nich szmugluje do miasta wyroby mięsne. Ostatnio skutecznym sposobem okazywał się przewóz towaru „na ciężarną”.

Zygmunt wpatrywał się tępo we wciąż zmieniający się krajobraz za oknem. Nie widział mijanych drzew i pól uprawnych. Nietrudno było odgadnąć, że niedawne wydarzenia wciąż nie dają mu spokoju. Miał silny charakter. Niezłomny w akcji. Nigdy wcześniej nie okazał słabości. Ale był też człowiekiem z gruntu prawym. Poczucie sprawiedliwości miał głęboko zakorzenione. Postrzegał swoją działalność w AK jako misję wymierzania sprawiedliwej kary zdrajcom i wrogom. Zawsze wykonywał powierzone mu zadania bez cienia wątpliwości w ich słuszność. Tym razem stało się inaczej, stało się coś zupełnie nieoczekiwanego. Z jego ręki na oczach własnej matki zginęła niewinna dziewczyna.

Ani Julek, ani Władek nie obawiali się o towarzysza. Prędzej czy później przejdzie nad niefortunnym zamachem do porządku. Będzie musiał. Organizacja wymaga bezwzględnego posłuszeństwa i zdyscyplinowania. Wiedzieli, że Zygmunt się dostosuje. To tylko kwestia czasu.

Pociąg zatrzymał się w polu i nieplanowany postój przedłużał się. Żaden z pasażerów nie wykazywał zniecierpliwienia. Nie było to nic nadzwyczajnego. Polski pociąg zawsze musiał ustąpić pierwszeństwa transportowi niemieckiemu. Czasem jednemu, czasem kilku, co wiązało się niejednokrotnie z przerwą w podróży sięgającą paru godzin.

- Zobaczą, co się dzieje - powiedział Władek i zaczął się przeciskać w stronę wyjścia.

- Tylko nie marudź, bo bez ciebie pojedziemy - rzucił za nim Julek.

Władek nie odpowiedział. Sprawnie dotarł do drzwi i chwilę potem znalazł się na zewnątrz. Szybko okazało się, że nie był jedynym pasażerem, który chciał zasięgnąć informacji o długości postoju. Dwóch mężczyzn nieopodal rozmawiało z kierownikiem pociągu. Częstowali go papierosem i wymieniali uwagi. Władek ruszył w ich kierunku. Kierownik tymczasem wrócił do swoich obowiązków. Dwaj mężczyźni, jeden bardzo młody, drugi w średnim wieku, spokojnie palili i bynajmniej nie zamierzali wsiadać z powrotem do wagonu. Można było wnioskować, że nieprędko ruszą w dalszą podróż.

- Panowie coś wiecie? - zagadnął ich Hanćkowiak. - Ile postoiemy?

- Długo - odpowiedział starszy. - Możesz pan na grzybki iść. Kierownik mówił, że dwie godziny co najmniej.

- Coś się stało?

- Jadą transporty świeżej rąbanki z Rosji - młody włączył się do rozmowy.

- Transport szybko przejedzie. Dwie godziny?

- Transport przejedzie - przyznał starszy - ale banda esesmanów postanowiła sobie

kąpiel rekreacyjną urządzić. Takie małe jeziorko jest niedaleko, tam za tymi drzewami. - Spojrzał na niewielki zagajnik. - Psie juchy. Kazali zatrzymać pociąg i dwa wagony opróżnić. Diabli wiedzą, kiedy im się znudzi. Gorąco cholero, bodaj ich...

Władek zastanowił się przez chwilę. Coś go tknęło. Może jest okazja, żeby trochę broni zdobyć. Choćby krótkiej.

- Banda esesmanów? Dużo ich?

- Kierownik mówił, że ze trzydziestu będzie - pośpieszył z odpowiedzią młody.

- Uzbrojeni?

- Kto ich tam wie. Skądś tam wracają.

Władek zauważył szybko idącego wzdłuż pociągu kierownika. Podbiegł do niego.

- Kierowniku, podobno jakichś esesmanów mamy zabrać.

- Tak, psie krwie. Z dwóch wagonów ludzi musiałem wyrzucić, im w jednym miejsca mało.

- Z broni co mają?

Kierownik spojrzał na Hanćkowiaka badawczo.

- A pan szanowny, czemu się tak interesuje?

- A ciekawy świata jestem.

Kolejarz nabrał podejrzeń.

- Panie, ja kłopotów nie chcę. Spokojny człowiek jestem. Trzeba szkopów zabrać, to zabiorę i pojedziemy.

- Niech się kierownik nie boi. Nie będzie kłopotów. Tak tylko pytam.

- Nie wiem, kto pan jest, i nie chcę wiedzieć. Ja się nie boję. Tylko w razie czego, ludzi by było szkoda. - Rzucił wymowne spojrzenie na pasażerów. - Niedaleko mają.

- Jak mówiłem, tylko z ciekawości pytam.

- Panie, w dzisiejszych czasach ciekawość to trefny towar. Młody pan jesteście. Lepiej uważać.

Kierownik pociągu nie czekał na dalszy rozwój konwersacji. Odwrócił się i odszedł w stronę lokomotywy.

Wejście z powrotem do wagonu okazało się trudniejsze niż wyjście. Przymusowe zagęszczenie zrobiło swoje. Dobrą chwilę zabrało mu przebicie się do kolegów.

- I co? - spytał go od razu Julek.

- Postoimy, i to długo.

- Co się stało?

- Najpierw puszczały rąbankę ze Wschodu, a potem musimy czekać na esesmanów.

Podobno ze trzydziestu. Kąpieli zażywają w jezioru, tam za tymi drzewkami. Jak skończą, mamy ich zabrać.

- Ile czasu?

- Kierownik mówi, że ze dwie godziny co najmniej.

- Cholera.

Zygmunt się nie odzywał. Wyglądał, jakby mu było wszystko jedno. Czekamy, to czekamy; jedziemy, to jedziemy.

- Ale wiecie co, chłopaki, ja bym się tym esesmanom przyjrzał.

- Niby po co? Esesmana nie widziałeś? - Kwiatkowskiemu nie spodobał się pomysł przyjaciela.

- Kąpią się, nie?

- Co z tego.

- Przecież nie wchodzi do wody z gnatami. Może by się udało jakąś broń zdobyć...

- Myślisz, że się nie pilnują? I niby w jaki sposób chciałbyś uciec trzydziestce esesmanów.

- Mówię tylko, że można byłoby się przyjrzeć. Co szkodzi? Macie co innego do roboty?

- Możemy właściwie pójść - odezwał się Zygmunt chmurnie. - Czemu nie?

- Dobra. - Julek ruszył do wyjścia.

Tak jak się można było spodziewać, nad jeziorem dwóch uzbrojonych esesmanów pilnowało ubrań i broni kolegów. Kierownik pociągu miał rację. Było ich ponad trzydziestu. W otoczonym drzewami małym zbiorniku wodnym młodzi Niemcy chlapali się jak dzieci. Pływali, nurkowali, przyskali się wodą. Niewinne zabawy, jakim się oddawali, sprawiały, że w niczym nie przypominali śmiertelnych wrogów znanych z okrucieństwa i bezwzględności.

Trójka Polaków kryła się za drzewami. Mieli dokładny ogłąd sytuacji. Ewentualna likwidacja dwóch strażników nie przedstawiała żadnego problemu. Broń złożona w jednym miejscu stanowiła łąkowy kąsek. Ale ucieczka w żaden sposób nie mogła się powieść. Zostaliby złapani i to szybciej, niż by się mogło wydawać.

- Cholera, kiepsko to wygląda - zauważył Włodek pesymistycznie. - Za dużo ich.

Zygmunt wbijał nienawistne spojrzenie w grupę kąpiących się. Gdyby wzrok mógł zabijać, padliby wszyscy martwi jak jeden mąż.

- Tyle dobra - Julek patrzył na stertę pistoletów maszynowych przy brzegu. - Zbrojmistrz by nas ozłocił. Może poprobować? Zanim się zbiorą...

- Chybaś oszalał. - Szept Władka przybrał ostrzejszy ton. - Gdzie uciekniesz? Całej

broni im nie zabierzesz.

- Wracamy?

- Wracamy. Jeszcze któryś zauważy.

- Nie tak prędko - odezwał się Zygmunt grobowym głosem. - Jest szansa. Chodźcie za mną.

Nie czekał na reakcję kolegów. Pochylił się lekko i ruszył w kierunku odwróconych do nich tyłem esesmanów. Starał się stąpać jak najciszej. W dłoni błysnął mu nóż. Użycie pistoletu nie wchodziło w grę.

- Zygmunt, co ty wyprawiasz?

Tylko tyle zdołał za nim powiedzieć zaskoczony Hanćkowiak. Popatrzył na Julka.

- Idziemy - powiedział Kwiatkowski. - Zygmunt chyba wie, co robi.

- Chyba?!

Władek podniósł głos, ale nie na tyle, by usłyszeli go Niemcy. Grupa w jezioru robiła zbyt wiele hałasu. Mieli wszelkie szanse, żeby podejść strażników niezauważenie. Tylko co dalej?

Zygmunt najszybciej pokonał dzielący go od esesmanów pas otwartego terenu. Dopadł pierwszego i wbił mu ostrze w szyję. Po sekundzie drugi zorientował się w sytuacji. Przerzucił pistolet maszynowy z pleców, ale nie zdążył go odblokować. Julek wbił mu nóż w kark i zasłonił dłonią usta. Zgodnie z przewidywaniami likwidacja strażników przebiegła bez najmniejszych problemów. Kwiatkowski i Hanćkowiak doskoczyli do sterty pistoletów maszynowych.

- Zostaw!!! - krzyknął do nich Zygmunt. - Bierzcie się za ckm!

Dosłownie kilka metrów z boku, przykryty zielonym brezentem stał ciężki karabin maszynowy. Oni go nie zauważyli, ale Zygmunt tak. W tym właśnie upatrywał szansy i to bardzo realnej.

Nie trzeba było im dwa razy powtarzać. Dopadli do ckm-u, sprawnie założyli pas z nabojami i przeładowali. Tymczasem zamieszanie na plaży zwróciło uwagę kilku Niemców w jezioru. Patrzyli na obcych osłupiali. Nie mieściło im się w głowie, że nagle stanęli twarzą w twarz ze śmiertelnym zagrożeniem ze strony tych trzech cywilów, z których jeden powoli, wręcz niedbale podniósł pistolet maszynowy i wycelował w nich z biodra. Dwaj pozostali ustawili gotowy do strzału ckm. Wśród Niemców zaczęły się nawoływania, krzyki, ogólne zamieszanie. W tej samej chwili ckm zaczął pluć ogniem. Już pierwsze pociski zmasakrowały zbitą grupę kąpiących się. Niektórzy próbowali pojedynczo uciekać na brzeg. Tych Zygmunt kosił z linii wody. Dwóch zanurkowało z zamiarem wydostania się z matni pod wodą. Na

nich Zygmunt spokojnie poczekał i z zimną krwią zastrzelił, gdy tylko wynurzyli głowy. Pozostali padali jak muchy pod ciężkim ostrzałem Władka i Julka. Nie mieli żadnych szans na ujęcie z życiem. Po krótkim czasie woda nabrała czerwonego koloru, a na powierzchni zaroilo się od trupów. Ckm umilkł. Nie było już do kogo strzelać. Władek i Julek patrzyli, jak Zygmunt metodycznie dobija jeszcze dwóch próbujących schować się pod taflą wody Niemców. Odczekali chwilę, obserwując akwen. Musieli mieć pewność, że nikt nie przeżył. Wkrótce już mieli.

- Pakujemy! - zakomenderował Władek.

Złapali trzy plecaki wojskowe i załadowali do nich tyle broni, ile się dało. Resztę wrzucili jak najdalej do wody. Ckm również wylądował w jezioru, choć żal przyprawiał chłopaków o ból serca.

Zarzucili ciężkie plecaki na ramiona. Zygmunt jeszcze raz obejrzał powierzchnię jeziora. Jedyne ruch, jaki dało się zauważyć, to podziurawione kulami pływające ludzkie ciała. Pościgu nie musieli się obawiać.

- Gdzie teraz? - spytał Julek, kiedy opuścili miejsce kaźni esesmanów.

- Z powrotem do pociągu, i do Warszawy.

- Mówiłeś, że kierownik chce czekać na szkopów.

- Nie chce, tylko musi. Teraz już nie ma na kogo czekać, nie?

- Swoje człowiek?

- Trochę bojący, ale mu się wytłumaczy, że czas na odjazd. - Głos Władka ponownie nabrał typowego dla niego nonszalanckiego tonu. - Pojadę w lokomotywie na wszelki wypadek, żeby maszynistą nie zaczęły targać niepotrzebne wątpliwości. Wy będziecie zabawiać rozmową kierownika pociągu. Odrobina perswazji też nie zaszkodzi.

- Będziemy bardzo przekonujący, nie Zygmus?

- Będziemy - padło potwierdzenie.

Zygmunt Michta jakby doszedł do siebie. Egzekucja esesmanów miała na niego wręcz terapeutyczny wpływ. Wylądował na nich całą złość i wyrzuty sumienia powstałe po wykonanym wyroku na niewinnej dziewczynie. Czuł się w jakimś stopniu oczyszczony, w pewien sposób winni nieszczęsnej pomyłki zostali ukarani.

Władek i Julek natychmiast dostrzegli tę pozytywną w gruncie rzeczy przemianę. Znowu będzie można w pełni liczyć na Zygmunta. Organizacja go potrzebowała. Zawsze był niezłomny. Wydarzenia sprzed kilku godzin też go nie złamały. Można powiedzieć, że stał się silniejszy.

Przed pociągiem zastali pasażerów przechadzających się w małych grupkach i

rozmawiających. W sytuacji ciągnącego się w nieskończoność oczekiwania na odjazd, wielu postanowiło rozprostować nogi.

Kierownik pociągu właśnie wysiadał z pierwszego wagonu. Władek zatrzymał go.

- Transport już przejechał?

- Jakies pół godziny temu. Tylko co z tego? I tak musimy czekać.

- Nie musimy, kierowniku. Esesmani zmienili zdanie. Nie jadą z nami. Rozmyślili się.

- Żarty się szanownego pana trzymają, a mi wcale nie do śmiechu.

- Nie czas na żarty. Szkopy nie przyjdą. Wyślij pan z powrotem ludzi do tych wagonów, co puste są, i jedziemy.

- Co pan mówisz?

Doszli do nich Julek i Zygmunt.

- Mówię, że szkopy już nigdzie nie pojadą. - Rozchylił poły skórzanej kurtki tak, żeby kolejarz zobaczył włożony za pas pistolet. - Na pożegnanie dali nam parę pamiątek.

Kierownik pociągu patrzył na całą trójkę wielkimi oczami.

- Panowie, ale...

- Nie ma „ale”, kierowniku. Niech pan gwizdże, żeby ludzie wsiadali. Ja pogadam z maszynistą.

- Rany boskie, panowie ich... - nie odważył się dokończyć.

- Ja bym się pośpieszył z odjazdem. Niedługo tu zaroi się od Szwabów. Myślę, że się z lekka zdenerwują, jak zobaczą swoich koleśki w jeziorku.

- Rany boskie, rany boskie!

Mężczyzna dłużej się już nie ociągał. Włożył gwizdek do ust i zadał mocniej niż zwykle. Niektórzy pasażerowie wydali okrzyk radości. Zaczęli pośpiesznie wsiadać do wagonów.

Władek wszedł do parowozu. Maszynista - człowiek, lekko licząc - pod sześćdziesiątkę, nie wyglądał na zaskoczonego.

- Pozwoli pan szanowny, że pojedziemy razem.

- Będzie mi bardzo miło - odpowiedział utyłany węglem mężczyzna. - Słyszałem rozmowę. To, coście mówili to prawda?

- Bo co?

- Bo jak prawda - maszynista nie przestawał się uśmiechać - to dzielne chłopaki jesteście. Będę miał, co dzieciakom opowiadać. Nie ma co.

- Chodzi właśnie o to, żeby nie opowiadać. Szkopy szalu dostaną. Będą szukać. Ktoś niepotrzebnie mógłby się wygadać i kłopot gotowy dla szanownego pana i szanownej

rodziny. Tak ze szczerego serca radzę.

Maszynista spoważniał nagle.

- Jasny gwint. Masz pan rację. Nie, no pewnie. Ani pary z gęby. Kierownikowi jeszcze by trzeba powiedzieć.

- Nie ma obawy. Koledzy zadbają o rozsądek szanownego kierownika.

- Ech, panowie - tamten ponownie się uśmiechnął - żebym to ja był ze dwadzieścia lat młodszy, to byśmy razem...

Maszynista wychylił się przez okno. Na sygnał kierownika pociąg ruszył powoli naprzód do Warszawy.

ROZDZIAŁ 16

Julek wszedł za listonoszem do bramy. Mężczyzna, niewiele starszy od Kwiatkowskiego, nie zwrócił na niego specjalnej uwagi. Zajęty był wkładaniem listów do skrzynek. Nie wydawało mu się dziwnym, że ktoś przystanął za jego plecami. Zamknął skrzynkę na klucz, ale kiedy chciał się odwrócić do drzwi, poczuł ból z tyłu głowy i zapadł się w ciemność.

Kwiatkowski wziął go na ramię i zaniósł do piwnicy.

- Wybacz, bracie - powiedział do nieprzytomnego.

Zabrał się za ściąganie munduru z listonosza. Następnie sam go założył. Prawie pasował. Górna część była trochę przyciasna w ramionach, ale dało się przeżyć. Swoje rzeczy spakował do plecaka. Przed wyjściem z piwnicy spojrzął na nieszczęśnika. Wcześniej planował, że go zwiąże, teraz zmienił zdanie. W końcu szkoda człowieka. Bogu ducha winny rodak. Miał zwykłego pecha, że stał się elementem planu Juliusza Kwiatkowskiego.

Julek przewiesił torbę z listami przez ramię i wybiegł po schodach z piwnicy. Nie było postronnych świadków. Wszystko układało się doskonale. Na ulicy przyśpieszył kroku. Chciał jak najszybciej dotrzeć do celu, jakim była kamienica, gdzie mieszkał Obersturmführer Franz Mischke.

Nie miał daleko. Szybki spacer zajął mu kwadrans. Stał przed bramą, której wejścia pilnował uzbrojony żołnierz. Drugi przechadzał się nieopodal, lustrując otoczenie. Julek przywitał się zdawkowym „*Gutten Tag, Herr Offizier*”, ale nie otrzymał odpowiedzi. Nie czekał, zdjął torbę i postawił na ziemi. Następnie podniósł ręce. Był gotów do zwyczajowej rewizji. Niemiec obszukał go dokładnie. Zajrzał do torby, jednak nic nie znalazł. Fakt, że tego dnia listy przyniósł ktoś inny, nie wzbudził specjalnych podejrzeń. Czasem, rzadko, bo rzadko, ale doręczyciele się zmieniali.

Żołnierz machnął na Polaka ręką, każąc mu wchodzić do kamienicy. Julek pchnął ciężkie, drewniane drzwi i znalazł się na czystym, jasnym korytarzu. Rozejrzał się szybko. Kręte schody prowadziły na piętra. Mieszkanie Mischkego miało być na pierwszym. Z parteru nie widać było wejścia. To dobrze.

- A ty co się zastanawiasz? - usłyszał za sobą męski głos.

Odwrócił głowę. Miał przed sobą drobnego mężczyznę w średnim wieku, z wąsikami à la Adolf Hitler. Był od niego o pół głowy niższy. Trzymał miotłę jak żołnierz na warcie.

- Ja... przepraszam. - Julek udał zmieszanego i lekko przestraszonego. - Listy przyniosłem. Jeśli pan szanowny pozwoli...

- Pozwoli, pozwoli. Tylko szybko.

Listonosz otworzył skrzynkę i zaczął grzebać w torbie. Wrzucał listy na chybił trafił. Nie było to w tej chwili istotne. Dozorca, bez wątplenia polski volksdeutsch, stał za plecami.

- A czy szanowny pan pozwoli tylko o coś spytać?

- Co chcesz?

- Bo wie pan, mój dziadek był Niemcem i ja bym chciał podpisać volkslistę. Bo wie pan, ja czuję się tak naprawdę Niemcem, tylko ci Polacy... sam pan rozumie.

- Masz jakieś papiery na tego dziadka?

- W domu coś jest. Mógłbym przynieść, jakby szanowny pan był tak dobry...

Surowe spojrzenie dozorczy nagle złagodniało.

- Bardzo mądrze. Niektórzy są głupi. Nie tak jak ty. Trzymają się tej swojej zasranej polskości, chociaż mają niemieckie korzenie. Bardzo mądrze myślisz.

- Mój dziadek nazywał się Gersztyn. Po polsku właściwie nie mówił. To chyba jestem Niemcem, prawda?

Do wewnątrz zajrzał wartownik. Zaniepokoił się trochę przedłużającym się pobylem listonosza na klatce schodowej. Widok gospodarza domu uspokoił go.

- *Alles in Ordnung?* - spytał Niemiec pro forma.

- *In Ordnung* - odpowiedział volksdeutsch z uśmiechem. Niemiec zamknął drzwi. - Wystarczy kropla krwi niemieckiej - poinformował Julka dozorca.

- Dosyć mam Polaków. Sam pan pewnie rozumie. Brudni, niezdyscyplinowani, w ogóle niedobrze się robi. Ja bym chciał tak jak pan.

Dozorca uśmiechnął się z zadowoleniem. Na korytarz wyszła gruba kobieta z zawiniętym w turban ręcznikiem na głowie.

- Johann, co ty gadasz z tym Polakiem? - Mocno, pogardliwie zaakcentowała ostatnie słowo.

- To niegłupi Polak. Chce volkslistę podpisać.

- Zostaw go. - Najwyraźniej deklaracja listonosza nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. - Chodź do domu.

- Przyjdź jutro - powiedział Johann na odchodnym. - Zobaczymy, co się da zrobić.

I podreptał za kobietą, przy której wyglądał mizernie.

Julek odetchnął. Wreszcie miał czas, którego potrzebował. Zamknął skrzynkę i puścił się okrągłymi schodami na górę.

Zadzwoił do drzwi, na których widniała wizytówka Niemca. Nie padło zwyczajowe pytanie: „Kto tam?”. Mieszkańcy tej kamienicy mieli prawo czuć się bezpiecznie. Drzwi

otworzyły się na oścież. Stanął w nich Obersturmführer Franz Mischke we własnej osobie.

- Czego?

- Mam przesyłkę, Herr Mischke.

- To dawaj. Na co czekasz? - warknął Niemiec.

Julek wyciągnął list na chybił trafił i postąpił krok w stronę hitlerowca. Skrócił dystans. Mógł już zaatakować. Ruch ręki Kwiatkowskiego był jak błyskawica. Niemiec nie zdążył nawet drgnąć. Palce Julka wyćwiczone przez Hiroshiego Harę podczas morderczych treningów w Anglii były jak stalowe imadło. Bez większych trudności zmiażdżyły tchawicę oficera, który zamachał rękami, stracił oddech i rzucił się do wiszącej na wieszaku kabury pistoletu. Oczy wyszły mu na wierzch. Dusił się, ale mimo to próbował wyciągnąć broń. Julek nie zamierzał mu na to pozwolić. Uderzył ponownie. Tym razem wyprowadził krótki cios w głowę. Gestapowiec zachwiał się i upadł na plecy. Otwarta kabura została na wieszaku. Próbował łapać powietrze jak ryba wyciągnięta z wody. Twarz mu posiniała. Zaraz potem znieruchomiał.

- *Auf Wiedersehen, Herr Mischke* - rzucił Kwiatkowski do trupa, i zamknął cicho drzwi.

Zszedł ze schodów i wyszedł na zewnątrz. Wartownicy patrzyli za nim, aż doszedł do ulicy i zniknął im z oczu. Nie musiał się specjalnie śpieszyć. Minie trochę czasu zanim odkryją, że Obersturmführer Franz Mischke „zginął bohaterską śmiercią w walce z polskimi bandytami”.

Atmosfera w pomieszczeniu była ciężka. Julkowi kazano czekać. Jego losy ważyły się w pokoju obok. Siedział i czekał już blisko godzinę. Przesłuchanie nie było długie. Zarzucono mu działanie na własną rękę bez rozkazu, niesubordynację i narażenie bezpieczeństwa organizacji.

Oficer reprezentujący oskarżenie nie miał wątpliwości. Podchorąży Juliusz Kwiatkowski był winny zarzucanych mu czynów. Można było odnieść wrażenie, że na niewiele się zdały zeznania kapitana Czernego, który bronił swojego żołnierza, jak mógł.

Podsądny spojrzał na wiszący na ścianie zdobiony zegar. Czerwona wskazówka sekundnika leniwie przesuwiała się do przodu. Czas płynął, a sąd wciąż rozpatrywał jego sprawę. Julek nie miał złudzeń. Wyrok będzie skazujący. Pozostawała jedynie kwestia kary. Jej wysokość i dotkliwość. Zdawał sobie sprawę, że przemawiały za nim okoliczności łagodzące: dotychczasowa nienaganna służba, spektakularne akcje, za które został odznaczony i fakt, że hitlerowiec i tak znajdował się na celowniku Armii Krajowej. Sęk w

tym, że cały czas był poza zasięgiem egzekutorów.

Drzwi otworzyły się. Kapitan Jan Czerny miał niewyraźną minę. Zmierzył wzrokiem swojego podkomendnego, który na widok dowódcy zerwał się z krzesła. Kapitan gestem dłoni kazał mu z powrotem usiąść. Sam przysunął sobie drugie krzesło spod ściany. Młody podchorąży mimochodem spojrzął na drzwi, za którymi zostali jego sędziowie. Były zamknięte.

- Miałeś szczęście, Kwiatkowski. - Kapitan popatrzył mu prosto w oczy. - Bardzo dużo szczęścia.

- To znaczy?

- Opuszczasz kraj.

- Jak to?

- Normalnie. Wyjeżdżasz. Zostajesz bezterminowo zawieszony. Na razie dostajesz ostatnie zadanie. Będziesz eskortował kurierkę do Lizbony. Stamtąd do Anglii. Jak się spiszesz, to kto wie, może dowództwo wybaczy.

Julek wiedział, że z wyrokiem sądu podziemnego się nie dyskutuje. Zdawał sobie też sprawę, że kapitan miał rację. Wyrok był łagodny, bez dwóch zdań. Ale kara była jednocześnie dotkliwa. Szczególnie dla niego, który tak bardzo walczył o powrót do ojczyzny. Teraz znowu będzie musiał ją opuścić i nie wiadomo na jak długo. Rozkaz musiał wypełnić, nawet jeśli po jego wykonaniu praktycznie przestawał być żołnierzem Armii Krajowej.

- Kiedy? - spytał wyraźnie przybity.

- Jutro spotkasz się z kurierką. Ona ci wszystko powie. Jedziecie jeszcze w tym tygodniu.

- Będę mógł się pożegnać z chłopakami?

- Sąd tego nie sprecyzował. Więc masz moje pozwolenie.

- Jak się z tą kurierką spotkam?

- Ktoś cię do niej zaprowadzi. Czekaj jutro na swojej kwaterze.

To oznaczało, że jeszcze dzisiaj musi się spotkać z Krysią. Do mamy i Marysi już nie zdąży. Postanowił poprosić Krysię, by dostarczyła list, jak będzie miała wolną chwilę. W ten sposób da rodzinie znać.

Nie śpieszył się. Szedł jedną z warszawskich ulic, wlokąc za sobą nogi. Patrzył na umęczone okupacją miasto, które go wychowało i z którym chciał związać swoją przyszłość. Chciał, lecz los zdecydował inaczej. Druga sprawa, że własnoręcznie w tym losowi pomógł, tyle że z pewnością nie żałował swojego uczynku. Postąpił właściwie. Uważał, że każdy w jego sytuacji zrobiłby to samo. A przynajmniej powinien.

Centrum miasta mimo powoli zapadającego zmierzchu, tętniło życiem. Przejeżdżały dorożki - głównie z niemieckimi oficerami i ich metresami. Niektóre się zatrzymywały przed budynkiem hotelowej restauracji. Hitlerowcy i ich towarzyszkę zwracali na siebie uwagę głośnym zachowaniem, śmiechem na całe gardło i arogancją w stosunku do Polaków. Takich ludzi przyjechał wygnąć z ojczyzny, a teraz ona skazuje go na wygnanie. Nie miał wątpliwości, że powrót przed zakończeniem wojny będzie niezwykle trudny.

Postanowił najpierw spotkać się z Krysią. Ostatnio stali się sobie bliscy. Czuł, że ich przyjaźń była na najlepszej drodze do poważniejszego związku, Julek już dawno przestał być dziewczynie obojętny, chociaż długo się z tym kryła.

Kolejna dorożka zatrzymała się przed restauracją. Niemiec w czarnym mundurze z hukiem otworzył szampana. Dwie kobiety i mężczyzna w mundurze Wehrmachtu roześmiali się w głos. Esesman wypił potężny łyk z butelki i spontanicznie przyssał się do ust siedzącej obok kobiety w eleganckiej sukni. Nie bronila się. Odwzajemniła pocałunek.

- Herman! - zakrzyknął radośnie oficer Wehrmachtu. - Nie przy ludziach. Gdzie twoje maniery?

Sam, przecząc wyraźnie ledwo wypowiedzianym słowom, pocałował swoją towarzyszkę. Następnie cała czwórka wysiadła z dorożki. Mężczyźni dżentelmeńsko podali damom dłonie, pomagając im zejść ze stopni. Aż dziw brał, że nie były im obce takie maniery. Julek idąc, z niesmakiem obserwował sytuację po drugiej stronie ulicy. Chciał przyspieszyć kroku, kiedy jeden szczegół osadził go w miejscu. Towarzyszka Niemca z szampanem odwróciła się. Jej śliczna, rozbawiona twarz natychmiast przyciągnęła jego wzrok. Powiedziała coś do esesmana i pocałowała go w policzek, śmiejąc się przy tym radośnie. Hitlerowiec przyciągnął ją do siebie i wolną ręką złapał lubieżnie za pierś. Ona zrobiła minę urażonej niewinności i delikatnie ściągnęła z biustu jego dłoń, która natychmiast powędrowała do jej kształtnych pośladków.

Juliusz Kwiatkowski stał jak wryty. Nie wierzył własnym oczom. Od tej czwórki dzieliło go może kilkanaście metrów. Nie mogło być mowy o pomyłce. Oblapianą przez szkopa kobietą była Krystyna Szumska. Jego Krysią. Nie miał cienia wątpliwości.

Tymczasem wesołe towarzystwo stanęło na schodach prowadzących do hotelu. Dziewczyna obejrzała się za siebie i... napotkała jego wzrok. Na moment jej śliczna twarz skamieniała. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Niemiec mimowolnie wybawił ją z niezręcznej sytuacji. Chwył Krysię w pól i wprowadził do wejścia. Zniknęli w środku, witani przez kłaniającego się odźwiernego.

Julek nie mógł ochłonąć. To, co zobaczył, dotknęło go do żywego. Wszystkiego by się

spodziewał, tylko nie takiego widoku. Nie był naiwny. Świetnie zdawał sobie sprawę z tego, jak kończą się takie towarzyskie spotkania polskich kobiet z niemieckimi oficerami. Nie darmo przyjechali do hotelu. Po sutej kolacji zabawa przeniesie się do hotelowego pokoju. Ruszył przed siebie. Cudem powstrzymywał się przed biegnięciem. Myślał gorączkowo. Co ma teraz z tym zrobić? Gdzie iść? Nieoczekiwana zmiana planów. Uznał, że najlepszym miejscem, by pomyśleć o tym na chłodno będzie pijalnia piwa, w której często bywali z chłopakami, i tam skierował swoje kroki.

Ciepły, wczesnowieczorny wiatr rozwiewał mu włosy i studził głowę. Droga do piwiarni zabrała mu jakieś pół godziny. Wszedł do przesiąkniętego specyficznym zapachem pomieszczenia. Już na progu uderzała w nozdrza mdła woń spoconych, męskich ciał, rozlanego piwa i prostego jedzenia pitraszonego w mało higienicznej kuchni.

Miejsce jak zwykle pełne było ludzi. Dopchał się do baru i zamówił kufel spienionego płynu, z którym stanął pod oknem przy wysokim, sięgającym do piersi blacie. Rozejrzał się. Nie dostrzegł znajomych twarzy.

Piwo było zimne - choć pod tym względem właściciele przybytku dbali o klientelę, bo jego wodnista jakość pozostawiała sporo do życzenia. Takie to jednak nastały czasy, że wybrednych konsumentów ze świecą szukać, więc interes się kręcił.

Wbił wzrok w brudne okno. Do godziny policyjnej zostało jeszcze całkiem sporo. Obecni tu ludzie musieli mieć niedaleko do domu. Nikt nie wydawał się martwić nieubłaganym upływem czasu. Poza tym w tych ubogich rejonach, pełnych obskurnych, odrapanych kamienic i wszelkiej nędzy nawet o patrol było trudno.

Ochłonął. Starał się zrozumieć. Krysia nigdy nie mówiła, czym dokładnie zajmowała się w organizacji. On też nie pytał. O pewnych sprawach się nie rozmawiało. Nie było potrzeby. Wywiad. To mu wystarczyło. Teraz wszystko zaczynało się układać w całość. Zaczynało do niego docierać, jak kobieta może skutecznie zdobywać informacje. Szczególnie piękna kobieta, którą Krysia niewątpliwie była. Czy mógł ją za to potępiać? Pewnie nie. Z drugiej strony nie wierzył, że taki dostała rozkaz. Dowództwo nie przekroczyłoby pewnych granic przyzwoitości, choć kto wie. Racja stanu. Tak czy inaczej już się nie dowie. Zresztą nawet nie chce. Krystyna Szumska dla niego jest już historią. Nie potrafiłby sobie poradzić z jej sposobami walki o ojczyznę.

Poczuł czyjąś dłoń na ramieniu. Odwrócił głowę.

- Wiedziałem, że cię tu znajdę. - Władek Hanćkowiak postawił swój kufel na blacie. - Słyszałem o wszystkim. Strasznie mi przykro, stary.

- Życie. Ale nie żałuję. Mischke to był skurwiel.

- Mieliliśmy nadzieję, że ci odpuszczą.
- Nadzieja matką głupich, jak to mówią.

Popijali piwo w milczeniu. Gwar rozmów cichł. Towarzystwo się powoli wykruszało.

- Nie szkoda ci?
- Tego piwa? - Julek uśmiechnął się sztucznie.
- Wiesz, o czym mówię.
- Co mnie w tym mieście trzyma?
- Nie co, ale może kto.

Julek spojrział na przyjaciela.

- A jak ci powiem, że nie?
- To się zdziwię, bo Krysia będzie na ciebie czekała. Bez dwóch zdań.

Odwrócił się w stronę Władka i popatrzył mu w oczy.

- Jak tu szedłem, widziałem Krysię Szumską pod Hotelem Europejskim. Obściskiwała się z niemieckimi oficerami. Widać było, że się jej to podoba. Nie szkoda mi, Władziu. Krysia, to historia. Już jej nie ma.

- Nic nie rozumiesz, Julek...

- Rozumiem, bardzo dobrze. Wywiad. Każdy sposób zdobywania informacji jest dobry. Domyślam się. - Po milczeniu Władka odgadł, że trafił w dziesiątkę ze swoimi przypuszczeniami. - Może jestem głupi i staromodny, ale takie rzeczy to nie dla mnie.

- Wiem, co czujesz, ale spróbuj...

- Nie wiesz, co czuję. W Anglii jak umierała Rose, też nie wiedziałeś. I w porządku.

Nie da się, więc nie mów mi, żebym cokolwiek próbował.

Władek westchnął. Napił się i stuknął kuflem o kufel przyjaciela.

- Nie będę się wymądrzał. Będzie nam ciebie brakowało, chłopie.

- Taaak. Mam prośbę, Władziu.

- Wal.

Julek wyciągnął złożoną kopertę.

- List do matki i siostry. Nie dam rady pojechać. Oddaj go, co?

- Masz to załatwione. - Hanćkowiak schował kopertę do kieszeni kurtki. - Czyli już jutro.

- Przed południem.

- A kurierka słyszałem niczego sobie.

Julek nie skomentował uwagi. Spotkanie z kurierką dzień wcześniej było krótkie i treściwe. Nawet nie mieli czasu, żeby porozmawiać. W końcu i tak znajdzie się na to wiele

okazji podczas podróży pociągami.

- Co za różnica.
- Zawsze to przyjemniej. Podobno szwedzki paszport ci załatwiła.
- Rozmawiasz z obywatelem neutralnego kraju.
- Jeszcze jedno? - Włodek brodą wskazał jego prawie pusty kufel.
- Strzemiennego. Czemu nie.
- Przyniosę.

Przy barze stało jeszcze tylko dwóch klientów. Włodek bez słowa uniósł dwa palce.

Jadwiga Hensch, zaufana kurierka Armii Krajowej, czekała na podchorążego Kwiatkowskiego w hali Dworca Głównego. Stanął przed nią elegancki na niemiecką modłę, w lśniących butach z wysokimi cholewami.

- Spóźniłeś się - stwierdziła cierpko półgłosem.

Julek spojrzał na zegarek. Było dwie po dziesiątej.

- Dwie minuty - odparł zdziwiony reprimendą. - Pociąg mamy dwadzieścia pięć po.

- Nie rób tego więcej.

- Zdaje się, że nie będę miał okazji. O ile wiem, nie rozstajemy się aż do samej Lizbony.

- Zapomniałam spytać przedwczoraj. Jak u ciebie z niemieckim?

- Szkolili nas. Daję sobie radę.

Popatrzyła na niego krytycznie. Widać było, że nie czuje się przekonana jego zapewnieniem.

- Czyli im mniej się będziesz odzywał, tym lepiej. Mamy dwuosobowy przedział.

Pociąg już podstawili. Weź bagaże.

Wskazała wzrokiem sporych rozmiarów skórzaną walizkę i natychmiast ruszyła ku wyjściu na perony. Nie myśląc wiele, chwycił walizkę i podążył za nią. Zastanawiał się, kto jej pomógł ją tu przytaszczyć, bo ważyła dużo więcej, niż przeciętna kobieta mogłaby udźwignąć.

Stanął przy wejściu do wagonu. Popatrzył na wąskie światło drzwi. Z walizką w ręku nie wejdzie. Wrzucił ją do wagonowego korytarza.

- Julek! - usłyszał za sobą wołanie. Krysia wpadła na peron zdyszana. - Julek, zaczekaj. - Podeszła do niego. - Bałam się, że nie zdążę.

- Zdążyłaś - powiedział beznamiętnie.

- Chciałeś wyjechać, tak bez słowa?

- Nie. Chciałem się pożegnać wczoraj wieczorem, ale postanowiłem ci nie psuć szampańskiej zabawy.

- Julek, przecież to nie tak, jak myślisz. - Załamała ręce.

- Ja nic nie myślę.

- Mogę ci wszystko wytłumaczyć.

- Po co? To twoje życie. Nikomu nie musisz się tłumaczyć.

- Ale Julek, posłuchaj...

Z wagonowego okna wychyliła się Jadwiga Hensch.

Wydeła wargi na widok Kwiatkowskiego zajętego rozmową z jakąś młodą dziewczyną.

- Julek, mój drogi - zawołała do niego niczym żona do męża - czekam, zaraz odjeżdżamy.

Krysia popatrzyła na kobietę, potem przeniosła wzrok na Juliusza. Stało się jasne, że jakiegokolwiek tłumaczenia w tej chwili są całkowicie nie na miejscu.

- Chciałbyś mi coś powiedzieć? - spytała jeszcze z nadzieją w głosie.

Wrzucił drugą walizkę do wagonu.

- Może gdybyśmy się spotkali w innym miejscu, w innym czasie...

- Ale spotkaliśmy się tu i teraz.

- Czego oczekujesz?

Milczała i patrzyła na niego błagalnie.

- Kochaj mnie. Tak jak ja ciebie - powiedziała wreszcie po raz pierwszy tak otwarcie.
- Tylko tyle.

Miała łzy w oczach. Jej szczere, płynące z głębi serca wyznanie trafiło na podatny grunt. Bez wątpienia nie była mu obojętna. Dopiero teraz zdał sobie sprawę jak bardzo. W innym przypadku, to co widział poprzedniego wieczora, nie obeszłoby go zbytnio, a przecież czuł się urażony do żywego, choć wiedział, że Krysia wykorzystywała Niemców dla dobra organizacji i kraju. Ale tam, gdzie wchodzi w grę uczucia, dobro ojczyzny przestaje być wartością nadrzędną.

Krótko bił się z myślami.

- Nie wiem, kiedy wrócę. Nie wiem czy w ogóle. Ale jeżeli będzie mi dane, to cię odszukam. Odszukam na pewno.

Wziął ją w ramiona i pocałował. Inaczej niż zwykle. Na pożegnanie.

Zawiadowca dał sygnał do odjazdu, Julek wskoczył na schody wagonu. Pociąg powoli ruszył. Krysia patrzyła, jak skład opuszcza peron.

Przedział był ciasny, ale dawał poczucie komfortu i względnego bezpieczeństwa. Nikt ich tu nie powinien niepotrzebnie niepokoić. Z wyjątkiem może kontroli dokumentów co jakiś czas w pociągu i podczas przesiadek, których uniknąć się po prostu nie da.

- Od teraz rozmawiamy po niemiecku - zakomenderowała kurierka. - Nie wiadomo, kto może być za drzwiami. Jesteś Szwedem, więc możesz kaleczyć.

- *Jawohl.*

- Ustalmy pewne zasady na początku. Jak cię poinformowano, jestem wyższa stopniem, więc bezwzględnie podlegasz moim rozkazom. Mam nadzieję, że to jest jasne?

- Tak jest, pani kapitan - odpowiedział trochę nonszalancko. - Swoją drogą...

- Proszę sobie darować komentarze, panie podchorąży - wyprzedziła jego uwagę o wysokości stopnia w stosunku do jej młodego wieku. - I dla jasności, ten romantyczny incydent na peronie nie powinien się zdarzyć. Mogły z tego być kłopoty.

- Pani kapitan nie posiada ludzkich uczuć? - spytał z niesmakiem.

- Nie w czasie zadania.

- Dobrze wiedzieć. A prywatnie?

- Pytanie nieistotne, panie podchorąży.

Ta atrakcyjna kobieta z jakichś powodów budowała wokół siebie gruby mur, jakby miała bardzo konkretne powody, by nikomu nie ufać. Za wszelką cenę starała się trzymać go na dystans. Z drugiej strony może i słusznie. Tam, gdzie pojawiają się emocje, cierpi na tym zdroworozsądkowe myślenie.

Miarowy stukot żelaznych kół uspokajał. Kapitan Hensch wyciągnęła książkę. Przeszła do zaznaczonej zakładką strony i zaczęła czytać. Julek patrzył przez chwilę na uciekające za oknem krajobrazy.

- Pani kapitan nie lubi ludzi?

Podniosła oczy znad książki. Zerknęła w okno.

- Nie prosiłam o towarzystwo - powiedziała, nie patrząc na niego. - Do tej pory jeździłam sama i jakoś dawałam sobie radę.

- Dowództwo uznało, że przyda się pani kapitan ochrona.

- Myślisz - przeszła bezceremonialnie na „ty” - że gdyby Niemcy chcieli mnie aresztować, to byś do tego nie dopuścił?

- Nie wiem. Ale na pewno mógłbym stworzyć szansę ucieczki i opóźnić pościg.

- Poświęciłbyś własne życie? - spojrzała mu w oczy.

- Żołnierska rzecz - odpowiedział bez wahania.

Zamyśliła się na moment.

- Różnie o tobie mówią, podchorąży.

- Dobrze też?

Pytaniem tym przywołał melancholijny uśmiech na jej usta.

- Słyszałam, w jaki sposób dostałeś się z Anglii z powrotem do kraju.

- Medalu za takie rzeczy nie dają.

- Mówią, że byłbyś świetnym żołnierzem i oficerem, gdyby nie...

- Warcholstwo?

- Miałam na myśli inne słowo, ale właściwie tak. Podobno nie można na tobie na dłuższą metę w pełni polegać.

- Obawia się pani kapitan, że coś wykręcę?

- Nie. Nie jesteś głupi, podchorąży. Masz tylko rogowatą duszę, która źle znosi dyscyplinę.

- Coś jeszcze o mnie mówili?

Nie odpowiadała. Patrzyła na niego, jak matka na nieodpowiedzialne dziecko. Dało się w tym spojrzeniu dostrzec swego rodzaju dwuznaczną życzliwość.

- Nie przypominam sobie. - Ponownie otworzyła książkę.

- Mogę teraz ja o coś spytać? - Nie pozwolił jej zagłębić się w lekturę. - Sprawiedliwie.

- Proszę. Najwyżej nie odpowiem.

- Skąd pani kapitan jest? Nazwisko nie nasze.

- Z Górnego Śląska.

- Hmm. Stąd znajomość niemieckiego.

- Studia w Berlinie. Stąd niemiecki. Nazwisko po mężu. Był rodowitym Niemcem.

- Był?

- Nie przepadał za Hitlerem i jego partią. Wcale się z tym nie krył. Pewnego dnia zapłacił za to życiem.

- Przepraszam. Nie wiedziałem.

Uniosła książkę tak, by widział okładkę. Na czarnym tle wygrawerowany był złotą gotycką czcionką tytuł: *Wilhelm Meisters Wandrjahre*. Trochę powyżej, mniejszą czcionką, widniało nazwisko autora: Johann Wolfgang von Goethe.

- Klasyka niemieckiej literatury. Nijak się ma do tego, co Hitler wyprawia. Kurt był zakochany w klasykach.

Kwiatkowski z satysfakcją odnotował, że emocjonalny mur wokół pani kapitan runął, a jeśli nie runął, to przynajmniej powstał w nim ogromny wyłom. Ciekawe, że zmiana

nastąpiła tak szybko i tak radykalnie. Wychodziło na to, że fasada, za którą krył się człowiek a nie oficer, była nadzwyczaj cienka.

ROZDZIAŁ 17

Do Francji dotarli bez większych przygód. Dopisywało im szczęście. Rutynowe kontrole przechodzili bez większych problemów. Jadwiga Hensch podawała się za bliską współpracownicę Alberta Speera i miała na to odpowiednie dokumenty. Nazwisko hitlerowskiego notabla, oficjalne papiery otwierały szlabany i eliminowały trudne, niepotrzebne pytania.

- Jeszcze parę godzin i będziemy w wolnej strefie - stwierdził Julek.

Patrzył na czeszącą włosy przełożoną. Nie wyglądała na starszą od niego. Tych kilka lat różnicy, o których dowiedział się jeszcze w Warszawie, całkowicie ginęło dzięki drobnej figurze i dziewczęcej twarzy. Jedyne to przygaszone, poważne spojrzenie przydawało jej lat. Melancholia pozostawała w oczach nawet wtedy, gdy chwilami pozwalała sobie na śmiech, słysząc celny żart podwładnego.

Kobieta schowała grzebień do torebki. W tej samej chwili drzwi przedziału otworzyły się. Nie było pukania. W okupowanym kraju zasady *savoir-vivre*'u niemieckich żandarmów nie obowiązywały. Nawet gdy spodziewali się zastać w środku swoich obywateli.

Niemców było trzech. Dwóch stało na korytarzu, a trzeci - podoficer, wszedł do przedziału.

- Dokumenty... poproszę. - Grzecznościowe słowo padło, gdy rzucił mu się w oczy ubiór pasażerów, dość charakterystyczny dla niemieckich urzędników państwowych.

Jadwiga i Julek podali mu swoje paszporty. Jako pierwszy oględzinom poddany został paszport kobiety.

- Panna Hedwig Hensch - przeczytał Niemiec na głos.

- Pani Hensch - poprawiła go Jadwiga.

Żandarm zajrzał do drugiej książeczki. Widząc obco brzmiące nazwisko i zagraniczny wygląd dokumentu, uniósł brwi.

- Gdzie mąż? - wypalił bezczelnie.

Uśmiechnął się przy tym znacząco. Kobieta podróżująca w jednym przedziale w towarzystwie obcego, młodego mężczyzny kojarzyła mu się jednoznacznie.

- Mąż zginął za Führera w kampanii wrześnieowej przeciwko Polsce - skłamała bez zająknięcia.

Hitlerowiec pokiwał głową ze zrozumieniem. Przyglądał się uważnie paszportowi Julka.

- Państwo razem jesteście?

- Razem - odparła sucho. - Podróżujemy na specjalne polecenie ministra Alberta Speera. Mogę pokazać stosowne dokumenty.

- Nie trzeba. A ten Szwed w jakim charakterze?

Nigdy wcześniej kontroli dokumentów nie towarzyszyły dodatkowe pytania. Zanosilo się na kłopoty. Szwab mógł sobie coś ubzdurać i zażądać opuszczenia pociągu w celu dokładniejszej kontroli i weryfikacji dokumentów. Wtedy niewiele dałoby się zrobić.

- Mojego kochanka - powiedziała beznamiętnie.

- Słucham? - Żandarm spojrzał na nią zaskoczony.

- Co noc sprawia, że łechtaczka płonie mi żywym ogniem. Żaden mężczyzna nie jest w stanie dać kobiecie tyle rozkoszy co on. Doskonale wie, do czego służy język.

Niemiec osłupiał. Wytrzeszczył na nią oczy. Tak bezpośredni wywód o sprawach intymnych odebrał mu mowę. Żandarmi wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Trudno było stwierdzić, czy kobieta mówi serio, czy się wygłupia. Efekt, jaki wywołały jej słowa, był świetnie widoczny na twarzy i karku dowódcy. Ten ostatni zmienił kolor na odcień głębokiej czerwieni.

Żandarm odchrząknął wyraźnie zażenowany. Właściwie nie wiedział, jak się zachować. Wyczuwał za sobą reakcje swoich ludzi. Musiał zachować jakoś twarz.

- Ten Szwed mówi po niemiecku?

- Niewiele.

Jadwiga ze wszystkich sił starała się opanować zdenerwowanie. Sytuacja zaczynała się wymykać spod kontroli. Trafił im się wyjątkowo upierdliwy szkop.

- Może po szwedzku coś powie?

Pani kapitan posłała Kwiatkowskiemu rozpaczliwie spojrzenie.

- *Scheiße* - wyrzucił z siebie Julek głośno i wyraźnie.

- Dawno nie byliśmy w łóżku i trochę mu odbija - próbowała go tłumaczyć.

Podoficer popatrzył na pasażera pogardliwie. Pomyślał, że takie zachowanie nie przystoi nordykowi, ale widać i tam zdarzają się jednostki pośledniejszego gatunku. Oddał im dokumenty i uniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Julek odwzajemnił gest, jak to tylko obcokrajowiec zapatrzony w wielką Rzeszę mógł uczynić.

Kiedy drzwi się zamknęły, pani kapitan oparła głowę o siedzenie i patrzyła w sufit.

- Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, ale pani kapitan zdaje się sugerowała, że ze mnie wybitnie zdolny kochanek... - powiedział Kwiatkowski zupełnie nieporuszony niebezpieczną sytuacją.

Kobieta ukryła twarz w dłoniach.

- Boże, myślałam, że już po nas - głos jej się łamał. - Nigdy wcześniej tak się nie bałam.

- Pani kapitan - przejął się - już wszystko...

- Przestań do mnie mówić „pani kapitan” - zirytowała się.

- Jak mam mówić?

- Normalnie. Hedwig. Jeszcze ktoś usłyszy i...

- Dobra. Już wszystko dobrze.

- Wiesz, co by było, gdyby nas aresztowali? Zresztą skąd możesz wiedzieć. Pewnie nikt cię nie wtajemniczał. Wiozę niezwykle ważne materiały.

- Domyślam się.

- Co cię napadło z tym *Scheiße*?

- Zdaje się, że byłem nieco mniej twórczy... - zauważył trafnie. - Skądinąd, wrażenie piorunujące.

- Takie miało być. I nie wyobrażaj sobie za dużo.

- Gdzież bym śmiał.

- Niedługo dojedziemy do granicy Vichy. Potem już będzie łatwiej.

Kolejną przesiadkę mieli w Dijon. Na dworcu musieli jeszcze sprawdzić połączenie. Dookoła język francuski mieszał się z niemieckim. Wyglądało to tak, jakby okupanci znacznie bardziej upodobali sobie Francję niż Polskę. Trudno było zresztą się im dziwić. Lepszy klimat, doskonała kuchnia i mniej wroga atmosfera ściągały do Francji zarówno wojskowych, jak i cywilów. Ci pierwsi często przyjeżdżali na rekonwalescencję, a drudzy na ogół w sprawach gospodarczych i prywatnych.

- Mamy dwie godziny - Julek wrócił z budynku dworca i poinformował czekającą na peronie Jadwigę. - Jest czas, żeby coś zjeść. Francuzi podobno dobrze karmią.

- Znasz francuski?

- Nie muszę. Jesteśmy na ziemiach okupowanych. Zapomniałaś? Mają obowiązek obsłużyć nas w języku niemieckim.

- Z twoim szwedzko-niemieckim i tak może być problem.

- Dlatego mam ciebie Frau Hauptmann - stwierdził trzeźwo. - Na pewno spiszesz się znakomicie.

- Bez wątpienia. Chodźmy.

- Dam do przechowalni. - Julek podniósł walizkę, ale tak nieszczęśliwie, że wymusnęła mu się z ręki i upadła na palce u prawej nogi. - Szlag by to trafił! - z wściekłością przeklął po polsku.

Kapitan Hensch zakryła dłonią usta, jakby to ona wypowiedziała te słowa. Julek zeszywniał. Natychmiast zdał sobie sprawę z popełnionego błędu. Na peronie panował typowy hałas, więc była szansa, że polskie przekleństwo nie dotrze do niewłaściwych uszu. Jadwiga spojrzała dyskretnie w prawo i w lewo. Kwiatkowski ponownie podniósł walizkę i ruszył w stronę wejścia do budynku dworcowego. Kobieta wiele się nie namyślając, postąpiła krok za nim. Oprócz kilku zdziwionych spojrzeń, czekających na pociąg pasażerów, nikt inny nie wydawał się zbytnio interesować „wystąpieniem” Kwiatkowskiego.

- *Halt!!!* - usłyszeli za sobą ostry głos. Nie przystanęli, choć oboje poczuli uderzenie adrenaliny. Teoretycznie mieli prawo uważać, że to nie ich dotyczy ta komenda. W końcu Hedwig Hensch, zgodnie z dokumentami, była wysokiej rangi urzędniczką III Rzeszy, a on obywatelem neutralnego kraju. Dlaczego ktoś miałby ich zatrzymywać? Teoretycznie.

- *Halt!!!*

Julek odwrócił głowę ze znudzoną miną, jakby chciał podkreślić, że krzyk Niemca mało go obchodzi, a patrzy na to, co się dzieje, z czystej ludzkiej ciekawości. Porucznik Wehrmachtu przywołał do siebie trzech żandarmów idących peronem. Wskazał palcem Kwiatkowskiego i jego towarzyszkę i coś do nich powiedział. Zsunęli pistolety maszynowe lufą w stronę dwojga podróżnych. Nie było wątpliwości. Hitlerowcowi chodziło o nich, a ściślej mówiąc o niego. Nieopatrznie wypowiedziane po polsku słowa najwyraźniej zwróciły jego uwagę.

Julek przystanął z doskonale udawanym wyrazem zaskoczenia na twarzy. Oblicze pani kapitan wyrażało zdegustowanie graniczące z oburzeniem. Tylko tak można było ratować sytuację. Wiedziała, że typowa niemiecka arogancja bardzo się tu teraz przyda.

- Dokumenty! - zażądał porucznik od Polaka. - *Schneller, schneller* - ponaglił go oficer, widząc, że Kwiatkowski nie bardzo się śpieszy z wyciąganiem paszportu.

- O co tu chodzi? - spytała surowo Jadwiga.

- Państwo są razem? - wtrącił dowódca żandarmów.

Kobieta zerknęła na Julka. Ten ledwie zauważalnie pokręcił przecząco głową. Zrozumiała sygnał.

- Tego pana poznałam w pociągu. Mówił, że jest Szwedem. Zaoferował mi pomoc przy niesieniu bagażu. Mam ciężką walizkę. Coś nie w porządku?

- Mogę zobaczyć pani paszport? - Porucznik wyciągnął do niej dłoń.

- To chyba jakieś kpiny - syknęła kobieta - ale proszę bardzo. - Z impetem wcisnęła mu książeczkę w dłoń.

Spojrzał na jej dane osobowe.

- Pani cel podróży?

- Wykonuję polecenia ministra Alberta Speera. Myślę, że nie będzie zadowolony, gdy poinformuję go o problemach, których doświadczyłam ze strony porucznika Wehrmachtu. Rozumiem, że poda mi pan nazwisko i jednostkę?

Niemiec zreflektował się. Nazwisko nowo powołanego ministra uzbrojenia i amunicji wywołało pożądaną skutek. Porucznik złagodniał.

- Proszę się nie unosić, pani Hensch - powiedział zbity z tropu i oddał jej dokument - ale ten człowiek, podający się za obywatela Szwecji - to Polak. Stacjonuję w Polsce i trochę poznałem ich język. Nie mam wątpliwości.

- Pan chyba żartuje, panie oficerze - udawała, że nie wierzy ani słowu. - Ma pan przecież jego paszport. Szwedzki.

- Skradziony. - Postukał książeczką w dłoń. - Prawda, polska Świnio?

- Jestem obywatelem Szwecji. Żądam widzenia z przedstawicielem placówki dyplomatycznej mojego kraju.

- Tak? A może najpierw porozmawiamy o Szwecji? Opowiesz mi o swoim kraju na gestapo. Brać go! - Żandarmi otoczyli Kwiatkowskiego. - Przepraszam, pani Hensch za niedogodności, ale proszę zrozumieć. Jest wojna, a wróg działa bardzo podstępnie, jak sama pani widzi.

- Jedyne to pana usprawiedliwia.

- Nazywam się Heinrich Schmidt - zaszalutował. - Jeśli mogę jakoś pomóc w ramach rekompensaty...

- Najlepiej jak zostawi mnie pan w spokoju.

- Rozumiem. Oczywiście. Idziemy - rzucił do żandarmów.

Została na peronie sama. Zdała sobie sprawę, że dla podchorążego Juliusza Kwiatkowskiego nie ma już ratunku. Zostanie poddany okrutnemu przesłuchaniu. Pytanie tylko: Jak długo wytrzyma i co im powie? Nie wyglądał na człowieka, którego łatwo złamać. Nigdy nic jednak nie wiadomo. Od tego momentu nie mogła czuć się nawet względnie bezpieczna. Taki pech. Jedno wypowiedziane w złym momencie zdanie i misja stanęła pod znakiem zapytania. Diabli nadali tego oficerka.

W budynku dworca Julek został pod strażą żandarmów. Porucznik tymczasem poszedł do telefonu, żeby zawiadomić lokalne gestapo. Niedługo przyjadą i zabiorą aresztanta.

- Muszę do toalety - powiedział Julek ponuro.

- A co, w gacie srasz ze strachu? - roześmiał się tłusty żołdak. - I słusznie. W gestapo dobiorą ci się do dupy, aż miło.

- Muszę do toalety - powtórzył Polak dobitnie.

- Zamknij się, Świnio.

- A co, boisz się, że ci przez kibel ucieknę?

Niemiec podniósł rękę, by uderzyć bezczelnego zatrzymanego. Wstrzymał go głos wracającego porucznika:

- Co tu się dzieje?

- Do klopa się bandycie zachciało - wyjaśnił tłusty Niemiec. - Niech w portki robi.

- Zaprowadzić go do toalety! - rozkazał oficer. - Z gestapo przyjadą za pół godziny.

Nie chcę, żeby mi tu śmierdział.

- Zaprowadzić! - opasły dowódca patrolu rzucił rozkaz dwóm podwładnym.

Julek został odprowadzony pod eskortą do dworcowych toalet. Wepchnęli go do pomieszczenia z trzema pisuarami i czterema kabinami. W środku był jeden młody Francuz. Zabierał się do wyjścia po załatwieniu potrzeby, ale ku swojemu całkowitemu zaskoczeniu stał się mimowolnym świadkiem mrozących krew w żyłach wydarzeń. Młody Polak wykonał błyskawiczny półobrót i kopnął czubkiem buta pierwszego Niemca w krocze. Drugi osłupiał na moment, i ten moment wystarczył do wymierzenia mu celnego uderzenie w tchawicę zgiętymi w „łapę niedźwiedzia” palcami. Żandarm upadł na plecy. Złapał się rękami za szyję. Dusił się, ale nie można mu już było pomóc. Pierwszy próbował powstać z klęczek i mimo dotkliwego bólu, w panice zaczął się szarpać z karabinem. Kwiatkowski był szybszy. Złapał go z tyłu za głowę pod brodą i wprawnym szarpnięciem złamał kręgosłup szyjny. Ciało żandarma zwiotczało. Polak popatrzył na świadka. Nastąpiła krótka chwila wahania; czy go też zlikwidować, czy nie. Młody mężczyzna szybko rozwiązał jego wątpliwości. Uniósł dłoń z wyciągniętym w górę kciukiem i uśmiechnął się. Powiedział coś po francusku i wskazał dwie kabiny. Zrozumieli się w lot. Z pomocą Francuza trupy Niemców znalazły się na toaletach za zamkniętymi drzwiami.

W hali dworca porucznik i dowódca żandarmów niecierpliwili się. Minęło już co najmniej dziesięć minut.

- Ile oni tam jeszcze zamierzają siedzieć? - irytował się oficer. - Idź, zobacz.

- Tak jest.

Opasły hitlerowiec pomaszerował w stronę toalety. Kiedy po następnych kilku minutach i ten nie wracał, porucznik Schmidt udał się tam osobiście. Gdy tylko otworzył drzwi, dostał ogłuszający cios w głowę. Julek nie mógł go zostawić przy życiu, więc i jemu skręcił kark. Oficer zajął ostatnią z wolnych kabin.

Francuz spytał Julka o coś w swoim języku.

- *I dont speak French* - odpowiedział Kwiatkowski.

- *Sorry, pal.*

- *Anglais?* - ucieszył się człowiek.

- *Polonais.*

- *Polonais, magnifiquement.* Ja ci pomóc? - zaproponował łamaną angielszczyzną. -

Skontaktować cię z kimś?

- Nie trzeba, bracie - odpowiedział Julek również po angielsku. - Dam sobie radę.

Dzięki.

Polak obszukał oficera i wyciągnął mu z kieszeni swój paszport. Zasalutował Francuzowi i opuścił toaletę. Przy wyjściu na peron zerknął na zegarek. Gestapo będzie tu najdalej za dziesięć minut.

Pani kapitan wciąż stała na peronie. Patrzyła przed siebie zamyślona. Podszedł do niej z boku.

- Musimy poszukać innego transportu - szepnął jej do ucha.

- Julek, na rany Boga! - powiedziała zdumiona. - Jak...? Puścili cię?

- Przekonałem ich, że powinni.

- Jak to możliwe?

- Wy tłumaczyłem im to śmiertelnie poważnie. - Wziął jej walizkę. - Musimy iść. Za chwilę zjawi się tu gestapo, i nie będzie to kurtuazyjna wizyta.

Szybkim krokiem opuścili dworzec. Dopiero gdy byli na ulicy, postanowiła spytać:

- Co planujesz?

- Znasz francuski?

- Trochę...

- I bardzo dobrze. Połowa sukcesu - odparł, nie zatrzymując się. - Podjąłem się dowieźć cię do Lizbony, i tak będzie. Zaufaj mi.

ROZDZIAŁ 18

Wołyń, Ukraina, rok 1943

Na pogrążoną w głębokim śnie ludność polskiej wsi atak ukraińskich nacjonalistów spadł jak gwałtowna, niszcząca wszystko lawina. Już od jakiegoś czasu chodziły słuchy o incydentach narodowościowych. Mówiono o morderstwach pojedynczych osób i rzeziach całych wsi zamieszkałych przez Polaków. Administracja niemiecka nie mieszała się nawet wówczas, gdy zdarzenia przybierały większą niż zwykle skalę.

Ale wszystko to działo się gdzieś daleko. W innych powiatach, głównie we wschodniej części Ukrainy. Nikt nie przypuszczał, że pewnego dnia, a właściwie pewnej nocy problem ten z całą mocą uderzy w spokojnych mieszkańców ich wioski.

Dziwne stłumione dźwięki dochodzące z zewnątrz obudziły Marysię Kwiatkowską. Uniosła się w łóżku na łokciach. Mimo upływu długiego już przecież czasu od przerażających wydarzeń na Pawiaku, wciąż dręczyły ją koszmary. Nadal wiele razy zrywała się w nocy, nierzadko z krzykiem. Dobrą chwilę zabierało jej wtedy uświadomienie sobie, że tamten upiorny czas przeminął - daj Boże - bezpowrotnie. Jednak wspomnienia uniemożliwiające normalny sen pozostały. Całe spokojnie przespane noce ciągle mogła policzyć na palcach jednej ręki.

Tym razem było inaczej. Nie wyrwał jej ze snu obraz znęcającego się nad nią gestapowskiego sadysty. Nie było zimnych murów celi na Pawiaku i paralizującego, zwierzęcego strachu przed wywołaniem na przesłuchanie. Mimo to podświadomie wiedziała, że już nie zaśnie. Coś wisiało w powietrzu. Czowała to całym ciałem.

Rozgwieżdżone niebo oświetlało izbę. Widziała obok siebie pogrążoną we śnie matkę, dalej ciotkę z wujem i ich trzy dziewczynki ściśnięte w jednym łóżku. Zegar na ścianie wskazywał czwartą piętnaście. Pomyślała, że niedługo zaczną świtać.

Nagle odniosła wrażenie, że słyszy kroki pod oknem. Jakby jakieś postacie starały się przemknąć niepostrzeżenie przez podwórze. Marysia znieruchomiała. Nasłuchiwała. Po chwili nie miała już wątpliwości. Z zewnątrz dochodziły męskie głosy. Zdania wypowiedane półszepem. Próbowwała coś zrozumieć. Wytężyła słuch i usłyszała parę słów po ukraińsku. W pierwszym momencie nie skojarzyła faktów. Co ich ukraińscy sąsiedzi mogli o tej porze robić w polskiej wiosce? Lecz zaraz potem uświadomiła sobie groźbę sytuacji.

Szturchnęła leżącą obok matkę. Helena Kwiatkowska przebudziła się.

- Co się dzieje, Marysiu - popatrzyła półprzytomnie na córkę. - Znowu koszmary?

- Nie, mamusiu, posłuchaj. Ktoś jest na podwórku.

Obie znieruchomiały. Nasłuchiwały. Jak na złość, hałasy umilkły.

- Ee, zdawało ci się, kochanie. Nic nie słyhać. Może jakieś psy przyszły ze wsi. Śpij. Niedługo świt. Trzeba będzie wstawać.

Marysia położyła głowę na poduszce. Zamknęła oczy. Po chwili usłyszała miarowy oddech matki. Kobieta nie miała problemów z zasypianiem. Dziewczyna nasłuchiwała jeszcze trochę. Rzeczywiście. Odgłosy umilkły. Może jej się tylko zdawało. Może to nerwy. Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę przejścia, jakie stały się jej udziałem raptem niecałe dwa lata temu.

Uspokoila się. Zaczęła przysypiać. Jednak nie minęło kilka minut, kiedy ogromny huk wyważanych drzwi postawił wszystkich na nogi. Zerwali się z łóżek. Drzwi wraz z futryną zostały brutalnie wrzucone do środka. Na widok wpadających do pomieszczenia mężczyzn, dzieci z przerażenia zaczęły piszczeć wniebogłosy. Ciotka wtuliła się w ramiona wujka.

Uzbrojeni w siekiery, tasaki i noże natychmiast natarli na mieszkańców. Wuj nie zdążył się zasłonić. Cios siekiery rozplątał mu głowę. Na twarz ciotki chlusnęła jego krew. Kobieta zawyła żałościwie, jakby to ona została uderzona. Dwóch mężczyzn schwyciło ją mocno za ramiona i wywlekło z izby. Zza ściany dobiegł jej nieludzki wrzask.

- Nie, nie!!!

Potem już tylko dało się słyszeć stłumione dźwięki i jęk wydobywający się z zakneblowanych ust wielokrotnie gwałconej ofiary. Wszystko działo się w takim tempie, że Helena i Marysia Kwiatkowskie nie były w stanie nic zrobić. Były sparaliżowane strachem. Jedyna myśl, która przychodziła im w tym momencie do głowy, to pragnienie szybkiej i w miarę bezbolesnej śmierci. Nie miały złudzeń. Mogły się domyślać, co będzie dalej. Opowieści, jakie krążyły o bestialstwie Ukraińców przyprawiały o mdłości. Co wrażliwsi nie byli w stanie tych potworności słuchać.

Przy wtórce ogłuszających wrzasków dzieci wujostwa, Helena i Marysia, zostały wyrwane sobie z objęć. Obie zawodziły głośno, potęgując tylko atmosferę grozy sytuacji. Zostały wywleczone na zewnątrz. Marysia kątem oka zobaczyła leżącą w sieni na podłodze ciotkę. Miała poderżnięte gardło. Leżała na plecach z rozłożonymi rękami jak na krzyżu. Z krocza wypływała jej krew.

Na dworze świtało. Dziewczyna spojrzała w twarz swojego oprawcy. Poznała go od razu. Wiktor Wojnicz nie patrzył na nią. Młody, doskonale zbudowany mężczyzna już od dawna pałał do niej nieodwzajemnionym uczuciem. Nigdy nie starała się go traktować z góry, ale kilka miesięcy temu dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie ma u niej szans.

Powiedziała to najdelikatniej, jak się tylko dało, a jednak od tego czasu czuła, że ma w nim wroga. Uraziła przecież jego męską dumę i rozdmuchane przez powodzenie u wiejskich dziewczuch ego. Ona pochodziła z samej Warszawy. Już ten fakt stanowił pewną nobilitację, która dla niego była wyzwaniem.

Wiktor miał zaciśnięte usta. Lewą dłoń trzymał ją mocno z tyłu głowy za włosy, tak że nie mogła się wyrwać. W prawej ścisnął siekierę. Prowadził ją niczym średniowieczny kat ofiarę na ścięcie.

- Co chcesz ze mną zrobić? - spytała, siląc się na spokój.

- Zobaczysz - odpowiedział przez zęby.

Ładunek agresji, jaki niosło to jedno słowo, przyprawił ją o zimny dreszcz na plecach. Mimo to obudziła się w niej szaleńcza odwaga. Na ucieczkę nie było żadnych szans, ale postanowiła, że przyjmie śmierć z godnością. Nie da po sobie poznać strachu. Jeżeli zostanie przedtem zgwałcona, a wszystko na to wskazywało, trudno. I to zniesie z honorem. Tak jak inni, zostanie na pewno pomszczona przez siły zbrojne Armii Krajowej, działające aktywnie na tym terenie.

Prowadził ją w stronę lasu. Po drodze była świadkiem scen, które mniej odpornego psychicznie człowieka mogłyby przyprawić o utratę zmysłów. Widziała, jak spędzili ludzi z wioski na ich podwórko i widziała, co z nimi robili. Czterech Ukraińców znęcało się nad starszym mężczyzną, któremu wcześniej wyłupili oczy. Polak szedł po omacku z wyciągniętymi przed siebie rękoma, a oni popychali go i kopali. Przy tym wybuchali gromkimi śmiechami, gdy nieszczęśnik się przewrócił i próbował stanąć na nogi.

Zaledwie kilkanaście metrów dalej zobaczyła młodą kobietę. Została zakneblowana, żeby nie krzyczała i przybita za nadgarstki do ściany stodoły. Dwóch Ukraińców zdarło z niej ubranie. Bez skrępowania ściągnęli spodnie i gwałcili ją po kolei. Kiedy kobieta straciła przytomność, jeden z nich chlusnął jej w twarz wiadrem wody. Wyciągnęli noże i dla zabawy odcięli jej sutki na piersiach. Zadrżała na samą myśl, że może ją czekać podobny los.

Więcej nie zobaczyła. Makabryczne widowisko zostało za załomem stodoły, ale wkrótce dostrzegła jeszcze jedną scenę, która wystawiła na ciężką próbę jej poczucie człowieczeństwa. Mężczyznę i kobietę zakneblowano i przywiązano plecami do grubego pnia drzewa. Trzech oprawców obdzierało ich ze skóry, nacinając na ciele wąskie pasy. W pobliżu stało wiadro wody na wypadek, gdyby któreś z nich zemdląło z bólu.

Marysia chciała odwrócić głowę, ale silny chwyt dłoni Wojnicza uniemożliwił jej ruch. Zacisnęła mocno powieki. Nie mogła już tego więcej znieść. Nie chciała patrzeć. Nie chciała widzieć płańdrowanych budynków, szlachtowanych ludzi i wszechobecnego ognia,

który trawił dorobek całego życia mieszkańców wsi. Chciała, żeby to wszystko się już wreszcie skończyło. Zdawała sobie jednak sprawę, że przed śmiercią czekają ją jeszcze straszliwe męczarnie z rąk sąsiada i jego przyjaciół z UPA, którzy to wszystko zorganizowali.

- Wiktor - usłyszała męski głos z boku. - Dawaj ją tu.

Kątem oka, na tyle, na ile pozwalała ściskająca jej włosy ręka Wojnicza, zauważyła podchodzących do nich czterech Ukraińców. Dwóch z nich miało wojskowe czapki na głowie i pistolety za pasem. A więc to oni mają być ostatnimi świadkami i sprawcami jej męczeńskiej śmierci. Uśmiechali się złowieszczo.

- Dawaj ją - ponaglił jeden z nich. - Nasza zdechła. Słaba jakaś była.

Dziewczyna zdrętwiała. Spłynęło na nią uczucie obojętności. Pogodziła się już ze swoim losem. Pomyślała o mamie. Miała nadzieję, że umarła szybko, że nie cierpiała. Jej własny los już jej właściwie nie obchodził.

- Moja jest - warknął na nich Wiktor Wojnicz. - Jak skończę, to możecie sobie ją wziąć. Pierwszy ją znalazłem.

Mężczyźni wybuchnęli głośnym rechotem.

- Dobra, Wiktor, dobra. Dogodź sobie - pokrzykiwali wesoło. - Widzę, że bardzo ci się chce - dodał Ukrainiec w czapce i cała reszta śmiała się jak z przedniego dowcipu.

Odwrócili się i poszli w stronę zabudowań.

- Po co mnie tam wleciesz? - syknęła Polka. - Możesz mnie tu zabić. Odwagi ci brakuje?

- Zamknij się - burknął.

- Chcesz się zabawić, tak? Jak ci twoi kolesie z piekła rodem.

Po raz pierwszy na nią popatrzył. Darmo by szukać w tym spojrzeniu choćby cienia życzliwości. Wzrok miał pełen nienawiści, ale w jego oczach dostrzec też można było pewnego rodzaju żal.

W milczeniu przeszli jeszcze kilkanaście metrów i weszli w las. Puścił jej włosy. Stała twarzą do niego.

- I co teraz mi zrobisz...

- Zjeżdżaj stąd - nie dał jej dokończyć zdania.

Oślupiała na moment. Nie takich słów się spodziewała.

- Co?

- Wynoś się stąd, Laszko. - W jego głosie było znacznie mniej agresji niż poprzednio.

- Uciekaj i nigdy tu nie wracaj. - Spuścił głowę, jakby się zawstydził. - Idź lasami. Dojdiesz do swoich.

- Puszczasz mnie? - Marysia nie mogła uwierzyć.

- Idź już, do cholery.

Pobiegła w głąb lasu. Kilka razy odwróciła się za siebie. Wiktor Wojnicz stał tam jeszcze, ale zaraz potem wrócił do wsi.

Biegła przez dobre kilkanaście minut. Kiedy jej zabrakło tchu, przystanęła. Właściwie nie wiedziała, gdzie iść. Co prawda знаła okoliczne lasy, ale nie miała dokąd pójść. Przecież w każdej chwili mogła natknąć się na bandę UPA.

Usiadła i oparła się plecami o pień drzewa. Nie wytrzymała. Rozszlochała się na cały głos. Nerwy puściły. Łzy pociekły po policzkach strumieniami. Rozpacz oładnęła ją całkowicie. Ukryła twarz w dłoniach. Płacz koł nerwy. Z każdą minutą spazmatycznego szlochu emocje coraz bardziej opadały.

Długo płakała. W pewnym momencie poczuła przytłaczające zmęczenie. Nie spostrzegła, kiedy jej powieki opadły bezwolnie. Nie wiedziała, jak długo spała. Obudziło ją delikatne szarpnięcie za ramię. Otworzyła oczy, spojrzała w górę i krzyknęła przestraszona. Nad nią stał uzbrojony mężczyzna. Dopiero po chwili zobaczyła polskiego orzelka na czarnym berecie. Partyzant uspokoił ją gestem dłoni.

- Spokojnie, nic ci nie zrobię - powiedział cicho. - Jesteś z tamtej wsi?

Przytaknęła ruchem głowy. Wreszcie była bezpieczna. Nikt jej już nie zrobi krzywdy. Ten partyzant na pewno na to nie pozwoli. Patrzyła na niego jak mała dziewczynka na opiekuna, który właśnie wybawił ją z niebezpieczeństwa.

- Oni tam robią straszne rzeczy - powiedziała tonem skarżącego się dziecka.

- Wiem. Możesz być pewna, że drogo za to zapłacą.

- Tam została moja mama. Ratujcie ją. Może jeszcze żyje.

- Tam nikt nie został. Nikt nie przeżył. Przykro mi.

Skuliła się. To czego się obawiała, stało się faktem. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Co teraz ze mną będzie? - odezwała się półszepem.

- Idź w tamtą stronę. - Partyzant wskazał kierunek.

- Tam nie ma banderowców. Dojdiesz do wioski. Powiedz, że jesteś od Kruka.

Ludzie ci pomogą. Tutaj zaraz będzie bardzo gorąco. Śpiesz się.

Marysia wstała.

- Dobrze - powiedziała i poszła, powłócząc nogami.

ROZDZIAŁ 19

Teheran, listopad 1943

Stolica Iranu przedstawiała się w oczach Julka niezbyt imponująco, ale ciekawie. Jechali wśród niskich zabudowań o typowo wschodniej architekturze. Szeroka droga zdawała się służyć głównie pieszym. Tłumy nędznie odzianych ludzi przemierzały się we wszystkie strony. Grupki bosych dzieci przyglądały się im z zainteresowaniem. Niekiedy co odważniejsze podbiegały do jadącego wolno samochodu i prosiły o datek. Uderzała też wszechobecność sprzedawców na chodnikach. Zachwalali głośno swoje towary, wśród których królowały dywany lokalnej produkcji. Warsztaty tkackie niekiedy wychodzące niemal na ulicę i nie należący do rzadkości widok mężczyzn, targających na plecach nawet do trzech i czterech ciężkich kobierców dopełniały obrazu tego miasta, tak odmiennego od tych, które dane było Julkowi zobaczyć w Europie.

Tony Pratchett siedział na fotelu pasażera. Na widoki za oknem patrzył obojętnie, bez fascynacji, która zrodziła się w Kwiatkowskim. Był tu wiele razy i zdążył się przyzwyczaić do odmienności tego miejsca. Nic już tu nie robiło na Angliku specjalnego wrażenia. Kierowca, Ben Hollies, członek brytyjskich służb ochrony dyplomatycznej, również musiał być dobrze obeznany z Teheranem. Prowadził pewnie, i bez cienia wahania, nawet gdy wjeżdżali w gęszcz wąskich uliczek.

- Jeszcze do Rosjan i wracamy. - Tony odwrócił głowę do siedzącego z tyłu Julka. - Jakież wrażenia z Teheranu?

- Drogie te dywany mają?

Anglik uśmiechnął się rozbawiony.

- A co, chcesz sobie sprawić jeden?

- Prawdziwe perskie. Przed wojną ojciec mnie kiedyś zabrał ze sobą do jednego hrabiego. Miał w domu taki dywan. Wielki na całą podłogę. Podobno strasznie dużo kosztował.

- Tutaj taki sam kupiłbyś za psie pieniądze. Tylko z transportem marnie. Ale byłby ubaw, jakbyś z takim tobołkiem próbował się do samolotu załadować.

- Daruj sobie - burknął Julek.

Było rzeczą całkowicie jasną, że ewentualny zakup dywanu w ogóle nie wchodził w grę, nawet teoretycznie, z oczywistych przyczyn.

- Nie, czemu - dworował sobie Anglik. - Możemy się zatrzymać. Pomogę ci wybrać.

- Nie bądź taki usłużny - warknął Kwiatkowski.

- Nic wdzięczności za życzliwość. - Pratchett zrobił urażoną minę.

Kierowca zerknął w lusterko. Uśmiechał się pod nosem. Tony ponownie usiadł przodem do kierunku jazdy.

Wąska droga z niskimi drzewami po obu stronach prowadziła ich do misji dyplomatycznej Związku Radzieckiego. Zajechali pod okazały budynek wsparty na solidnych, stylowych kolumnach od frontu. Ludzie z ochrony, po cywilnemu, już na nich czekali. Dwóch stało przed wejściem, a jeden - wysoki i barczysty - podszedł do drzwi pasażera. Kiedy Tony wysiadł, ochroniarz obszukał go pobieżnie, ku wyraźnemu niezadowoleniu Anglika. Przyjęcie w radzieckiej misji dyplomatycznej było zdecydowanie odmienne, nieporównywalnie chłodniejsze od tego, jakiego doświadczyli u Amerykanów jeszcze tego samego dnia.

- Myślałem, że jesteśmy u sojuszników - pokusił się o złośliwy komentarz Pratchett.

Rosjanin łypnął na niego nieufnie. Trudno było powiedzieć, czy znał angielski na tyle, by zrozumieć kąśliwą uwagę. W każdym razie nie dał po sobie tego poznać. Bez słowa wskazał ręką wejście do budynku. Tony wszedł po schodach i minął przyglądających się mu dwóch pozostałych agentów.

Barczysty Rosjanin odszedł parę kroków od samochodu, stanął w rozkroku i znieruchomiał. Patrzył przed siebie, ale nie było wątpliwości co do tego, że nie spuszczał wzroku z pojazdu imperialistycznego kraju.

Dostali od Tony'ego instrukcje, żeby siedzieć w samochodzie i czekać, aż on wszystko załatwi. Jak stwierdził Anglik z Sowietami najlepiej uważać. O ile kierowca nie zamierzał opuszczać pojazdu, o tyle Julek nie byłby sobą, gdy zastosował się do - jego zdaniem - nazbyt ostrożnego postępowania w stosunku do Sowietów. Chwycił za klamkę.

- Tony mówił, żeby siedzieć w środku - zwrócił mu uwagę Ben Hollies.

- No to siedź - odparł Polak i wyszedł na zewnątrz.

Zatrzasnął za sobą drzwi i rozejrzał się wokoło. Natychmiast przykuł uwagę trzech par świdrujących oczu.

Niewiele się zastanawiając, podszedł do barczystego. Rosjanin ani drgnął. Właściwie nie miał rozkazów, by zakazywać Anglikom swobodnego poruszania się przed budynkiem.

- *Zakurisz?* - Kwiatkowski wyciągnął paczkę papierosów. - *Charoszyje, amerykańskie.*

Ochroniarz zdziwił się, słysząc swój język ojczysty w ustach Anglika. Rzucił okiem na papierosy.

- Skąd umiesz po naszemu? - spytał po rosyjsku i sięgnął do paczki.

- Spędzałem wakacje na Wołyniu. Wiele razy. - Podał Rosjaninowi ogień. - Polacy, Ukraińcy, ale i parę rodzin rosyjskich też tam było. Przyjaźniłem się z jednym chłopakiem. Siergiej się nazywał i miał bardzo fajną siostrę. Rozumiesz, co mam na myśli?

Przez twarz ochroniarza przebiegł ledwie dostrzegalny cień uśmiechu. Wyglądało na to, że pierwsze lody zostały przełamane.

- Anglik na Wołyniu? - poddał jego słowa w wątpliwość.

- Nie jestem Anglikiem tylko Polakiem. Podchorąży Juliusz Kwiatkowski. A wy, sojuszniku?

- Lejtnant Borys Matczuk.

Nie uścisnęli sobie dłoni, jak to zwykle bywa w takich sytuacjach. Wciąż zbyt wiele ich różniło. Zaciągnęli się za to papierosami i prawie jednocześnie wypuścili dym z płuc. Można by odnieść wrażenie, że palili fajkę pokoju.

- Ciężka robota tu u was?

Borys przyjął pozycję „spocznij”. Jego nieufność wydawała się maleć z każdą chwilą.

- Robota jak robota. Czasem chciałoby się faszystów bić na froncie, ale rozkaz to rozkaz. Tu też jest wojna.

- Tu? - Julek rozejrzał się znacząco.

- Walka klas. To też wojna.

- Przecież jesteśmy sojusznikami, nie?

- Wy Polacy zawszeście nas za wroga mieli. Nie w smak wam było, że klasa robotnicza do władzy doszła.

- Nie wszyscy Polacy są tacy, jak myślisz, Borys.

- Całe szczęście. Jak Armia Czerwona was wyzwoli, to może będzie z kim odbudowywać, co faszyci zniszczyli. Partia komunistyczna już u was jest.

Julek słyszał, że komuniści w kraju podnoszą głowę. Działały organizacje takie jak Gwardia Ludowa, wkrótce mająca stać się Armią Ludową pod przewodnią rolą PPR-u. A Armia Czerwona faktycznie była praktycznie „za płotem”. Marnie to wróżyło na przyszłość. Julek postanowił jeszcze wysondować Rosjanina.

- Powiem ci szczerze, Boria, że właściwie nie wiem, kto ma rację. Źle o was, komunistach, mówią. Ale z drugiej strony reforma rolna, praca dla wszystkich ludzi, sprawiedliwość społeczna... to wszystko brzmi bardzo mądrze.

Kwiatkowski starał się zrobić z siebie człowieka targanego wątpliwościami. Miał nadzieję, że Borys jako prawdziwy komunista (nikogo innego tutaj by nie przysłano) poczuje

misję, by sprowadzić tego wahającego się Polaka na właściwą drogę.

- Bo tak będzie - Rosjanin łapał haczyk. - Koniec z wyzyskiem. Robotnicy dostaną uczciwą zapłatę za uczciwą pracę. Skończy się jawna niesprawiedliwość. Zobaczysz.

- Pięknie. Ale Zachód raczej nie pozwoli na stworzenie kolejnego państwa komunistycznego. Szczególnie, że sam nasz naród, moim zdaniem, nie da się namówić na zmianę ustroju.

Borys Matczuk obdarzył Julka dwuznacznym uśmiechem.

- Pewnie nie wiesz, ale powiem ci w tajemnicy, że wasz przyszły ustrój będzie się decydował tu na tej konferencji. Z tego, co słyszałem, Polska po wojnie pójdzie nową, lepszą drogą. Sojusz robotniczo-chłopski przejmie wreszcie władzę.

Julek zadrżał na myśl, że słowa Rosjanina mogły się stać rzeczywistością. Czy to możliwe, żeby państwa zachodnie poszły na tak daleko idące ustępstwa wobec Stalina? Czy możliwym jest, by komunizm został do Polski sprowadzony na bagnietach Armii Czerwonej? Sama idea wydawała się tak absurdalna i nierealna, że można by ją od ręki zignorować. Z drugiej jednak strony tu w Teheranie miały się dziać rzeczy decydujące o losach powojennego świata. Oby Borys Matczuk się mylił.

- Może masz rację, Boria. Może socjalistyczna sprawiedliwość to coś, czego Polska najbardziej teraz potrzebuje. Nie wiem.

Julek udał, że popada w zadumę.

- Mam rację. Bez socjalizmu Polska się nie podźwignie.

- Pogadałbym jeszcze z tobą, ale... - ruchem głowy wskazał wychodzącego z budynku Tony'ego. - To wszystko chyba zbyt skomplikowane na mój żołnierski łeb.

- Pomyśl. Jak się głębiej zastanowisz, to sam zobaczysz, że socjalizm to prędzej czy później jedyna droga dla świata.

- Kto wie, kto wie. Pojutrze zjeżdżają się nasi przywódcy. Może jeszcze będzie okazja się spotkać. *Paka*, Boria.

- *Paka*, *Paliak*.

Opuścili teren misji radzieckiej, gdy Pratchett odezwał się do Julka.

- O czym tak konferowałeś z tym Sowietem?

- Mówiłem mu, żeby nie wysiadał - nie omieszkął poinformować Tony'ego Ben Hollies.

- O przyszłości świata.

- A on co, wróżka?

- Mocne rzeczy mówił, i z tego, co sugerował przyszłość mojego kraju nie rysuje się w

różowych barwach.

- Niby dlaczego?

- Myślisz, że Polska może dostać się w sferę wpływów Rosji sowieckiej?

Tony nie odpowiedział. Tak jakby nie dosłyszał pytania. Zaległa niezręczna cisza.

Anglik przerwał ją wreszcie.

- Nie wiem, Julek, co ci powiedzieć. Znam nasze oficjalne stanowisko. Polska ma być niepodległa. I tego się trzeba trzymać.

- Możesz mi coś obiecać, Tony?

- Co?

- Jakby się okazało, że na konferencji zapadły jakieś decyzje dotyczące mojej ojczyzny, to mi powiesz.

- Człowieku, przecież to wszystko tajne. Do czego chcesz mnie namówić?

- Do tego, żebyś się raz zachował jak człowiek.

- Julek...

- Tony, proszę cię o to jedno. Jak nic nie będziesz wiedział, to mi nic nie powiesz.

Przecież jesteśmy po tej samej stronie.

Pratchett westchnął ciężko.

- Możliwe, że niczego się nie dowiem.

- Wtedy mi nic nie powiesz. Obiecuj.

- Ale jesteś upierdliwy.

- Czyli?

- Dobra. Jak coś usłyszę o Polsce, dam ci znać.

- Dzięki.

- Nie dziękuj. Być może o twoim kraju w ogóle nie będzie się mówić. Nie jest centrum świata.

- Dla mnie jest.

- Powiedz mi lepiej, o czym z Ruskim rozmawiałeś. Zna angielski?

- Nie zna. Rozmawialiśmy po rosyjsku.

- No tak. Słowianie się zawsze dogadają. Co ci mówił?

- O przewodniej roli partii komunistycznej, a ja mu, że ich poglądy zaczynają do mnie przemawiać.

- Po co się tak wygłupiałeś?

- Trzeba poznać wroga. Nigdy nie wiadomo, kiedy taka wiedza się może przydać.

Chciałbym jeszcze się z nim spotkać.

- Aż zrobi z ciebie komunistę.
- No. To tak jakby zrobić z Anglika porządnego człowieka.
- Nie musisz mnie obrażać, Polaku.
- Sorry, Tony. Taki już mam podły, polski charakter.

- Stary wariacji dostaje - Tony palił nerwowo papierosa. - Stalin namówił Roosvelta, żeby został w rosyjskiej misji. Podobno Niemcy jakiś zamach uszykowali. Diabli wiedzą, czy to prawda. I teraz mają spotkanie bez Winstona. Wyobrażasz sobie?

Kwiatkowski popatrzył na Anglika bez zrozumienia.

- Co się tak podniecasz. Pogawędzą sobie. Waszego premiera i tak muszą zaprosić do towarzystwa. Nie da się chyba inaczej, nie?

- Widzę, że nie kapujesz. Tam się losy świata będą decydować. - Rzucił niedopałek na ziemię i zajrzał do pustej już paczki, którą zgniótł i rzucił ze złością pod nogi. - Bez Winstona Churchilla.

- Wy Angole wszyscy macie jeden problem. Mania wielkości. Kiedyś wam to bokiem wyjdzie.

- Czekaj, czekaj, a może podskoczyłbyś do rosyjskiej misji?

- Ja? A po cholere?

- Zakumplowałeś się z tym ichnim ochroniarzem. Wziąłbyś go na stronę i wypytał...

- Chyba ci się we łbie pomieszało. Dlaczego miałby mi się spowiadać?

- Podbierz go. Obaj Słowianie jesteście. Winston będzie wdzięczny.

- Ty się znasz na polityce. Może ty jedź, z Borysem pogadaj.

- Mnie nic nie powie. Imperialista i wróg klasowy jestem.

- Nie da się ukryć - stwierdził Julek kwaśno.

- Jedź. Zrób to dla ojczyzny. - Tony postanowił uderzyć w narodową nutę.

- Twojej?

- Oj, mojej, twojej - zniecierpliwił się Anglik. - Co to za różnica? Tam o Polsce też będzie się mówiło, o ile już się nie mówi.

- Niech cię szlag, Angolu. Dawaj samochód i jakąś piersiówkę z dobrych alkoholem. Ale nie wiem, czy uda mi się czegoś dowiedzieć.

Tony Pratchett bezzwłocznie oddalił się po samochód dyplomatyczny. Sytuacja wymagała natychmiastowych działań.

Julek nie chciał kierowcy. Wizyta miała być całkowicie nieoficjalna. Obecność jakiegokolwiek innego Anglika, za którego siłą rzeczy Rosjanie uważali też Juliusza

Kwiatkowskiego, z pewnością nastawiłaby ich nieprzychylnie.

Do wejścia na teren sowieckiej misji Julek poszedł pieszo. Borys Matczuk był na stanowisku. Dwaj jego towarzysze stali w głębi, bliżej budynku. Polak sprawiał wrażenie spacerowicza, który przypadkiem zblądził w rejon radzieckiej placówki. Z daleka podniósł rękę na powitanie.

- *Priwiet*, Boria - przywitał się pogodnie.

Rosjanin rzucił kilka czujnych spojrzeń na boki, jakby chciał się upewnić, że Kwiatkowski jest na pewno sam.

- *Priwiet, Paliak* - odpowiedział bez entuzjazmu. - Co tu robisz?

- Nudy u Angoli. Pogadać z kimś normalnym przyszedłem. - Podsunął Matczukowi paczkę z papierosami.

- *Zakurisz?*

Borys wyciągnął trzy. Dwa wsunął za ucho.

- Słabe trochę te wasze, amerykańskie, ale zapalić można.

- Jak tam u was, spokój?

- Spokój był. Teraz dwadzieścia cztery godziny na nogach bez przerwy. Popieprzyło się.

- Mówią, że Roosvelt u generalissimusa się zatrzymał.

Borys zaciągnął się i popatrzył na żarzący się koniuszek papierosa, którego trzymał w palcach pożółkłych od podłej jakości tytoniu. Zaciągnął się ponownie i z lubością wypuścił dym.

- A co, twoi się denerwują?

- Jacy oni tam moi. - Julek wypuł drobiny tytoniu, które z papierosa dostały mu się do ust. - W '39 na Polskę się wypięli. Ale z Hitlerem walczą, to się przyłączyłem.

- Mogłeś się do nas przyłączyć. U nas też są wasi. Dywizja Kościuszkowska.

- Mogłem, ale wyście zaczęli Hitlera bić dwa lata później. Nie wypadało czekać.

- Prawda.

Julek wyciągnął zza pazuchy piersiówkę. Pociągnął spory łyk. Od razu dostrzegł zazdrosne spojrzenie Rosjanina.

- Dobra. - Wytarł wierzchem dłoni usta. - Prawdziwa szkocka whisky. Próbowaleś kiedyś?

- Bywało - odparł Matczuk, ale łakomy wzrok Sowietę zdawał się temu przeczyć.

- Cholera, poczęstowałbym kolegę, bo naprawdę dobrą zdobyłem, ale łeb by ci pewnie wierchuszka urwała... co?

- Nie urwałaby. - Borys bezceremonialnie wyciągnął rękę po buteleczkę, którą Polak od razu włożył mu w dłoń.

Kilka haustów i można by śmiało iść o zakład, że niewiele w piersiówce zostało.

- Jak?

- Słaba trochę, ale może być. - Boria oddał butelkę.

- Mówią, że jakiś zamach ma być i dlatego Roosevelt u was siedzi.

- Miał być. Faszyci przysłali grupę operacyjną do Teheranu. Nasi dostali informację w ostatniej chwili. W jednej takiej willi na przedmieściach wydusili gadów co do jednego. Już po wszystkim.

- Czyli prawdę ludzie mówią.

- Wojnę narodową Hitler swolocz przegrywa, to się chwyta takich akcji. Kto wie, co by było, gdybyśmy się nie dowiedzieli. Faszysty, psie krwie, dobrze się przygotowali. Mieli sprzęt ludzi... i w ogóle.

- Już po wszystkim i Roosevelt ciągle u was siedzi? Nie wraca do siebie?

- Podobno nic nie wie. Jakaś wielka polityka. Ja tam nie wiem. Tylko nas na nogach trzymają, cholery. Człowiek by się zdrzemnął. A tu stać musisz jak ten kołek w płocie.

- Pewnie niedługo was zluzują.

- Oby.

- Nic. Na mnie czas. - Julek wyciągnął dłoń na pożegnanie. - Jak będę miał lepszą wódeczkę, to podejść. *Pogawarim niemnożka.*

- *Paka, Paliak.*

- *Paka, Boria.*

*

Tony Pratchett wysłuchał z uwagą relacji Kwiatkowskiego. Wszystko się zgadzało. Informacje o rzekomym zamachu były przekazywane niemalże oficjalnie. Nikt nawet nie próbował robić z tego specjalnej tajemnicy.

Churchill myślał, że to wybieg Stalina, żeby go wyeliminować z rozmów jako niewygodnego partnera, którym zresztą w istocie był. Druga sprawa, że Stalin wykorzystał sytuację po mistrzowsku. Nie mogli przecież w cztery oczy nie rozmawiać z Rooseveltem o polityce. Dalszy przebieg konferencji teherańskiej nie przebiegnie już po myśli premiera Wielkiej Brytanii.

Niedługo później, podczas powrotnego lotu do Anglii, Tony miał dotrzymać słowa i przekazać Julkowi nienastrajające optymizmem informacje dotyczące jego ojczyzny. Droga do Polski, jaką znał, kochał i za jaką tęsknił, zaczynała się wydłużać.

ROZDZIAŁ 20

Rok 1944

Mijał kolejny kwadrans lotu. Początkowo dokuczliwy warkot silników powoli przestawał drażnić uszy. Podróż nad kanałem La Manche, zgodnie z oczekiwaniami, przebiegała bez najmniejszych zakłóceń. Na wody w pobliżu Wysp Brytyjskich nie miała prawa dostać się żadna jednostka niemiecka, która mogłaby zagrozić ewentualnym ogniem baterii przeciwlotniczych. Flota sił alianckich patrolowała te wody i tylko łodzie podwodne mogły zapuszczać się w rejony przybrzeżne, ale U-booty naturalnie nie stanowiły dla maszyn powietrznych żadnego zagrożenia.

Nieprzeniknione ciemności za oknami samolotu usypiały. Bezksiężycowa noc sprzyjała im. Istniała bardzo realna szansa, że uda się przemknąć nad wrogim terytorium niezauważonym dla niemieckich dział przeciwlotniczych. Wypatrzenie pojedynczej maszyny w takich warunkach atmosferycznych byłoby nie lada wyczynem. Mimo wszystko nie należało lekceważyć wroga. Jeszcze zanim wyruszyli, dokładnie przeanalizowano w sztabie prognozy pogody. Wybrano najgorszą. Taką, przy której latanie wydaje się być niemal niemożliwe. Lecz tylko takie warunki minimalizowały ryzyko, a do misji wybrano najlepszego angielskiego pilota.

Dokumenty przewożone przez wysłannika brytyjskiego rządu, Tony'ego Pratchetta, jednocześnie zaufanego lorda Hiltona, opatrzone były klauzulą „ściśle tajne”. W żadnym razie nie mogły dostać się w ręce hitlerowców. Mogłoby to istotnie skomplikować działania wojenne prowadzone na Półwyspie Apenińskim, gdzie już operowały wojska sprzymierzone.

Pratchett - szczupły, łysiejący mężczyzna, w okrągłych okularach i ciemnym trenczu - w żaden sposób nie wyglądał na człowieka do specjalnych poruczeń. Prędzej przypominał dobrodusznego, prawowitego i nieco bojaźliwego poddanego Jego Królewskiej Mości. Za tą bezbarwną fasadą kryła się wybitna inteligencja i nieprzeciętne zdolności dyplomatyczne. Tam, gdzie załatwienie jakiegoś problemu wydawało się niemożliwe, posyłano tego niepozornego na pierwszy rzut oka człowieka, a on z żelazną konsekwencją niemal za każdym razem doprowadzał sprawy do ich szczęśliwego rozwiązania.

Julek Kwiatkowski spojrzał na drzemiącego Anglika. Mężczyzna oddychał miarowo. Pod pachą trzymał kurczowo skórzaną aktówkę - to w niej znajdowały się niezwykle cenne dokumenty, które mogły trafić tylko we właściwe ręce w sztabie armii we Włoszech - i sprawiał wrażenie, jakby nawet tu, na wysokości co najmniej kilkuset metrów, nie pozwalał

sobie na najdrobniejsze nawet uśpienie czujności.

Polak też przymknął powieki. Sen nie nadchodził.

- Zaraz będziemy nad Francją - poinformował ich pilot.

Tony przetarł dłonią zasną twarz i oparł się wygodniej o ścianę maszyny. Albo nie usłyszał, albo informacja nie zrobiła na nim większego wrażenia. Zero napięcia. W końcu na podstawie informacji wywiadowczych wybrano najbezpieczniejszą trasę z możliwych. Prawdopodobieństwo tego, że przydarzy się coś niespodziewanego było marginalne. Nie należało się niczym przejmować.

Stoicki spokój Tony/ego udzielił się Julkowi. Rzucił okiem za okno. Ciemność nie dawała żadnych szans dostrzeżenia czegokolwiek w dole. Nieprzyjazną Francję pod nimi spowijała czarna zasłona.

Kwiatkowski zaczął przysypiać. Przed jego oczami pojawiły się chaotyczne obrazy dalszych i bliższych wspomnień. Mózg jak zawsze w sennym letargu przetwarzał rzeczywistość i magazynował ją w zakamarkach pamięci. Chaos przechodził w wizerunki ludzi i sceny mniej lub bardziej abstrakcyjne. Ale zanim sen na dobre zawładnął Julkiem, głos jakby z zaświatów przywołał go do rzeczywistości.

- Podobno w swojej jednostce byłeś najlepszy. Hilton mówił.

Pratchett zagadnął go głośno i wyraźnie. Rozbudził się i przyszła mu ochota na pogawędkę z tym Polakiem, którego milord znowu przydzielił mu do towarzystwa.

Znali się wcześniej. Pratchett próbował się o nim dowiedzieć czegoś więcej u Polaków, ale okazało się, że Juliusz Kwiatkowski jawił się jako postać z dość mglistą przeszłością, o której jeśli ktoś cokolwiek wiedział, to niechętnie mówił.

Julek ocknął się. Senne obrazy natychmiast uleciały. Popatrzył na Anglika z ukosa.

- Tak? - bąknął Polak dwuznacznie.

- Tak mówią. A co, nieprawda?

- Nie obchodzi mnie, co mówią.

Julek rozparł się wygodnie na siedzeniu. Wyciągnął stopy przed siebie i opuścił głowę na pierś. Ponownie przymknął oczy, dając Anglikowi do zrozumienia, że nie ma najmniejszej ochoty na kontynuowanie ledwie zaczętej konwersacji, tyle że Pratchett nie zamierzał odpuścić.

- Ale cię wywalili.

Polak otworzył oczy. Patrzył przez chwilę przed siebie.

- O co ci chodzi?

- O nic. - Tamten wzruszył ramionami. - Po prostu lubię wiedzieć. Hilton musi ci ufać.

Wysłała cię na takie misje. Ciekawe dlaczego?

- Trzeba było go spytać - odpowiedział Julek burkliwie.
- Nie domyślasz się?
- Domyślam.
- Czyli?
- Mam ci dupę kryć, gdyby zaistniały nieprzewidziane okoliczności.
- Tylko?
- A co, zaskoczony?
- Dlaczego akurat ty? Polak jesteś... Z naszymi, delikatnie mówiąc, zatargi miałeś.
- Z kolegami z MP, jak waszą Azjatkę szarpali?
- Wiesz, że nie o tym mówię.

Kwiatkowski odwrócił głowę w jego stronę. Przeszył go złowrogim spojrzeniem.

- Posłuchaj, panie Anglik, mi też szczególnie podoba się twoje towarzystwo...
- Nic takiego nie powiedziałem... - zreflektował się Tony Pratchett.

- ... ale jestem żołnierzem. Dostałem rozkaz i go wykonam. Czy ci się to podoba, czy nie. Masz dotrzeć cały i zdrowy do sztabu armii we Włoszech, i tak będzie. Dopilnuję tego.

- To się chyba nie napracujesz - prychnął Anglik. - Zdaje się, że pilot odwali za ciebie robotę. Za parę godzin będziemy na miejscu. Nie sądzisz?

Czasem słowa wypowiedane są w złą godzinę. Najpierw samolot zadrżał, potem maszyną gwałtownie szarpnęło. Z zewnątrz dało się słyszeć huk, potem jeden, drugi i trzeci. Zarówno pilot, jak i pasażerowie natychmiast zdali sobie sprawę z sytuacji. Nie mieli wątpliwości. Dostali się w gwałtowny ostrzał przeciwlotniczy. Jak to się mogło stać? Przecież na tej trasie obrony przeciwlotniczej miało nie być.

Pilot zrobił gwałtowny zwrot na prawo. Silniki zawyły, a pasażerów rzuciło na podłogę. Mimo to Pratchett ani na moment nie wypuścił teczek z rąk. Nastąpiły kolejne wybuchy i kolejne wstrząsy. Maszyna poderwała się gwałtownie w górę. Ten manewr miał zażegnać niebezpieczeństwo, ale niestety został wykonany zbyt późno. Następny wystrzelony w ich kierunku pocisk był celny. Wszyscy poczuli potężne uderzenie z lewej strony na wysokości skrzydła. Julek dopadł okna. Lewy silnik zaczął dymić.

- Dostaliśmy!!! - wrzasnął Tony rozpaczliwie. - Kurwa, trafili nas!!!

Pilot, choć najlepiej zorientowany w sytuacji, milczał. Zachowywał się wyjątkowo profesjonalnie. Nie uległ emocjom. Rzeczywiście był najlepszy z najlepszych. Z zimną krwią manewrował maszyną. Minęło kilka długich jak wieczność minut i ostrzał ustał tak nagle, jak się rozpoczął. Samolot wyrównał lot. Wydawało się, że niebezpieczeństwo minęło.

Pasażerowie pozbiali się z podłogi. Anglik oddychał głęboko. Starał się uspokoić nerwy. Sięgnął do kieszeni płaszcza po paczkę papierosów.

- Jasna cholera, mało brakowało! - powiedział. Szukał zapalek, ale zaraz przestał, widząc gromiące spojrzenie Kwiatkowskiego. - Mieliliśmy szczęście.

Julek popatrzył za okno.

- Nie do końca.

Lewy silnik nie przestawał dymić. Chwilę potem zamilkł. Kwiatkowskiemu nie trzeba było tłumaczyć, co to oznacza. Jego obawy potwierdziły słowa pilota.

- Drugi silnik może paść w każdej chwili. Musimy natychmiast awaryjnie lądować.

Niezapalony papieros wypadł Anglikowi z ust na podłogę.

- Jak to? - wybąkał. - Gdzie? Przecież nas złapią.

- Módl się, żeby silnik jeszcze trochę wytrzymał, bo wylądujemy od razu na tamtym świecie - uświadomił go pilot spokojnym głosem.

- Jezu - jęknął Pratchett i spojrzał na teczkę. - Zdajecie sobie sprawę, co będzie, jak szkopy to dostaną?

Nikt nie udzielił odpowiedzi. Za to samolot gwałtownie zanurkował. Jedyne silnik, który dawał im spore szanse przeżycia, dokonał żywota. Kwiatkowski i Pratchett złapali się czego mogli. Lądowanie awaryjne zapowiadało się na wyjątkowo twarde. Możliwości wyjścia z tego cała malały z każdą chwilą. Pilot wszedł w lot nurkowy, żeby utrzymać prędkość niezbędną do próby wylądowania, jedynej, jaką mieli. Nie było czasu ani możliwości sprawdzenia, czy gdzieś tam w dole jest jakiegokolwiek miejsce choćby przypominające lądowisko. Pilot nie miał wyboru. Musiał ryzykować życiem swoim, jak i pasażerów. Maszyna przeszła ciemność.

- Do zobaczenia w piekle - wycodził pilot i rozpoczął podchodzenie.

Tony zdjął okulary i schował do sztywnego futerału, który następnie wcisnął w wewnętrzną kieszeń trencza, jakby to w tej chwili miało jakiegokolwiek znaczenie. O dziwo, nie panikował, co w tych okolicznościach byłoby przecież zupełnie usprawiedliwione. Albo bezgranicznie wierzył w nadzwyczajne umiejętności pilota, albo myślał o niechybnej śmierci w katastrofie lotniczej otępiła go aż do tego stopnia.

Julek zachował pełen spokój. Był żołnierzem. Jeżeli trzeba zginąć, to pójdzie na śmierć z podniesioną głową. Z drugiej strony jednak coś mu mówiło, że jeszcze nie nadszedł jego czas. Dziwna myśl, przecucie i nieracjonalna wiara w cudowne ocalenie.

Uderzenie podwozia o ziemię nastąpiło szybko i gwałtownie. Impet rzucił pasażerami o podłogę niczym szmacianymi lalkami. Kwiatkowski zauważył w pewnej chwili, jak Anglik

uderza głową o dolną część ławki i natychmiast traci przytomność. Nie widział nic więcej, bo maszyną szarpnęło i rozległ się ogłuszający huk, który był początkiem gwałtownego hamowania. Polak domyślał się, że pewnie właśnie stracili oba skrzydła jednocześnie odcięte przez drzewa, co uchroniło samolot przed dachowaniem. Mieli szczęście. Maszyna jeszcze przez jakiś czas sunęła na brzuchu, nagle znieruchomiła. Zapadła grobowa cisza. Panowała całkowita ciemność.

Julek nie wstawał jeszcze przez chwilę. Uświadomienie sobie faktu, że jednak żyje, zajęło mu dobrych kilkanaście sekund. Poruszył się. Nie poczuł bólu. Niesamowite, ale wyglądało na to, że nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń. Nietrudno było się domyślić dlaczego. W chwili gdy samolot zaczął wyhamowywać, wepchnęło go na ścianę dzielącą kabinę pilota od reszty maszyny. To go najwidoczniej uratowało.

Podniósł się. Tony Pratchett leżał obok w nienaturalnej pozie. Nie dawał żadnych oznak życia. Julek pochylił się i przyłożył palce do aorty szyjnej Anglika. Odetchnął z ulgą. Dało się wyczuć wyraźny puls. Tony żył. Jedyne stracił przytomność. Nie widać było żadnych złamań ani jakichś poważniejszych uszkodzeń ciała. Oprócz wielkiego guza po lewej stronie głowy, nic mu się chyba nie stało.

Kilka gwałtownych szturchnięć i parę uderzeń w policzki przywołało Anglika do życia. Otworzył oczy i patrzył nieprzytomnie na pochyloną nad nim postać. Kompletnie ciemności nie pozwalały mu wiele zobaczyć.

- Jak się nazywasz? - Julek złapał go za poły trenca i potrząsnął nim energicznie. Chciał się najpierw upewnić, że z głową Anglika wszystko w porządku. - Jak się nazywasz, angielski sukinsynu?

Tony milczał jeszcze przez chwilę, jakby dogłębnie analizował zadane mu pytanie. Wreszcie się odezwał ku wyraźnej uldze Kwiatkowskiego.

- Nie musisz mnie obrażać, cholerny Polaku. - Dotknął ręką guza na czole i syknął z bólu. - W głowę się uderzyłem. Chyba jestem ranny.

- Nic ci nie jest. Ruszaj się. - Julek podniósł się. - Musimy się stąd wynosić. Zaraz zaroi się tu od szkopów. Idę zobaczyć co z pilotem.

Tony uniósł się na łokciach i podciągnął nogi pod siebie.

- Gdzie teczka? - przypomniał sobie nagle.

- Szukaj! Nie mamy czasu.

Tony natychmiast zaczął gorączkowo przeszukiwać podłogę. Julek tymczasem przeciskał się przez powyginane metalowe elementy do kabiny pilota. Na zewnątrz przez chmury przebijał się księżyc. Jego blask był wystarczająco jasny, by światło dochodzące

przez wybite szyby kokpitu ujawniło niepozostawiający wątpliwości obraz. Pilot siedział w swoim fotelu. Jego odchylona do tyłu głowa przedstawiała opłakany widok. Była tak bardzo zmasakrowana, że rozpoznanie rysów twarzy nastęczało poważnych trudności. Z piersi na wysokości serca wystawał wbity metalowy element ramy okna. Ręce lotnika zwisały bezwładnie po obu stronach fotela.

W pierwszej chwili Julek pomyślał, że wypadałoby go jakoś pochować, ale zaraz uświadomił sobie nierealność takiego zamierzenia. W sytuacji, w jakiej się znajdowali, sami za chwilę mogli podzielić los tego nieszczęśnika. Niemcy nie będą czekać. Pojawią się tu najpóźniej za jakieś pół godziny, może nawet szybciej. Nie było czasu do stracenia.

Tony Pratchett wciąż po omacku, coraz bardziej desperacko szukał bezcennej aktówki. Kiedy Julek wrócił, Anglik właśnie ją znalazł i odetchnął z ogromną ulgą.

Wcisnął zgubę pod pachę i skierował się do wyjścia. Drzwi działały bez zarzutu. Po chwili obaj znaleźli się na zewnątrz. Ciszę wokół przerywał jedynie szum pobliskich drzew. W tym momencie zdali sobie w pełni sprawę, jak nieprawdopodobne mieli szczęście. Maszyna spadła na leśną polanę i dopiero gdy wytraciła prędkość, zaryła nosem w pnie drzew. Fakt, że uszli z życiem zakrawał na autentyczny cud.

- Co teraz? - spytał Tony.

- Teraz spieprzamy stąd, ile ci sił bozia dała - odparł Julek. - Jak nas tu szkopskie syny zastaną, nie będzie za ciekawie.

- Ale gdzie? Którędy?

Julek ruszył przed siebie, nie czekając na Pratchetta. Ten podążył za nim, nie mając właściwie innego wyjścia.

- Na pewno mówili ci, co robić, jak ci się przytrafi niespodziewana przesiadka w podróży - rzucił Polak do drepczącego za nim Anglika.

- Mówili. Ale...

- Ale co?

- Mam się skontaktować z francuskim ruchem oporu.

- Gdzie i jak?

- Kontakt mam w Paryżu. Tylko co z tego, jak nawet nie wiadomo, gdzie jesteśmy.

- Po francusku gadasz?

- Studiowałem na Sorbonie jakiś czas.

- To cię do Paryża dostarczę.

- Jak? - Tony rozłożył bezradnie ręce. - Paryż może być sto kilometrów stąd albo jeszcze dalej.

- To lepiej, żebyś miał wygodne buty.

- Jasne. A przecież nawet nie wiemy, w którą stronę iść.

- Na południe.

- Dlaczego niby na południe?

- Nie przeanalizowałeś trasy lotu. Duży błąd, kolego. Paryż będzie nie dalej jak 50 kilometrów. W lesie jesteśmy w miarę bezpieczni. Na drogach będą patrole. Niemcy nie wiedzą, że przeżyliśmy, ale na pewno będą chcieli się upewnić.

- Co mam z tym zrobić? - Pratchett wskazał na teczkę. - Może trzeba gdzieś zakopać? Jak nas, nie daj Boże, złapią...

Nie dokończył. Nagle z kilku stron zaczęły dochodzić do nich pokrzykiwania. Nie było wątpliwości. Padały rozkazy po niemiecku. Żołnierze przybyli znacznie szybciej, niż można by się spodziewać.

- No to się zaczęło - powiedział półgłosem Kwiatkowski.

- Co się zaczęło? Mówiłeś, że Niemcy będą tu za pół godziny. Może z dziesięć minut minęło. Jakim cudem już tu są?

Tony znowu zaczął panikować.

- Pewnie w pobliżu był jakiś patrol. Nie może ich być wielu.

- Co za różnica? Są uzbrojeni. Trzeba natychmiast zakopać dokumenty.

Anglik rozglądał się gorączkowo wokół siebie, szukając miejsca, gdzie w miarę bezpiecznie mógłby zagrzebać papiery.

- Kładź się - powiedział do niego Polak.

- Co?

- Kładź się, powiedziałem.

- Po co?

- Chcesz żyć, to rób, co mówię. - Anglik padł na ziemię, a Kwiatkowski starannie zasypał go poszyciem leśnym. - Nie ruszaj się, choćby na ciebie nadepnęli. Przyjdę po ciebie. Rozumiesz?

- Rozumiem, ale...

- Zamknij się i czekaj.

Niemcy zbliżali się z każdą chwilą. Coraz wyraźniej słychać było głosy. Julek zniknął tymczasem w ciemnościach. Tony usilnie starał się opanować drżenie całego ciała. Bał się. Nie był żołnierzem, a jedynie dyplomatą, co prawda najwyższego gatunku, ale tylko dyplomatą. Nigdy nie miał okazji stanąć twarzą w twarz z jakże realnym wrogiem. O Niemcach nasłuchiwał się wiele. W szczególności o ich nieludzkich metodach przesłuchań. Nie

był bohaterem i zdecydowanie wolał uniknąć złapania, więc robił dokładnie to, co Kwiatkowski mu powiedział, czyli zupełnie nic. Leżał bez ruchu i czekał.

Niemiecki żołnierz z latarką zatrzymał się nie więcej niż kilkanaście metrów od niego. Trzymał pistolet maszynowy wycelowany przed siebie, gotowy do oddania natychmiastowej, śmiertelnej serii.

I wtedy wydarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Parę metrów dalej dał się słyszeć okrzyk: „Mein Gott” i zaraz potem zduszony chrapliwy jęk, przypominający głos zarzynanego zwierzęcia. Niemiec natychmiast obrócił światło w tamtym kierunku. Zobaczył tylko, jak żołnierz zwała się na ziemię z rozoranym gardłem, z którego buchnęła krew. Podbiegł do towarzysza z bronią gotową do strzału, ale wroga nie było nigdzie widać. Nie mógł strzelać na oślep, by przypadkowo nie trafić swojego. Świecił latarką na wszystkie strony.

Tymczasem nie upłynęło nawet kilka sekund, gdy z niewielkiej odległości znowu słychać było ten sam złowieszczy odgłos, tym razem bez okrzyku wzywającego Boga. Zaraz potem padł pojedynczy strzał z pistoletu. Kolejny stłumiony dźwięk kilkanaście metrów dalej. I cisza. Po chwili seria z karabinu maszynowego. Hitlerowiec zgasił latarkę i przywarł do drzewa. Bał się. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z takim przeciwnikiem. To było coś przerażającego. Człowiek wybijał ich jednego po drugim, jakby dusił kurczaki w kurniku. Doświadczeni niemieccy żołnierze nie mieli najmniejszych szans. Mężczyzna wiedział, że został sam. Towarzysze już nie żyli. Nie miał co do tego wątpliwości. Jedyne o czym teraz gorączkowo myślał, to pragnienie wydostania się stąd natychmiast. Jak najdalej od lasu, który zupełnie niespodziewanie dla całego patrolu stał się śmiertelną pułapką.

Tony Pratchet przeżywał katusze, wciąż leżąc w pobliżu żołnierza. Niekiedy coś aż pchało go do powstania z ziemi. Taki moment nadszedł właśnie w tej chwili. Kiedy już miał się odezwać z prośbą, żeby do niego nie strzelano, obok Niemca pojawiła się postać, tyle przynajmniej w ciemności można było dostrzec, i Niemiec jęknął, padając na ziemię. Więcej się nie ruszył. Postać podeszła do Tony’ego i odezwała się znajomym głosem:

- Dostyc leżenia. Musimy się stąd wynosić. Zbieraj się, Anglik.

Głos Kwiatkowskiego brzmiał w uszach Prachetta jak najpiękniejsza muzyka. Wszystko wskazywało na to, że zagrożenie minęło, czyli Niemcy zostali unieszkodliwieni. Tylko jak, u diabła, udało się temu Polakowi tego dokonać? Tony wstał i otrząpał się z igliwia i liści.

- Jak? - wydusił z siebie pytanie Brytyjczyk.

- Co jak?

- Jak to zrobiłeś?

- Szybko i skutecznie. Później pogadamy. Nie ma czasu.

Nie zdążyli ruszyć w dalszą drogę. Z ciemności dobiegł ich złowrogi szcęk przeładowywanej broni. Zaraz potem padła seria z automatu. Nie zdołali nawet paść na ziemię w naturalnym odruchu. Julkowi przemknęła przez głowę błyskawiczna myśl: „Jasna cholera, nie wybiłem wszystkich”. Ten jeden błąd mógł przesądzić teraz o tragicznym zakończeniu. Wszystko na to wskazywało. W ciemnościach mieli jeszcze choćby cień szansy. Właściwie to tylko on miał przy swoim wyszkoleniu. Tony Pratchett przeszedł jedynie podstawowe przeszkolenie wojskowe.

Jednak, o dziwo, pociski ich nie dosięgły. Co więcej, nie słyszeli obok siebie charakterystycznego świstu kul, tak jakby to nie do nich strzelano. Pojawiła się iskierka nadziei. Niestety, na krótką chwilę, bo zaraz zostali otoczeni przez grupkę ludzi z bronią wymierzoną w ich głowy.

- *Qui vous êtes*¹³? - padło pytanie po... francusku.

Emocje nagle opadły. Iskierka nadziei przemieniła się w płomień. Julek nie znał francuskiego ni w ząb, ale jak się szybko okazało, Tony stanął na wysokości zadania.

- Jesteśmy Anglikami. Tu niedaleko rozbił się nasz samolot. Lecieliśmy z bardzo ważną misją do Włoch. - Pratchett wystrzelił odpowiedź jak z karabinu. - Wpadliśmy na Niemców. Musimy się dostać do francuskiego ruchu oporu. Potrzebujemy pomocy.

Broń została opuszczona. Jeden z ludzi podszedł do Tony'ego i wyciągnął rękę.

- Kapitan Gerard Perrain. Oddział zbrojny francuskiego ruchu oporu. Sprawdźmy, czy mówicie prawdę. Jeśli tak, to jesteście u przyjaciół.

- Tony Pratchett, emisariusz rządu Jego Królewskiej Mości. To jest podchorąży Juliusz Kwiatkowski. Dbą o bezpieczny przebieg mojej misji. Oględnie mówią.

- O co chodzi? - spytał Julek, nie rozumiejąc ani słowa z ich rozmowy.

- To jest kapitan Perrain - wytłumaczył mu Tony. - Francuski ruch oporu. Mamy cholerne szczęście. Muszą nas sprawdzić, potem pomogą.

Perrain przeniósł wzrok na Julka. Otaksował go wzrokiem.

- Widziałem, co zrobiłeś z tymi szkopami - zwrócił się do niego całkiem przyzwoitą angielszczyzną. - Każdy by chciał mieć takiego żołnierza. Nazwisko nietypowe. Nie - Anglik?

- Polak - odparł Julek zdawkowo.

¹³ Kim jesteście (fr.)

- Polak? Wspaniale.

Kapitan autentycznie się ucieszył. Nie wiedzieć czemu, serdecznie uściskał Kwiatkowskiego. Julek rzucił pytające spojrzenie Tony'emu. Ten tylko wzruszył ramionami, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że nie wie, o co chodzi, skąd ta wylewność.

- *Le Polonais* - kapitan wskazał Julka towarzyszom.

Entuzjazm dowódcy udzielił się natychmiast reszcie. Podchodzili do Polaka i witali się z nim jak z najlepszym przyjacielem, aż Anglik poczuł się wyjątkowo niezręcznie.

Entuzjastyczne przyjęcie Julka wyjaśniło się w drodze do obozu partyzantów.

- Do niedawna był u nas jeden Polak. - Perrain po ojcowsku położył Julkowi rękę na ramieniu. - Janek Kawa. Po polsku to podobno znaczy kawa do picia. Świetny żołnierz i kompan. Wesoły, zawsze pełen życia. Nie dało się go nie lubić. A i prawdziwy bohater. Syn polskich emigrantów z Liege. Urodził się we Francji, ale twierdził, że jest stuprocentowym Polakiem. Ciekawe, co?

- My Polacy tak mamy.

Kapitan uśmiechnął się.

- Niemcy dostali na nas cynk. Ktoś gdzieś zdradził. Była obława. Janek i jeszcze dwóch innych poświęcili się, żebyśmy mogli się uratować. Wyobraź sobie, że dla niego oddanie własnego życia za towarzyszy... nie wahał się ani chwili. Dla niego było to jakby zupełnie naturalne.

- Nie powinieneś się dziwić.

- Teraz już wiem, bracie. Już Napoleon się na was poznał. My Francuzi nigdy wam tego nie zapomnimy.

W obozie partyzantów płonęły trzy ogniska. Ludzie czyścili broń, spali lub po prostu rozmawiali. Na widok obcych twarzy zapanowało poruszenie. Dowódca w krótkich słowach wyjaśnił swoim ludziom sytuację, w jakiej się znaleźli Julek i Tony.

Była tam też jedna młoda kobieta. Kapitan od razu przywołał ją do siebie. Okazała się być łączniczką oddziału ze strukturami w Paryżu. Juliette Fabienne, szczupła, śliczna dziewczyna, z jasnymi włosami zaplecionymi w warkocz na plecach. Ujmowała sobą od pierwszej chwili. Jej wielkie, zielone oczy skrywały nieodgadnioną głębię, którą niejeden mężczyzna chciałby poznać.

- Juliette wysłucha twojej historii i dokładnie cię wypyta - powiedział kapitan do Tony'ego. - Zamelduje wszystko komu trzeba w Paryżu. Jak przyjdzie potwierdzenie, pomyślimy, co z wami robić. Pewnie po was przylecą, skoro jesteście tacy ważni.

- To jest ważne - Anglik wskazał teczkę, z którą się ani na moment nie rozstawał.

- Znajdźcie jakieś spokojne miejsce, gdzie nikt wam nie będzie przeszkadzał.
- Chodźmy - powiedziała do Tony'ego.

Odwróciła się, nie czekając. Anglik poprawił okulary na nosie, które nie ucierpiały w czasie katastrofy, uśmiechnął się półgębkiem i poszedł za urodziwą Francuzką. Kiedy za drzewami zniknęli im z oczu, Perrain wskazał Julkowi zwalony pień. Polak usiadł. Ktoś przyniósł mu spory kawałek pieczonego mięsa nadzianego na drewniany kij. To samo dostał kapitan. Mięso było lekko spalone i bez przypraw, ale i tak wybornie smakowało. Stare powiedzenie, że głód jest najlepszym kucharzem, sprawdzało się teraz w pełni.

- Dziewięciu Niemców i ty sam jeden - Gerard wciąż nie mógł wyjść z podziwu. - Anglicy cię tak wyszkolili?

- W Anglii, ale nie tylko Anglicy.
- Amerykanie?
- Japończycy. A dokładnie jeden japoński ogrodnik.
- Żarty sobie robisz. - Kapitan przestał na moment przeżuwać.
- Nie. Ale to długa historia z dość przykrymi wątkami osobistymi. Szczerze mówiąc,

nie chciałbym o tym mówić. Na pewno nie teraz.

- Rozumiem. Jak chcesz. Ten Anglik, twój przyjaciel?

Kwiatkowski skrzywił się w kwaśnym uśmiechu.

- My Polacy, jak wy Francuzi, raczej się z Anglikami nie przyjaźnimy. Ma dojechać do Włoch z ważnymi papierami. Moja w tym głowa, żeby go dostarczyć w jednym kawałku. I tak zrobię.

- Muszą ci Angole ufać.
- Powiedzmy, że solidnie sobie zapracowałem na to zaufanie.
- Tajemniczy jesteś, Polak. Ale jutro, najdalej pojutrze będę o was wszystko wiedział.

Do tego czasu jesteście naszymi gośćmi.

Zabrzmiało to trochę jak „jesteście aresztowani”. Ale Julek doskonale rozumiał, że takie środki bezpieczeństwa były niezbędne. Niemcy dążyli do przeniknięcia do francuskich struktur oporu. Czasami im się to udawało, ale o rozbiciu „wolnych Francuzów”, jak siebie powszechnie nazywali, nie było mowy. Już nie teraz. Nie na początku lata 1944 roku.

Tony Pratchett został przesłuchany przez piękną Francuzkę, która zaraz potem, jeszcze przed świtem opuściła obozowisko. Sprawa nie cierpiała zwłoki, więc pośpiech również był tutaj bardziej niż wskazany. Potem zaprowadzono Anglika i towarzyszącego mu Polaka do jednej z prymitywnych chat, służących partyzantom do ochrony przed deszczem i

zdarzającymi się czasem surowymi warunkami atmosferycznymi. Tu mogli złapać trochę snu po kończącej się ciężkiej nocy.

Mocne szarpnięcie za ramię wyrwało Julka ze snu. Było już zupełnie jasno. Przespał świt. Wokół panował ruch. Partyzanci sprawdzali broń, jedli poranny posiłek, naprawiali buty i generalnie zajmowali się swoimi sprawami.

- Już czas - Kapitan Gerard Perrain wyprostował się.

- Juliette zabierze was do miasta. Nasi przerzucą was do Włoch.

Polak wstał i otrzepał mundur. Tony też już nie spał. Nieopodal rozmawiał z urodziwą Francuzką.

- Szybko nas sprawdziliście - zauważył Kwiatkowski.

- Nie gniewaj się, przyjacielu. Musimy być bardzo ostrożni. Szkopy pociąć by się dali, żeby wsadzić nam konfidenta.

- Widzę, że mój Anglik wam towarzyszkę broni podrywa.

Obaj spojrzeli w stronę rozmawiających.

- Nawet gdyby, to szanse ma zerowe - stwierdził Perrain. - Ale nic. Ledwieśmy się poznali, już się trzeba żegnać. Londyn polecił wyekspediować was jak najszybciej.

- Dzięki za wszystko, kapitanie.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Francuz pożegnał się z Anglikiem, ale jakoś mniej serdecznie.

Włochy

Grymas na twarzy emisariusza angielskiego, Tony'ego Pratchetta, nie wyrażał zachwytu. Prośba Kwiatkowskiego oznaczałaby odstępstwo od planów, a tego nikt nie lubił. On sam w szczególności. Z drugiej strony niedawne wydarzenia we Francji, które tylko dzięki niezwykłym umiejętnościom Polaka i późniejszej interwencji francuskiego ruchu oporu nie zakończyły się dla niego tragicznie, mogły skłaniać Anglika do bardziej ugodowej postawy względem usilnych nalegań Julka.

- Tony, ja tam muszę pojechać.

Kwiatkowski mówił stanowczo. Szanse, że da sobie cokolwiek przetłumaczyć, były nikłe. Tony Pratchett zdawał sobie z tego sprawę. Miał też bardzo ważne zadanie do wykonania. Co prawda już praktycznie znajdowali się na miejscu i ewentualne zagrożenie właściwie nie istniało, ale rozkazy były całkowicie jasne. Mieli dotrzeć do celu, spotkać się z odpowiednimi ludźmi, a następnie jak najszybciej wracać do Anglii. Lord Hilton kładł

szczególny nacisk na część „jak najszybciej”. Wycieczka Julka do polskiej brygady mogła oznaczać opóźnienie. Kto wie jak długie.

- Julek, co ja mogę na to poradzić? - Tony próbował jakoś wybrnąć z sytuacji. - Wiesz sam, jakie mamy rozkazy. Lord się wścieknie, jak coś się stanie i...

- I na przykład jakaś ponętna Włoszka cię do łóżka wciągnie? Anglik jesteś, dasz sobie radę. - Julek postanowił „wziąć Tony’ego humorem”. - Chociaż z drugiej strony... - dodał niepewnie.

- Przestań się wygłupiać. To nie są żarty.

Polak spoważniał.

- Tony, nie zrozumiesz tego, ale ja od paru lat nie słyszałem polskiej mowy, tylko ciągle ten wasz angielski bełkot. Wariacji dostaję.

Anglik spojrział na niego podejrzliwie. Wygłupiał się czy mówił poważnie? Co to za argument? Julek miał rację. Anglik zupełnie nie rozumiał, o co Kwiatkowskiemu chodziło. Brzmienie polskiej mowy? Cóż to za atrakcja? Kakofonia szeleszczących dźwięków momentami wręcz nieprzyjemnych dla ucha.

Juliusz Kwiatkowski był prawdziwym Polakiem z krwi i kości. Takim, który tęskni za ojczyzną i wszystkim, co z jego krajem się wiąże. Dla obcokrajowca nieodparta potrzeba usłyszenia ojczystej mowy mogła się wydawać zupełnie irracjonalna, kompletnie bez sensu, wręcz dziecinna. Nie potrafił sobie uświadomić prostego faktu, że Polacy to bardzo nietypowy naród.

- No, ale jak ty sobie to wyobrażasz? - Anglik zaczynał się łamać. - Technicznie jak?

Amerykański kierowca, który wiozł ich do sztabu, wydawał się całkowicie pochłonięty drogą. Żuł gumę, momentami otwierając szeroko usta. Co jakiś czas zawieszał wzrok na którejs z mijanych włoskich dziewcząt. Uśmiechał się wtedy z zadowoleniem. Kompletnie nie zwracał uwagi na wymianę zdań prowadzoną przez pasażerów na tylnym siedzeniu. Dostał rozkaz, żeby ich odebrać z lotniska i przywieźć. Anglik po cywilnemu to podobno jakaś ważna figura. Właściwie nic więcej go nie obchodziło.

- Bardzo prosto. Pojedziemy teraz do polskiej jednostki, tam mnie zostawiasz, a jutro ktoś z naszych mnie odwiezie na lotnisko i po sprawie.

- Tak? Takie proste? Przecież do polskiej jednostki jest kawał drogi.

- W czym problem? Prosisz grzecznie pana kierowcę, żeby nadłożył trochę drogi i wszyscy będą szczęśliwi.

- Jeśli powiem „nie”? - spytał Tony już tylko pro forma.

- Wtedy pójde na piechotę i lord ci łeb urwie, żeś mnie we Włoszech zgubił.

- Dobra. Niech cię diabli, Polaku.

- U nas w Polsce jest takie powiedzenie: Złego diabli nie biorą - stwierdził Kwiatkowski, nie kryjąc zadowolenia.

Julek poczuł na twarzy bryzę. Wciągnął nosem powietrze. Charakterystyczny morski zapach mile łechtał nozdrza. Powiódł wzrokiem po wąskiej plaży. Późna wiosna ze swoją typową dla tego regionu ciepłą aurą wygnała ludzi nad morze. W ogromnej większości były to młode kobiety. Mężczyźni pewnie albo zginęli, albo nie zdążyli jeszcze wrócić z rozpadającej się włoskiej armii. Ci nieliczni, których można było dostrzec wśród żeńskich grup, mogli spokojnie mówić o wygranym losie na loterii. Każdy jeden, bez wyjątku, zyskiwał sobie zainteresowanie przedstawicielek płci przeciwnej.

Popatrzył w dal na morski horyzont. Gdzieś daleko majaczyły kontury alianckich okrętów wojennych. Pomyślał, że nic już nie może powstrzymać zwycięskiego pochodu wojsk sprzymierzonych. Szkoda tylko, że do Polski jest stąd jeszcze tak daleko. Westchnął głęboko. Zazdrościł tym młodym ludziom tutaj, przede wszystkim ich beztruski. Dla nich wojna już się skończyła. Zaczynało się normalne życie. Nie będzie już strzałów, terroru, bombardowań i wszechobecnego strachu. Włochy budziły się z wojennego otępienia.

Usłyszał za sobą kroki. Odwrócił głowę. W postawie na baczność stanął przed nim żołnierz w mundurze sił polskich na Zachodzie.

- Panie podchorąży - zaszutował - melduje się kapral Szukała. 22. Kompania Transportowa Artylerii. Mam się zająć zakwaterowaniem i aprowizacją pana podchorążego.

Kwiatkowski uniósł dwa palce do czapki.

- Macie tu, kapralu, jak na wakacjach.

- Pozory, panie podchorąży. Jeszcze niedawno dużo ludzi tu wyginęło. A pod Monte Casino... szkoda mówić. Tylu naszych chłopaków padło.

- Monte Casino. Słyszałem. Podobno nikomu się nie udało, a nasi wzięli.

- Tak. Ciężko było, ale daliśmy radę.

Julek jeszcze raz spojrzął w morze.

- To co, kapralu, prowadź.

Nie zdążyli zrobić kroku, gdy do ich uszu dobiegł przeraźliwy wrzask wydobywający się z kilkudziesięciu kobiecych gardeł. Na plaży zakotłowało się. Ludzie w panice zaczęli uciekać we wszystkie strony. W pierwszej chwili nie dało się zorientować, co było powodem zamieszania. Niebo czyste, czyli żaden zabłąkany niemiecki samolot. Pewnie i tak nie zdołałby się przedrzeć w te, całkowicie opanowane przez aliantów, rejony. Więc co?

Sprawa wyjaśniła się chwilę potem. Na plażę wbiegło wielkie kosmate zwierzę. Ku zdumieniu Kwiatkowskiego był to najprawdziwszy niedźwiedź. Gnał w stronę morza, nie zważając na popłoch, jaki wywołał. Wydawał się kompletnie niezainteresowany cizbą ludzką wokół.

Kwiatkowski sięgnął po broń i popatrzył na kaprała. Tu czekało go kolejne zaskoczenie, ponieważ młody żołnierz przyglądał się całej sytuacji obojętnym wzrokiem, jakby obserwował pływające po stawie łabędzie. Wydarzenia rozgrywające się kilkadziesiąt metrów dalej nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia. Zobaczył pistolet w ręku Julka i powiedział najspokojniej, jak tylko mógł.

- Pan da spokój, panie podchorąży. To Wojtek.

- Człowieku, tam jest niedźwiedź! Trzeba go zastrzelić, bo zaraz będzie jatka!

Grymas na twarzy Szukały mówił: „I po co te nerwy? Nic się przecież nie dzieje”.

W tym momencie za niedźwiedziem wbiegł żołnierz. Machał rękami i krzyczał na całe gardło: „*Ragazze, Ragazze*¹⁴! On nie robi krzywdy! *Ragazze!*”. Stał przed niedźwiedziem i objął go za szyję, starając się zademonstrować, że nad nim panuje. Miś polizał go po twarzy.

- I po kłopotcie - rzekł kaprał. - Pan schowa pistolet, panie podchorąży. Jeszcze się ktoś wystraszy.

Julek włożył pistolet do kabury.

- Co to za niedźwiedź? - spytał, gdy już trochę ochłonął.

Szli plażą w stronę wysokiego wybrzeża.

- Wojtek? Chłopaki kupili go od jednego dzieciaka w Iranie. Wtedy był jeszcze mały jak pluszowy miś. Wychował się u nas, urósł, sam pan podchorąży widział. Zajmuje się nim przede wszystkim Piotrek Prendysz. Jeszcze jakiś czas temu Wojtek mu do łóżka wlaził i razem spali. Teraz trudno by było.

- Macie jeszcze jakieś zwierzaki?

- Jeszcze?

- No jakiegoś tygrysa albo lwa?

- Pan podchorąży żartuje, ale Wojtek ma normalny przydział. Racje żywnościowe i w ogóle. Jest jak żołnierz.

- Munduru nie nosi.

- Szkoda, że pan podchorąży nie widział, jak Wojtek pociski nosił, jakeśmy Monte Casino brali. Zdziwiłby się pan.

¹⁴ Dziewczyny (wł.)

- Nie wątpię.

Będąc wśród swoich, Julek cieszył się jak dziecko. Starał się jednak trzymać fason i nie pokazywać emocji, ale chłonał dochodzący ze wszystkich stron język polski, którego tak mu ostatnio brakowało. A 22. Kompania przyjęła go nadzwyczaj ciepło, wręcz wylewnie. Polak z Londynu, swój chłop. Wiadomość, że stosunkowo niedawno przejechał z Polski przez Lizbonę na Zachód rozniosła się po jednostce lotem błyskawicy. Od razu poczęstowano go piwem i zasypano pytaniami. Każdy chciał wiedzieć, jak wygląda sytuacja w kraju. Julek odpowiadał, jak mógł. Niektórzy pytali o swoje miasta, czy może przez przypadek... Wtedy tylko kręcił przecząco głową. Znalazło się kilku żołnierzy z Warszawy i okolic. Ci wsłuchiwali się w słowa Kwiatkowskiego, dopytując o szczegóły. Każdy słuchał z uwagą o Niemcach, okupacji i zbrodniach. Gniew, który i tak od dawna w sobie nosili, wzbierał coraz bardziej.

- Już niedługo - powiedział ogniomistrz Stanisław Kaleta, gdy Julek na chwilę przestał mówić. - Pogonimy szkopów z Polski. Hitler pożałuje, że się urodził.

Julek postawił butelkę z piwem na podłodze.

- Szkoda, że jesteście tak daleko, chłopaki - powiedział z westchnieniem. - A komuniści za płotem.

- Bez obawy. Jakby co, pogonimy i komunistów. Przypomnimy im 1920. Co nie, chłopaki?

- Tak jest! - odezwały się entuzjastyczne okrzyki.

- Za to wypiję - Kwiatkowski podniósł butelkę.

Noc przebiegła spokojnie. Julek mógł się wreszcie porządnie wyspać. Dopiero nad ranem obudziły go nieludzkie odgłosy. W pomieszczeniu było jeszcze dwóch podoficerów. Jeden się golił, a drugi coś czytał. Pozostali wyszli już na zewnątrz. Mimo wczesnej pory jednostka tętniła życiem.

- Co tam się dzieje? - Julek usiadł na łóżku.

- Tam? - Golący się sierżant Stefan Brandys odwrócił głowę w stronę okien. - Wojtek wariuje. Pewnie Piotrka gdzieś w nocy wysłali i biedaczysko ryczy z tęsknoty. Zawsze tak jest, gdy go nie ma w pobliżu. Wojtek rozpacza.

Przeraźliwy ryk się urwał. Zapadła błoga cisza, ale za chwilę z zewnątrz dało się usłyszeć głośnie rozmowy.

- O, już pewnie wrócił - stwierdził Brandys, kończąc golenie. - Teraz się pewnie zaczną wygłupiać.

- Co znaczy wygłupiać?

Julek nałożył na siebie mundur.

- Idź, sam zobaczysz. A jest na co popatrzeć.

Na placu przed barakiem zebrała się spora grupka żołnierzy, a wśród nich Wojtek we własnej „osobie”. Kapral Piotr Prendysz klepał zwierzę po ogromnym, kudłatym łbie, a niedźwiedź, co się dało natychmiast zauważyć, był zachwycony. Wtedy to Prendysz skoczył na niego i chwycił za szyję jak rasowy zapaśnik. Wojtkowi było tylko w to graj. Od razu podjął wyzwanie i kilka chwil później po krótkich przepychankach człowiek został sromotnie pokonany przez zwierzę, które wylizało mu twarz i głowę. Rozległy się śmiechy, brawa i żartobliwe komentarze dotyczące talentów zapaśniczych Piotrka. Kapral wstał, otrzepał się i wręczył Wojtkowi butelkę piwa. Zwierzak pochwycił ją w dwie łapy i zaczął pić łapczywie.

- Jak go tego nauczyliście? - Julek spytał stojącego obok żołnierza.

- Nikt go nie uczył, panie podchorąży - odparł żołnierz. - Wojtek lubi piwo. Zaraz pan zobaczy, co będzie, jak mu się skończy.

Po chwili złocisty płyn przestał się lać. Można by śmiało powiedzieć, że fakt ten przyprawił misia o co najmniej zdziwienie. Zwierzak potrząsnął butelką, a gdy wciąż nic nie leciało, przyłożył wylot do oka i, ku uciesze zgromadzonych, zaglądał ciekawie do środka. W końcu odrzucił bezużyteczne naczynie i rozglądał się po obecnych, jakby czegoś od nich oczekując. I w rzeczy samej. Oczekiwania misia wkrótce zostały spełnione. Został poczęstowany papierosem. Powąchał, lecz nie wziął, co Julek zresztą uznał za rzecz naturalną. Zwierzęta nie używają tytoniu. I tu się pomylił, bo gdy papieros został zapalony, niedźwiedź go tym razem zabrał i najnormalniej w świecie zjadł.

- Coś takiego - wyrwało się Kwiatkowskiemu. - On tak często?

- Za każdym razem - poinformował zagadnięty żołnierz. - Bez pudła. Zawsze zapalone zżera. Zwykłego nie ruszy.

- I nic mu nie jest potem?

- Nic a nic.

Zabawy z Wojtkiem miały trwać jeszcze długo, ale Julkowi nie było dane podziwiać wyczynów niezwykłego zwierzaka. Poczul na ramieniu dłoń. Ogniomistrz Stanisław Kaleta skinął na niego.

- Twój Anglik cię wzywa - powiedział i zawiesił na moment wzrok na niedźwiedziu. - Chyba już musicie wracać.

- Jasne. Macie jakiś transport?

- Odwiozę cię.

Wojskowy jeep musiał co jakiś czas gwałtownie skręcać, by ominąć wyrwy na drodze.

Minie jeszcze sporo czasu, zanim świeże rany po niedawnych walkach zabliźnią się. Kwiatkowski z każdym kilometrem przekonywał się, że Italia to naprawdę piękny kraj. Podziwiał krajobrazy i w jakimś stopniu zazdrościł mieszkającym tu ludziom. Przegrali wojnę, ale wcześniej czy później wszystko odbudują, a zachwycających krajobrazów i wspaniałego klimatu nikt im nie odbierze.

- Nie szkoda ci? - Kaleta obudził go z zamyślenia.

- Czego?

- Swoich. Polskiego wojska. Służba u Anglików to nie to samo.

Ogniomistrz uderzył w czułą nutę. Julek od opuszczenia kraju tęsknił za wszystkim co polskie. Dlatego tak bardzo naciskał na Pratchetta, żeby ten - na czas załatwiania swoich spraw we Włoszech - odstawił go do polskiej jednostki armii generała Andersa, i Anglik w końcu zgodził się. Nie miał zresztą innego wyjścia. Znając Julka, nie mógł nie wiedzieć, że Polak choćby nie wiem co, nie ustąpi.

- Chciałbym do was, chłopaki - powiedział Julek po dłuższej chwili - ale jest szansa, że mnie znowu do Polski przerzucą. Tam jest moje miejsce.

- My też chcemy do Polski. Nawet nie wiesz jak bardzo.

- Wiem, Stasiu. Wiem.

- W Lublinie zostawiłem żonę i dwójkę dzieciaków. Nie mam pojęcia, co się z nimi dzieje. Nie wiem nawet, czy żyją.

Samochód szarpnął. Ogniomistrz wykonał kolejny gwałtowny skręt. Gdyby w ostatniej chwili nie zobaczył dziury, pewnie zostawiliby w niej koło i dalsza podróż stanęłaby pod dużym znakiem zapytania.

- Znajdziesz ich - stwierdził Kwiatkowski z niezachwianą pewnością w głosie. - Wrócisz i znajdziesz. Tak jak my wszyscy.

Kaleta pokiwał tylko głową. Chciał wierzyć w zapewnienia gościa. Bardzo chciał wierzyć.

- Jak z chłopakami gadałeś, mówiłeś, że komuniści za płotem. Znaczą, Sowieci się na nas znowu szykują?

- Mało powiedziane. Z tego co słyszałem, nasza polska sprawa nie wygląda najlepiej.

- Przesadzasz. Zrobi się Sowiecom powtórkę z bitwy warszawskiej i po kłopotcie. Alianci pomogą. Kto nas teraz ruszy?

- Niestety, to nie takie proste, Stasiu.

- Co nieproste. Mamy Wojsko Polskie. Mamy mocnych sojuszników - stwierdził ogniomistrz z niezachwianą pewnością w głosie. - Będzie proste.

- Na początku grudnia zeszłego roku w Teheranie spotkali się Churchill, Roosevelt i Stalin. Ustalali, co będzie po wojnie.

- Skąd wiesz takie rzeczy?

- Wysłali mnie z delegacją angielską. Byłem w ochronie. W razie czego. Sam rozumiesz.

- I co?

- Po spotkaniu różne rzeczy krążyły. Wszystko niby tajne, cała delegacja gęby na kłódkę. Ale w różnych okolicznościach różnie bywa. Poza tym jestem zaufanym jednego angielskiego lorda. Mają mnie za swojego. Czasem gadają.

- Co ci powiedzieli?

- Mogę ci tylko rzec, że koniec wojny wcale nie oznacza, że będziemy mieli niepodległą Polskę. A ci sojusznicy, na których tak bardzo liczysz... bardzo się zawiedziesz.

- Co ty mówisz? Przecież walczymy razem. Nasi życie oddają. Muszą nam pomóc, jak Ruski przyjdzie.

- Niczego nie muszą. I w tym właśnie problem. Nic nie muszą. Nie wiem, na ile to prawda, ale część Europy ma być w sowieckiej strefie wpływów. Miedzy innymi Polska. Trudno powiedzieć, co to dla nas oznacza, ale z pewnością nic dobrego.

- A ja myślę, że alianci głaszczą Stalina, bo jest im teraz potrzebny. Jak się wojna skończy, to pokażą mu, gdzie jego miejsce. Zobaczysz. Nie zostawią nas.

Julek westchnął. Z zasłyszanych informacji płynął tylko jeden wniosek. Wyglądało na to, że „przyjaciele” chcą sprzedać Polaków. Cała nadzieja w Armii Krajowej.

Jest szansa, że doskonale zorganizowany ruch oporu nie dopuści do najgorszego. Chociaż na takie wsparcie, jakie wielka trójka planowała udzielić Jugosławii i jej przywódcy Josipowi Broz Tito, Polska raczej nie ma co liczyć.

- Anglik mówił, że niezły kozak jesteś. - Kaleta postanowił zmienić temat.

- Tak?

- Podobno we Francji rozwaliliś z tuzin szkopów. Sam jeden. To prawda?

- Skoro Anglik tak mówi...

- Podobno jesteś też z jakiejś specjalnej jednostki. Dywersja na tyłach wroga czy coś tam.

- Byłem. Ale mnie wyrzucili - odpowiedział Julek zupełnie szczerze.

- Wyrzucili? Dlaczego?

- Przez kobietę. Uwierzyłybyś?

- Bez żartów. Poważnie?

- No.
- Ładna chociaż jest? - Ogniomistrz uśmiechnął się znacząco.
- Była.
- Była?
- Nie żyje. Przeze mnie.
- O cholera. Jak to przez ciebie?
- Nie chcę o tym gadać.
- Jasne, stary. Rozumiem.

Dalszą część drogi jechali w milczeniu. Włoskie krajobrazy znowu zachwyciły.

Kiedy przyjechali na lotnisko, samolot już kołował na pasie startowym. Tony Pratchett, z nieodłączną skórzaną aktówką, spoglądał na zegarek. Kiedy zobaczył Kwiatkowskiego w jeepie, na twarzy pojawił mu się wyraz ulgi. Nie będzie musiał się tłumaczyć w Anglii, że gdzieś po drodze zgubił towarzyszącego mu podoficera.

- Jak tam rodacy? - Zagadnął Polaka przyjaźnie.
- Bez zmian. Ratują honor aliantów.

Pratchett skrzywił się. To ciągłe epatowanie polskością czasem działało mu na nerwy. Można być patriotą, ale z niczym nie należy przesadzać.

- To gdzież ten honor uratowali? - spytał sceptycznie.
- Na Monte Casino.
- Hm.

- No właśnie. Wszyscy próbowali, a Polakom się udało. Wasz odwrót spod Dunkierki też osłaniali nasi marynarze z ORP „Burza”.

Zajęli miejsca w samolocie.

- Słowem, naród bohaterów nam się trafił - zauważył Pratchett z typową dla Anglika uszczypliwością.

- No pewnie. Gdyby nie to, we Francji wachałbyś kwiatki od spodu. Nieprawdaż, panie Anglik?

- Dobrze, już dobrze. Dziękowałem za uratowanie życia, nie?

Silnik samolotu zawył głośno. Hałas uniemożliwił, a przynajmniej bardzo utrudniałby prowadzenie dalszej rozmowy. Maszyna przyspieszyła i wzbijała się w powietrze. Chcieli wierzyć i mieli szczerą nadzieję, że podróż powrotna do Wielkiej Brytanii obejdzie się bez przygód.

ROZDZIAŁ 21

Monotonny warkot silnika usypiał. Podchorąży Juliusz Kwiatkowski przymknął powieki. Po powrocie z Włoch niedane mu było zabawić długo na brytyjskiej ziemi. Znowu znalazł się w samolocie wiozącym skoczków do Polski. Nadarzyła się znakomita okazja, o której na czas dowiedział się niezastąpiony w takich sprawach Tony Pratchett i niezwłocznie przekazał informacje Polakowi. Lord Hilton nie wyraził sprzeciwu. Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Trzeba było tylko udać się z powrotem do Włoch, skąd planowano lot. Przerzucenie Kwiatkowskiego okazało się dość skomplikowaną sprawą, ale czegoś się nie robi dla zaufanego człowieka.

Poczuł lekkie szturchnięcie w bok. Otworzył oczy. Jeden ze skoczków, Włodzimierz Sulima, podsunął mu paczkę papierosów. Julek, choć palił sporadycznie, poczęstował się. Zawsze to jakiś sposób skrócenia podróży.

- Ty nie od nas jesteś, nie? - zagadnął Sulima.

- Co za różnica? - zachnął się Kwiatkowski. - Co, inny Polak jestem?

- Nie, nie to chciałem powiedzieć. Z ciekawości pytam. - Zaciągnął się dymem. - Chłopaki mówili, że jakiś angielski lord cię przysłał.

- Za dużo chcesz wiedzieć, Włodziu.

Kwiatkowski czuł się niezręcznie. Nie był jednym z nich, choć bardzo by chciał. Oni wracali do kraju, żeby przyczynić się do końca wojny. Jemu powierzono mało znaczącą misję przekazania jakichś papierów do organizacji podziemnej w Warszawie, do organizacji, która tak naprawdę nie chciała go już w swoich szeregach. Papiery przekaże w umówionym miejscu, a potem najprawdopodobniej będzie musiał coś ze sobą zrobić.

Zazdrościł tym czterem chłopakom. Mieli już swoje miejsce w Polsce. On wciąż je musiał znaleźć. Co miał Włódkowi powiedzieć? Że AK pozbyła się go z kraju i odesłała z powrotem do Anglii? Że podpadł właściwie wszystkim, którym podpaść mógł? Nie był taki jak oni. Popatrzył na nich, pogrążonych we śnie. Młodzi gniewni, pełni energii i wiary w rychłe zwycięstwo. Wiara ta miała też swoje uzasadnienie. Na prawym brzegu Wisły byli już Sowietnicy. We Francji wylądowały wojska sprzymierzonych, alianci mieli pod kontrolą południe Europy. Zwycięstwo było praktycznie na wyciągnięcie ręki.

- Rozumiem. - Włodzimierz Sulima uniósł dłoń. - Tajemnica wojskowa. Nic nie mów.

- No właśnie.

- Skąd jesteś?

- Z Warszawy.

- Aa, to łatwo ci będzie. Znasz miasto. Ja spod Poznania. Właściwie z Wrześni. Takie małe miasteczko.

- Słyszałem. Z historii. W czasie zaborów o Wrześni było głośno.

- Widzę, kształcony jesteś.

- Przed wojną dobre mieliśmy szkoły. Po wojnie będą pewnie jeszcze lepsze.

- Co chcesz robić po wojnie?

- Żyć, jak człowiek. W Warszawie narzeczoną mam.

- Szczęściarz jesteś. Mi dziewczynę na początku wojny zabili. Na moich oczach.

- Każdy kogoś stracił we wrześniu, ja ojca w bombardowaniu. Matka i siostra przeżyły, bo akurat były poza domem.

- Też są w Warszawie?

- Na Wołyniu, u rodziny. W spokoju czekają końca wojny. Dla nich to już po wojnie.

- Na Wołyniu? Boże drogi. - Włodek zdumiał się. - I przeżyły?

- Dlaczego miałyby nie przeżyć. Spokojna wieś. Nic się tam nie dzieje.

- Jak to nic się nie dzieje? To nie słyszałeś?

- Co miałem słyszeć?

- Na Wołyniu straszne pogromy były. Ukraińcy wyrzynali naszych. Całe wsie szły z dymem. Mordowali wszystkich mieszkańców. Niewyobrażalne. Nasi z lasu próbowali ludzi bronić, ale odkąd powstała ta ich Ukraińska Powstańcza Armia, to ciężko było. Mnóstwo ludzi zginęło. Ty lepiej się dowiedz, co u twoich.

Julek zmroził go wzrokiem i zamknął się w sobie. Nikt mu wcześniej nic nie mówił. Ciągłe były jakieś misje. Nie składało się. Słowa Sulimy budziły w nim przerażenie. Nie wyobrażał sobie, żeby mama i Marysia, które sam przecież tam zawiózł, miały zginąć. Nie, to niemożliwe. Takie rzeczy nie mają prawa się zdarzać. Musiały przeżyć. Na pewno się niedługo odnajdą.

Kiedy dolecieli nad Polskę, głos pilota obudził całą czwórkę, Julek nie spał, nie był w stanie. Różne myśli kołatały mu się po głowie.

- Jesteśmy nad celem. Przygotować się do skoku.

*

Na dole było zupełnie inaczej niż wtedy, gdy Julek skakał poprzednio. Tym razem odebrali ich partyzanci. Było serdeczne powitanie i ugoszczenie jeszcze w lesie. Zostali następnie sprawnie przetransportowani do Warszawy.

- To co, panowie - Julek przystanął na ulicy przed dworcem - czas się żegnać.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Szkoda, że nie idziesz z nami - stwierdził szczerze Włodek Sulima. - Fajny chłop jesteś.

- Każdy ma swoje zadania. Rozkaz to rozkaz, Włodziu.

- Jasne. Może się jeszcze spotkamy.

- Wszystko możliwe. Trzymajcie się, chłopaki.

Pierwsze kroki skierował na adres kontaktowy.

W odrapanej kamienicy znalazł mieszkanie, gdzie polecono mu oddać zaklejoną kopertę, którą wcześniej wydobyl z zaszytej podszewki. Nie wiedział, co w niej jest i zupełnie go to nie interesowało. W punkcie kontaktowym miał nadzieję dowiedzieć się czegoś o przyjaciółach i przede wszystkim, gdzie znaleźć Krysię.

Zapukał energicznie. Drzwi otworzyła mu młoda dziewczyna. Wyraźnie speszyła się na jego widok.

- Przysłała mnie ciotka Helena w sprawie pracy - wypowiedział hasło.

Dziewczyna drgnęła. Widać było, że słowa mężczyzny nie są jej obce.

- Nie, to nie tutaj - powiedziała głośno - to jakaś...

Nie dokończyła zdania. Została silnym szarpnięciem wciągnięta do mieszkania. W szeroko otwartych drzwiach pojawił się gestapowiec w czarnym, skórzanym płaszczu. W rękę trzymał pistolet.

- Wchodzić, już! - warknął na przybysza.

W przestronnym pokoju było jeszcze dwóch gestapowców. Klasyczny „kocioł”. Przetrzęsali wszystkie kąty. Dziewczyna siedziała na krześle przy piecu. Patrzyła na Julka przepaszająco. W drugim rogu pomieszczenia, na łóżku, przycupnęła para starszych ludzi. Julek domyślał się, że to rodzice dziewczyny.

- Dokumenty. - Gestapowiec przełożył broń do lewej ręki i wyciągnął prawą.

Pozostali dwaj nie przerywali przeszukania. Na podłodze lądowały książki. Walły się szkła z rozbitych dzbanków i wypełnienia z rozprutych tapicerowanych mebli.

Julek wyciągnął kenkartę i podał Niemcowi. Przeanalizował szybko sytuację. Lepszej szansy miał nie będzie.

Kiedy Niemiec patrzył w dokumenty, chłopak błyskawicznym ruchem złapał grzbiet jego pistoletu. Wielokrotnie ćwiczone przekręcenie w prawo o ponad 90 stopni, i zaskoczony przeciwnik został rozbrojony. Natychmiast potem Polak poczęstował go prawym sierpowym, celując dokładnie w podbródek. Na ringu celne uderzenie oznaczało nokaut. W tym przypadku nie stało się inaczej. Gestapowiec runął na podłogę, czym zaalarmował kolegów. Odwrócili głowy i minął ułamek sekundy zanim dotarło do nich, że ten młody przybysz

zdecydował się na szaleńczy atak. Nigdy przedtem w „kotle” nikt nie odważył się na nich porwać. Nawet im przez myśl by nie przeszło, że w działaniu tego Polaka nie ma krzty szaleństwa, lecz chłodne, błyskotliwe planowanie. Zdumienie minęło bardzo szybko, ale ta chwila wystarczyła Kwiatkowskiemu na dokończenie dzieła. Nóż, z którym się nie rozstawał, przeciął powietrze i utkwiał w szyi sięgającego po broń hitlerowca. Drugi zdołał wyciągnąć pistolet, ale Juliusz był już przy nim. Odpowiednia dźwignia ćwiczona w Anglii pod okiem japońskiego ogrodnika pozbawiła go przewagi. Julek odrzucił pistolet za siebie i bezczelnie spojrzał Niemcowi w oczy. Dostrzegł tam autentyczny strach. Do tej pory to on, funkcjonariusz warszawskiego gestapo, niezmiennie budził przerażenie wśród swoich ofiar. Nagle, w jakiś zupełnie niewyobrażalny sposób, role się odwróciły za sprawą tego Polaka, który w ciągu kilku krótkich sekund dokonał prawdziwego pogromu dotychczas nietykalnych w takich sytuacjach Niemców.

- Chcesz coś powiedzieć, bandyto? - spytała go Julek po niemiecku najspokojniejszym głosem na świecie.

Niemiec uznał to za swoją szansę i rzucił się na Polaka. Przywitał go cios w splot słoneczny, pozbawiający możliwości oddychania na parę sekund. Gdy oddech wrócił, Julek wyprostował gestapowca, ciągnąc do góry za włosy. Objął go ramieniem za szyję i szarpnął do tyłu, łamiąc mu kręgi szyjne. Bezwładne ciało osunęło się na podłogę.

Lokatorzy mieszkania obserwowali całą sytuację wielkimi oczami. Byli jak zahipnotyzowani. W głowie im się nie mieściło, że jeden człowiek mógł zlikwidować gestapowski „kocioł”. Skąd mogli wiedzieć, że mają do czynienia z solidnie wyszkolonym byłym Cichociemnym?

- Musicie natychmiast uciekać - zwrócił się do dziewczyny i jej rodziców. - Nie chciałem strzelać, bo na pewno mają jeszcze kogoś na zewnątrz. - Jest tu jakieś tylne wyjście?

- Przez piwnicę - poinformował mężczyzna rzeczowo. - Przez piwnicę wyjdziemy. Tam na pewno nie pilnują.

Zaczęli się gorączkowo zbierać.

- Kim jesteś? - spytała go dziewczyna, pakując najpotrzebniejsze rzeczy do płóciennej torby.

- Podchorąży Juliusz Kwiatkowski.

- Skąd...?

- Prosto z nieba, czyli z Anglii. Na razie bez przydziału.

Julek odzyskał nóż i wytarł ostrze o spodnie hitlerowca. Następnie nachylił się nad znokautowanym Niemcem. Wyjął z jego dłoni swoją kenkartę. Nie mógł zostawiać

świadków. Prawy prosty na odsłoniętą skroń nieprzytomnego sprawił, że uleciało z niego życie.

Opuścili mieszkanie, zostawiając za sobą trzy trupy i zagadkę, której warszawskie gestapo nie będzie w stanie rozwiązać.

Na przeciwległej ulicy byli już bezpieczni.

- Macie dokąd pójść? - spytał, gdy emocje opadły.

- Przepraszam, nie przedstawiłam się, jestem Irena Trzeciak. To moja mam i tata.

Uratowałeś nam życie.

- Nie ma sprawy. Macie dokąd iść?

- Naturalnie. A ty?

- Byłbym zapomniiał. - Dał jej kopertę. - Miałem przekazać.

Schowowała pod bluzkę, rozglądając się bacznie na boki.

- Pójdiesz z nami?

- Muszę tu kogoś najpierw odszukać.

Wyciągnęła małe notesik i ołówek. Nagryzmoliła coś.

- Tu jest adres. Zapamiętasz?

- Dobra. Wiem, gdzie to jest.

- Jakby co, powołaj się na mnie. Dostaniesz nocleg i jedzenie.

- Znasz może Krysię Szumską? Jest w organizacji. Muszę ją znaleźć.

- Nie kojarzę, ale popytam. Jak przyjdiesz, może coś będę wiedziała.

- Dobra. Rozejrzę się po mieście. Bądźcie ostrożni. I do zobaczenia.

- Jeszcze raz dziękujemy, panie Julku - powiedziała na pożegnanie Trzeciakowa.

- Drobiazg, droga pani.

Poszedł pod stary adres Krysi. Pamiętał doskonale podwórze i wejście do klatki schodowej. Właściwie nic się nie zmieniło, z wyjątkiem stanu budynku. Podupadał coraz bardziej.

W mieszkaniu na piętrze zastał wielodzietną rodzinę. Okazali się bardzo życzliwi, ale nie potrafili mu powiedzieć, gdzie należy szukać poprzedniej lokatorki. Sami mieszkali tu tylko po znajomości i nie byli pewni jutra.

Opuścił znajome podwórze z ciężkim sercem. Właściwie na co liczył? Że przez ponad dwa lata Krysi Szumska będzie na niego czekała w tym samym mieszkaniu? Naiwne myślenie. Ale miał nadzieję. Właściwie to nawet nie wiedział, czy dziewczyna żyje. W tych czasach nie umierało się naturalnie, a przynajmniej nieczęsto.

Będzie musiał odszukać kogoś z chłopaków. Szanse, że spotka kogoś przypadkiem

w takim mieście jak Warszawa, były praktycznie równe zero. Może wpadać regularnie do ich ulubionej piwiarni, o ile wciąż jest tą ulubioną.

Postanowił powłóczyć się trochę po ulicach w ten gorący lipcowy dzień. Nie było go tu kawał czasu. Chciał sprawdzić, czy w stolicy zaszły jakieś zmiany pod jego nieobecność. I czekała go niespodzianka. Nastrój przygnębienia, który żegnał go dwa lata temu, ustąpił miejsca, może niewidocznej gołym okiem, ale doskonale wyczuwalnej atmosferze nadziei i wyczekiwania czegoś, co tę nadzieję jeszcze podbuduje. Jakby coś wisiało w powietrzu. Terror jednak nie ustał, choć miało się wrażenie, że jest niejako mniej dotkliwy.

Ludzie rozmawiali głośniej, śmiali się częściej, a Niemcy spoglądali z niepokojem za siebie. Aż miło było popatrzeć. Podobała mu się ta zmiana. Mogło to wszystko wynikać z faktu, że zbliżała się wyzwolicielska Armia Czerwona. Tylko kto przy zdrowych zmysłach uważał tu Sowietów za wyzwolicieli?

Spacery po stolicy przybliżyły niebezpiecznie godzinę policyjną. Nie spotkał nikogo znajomego, choć po cichu liczył na pomyślny zbieg okoliczności, ale szczęście nie dopisało. Nadszedł najwyższy czas, by udać się pod adres podany przez Irenę Trzeciak. Może tam się czegoś dowie.

Drzwi mieszkania na parterze w podwórku otworzyła, a raczej jedynie uchyliła, starsza kobieta. Obrzuciła Julka podejrzliwym wzrokiem.

- Pan uważa? - spytała ostrożnie.

- Przysłała mnie Irenka Trzeciak. Powiedziała, że znajdę tu nocleg.

Kobieta w pierwszej chwili nie wyglądała na przekonaną.

- Jakoś się nazywa?

- Nazywa się, nazywa. Podchorąży Juliusz Kwiatkowski, do usług.

Jeszcze raz zmierzyła go od stóp do głów.

- Niech poczeka.

Zatrzasnęła drzwi. „Nieufność godna rasowej konspiratorki” - pomyślał, czekając na korytarzu. Ktoś schodził z góry. Elegancka kobieta cała w czerni przeszła obok i uśmiechnęła się smutno, ale życzliwie. Odkłonił się grzecznie. Przez chwilę zastanawiał się, czy jej skądś nie zna, ale nie, twarz była zupełnie mu obca. Zaraz potem drzwi otworzyły się ponownie, lecz tym razem na oścież. Irena Trzeciak rozpromieniła się na jego widok.

- Bardzo dobrze, że jesteś, Julek. Już myślałam, że się w Warszawie zgubiłeś. Wchodź.

- Zgubić to ja się mógłbym w Grójcu, ale nie w Warszawie - odpowiedział wesoło.

- Domyślam się.

Przedpokój był ciasny. Pod lustrem od razu zauważył rząd butów, zarówno damskich, jak i męskich.

- Widzę, że nie jestem jedynym gościem. Urodziny? Imieniny?

- Nie, no skąd. Tajne komplety. - Wskazała zamknięte drzwi naprzeciwko. - Zaraz kończą. Muszą. Niedługo godzina policyjna.

Wprowadziła go do małego pokoiku, jednego z czterech. Pod ścianą stał tam wąski tapczanik, nad którym wisiały uginające się od książek półki. Małeńki stolik z jednym krzesłem dopełniał całego umeblowania. Okno wychodziło na podwórze, gdzie wciąż bawiły się zaniedbane dzieciaki.

- Spore mieszkanie jak na...

- Dwie osoby? - dokończyła pytanie za niego. - Tylko babcia i ja mieszkamy tu na stałe. Ale nigdy nie jesteśmy same. Zawsze znajdzie się ktoś, kogo trzeba przygarnąć jak ciebie. Czasem aż trudno się precyzyjnie. Chcesz herbaty?

- Szczerze mówiąc, to zjadłbym coś...

- Oczywiście. Zrobię kanapki.

Wyszła do kuchni. Julek przyjrzał się grzbietom książek. Klasyka literatury polskiej. „Pan Tadeusz”, „Trylogia”, „Lalka”. Jego polonistyczne serce urosło.

Usiadł na krześle i popatrzył w okno na ścianie kamienicy po przeciwległej stronie. Zamyślił się. Trzeba będzie jakoś zacząć sobie organizować życie. Planował najpierw pojechać do ciotki Anielki, ale przy obecnej sytuacji na froncie stawało się to raczej mało realne. Tym bardziej niewykonalne było zdobycie informacji na temat Marysi i mamy. Cały czas wierzył, że uszły z życiem z pogromów wołyńskich, o których opowiadał mu Włodek Sulima. Nie mogło być przecież aż tak źle. Powinien też znaleźć kogoś z chłopaków. Na pewno mu pomogą ustawić się na początek, choć nie w organizacji. Tam nie przyjmą go z powrotem. Nie miał na to szans.

Irena nic sama nie powiedziała na temat Krysi. Widać nie udało jej się niczego dowiedzieć. Przynajmniej na razie. Jak to Anglicy mówią: „*No news is good news*”¹⁵. Daj Boże, żeby Krysią wciąż żyła i gdzieś na niego czekała.

Wróciła gospodyni z herbatą i trzema pajdami chleba posmarowanymi prawdziwym smalcem ze skwarkami. Rarytas bardzo trudny do zdobycia w tych czasach.

- Do herbaty cukru nie ma, niestety - powiedziała zażenowana. - Tylko sacharyna. Wy tam w Anglii to pewnie...

¹⁵ Brak wiadomości to dobra wiadomość (ang.)

- Tylko piliśmy herbatę? Nie tylko. Czasem podrywaliśmy angielskie dziewczyny - dodał żartobliwie. - Ale gdzie im tam się równać z Polkami. A propos, udało ci się czegoś dowiedzieć?

- Udało się.

Usiadła na tapczanie i patrzyła na niego z nieodgadnioną miną. Nic nie mówiła, jakby na coś czekała. Julek się zaniepokoił.

- Dobre wiadomości czy złe?

Usłyszeli skrzypienie otwieranych drzwi. Lekcje na tajnych kompletach dobiegły końca. W przedpokoju zabrzmiały głosy młodych ludzi obojga płci. Umawiali się, wymieniali bieżącymi informacjami i żegnali się.

- Wychodzimy pojedynczo albo dwójkami - ktoś przypomniał młodym. - W odstępach.

- Wiemy, panie profesorze, wiemy - odpowiedzieli mu uczniowie.

Parę minut potem gwar ucichł. Przeniósł się na korytarz.

- Sam oceń, dobre czy złe - Irena wróciła do tematu.

- Powiedz.

Milczała. Spojrzała za siebie.

Krysia wyglądała jak zawsze pięknie. Miała na sobie zwiewną, białą sukienkę w czerwone grochy, włosy spięta do góry. Uśmiechała się tak, jak tylko ona potrafiła.

Julek zerwał się z krzesła. Podbiegł i złapał ją w ramiona. Odwzajemniła uścisk.

- Wiedziałam, że wrócisz - szepnęła mu do ucha. - Czekałam. Cały ten czas.

- I już zostanę. - Wypuścił ją z objęć i spojrzał w oczy.

- Na zawsze. Chcesz?

Roześmiała się jak dziecko, któremu kupiono właśnie wymarzoną zabawkę.

- Dobrze, gołąbeczki - wtrąciła się Irena. - Wy tu sobie pogruchajcie, a ja ci, Krysiu, pościelę w drugim pokoju. Rozumiesz - posłała jej wszystko mówiące spojrzenie - babcia jest staroświecka.

- Nie trzeba, Irenko. Zabiorę Julka do siebie. Nie będziemy ci robić kłopotu.

- Ale godzina policyjna... - przypomniała gospodyni z troską.

- Przecież to niedaleko. Nie martw się. Zdamy na pewno.

- U ciebie babci nie ma? - spytał Julek pogodnie.

- Nie ma - odpowiedziała natychmiast - ale niczego sobie nie wyobrażaj.

Pomyślał, że już to kiedyś słyszał. Z ust nie mniej urodziwej kobiety, z którą przyszło mu przemierzać Europę jakiś czas temu.

- Julek - Irena wręczyła mu przygotowany wcześniej chleb. - Żebyś nie mówił, że cię nie nakarmiłam.

Mieszkanie Krysi składało się z jednego pokoju, kuchni i łazienki. Było małe, ale przytulne. Okna wychodziły na wąską, spokojną uliczkę. Darmo by tam szukać drogich, wystawnych mebli. Klasyczny wojenny standard, lecz specyficzną atmosferę tworzyły bibeloty, figurki, dzbanki, różne rzeczy porozstawiane w każdym zakamarku pomieszczenia.

Siedzieli przy herbacie bez cukru. Julek skończył opowiadać o ostatnich dwóch latach. Ogarnęła go nostalgia. Znowu myślał o mamie i Marysi.

- Sam je tam wywoziłem - powiedział, nie patrząc na dziewczynę.

- Wiem, jak ci ciężko. - Wzięła go za rękę. - Ale nie możesz się obwiniać.

- Podobno nasi chłopcy z AK próbowali coś robić...

- Przede wszystkim akcje odwetowe przeciwko UPA. Wsi nie dało się obronić. Problem w tym, że nasi nie wiedzieli, gdzie i kiedy banderowcy uderzą. Najczęściej widzieli tylko skutki i mogli jedynie ścigać zbrodniarzy. I to jak oddział nie był duży.

- Czyli nie ma nadziei...?

- Zawsze trzeba mieć nadzieję. Cuda się zdarzają.

- Usiadła mu na kolanach i objęła za szyję. - Ty mi się zdarzyłeś.

- Myślisz, że to cud?

- Mylę się?

Pocałował ją delikatnie. Potem wtopił się ustami w jej usta. Wstał i uniósł ją jak piórko. Położył na łóżku i wpatrywał się dobrą chwilę.

- Ależ ty jesteś piękna - powiedział wreszcie.

- Mów mi tak często.

Dziewczyna przyciągnęła go do siebie.

Ostatnie dni lipca upłynęły im szybko. Krysia znikwała niekiedy na kilka godzin. Czekał wtedy na nią w mieszkaniu lub spotykali się na mieście i spędzali czas razem, spacerując, rozmawiając i żartując. Zachowywali się, jak na parę zakochanych przystało. Sielankę burzył jedynie widok niemieckich mundurów. Człowiek miał wrażenie, że jeszcze ich przybyło.

- Bałem się, że cię złapią - powiedział Julek, przyciskając ją do siebie. Na idącą ulicą parę nikt nie zwracał uwagi. - Tylu naszych zakatowali.

- To już długo nie potrwa.

- Myślisz? Sowieci się coś nie śpieszą.

- Nie mówię o Sowietach.

- Amerykanie są na drugim końcu Europy.
- Coraz głośniejsze mówi się o powstaniu. Akcja rozbrajania Niemców idzie pełną parą.

Lada moment może zapaść decyzja.

- Powstanie teraz? - ściszył głos.

- Jak Sowieci przyjdą do Warszawy, zastaną legalne władze. Nie będą mogli zaprowadzać swoich porządków.

- A jak nie przyjdą?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Dlaczego mieliby nie przyjść? Poza tym, z Sowietami idzie regularne polskie wojsko.

Julek nie był tak pełen optymizmu. Nieraz rozmawiał z Tonym Pratchettem. Stalin to bezwzględny gracz. Nie cofnie się przed niczym, by dopiąć swego. Julek rozumiał jedną rzecz lepiej niż ktokolwiek w Warszawie: Stalinowi z pewnością nie było na rękę przejęcie miasta przez Armię Krajową. Pytanie tylko co zrobi.

Pierwszy sierpnia 1944 roku cieszył letnią pogodą. Napięcie rosło aż do samej godziny „W”, czyli do siedemnastej. Krysia otrzymała rozkazy. Została łączniczką o pseudonimie „Sarna”. W mieście słychać było pierwsze strzały. Wybuchła powszechna radość. Wreszcie lud Warszawy otwarcie wystąpił z bronią w rękę przeciw znenawidzonemu okupantowi. Od tej pory miało być już tylko lepiej. Tak przynajmniej wszyscy uważali. Jakże sromotnie mieli się za dwa miesiące rozczarować.

- Teraz znowu jesteś żołnierzem Armii Krajowej, Julek. - Krysia podobnie jak inni tryskała radością. - Jak każdy, kto dzisiaj idzie walczyć.

Stali przed domem. Wokół panował ruch. Uzbrojeni młodzi ludzie szli na wyznaczone pozycje. Obok szli również ci bez broni, nie starczyło dla wszystkich. Z okien pozdrawiali ich cywile. Warszawa pachniała wolnością.

- Nie rób nic głupiego - powiedział do niej i przycisnął do siebie. - Kula nie wybiera. Nie ryzykuj niepotrzebnie.

- Jestem łączniczką - uspokoiła go. - Łączniczki nie giną.

- Nie wolno ci. Jak się to wszystko skończy, masz zostać moją żoną.

- Czy to oświadczyły? - spytała filuternie.

- Powstańcze. Na razie. Potem będą prawidłowe, jak się należy.

- Trzymam cię za słowo, Juliuszu Kwiatkowski.

Pocałowała go na pożegnanie i pobiegła wzdłuż ulicy.

Patrzył, jak znika za załomem budynku.

Julek przesunął na tył głowy niemiecki hełm przepasany biało-czerwoną wstążką. Wyglądał ostrożnie znad rumowiska, jedyne tu miejsca, które dawało jako takie schronienie przed kulami hitlerowców. Ulica była szeroka i pusta. Na środku leżały cztery martwe ciała.

Jakieś sto metrów dalej dostrzegł dwóch powstańców. Czaili się za niewielkim nasypem. Jeden z nich przez lornetkę obserwował teren. Nagle z kamienicy naprzeciwko wybiegła młoda dziewczyna w harcerskim mundurze. Gnała pochylona ile sił w nogach w stronę powstańczych żołnierzy. Kiedy była zaledwie kilkanaście metrów od nich, padł pojedynczy strzał. Runęła na twarz niczym rzucony manekin. Szwabski snajper znowu dał o sobie znać.

Powstańców za nasypem było już sześciu. Wiedzieli, że musieli zająć lepsze pozycje, bo w każdej chwili mógł się pojawić niemiecki tygrys i jeśli zostaną tu, gdzie są, nie będzie najmniejszych szans na skuteczną obronę. Strzelec wyborowy, choć mogło być ich dwóch a nawet trzech, trzymał Polaków w szachu.

Kwiatkowski zauważył, że biegnie do niego jeden z powstańców. W połowie drogi, jakby wiedziony szóstym zmysłem skulił się niespodziewanie i snajperska kula nie dosięgła celu. Chwilę potem był przy Julku.

- Porucznik „Hyrny” - przedstawił się pseudonimem. - Batalion „Parasol”. Ty?

- Podchorąży... „Żbik” - wymyślił pseudonim naprędce.

Nie chciał być gorszy. Nie miał konkretnego przydziału i procedura nadawania pseudonimów go ominęła.

- Jaki oddział?

Nie odpowiadał przez moment. Z wiadomych względów zirytowało go to pytanie.

- Żaden - odburknął. - Jestem wolnym strzelcem.

- A jak cię zaraz w mordę strzelę, panie podchorąży...

Kwiatkowskiego bardziej zdumiały, niż oburzyły niespodziewane słowa porucznika. Co on sobie wyobrażał? Dlaczego tak się do niego zwracał, i w ogóle jakim prawem? Odwrócił głowę, by zbesztać bezczelnego oficerka AK, ale zobaczył przed sobą roześmianą gębę... nikogo innego jak Władysława Hanćkowiaka.

- Oby cię... - zdołał z siebie wydusić Julek.

- Julek, cholero, góra z górą się nie zejdzie...

Padli sobie w ramiona. Na szczęście rumowisko było na tyle wysokie, by ich wybuch radości z nieoczekiwanego spotkania nie dał okazji do strzału czyhającemu gdzieś tam

Niemcowi.

- Chciałem was poszukać, chłopaki, ale nie było kiedy.

- Tośmy się znaleźli. Pójdiesz z nami.

- Jasne.

Podbiegł do nich szczuplutki chłopaczek. Mógł mieć czternaście, najwyżej piętnaście lat.

- Panie poruczniku, gołębiarzy jest trzech - zameldował głosem ledwie po mutacji.

- Fatalnie - zafrasował się Władek. - Nie przejdziemy.

- Dzieci na wojnę bierzesz? - oburzył się Julek.

- Nie obrażaj go. Batalion „Parasol” to głównie Szare Szeregi. Bardzo dzielni młodzi chłopcy. Zdziwiłbyś się. Wycofujemy się.

- Czekaj - powstrzymał go Kwiatkowski. - Chłopcze, potrafisz mniej więcej powiedzieć, gdzie się ci gołębiarze zadekowali?

- Chłopcy to u szewca drewniane gwoździe w zębach prostują, proszę pana - oburzył się młody człowiek. - Jestem szeregowy „Orzeł”.

- Dobra, nie gniewaj się, żołnierzu. A tak dla ścisłości, podchorąży „Żbik”.

- Tak jest, panie podchorąży. - Chłopak zmienił natychmiast ton.

- To co, pokażesz?

- Na mojego nosa, to będzie tam, tam i tam - wskazał trzy miejsca w dwóch zniszczonych, stojących naprzeciwko siebie kamienicach.

- Daj mi, Władziu, jakieś pół godziny. Poszukam fryców.

- Za pół godziny to tu może być piekło.

- Może, ale nie musi. Będę się śpieszył. - Julek wręczył porucznikowi swoje zdobyczne parabellum. - Gdybym nie wrócił, przyda się wam.

- Oszalałeś? Na gołębiarzy bez broni chcesz iść?

Podchorąży podniósł rękę. W dłoni błysnęła stalowa klinga noża.

- Jeżeli trzech, to hałas nie jest wskazany - stwierdził i już go nie było.

Hanćkowiak usiadł i oparł się plecami o gruz. Znał Julka i widział go w akcji, ale miał przemożne wrażenie, że tym razem przyjaciel był niespełna rozumu. Odwaga odwagą, lecz zdaje się, że zostały przekroczone granice zwykłej głupoty. Juliusza Kwiatkowskiego długo nie było w kraju. Najwidoczniej nie wiedział, że szkopów nie wolno lekceważyć. Miał sobie za złe, że nie zatrzymał szaleńca. Przecież poszedł na pewną śmierć.

- Panie poruczniku - odezwał się chłopiec - ten pan podchorąży, to prawdziwy bohater.

- Wariat, nie bohater. Żeby ci do łba nie strzeliło brać z niego przykład.

- Jak to, panie poruczniku?

- Tak to. Biegnij do chłopaków. Niech będą gotowi do odwrotu.

- Pan podchorąży mówił, żeby poczekać...

Władek spojrział na zegarek. Zdmuchnął szary kurz ze szkiełka. Mimo niewątpliwych trudów wojennych czasomierz, o dziwo, wciąż działał.

- Wydałem rozkaz. Szoruj.

- Tak jest, panie poruczniku.

Młody człowiek pognał w kierunku pozostałych.

Kwadrans minął szybko. Potem kolejne pięć minut. Obiecał mu pół godziny. Problem w tym, że zaraz mogą się tu pojawić szkopy z ciężkim sprzętem. Jak ich obejdą z flanki, żywa noga nie ujdzie. Musi podjąć decyzję. Jest odpowiedzialny za tych chłopców. Ufają swojemu dowódcy bezgranicznie.

Podniósł się, wychylił głowę ostrożnie i jeszcze raz obejrzał teren przed sobą. Schował się szybko, żeby nie stać się celem dla snajpera. Ale strzał nie padł.

- Było czterech. - Kwiatkowski usiadł obok porucznika i wytarł o rękaw czerwony od krwi nóż. - Jeden na dachu. - Oparł głowę o cegły i przymknął powieki. - Możesz swoimi dzieciakami obsadzać ulicę.

- Jakżeś to zrobił? - Władek patrzył na przyjaciela, nie mogąc wyjść z podziwu.

- Szybko.

- Niech mnie diabli.

- Jakieś rozkazy, poruczniku?

- Dobrze cię mieć w oddziale.

- Też tak sądzę.

Krystyna Szumska vel Sarna przysiadła pod ścianą piwnicy doszczętnie zniszczonego budynku. Wokół było pełno rannych powstańców. Już w pierwszym miesiącu dziewczyna z łączniczki stała się sanitariuszką. Szpital polowy pękał w szwach. Nie spała od blisko dwóch dni i ślaniała się na nogach, ale wciąż była gotowa nieść pomoc rannym w powstaniu żołnierzom.

Położyła głowę na kolanach. Sen przyszedł natychmiast. Obudziło ją szturchnięcie w ramię.

- Krysiu, potrzebuję pomocy. - Major Broch vel Stary patrzył na nią przekrwionymi ze zmęczenia oczami.

- Amputacja.
- Eter? - spytała, wstając.
- Nie ma.

Wiedziała, co to oznacza. Pacjent będzie miał odcinaną kończynę na żywca. Niektórzy wytrzymywali ból z podziwu godną dzielnością, innych musieli trzymać z całych sił. Powstanie bezlitośnie sprawdzało charaktery.

Przy urągającym wszelkim medycznym standardom stole operacyjnym czekała jeszcze jedna sanitariuszka, „Milena”. Ona też wyglądała na skrajnie wyczerpaną opieką nad ofiarami powstania.

Na stole leżała nastoletnia dziewczyna. Trzęsa się na całym ciele. Prawe ramię i prawą nogę miała czarne od płomieni i zmasakrowane odłamkami. Już na pierwszy rzut oka dało się stwierdzić, że bez amputacji się nie obejdzie.

Dziewczyna miała zamknięte oczy, pojękiwała z bólu. Trudno było powiedzieć, czy wiedziała, co ją za chwilę czeka. Krysia pochyliła się nad nią i pogłaskała po głowie. Ranna spojrzała na nią wzrokiem przepelnionym lękiem i smutkiem.

- Jak masz na imię, kochanie - spytała sanitariuszka. - Jestem Krysia.
- Celina - wyszeptała wysuszonymi ustami.
- Ile masz lat?
- Piętnaście.

Krysi serce się ścisnęło z żalu. Taka młoda. Całe życie przed nią, a tu...

- Wszystko będzie dobrze, skarbie - wydusiła z siebie przez ściśnięte gardło. - Musisz tylko być dzielna, jeszcze trochę.

- Obiecujecie pani? - Celina ścisnęła jej dłoń.

- Obiecuję. Jeszcze niejednemu chłopakowi zawrócisz w głowie. Zobacysz. - Krysia zmierzwiła jej włosy pieszczotliwie. - Teraz będziemy musiały cię przytrzymać. Trochę może boleć, ale wiem, że będziesz dzielna, prawda?

Piętnastolatka zacisnęła zęby i skinęła głową. Sanitariuszka „Milena” zajęła się przywiązywaniem Celiny do łóżka. Po chwili ranna była gotowa do operacji. Lekarz jednym ruchem naciął skórę i sięgnął po piłę. Dziewczyna zaczęła krzyczeć na całe gardło. „Sarnie” łzy popłynęły po policzkach, ale nie poluźniła uchwytu.

Pod koniec września '44 powstanie dogorywało. Wyzwoleńcza Armia Czerwona przy wsparciu Wojska Polskiego nie nadeszła. Zrzuty alianckie wylatujące z baz aż we Włoszech, ponieważ Stalin nie wyraził zgody na lądowanie samolotów na zajętych przez siebie terenach,

nie na wiele się zdały. Ludzie w Warszawie ginęli z bronią w ręku lub bez niej. Niemcom było to bez różnicy. Sprowadzone do miasta przez okupanta oddziały ukraińskie rozpoczynały swoje zbrodnicze zniwo.

W kanale, którym się przedzierali, panował smród nie do wytrzymania. Na początku fetor odbierał dech. Z czasem organizm się przyzwyczajał i można było w miarę swobodnie oddychać.

Szli dwójkami, brodząc w gęstych ściekach sięgających kolan. Obok Julka człapał szeregowy „Orzeł”. Od czasu likwidacji gołębiarzy w sierpniu, darzył podchorążego szacunkiem niemalże graniczącym z uwielbieniem, które rosło z każdą przeprowadzoną skutecznie akcją, dorównującą wyczynom osławionego Antka rozpylacza, czyli Antoniego Szczęsnego Godlewskiego. Ale Antek zginął w ósmym dniu powstania, a podchorążego „Żbika” kule zdawały się nie imać. Za to hitlerowcy ginęli z jego rąk jeden po drugim.

Chłopak trzymał się go, kiedy tylko mógł, co wychodziło młodemu człowiekowi na dobre, bo Kwiatkowski pilnował, by nie stało mu się nic złego.

- Panie podchorąży - szeregowy „Orzeł” pociągnął Julka za rękaw - co teraz będzie?

- Z czym?

- No, ze wszystkim. Z powstaniem, z nami.

- Powstanie upadło, ale to jeszcze nie koniec.

- Tak pan myśli?

- Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy. Pamiętasz?

- Tak jest, panie podchorąży - rozchmurzył się chłopak. - Się rozumie.

Juliusz zatrzymał się. Poczul, jak noga utknęła mu w mulistym podłożu. Szarpnął ją, próbując się wyswobodzić. Coś jakby trzymało mu stopę. Idący za nimi ludzie też przystanęli.

- Co jest? - spytał go Władek.

- W coś wdepnąłem, cholera, nogi nie mogę wyciągnąć.

- Oprzyj się na mnie.

Julek złapał się przyjaciela. Podniósł z wysiłkiem nogę. Na powierzchnię wypłynął owalny kształt, w którym uwięziona była stopa Kwiatkowskiego. Nie od razu rozpoznali, co to jest. Świadomość makabrycznego odkrycia poraziła ich. Julka noga tkwiła między żebrami szczuplutkiego, martwego ciała ludzkiego. Musiało to być dziecko w wieku dwunastu, może czternastu lat, niemożliwej do określenia - z powodu zaawansowanego stadium rozkładu - płci.

- Pomóżcie mi, do jasnej cholery - krzyknął na towarzyszy Julek.

Władek jako pierwszy, spośród sporej grupy powstańców przyglądających się

odkryciu, doszedł do siebie. Energicznymi kopnięciami starał się uwolnić nogę przyjaciela. Nie było to wcale łatwe. Dopiero pomoc jeszcze dwóch żołnierzy sprawiła, że ludzkie zwłoki ponownie ukryły się pod powierzchnią wody ściekowej. Cała grupa poszła dalej.

- Szkopy wpuszczali tu gaz - powiedział Władek, patrząc pod nogi. - Młody chyba nie zdążył uciec.

- Skąd wiesz, że tutaj? - Julek stąpał znacznie ostrożniej. Obejrzał się za siebie. Jego kilkunastoletni podopieczny włókł się parę metrów za nimi. Po kolei wyprzedzali go inni powstańcy. Dało się zauważyć, że wciąż nie ochłonął po incydencie z trupem. - „Orzeł”, nie marudź.

- Tak jest, panie podchorąży - powiedział chłopak bez cienia zwykłego entuzjazmu.

- Wiem, że tutaj, bo chłopaki mówili - oznajmił porucznik „Hyrny”. - Jakiś czas temu i jeszcze całkiem niedawno. Dlatego tędy idziemy. Szkopy nie wpadną, że ktoś znowu idzie.

- Miejmy nadzieję, Władziu. Ale fryce głupie nie są.

- Niedługo się przekonamy.

Szli w milczeniu zwartą grupą, z wciąż ociągającym się szeregowym „Orłem” w tyle, a Julkiem i Władkiem na przodzie. Po jakimś czasie w korytarzu przed nimi ukazał się snop dziennego światła dochodzący z sufitu. Przystanęli. Władek uniesioną ręką zatrzymał pozostałych. Wymienili spojrzenia. Zagrożenie było jak najbardziej realne. Nie wiadomo, dlaczego kłapa włazu została usunięta. Mógł to równie dobrze być przypadek, ale jako bardziej prawdopodobne należało brać pod uwagę celowe działanie Niemców.

- Myślisz, że coś szykują? - spytał Hanćkowiak półszepem.

- Poczekajcie tu.

Julek ruszył przed siebie. Starał się stąpać najciszej, jak można. Przykleił się plecami do ściany zaraz przy włączu. Podłoże było śliskie i musiał bardzo uważać. Ewentualny upadek i hałas, jaki by wywołał, miałyby z pewnością nieobliczalne skutki.

Z góry dochodziły ożywione rozmowy prowadzone po niemiecku. Słyszał salwy śmiechu, dowcipkowanie. Szwabym zachowywały się nadzwyczaj swobodnie. Pomyślał, że to dobry znak. Nasłuchiwał jeszcze przez jakiś czas. Nie wyłapał niczego alarmującego.

Wrócił do czekających na niego powstańców.

- Nie jest źle. Fryce chyba niczego nie szykują. Szwargoczą i śmieją się, juchy.

- Przeskoczmy? - dopytał się porucznik.

- Powinniśmy.

- Dobra. - Odwrócił się do swoich ludzi. Patrzyli na niego brudni i wycieńczeni. Cienie ludzi, ale wciąż gotowi na rozkaz. - Do włączu idziemy na paluszkach, jak któryś albo

któraś - spojrział wymownie na dwie idące z nimi dziewczyny - narobi hałasu, zginiemy wszyscy. Zrozumiano?

- Tak jest, panie poruczniku - odezwało się kilka głosów.

- Potem przeskakujemy pojedynczo w odstępach minutowych. Za mną.

Podchorąży przeszedł pierwszy. Mignął w świetle dziennym jak duch. Nawet gdyby ktoś specjalnie zajrzał do kanału, mógłby pomyśleć, że poruszająca się szybko postać to tylko złudzenie optyczne.

Julek odczekał przy ścianie po drugiej stronie wjazdu. Na górze gwar nie zelżał. Wyglądało na to, że nikt się ich tu nie spodziewa.

Przechodzili jak najciszej, jeden po drugim. Władek pilnował odstępów czasowych. Wszystko szło powoli, ale sprawnie. Siedem osób było już po drugiej stronie. Zostały jeszcze cztery, w tym najmłodszy powstaniec, plus dowódca, Julek zachęcił chłopca ruchem ramienia.

- Leć, „Orzeł” - szepnął mu do ucha porucznik. - już czas. Chłopak pochylił głowę i trzymając się ściany, ruszył przed siebie. Zupełnie odruchowo zerknął w górę. Zobaczył nad sobą Niemca w czarnym mundurze. Mężczyzna, jakby wiedziony instynktem, spuścił wzrok. Na ułamek sekundy ich spojrzenia spotkały się.

- *Halt!* - wrzasnął hitlerowiec na całe gardło. - *Banditen!* Chłopiec pośliznął się i upadł na kolana. Julek obejrzał się za siebie. Dzieliło go od dzieciaka dobrych kilka metrów.

- Skaczemy! - Porucznik wykrzyknął rozkaz.

Wąskie przejście wykluczało przecięnięcie się całej czwórki naraz. Pierwszy z powstańców wystrzelił jak z procy. W biegu chwycił młodzika za kołnierz, chcąc go pociągnąć za sobą w głąb korytarza. Seria z pistoletu maszynowego rozplątała mu głowę. Upadł na twarz w kanałową maź. Chłopak tymczasem podniósł się z kolan, ale do wjazdu Niemcy wrzucili granat, który wpadł dzieciakowi prosto pod nogi. Dla dowódcy i najbliższych znajdujących się powstańców, w tym Juliusza Kwiatkowskiego, nie było ratunku.

Szeregowy „Orzeł” wahał się tylko ułamek sekundy. Podniósł granat, przyłożył mocno do brzucha i skulił się, przykrywając go całym swoim wątłym ciałem. Wybuch rozerwał go na strzępy, ale odłamki nie zagroziły już innym żołnierzom. Władek i jego ludzie nie czekali. Mieli sekundę, może dwie, zanim Niemcy ponownie zajrzą do wjazdu. Dogonili biegnącego kanałowym korytarzem Julka. Zwolnili dopiero po dobrych kilkudziesięciu metrach. Korytarze rozwidlały się, prowadziły pod budynkami. Hitlerowcy nie mogli już ich dostać. Jedynym zagrożeniem był gaz, którego wcale nie musieli mieć pod ręką.

- Chciałem, żeby gówniarz przeżył powstanie - wycedził Kwiatkowski przez

zaciśnięte zęby. - Naprawdę chciałem.

- Wiem, bracie. - Hanćkowiak położył mu dłoń na ramieniu. - Wszyscy chcieliśmy.

- Czternaście lat. Dzieciuch.

- Ten dzieciuch to bohater. Dupy nam uratował.

- Kurewski świat.

ROZDZIAŁ 22

- Po cóż ci ta Warszawa? - starsza kobieta, Helena Szawłowa, ze złożonymi jak do modlitwy rękami patrzyła na Marysię pakującą plecak. - Toż to tam kamień na kamieniu nie został. Tak *mówio*.

Przez prawie półtora roku, na prośbę oficera lokalnej organizacji AK rodzina Szawłowych opiekowała się uchodźczynią z rzezi wołyńskiej. Z czasem wraz z mężem zaczęli traktować ją jak kolejną córkę, swoich mieli trzy. Wszyscy w rodzinie przywiązali się do Marysi. Siostry szczególnie uwielbiały, jak Marysia - nierzadko godzinami - opowiadała im o warszawskim życiu. Brzmiało to dla kresowych, wiejskich dziewcząt niemalże jak „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”.

- *Marysju* - włączył się Roch Szawłow - moja stara racje ma. Toż u nas ci będzie jak u Pana Boga za piecem. Zostańże z nami. Ty dla nas jak córka, *przeci*.

Maria zaciągnęła sznurki w plecaku. Wyprostowała się.

- Pani Helu, panie Rochu, chciałam wam serdecznie podziękować za wszystko. Byliście dla mnie jak matka i ojciec. Nigdy wam tego nie zapomnę.

- Dziecko ty moje. - Helena Szawłowa wzięła ją w ramiona. - Toś ty widzę już zdecydowała.

- Mówiłam już, pani Helu. Dostałam wiadomość.

- Jakoż to wiadomość? - Roch Szawłow nie został jeszcze wtajemniczony. Dopiero co z pola wrócił. - Cóżesz to się dowiedziała, gołąbeczko?

- Moja przyjaciółka jeszcze z liceum, Krysia, narzeczona mojego brata urodziła mi córeczkę. Cudem powstanie przeżyły.

- Achże, ty do brata *jedzisz*?

- Julek walczył w powstaniu. Mówią, że też przeżył. Na razie nie wiadomo, gdzie jest, ale na pewno niedługo się znajdzie. Teraz do Krysi jadę. Trzeba jej przecież pomóc, dopóki Julka nie ma.

Helena Szawłowa postawiła przed dziewczyną pękaty koszyk z prowiantem.

- Żeby ty głodna w drodze nie była.

- Pani Helu, tyle to dla pułku wojska by starczyło.

- Ty nie mów nic. Tam w *Warszawi* też pewni jedzenia brakuje. - Poparł żonę Roch. - Bierz, nie dziwacz.

- Jak ja się wam odwdzięczę? Tyle serca mi okazaliście. - Oczy jej się zaszklily. - Jak nikt.

- Nie trzeba płakać. - Szawłów przycisnął ją do piersi.

- No to co, usiądźmy przed drogą.

Całą rodziną wraz z Marią Kwiatkowską spoczęli na drewnianych stołkach i łóżku. Następnie wszyscy odprowadzili ją do furtki. Jeszcze jedno serdeczne pożegnanie i dziewczyna ruszyła w drogę, jak sobie w duchu powtarzała: „w drogę do domu”. Wreszcie.

Do miasta szło się przez las. Znała drogę doskonale. Nieraz ją przemierzała z kimś od Szawłowów albo sama. Po drodze spotykało się ludzi z okolicznych wsi. Przystawało się i zamieniało parę słów, słuchało wieści i plotek, kto z kim się żeni, komu krowa przestała mleko dawać, a kto na wojnę poszedł i napisał, że żyje i niedługo wraca.

Tego dnia droga była pusta. Marii to nie przeszkadzało. Zatopiona w rozmyślaniach o tym, jak teraz będzie, jak się wszyscy odnajdą. Tylko brak mamy kłuł boleśnie w serce. Ale może ciocia Anielcia przeżyła wojnę i też się odnajdzie. Wróci Julek i wszystko się ułoży.

Przepelniał ją optymizm. Miała po temu powody. Wojna się kończyła. Hitlerowskie Niemcy miały już przetrącony kręgosłup. Nie podniosą się. Kapitulacja była wyłącznie kwestią czasu. Teraz powróci normalność. Ludzie będą pracować, zakładać rodziny i spokojnie żyć. Łapanki, rozstrzeliwania i gestapowskie katowania odejdą w przeszłość.

Na drodze z przeciwka zbliżały się dwa wojskowe samochody. Na przedzie jechał łaźnik z żołnierzami, a zaraz za nim ciężarówka. Obecność wojsk radzieckich nie była na tych terenach niczym nadzwyczajnym. Mieszkańcy tutejszych wsi, w ogromnej większości Polacy, nie przywiązywali zbytnio do tego wagi. Takie są prawa wojny, że zwycięzcy lub wyzwolicieli, jak Rosjanie woleli siebie nazywać, przebywali na obszarach jeszcze do niedawna objętych działaniami wojennymi. Z biegiem czasu powinni się wycofać.

Łażnik zatrzymał się przy Marysi. Wskoczyło z niego trzech żołnierzy z pepeszami, którzy zaraz ją otoczyli. Była bardziej zdumiona niż wystraszona. Cóż Armia Czerwona mogła od niej chcieć, Bogu ducha winnej, miejscowej wieśniaczki?

- Ty kto? - zagrmiał oficer na siedzeniu pasażera.

- Ja?

- *Atwietiaj! Bystra!* - Jestem tam ze wsi, - Spojrzała odruchowo za siebie.

- Mieszkam u Szawłowów. Idę do miasta teraz.

- *Szpion.* - Oficer pogardliwie wyduł wargi.

Skinieniem głowy dał znak żołnierzom. Ci bez słowa pochwycili dziewczynę i pociągnęli w stronę ciężarówki.

- Panowie, o co chodzi? - Próbowała się bronić. - Nic nie zrobiłam. To jakieś nieporozumienie.

- Zamknij się, polska swołocz - warknął do niej Sowiet - bo cię pepeszą pociągnę.

W tym momencie Marysię opanował paniczny strach. Nie rozumiała, co się dzieje i za co została zatrzymana.

Plandeka na tyle samochodu odsłoniła się. Zobaczyła trzech uzbrojonych Sowietów, a zaraz za nimi ściśniętą na ciasnej przestrzeni grupę ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci w różnym wieku. Natychmiast rozpoznała kilka twarzy mieszkańców sąsiednich wiosek.

- Panowie żołnierze - jeszcze raz spróbowała łagodnej perswazji - puśćcie mnie. Ja niewinna. *Praszu was* - dodała po rosyjsku z nadzieją.

Kłapa paki opadła.

- Właż, bo jak cię... - żołdak zamierzył się na nią kolbą karabinu.

Dziewczyna została wciągnięta na samochód i brutalnie pchnięta w cizbę ludzką. Przewróciłaby się niechybnie, gdyby nie ilość upchanych tu polskich wieśniaków.

- O co tu chodzi? - Marysia spytała kobiecinę w chustce na głowie. - Czego od nas chcą.

Wieśniaczka tylko westchnęła. Ścisnęła mocniej tobolek, który trzymała na kolanach. Odezwał się mężczyzna stojący obok:

- Na Sybir nas wiozą, panienko. Słyszałem, jak gadali. Wszystkich Polaków z okolicy na Sybir wywożą. To jakaś zorganizowana akcja. Wywożą, jak kiedyś hitlerowcy.

- Jak to? - Nie mogła uwierzyć. - Jakim prawem?

- Dla nich tylko Stalin jest prawem. - Popatrzył z pogardą na pilnujących ich żołnierzy. - To było. Zrobią najgorsze draństwo, jeśli im Stalin każe.

- Zamknąć mordy! - wrzasnął na nich żołnierz. - Bo zaraz sam wam pozamykam. - Potrzęsnał pepeszą.

Na stację kolejową dojechali po kilku godzinach. Strażnicy odrzucili na dach plandekę. Pociąg już stał. Wszędzie było pełno rosyjskich żołnierzy i tłum cywilów. Wojsko wpychało ich do bydłych wagonów, które następnie zamykano na ciężkie kłódki. Zewsząd dochodził płacz dzieci, jęki bitych ludzi i wrzaski czerwonarmistów. Wszędzie wałały się podręczne tobołki, walizki i inne porzucone rzeczy. Polacy nie zdołali zabrać ich ze sobą do wagonu lub im to po prostu uniemożliwiono. Marysia struchlała. Kłapa ciężarówki została opuszczona. Nadeszła ich kolej.

*

Syberia, rejon Chabarowska, Związek Radziecki

Przejmujące, momentami wręcz paraliżujące zimno wgryzało się boleśnie w ciało.

Każde dłuższe wieczorne wyjście z w miarę ciepłego, bo ogrzewanego prowizorycznym kominkiem baraku, mogło się skończyć odmrożeniem palców, a nawet zamrożeniem, jeśli człowieka nie znajdą na czas.

Marysię Kwiatkowską zakwaterowano w baraku, który od dobrych już paru lat zajmowała rodzina Czekalskich ze wsi pod miastem Sambor w okolicach Lwowa. Jan Czekalski był kowalem, co znacznie podnosiło jego status w osadzie. Jego żona Anastazja oraz dwie nastoletnie córki Hania i Różia zatrudnione były przy wyrębie i spławie drewna. Maria miała nazajutrz do nich dołączyć. Syn Czekalskich, wyrostek Bolek, siedział przed paleniskiem i szykował sobie wędkę.

- Jak tu jest? - spytała Marysia krzątającą się po izbie Anastazję.

Kobieta stanęła nad dziewczyną siedzącą przy prymitywnym, drewnianym stole. Położyła jej na głowie rękę. Różia i Hania w kącie izby rozprawiły o czymś ściszonymi głosami. Jan Czekalski ostrzył nóż.

- Przyzwyczaisz się. Nie jest aż tak źle. Komendant też na co dzień w miarę ludzki człowiek, chyba że się upije. Wtedy trzeba się trzymać z daleka. Jeszcze nim przyjechałaś, po pijanemu dwóch kitajców zastrzelił.

- Chińczyków? - zdziwiła się Kwiatkowska. - To Chińczyków też tu trzymają?

- Nie, Czukezów. Gdzieś z północy są.

- Myślałam, że...

- Do Chin bardzo blisko mamy. Boluś kiedyś poszedł na południe. Dwa tygodnie nie wracał. Baliśmy się, że w tajdze się zgubił i zginął chłopczyna. A on wrócił potem w nowym ubraniu i z rowerem jeszcze. - Popatrzyła na syna z rozrzewnieniem. - Myśmy już za nim płakali. A jego Chińczycy do roboty wzięli i uczciwie zapłacili.

- Ale jak to poszedł? - zdziwiła Maria. - Przecież tu Sybir, katorga. Puścili go? U nas straszne rzeczy o zesłaniu opowiadają. Mury, strażnicy, znęcanie się nad zesłańcami, głód...

- To wszystko prawda, moja droga. Tak jest w łagrach. Głównie dla przestępców, zwykłych i politycznych. Na Syberii takich łagrów jest pełno.

- A tu?

- Tu jest obóz rodzinny. Tak jakby repatriacyjny. Nas tu przymusowo przesiedlono.

- Co to za różnica? Przesiedlenie czy zesłanie, zawsze Sybir. Więzienie.

- Ogromna, moje dziecko. Prawda, że uciec nie możemy, ale nie ma zdegenerowanych strażników. Nie ma zasieków. Mamy co jeść. Tylko pracować trzeba ciężko.

- Nie ma strażników, to dlaczego nikt nie ucieka?

- Gdzie, jak? W lecie wokół bagna. W zimie człowiek na dworze zamrznie jak nic.

Zresztą byli tacy dwaj. Białorusini. Jeden zamarzył. Drugiego złapali. Wzięli chłopaka do łagru. Żywy stamtąd nie wyjdzie. My tu naprawdę nie trafiliśmy źle.

- W osadzie sami Polacy?

- Gdzież tam. Ukraińcy, Białorusini, Japończycy i Niemcy. Są jeszcze dwie polskie rodziny.

- Japończycy i Niemcy? - zdumiała się Maria. - I wy tak tu obok siebie żyjecie?

- W zgodzie żyjemy, kochana. Nikt tu nikomu nic nie ukradł. Ani chleba, ani narzędzi. Zresztą Jan jest kowalem. Tutaj to bardzo przydatny fach. Wszyscy go szanują. Nawet komendant.

- Dzieciaki, jak Bolek, też przy wyrębie pracują?

- Dla dzieciaków za ciężko. W lecie przy pomidorach robią, a w zimie ziemniaki sortują, gałęzie palą. Boluś na ryby chodzi, do tajgi wnyki zastawić.

- Nie wiedziałam, że na Sybirze są i takie obozy.

- Syberia to wielka kraina. Stalin chce ją zagospodarować. Samymi wrogami ludu się nie da. Zwykli ludzie też są tu potrzebni.

- Do Polski nie tęsknicie?

- Strasznie tęsknimy. - Anastazja Czekalska posmutniała. Chlipnęła. Wytarła nos w brudny fartuch. - Może kiedyś Bozia da wrócić. Ważne, że razem jesteśmy. Cała familia w kupie.

Następnego dnia wszyscy mieszkańcy wsi zostali poprowadzeni przez komendanta do tajgi nad rzekę. Byli tam już ludzie z sąsiednich osad. Marysia od razu zauważyła, że zesłańcy lub, jak to Anastazja określała „repatrianci”, znali się bardzo dobrze. Wspólna praca zbliżała.

Piły i siekiery poszły w ruch. Młode dziewczyny, Różia i Hania, przecinały grube pnie na pół z zadziwiającą dla Marysi wprawą. Drzewo następnie toczyło się z niewielkiego wzniesienia wprost do rzeki. Kobiety i mężczyźni uciekali z drogi ile sił. W przeszłości w podobnych sytuacjach niejeden pracownik stawał się kaleką lub tracił życie.

Stamtąd drewno związane w tratwy płynęło gdzieś daleko, ale nikt nie wiedział gdzie. Radziecki przemysł drzewny miał stały dopływ surowca zapewniany niewolniczą pracą ludzi, z których Józef Wissarionowicz Stalin postanowił stworzyć trybiki w coraz szybciej pędzącej na oślep maszynie zwanej realnym socjalizmem.

Marysia już w ciągu pierwszych dwóch godzin przekonała się, że praca przy wyrębie była isticie katorżnicza.

Nie dawała sobie rady z piłą, czym irytowała nieznaną Rosjankę w średnim wieku, z którą przyszło jej ciąć wielometrowej długości pień. Zniecierpliwiona kobieta w pewnym

momencie pociągnęła do siebie piłę tak nieszczęśliwie, że zęby przejechały Marysi po palcach. Dziewczyna wrzasnęła z bólu. Z rany popłynęła krew.

- Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery?! - krzyknęła wściekła Rosjanka.

Marysia przykucnęła. Gorączkowo starała się zatamować czerwoną stróżkę kapiącą na bielusieńki śnieg.

- Pokaż - usłyszała nad sobą kojący głos Anastazji Czekalskiej, która na szczęście pracowała nieopodal. Przyjrzała się jej palcom. - Trzeba czymś przewiązać. - Chodź.

- Jak chodź? - Ciskała się współpracownica Marysi.

- Kto będzie robił?

- Czego się rzucasz? - huknęła na nią Anastazja. - Nie widzisz, że mało jej palców nie ucięłaś? Zaraz do ciebie przyjdę.

Rosjanka gniewnie wyrzuciła ramiona w górę.

- Nic mi nie jest - powiedział Marysia przez zaciśnięte zęby. Nie chciała okazywać słabości. - Mogę pracować.

Czekalska owinęła jej ranę chusteczką.

- Miałaś szczęście. Poszło po wierzchu.

- Dziękuję, pani Anastazjo. Muszę wracać.

- Od piły się trzymaj z daleka - zaprotestowała Czekalska. - Idź do gałęzi. Bolek ci pokaże jak zbierać i układać.

Bolka zastała przy ognisku. Trzymał nad płomieniem nadziany na kij kawał ciemnego chleba. Zwyczajna procedura. Jedzenie tutaj zamarzało w mgnieniu oka. Za każdym razem niezbędne było odmrażanie.

- Mam ci pomóc, Boluś. - Podeszła do chłopaka i stanęła obok.

- Chce pani kawałek chleba? Podpieczony. Smakuje jak świeżutki.

*

Wraz z zapadnięciem zmroku kończył się dzień pracy. Zmęczeni do granic możliwości zesłańcy resztką sił gramolili się po schodkach do baraków. Tam czekało przyjemne ciepło, kubek gorącej herbaty i posiłek przywracający utracone podczas morderczej harówki siły. Jedyne o czym teraz wszyscy myśleli to odpoczynek. Nawet pełne energii nastolatki Różia i Hania nie miały specjalnej ochoty na udzielanie się towarzysko.

Kiedy Czekalscy i Marysia pili herbatę, którą Anastazja naprędce przygotowała, do baraku weszła młoda kobieta. Otrzeпаła śnieg z grubego kozucha i stuknęła parę razy butami na progu. Biały puch szybko zamienił się w wodę.

- *Priwiet*, Czekalscy - pozdrowiła ich po rosyjsku. - Jak tam u was?

O dziwo, Polacy, słysząc język uciskającego ich mocarstwa, wcale się nie irytowali. Wręcz przeciwnie, wyraźnie ucieszyli się na widok Rosjanki.

- Roksana! - Młode Czekalskie podbiegły do dwudziestoparoletniej kobiety. Jej pogodna, okrągła buzia i szczere spojrzenie emanowały specyficznym ciepłem. - Masz?

Roksana zrobiła tajemniczą minę.

- A jak myślicie, żeńszczyzny?

- Masz - ucieszyły się Różia i Hania.

Rosjanka przesunęła na przód przewieszoną przez ramię czarną, skórzaną torbę jak u listonosza. Pogrzebała w niej chwilę i wyjęła papierowe zawiniątko. Nastolatki aż zapiszczały z radości, gdy je odwinęły. Natychmiast przymierzyły bransoletki i naszyjniki bardzo gustownie wykonane z naturalnych materiałów i kamieni. Pobiegły do lustra i przeglądały się z zachwytem.

- Obiecane, dostarczone - krzyknęła do nich przez izbę Roksana.

- Te nasze kozy - Anastazja popatrzyła na córki pobłażliwym, pełnym miłości wzrokiem. - Próżne jak paw.

- Jeszcze trochę, pani Anastazjo i od kawalerów nie będziecie się mogli opędzić.

- Tylko gdzie tu kawalerów szukać na tym pustkowiu?

- Kiedyś przecież pozwolą wam wrócić do Polski. Nie będziecie tu wiecznie.

- Wierzysz w to, kochanieńka?

- Zobaczysz pani i wspomni moje słowa.

- Obyś miała rację, Roksano - wtrącił się Czekalski. - Chodź, usiądź. Napij się z nami herbaty.

Rosjanka dostrzegła nową twarz, ciekawie się jej przyglądającą.

- My się jeszcze nie znamy - wyciągnęła do Marii zmarzniętą rękę. - Jestem Roksana Kuzniecowa.

- Maria Kwiatkowska. Miło mi.

- Jestem tutaj nauczycielką. Prawda, Boleś? - zwróciła się do chłopaka, który przyjął jej obecność z mieszanymi uczuciami. - Coś cię dzisiaj nie widziałam rano na lekcjach.

- Robotę miałem. - Bolek energicznie strugał scyzorykiem kawałek drewna.

- dzielnie nam pomagał - wzięła go w obronę matka. - Cały dzień.

- Domyśliłam się. Ale jutro go przyslijcie do szkoły.

Czas spędzony przy herbacie w towarzystwie młodej nauczycielki płynął szybko. Kobieta zarażała radosnym usposobieniem i pogodą ducha. Do Marysi dotarło z całą mocą, że Rosjanie bywają diametralnie różni. Miała tu przed sobą tego przykład.

Roksana Kuzniecowa pożegnała się godzinę później. A Czekalscy wraz Marysią ułożyli się do snu. Zanim Maria zasnęła, długo myślała o tej sympatycznej Rosjance i o swoim tutaj położeniu. Kołatały się jej też po głowie słowa nauczycielki, że kiedyś przecież powrócą do Polski. Chwyciła się ich kurczowo. Innej nadziei przecież nie miała.

Następnego ranka Anastazja od razu postarała się, by młodą Polkę przydzielono do lżejszej pracy, przy karczowaniu i składaniu gałęzi. Bolek poszedł do szkoły, więc ktoś to musiał robić.

I tak kolejny dzień w tajdze minął szybko. Komendant z jakiegoś tylko sobie wiadomego powodu pozwolił im wcześniej skończyć. Wrócili do osady jeszcze za dnia.

Po powrocie wśród baraków zastali niezwykły ruch. Na placu stały sanie Roksany Kuzniecowej. Ludzie tłoczyli się wokół i pokrzykiwali. Komendant i dwóch radzieckich urzędników, których Czekalski poznał przy okazji robót kowalskich w sąsiedniej wsi, kazali się ludziom odsunąć. Mimo to mieszkańcy osady zaglądali do sań. Kobiety łapały się za głowę.

Na spotkanie wracającym z pracy rodzicom i siostram wybiegł Bolek. Był czymś mocno podekscytowany.

- Co tu się dzieje? - spytał ojciec chłopaka.

- Tato, ty wiesz, co się stało? - Bolek machnął ręką.

- Co się stało, synuś? - indagowała Anastazja.

- Pani nauczycielka dzisiaj rano do szkoły nie przyszła. Komendant pojechał spytać, co się dzieje. - Młodziak obejrzał się za siebie.

- I co, dopiero teraz przyjechała?

- Wczoraj do swojej wsi nie wróciła. Sanie znaleźli, jak w tajdze byliście.

- Zgubiła się?

- W nocy jak wracała, wilki ją napadły.

- Rany boskie!

Anastazja pobiegła w stronę sań. Córki pognały za nią. Czekalska przepchała się między ludźmi i zerknęła do środka. Kiedy nadbiegły Rózia i Hania, natychmiast je odciągnęła.

- Mama, co tam jest? - Rózia próbowała zbliżyć się do sań.

Podszedł do nich stary, brodaty Ukrainiec, Jurij Martynowicz. Kręcił głową, wciąż nie wierząc w to, co widział na własne oczy.

- Nic z niej nie zostało. - Splunął pod nogi. - Cud, że twarzy bestie nie wyżarły. Taka kochana dziewczyna. Tyle razy jeździła tą drogą.

Młode Czekalskie jak na komendę zakryły rękami usta. Patrzyły okrągłymi oczami na Martynowicza. Przecież jeszcze wczoraj rozmawiały z Roksaną Kuzniecowa. Śmiały się razem. Jak to? Kto teraz będzie ich podtrzymywał na duchu?

*

Warszawa, Polska

Krysia Szumska przysiadła na mocno sfatygowanym stołku. Mieszkanie wreszcie wyglądało całkiem przyzwoicie jak na warszawskie warunki. Znalazła, a właściwie życzliwi ludzie, których do Warszawy po kapitulacji Niemiec wracało coraz więcej, znaleźli jej lokum w kamienicy, która cudem przetrwała pożogę popowstańczą.

Z dużą pomocą sąsiadów udało się jej pozbyć gruzu, skompletować prymitywne meble, wśród nich bodaj najważniejszy - kołyskę dla nowo narodzonej Zosieńki. Niemowlę spało w kącie pokoju, dzięki czemu Krysia mogła jakoś ogarnąć mieszkanie. Wreszcie zaczęło przypominać prawdziwy dom.

Była zmęczona niedawnym porodem i ciężkimi warunkami panującymi w stolicy, gdzie o wszystko trzeba było walczyć niemal jak za okupacji. W żaden sposób nie dałaby sobie rady, gdyby nie współmieszkańcy. Gotowane przez dozorczynię zupy dla wszystkich lokatorów były jak zbawienie. Ludzie pomagali sobie, jak mogli i nikt nie oczekiwał żadnej zapłaty czy zadośćuczynienia.

Zosia zakwiliła. Krysia podbiegła do kołyski. Dzieciątko na widok matki natychmiast się uspokoiło. Patrzyło na nią swoimi niebieskimi ślepkami z ufnością i spokojem. Maleńka należała już do powojennego pokolenia dzieci urodzonych na gruzach stolicy. Powoli do Warszawy powracało normalne życie.

Kobieta wzięła córeczkę na ręce, mocno ją ucałowała i przytuliła. Dziewczyneczce bardzo się to spodobało, w grymasie przypominającym uśmiech pokazała bezzębne dziąsółka.

- Mój ty skarbie - mówiła do niemowlęcia czule. - Ale się tatuś ucieszy, kiedy wróci i cię zobaczy. Będzie skakał do sufitu z radości. - Podniosła małą na wyciągnięcie ramion. - O tak wysoko będzie skakał.

Dziewczynka zrobiła niepewną minkę. Ale mama zaraz przytuliła ją do piersi. Niepewność natychmiast zniknęła.

Krysia zamyśliła się. Tatuś, czyli Juliusz Kwiatkowski musi przecież wrócić. Ma do kogo, chociaż jeszcze o tym nie wie. Zostawiła wszędzie kartki z nowym adresem. Powiadomiła kogo się dało, żeby w razie spotkania z Julkiem, kierowano go do niej. Przecież czeka na niego, już nie sama, ale z ich wspianą córeczką. Julek musi wrócić, i to na pewno

niedługo. Nie dopuszczała innej myśli.

Z zadumy wyrwało ją głośnie pukanie do drzwi. Wciąż jeszcze nie mogła się przestawić na normalność. Przecież dźwięk ten przestał oznaczać potencjalne zagrożenie. Nie było już gestapowców, którzy wpadali do domów i bezpardonowo wyciągali ludzi na ulicę. A tam czekał na nich samochód, którym aresztowani zabierani byli na nieludzkie przesłuchania. Nie musiała już się bać ani o siebie, ani tym bardziej o maleńką, niczego nieświadomą Zosię. Postanowiła, że gdy przyjdzie czas urzędowo zarejestrować dziecko, mała będzie nosiła nazwisko ojca. Świątce wierzyła, że jego nieobecność nie potrwa długo.

Otworzyła. Na progu stała sąsiadka z góry, Teresa Czajka, starsza kobieta. Razem z mężem byli teraz dla Krysi jak rodzice, których straciła jeszcze na początku wojny. Szczególnie pani Teresa otoczyła ją nad wyraz troskliwą opieką i traktowała jak własną córkę.

- Jak się czujesz, kochanieńka? - spytała pogodnie. - Przyniosłam chleb i prawdziwy smalec ze skwarkami. Musisz się teraz dobrze odżywiać.

- Pani Teresko, jak ja się pani odwdzięczę?

Wpuściła kobietę do środka.

- Gdzie położyć? - Kobięcina rozejrzała się po izbie wyposażonej jedynie w podstawowe meble.

- Wezmę, bardzo dziękuję.

Krysia zaniósła „skarby” do świeżo uprzątniętej kuchni. Czajkowa tymczasem pochyliła się nad niemowlęciem.

- A kto to nie śpi? - zwróciła się do maluszka pieszczotliwie. - Przyszła babcia do Zosieńki. Tak, babcia. Jakaś ty grzeczna, słoneczko ty nasze.

Krysia stanęła obok.

- Prawdziwy aniołek - powiedziała. - Jakby zdawała sobie sprawę, że jest nam teraz ciężko i nie chce przysparzać dodatkowych zmartwień.

- Niechby sobie nawet pokrzyczała. Ma prawo. Najważniejsze, żeby zdrowa była. Bo jak zdrowie jest, to wszystko jest.

- Pani usiądzie, pani Teresko. Poczęstowałabym czymś, ale...

- Daj spokój, dziecko. Odpocznij sobie trochę, a potem z małą przyjdźcie do nas na górę. Mój stary się ucieszy. A teraz lecę, bo mleko mają wozić. Do zobaczenia, kochanieńka.

- Nie usiądzie pani nawet na chwilę?

- Posiedzimy potem. Nakarm Zosieńkę i... - pukanie do drzwi było głośnie, wręcz natarczywe. - O, gości masz.

W Krystynie wezbrała nadzieja. Czyżby wreszcie...? Czekwała na Julka tyle czasu... Słyszała, że przeżył powstanie. Pobiegła do drzwi. Otworzyła, ale w korytarzu nie stał Juliusz Kwiatkowski. Mężczyzna w ciemnym prochowcu i kapeluszu na głowie miał pociągłą, surową twarz. Był w towarzystwie dwóch żołnierzy uzbrojonych w pepesze. Bezceremonialnie wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie rozczarowanej Krysi.

- Krystyna Szumska? - zwrócił się do niej służbowym tonem.

- Tak. O co chodzi?

- Działała pani w strukturach Armii Krajowej w czasie wojny. Tak?

- Ale o co chodzi?

- Zaraz powiem. Najpierw muszę uściślić pewne fakty. Proszę odpowiedzieć.

- Byłam w ruchu oporu.

- Pseudonim?

- „Sarna”. Ale...

- Proszę się zbierać. Pójdzie pani z nami.

- Dokąd? Ja nie mogę. Mam małe dziecko.

- Panowie - włączyła się sąsiadka. - Ta pani nie może iść. Przecież...

- Kim pani jest? - zwrócił się do Czajkowej.

- Jestem sąsiadką z góry. Pomagam Krysi...

- Nazwisko?

- Teresa Czajka.

- Chyba nie chce pani odpowiadać za utrudnianie pracy funkcjonariuszom Urzędu Bezpieczeństwa?

Czajkowa zaniemówiła. Chodziły słuchy, że Urząd Bezpieczeństwa to takie polskie NKWD. Nikt nie chciał zawierać z tymi organami bliższej znajomości.

- Nie. Chciałam tylko powiedzieć...

- To nieistotne. Zajmie się pani dzieckiem Krystyny Szumskiej pod jej nieobecność. A pani - spojrzał na Krysię i zmarszczył brwi - proszę z nami.

- Nie bój się, kochanieńka - uspokoiła ją Czajkowa. - Zajmiemy się Zosią. Pewnie jeszcze dzisiaj wrócisz. Nic się nie bój.

- Dokąd mnie zabieracie?

- Musimy zadać pani parę pytań. Jak będzie pani współpracować, to tak jak sąsiadka mówi, jeszcze dzisiaj wróci pani do domu.

Słowo współpracować źle się kojarzyło. Ale przecież nie było już Niemców, tylko władze polskie. Komunistyczne, ale jednak polskie. Właściwie dłaczego miałyby z Polakami

nie współpracować. W końcu to nie gestapo.

- Chodźmy. Załatwmy to szybko. Mała będzie niedługo głodna.

Teresa Czajka została w mieszkaniu sama. Podeszła do kołyski i wzięła Zosię na ręce. Dziecko zaczęło płakać, jakby przeczuwało, że matka już do niej nie wróci.

ROZDZIAŁ 23

Anglia, rok 1945

Widok polskiego munduru nie był tu niczym niezwykłym. Po zakończeniu działań wojennych wielu żołnierzy frontu zachodniego szukało przystani na Wyspach. Powrót do kraju zajętego przez Sowieców i komunistyczny rząd był wielkim wyzwaniem. Opowieści o straszliwych zniszczeniach wojennych również nie brzmiały zachęcająco. Polscy żołnierze przesiadywali w knajpach, wydając ostatnie pieniądze. Szukali jakiegoś sposobu na życie w obcym kraju lub czasem po prostu czekali na kolejne wyzwolenie ojczyzny przez siły alianckie. Wielu wtedy myślało, że musi dojść do rozstrzygającej wojny z Sowiecami i że Polska znowu będzie wolna.

Kwiatkowski postawił przed Zygmuntem Michtą, towarzyszem z AK, kufel piwa. Wokół, przy stolikach ustawionych na zewnątrz lokalu, oprócz żołnierzy polskich i brytyjskich spotkać można było również Amerykanów, którzy niebawem mieli zostać przerzuceni do Stanów, do domu lub na Daleki Wschód, gdzie nadal trwała wojna.

- Napij się, Zygmuś - zachęcał kolegę Julek. - Nie takie jak nasze polskie, ale da się wypić.

Zygmunt przyłożył kufel do ust. Na wąsach zostały mu resztki piany. Powiódł wzrokiem po twarzach nierzadko roześmianych żołnierzy. Zmarszczył brwi.

- Dobrze wam tu się wiedzie.

- Jak naszych zdemobilizują, to będzie gorzej - odparł Julek.

- Ty podobno u jakiegoś notabla jesteś ustawiony?

- Byłem. W sumie, mógłbym dalej, ale chyba do Polski wrócę.

- Do jakiej Polski chcesz wracać? Ledwie się stamtąd wydostałem i nie ciągnie mnie z powrotem. Dopóki komuchy siedzą, nie masz po co wracać. Byłeś w AK i walczyłeś na Zachodzie. Jesteś bardziej przegrany niż ja.

- Kto jeszcze przeżył powstanie?

- Z naszych? Prawie wszyscy.

- Co porabiają?

- Nic. Leżą sobie spokojnie w grobach. Nic nie robią.

- Jak to?

- Normalnie. Władka Urząd Bezpieczeństwa zgarnął w lesie. Kula w łeb bez sądu. Kazik Pogoda dostał się do kazamatów Informacji Wojskowej. W porównaniu z nimi gestapo

to pensja dla grzecznych panienek. Do Informacji samych sadystów wybierają. Najpierw go prądem dla rozrywki przypiekali, potem kazali na goło po korytarzu ząbką skakać, jak już nie mógł, to go zatłukli na miejscu. Tak sobie dla zabawy. Antosia Maciejkę przesłuchiwali, bo złapali go z gnatem. Przesłuchania wytrzymał dwa. Na trzecim wzięli się za obcęgi i po kolei mu palce obcinali. Najpierw u jednej ręki, potem u drugiej. Wyzionął ducha, jak jeden go pchnął. Chyba przez przypadek. Antoś poleciał z krzesłem do tyłu. Wyrznął głową o kant posadzki. Może i dobrze dla niego.

- Dranie.

- Mordują naszych, Julek. Gorzej niż hitlerowcy. Rozumiesz? Jak komuś się uda na Zachód uciec, to jakby Pana Boga za nogi chwycił. Gdzie ty chcesz wracać? Tutaj ściągnij matkę i siostrę, póki jeszcze można.

- Matkę i siostrę mi na Wołyniu Ukraińcy zabili. Dowiedziałem się w powstaniu.

- Przykro mi, bracie.

- Kojarzysz Krysię Szumską?

- Jasne, że kojarzę. Co mam nie kojarczyć.

- Coś słyszałeś o niej? Wyszła z powstania?

- Wyszła. Z powstania wyszła. Ale z więzienia UB już nie. Chyba nie chcesz szczegółów, co?

- Jezu.

Zygmunt jednym haustem wypił jedną czwartą zawartości szklanicy. Możliwe, że niejeden z obecnych tu żołnierzy szykuje się do powrotu. Możliwe, że czeka go w kraju los gorszy niż za okupacji niemieckiej. Ale możliwe, że któryś będzie miał szczęście i znajdzie dom w zniszczonej wojną Polsce. Bardzo to jednak niepewne.

- *Dzień dobry*, koledzy. - Do wysokiego drewnianego stołu na grubej nodze, przy którym stali, podszedł amerykański żołnierz w randze porucznika. - Nazywam *szie* John Kaminsky. Też Polak jestem.

- To cię słabo po polsku mamusia wyuczyła - stwierdził Julek kwaśno.

Nieszczególnie miał teraz ochotę na bratanie się z Jankesem polskiego pochodzenia.

- *Mamuszia* umarła jak ja *sziedemanszcie* lat był. U nas w dom od tego czasu mało po polsku mówią.

Amerykaninowi dobrze z oczu patrzyło. Sprawiał wrażenie szczerego i uczciwego. Julkowi trochę się wstyd zrobiło, że na początku poczęstował go złośliwością.

- Jestem podchorąży Juliusz Kwiatkowski. - Wyciągnął do Jankesa rękę. - To Zygmunt Michta. Właśnie z Polski przyjechał.

- Z Polski. Nie jest dobrze tam. Tam *komunyszczi*. Tak?

- Nie lubią was, Amerykanów - odpowiedział Zygmunt.

- Ale ja *ciebie* szukam - zwrócił się do Julka. - Tony Pratchett mnie przysłał do *ciebie*. Mówił, że ty *jestes* dobry żołnierz.

- Jak każdy Polak.

- Nie. Ty *jestes* dobry do jednostka specjalna. *Amerykańska*. Tony mówił. My potrzebujemy dobrych *ludzi*. Tam idą *najlepsi* i Tony mówił, że bym *ciebie* też *wziął*.

Julek spojrzał na Zygmunta.

- Co myślisz, Zygmus? - spytał pro forma.

- Do kraju nie masz po co wracać. Amerykanie nieźle płacą. Kariera wojskowa u nich, dobra rzecz. Ja bym się zgodził.

- Gdzie i kiedy mam się zgłosić? - zwrócił się do Kaminsky'ego.

- *Pójdiesz* ze mną. Ty wszystko *szie* dowiesz.

- No, Zygmus, wychodzi na to, że czas na mnie. - Julek wyciągnął do towarzysza dłoń. - Nie daj się Angolom. Trzymaj się, bracie.

Uścisnęli się serdecznie. Kto wie, czy kiedykolwiek się jeszcze spotkają.

Kaminsky prowadził go w stronę grupy amerykańskich żołnierzy. Siedzieli w jeepach oznakowanych charakterystyczną białą gwiazdą wpisaną w okrąg. Patrzyli ze znudzonymi minami na toczące się wokół życie. Żuli gumy i czekali na oficerów załatwiających sprawy.

- Tony mówił, że ty po *angielski* dobrze mówisz.

- Szczerze?

- *Sure*.

- Po angielsku mówię zdecydowanie lepiej niż ty po polsku, poruczniku. Tak między nami.

- Nie lubisz Amerykanów?

- Sprzedaliście nas w Teheranie i w Jałcie. Zresztą do spółki z Angolami.

- *This is politics*. - Kaminsky przeszedł na angielski. Od razu poczuł się swobodniej. - Jesteśmy żołnierzami. To nie nasza rzecz.

- A tak nawiasem mówiąc, jak chcecie mnie wziąć do swojej armii? Nie jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

- Myślisz, że z obywatelstwem dla ciebie będzie jakiś problem?

- Nie wiem.

- Jeżeli to, co o tobie mówił Tony, jest chociaż w połowie prawdą, to zostaniesz Amerykaninem, zanim się obejrzyysz.

- Nie mogę się doczekać - skwitował dwuznacznie jego zapewnienie Kwiatkowski.

Stan Montana, USA, kilka miesięcy później

Major George Cayuga stał ze splecionymi na piersiach rękami przed pięcioma podoficerami, dwoma starszymi rangą i trzema młodszymi, którym od tego dnia przyszło wspólnie się szkolić. Nie był specjalnie wysoki, ale wyjątkowo barczysty. Miał śniadą cerę i kruczoczarne włosy spięte z tyłu głowy w kucyk opadający delikatnie na kark. Wyjątkowo nietypowa fryzura w wojsku, w szczególności dla oficera. Ewidentnie z jakichś powodów mógł liczyć na odstępstwa od regulaminu. Musiał mieć spore zasługi. Byłe komu nie zezwolono by na tego typu ekstrawagancje.

Podchorąży Juliusz Kwiatkowski, którego przewidywano do awansu na stopień porucznika amerykańskiej armii, zdawał sobie sprawę z faktu, że bardzo wiele zależało od wyników szkolenia, między innymi tego przeprowadzonego przez majora.

- Jakby kto chciał wiedzieć - odezwał się do nich donośnym głosem oficer - to pochodzę z plemienia Nawaho.

Podoficerowie wymienili kilka zdań między sobą. Słyszeli o Indianach Nawaho i ich udziale w wojnie z Japończykami. Stanowili tajną broń. Przekazywali przez radio meldunki w swoim języku. W ten sposób na potrzeby wojny na Pacyfiku stworzony został szyfr, którego Japończycy w żaden sposób nie byli w stanie złamać.

Czerwonoskórzy żołnierze walczyli dzielnie i ginęli z honorem, niejednokrotnie prawdziwie bohaterską śmiercią. Ale zagadką dla piątki podoficerów była ścieżka błyskotliwej, jak widać, kariery majora Cayugi. W społeczeństwie amerykańskim uprzedzenia rasowe wyjątkowo często zamykały drzwi przed zdolnymi przedstawicielami mniejszości etnicznych. Przed sobą mieli przykład człowieka, który wymykał się tym regułom. Musiał być niezwykłą osobowością i mieć bardzo mocne poparcie.

Starszy sierżant Jack Faynmann, Teksaszczyk z pochodzenia, pochylił się do Kwiatkowskiego.

- Ten Geronimo ma nas uczyć? - szepnął Polakowi do ucha. - Nie podoba mi się.

Wzrok majora powędrował w kierunku Teksaszczyka.

- Geronimo był Apachem - skomentował głośno jego słowa, których przecież na taką odległość nie miał prawa słyszeć, czym wzbudził zdumienie nie tylko Faynmanna.

- Ja jestem Nawaho. Ale zapewniam cię, żołnierzu, że nawet w porównaniu z Geronimo niewiele umiesz. Dlatego mnie tu przysłano.

Młody adept zmieszał się. Zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem, który zdecydowanie odbiegał od standardów prezentowanych przez „normalną” kadrę oficerską.

- Przepraszam za nietakt, panie majorze. - Jack Faynmann umiał znaleźć się w niezręcznej sytuacji.

Julek pierwszy raz widział na oczy prawdziwego Indianina. O takich tylko czytał w powieściach Karola Maya. Polakowi, jako bodaj jedynemu tutaj, uprzedzenia rasowe do Indian były całkowicie obce, szczególnie w stosunku do Indian amerykańskich. Wychowany na literaturze mitologizującej ich życie i czyny, patrzył więc na majora z pewnego rodzaju fascynacją.

- Jakież pytania, panowie? - Podoficerowie spojrzeli jeden na drugiego. Pytań nie było. - W takim razie zaczynamy. Wasze zadanie na dzisiaj, to dotrzeć do strażnicy w lesie. Wszyscy wiedzą gdzie, więc nie muszę nic tłumaczyć. Drogą ponad dwa kilometry. W linii prostej około półtora. Trasę wybieracie sobie sami. Moim zadaniem będzie uniemożliwienie wam dostania się do celu. Tam macie broń do wyboru. - Wskazał podłużny, drewniany stół przykryty brezentem. - Rewolwery na kule gumowe, pałki, co tam chcecie. Obserwatorem ćwiczeń będzie porucznik John Kaminsky. - Przysłuchujący się z uwagą wywodowi majora, porucznik skinął głową. - Będzie na bieżąco decydował, kto zostanie wyeliminowany i wraca do obozu. Czyli kto w warunkach bojowych zostałby zabity.

Julek podniósł rękę.

- Mogę spytać, jaką broń będzie dysponował pan major?

Indianin oburącz sięgnął z tyłu za pas. Wyciągnął dwie, bardzo solidnie wyglądające atrapy tomahawków. Musiały to być atrapy. Inaczej życie podkomendnych niewiele byłoby warte.

- Powodzenia, panowie, i do zobaczenia na szlaku.

Odsunęli brezent. Faynmann od razu złapał rewolwer.

Sprawdził magazynek i wetknął broń za pas. Joe Petri, zadziorny nowojorczyk włoskiego pochodzenia, zrobił tak samo. Przystosował też sobie kij bejsbolowy, którym machnął niczym zawodowy gracz. Josh McDowell, bardzo drażliwy na punkcie swojego irlandzkiego pochodzenia, również nie pogardził rewolwerem. Do kompletu wziął pałkę policyjną. Podobnie postąpił Joe Black, wielkie chłopisko, syn hodowcy bydła z Kentucky.

Juliusz Kwiatkowski nie poszedł w ich ślady. Uznał, że w gęstym, amerykańskim lesie, gdzie na każdym kroku były ciężkie do przebycia chaszczki i gdzie czeka ich walka wręcz z majorem Cayugą, pistolet może okazać się tylko zbędnym obciążeniem. Przypomniał sobie, co mówił mu Hiroshi Hara w Anglii. Broń zawsze należy dostosować do warunków.

Dlatego Polak wybrał dwie ponad półmetrowe drewniane pałki. Przewiązał się elastycznym bandażem na wysokości mostka i zatknął sobie wybraną broń na plecy tak, by jednym sięgnięciem rąk do tyłu móc natychmiast dobyć pałek.

- Rewolweru nie bierzesz? - spytał Julka Joe Petri.

- Nie przyda się.

- Bez żartów. Wpakuję w Indiańca cały magazynek, kiedy tylko pojawi się na horyzoncie.

- Tyle że horyzont będzie wąski. Las ogranicza.

- Bez przesady - poparł Petriego McDowell. - Major ma tylko tomahawki. Musi się do nas zbliżyć. A wtedy bang, bang i gościu jest nasz.

Petri położył sobie kij bejsbolowy na ramieniu.

- Major nie mówił, żeby mocno nie bić... - wykrzywił się w złośliwym uśmiechu. - Przynajmniej ja nie słyszałem.

- Ja też nie - zawtórował mu Faynmann.

Joe Black podrapał się po czubku gęstej czupryny. Wychował się na wsi w głębokim szacunku do natury.

O lesie wiedział więcej niż mieszczuchy i nie do końca podzielał entuzjazm, jakim pałali koledzy. Szykował się na trudną przeprawę.

Drogę do strażnicy znali bardzo dobrze. Jeszcze kilka dni temu odbywali tam zajęcia. Teraz trzeba było jedynie tam dotrzeć i po drodze ewentualnie unieszkodliwić przeciwnika w osobie majora George'a Cayugi.

Porucznik trzymał się kilkanaście metrów od nich. Cały czas pilnie obserwował podoficerów idących po obu stronach wąskiej, leśnej drogi.

Młodzi żołnierze posuwali się powoli. Nasłuchiwali podejrzanych dźwięków, trzasku przypadkowo złamanej gałązki. Starali się mieć oczy dookoła głowy. Przecież atak mógł nastąpić w każdej chwili. Nie pozwolą się majorowi zaskoczyć.

Pokonali pierwsze sto metrów w najwyższym napięciu. Potem kolejne i kolejne. Nic się nie działo. Ściana lasu po obu stronach drogi, nieprzenikniona na większą odległość, zdawała się nie kryć żadnego zagrożenia. Wiedzieli jednak, że to tylko pozory.

Przeszli ponad pół kilometra. Czujność osłabła, co było zupełnie naturalnym odruchem.

- Coś się ociąga ten nasz pan major - stwierdził Faynmann półgłosem.

- Może się w lesie zgubił - zażartował Petri. - Jeszcze go szukać będziemy.

Atmosfera rozluźniła się. Przyspieszyli kroku. Doszli do wniosku, że im większą

odległość przebędą na początku, tym łatwiej potem będzie przechytrzyć Cayugę.

Pokonali kolejny kilkusetmetrowy odcinek i droga zaczęła się lekko wznosić. Pamiętali, że następny fragment trasy wiódł przez gęstwinę. Tam major mógł się na nich zaczać. Mijali tę część z największą ostrożnością, wypatrując oficera szkoleniowego, ale spodziewany atak nie nastąpił. Znowu mieli przed sobą w miarę łatwy do spenetrowania obszar leśny. Oddychali z ulgą. Napięcie ponownie opadło.

- Jeszcze trochę i będziemy na miejscu - Petri wyraźnie czuł się pewniej. - Najgorsze chyba mamy za sobą. Teraz to...

Poczuł szarpnięcie za rękaw. Natychmiast odruchowo wyrwał pistolet zza pasa.

- Zostaw - syknął na niego Julek.

Odwrócili się i zobaczyli na drodze leżących Blacka i McDowella. Klęczał przy nich Kaminsky i starał się ich ocucić. Po krótkiej chwili doszli do siebie. Pozostała trójka nie czekała. Oparli się o siebie plecami. Gapili się wytrzeszczonymi oczami w las i... nic. Przerażeniem napawał fakt, że atak majora był bezszelestny i to w części drogi, którą przecież uznali za w miarę bezpieczną.

- Co jest, kurwa? - wyszeptał Petri.

- Do lasu - powiedział Kwiatkowski. - Tu jesteśmy jak na widelcu.

- Przecież go zobaczymy - włączył się Faynmann.

- Może. Jeśli będziemy tu stać jak głupki.

W tym momencie powietrze przeciął lecący tomahawk, który uderzył Faynmanna obuchem w czoło. Teksańczyk złapał się za głowę. Automatycznie został wyeliminowany z akcji. Julek i Joe nie czekali na dalszy rozwój wydarzeń. Skoczyli do lasu i puścili się pędem w stronę strażnicy. Uświadomili sobie przytłaczającą przewagę Indianina. Oni go nie widzieli, on ich doskonale.

Major stanął im na drodze. Petri dobył rewolweru i zaczął strzelać, lecz Cayuga kluczył między drzewami, stając się celem niemożliwym do trafienia. Chwilę potem magazynek nowojorczyka był pusty, a oficer ponownie zniknął.

Znowu posuwali się z największą ostrożnością, wyęzając słuch i wzrok. Wciąż wszystko na nic.

Uderzenie w plecy spadło na Petriego jak grom. Jęknął i runął na kolana. Został wyeliminowany. Julek wyrwał zza pleców pałki, lecz Indianin ponownie się zdematerializował. Był jak duch, wszędzie i nigdzie.

- Kwiatkowski - Julek usłyszał za sobą głos. Błyskawicznie się odwrócił. - Broń wybrałeś dobrze. - Major trzymał tomahawk w splecionych na piersi ramionach.

- Ciekawe, czy umiesz się nią posłużyć. Co zrobisz?

Polak podchodził do majora, nie spuszczać z niego wzroku, jakby obawiał się, że ten zapadnie się za chwilę pod ziemię, i tyle go zobaczy. Cayuga stał niewzruszony. Wyglądało na to, że tym razem nie zamierza się ulotnić.

Hiroshi Hara poświęcił sporo czasu i wysiłku, by nauczyć Kwiatkowskiego skutecznej walki dwoma pałkami. Nie przewidział tylko tego, iż jego podopieczny będzie musiał zademonstrować swoje umiejętności wśród gęsto rosnących drzew.

Julka przypuścił atak i zahaczył końcem pałki o pień. Major natychmiast odpowiedział. Tomahawk zatoczył niewielkie koło i uderzył w pierwszą pałkę tak, że wytrącił ją z dłoni Polaka. Kolejny atak tym razem przeprowadzony uważniej i pałka uderzyła w trzonek tomahawka Indianina, który na krótki moment zakleszczył ją ostrzem, a następnie płynnym ruchem pociągnął w dół i wykonując kolisty zamach, ciął ostrzem w stronę czoła podoficera, zatrzymując je milimetr od jego głowy.

- Kwiatkowsky out - usłyszeli głos porucznika Kaminsky'ego.

Ćwiczenia dobiegły końca.

- Czekam na wszystkich w bazie - powiedział Cayuga i ruszył przed siebie.

Godzinę później poobijana piątka stała przed majorem.

- Zaczniemy od waszych błędów. - Major przechadzał się z założonymi na plecy rękami. - Przede wszystkim dobór broni. Bezmyślny. Tylko Kwiatkowsky wykazał się odrobiną rozumu. Pałkami posługujesz się dobrze - zwrócił się bezpośrednio do Julka - ale w lesie trzeba to robić inaczej. Tego jeszcze nie umiesz. Poza tym uwaga do wszystkich. Szliście jak stado słoni do wodopoju. Słysząc was było na kilometr. Dlatego najpierw zaczniecie się uczyć cichego poruszania. Do lasu.

Cała piątka bez szemrania skierowała się we wskazaną stronę. Rozumieli, że przyszedł czas nauki, jak nie dać się zabić, a potem jak skutecznie eliminować wrogów. Szkolenie tak naprawdę dopiero się rozpoczynało.

ROZDZIAŁ 24

Warszawa, Polska, rok 1952

Maria Kwiatkowska z niemałym trudem wysiadła z zapchanego do granic możliwości pociągu. Dworzec centralny wyglądał jakoś inaczej niż ten, który zapamiętała z pierwszej połowy lat czterdziestych. Nowe przybudówki, wyremontowane ściany i wejścia, zmieniony układ. Tak jej się przynajmniej wydawało. Ale minęło przecież prawie dziesięć lat. Czas spędzony na zesłaniu na Syberii też mógł zrobić swoje. Lata katorżniczej pracy ponad siły, ciągła obawa o to, czy dożyje się następnego dnia i wszechobecny mróz niejednego przysparzyły o utratę zmysłów. Pamięć mogła być złudna.

Jedna rzecz, która zmieniła się na pewno, to ludzie. Wśród nieprzebranych tłumów, znacznie większych niż kiedyś, nie było ani jednego niemieckiego munduru. Dość często za to trafiały się mundury żołnierzy sowieckich i, co odnotowała z prawdziwym rozrzewnieniem, mundury polskie. Co prawda nie takie, jak przed wojną, inne, mniej sztywne, ale przecież nasze, ojczyste, więc może nieprawdziwe okazały się twierdzenia, jakie zasłyszała w podróży, że Polska spod okupacji niemieckiej przeszła pod okupację sowiecką.

Przebisnęła się przez rzesze pasażerów czekających na pociąg i pchających się z tobołkami do wagonów. Stała w hali dworca i od razu rzuciły jej się w oczy przeogromne kolejki do kas, jakby nagle cała Polska zapragnęła zakosztować podróży koleją. Hala też wyglądała inaczej. Została przebudowana. Zresztą prace remontowe trwały tu nadal.

Wyszła na zewnątrz i jej oczom ukazało się rodzinne miasto, w którym spędziła najpiękniejsze lata swojego życia. Ale to już nie było to samo miasto. Słyszała jeszcze w Rosji, że Warszawa została praktycznie zrównana z ziemią. A tu dźwigała się z bezprecedensowych zniszczeń dokonanych przez wycofujące się armie hitlerowskie. Roboty budowlane widać było na każdym kroku. Co jakiś czas szerokimi ulicami przejeżdżały ciężarówki, głównie radzieckiej produkcji, z młodymi ludźmi w białych koszulach i czerwonych krawatach. Śmiali się, śpiewali, a każdy wóz ozdobiony był łopoczącą na wietrze czerwoną flagą. Więc jednak. Komuniści zagościli tu na dobre. Miasto już chyba na zawsze straciło swój niepowtarzalny charakter i atmosferę. Mrzonki o wyparciu Sowietów z Polski po zakończeniu działań wojennych pozostały mrzonkami.

Stała na chodniku i patrzyła. Co jakiś czas udawało się jej rozpoznać drobne fragmenty dawnej Warszawy.

- Rośnie nasza stolica, rośnie - usłyszała obok męski głos. Niski, łysawy i tęgi mężczyzna pod czterdziestkę patrzył z dumą na rozciągającą się przed nimi panoramę miasta.

- Aż miło popatrzeć. Pani pewnie z prowincji, co? - Zmierzył wzrokiem jej wychudzoną postać i nędzny ubiór. Na jego twarzy malowało się politowanie i całkowicie uzasadniona w jego mniemaniu wyższość. - Teraz wszyscy pchają się do stolicy. Wszelkiego tałatajstwa się najechało... nie ujmując oczywiście szanownej pani - zreflektował się. - Pani z daleka?

- Z bardzo daleka - odpowiedziała beznamiętnie.

- Może Warszawę pokazać? - spytał przymilnie.

Maria Kwiatkowska mimo lichego ubrania i ogromnego zmęczenia wciąż pozostawała przecież atrakcyjną kobietą. Nie można było tego nie zauważyć. Najwyraźniej wpadła warszawiakowi w oko.

- Wie pan, gdzie to jest? - Pokazała mu starannie złożony list z Czerwonego Krzyża z podkreślonym ołówkiem adresem.

- O, to kawałek będzie. Trzeba by autobusem parę przystanków podjechać.

- W którą stronę?

- Pani nie trafi. Pokażę.

- Bardzo pan miły.

- Pozwoli pani, że się przedstawię. Nazywam się Edward Kosiorek. - Wyciągnął do niej mięsistą dłoń. - Murarz - dodał, chcąc jej widocznie zaimponować konkretnym i poszukiwanym obecnie fachem w ręku.

- Maria. - Uznała, że podawanie nazwiska mogłoby okazać się na dłuższą metę kłopotliwe.

- Piękne imię. Pani idzie za mną, panno Marysiu.

Poprawiła workowaty plecak i poszła z mężczyzną przez ulicę.

Autobus komunikacji miejskiej wypełniony był ludźmi po same brzegi. Oglądała miasto przez brudne szyby. Kosiorek niczym rasowy przewodnik pokazywał domy, miejsca, skwery i opowiadał o nich. Mówił, co zostało doszczętnie zniszczone, które nieliczne budynki uchowały się. Coraz częściej rozpoznawała ulice. Patrzyła na odnowione kamienice sąsiadujące ze zgliszczami.

- Tutaj wysiadamy, panno Marysiu. - Kosiorek niby mimochodem ujął ją za rękę. - Ten numer jakieś parę metrów stąd będzie.

Maria bezpardonowo wyswobodziła dłoń. Na twarzy mężczyzny odmalowało się lekkie zakłopotanie, ale nic nie powiedział.

Ochronka dla sierot mieściła się w odrapanej, podziurawionej kulami dwupiętrowej

kamienicy. Obok leżała nieuprzątnięta sterta gruzu - pozostałość po doprowadzaniu budynku do stanu używalności. Przed wejściem ustawiała się w pary grupka dzieci ubranych w granatowe mundurki. Kobieta o surowym wyrazie twarzy pokrzykiwała na maluchy.

- Panna Marysia kogoś tu ma? - spytał Kosiorek niepewnie.

- Córeczkę.

Nie patrzyła na niego. Całą jej uwagę pochłaniały dzieci przed ochronką.

- Ach, córeczkę - zagrały w nim ojcowskie uczucia. Ładna, a nawet bardzo ładna kobieta z córeczką... czemu nie. Dobry materiał na żonę. - To ja tu na pannę Marysię poczekam.

- Proszę się nie kłopotać...

- Ależ to żaden kłopot. Dla panny Marysi...

Sytuacja stawała się niezręczna, jednego Marysia była całkowicie pewna: nie miała najmniejszej ochoty na kontynuowanie znajomości z tym warszawskim murarzem. Musiała się go jakoś pozbyć, kulturalnie, ale stanowczo. Przyszedł jej do głowy pomysł prosty, za to bardzo skuteczny.

- Chciałam powiedzieć, że nie musi pan się już kłopotać, bo jestem tu umówiona z mężem. Ma być za godzinę, może półtorej.

Na te słowa Edwardowi Kosiorkowi szczęka opadła. Gapił się na kobietę z otwartymi ustami. Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego, że jest zamężna. Jeszcze raz spojrzął na jej dłonie. Ani śladu obrączki. Ale w dzisiejszych czasach różnie to bywało.

- Mę... męża - wydukał. - No tak, szanownego małżonka. Tak, tak. Ja... bardzo mi było miło... całuję rączki.

Skłonił się nisko i tym razem nie wyciągnął dłoni na pożegnanie. Ulotnił się jak niepyszny.

Surowa wychowawczyni skierowała Marysię do gabinetu kierowniczkini na pierwszym piętrze. Kwiatkowska zapukała i weszła do środka. Kobieta w podobnym do niej wieku stała przy mapie Polski zawieszanej na grubym gwoździu wbitym w białą ścianę. Odwróciła głowę, gdy Maria przestąpiła próg.

- Dzień dobry! - powiedziała Marysia, lecz jej pozdrowienie zostało zignorowane.

- Słucham was - odezwała się tamta tonem służbisty.

Krótko ścięte włosy „na chłopaka” ujmowały kierownicze kobiecości, ale buzię miała całkiem ładną, choć bez burżuazyjnych uduziwień, takich jak na przykład makijaż. Miała na sobie kremową koszulę z kieszeniami na piersiach i pustymi pagonami na ramionach. Szyję zdobił jej czerwony, cienki krawat. Granatowa spódnica za kolano

przyjemnie współgrała z górną częścią garderoby.

- Szukam pani kierownik. Powiedziano mi...

- Towarzyszki kierownik, jeśli już.

- Tak oczywiście. Szukam towarzyszki kierownik.

- To ja. O co chodzi?

- Nazywam się Maria Kwiatkowska. Skierował mnie tu Czerwony Krzyż. Podobno jest u was moja bratanica, Zosia Kwiatkowska, Szumska po matce. Chciałabym ją zabrać.

- Mam nadzieję, że macie jakieś dokumenty.

Marysia sięgnęła do wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Wyciągnęła plik złożonych na cztery papierów i podała kierownicze.

- Tam jest list z Czerwonego Krzyża, moje dokumenty tożsamości i...

- Tymczasowe? - Kobieta wbiła wzrok w papier. - Nie zdążyliście jeszcze wyrobić sobie normalnych papierów? - spytała zdziwiona.

- Niedawno przyjechałam i jeszcze...

- Posłuchajcie mnie. Powiem od razu. Nie podobacie mi się. Przychodźcie nie wiadomo skąd, z jakimiś podejrzanymi papierami - rzuciła jej tymczasowy dowód tożsamości na siermiężne biurko - i ja mam wam dać pod opiekę naszą wychowankę? Chyba jesteście niepoważna, towarzyszeko. Jak sobie to wyobrażacie?

- Jestem jej najbliższą rodziną. Nikt jej nie zapewni...

- Chyba się nie rozumiemy, towarzyszeko. Rodzina tu nie ma znaczenia. Dzieci to przyszłość narodu. Skąd mam wiedzieć, że wychowacie ją w duchu socjalizmu, zgodnie z wytycznymi partii robotniczej? Może jesteście wysłanniczką reakcji. Albo wasze pochodzenie społeczne będzie dla dziecka szkodliwe. Nic o was nie wiem. Uważacie, że to wszystko jest takie proste?

Marysia nie spodziewała się, że natrafi na taki mur. W Czerwonym Krzyżu nikt jej nie uprzedzał. Wręcz przeciwnie. Sugerowano, żeby zgłosiła się po bratanicę jak najszybciej. Czasem dzieci bywały adoptowane i ślad po nich ginął na zawsze.

- W Czerwonym Krzyżu zapewniano mnie...

- Tu nie Czerwony Krzyż. - Kierowniczką ewidentnie uwielbiała wpadać ludziom w słowo. - Tu jest socjalistyczny porządek. Im szybciej to zrozumiecie, tym lepiej dla was.

- Nic o mnie nie wiecie. Pytajcie więc.

Kobieta uśmiechnęła się kwaśno.

- Zosia jest tu od '47. Kilka ładnych lat. Gdzie byliście do tej pory?

- Cały czas jej szukałam, ale nie było mi łatwo.

- Dlaczego? Polska Ludowa nie pomogła w poszukiwaniach?

- Nie było mnie w Polsce.

- Ach tak - powiedziała kierowniczką głosem nauczycielki, która złapała ucznia na kłamstwie. - To może powiecie mi łaskawie, gdzie to przebywaliście. Kraj się podnosił z ruin, a wy bawiliście za granicą. Znamy takie elementy.

Maria postanowiła zagrać *va banque*. Nie mogła powiedzieć, że została zesłana na Syberię i dopiero niedawno wraz z pierwszymi repatriantami wróciła do kraju. Mogła powiedzieć coś innego, co powinno na kobiecie zrobić odpowiednie wrażenie.

- Byłam w Związku Radzieckim - stwierdziła z doskonale udawaną dumą w głosie. - Przechodziłam szkolenie aktywu na najwyższym szczeblu. - Zawiesiła głos na moment, by sprawdzić reakcję, jaką wywołały jej słowa. Reakcja była prawidłowa. Kierowniczkę ochronki zatkało. Można było kontynuować przedstawienie. - Tu są moje dokumenty. - Machnęła jej przed nosem papierem z tekstem w języku rosyjskim. Kobieta wyciągnęła rękę, ale Marysia na wszelki wypadek zabrała jej dokument przed nosa. Mogła przecież wyczytać, że mowa jest tam o warunkach repatriacji, a nie o szkoleniu aktywu komunistycznego, choć szanse, że znała rosyjski na tyle dobrze, były znikome. - Biuro polityczne KPZR... mam nadzieję, że wiecie, o czym mówię...

- Tak oczywiście, towarzyszeko - kierowniczką przyznała skwapliwie. - Oczywiście, że wiem.

W tym momencie Maria Kwiatkowska była już panią sytuacji. Wystarczyło tylko odpowiednio zakończyć komedię.

- To świetnie. Dobrze to o was świadczy. Różnych towarzyszek spotkałam, ale widzę, że tu postawiono właściwą osobę na właściwym miejscu.

- Dziękuję, towarzyszeko.

- Ale do rzeczy. Zostałam skierowana na ziemie odzyskane. Mam dopilnować, by tamtejsze załączki organizacji partyjnych rozwijały się szybko i w odpowiednim kierunku. Towarzysze z KPZR są żywo zainteresowani tym problemem. W swoich raportach mam też ujmować moje odczucia dotyczące nastrojów i zaangażowanie aktywu krajowego. O was, towarzyszeko, przyznaję, napiszę bardzo pochlebnie. Nie dajcie się podejść. Przecież byle kto mógłby się zgłosić tu po dziecko. Wykazaliście się socjalistyczną czujnością. Brawo!

- Dziękuję, towarzyszeko...

- Kwiatkowska. Maria Kwiatkowska. Towarzysze z biura politycznego mówili mi Masza, tak trochę mniej oficjalnie. - Marysia uśmiechnęła się pobłaźliwie. - Rozumiecie.

- Tak, tak, rozumiem. - Kierowniczką poczuła się nobilitowana. Taki gość. -

Wybaczcie, że się nie przedstawiłam. - Była wyraźnie zakłopotana. - Nazywam się Irina Paszkowska.

- Irina? Przyjemne imię.

- Właściwie Irena, ale towarzysze radzieccy przy okazji ostatniej wizyty tak do mnie mówili i postanowiłam, że Irina brzmi znacznie lepiej.

- Nie mylicie się, towarzyszo. Wasza postawa jest naprawdę godna pochwały.

- Staram się, towarzyszo Kwiatkowska.

- Ach, jeszcze jedno. Mam prośbę.

- Oczywiście, mówcie.

- Dobrze by było, by o mnie nikt nie wiedział. Rozumiecie, przyjechałam do kraju niedawno i chciałabym się rozejrzeć, poznać środowisko takim, jakie jest na co dzień. Bez fety, niepotrzebnych przygotowań... że ktoś ważny przyjeżdża. Rozumiecie, o czym mówię.

- Jak najbardziej. Rozumiem doskonale.

- Naprawdę cieszę się, że was poznałam, towarzyszo Irina. Myślę, że niedługo towarzysze z biura politycznego się o was upomną, oj, upomną.

Irena Paszkowska rozkwitła niczym okazały kwiat. Była wniebowzięta.

- No, ale my tu gadu-gadu, a obowiązki czekają. Jeśli pozwolicie, chciałabym bratanicę zabrać i jechać na zachód. Czeka mnie tam wielka praca u podstaw. U was tutaj człowiek czuje się jak w prawdziwym socjalistycznym domu. Tam ten dom dopiero trzeba zbudować.

- Och, na pewno dacie sobie radę. Ktoś taki... Już biegnę po małą.

- I małej na razie też nie należy nic mówić. Nie widziała nigdy cioci... rozumiecie.

- Takiej cioci, aż zazdrość bierze. Poczekajcie tutaj. Zaraz Zosię przyprowadzę.

Maria odetchnęła z ulgą. Zastanawiała się, czy Julek byłby z niej dumny, czy też by ją zganiał za podszywanie się pod aktywistkę komunistyczną. Z drugiej strony mówi się, że cel uświęca środki. Wszystko zależy od tego, jaki cel i jakie środki. Tutaj cel był szczytny.

Nie minął kwadrans, kiedy Paszkowska wprowadziła do gabinetu drobniutką dziewczynkę. Miała splecione w króciutkie warkoczyki jasnoblond włosy. Wielkie niebieskie oczy wpatrywały się przez chwilę w Marię.

- Dzień dobry! - powiedziała cicho dziewczynka i dygnęła grzecznie. - Nazywam się Zosia Kwiatkowska.

Maria nie mogła od dziecka oderwać wzroku. Zosia była śliczna jak laleczka, ale najbardziej ją zachwyciło jej zdumiewające podobieństwo do Krysi. Jak to się mówi, „skóra zdarta”. Jakby widziała przyjaciółkę w tej delikatnej, zdawałoby się wychudzonej twarzyczce.

Poczuła, jak ścisnęło się jej gardło ze wzruszenia. Patrzyła na bratanicę, nie mogąc znaleźć słów. Przykucnęła i rozłożyła ramiona.

- Chodź do mnie, kochanie - wydusiła z niemalym trudem.

Zosia podniosła głowę i spojrzała na Paszkowską, ewidentnie czekając na pozwolenie.

- Idź, dziecko.

Dziewczynka posłusznie podreptała do Marii. Nie zachowywała się spontanicznie. Nie okazywała uczuć. Po prostu słuchała poleceń. Za to ciotka porwała ją w ramiona. Podniosła i przycisnęła mocno do siebie. Zosia wydawała się zdezorientowana. Nikt wcześniej się w stosunku do niej tak nie zachowywał.

Maria postawiła ją na podłodze.

- Wiesz, kim jestem, Zosiu?

- Nie wiem, towarzyszek. Nową wychowawczynią?

- Jestem twoją ciotką, kochanie. Przyjechałam po ciebie. Zabiorę cię ze sobą.

Zosia ponownie spojrzała na Irinę. Paszkowska z uśmiechem pokiwała głową.

- Zabierzecie mnie, towarzyszek, do tatusia? - spytała z nadzieją w głosie.

Maria przytuliła ją z całej siły i pocałowała czule. Małe rączki, najpierw niepewnie, potem śmielej oploty jej szyję. Odwzajemniła uścisk. Z każdym oddechem zaciskała ręce. W końcu przykleiła się do ciotki tak, że trudno ją by było w tym momencie oderwać. Nawet sobie nie zdawała sprawy z tego, jak bardzo była głodna czułości. Przecież przez te lata nikt tutaj nikomu jej nie okazywał.

Maria wzięła ją na ręce.

- Na nas już czas - zwróciła się do Paszkowskiej. - Dziękuję wam za wszystko, towarzyszek.

- To ja wam dziękuję. Przekażcie swoim przełożonym, że całym sercem jesteśmy tu oddane sprawie socjalistycznej ojczyzny.

- Przekażę na pewno.

- Tu są rzeczy małej. - Podała Marii mały tobołek. - Niewiele tego - dodała tonem usprawiedliwienia. - I coś do zjedzenia na drogę.

- Bardzo dziękuję, towarzyszek.

Pożegnanie było krótkie. Ciotka i bratanica udały się w stronę dworca. Miały pociąg do Wrocławia, gdzie Maria dostała skierowanie do pracy w Pafawagu. Przed nimi jeszcze kilkugodzinne stanie w kolejce po bilety i podróż w niewygodnych wagonach PKP. Do niewygód jednak obie zdążyły się już przyzwyczać.

W pociągu udało im się usiąść. Młody mężczyzna okazał się tak miły, że ustąpił

miejsca, jak mniemał, zmęczonej matce z dzieckiem. Po Marii Kwiatkowskiej widać było trudy pracy ponad siły na Syberii i wielotygodniowej podróży do Polski. Zosia wyglądała na w miarę zadbaną. Miała na sobie tandetne, szare, ale czyste ubranie i mocno zużyte buciki. Była wątła i wciąż sprawiała wrażenie wystraszonej. Obserwowała otoczenie jak spłoszone zwierzątko, w każdej chwili gotowe do ucieczki. Obecność cioci w jakiś sposób budowała jej poczucie bezpieczeństwa, ale nie na tyle, by czuć się całkowicie pewnie w zupełnie nowym dla niej otoczeniu.

Popatrzyła swoimi wielkimi oczami na Marię. W jej wzroku dało się wyczytać nieme pytanie.

- Tak, kochanie? - zainteresowała się natychmiast ciocia. - Może głodna jesteś? Chcesz kanapkę?

- Nie. - Dziewczynka nie przestawała na nią patrzeć.

- Może pić ci się chce?

- Pić też nie.

- No to powiedz, co byś chciała. Może pospać? Połóż główkę na moich kolanach.

- Chciałabym o coś zapytać - powiedziała niepewnie Zosia.

- Tak, słoneczko?

- Ciociu, a czy nie będziesz mnie mocno biła?

Marii Kwiatkowskiej odjęło mowę. Nie wiedziała, czy dobrze usłyszała, czy może tylko jej się zdawało.

- Słucham?

- Bo jak się mnie mocno zbije, to potem nie mogę chodzić za bardzo. Nóżki bolą. - Dziecko skuliło się, jakby oczekiwało nieuchronnej kary.

Kobieta odzyskała głos. Czyli dobrze usłyszała. W tym pytaniu usłyszała krzyk rozpaczony tej drobniutkiej istotki, którą ktoś ewidentnie krzywdził w przeszłości. Zdjęta żalostí i współczuciem dla swojej najbliższej krewnej, złapała zdezorientowaną dziewczynkę w ramiona i przycisnęła mocno do piersi. Poczwała łzy w oczach. Wytarła je szybko wierzchem dłoni.

- Posłuchaj mnie uważnie, Zosiu.

- Słucham, ciociu - odpowiedziała Zosia karnie.

- Od teraz nikt nigdy cię nie uderzy. Ani ja, ani nikt inny nie ma prawa cię tknąć.

Rozumiesz?

- Rozumiem - powiedziała bez przekonania.

- Jeżeli ktokolwiek, kiedykolwiek spróbuje cię uderzyć, to go rozszarpie na kawałki.

- I ty mnie też nie będziesz biła?
- Prędzej bym sobie rękę ucięła, niż cię uderzyła, Zosiu.

Do dziecka powoli docierały słowa Marii.

- Naprawdę? - nie dowierzała.
- Naprawdę.
- Nawet jak będę niegrzeczna?

Marii Kwiatkowskiej trudno przychodziło wyobrażenie sobie niegrzecznego zachowania w wykonaniu tej wystraszonej, ułożonej małej panienki.

- Jak będziesz niegrzeczna, to będzie mi przykro i będziemy o tym rozmawiać.
- Bez bicia?
- Nigdy nie będzie bicia. Obiecuję.

Zosia zastanowiła się przez chwilę. Spojrzała w okno i ponownie przeniosła wzrok na krewną.

- To ty chyba będziesz dobrą ciocią - stwierdziła bardzo poważnie.

Ciocia uśmiechnęła się ckliwie.

- Najlepszą jaką się da. Masz moje słowo.
- Komsomolskie?

- Komsomolskie też może być - odparła pogodnie kobieta - ale słowo cioci jest ważniejsze.

- To dobrze - skostatowała Zosia i położyła głowę na jej kolanach.

Uznała widać, że teraz już spokojnie może się zdrzemnąć, bo ma przy sobie osobę, która nie tylko sama jej nie skrzywdzi, ale też nie pozwoli na to nikomu. Tak przecież obiecała. A ciocia głaskała ją czule po blond włosach. Miała dla kogo żyć.

ROZDZIAŁ 25

Półwysep Koreański, rok 1951

Jazda jeepem ulicami koreańskiego miasta pozostawiała na amerykańskich żołnierzach wrażenia zgoła odmienne od tego, z czym mieli do czynienia w kraju. Wokół rozlatujące się trzciniowe chaty, postacie w łachmanach; dźwigający tobołki często stanowiące ich jedyny dobytek. Zewsząd przytłaczała atmosfera biedy, wręcz nędzy i beznadziei.

Julek patrzył na tych ludzi doświadczonych przez działania wojenne. Nie mogli nawet marzyć o pewnym jutrze i jakiegokolwiek stabilizacji. Żyli lub - trafniej - wegetowali na ziemi, którą chcieli im odebrać żołnierze armii północnokoreańskiej.

- I o to mamy się bić? - spytał retorycznie sierżant Peter Hitchens. - Co dla nich za różnica. I tak gównu mają.

- Może nie mają takich domów jak Amerykanie - odezwał się Polak po dłuższej chwili milczenia. - Nie mają amerykańskiego snu. Ale mają jeszcze wolność. Tę wolność ktoś im chce zabrać. Dalej uważasz, że nie ma się o co bić?

- Oni nawet nie wiedzą co to wolność.

- Ty byś nie wiedział, sierzancie?

- Ja to co innego. My, Amerykanie, zawsze ceniliśmy wolność najbardziej.

- A co zrobiliście, gdy w osiemnastym wieku Anglicy chcieli wam ją odebrać.

- Pogoniliśmy sukinsynów.

- Ci tutaj, może na to nie wyglądają, ale nie chcą być niewolnikami. Tak jak wy, Amerykanie, nie chcieliście. Wam wtedy pomagali ochotnicy z innych krajów. Choćby z Francji czy z Polski.

- To była wielka polityka. Francuzi ciągle z Anglikami się tłukli.

- Polacy też. Pułaski, Kościuszko. Po nich nazwaliście swoje miasta. Może oni - wskazał na Koreańczyków - zrobią kiedyś to samo dla was.

- Naprawdę pan tak myśli, poruczniku?

- Kto wie.

Sierżant szarpnął kierownicą, żeby ominąć potężną wyrwę w drodze. Gdyby zareagował za późno, koło jeepa zostałyby w dziurze i dalszą podróż trzeba by kontynuować pieszo.

- Miejmy nadzieję. Jak se przypomnę ten bunkier, coście z niego nas dwa tygodnie temu wyciągnęli, to jeszcze mi ciary po plecach idą.

- Coś słyszałem, że nie mieliście łatwo - do Julka dochodziły zdawkowe informacje z niektórych rejonów frontu. Miał teraz okazję dowiedzieć się czegoś więcej. - Tak mówią.

- Łatwo, niełatwo. Od Koreańców i Chinoli to w sumie mieliśmy spokój. Względny spokój. Jak się pojawili, to się cięło i po sprawie. Chyba jakieś przypadkowe grupy podchodziły. Nie wiem. Ale, kurczę, problem był inny. Zupełnie inny.

- Znaczy?

- Szczury. Kurwa, szczury. Żeby pan wiedział, poruczniku, jakie to cholerstwo. Człowiek w nocy spać się kładł, mieliśmy piętrowe łóżka, a te sukinsyny od razu się wspinały i wchodziły na kark, po głowie, nawet pod ubranie się ładowały. Mówię panu, przesrane.

- I co robiliście?

- Nic nie mogliśmy zrobić. Truć skurwieli nie można było, bo miały jakieś pasożyty. Jakby gnój zdechł od trucizny, to pasożyty by się na człowieka przeniosły. Trochę się ich łapało i wywalało na zewnątrz.

- I co, pomagało?

- A skąd. Nie wiem, czy wracały, czy nie, ale zawsze ich było pełno. Ja to spałem z głową wywieszoną za krawędź łóżka, twarzą w dół, żeby mi po gębie nie chodziły.

- Sprytnie.

- Ale to nic. Szeregowy Ferrato, ten to miał, kurwa, pecha. Raz to się mało nie udusił. Spał z otwartą japą, a dla szczura to jeszcze jeden otwór do zbadania. Wpieprzyły mu się do gęby. Żeby pan widział, co się działo. Ferrato mało pierdolca nie dostał. A następnej nocy to jeszcze lepiej było, bo szczur wygryzł mu dziurę w śpiworze. Szlag wie, dlaczego tak sobie Jimmy'ego Ferrato upatrzyły. Innego koleś to w ogóle nie ruszały. No, prawie w ogóle.

- I co z tym śpiworem?

- To włochate gównno władowało mu się do śpiwora i zaczęło się kotłować. Panie poruczniku, Jimmy'ego to sześciu chłopów musiało trzymać, żeby się nie rzucał. Chcieliśmy go ze śpiwora wyciągnąć, a ten szalu dostawał. Chłopaki walili kolbami w szczura, jak tylko się ruszył. Wyciągnęliśmy Jimmy'ego i nie uwierzy pan, szczur nawet raz go nie ugryzł. Ani jeden raz. Potem zajrzeliśmy do śpiwora. Gnój na miazgę był rozgnieciony w środku. A śmierdziało... - Sierżant machnął ręką wymownie.

- Wyobrażam sobie.

- Potem był ostrzał artyleryjski - kontynuował makabryczne wspomnienia sierżant. - Pocisk z opóźnionym zapłonem wbił się w ziemię trochę przed bunkrem. Ekspłodował i okazało się, że trafił chyba w gniazdo tych szczurzych skurwysynów. Niektóre jakimś cudem przeżyły i rozbiegły się na wszystkie strony. Chłopaki to walili do szczurów z większym

zapalem niż do wroga. Mówię panu, poruczniku, co tam się działo... Całe szczęście, że po nas przyszliście.

Wyjeżdżali z miasta. Droga prowadziła w górę i zaczęła się wic. Kierowca musiał teraz znacznie bardziej uważać.

Oddział był mały. Mieli zrobić rozpoznanie. Tylko rozpoznanie. Sprawdzić teren i przygotować drogę dla większych sił. W razie gdyby napotkali Koreańczyków, mieli się natychmiast wycofać i zawiadomić dowództwo. Julek i jego podkomendni nie uważali, że są tu po to, by unikać walki z wrogiem. Przeszli znacznie lepsze szkolenie niż inni żołnierze armii amerykańskiej. Czuli się elitą i byli elitą. Już kilkakrotnie pod komendą porucznika Kwiatkowskiego mieli okazję dowieść swej wartości bojowej.

Julkowi przydzielono młodego, podobno zdolnego porucznika, którego - jak to się dowództwo wyraziło - miał wyprowadzić na ludzi, czyli zrobić z niego żołnierza na miarę swoich ludzi. Przykazał więc porucznikowi Markowi Petru z Arizony, by nie odstępował go na krok. Młody, choć równy Kwiatkowskiemu stopniem, miał wystarczająco zdrowego rozsądku, by być mu ślepo posłusznym. Tak zresztą mu odgórnie nakazano.

- Słyszałem, że Koreańcy są wszędzie. Kamuflują się nie do zauważenia. - Porucznik Petru rozglądał się z przestachem. - Nasi wpadają, i jest rzeźnia.

- Nie ma „nie do zauważenia” - odparł Kwiatkowski. Wydawał się być zadziwiająco spokojny, wręcz zrelaksowany. Jakby siedł do lasu na grzyby. - Trzeba umieć patrzeć.

- To znaczy?

- Patrzysz pod nogi. Widzisz świeży ślad buta i wiesz, że wróg jest w pobliżu. Widzisz złamaną gałązkę i wiesz, że wróg czai się gdzieś niedaleko. Czujesz zapach dymu papierosowego, przeladowujesz karabin i walisz w krzaki. Na pewno jakiś tam siedzi.

- Dymu papierosowego?

- Koreańce lubią sobie zapalić, jak na nas czekają.

- Skąd będę wiedział, że to nie nasz?

- Ich fajki śmierdzą. Podła jakość.

Młody porucznik wciągnął nozdrzami powietrze. Nie wyczuł podejrzanego zapachu. Przyjrzał się gruntowi i gałęziom krzewów. Nic nie wzbudzało podejrzenia. Kwiatkowski i jego ludzie nie wyglądali na specjalnie skupionych. Można było dostrzec w ich zachowaniu swego rodzaju nonszalancję. Domyślał się, że mogło to wynikać z doświadczenia bojowego. Mylił się tylko co do jednego. Wszyscy, łącznie z dowódcą, byli skoncentrowani, choć nie dawali tego po sobie poznać. Nie pozwoliliby się zaskoczyć.

- A jak z Chińczykami? - Petru zadał kolejne pytanie.

- Łatwiej.

- Dlaczego?

- Taka sobie wartość bojowa. Liczą na przewagę liczebną. Atakują i uciekają, potem znowu atakują. Jak się postarać, to można taką grupę dojść i zlikwidować. Gorzej jak trafi się na duży oddział. Wtedy Chinole mogą być problemem.

- I co robić?

- Spieprzać.

Mark Petru pokiwał głową ze zrozumieniem. Oczywiście. Niby coś innego.

- Czyli Koreańczycy są bardziej niebezpieczni?

- Są dobrze wyszkoleni i zaopatrzeni. Trudny przeciwnik. Biją się o swoje. Tak im się przynajmniej wydaje. Chcą nas za wszelką cenę wyprzeć z półwyspu. Atakują do wyczerpania wroga. Powiedziałbyś niezmordowanie. Poza tym przemieszczają się na pieszo szybciej, niż nasze transporty po drogach.

- Jakim cudem?

- Są u siebie. Znają teren. My nie zawsze.

Pogoda była nieprzyjemna. Co jakiś czas siąpił drobny, gryzący deszcz. Żołnierze nie zwracali uwagi na aurę. Do wszystkiego można się w końcu przyzwyczaić.

- Na coś trzeba jeszcze uważać?

Julek spojrzał na młodego kolegę.

- Na wszystko. Masz mieć oczy dookoła głowy. Wkrótce będziesz odpowiedzialny za swoich żołnierzy. I nie daj się wziąć do niewoli.

- Tak ciężko?

- Mało kto wraca. Opowiadają rzeczy, o których wolałbyś nie wiedzieć.

- Wyobrażam sobie.

- Zapewniam cię, że sobie nie wyobrażasz. - Julek wyprowadził go z błędu.

Szli dłuższy czas, a nie natknęli się na wrogie siły. Z jednej strony dobrze, bo po terenie można się było bezpiecznie poruszać, lecz z drugiej - cierpieli na brak wiarygodnych informacji na temat liczebności, uzbrojenia i typu wrogich jednostek. Musieli więc iść dalej. W końcu muszą napotkać Koreańczyków lub sprzymierzonych z nimi ochotników chińskich.

Z każdym pokonanym kilometrem należało wykazywać większą czujność. Wróg mógł się czaić wszędzie. Mijali wzniesienia, niewielkie skały i starali się nie wychodzić na otwartą przestrzeń, a jeżeli już zaistniała taka konieczność, przemykali niezauważeni i zaraz potem ponownie kryli się w lasach.

Sierżant Tom Bennet, idący na szpicy, wypatrzył wroga pierwszy. Dał sygnał reszcie oddziału, by się zatrzymali i ukryli. Julek wraz ze swoim młodym podopiecznym podbiegł do Benneta. Sierżant podał mu lornetkę. Około kilometra przed nimi na linii lasu dostrzegł wojskową kolumnę.

- Sami nam się pod lufę pchają - wycedził podoficer.

- Wierzyć się nie chce. Co pan myśli, poruczniku?

- Zdaje się, że mamy cholerne szczęście, a oni cholernego pecha. Rozstaw ludzi na rogach. Jak dojadą do urwiska rozwalamy pierwszy i ostatni samochód.

- Zrobi się. - Twarz sierżanta wykrzywił złowrogi uśmiech. - A potem...

- A potem wyślemy ich do komunistycznej krainy wiecznych łowów.

Na wzniesieniu pod osłoną drzew i zarośli zapanował w pełni kontrolowany ruch. Amerykańscy żołnierze działali niczym krwiożerczy drapieżnicy, czający się na ofiarę, która nie spodziewając się niczego, szła prosto na nich. Koreańczycy szybkim manewrem przegrupowania sił chcieli zająć Amerykanów od tyłu. Działali pośpiesznie i nie przeprowadzili dokładnego rekonesansu terenu. Wkrótce, za sprawą oddziału porucznika Kwiatkowskiego i wezwanego wsparcia, przyjdzie im zapłacić za podjęte ryzyko bardzo wysoką cenę.

Julek wszedł do polowego namiotu. Zastał tam trzech mężczyzn pochylonych nad mapą. Kapitana Rogera Chaina i porucznika Raula Jimeneza znał. Trzeciego widział po raz pierwszy. Krótki rzut oka na dystynkcje i domyślił się kto to. Nowy dowódca w randze pułkownika podniósł wzrok na wchodzącego. Wzrok ten wymuszał bezwzględne posłuszeństwo. Ogorzała i porwana bruzdami twarz, silnie zarysowana dolna szczęka i to spojrzenie. Widać było od razu, że ma się do czynienia z człowiekiem doświadczonym, który niejedno widział na polu walki.

- Porucznik Kwiatkowsky - przedstawił Julka kapitan. - Właśnie dzięki ostatnim działaniom jego oddziału udało się wyprzedzić uderzenie Koreańczyków. Inaczej mielibyśmy niezłą jatkę.

- Pułkownik Ben Pearse. Dobra robota, poruczniku. - Sucha pochwała z ust pułkownika mimo wszystko miała swoją wagę. - Proszę nam przedstawić sytuację na pana odcinku.

Kwiatkowski podszedł do mapy. Cała czwórka ponownie pochyliła się nad szczegółowym planem terenu działań wojennych.

- Ze swoimi ludźmi jestem tutaj. - Julek położył palec wskazujący na mapie. - Wróg

próbował przejść tędy - palec porucznika przesunął się kilka centymetrów - ale czekaliśmy na nich. Nie spodziewali się uderzenia. Straty własne to czterech zabitych i sześciu rannych. Lekko. Pod drugiej stronie jest znacznie gorzej.

- Wyobrażam sobie - pułkownik uśmiechnął się z uznaniem. - Podobno urządziliście im regularną krwawą łaźnię.

- Myślę, że nieprędko spróbują jeszcze raz.

- Nieźle, Jimenez, co u ciebie?

- Bronimy się, ale bez wsparcia nie wytrzymamy za długo. Jakby *Dzuls...* - Jimenez podobnie jak inni koledzy Julka zamerykanizował jego imię, które Amerykanie w papierach pisali „Jules”; Julek stał się Dżulem, i zdążył już się do nowego imienia przyzwyczaić - znaczy porucznik Kwiatkowski ze swoimi ludźmi do mnie dołączył...

- Niemożliwe - przerwał mu Pearse. - Ludzie Kwiatkowski'ego to oddział przeznaczony do wykonywania operacji specjalnych. Kwiatkowski, wycofajcie się stamtąd. Natychmiast. Będziemy was jeszcze potrzebować.

- Wycofać się? - Julka zdziwiła decyzja dowódcy. - Teraz? Mamy ich na widelcu. Jakbym dostał jeszcze ze stu ludzi i trochę ciężkiego sprzętu, to wchodzimy i z Koreańczyków nie ma co zbierać. Bez pudła.

- Kwiatkowski ma rację, pułkowniku - poparł Julka kapitan Chain. - W tamtym rejonie mielibyśmy spokój.

- Wiem, kapitanie. Wszystko wiem. Niestety jest jedno „ale”.

- Czyli? - spytał Kwiatkowski.

- Jakies pięćdziesiąt kilometrów od was złapaliśmy zwiadowcę. Został natychmiast przesłuchany i okazało się, że to żołnierz chiński. Złapany na terenie naszych działań.

- Ochotnik? - spytał kapitan. - Podobno zgłaszają się na ochotnika, żeby walczyć razem z Koreańczykami.

- Na początku też tak myśleliśmy - ciągnął pułkownik. - Potem dostaliśmy meldunki z wywiadu. Potwierdził je nasz zwiad. Chiński korpus w sile około 300 tysięcy ludzi idzie w kierunku naszych linii frontowych. Z jakichś powodów Chiny postanowiły się włączyć w konflikt. To zmienia sytuację diametralnie.

- Jasna cholera! Chińczycy? - kapitan Chain nie mógł uwierzyć. - To pewne?

- Absolutnie - odparł pułkownik stanowczo.

- Jakie rozkazy?

- W żadnym razie nie wolno nam prowadzić działań zaczepnych przeciwko Chińczykom. Możemy się bronić, jak nas zaatakują. Choć mam nadzieję, że do tego nie

dojdzie. Trzeba przygotować grunt pod negocjacje. Tym akurat zajmą się już politycy.

- Czyli co teraz robimy?

- Nic nie robimy. Utrzymujemy pozycję.

- A ja? - spytał Julek.

- Dostałem polecenie, żeby odesłać cię do sztabu. Mają tam dla ciebie jakąś specjalną robotę.

- Zabieram moich ludzi?

- Nie, oddział zostaje tutaj. Jedziesz sam.

- Rozumiem.

Pomieszczenie urządzone surowo, jak na warunki polowe przystało. Trudno było znaleźć coś przyzwoitego w okolicach Seulu, biorąc pod uwagę fakt, że tereny te stosunkowo niedawno zostały odebrane armii północnokoreańskiej. Zniszczenia na skutek działań wojennych widziało się tu na każdym kroku.

Pułkownik wyciągnął do Julka rękę.

- Nazywam się Bidwell, Jonas Bidwell, z wywiadu. Zajmuję się koordynacją misji specjalnych w różnych częściach świata.

- Szpiegostwo?

- Niedokładnie. Chodzi o misje wojskowe. O panu dużo słyszałem, poruczniku.

- Mam nadzieję, że dobrego.

Pułkownik roześmiał się.

- Powiedzmy, że głównie dobrego. Ale do rzeczy. Miałbym dla pana pewną propozycję.

- Nie szpiegowską. - Julek wołał się upewnić. - Jestem żołnierzem.

- Od szpiegostwa są inni. Nie ja.

- Kamień z serca.

Lekko zawadiacki i ironiczny ton wypowiedzi Polaka mógł być irytujący, ale pułkownik kładł to na karb nieokielzanej natury tego człowieka i jego twardego charakteru. Cechy takie mogą okazać się wręcz pożądane w akcji.

- Tworzymy swego rodzaju elitę sił specjalnych, których zresztą jest pan już częścią.

- Co znaczy elitę?

- Wybieramy najlepszych z najlepszych. Poddajemy specyficznemu szkoleniu i wysyłamy na najbardziej wymagające misje.

- I mnie przypadł ten zaszczyt?

Do Kwiatkowskiego nieszczęśliwie przemawiała ta idea. Czuł się dobrze tam, gdzie był, wśród swoich ludzi wypróbowanych w działaniach frontowych. Niekoniecznie pragnął zmian, choć z drugiej strony musiał przyznać, że ten pułkownik wzbudzał zaufanie. Na pewno potrafił bez większych problemów zjednywać sobie ludzi. Trudno było to jakoś zdefiniować, ale była od tego postawnego Amerykanina swoista pewność siebie, nie mająca jednak nic wspólnego z zarozumiałstwem. Po prostu znał swoją zdecydowanie ponadprzeciętną wartość i nie starał się tego ukrywać za parawanem fałszywej skromności.

- Ma pan dość rzadkie, niezwykle nam przydatne przygotowanie oraz doświadczenie bojowe jak mało kto. Dobrze się stało, że dał się pan przygarnąć amerykańskiej armii.

- W Anglii nie za bardzo miałem inne wyjście.

- Tak, słyszałem. Historia nie obeszła się z wami Polakami zbyt łaskawie.

- Mało powiedziane.

Nie było wątpliwości, że Juliusz Kwiatkowski żywił głęboki żal do „historii”.

- W każdym razie bardzo by mi się pan przydał, poruczniku. Nie będę tu oczywiście machał panu przed nosem frazesami typu: „ojczyzna pana potrzebuje”. Chyba nie ma sensu. Prawda?

- Prawda. Bo wtedy spytałbym: „która ojczyzna”?

- No tak. Ma pan obywatelstwo amerykańskie, ale wciąż czuje się pan Polakiem.

- Niezmiennie, i do końca moich dni.

- „Do końca moich dni” - powtórzył pułkownik z miną filozofa. - Dość ryzykowne stwierdzenie w ustach żołnierza frontowego.

- W różnych sytuacja się bywało.

- Zanim spytam pana wprost, chciałbym wyjaśnić kilka spraw. W razie przyjęcia mojej propozycji zyskuje pan szanse bardzo znaczącego udoskonalenia swoich umiejętności, zdobycia doświadczenia niedostępnego dla innych, uczestniczenia w operacjach o najwyższym znaczeniu strategicznym i jeszcze parę innych rzeczy by się znalazło.

- Ale pewnie coś za coś.

- Ryzyko utraty życia w akcji rośnie niepomierne.

- Zaczyna mi się to podobać. Proszę mówić dalej, pułkowniku.

Amerykański oficer nie do końca potrafił odgadnąć znaczenie zagadkowego uśmiešku na twarzy rozmówcy. Jedno było pewne - Polak się nie bał. Ani trochę. Jakby życie własne nie przedstawiało dla niego większej wartości. Uśmiechał się, słysząc o możliwościach śmiertelnego zagrożenia. Ale nie był to uśmiech głupca. Raczej człowieka, który kpi sobie ze śmierci, lecz swojej skóry tanio nie sprzedaje. Takich ludzi potrzebował.

Postanowił więc wreszcie powiedzieć wprost.

- Proponuję panu wejście w skład tajnego, elitarnego oddziału armii Stanów Zjednoczonych. Bez możliwości wycofania się. Jeśli potrzebuje pan czasu na przemyślenie, to daję panu pięć minut.

- Dużo - stwierdził Julek z odrobiną sarkazmu w głosie.

- Więcej nie ma.

- Nie potrzebuję pięciu minut. Mogę odpowiedzieć od razu.

Nie zabrzmiało to optymistycznie w uszach pułkownika Bidwella.

- Więc?

- Jestem do pana dyspozycji.

- Nie będzie możliwości zmiany decyzji.

- Jestem do pana dyspozycji, pułkowniku - powiedział Polak, mocno akcentując słowa.

- Cieszę się. Chociaż nie mogę powiedzieć, że nie będzie pan żałował.

- To już mój problem.

Ulice Seulu szybko zapełniały się ludźmi. Doświadczony wojną naród podnosił się z upadku i życie w mieście wracało do normy. Ciągła obecność wojska stawała się coraz mniej widoczna. Pojawiały się uliczne stragany - zaczątek mającego wkrótce rozkwitnąć handlu. Wojna zdawała się odchodzić w zapomnienie.

Bidwell i Kwiatkowski zatrzymali się przed szarym, piętrowym budynkiem.

- To tu - powiedział pułkownik i popatrzył w obie strony wzdłuż ulicy. Dwóch wojskowych w amerykańskich mundurach nie robiło na przechodniach żadnego wrażenia. Już dawno mieli okazję przyzwyczać się do obecności obcych wojsk, które przecież obroniły ich przed naporem komunistycznej armii z Północy.

- Jak go poznam? - Julek spojrzał na ciemne wejście do budynku.

- Stary, posiwiaty, jakby miał ze sto lat. Poza tym będzie sam.

- Mam zlikwidować zgrzybiałego staruszka?

- Pozory mylą. Pracuje dla nas, ale to bardzo przebiegły człowiek. Jeżeli przeszedł na stronę tych z Północy, to stanowi śmiertelne zagrożenie. Musisz uważać na to, co mówi. Wspomni ci, choćby słowem o operacji CREDO, rozwalasz go i wychodzisz. CREDO to prowokacja. Czasem musimy sprawdzać agentów.

- Może być uzbrojony?

- Nie sądzę, ale musisz uważać. - Pułkownik spojrzał na zegarek. - I lepiej się śpiesz.

Jeżeli nasze podejrzenia są słuszne, to w każdej chwili możemy mieć towarzystwo.

Julek wszedł do ciemnej bramy. W korytarzu były tylko jedne drzwi. Nie pukał. Otworzył delikatnie i wsunął się do pomieszczenia. Gospodarz siedział przy małym, drewnianym stoliku i coś pisał. W pokoju panował mrok, który rozświetlał jedynie snop słabego światła z lampki na biurku.

Staruszek zdawał się nie słyszeć wchodzącego. Julek obrzucił spojrzeniem wewnątrz. Byli sami. Żadnego ewentualnego zagrożenia nie dostrzegł. Koreańczyk nie przerwał pisania. Nie miał broni, a przynajmniej nie było jej widać na pierwszy rzut oka.

- Jesteś od Bidwella? - starzec nagle zadał pytanie.

Ani na moment nie oderwał wzroku od kartki, na której cały czas coś starannie kaligrafował.

- Mam przejąć meldunek - odpowiedział Kwiatkowski.

Śledził każdy ruch Koreańczyka. Ale ruchów tych było niewiele. Starszy mężczyzna odłożył pióro, wziął kartkę do ręki i przyjrzał się swojemu dziełu krytycznie.

- Znasz się na kaligrafii? - Nie doczekał się odpowiedzi. - To niezwykła sztuka. Dzisiaj już niedoceniana. Szczególnie przez was, przedstawicieli świata zachodniego. Mienicie się cywilizowanymi, a zgubiliście sedno prawdziwej cywilizacji.

- Darujmy sobie filozofię - powiedział Kwiatkowski oschle. Instynktownie wyczuwał, że coś jest nie tak. Czyżby pułkownik miał rację? - Nie ma czasu.

- Właśnie. Na wszystko wam szkoda czasu. Ciągły pośpiech.

- Więc?

Stary człowiek wstał z krzesła i obrócił się twarzą do Polaka. Na pomarszczonej twarzy miał wypisaną arogancję i pogardę. Założył niedbale ręce za plecy. Dzielilo ich zaledwie kilka metrów. Julek napiął mięśnie. Adrenalina strzeliła w krwioobieg. Instynkt alarmował.

- Możesz przekazać Bidwellowi, że operacja CREDO rozwija się pomyślnie.

Jak na dany sygnał, Kwiatkowski błyskawicznie wyciągnął pistolet i wycelował w staruszkę. Tamten ani drgnął. Wciąż patrzył na przybysza butnie. Nie wykazywał najmniejszych oznak niepokoju, nie mówiąc już o strachu, co byłoby zupełnie normalną reakcją w takiej sytuacji.

Julek celował w niego, ale nie strzelił. Miał duszę żołnierza, nie zimnego mordercy. W każdym razie w pełni kontrolował sytuację, więc może obezwładni staruszkę, zawoła Bidwella i niech już on ostatecznie decyduje, co z dziadkiem robić. Nie chciał pozbawiać życia kogoś, kto mógł być ofiarą nieszczęśliwej pomyłki. Widział już przecież taki przypadek

w Polsce, kiedy to Zygmunt Michta zastrzelił niewinną dziewczynę.

- Na podłogę, twarzą do ziemi.

- Ach, więc operacja CREDO to śledź? - odezwał się Koreańczyk najspokojniejszym w świecie głosem. - Sprawdzaliście mnie. No cóż. Nie zdałem testu. I co, zabijesz mnie teraz?

- Powiedziałem na ziemię - warknął Kwiatkowski.

Każdy normalny człowiek, w położeniu staruszka, powodowany instynktem samozachowawczym bezzwłocznie wykonałby polecenie. Lecz Koreańczyk zaskoczył go nieszablonowym zachowaniem.

- Nie - powiedział beczelnie.

Spokojnie czekał na ruch przeciwnika. Sytuacja była właściwie całkiem jasna. Julek już teraz wiedział na pewno, że ma do czynienia ze zdrajcą. Musi dokonać likwidacji. Nie wahał się dłużej i pociągnął za spust dwukrotnie, dla pewności, że ofiara nie przeżyje. Lecz Koreańczyk zamiast paść martwym z przestrzeloną piersią... odchylił się do tyłu, a wystrzelone pociski utkwily w ścianie naprzeciwko. Julek strzelił jeszcze raz i kolejny, ale miał wrażenie, że próbuje upolować muchę, która swoimi reakcjami wyprzedza jego posunięcia.

Staruszek kilkoma susami doskoczył do niego. Ani się Julek obejrzał, kiedy Koreańczyk chwycił za jego pistolet i jednym, zdawałoby się, magicznym ruchem po prostu wyjął Polakowi go z dłoni. Podobnej sztuczki nauczył Julka kiedyś Hiroshi Hara, ale w wykonaniu Koreańczyka była mistrzostwem świata. Następnie starzec niedbale rzucił broń za siebie. Szanse się wyrównały. Przynajmniej tak się Polakowi wydawało. Najszybciej jak potrafił doskoczył do przeciwnika i spróbował zadać cios łokciem w podbródek. Koreańczyk okazał się jeszcze szybszy. Usunął się o pół kroku na bok niczym torreador przed szarżującym bykiem i krótkim jak strzał z bicia ciosem w małżowinę uszną dał Kwiatkowskiemu boleśnie do zrozumienia, że ma do czynienia z przeciwnikiem - choć wydawałoby się to wręcz niewiarygodne - znacznie przewyższającym go wyszkoleniem, szybkością i precyzją ruchu.

Julek zachwiał się po ciosie, ale nie stracił rezonu. Wiedział, że musi coś szybko wymyślić, jakiś sposób, nietypową broń, która pozwoli mu pokonać tego staruszka.

- I co myślisz? - usłyszał wyraźny głos Bidwella.

Pułkownik nie zwracał się jednak do swojego podkomendnego, ale - o dziwo - do koreańskiego dziadka. Co jest grane?

- Rusza się jak mucha w smole - odpowiedział Koreańczyk - ale ma potencjał.

- To dobrze. Zajmiesz się nim?

- Chyba powinienem.

- O co tu, do cholery, chodzi?! - Julek uznał, że najwyższy czas zmanifestować swoją obecność. - Może ktoś mnie łaskawie oświeci.

Bezwiednie przyłożył dłoń do obolałego ucha.

- Obiecałem ci coś. - Jonas Bidwell spojrzał na swojego porucznika. - Właśnie słowo ciałem się staje.

- Cokolwiek to znaczy - dodał Koreańczyk.

- Zostawiam panów. Macie na pewno sobie wiele do wyjaśnienia.

To powiedziawszy, pułkownik opuścił pomieszczenie i zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 26

Maria miała tremę. Pierwsza wywiadówka w życiu, ale na pewno nie ostatnia. Zosia zgodnie z zaleceniem władz poszła do pierwszej klasy już od września. Państwo pomogło Kwiatkowskiej - ciotce samotnie wychowującej dziecko - wyposażyć dziewczynkę do szkoły. Lokalna komórka partyjna zadbała o książki i podstawowe przybory szkolne. Musiała przyznać, że cokolwiek by mówić o komunistach, to o edukację najmłodszych chcieli i umieli zadbać. Sam program likwidacji analfabetyzmu w Polsce też przynosił wymierne rezultaty.

Na szkolnym korytarzu zastała panią woźną, która akurat wycierała podłogę. Marysia przeszła po suchej części, żeby nie narazić się na głośną reprimendę sprzątaczkę. Takie to nastały czasy, że przedstawicielka klasy robotniczej miała poczucie władzy i wagi swojej funkcji, ustępując pod tym względem, może jedynie dyrektorce i wicedyrektorce szkoły. Wszyscy inni, nie wyłączając nauczycieli, musieli się z nią liczyć. Szkolna woźna, to był ktoś i Marysia doskonale o tym wiedziała. Nieraz słyszała opowieści od koleżanek w zakładzie pracy o woźnych w różnych szkołach, do których posyłały swoje dzieci i sytuacja była podobna. Z panią woźną należało się liczyć.

Sala pierwszej klasy mieściła się na piętrze. Mimo że Maria przyszła co najmniej piętnaście minut wcześniej, kilka mam stało karnie pod klasą, niczym przerośnięte uczennice czekające na nauczycielkę. Rozmawiały ściszymi głosami, jakby były w kościele, a nie w placówce edukacyjno-wychowawczej.

- Dzień dobry! - przywitała się przyjaźnie. - Panie też na wywiadówkę?

- My tu wszystkie - odpowiedziała tęga kobieta. Miała wygląd kierowniczkę sklepu masarskiego, która bynajmniej nie stroniła od tłustych potraw, lecz jej wyraz twarzy ujmował łagodnością i pogodą ducha. - A pani od kogo?

- Od kogo? - Maria nie zrozumiała w pierwszej chwili. - Ach, ja od Zosi Kwiatkowskiej.

- Hmm, Zosia, Zosia. - Grubaska pokiwała głową z wyrozumiałością. W jej geście dostrzec można było też jakby odrobinę współczucia. - Ciocia?

- Tak. Zajmuję się Zosią. Nie ma rodziców.

- Wiemy, wiemy. Wszystko wiemy. Wojna. Zginęli.

Pozostałe kobiety przytakiwały tylko. Ewidentnie one również znały sytuację rodzinną Zosi.

Marię zastanowiło, skąd one niby wszystko mogą wiedzieć. Podczas jeszcze stosunkowo krótkiego pobytu w kraju nie zdążyła się zorientować, że tu właściwie nie ma

tajemnic. Życie prywatne obywateli socjalistycznej ojczyzny było prywatne tylko z pozoru. O wszystkim mówiło się otwarcie, bez skrępowania. Ona sama nie znalazła się jeszcze w tym kręgu, ale wkrótce musiało to nastąpić.

- A panie od kogo, jeśli mogę spytać? - Ciocia Zosi postanowiła nawiązać rozmowę.

- Ja jestem od Kazia Boczka - tęga zdradziła się z nazwiskiem, wyjątkowo adekwatnym dla jej postury. - Od Hani Pachciarek, Edzia Kioski i Józia Fronca - przedstawiła pozostałe mamy po kolei. - My tu jesteśmy trójka klasowa, znaczy się my trzy, bo Wandzia Kloska już nie.

Maria zdała sobie sprawę, że kobiety są najwidoczniej w zażyłych stosunkach, a przynajmniej znają się doskonale. Ciekawe, czy tylko w ramach funkcji szkolnych, czy również na stopie prywatnej.

Zaczęły przychodzić inne mamy. Uderzające, że pojawiały się tylko kobiety. Witały się ze sobą niejednokrotnie jak stare znajome, do tego stopnia, że Marysia w którymś momencie poczuła się nieswojo. Grono rodziców klasy pierwszej wyglądało na doskonale zintegrowane z niewielkimi wyjątkami w osobie Marii Kwiatkowskiej i... jedyne go mężczyzny, który objawił się w tym żeńskim towarzystwie niczym rodzynek w cieście. Miał na sobie wyświechtany garnitur z przykrótkimi spodniami odsłaniającym zniszczone buty. On również przywitał się głośnym „dzień dobry”, ale mało kto zdołał mu w ogóle odpowiedzieć. Zrobił się harmider trajkoczących i zajętych sobą matek. Przyciszone głosy bezpowrotnie zniknęły.

- Dzień dobry, panu! - Marysia odezwała się do niego jako jedyna z obecnych.

Mężczyzna uśmiechnął się niepewnie. Podszedł do Marii.

- Ja tu jeszcze nikogo nie znam - powiedział usprawiedliwiająco. - Jesteśmy we Wrocławiu dopiero od tygodnia. Nie było okazji, żeby...

- Pozwoli pan, jestem Maria Kwiatkowska - wyciągnęła rękę.

- Bardzo mi miło. Andrzej Szmajda. - Pochylił się i pocałował wierzch jej spracowanej dłoni. - Tata Staszka Szmajdy.

- Wszyscy się tu znają. - Spojrzała wymownie na towarzystwo matek pierwszoklasistów. - Oprócz nas dwojga.

- Słyszałem, że rodzice z naszej klasy to prawie wszyscy w Hutmenie pracują. Dlatego się znają.

- Ach, o to chodzi. Już myślałam, że coś przegapiłam.

- Pani nie z Hutmenu, jak rozumiem?

- Pafawag. Od paru miesięcy.

- Naprawdę? - ucieszył się tata Staszka. - Ja też tam pracuję. Od przedwczoraj. Jestem po technikum i skierowali mnie na pudła.

Słowo „pudła” dla kogoś spoza fabryki wagonów niewiele znaczyło. Ale dla Marysi nie było tajemnicą, że chodziło o karoserię, czyli nadwozie wagonów.

- Pewnie gdzieś w zakładzie się spotkamy.

- Trudno będzie, kiedy załoga to parę tysięcy ludzi.

- Pani na jakim wydziale?

- Księgowość. Skończyłam kursy na tajnych kompletach jeszcze za okupacji. Teraz się wiedza przydaje.

- Księgowość, czyli kadra umysłowa - stwierdził z respektem. - Lepsza część załogi.

- Szkoda tylko, że zarobki niższe niż u „gorszej części załogi” - powiedziała z przekąsem.

- Ale prestiż większy.

- Tylko, że prestiżu nie da się do garnka włożyć.

Nadeszła nauczycielka. Spóźniła się dziesięć minut, ale nikomu przez myśl by nawet nie przeszło, żeby jej to wyrzucić. Pani nauczycielka była niekwestionowanym autorytetem dla tych ludzi, z których ogromna większość zakończyła edukację na szkole podstawowej a czasem wieczorowej zawodowce, gdy skierował tam kogoś zakład pracy. Pani nauczycielka to była figura. Tak ją postrzegano i traktowano. Dlatego rodzice nie oczekiwali zwyczajowego „dzień dobry”. Sami prześcigali się w pozdrowieniu wychowawczyni ich dzieci, na które to odpowiedziała raz, ale z życzliwością w głosie.

Halina Cechańczuk otworzyła klasę i weszła do środka. Za nią wtoczyło się grono rodziców. Zajęli miejsca w, za dużych dla maluchów, ławkach - po dwie osoby niczym uczniowie. Maria usiadła w pierwszej ławce obok Andrzeja Szmajdy.

Głośne rozmowy z korytarza przeniosły się do pomieszczenia. Kobiety rozprawiły w najlepsze aż do momentu, gdy nauczycielka zmarszczyła brwi i powiodła wzrokiem po rozgadanych towarzystwie.

- Proszę o ciszę - powiedziała stanowczym głosem. - Nie rozmawiamy na lekcji - dodała odruchowo, zanim zdała sobie sprawę, że przecież nie stoi przed swoimi uczniami. Nie uznała jednak za stosowne skorygować napomnienia. Na ustach co niektórych pojawił się uśmiezek niepozabawiony złości. - Najpierw sprawdzę obecność.

Niektórzy rodzice spojrzeli po sobie zdezorientowani. Jaką obecność?

- Obecność, czy od każdego dziecka ktoś przyszedł - wyjaśniła Boczkowa niezorientowanym.

Wyczytywanie nazwisk trwało krótko. Nie było nikogo jedynie od Renaty Zadroznej. Ale gdy Halina Cechańczuk zamknęła dziennik, drzwi klasy otworzyły się i do środka weszła skulona kobiecina w chustce na głowie. Zachowaniem przepraszała, że żyje.

- Spóźnialska to kto? - usadziła ją w progu nauczycielka.

- Ja Zadrozna jestem.

- Do szkoły nie należy się spóźniać. To zły przykład dla dzieci.

- Na autobus nie zdążyłam, pani kochana - powiedziała niemal żałośnie. - Ja bym się nie spóźniła.

- Mamy za sobą prawie trzy miesiące pracy. - Nauczycielka zwróciła się do reszty rodziców. - Pokrótkę omówię każdego z uczniów. Zaczniemy od Rózi Abramowicz...

Matka wywołanej dziewczynki wstała. Poczuli się w obowiązku, jakby to ona była rzeczoną uczennicą. W kilku zwięzłych komentarzach, na forum, przekazany został w miarę szczegółowy opis edukacyjnych osiągnięć dziecka, niestety dla matki z przewagą negatywów wypunktowanych bez żenady, co wprawiało kobietę w widoczne zakłopotanie.

Uczniowie byli charakteryzowani po kolei i każdy rodzic, właściwie nie wiedząc czemu, wysłuchiwał uwag o swoim dziecku na stojąco. Obraz, jaki malowała nauczycielka, nie był zły. Klasa znajdowała się ogólnie na średnim poziomie, a może nawet ciut wyżej niż średnim.

W końcu przyszła kolej na Marię. Ona też wzorem poprzednich matek wstała z ławki.

- Zosia Kwiatkowska. - Halina Cechańczuk wzięła głęboki oddech. - Tutaj to dopiero mam coś do powiedzenia. Słowa te nie zabrzmiały zbyt optymistycznie. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę jeszcze tak niedawne przeżycia dziewczynki, można się było spodziewać problemów z nauką, bo z dyscypliną to pewnie nie. - Jak zobaczyłam Zosię, to od razu sobie pomyślałam, że z tym dzieckiem będą problemy. Zabiedzona, wystraszona i nieśmiała. Zupełnie inna niż jej rówieśnicy.

- Proszę pani - Marysia postanowiła spróbować jakoś usprawiedliwić bratanicę w oczach wychowawczyni - Zosia dopiero od niedawna...

- Mnie się nie przerywa, proszę pani.

- Przepraszam.

- Tak więc spodziewałam się problemów z Zosią, ale czekało mnie miłe rozczarowanie. Zosia to filar klasy. Niezwykle zdolna i pracowita dziewczynka. Wszystko chwyta w lot. Niedługo na apelu będzie przyznawana odznaka wzorowego ucznia. Zosia dostanie ją jako pierwsza. Nie mam do niej właściwie żadnych uwag. Wszystko jest bardzo dobrze. A nawet lepiej niż bardzo dobrze.

Maria Kwiatkowska poczuła wzrok wpatrzonych w nią rodziców. Zaległa cisza. Ludzie gapili się na nią z zazdrością i swego rodzaju podziwem. Nikt przecież nie usłyszał takich peanów pod adresem swojego dziecka. A Marysia puchła z dumy i usiadła z powrotem w ławce.

Ciszę przerwał głos nauczycielki. Wywołała kolejne nazwisko. Znowu padały uwagi mniej lub bardziej pozytywne.

Zebranie skończyło się po ponad godzinie. Na zewnątrz już zmierzchało. Do starej kamienicy, gdzie Maria dostała przydział mieszkania, było parę kroków. Zapięła wysłużoną jesionkę i postawiła kołnierz. Listopadowa aura była deszczowa i wietrzna.

W jednopokojowym mieszkanku z toaletą na korytarzu Zosia przygotowywała kolację.

- Ciociu, już jesteś - wybiegła do niej do drzwi. Miała na sobie za duży kuchenny fartuch, w którym wyglądała dość komicznie. - Zrobiłam kanapki - oznajmiła radośnie. - Na pewno ci będą smakowały.

Maria odwiesiła jesionkę. Rozłożyła ręce.

- Chodź do mnie, kochanie.

Dziewczynka wbiegła w jej ramiona. Kobieta przycisnęła ją mocno. Pocałowała czule w czubek blond główki.

- Jesteś zmęczona, ciociu?

Pytanie miało swoje uzasadnienie. Maria była na nogach od piątej rano, a już zapadł wieczór.

- Trochę. Ale to nic. Chciałam ci tylko powiedzieć, Zosiu, że jesteś moim skarbem, najcenniejszym na świecie i że kocham cię nad życie. I tak będzie zawsze.

- Ja ciebie też, ciociu. - Dziewczynka wtuliła się w nią z całej siły.

- Chodźmy spróbować tych twoich pyszności.

Zosia wzięła ciocię za rękę i poprowadziła do kuchni.

- Zrobiłam z jajkiem - stwierdziła dumnie. - Dałam jeszcze trochę sera żółtego. Ogórków kiszonych nie mamy.

- Boże drogi, Zosiu, gdzieś ty się nauczyła takie wspaniałe rzeczy robić? Przecież masz dopiero siedem lat.

- Siedem i pół - uściśliła dziewczynka. - Niedługo będę miała osiem. Pani w domu dziecka mówiła, że musimy być samodzielne. Obywatel socjalistycznej ojczyzny zawsze sobie musi poradzić.

Ciocia westchnęła. W Zosi wciąż tkwiły głęboko zakorzenione ślady indoktrynacji

komunistycznej. Minie jeszcze pewnie sporo czasu, zanim stanie się normalnym, szczęśliwym dzieckiem.

- Ale ty jeszcze nie jesteś pełnoprawnym obywatelem socjalistycznej ojczyzny - Maria droczyła się z małą.

- Dlaczego?

- Bo jesteś jeszcze za malutka, kochanie. Na razie to jesteś tylko moim słoneczkiem.

Potwierdziła swoje słowa trzema głośnymi całusami, których dziewczynka nigdy nie miała dosyć.

Gdy przysłała pora spania, jak zwykle uklęły obie przy łóżku.

- O co się dzisiaj modlimy?

- Żeby tatuś się odnalazł i żeby do nas przyjechał, i żeby mnie tak kochał jak ty.

- Kocha cię na pewno. Może nawet bardziej niż ja. I znajdzie cię prędzej czy później.

Zobaczysz.

Popłynęły słowa szczerzej modlitwy. Zosia wśliznęła się pod kołdrę i przykryła się pod brodę.

- Jeszcze bajka - przypomniała zmęczonej cioci.

- Tak, tak, oczywiście. O czym dzisiaj chcesz?

- O śpiącej królewnie - decyzja była natychmiastowa.

Po raz nie wiadomo który Maria opowiedziała przejmującą historię śpiącej królewny.

Usatysfakcjonowana Zosia przymknęła powieki.

- Śpij już. Ja jeszcze sobie radia posłucham.

- Dobranoc, ciociu. Co mi się przyśni?

- Najpiękniejsze księżniczki i ich wspaniałe zamki.

- Dziękuję.

Maria wyszła do kuchni. Miała jeszcze kilka dokumentów do przejrzenia na jutro do pracy.

- A, towarzyska Kwiatkowska. - Pierwszy sekretarz zakładowej organizacji partyjnej odwrócił się od okna.

- Siadajcie, siadajcie. - Wskazał jej krzesło przy małym, kwadratowym stoliku z politurą na wysoki połysk, stojącym pod ścianą. - Napijcie się czegoś?

- Herbaty chętnie - odpowiedziała Marysia zdawkowo.

Jan Kuźma, założyciel i pierwszy członek zakładowej komórki partyjnej podszedł do biurka i podniósł słuchawkę telefonu.

- Dwie herbaty do mnie poproszę.

Odłożył słuchawkę i usiadł przy stoliku naprzeciwko Kwiatkowskiej.

- Chcieliście mnie widzieć... towarzyszu sekretarzu. - Marii z niemałym trudem przychodziło zwracanie się do drugiego człowieka per „towarzyszu”. Mimo że już kilku lat mieszkała w socjalistycznym kraju, znacznie naturalniejszym wydawało się jej mówienie do ludzi per „pan” lub „pani”. Nie była w tym względzie zresztą jakimś specjalnym wyjątkiem w polskim społeczeństwie drugiej połowy lat pięćdziesiątych. - O co chodzi?

- Widzicie, kierownictwo zakładu zastanawia się nad wami i w waszej sprawie skierowało do mnie zapytanie.

- Czy kierownictwo ma zastrzeżenia do mojej pracy? - zaniepokoiła się. - Nie miałam żadnych sygnałów. Przecież ostatnio przyznano mi nawet nagrodę za pomysły racjonalizatorskie. Przyznam się, że nie bardzo rozumiem.

- Ależ towarzyszko Kwiatkowska, może nie wyraziłem się wystarczająco jasno - mówił do niej ojcowiskim tonem, co mogło być uzasadnione z racji jego przedemerytalnego wieku. - Oczywiście doceniamy wasze socjalistyczne zaangażowanie i nagroda wam się słusznie należała. Nikt tego nie neguje. Chodzi o coś innego, co właściwie wiąże się z waszą pracą.

Maria patrzyła na niego wyczekująco, jego poufały ton jakoś jej nie uspokajał. Pierwszy sekretarz zakładowego komitetu partyjnego był osobą, która dzierży władzę trudną do oceny. Sam dyrektor musiał się liczyć z jego opiniami i sugestiami. W sprawach kadrowych wiadomo było, że Jan Kuźma wielokrotnie miał decydujące słowo.

Sekretarka dyrektora weszła do gabinetu. Niosła na tacy dwie gorące herbaty w szklankach. Bez słowa postawiła je przed Marysią i sekretarzem, po czym dyskretnie wyszła.

- Zawsze starałam się wykonywać swoje obowiązki jak najlepiej... - Marysia podjęła rozmowę.

- Nikt nie ma co do tego wątpliwości.

- Więc?

- Dyrekcja zakładu postanowiła was awansować. - Pierwszy sekretarz przekazywał dobrą wiadomość z uśmiechem. - Na kierowniczkę całego działu.

- Awansować? - nie wierzyła własny uszom. - Mnie?

- Jesteście świetnym fachowcem. Awans wam się słusznie należy. Jest tylko jedno „ale”.

Spodziewała się, że coś jest na rzeczy. Sekretarz partii zawsze opiniował wnioski o awans. Jedyne sporadycznie spotykał się jednak z kandydatami do awansu osobiście, a jeśli

już tak się zdarzało, to zwykle po to, by złożyć gratulacje w imieniu partii robotniczej. O wiele rzadziej, by kandydata ostatecznie wysondować, zanim zapadnie konkretna decyzja. Taką potrzebę zobaczył, jak się okazało w przypadku Marii Kwiatkowskiej.

- Jeżeli towarzysz sekretarz widzi jakieś przeciwwskazania, to na pewno znajdzie się inny kandydat - powiedziała zupełnie szczerze.

Propozycja awansu była dla niej zaskoczeniem. Nie była do końca przekonana, czy chce przejąć odpowiedzialność za cały dział. Ktoś musiał, bo obecna szefowa przechodziła na emeryturę, o czym wszyscy naturalnie wiedzieli.

- Dyrekcja sądzi, że nie ma lepszego kandydata i ja skłonny jestem zgodzić się z tą opinią. Ale martwią mnie trochę pewne fakty związane z towarzyszką.

- Jakie fakty?

- Widuje się was w kościele na niedzielnych mszach. Wasza córka, a właściwie bratanica, jak się dowiedziałem, była niedawno u komunii. Czy to się zgadza?

- Towarzysz sekretarzu, zostałam wychowana w duchu głęboko katolickim. Nie potrafię przestawić się na laicki pogląd reprezentowany przez linię partii socjalistycznej. Poza tym nie jestem jedyna. Znaczna część społeczeństwa polskiego jest katolicka.

- Tak wiem - zafrasował się Jan Kuźma. - Nasze społeczeństwo, a przynajmniej jego duża część, wciąż nie dojrzało do nowoczesnego marksistowskiego światopoglądu.

- Szczególnie w świetle wydarzeń poznańskich z '56.

- O, chociażby. Widzę, że mnie rozumiecie. Dlatego właśnie się martwię. Ktoś na kierowniczym stanowisku związany z Kościołem katolickim... sami przyznacie, że nie wygląda to najlepiej.

- Towarzysz sekretarzu, w naszej Polsce Ludowej mamy wolność wyznania. Wybaczcie, ale chyba nie jestem gotowa na odejście od Kościoła dla kariery zawodowej. To dla mnie zbyt trudna decyzja, więc obawiam się... - zawiesiła głos.

- Tak myślałem - powiedział mężczyzna poważnie. - Wierzę, że z czasem wasz światopogląd dojrzeje i dlatego nie będę stawał na drodze waszego awansu. Zresztą dyrekcji bardzo na was zależy. Ale jednej rzeczy właściwie nie rozumiem.

- Tak?

- Sprawdziłem, że nie jesteście nawet członkiem partii robotniczej. Taki fachowiec z nieposzlakowaną opinią... dlaczego?

- Zawsze mnie uczono, że jak coś robić, to albo robić to dobrze albo wcale.

- Co macie na myśli?

- Jeżeli wstąpię do partii, to chcę to zrobić ze stu procentowym przekonaniem, bez

cienia wątpliwości i z pełnym zaangażowaniem.

- Więc w czym problem?

- Myślę, że jeszcze nie dojrzałam do takiej decyzji, choć nie wykluczam, że kiedyś prędzej czy później ona zapadnie.

Skłamała. Wiedziała doskonale, że nigdy nie zdecyduje się na członkostwo w partii komunistycznej. Powody były proste. Wychowanie w domu, przekonania i coraz liczniej pojawiające się wątpliwości dotyczące tak powszechnie propagowanej przewodniej linii partii robotniczej i jej nieomyślności. Wydarzenia poznańskie dowodziły, że wcale nie była odosobniona w swoich przemyśleniach.

- No cóż. Skoro tak mówicie, nie będę na was naciskał. Może to rzeczywiście kwestia dojrzałości ideologicznej. Przekażę dyrekcji moją opinię w waszej sprawie i jednocześnie gratuluję. Życzę sukcesów na nowym stanowisku, pani kierownik.

Wstał i wyciągnął do niej dłoń.

- Dziękuję za zaufanie. - Maria również wstała. - Nie zawiodę tego zaufania.

- Nie mam wątpliwości.

Na korytarzu Maria ochłonęła. Awans wiązał się z wyższym uposażeniem. Nie tak wiele wyższym, ale w jej przypadku każdy grosz się liczył. Dojdzie dodatek funkcyjny i może jakieś prace zlecone. Już się cieszyła na myśl o poprawie bytu dla Zosi i jej samej. Wreszcie będzie ją stać na rzeczy, o których Zosia, dorastająca dziewczynka, mogła do tej pory tylko pomarzyć.

W dziale księgowości wszyscy już na Marysię czekali w atmosferze napięcia. Gdy tylko została wezwana do sekretarza partii, natychmiast ruszyła poczta pantoflowa i jeden drugiemu przekazał informację prosto z dyrekcji. Tak to zwykle bywa, że najbardziej zainteresowany dowiaduje się ostatni.

Praca niby przebiegała normalnie, ale temat rozmów był jeden: Jaką Marysia Kwiatkowska - do tej pory ich koleżanka z pracy, powszechnie lubiana za serdeczność i życzliwość oraz ceniona za fachowość - będzie szefową.

- A jak jej woda sodowa do głowy uderzy? - młoda, świeżo przyjęta Anna Blitek wyraziła obawę.

- Marysi? - natychmiast odpowiedziała jej doświadczona, będąca grubo po pięćdziesiątce księgowa Janina Plucińska. - Nigdy w życiu. Młoda jesteś, Anka. Za krótko pracujesz.

- Pani Jasiu, różnie ludzie reagują, jak idą do góry - broniła się Blitek. - Czytałam kiedyś taką książkę...

- To ty nie czytaj tak dużo, dziewczyno, bo ci się w głowie miesza. Lepiej roboty się ucz. O, masz tu ostatnie zestawienia. - Janina Plucińska podała jej kilka kartek papieru. - Analizy trzeba zrobić.

Do pomieszczenia wszedł mężczyzna z wiązanką czerwonych goździków w ręku. Łysawy, trzydziestoparoletni człowiek od progu krzyknął radośnie:

- Dzień dobry, drogie koleżanki! Jak miło was widzieć.

- No co ty, Edziu? - Janina Plucińska mimo woli się uśmiechnęła. - Przecież już u nas dzisiaj byłeś.

- Ale mnie zawsze jest was miło widzieć, a szczególnie panią, pani Jasiu.

Podszedł, by ostentacyjnie ucałować jej dłoń. Wyrwała się, udając oburzoną.

- No co się, Edziu, wyglupiasz? Starą babę po rękach całować.

- Oj, pani Jasiu, oj, niejedyn prawdziwy mężczyzna jeszcze by się za panią obejrzał.

- Powiedz to mojemu staremu. On to tylko się za piwkiem rozgląda.

Pojawienie się gdziekolwiek Edwarda Menela niezmiennie tworzyło atmosferę pogody i wesołości. Mężczyzna ten miał w sobie tyle radości życia, że gdyby nie znajdowała ona codziennego ujścia, to by się chyba udusił. Na swoim wydziale produkcji wózków jedynie najwięksi ponuracy nie darzyli go szczególną sympatią, których na kilkuset osobową załogę znalazłoby się może kilku, ale nawet ci cenili Edzia za pracowitość i znajomość tajemnic obróbki skrawaniem.

- Marysia jeszcze nie przyszła?

- Pani Marysia już prawie godzinę siedzi u sekretarza - poinformowała go Anna Blitek. - A te kwiaty do dla kogo pan ma, panie Edziu?

- Chyba nie dla ciebie, Anka - Plucińska sprowadziła młodą koleżankę na ziemię.

- Panno Aniu - zwrócił się do niej mężczyzna - następnym razem i o pani nie zapomnę. Głupio by było dzisiaj. Jeszcze by kto pomyślał, że panią podrywam w pracy.

- Po tobie, Edziu, to się wszystkiego można spodziewać.

- Oj, pani Jasiu, co też pani mówi.

Drzwi otworzyły się i weszła Maria Kwiatkowska. Nie odezwała się do obecnych. Usiadła przy swoim biurku i popatrzyła na koleżanki, i na Edzia Menela.

- Nie uwierzycie - powiedziała wreszcie.

- Zatwierdził? - nie wytrzymała Janina.

- Co zatwierdził? - zdziwiła się przyszła szefowa.

- No, twój awans czy zatwierdził.

- A wy skąd wiecie?

- Ach, Marysiu, Marysiu - włączył się Edward do rozmowy. - Kto ma wiedzieć jak nie my. Przyjmij najszczerze gratulacje ode mnie jako pierwszego.

Złapał ją w objęcia i uściskał.

- Ej, Edziu, zaraz, coś taki szybki? Ty nawet z tego działu nie jesteś. Zostaw na razie naszą szefową.

- Ech, pani Jasiu, jakie to ma znaczenie? Nową kadrę kierowniczą witam na pokładzie.

Do szczerych gratulacji i uścisków ustawiła się kolejka koleżanek. Gdy proces obcałowywania Marii Kwiatkowskiej dobiegł wreszcie końca, Edward Mencil powiedział podniesionym głosem:

- Ale panie kochane, wy chyba nie wiecie, że Marysia ma dzisiaj jeszcze jedno święto.

Kobiety spojrzały po sobie. Urodziny zawsze się obchodzi, imieniny też, o czym ten Edek gada?

- Jakie? - spytała sama zainteresowana.

Mencil schował kwiaty za siebie i zrobił uroczystą minę.

- Dzisiaj mija sześć lat, od kiedy Marysia zaczęła pracować w Pafawagu. W kadrach mi powiedzieli. Ten skromny bukiet...

W tej samej chwili Edward poczuł silne szarpnięcie z tyłu. Nie mógł zauważyć, że niebezpiecznie przybliżył goździki do pracującego pełną parą wiatraka, który jakby tylko czekał na okazję, by porwać i przemielić kwiaty. Edziu popatrzył na zmasakrowany bukiet.

- O kurka wodna! - powiedział osłupiały. - Tego nie przewidziałem.

Pomieszczeniem wstrząsnęła salwa śmiechu. Ot, i cały Edziu. Gdziekolwiek się pojawi, tam zawsze zapanuje powszechna wesołość, nierzadko niezamierzona przez samego bohatera.

- Edziu, nie przejmuj się - powiedziała śmiejąc się Marysia. - Bardzo ci dziękuję za pamięć. Nie miałam pojęcia. Siadajcie wszyscy. Napijemy się dobrej kawy. Dostałam wczoraj w samie dobrą. Ludzie strasznie brali. Zaraz zrobię.

Poderwała się, ale Edziu ją powstrzymał.

- Jak to tak, żeby szefowa kawę robiła?

- Na razie to jeszcze nie jestem żadną szefową. Dopiero od przyszłego miesiąca.

- Dziewczyno, pozwolicie, żeby Marysia kawę dzisiaj robiła?

- Ale skąd, gdzie tam! - odezwały się głosy.

Maria Kwiatkowska położyła na biurku paczkę kawy. Widziała, że opór i tak nic nie da. W końcu pracowała tu już ładnych parę lat.

ROZDZIAŁ 27

Karaiby, październik 1962

Kryzys kubański osiągnął apogeum. Kolejna, już trzecia radziecka łódź podwodna została zmuszona do wynurzenia w asyście amerykańskich niszczycieli. Nerwowa próba sił między supermocarstwami weszła w decydującą fazę. Amerykanie nie mogli pozostać obojętni wobec radzieckich instalacji nuklearnych średniego zasięgu na Kubie. Stany Zjednoczone znalazły się w bezpośredniej strefie rażenia ewentualnego ataku jądrowego.

Zarządzona przez prezydenta Kennedy'ego blokada wyspy, mająca na celu niedopuszczenie sowieckich okrętów z zaopatrzeniem wojskowym, zaogniła konflikt do bezprecedensowych rozmiarów. Sytuacja znalazła się w punkcie, z którego nie było już odwrotu.

Amerykański niszczyciel pruł morskie fale. Obrął kurs prosto na bazę Guantanamo. Dalsze instrukcje miały nadejść w drodze. Na pokładzie oprócz załogi znajdował się oddział specjalny pod dowództwem pułkownika Jonasa Bidwella. Zapieczętowane w kopertach rozkazy zostały otwarte. Pułkownik i kapitan jednostki Michael Fitkins wymienili spojrzenia.

- I co pan myśli, pułkowniku?

- Miejmy nadzieję, że nasz prezydent wie, co robi.

- Miejmy nadzieję.

- Za ile będziemy na Guantanamo?

- Do godziny. - Kapitan oddał kopertę z rozkazami drugiemu oficerowi. - Co będzie potem, Bóg jeden raczy wiedzieć.

- Nas czeka przesiadka. Wy zajmiecie się swoimi sprawami. Rutyna.

- Podziwiam pana spokój, pułkowniku. Niebawem nasza cywilizacja może przestać istnieć, a pan mówi o rutynie.

- Jesteśmy żołnierzami. Musimy wykonywać rozkazy.

- Hitlerowcy też tak mawiali: „Wykonywaliśmy tylko rozkazy”. Dla naszych dzieci to może być mało przekonujący argument. O ile będzie jeszcze kogo przekonywać o słuszności naszych posunięć.

- Nie nam o tym wyrokować.

- Niestety.

- Kapitanie, potrzebuję swojego oficera, porucznika Kwiatkowsky'ego.

Michael Fitkins wziął do ręki mikrofon łączności pokładowej.

- Dajcie porucznika Kwiatkowsky'ego na mostek.

W słuchawce zabrzmiało typowe „*aye aye, sir*”

I można było uznać, że rozkaz zostanie natychmiast wykonany. Minęło kilka lat od wojny koreańskiej. Był to dla Julka czas wzmożonej pracy, akcji w południowo-wschodniej Azji, działań wojskowych, o których nikt nigdy się nie dowie, i zdobywania niezwykle cennego doświadczenia.

- Zapali pan, pułkowniku? - Kapitan niszczyciela otworzył przed Bidwellem pudełko cygar. - Prawdziwe kubańskie.

Pułkownik poczęstował się.

- Podobno rolowane są na udach kubańskich dziewcząt. Stąd ich niepowtarzalny smak.

- Tak mówią.

Julek pojawił się na mostku. Zasalutował oficerom niedbale.

- Jakie rozkazy, pułkowniku?

- Kapitan dowiezie nas do Guantanamo. Ja zostanę w bazie, a ty ze swoimi ludźmi przesiądziesz się do łodzi podwodnej. Zostaniecie wysadzeni na tyłach wroga. - Bidwell rozłożył mapę. - Tu. Tak jak ustalaliśmy, przejmujecie te dwa obiekty. - Palec pułkownika przesunął się po mapie. - Musicie się utrzymać co najmniej parę godzin, może dzień. Chłopaki z Guantanamo postarają się jak najszybciej do was dotrzeć. Dostaniecie też wsparcie lotnictwa. W miarę możliwości, oczywiście.

- Jasne.

- Domyślasz się pewnie, że dla normalnego oddziału to akcja samobójcza...

- ...a dla nas coś, co lubimy najbardziej.

- Czyli się rozumiemy.

- Doskonale, pułkowniku.

- Pamiętaj, to nie Indochiny. Będziecie mieli do czynienia z dobrze wyszkolonym i wyposażonym przeciwnikiem.

- Jak w Korei.

- Niedokładnie. Może przyjdzie wam stanąć przeciw Sowietom. Oni nie odpuszczają.

- Rozumiem.

- Idź do chłopaków. Przygotujcie się. Niedługo będziemy na miejscu.

- Odmeldowuję się.

Kiedy Kwiatkowski opuścił mostek, kapitan niszczyciela zaciągnął się cygarem.

- Więc jednak, zaczęło się?

- Ma pan rodzinę, kapitanie?

- Żonę i dwóch synów. Już dorośli. Spodziewam się wnuka.

- Ja nie. Nikogo. - Bidwell spojrzał na żarzący się koniuszek swojego cygara. - Niedługo okaże się, który z nas w życiu był mądrzejszy.

Kwiatkowski wrócił do swoich ludzi. Wyczuwało się panujące napięcie. Żołnierze byli jednak zahartowani, a niebezpieczeństwo traktowali jak chleb powszedni. Niejedno już wspólnie przeszli w Azji ze swoim porucznikiem i niemal ślepo mu ufali. Byli gotowi. Gotowi na wszystko, jak zawsze zresztą.

Julek usiadł obok sierżanta Jacka Carlsona. Mężczyzna, podobnie jak żołnierze, o nic nie pytał. Dowódca sam im powie, co trzeba.

- Dalej chcesz odejść ze służby, sierzancie?

Carlson włożył do ust gumę do żucia. Ruszył szczęką kilka razy.

- Jakiś czas temu poznałem pewną miłą dziewczynę... i chyba chciałbym z nią spędzić resztę swoich dni. A w naszej robocie statystyczna długość życia... sam pan porucznik wie. Przecież było nas więcej.

- Mówisz, „chyba” byś chciał?

- Na pewno bym chciał.

- Wiesz, że jeszcze tym razem będziesz mi potrzebny?

- To jest jasne - zapewnił go sierżant.

- Pułkownik mówił, że będzie ciężko.

- Bywało ciężko.

- Tak jeszcze nie. Nie wszyscy wrócimy do domu.

- Żołnierska rzecz. Skoro dowódca nadstawia karku, my nie możemy inaczej.

Julek klepnął podwładnego po plecach.

- Dobra. Daj mapę. Trzeba się sprawie przyjrzeć.

Na mostku nieustannie odbierano nowe wiadomości. Nasłuch pracował pełną parą. W każdej chwili w pobliżu mogła się pojawić radziecka łódź podwodna. Wtedy trzeba by było zmienić kurs i podjąć odpowiednie działania. Pelengatory jak na razie niczego nie wykryły. Rozkazy pozostawały w mocy.

Na najwyższych szczeblach władzy Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego trwała śmiertelnie niebezpieczna rozgrywka. Tylko najwyżsi rangą generałowie sił zbrojnych byli wtajemniczeni w szczegóły. Tylko niewielka garstka osób wiedziała, że prezydent John Fitzgerald Kennedy podjął z Chruszczowem grę, opierając się na doniesieniach najcenniejszego agenta Zachodu, Olega Pieńkowskiego, działającego w samym sercu Rosji

radzieckiej. Kennedy zdecydował się na blef. Stał na twardym, niewzruszonym stanowisku - Rosjanie muszą się wycofać, nawet gdyby miało dojść do konfliktu nuklearnego. Amerykański prezydent jednak nie grał w ciemno. Miał w ręku mocne karty w postaci informacji wywiadowczych. Zapewniano go, że obecnie Związek Radziecki do wystąpienia zbrojnego przeciwko Stanom Zjednoczonym nie jest po prostu gotowy. Istniały zatem wszelkie szanse powodzenia podjętych działań.

Tego wszystkiego oficerowie liniowi nie wiedzieli. Byli żołnierzami gotowymi za wszelką cenę i w każdej chwili stanąć do obrony ojczyzny przed agresją komunistyczną, a za taką przecież można było uznać radzieckie instalacje atomowe na Kubie.

- Yes!!! - wrzasnął nagle podoficer łączności.

Trzymał mocno w ręku kartkę, w którą wpatrywał się, jakby wciąż nie wierzył w jej treść. Swoim niestandardowym zachowaniem od razu zwrócił uwagę wszystkich obecnych na mostku. Mężczyzna wstał z krzesła, podszedł szybkim krokiem do kapitana i wręczył mu papier. Był wyraźnie zadowolony. Szeroki uśmiech rozjaśniał mu twarz.

Michael Fitkins przebiegł wzrokiem krótki tekst.

- No i po strachu. - Kapitan przekazał kartkę pułkownikowi. - Rosjanie się wycofują.

Najświeższe rozkazy były jasne. Powstrzymać się od jakichkolwiek działań zbrojnych wobec wrogich jednostek. Osiągnięto porozumienie, a jego nieobjęte tajemnicą szczegóły będzie można pewnie poznać z jutrzejszych gazet.

- Czyli wygraliśmy.

- Ma pan rację, pułkowniku. My, mieszkańcy tej planety. Niniejszym uniknęliśmy popełnienia zbiorowego samobójstwa.

- Filozof z pana, kapitanie.

- Jestem przed emeryturą. Mogę sobie na to pozwolić. - Marynarz uśmiechnął się i sięgnął po pudełko cygar. - Proszę się częstować. Kolejna dostawa z Kuby może się nieco opóźnić.

Pułkownik wziął jedno i schował do kieszeni na piersi.

- Pójdę do swoich ludzi z dobrą nowiną.

Żołnierze z oddziału Julka przyjęli informację z ulgą, ale i też z odrobiną zawodu. Minęła ich okazja sprawdzenia swoich nadzwyczajnych umiejętności w konfrontacji z wyjątkowo wymagającym przeciwnikiem. Tworzyli tajną elitę amerykańskich sił zbrojnych, z której wiedzy i doświadczenia czerpać będą w przyszłości jednostki sił specjalnych USA.

Pułkownik Bidwell i porucznik Kwiatkowski stali na pokładzie niszczyciela oparci o reling nad burtą. Karaibska noc była ciepła i przyjemna. Marynarze chodzili po pokładzie i

rozmawiali głośno. Czulo się, jak atmosfera napięcia opada. Żaden z tych młodych ludzi nie chciał tak naprawdę wojny z Sowiecami. Chcieli po odbyciu służby wrócić do domu, do swoich rodzin, dziewczyn i normalnego życia.

- Masz, zapal. - Pułkownik wręczył Julkowi cygaro. - Dostałem od kapitana. Kubańskie. Najlepsze.

Polak odgryzł końcówki i odpalił od płomienia zapalniczki przełożonego.

- Co teraz?

- Wracamy do domu.

- Tylko gdzie on jest?

Pułkownik rzucił mu pytające spojrzenie.

- Ach, ty Polak jesteś. Zapomniałem.

- Ja nigdy nie zapominam.

- Może powinienes. Masz obywatelstwo amerykańskie. Niejeden twój rodak dałby się za nie pokroić.

- Ale jak sam pan zauważył, pułkowniku, jestem Polakiem.

- Nikogo tam nie masz. Po co ci ta Polska?

- Pewnych rzeczy nie da się wytłumaczyć. Pewne rzeczy trzeba czuć.

- Chcesz wrócić?

- Czasem o tym myślę. - Kwiatkowski popatrzył przed siebie, jakby gdzieś tam w dali dostrzegał brzegi kraju, za którym autentycznie tęsknił.

- Powieszają cię. Służba w imperialistycznej armii, AK-owska przeszłość, w najlepszym razie komuniści zafundują ci dożywocie. Wiesz o tym, nie?

- Wiem - przyznał Julek grobowo.

- Pogódź się z tym, poruczniku Kwiatkowsky. Będzie ci łatwiej.

- Nie będzie łatwiej. Chyba że komunistów z Polski wyrzucicie.

- O ile wiem, Biały Dom nie ma na razie tego w planie.

Porucznik Kwiatkowski wciągnął w płuca aromatyczny dym z cygara i wypuścił kilka regularnych kólek.

- Rzeczywiście znakomite - przyznał.

- Mówiłem ci. W Polsce byś takich nie miał.

- Pewnie nie.

Niszczyciel zmienił kurs. Niedługo opuści niegościnne wody oblewające wybrzeża socjalistycznej Kuby.

ROZDZIAŁ 28

Maria Kwiatkowska położyła listy na stole. Były dwa. Jeden z zagranicy, co już stanowiło nie lada zaskoczenie. Drugi miał na kopercie charakterystyczny znak Czerwonego Krzyża. Ten w tej chwili był daleko ważniejszy. Przyprawiał ją o zdenerwowanie i szybsze bicie serca. Domyślała się, co może zawierać, dlatego zwlekała z jego otwarciem.

Z jednej strony od lat szczerze pragnęła, by ten list wreszcie nadszedł. Ale dzisiaj, ze względu na dobro Zosi budził w niej obawy, jego nagłe pojawienie się w skrzynce pocztowej mogło potencjalnie wyrzucić świat dziewczyny do góry nogami.

Zosia już lata temu zaczęła do Marii mówić „mamo”. Na początku ciotka miała wątpliwości. Lecz wkrótce widząc, jakie to dla dziecka jest ważne, przyjęła ten fakt jako naturalną kolej rzeczy. Wychowywała ją najlepiej, jak potrafiła. Kochała Zosię jak własne dziecko, za którym bez wahania skoczyłaby w ogień. Właściwie była przez te lata dla niej prawdziwą, czułą matką.

Nie to jednak stanowiło problem. Dwa lata temu Edward Mencil jej się oświadczył. Znali się wcześniej, zbliżyli do siebie i... Marysia podjęła decyzję. Edward prawie natychmiast zdobył też serce Zosi, która go wprost uwielbiała. Poświęcał jej mnóstwo czasu i zawsze był na każde jej skinienie. Traktował ją jak prawdziwą księżniczkę, a dziewczynka do niego lgnęła, szczególnie że nigdy wcześniej nie miała ojca, w odróżnieniu od jej rówieśników w szkole. Nieraz mówiła Marysi, jak bardzo im zazdrości.

Od czasu, gdy Maria Kwiatkowska powiedziała „tak” na oświadczenia Edwarda Menela, cała trójka stworzyła szczęśliwą rodzinę. Niewiarygodnie szczęśliwą. Zosia rozkwitała w oczach, a Edward hołubił ją momentami aż do przesady. Zawsze pragnął mieć dzieci i Zosia szybko stała się spełnieniem jego marzeń. Maria nawet czasem czuła się odstawiona na boczny tor, bo między tym dwojgiem istniała więź, której ona sama nie potrafiła do końca zgłębić. Zosia pokochała tego zdawałoby się obcego człowieka, który sam gotów był jej nieba przychylić.

Patrzyła na list. Czerwony krzyżyk w lewym, górnym rogu rozmywał jej się przed oczami. Otwarcie tej koperty może zmienić bardzo wiele. Jeżeli okaże się, że Julek nie żyje, jak Zosia to przyjmie? Maria wiele razy opowiadała jej o ojcu. Tworzyła trochę wyidealizowany obraz brata. Mówiła jej, że prędzej czy później tato do niej wróci. Jeśli jest tam informacja, że ojciec Zosi się odnalazł, to jak ona sobie z kolei z tym poradzi? A może niepotrzebnie się o bratanicę obawia? Może pojawienie się w jej życiu biologicznego ojca... no właśnie, co?

Rozerwała kopertę, wyjęła złożoną kartkę i zaczęła czytać. Informacja zawarta w piśmie była krótka. Na wstępie podano dane osobowe. Juliusz Kwiatkowski, syn Heleny i Edwarda, zamieszkały przed wojną w Warszawie przy ulicy Zielnej.

Dalej kilkudzaniowy tekst informujący ją, siostrę, Marię Kwiatkowską, że brat po wojnie przybywał w Wielkiej Brytanii. Potem podejrzewa się, że wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, ale nie udało się ustalić jego amerykańskiego miejsca pobytu. W dalszej części pisma dano jej do zrozumienia, że terytorium kraju kapitalistycznego, jakim jest Ameryka, leży poza zasięgiem działalności polskich placówek, co w praktyce oznaczało umycie rąk.

Marysia włożyła list z powrotem do koperty. Więc jej brat żyje. Jest najprawdopodobniej gdzieś w dalekiej Ameryce. Szczerze ucieszyła się na tę wiadomość. Problem w tym, że najwidoczniej nie wie, że ona, siostra, na niego czeka i że ma wspaniałą, najcudowniejszą córkę, która dorasta bez niego. Jak miała go teraz odnaleźć? Czy to jeszcze w ogóle możliwe?

Wzięła do ręki drugi list. Spojrzała na adres zwrotny. Nazwisko polskie. Kazimierz Bednarz. Nic jej nie mówiło, ale list ewidentnie kierowany był do niej. Wyjęła kartkę i zaczęła czytać odręczne pismo.

Szanowna Pani!

Czysty przypadek sprawił, że piszę do Pani ten list. Otóż, moja przyjaciółka tu w Anglii zajmowała się jakiś czas temu pomocą w odnajdywaniu krewnych, których rozdzieliła wojna. Miała w swoich papierach Pani zgłoszenie o poszukiwanym bracie Juliuszu Kwiatkowskim. Tak się złożyło, że znałem Pani brata i wiem na pewno, że przeżył wojnę. Podąłem te informacje również waszemu oddziałowi Czerwonego Krzyża, choć nie wiem, czy jeszcze poszukują ludzi. To na wypadek, gdyby mój list do Pani nie doszedł, ponieważ wiem, że wasze władze wciąż niechętnie patrzą na korespondencję z Zachodu.

Znałem Julka osobiście. Byliśmy w jednym oddziale. On został przerzucony do kraju, mnie się nie udało. Julek po wojnie przebywał jakiś czas na Wyspach. Spotkaliśmy się nawet kilka razy w większym gronie. Doniesiono mu, że cała jego rodzina zginęła. Wtedy to przyjął propozycję od pewnego amerykańskiego oficera i wyjechał do Stanów. Niestety nie wiem, co się z nim teraz dzieje i gdzie jest. Chciałbym jednak powiedzieć, że w miarę swoich możliwości chętnie jakoś pomogę w poszukiwaniach szanownego brata, o ile wyrazi Pani takie życzenie. Nie wiem, szczerze mówiąc, jak się za to zabrać, ale jeśli mógłbym cokolwiek zrobić, to proszę do mnie napisać. Mój adres poniżej.

Z poważaniem,

Kazimierz Bednarz

PS Załączam kilka zdjęć, na których znajdzie Pani Julka z kolegami.

Marysia jeszcze raz przeczytała ten sam londyński adres, który widniał na kopercie. Zajrzała do jej środka i wyciągnęła trzy stare fotografie. Przedstawiały młodych ludzi w mundurach, wśród których od razu rozpoznała brata. Uśmiechał się, ale jakoś smutno, trochę sztucznie. Łzy natychmiast napłynęły jej do oczu. Przymknęła powieki. Słone kropelki spłynęły po policzkach i dotarły do ust. Julek wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. Jedynie ten wyraz twarzy, bardziej poważny, bez tak charakterystycznego dla niego błysku w oku. Ale to był on, jej ukochany braciszek, jak wyglądał dzisiaj?

Drzwi wejściowe otworzyły się. Do mieszkania wpadła roześmiana Zosia. Zaraz za nią wszedł Edward, jak zwykle tryskał pogodą ducha, którą niezmiennie obdzielał otoczenie. Podszedł do żony i pocałował ją w czoło.

- Jak się miewa mój skarb najdroższy? - zapytał z uśmiechem od ucha do ucha.

Nie zwrócił uwagi na leżące na stole listy, ponieważ Zosia wyciągnęła z szarego papieru pakowego sukienkę i przyłożyła do ramion.

- Patrz, mama, jaką tato mi kupił - zaszczębiotała szczęśliwa. - Będę chyba miała najładniejszą.

- Zostaniesz królową balu maturalnego, kochanie - potwierdziła Maria i wykrzywiła usta w czymś, co miało być szczerym uśmiechem.

- Jak zdam - stwierdziła Zosia pro forma, bo ona sama jak i rodzice wiedzieli, że nie mogło być inaczej.

- Zdasz, córeczko. Zdasz na pewno - odparła Maria nieswoim głosem.

- Mamusia, no co ty, nie wierzysz we mnie?

- Oj, nasze słoneczko coś chyba dzisiaj nie w humorze - zauważył Edward i popatrzył na nią z czułością prawdziwie kochającego mężczyzny. - Coś się stało?

Kobieta nie odpowiadała. Spoglądała to na jedno, to na drugie, jakby zastanawiała się, co właściwie ma im powiedzieć.

- Mamusia, coś się stało? - zatroskała się Zosia.

Maria Kwiatkowska odwróciła się do stołu. Postukała palcem w leżącą na blacie otwartą korespondencję.

- To się stało - powiedziała poważnie.

Zosia odłożyła sukienkę na fotel, podeszła i wzięła koperty do ręki.

- Ten z zagranicy. - Przyglądała się angielskiej kopercie dłuższą chwilę. - England - przeczytała na głos końcówkę adresu zwrotnego. - Mamy kogoś w Anglii?

Maria się nie odzywała. Patrzyła tylko na przybraną córkę. Jej wzrok mówił wszystko. Zosi niepotrzebne były słowa. Zaczynała się domyślać. Zawahała się przez moment i... odłożyła koperty na stół. Nie chciała ich otwierać.

- Marysiu, co się stało? - Edward Mencil niepokoił się nie na żarty. - Zosiu?

Dziewczyna odwróciła się i poszła do swojego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi. Edward odruchowo spojrział na przewieszoną przez oparcie fotela sukienkę, która jeszcze chwilę temu była powodem radosnych uniesień przyszłej maturzystki. Teraz nagle całkowicie straciła na znaczeniu.

- Usiądź, Edziu. - Maria wstała z krzesła. - Pójdę po nią. - Zniknęła za drzwiami. Potem obie poszły do dużego pokoju. Maria posadziła córkę przy stole.

*

Kobieta wyjęła z koperty urzędowe pismo z Czerwonego Krzyża i przeczytała na głos. Kiedy skończyła, nikt się nie odezwał. Dopiero Zosia przerwała milczenie.

- A ten drugi list?

Maria sięgnęła po korespondencję z Wielkiej Brytanii. Powoli i wyraźnie przeczytała treść listu. Gdy skończyła, podała im zdjęcia.

- Drugi od lewej w furazerce.

Edward i Zosia pochylili się nad fotografiami. Po dziewczynie od razu widać było emocje, jakie budził ten kawałek papieru z podobizną jej ojca. Nie odrywała wzroku od twarzy przystojnego żołnierza uwiecznionej na fotografii blisko dwadzieścia lat temu. Było w tym człowieku coś, co nie pozwalało przejść obok niego obojętnie.

- Więc to jest on? - spytała dziewczyna retorycznie.

- To twój ojciec, Zosiu, a mój brat.

- I nic nie wie, że ma córkę? - spytał Edward.

W jego głosie dało się wyczuć nutkę obawy. Obawy o to, co teraz będzie i o szczęście, którego integralną częścią była ta ostatnio zawsze radosna nastolatka. Szczęście mogło teraz zostać zachwiane, jeśli Juliusz Kwiatkowski się odnajdzie.

- Nie ma pojęcia - odparła Maria. - Gdyby wiedział, przepłynąłby wpływ Atlantyk, żeby tu z nią być.

- Czy aby na pewno? - spytała dziewczyna sceptycznie.

Edward nie mógł tego nie odnotować. Miał szczerą nadzieję, że był jej bliższy niż człowiek z fotografii. Tak zadane pytanie zdawało się ten fakt potwierdzać.

- Znam swojego brata, Zosiu. Gdyby wiedział o twoim istnieniu, nie byłoby przeszkody, której by nie pokonał, żeby cię zobaczyć. Wierz mi.

- Myślisz, że on żyje? - Dziewczyna odłożyła zdjęcia na stół. - To informacja sprzed prawie dwudziestu lat.

- Nie wiem, kochanie. Wiem tylko, że jeżeli jest jakakolwiek szansa, żeby go odnaleźć, to trzeba to zrobić. Może nie znajdziemy Julka nigdy, ale trzeba spróbować.

Zosia popatrzyła na człowieka, którego nazywała „tata”. Mężczyzna skinął głową twierdząco. Zdawał sobie sprawę, że ewentualny sukces w poszukiwaniach mniej lub bardziej uderzyłby bezpośrednio w niego, lecz wrodzona szlachetność i przyzwoitość nakazywały mu zgodzić się z żoną. - Dobrze, mamusiu - zgodziła się Zosia. - Napisz do tego Anglika.

- Kocham cię, córeczko, wiedziałaś o tym?

Dziewczyna uśmiechnęła się melancholijnie na tę tak przecież oczywistą deklarację.

- Nie, nie wiedziałam - odpowiedziała żartobliwie. - Ty, tato, wiedziałeś?

Edwardowi zrobiło się wyjątkowo ciepło na sercu na słowo „tato” wypowiedziane w tym właśnie momencie. Jako przybrany rodzic poczuł się o wiele bezpieczniej.

- Ja nie. Skąd. - Natychmiast podchwycił krotocwilny ton Zosi. - Nie wiedziałem. Nic a nic.

- Czekajcie tutaj. Założę sukienkę. Zobaczycie, jaką macie piękną abiturientkę.

Z poważnej atmosfery jeszcze sprzed kilku chwil nic już nie zostało. Nastrój pogody i radości życia, goszczący w tym domu wyjątkowo często, powrócił jak to się zwykle działo po momentach trudnych, które czasem również tej szczęśliwej rodzinie się zdarzały.

*

Z początkiem maja znowu zakwitły bzy. Dla tysięcy młodych ludzi nadszedł czas poważnego egzaminu, oficjalnie zwanego egzaminem dojrzałości lub po prostu maturą. Chłopcy w eleganckich garniturach, dziewczyny w przepisowych białych bluzkach i granatowych spódniczkach stawili się w liceach i technikach całego kraju tego samego dnia, by przystąpić do części pisemnej. Dywagacjom i przewidywaniom dotyczącym tematów z języka polskiego nie było końca. Wszędzie panował nastrój nerwowości i podniecenia.

Rodzice, w ogromnej większości matki, zaangażowani w przygotowanie zaplecza maturalnego w postaci kanapek i napojów przeżywali ten dzień nie mniej niż ich latorośle.

Sala gimnastyczna wrocławskiego liceum ogólnokształcącego, do którego Zosia uczęszczała przez ostatnie lata, była odświętnie udekorowana. Nauczyciele przechadzali się i doglądali ostatnich przygotowań. Wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik, zanim młodzież maturalna usiądzie w pojedynczych ławkach przed arkuszami papieru

kancelaryjnego.

Maria znalazła córkę w grupie koleżanek. Rozprawiąły zawzięcie o epokach literackich. Wymieniały się informacjami o autorach i napisanych przez nich dziełach. Napięcie przed salą sięgało zenitu. Trzęsły się ręce. Czasem nerwowość zagłuszał sztuczny śmiech z męskich gardeł. Niektórzy chłopcy przynajmniej próbowali uspokajać sytuację.

- Zosiu, kochanie - Maria zwróciła się do swojej abiturientki - macie bardzo dużo czasu. Spokojnie. Najpierw dobrze przemyśl temat i wszystko napiszesz.

- Mamo - obruszyła się córka - przecież wiem.

- Wiem, że wiesz, Zosiu. Ja tylko tak, dla uspokojenia nerwów.

- Ty się denerwujesz? A co ja mam powiedzieć?

- Tak, tak. Właśnie. Nie denerwuj się, córeczko.

- Proszę pani - odezwała się koleżanka Zosi, Ania Pliszka. - Zosia jest obkuta najlepiej z nas wszystkich. Nie ma obawy. Piątka murowana.

- „Obkuta” - słowo ze slangu uczniowskiego zabrzmiało jej dziwnie. - Masz na myśli wyuczona?

- No tak. Obryta z każdej strony - zgodziła się Anka.

- Poza tym założyła czerwone majtki. Co więcej trzeba?

- Anka. - Zosia posłała jej karcące spojrzenie. Kolor bielizny maturalnej Zofii Kwiatkowskiej nie musiał przecież być podawany do wiadomości publicznej. - Przestań.

- No co? Ja też założyłam czerwone. - Stwierdzenie zadziało na wyobraźnię stojących niedaleko kilku chłopców. Wymienili uśmiechy, jako że Anna Pliszka była dorodną pannicą o pełnych kształtach, czasem budzących zazdrość koleżanek. - Niebieską podwiązkę też mam. - Uniosła spódnicę i zademonstrowała niezwykle zgrabną nogę, czym wzbudziła nieklamany zachwyt przyglądających się kolegów. - Proszę bardzo.

Maria Kwiatkowska uśmiechnęła się do niej po matczynemu. Dziewczyna pochodziła z podwrocławskiej wsi i brakowało jej trochę kindersztuby, ale serce miała złote, o czym nieraz ją Zosia zapewniała.

- Proszę się ustawić! - zabrzmiał ostry głos pani wicedyrektor. - Wchodzimy!

- No córuchna. - Kobieta ścisnęła Zosię za rękę - Czas na ciebie. Połam długopis.

- Połamie, mamusia. Tato kiedy będzie?

- Przyjdzie jeszcze zanim skończysz. Zwolni się z pracy.

- Pa!

Egzamin z języka polskiego rozpoczął się punktualnie. Pierwsza godzina przebiegła w całkowitej ciszy. Jeszcze nikt z zewnątrz nie poznał tematów. Matki zajęły się gorączkowym

przygotowaniem suchego posiłku. Robiono herbatę do termosów. Za chwilę pewnie dwie wcześniej wyznaczone zostaną wpuszczone na salę, żeby dać dzieciakom po bułce i może coś do picia w razie potrzeby.

Pierwsza osoba z tacą pełną bułek weszła na salę. Nie było jej około pięciu minut. Kiedy wróciła, wszystkie matki obstały ją ciekawymi tematami maturalnymi.

- I co? - padały pytania.

- Nie powtórzę dokładnie - mówiła kobieta podekscytowana - ale jest odrodzenie, Kochanowski i Rej, „Lalka” Prusa i „Dziady” Mickiewicza. Nic ze średniowiecza ani z wojny.

- Chłopcy stawiali na wojnę i na dwudziestolecie międzywojenne - stwierdziła jedna z matek. - Będzie im ciężko.

- Moja Jadzia też - odezwała się inna.

- Trzeba dyskretnie spytać, czego potrzebują - zasugerowała Maria - i do kanapek ściągawki włożyć.

Kolejna taca z bułkami była gotowa. Druga z wyznaczonych osób weszła na salę z konkretnym „wywiadowczym” zadaniem do wykonania. Zabawiła trochę dłużej niż poprzedniczka. Po powrocie do zaimprovizowanej szkolnej kuchni zdała relację „towarzyszkom niedoli”.

- Nie jest źle. Idzie „Lalka” i „Dziady”. Z „Lalką” nie ma problemu, ale o „Dziadach” przydałoby się trochę.

- Ja coś napiszę - zaoferowała się Marysia. - Pamiętam ze szkoły. Potrzebuję kartkę i długopis. Najlepiej taki, co cienko pisze.

Zaopatrzone ją natychmiast. Mama Zosi podała kartkę na wąskie paski i zapisała najważniejsze rzeczy drobnym, ale czytelnym maczkiem. Zrobiła jeszcze dwie kopie i ściągawki wylądowały w kanapkach, które następnie zostały zaniezione na salę.

„Kurierka” wróciła po kwadransie.

- Gieniu Andrzejak się nie zorientował i zjadł bułkę ze ściągą.

- Jezusie! - jęknęła matka rzonego.

- Pani się nie martwi. Za nim siedzi Zosia Kwiatkowska. Podrzuci mu ściągawkę. Sama nie potrzebuje.

Do pomieszczenia kuchennego wszedł Edward Mencil.

- Dzień dobry wszystkim - zawołał pogodnie. - Jak tam na pierwszej linii frontu?

Podszedł do Marysi i pocałował ją czule, czym wzbudził zazdrość niejednej kobiety. Ich mężowie od czasów przedślubnych się tak nie zachowywali.

- Jest odrodzenie i porównanie pozytywizmu z romantyzmem - poinformowała go żona.

- Hmm. Jakież ściągawki poszły?

- Poszły, poszły - potwierdziły kobiety niemal chórem.

- To wszystko będzie dobrze - oznajmił optymistycznie. - Zamieniłem słówko z polonistką. Przemiała pani.

- Przemiała? - zdziwiła się matka Gienka Szwondera.

- Gieniu mówił, że straszna kosa.

- Powiedziała mi w sekrecie, że nie planuje nikogo oblewać.

- Daj Boże! - westchnęła Szwonderowa. - Jeszcze jutro matematyka.

- To też zorganizujemy, szanowna pani. - Optymizm Edwarda był zaraźliwy. - Nie takie rzeczy się robiło.

Dni po egzaminach do wywieszenia wyników na szkolnym korytarzu przed sekretariatem wlokły się niemiłosiernie. Edward dwoił się i troił, żeby zapewnić Zosi rozrywkę. Zabierał swoje panie do kina, na lody i spacer. Mimo to Zosia wciąż czuła niepokój i niepewność. Nie martwiło ją to, czy zdała, ale na ile zdała. Jako osobie niezwykle ambitnej zależało jej na piątkach.

Czas płynął, aż wreszcie nadszedł TEN dzień. Wczesnym przedpołudniem matka z córką wkroczyły na teren liceum ogólnokształcącego. Edward Mencil nie mógł im towarzyszyć. Pilne obowiązki służbowe zatrzymały go w zakładzie od samego rana.

- Mama, idź tam, zobacz i mi powiesz. - Zosia przystanęła przed wejściem.

Minęła ich grupka maturzystów z klasy równoległej. Weszli do środka w milczeniu.

- Zosiu, po co tak? Chodź, razem wejdziemy. - Maria pociągnęła ją za rękę. - Na pewno są piątki. Przekonasz się.

- Mamusiu, proszę cię. Ten jeden raz - upierała się dziewczyna. - Ja tu na ławeczce usiądę i poczekam.

- Kochanie, to dziecinada.

- Idź, szkoda czasu. Czekam.

Zosia Kwiatkowska zasiadła na niewygodnej, drewnianej ławce. Nie było wątpliwości, że zamierza postawić na swoim. Matce przyszło do głowy, że upór ma po ojcu. Julek bywał taki sam. Weszła do budynku i od razu skierowała się na schody. Przed gablota z wynikami kłębił się spory tłumek złożony z młodzieży i kilkorga rodziców.

Zosia wystawiła twarz do słońca. Przypominała sobie to, co napisała z polskiego. Zdawała sobie sprawę, że pewne rzeczy mogła ująć lepiej, bardziej precyzyjnie. Błędów

merytorycznych nie było, ale styl, może momentami zbyt ciężki, nie na piątkę. Teraz patrząc z dystansu, uświadamiała sobie drobne, ale jednak mankamenty i niedociągnięcia. Z matematyką poszło łatwiej. Była pewna poprawności rozwiązań. Z polskim... cóż, może inaczej trzeba było spojrzeć na temat? W każdym razie już po fakcie.

Mama podeszła do niej z nietęgą miną. Zosia nie spytała. Czekala na „wyrok”.

- Ze wszystkich klas są tylko trzy osoby z samymi piątkami.

- A ja?

- Jesteś jedną z nich - oświadczyła Maria półgłosem.

- Słucham?

- Na samych piątkach maturę zdała Zofia Kwiatkowska i jeszcze ktoś. Nieważne.

Zosia skoczyła na matkę i uwiesiła się jej na szyi. Marii łzy napłynęły do oczu.

- Chodź, możemy już razem zobaczyć - szepnęła córce do ucha.

Dziewczyna wciągnęła matkę do budynku. Wbiegła po schodach i upewniła się, że jest tak, jak usłyszała. Było. Czarno na białym. Zofia Kwiatkowska, najwyższe oceny. Zbiegła na parter.

- Mama, same piątki - tryskała radością. - Widziałaś?

- Widziałam, córeczko.

- Świat jest piękny!

Maria roześmiała się. Wyszły na zewnątrz. Do budynku wchodzili kolejni młodzi ludzie.

- Szkoda, że twój ojciec tego nie widzi. Byłby z ciebie tak strasznie dumny. Taki szczęśliwy. Nawet sobie nie wyobrażasz.

Zosia spoważniała.

- Może jeszcze będzie - powiedziała, patrząc w dal.

ROZDZIAŁ 29

Wietnam, rok 1968

Porucznik Juliusz Kwiatkowski wtopił się w tło azjatyckiej dżungli. Jako weteran elitarnych oddziałów SOG, których celem oprócz tajnych misji zwiadowczych była fizyczna eliminacja wroga w najmniej dla niego spodziewanych sytuacjach i warunkach, a tym samym złamanie jego psychiki i morale, wykonywał swoje zadania z zabójczą skutecznością, jego wyczyny od początku konfliktu wietnamskiego zaczynały obrastać w legendę. Najczęściej działał sam. Pojawiał się jak duch, zadawał ciężkie straty całym plutonom i znikał, zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, z kim albo z czym ma do czynienia.

Wietnamczycy bali się żołnierzy SOG jak ognia. Ich atak spadał na nich jak grom z jasnego nieba. Byli nieustraszenie, doskonale wyszkoleni, lecz mimo to panowało powszechne i słuszne skądinąd przekonanie, że żołnierz SOG żyje z wyrokiem śmierci. Ginęli znacznie częściej niż ich towarzysze z sił specjalnych. Wśród jednostek amerykańskich cieszyli się poważaniem i otaczani byli podziwem. U Wietnamczyków niezmiennie budzili strach. O poruczniku Kwiatkowskim krążyły historie przekazywane z ust do ust, które nierzadko przedstawiały go jako superbohatera, a przecież w Wietnamie superbohaterów nie było. Byli tylko ludzie, którzy w wyniku morderczych szkoleń posiadli umiejętności daleko wykraczające poza standardy panujące w siłach zbrojnych i którzy z mniejszym lub większym szczęściem realizowali misje niemal samobójcze.

Julek nigdy nie myślał o śmierci. Mogła nadejść w każdej chwili. Zupełnie mu to zresztą nie przeszkadzało. Czego jak czego, ale tragicznego zakończenia życia nie obawiał się wcale. Zdawał sobie sprawę z tego, że i tak nikt by po nim nie płakał. Dlatego podejmował się akcji, w jakich najtwardszych obezwładniał zwykły, ludzki strach. Jego nieustanna zimna kalkulacja i całkowite skupienie na działaniu doprowadzały do pomyślnego zakończenia misje, które nie miały prawa się powieść.

Znieruchomiał. W pobliżu znajdował się wietnamski szlak komunikacyjny. Wcześniej czy później będzie można tu spotkać wroga. Zdarzało się już w przeszłości, że oddział w sile około stu amerykańskich żołnierzy zrzucono na takim szlaku. Wyposażeni w piły łańcuchowe komandosi umacniali swoje pozycje i atakowali, mając wsparcie lotnicze. Żołnierze Wietkongu ginęli licznie, często nie wiedząc, skąd tak naprawdę nachodzi uderzenie. Niczego nie mogli być pewni. Ale w końcu orientowali się w sytuacji i mając przed sobą realnego przeciwnika, podejmowali odpowiednie działania.

Inaczej było, gdy na niewielką grupę zasadził się przeciwnik niewidoczny. Zastawiał śmiertelne pułapki, zabijał i rozpływał się w powietrzu, by za chwilę uderzyć ponownie gdzie indziej. Walka z duchem budziła przerażenie wśród często zaprawionych w bojach Wietnamczyków.

Czekał. Mijały minuty, potem godziny. Czas przestawał mieć znaczenie. Kwiatkowski upodobił się do drapieżnika cierpliwie wyczekującego swej ofiary. W końcu musiała się pojawić i pojawiła. Wietnamski patrol był na kontrolowanym przez siebie terenie. Nic nadzwyczajnego nie miało prawa się tu wydarzyć.

Julek wsłuchiwał się w przekazywane po wietnamsku komendy. Starał się wychwycić ich znaczenie. To może ułatwić mu zadanie. Znaczną większość rozpoznawał i analizował w myślach. Niektóre były zbyt niewyraźne. Wietnamczycy przeszli nie więcej niż kilkanaście metrów od niego zupełnie nieświadomi zagrożenia, Julek naliczył dwunastu. Dostrzegł też coś nietypowego, a właściwie kogoś. Grupę prowadził oficer radziecki w charakterystycznym czarnym berecie na głowie z sowieckimi symbolami wojskowymi. Dało się słyszeć jego rozmowy z wietnamskim podwładnym i instrukcje, jakie mu wydawał, które ten następnie tłumaczył swoim ludziom na wietnamski. Nie było wątpliwości, rosyjski „doradca wojskowy” doszkalał swoich komunistycznych towarzyszy bratniego narodu wietnamskiego.

Sowieci, choć przecież nie bezpośredni wrogowie, swoją obecnością i działalnością znacząco utrudniali życie Amerykanom. Nadszedł niniejszym czas, by „przekonać” przynajmniej jednego, że lepiej by dla nich było, gdyby trzymali się od konfliktu z daleka.

Podniósł się z ukrycia i jak żądny krwi zwierz podążył śladem żołnierzy. Operacja była przemyślana. Nie mógł wszystkiego dokładnie zaplanować, ale starał się przewidzieć każdą ewentualność. To dawało mu ogromną przewagę nad przeciwnikiem.

Najpierw po cichu podszedł na tyły grupy i przy użyciu tomahawka, z którym się praktycznie nie rozstawał, zlikwidował dwóch ostatnich Wietnamczyków. Pozostali zorientowali się poniewczasie. Z łatwością zdołał się ulotnić. Powstało krótkie zamieszanie, szybko opanowane przez Rosjanina. Grupa stała się czujna. Rozglądali się bacznie na wszystkie strony, ale nikogo nie widzieli. Sowiecki oficer nakazał, by trzymali się razem, żadnego odchodzenia od grupy choćby na krok. Rozkaz całkiem słuszny. Lecz Rosjanin nie mógł wiedzieć, że to dopiero początek.

Grupa ruszyła przed siebie i wpadła w pierwszą pułapkę. Zaostrzone bambusowe żerdzie podwieszane na napiętych lianach z impetem wbiły się w dwóch wietnamskich żołnierzy. Nieszczęśnicy wrzeszczeli z bólu. Pozostałych ogarnęła panika. Kilku ludzi zaczęło strzelać na oślep. Łatwo było się zorientować, że to grupa mało doświadczonych ludzi. Stąd

obecność Rosjanina. Nie spodziewali się tak bezpardonowego ataku na swojej ziemi i to ze strony niewidzialnego wroga.

Dowódca przyjrzał się rannym żołnierzom. Umierali w męczarniach. Nie dało się ich uratować. Wyciągnął pistolet i na oczach pobratymców dobił ich strzałami w głowę. Spojrzał zaraz potem w dżunglę. Jego wyraz twarzy zdawał się mówić niewidzialnemu przeciwnikowi: „Ty też tak skończysz”. Poszli dalej, zachowując najwyższą ostrożność. Rosjanin wypatrywał kolejnych ewentualnych niespodzianek. Wietnamczycy co jakiś czas oglądali się za siebie z trwogą w oczach. Wystarczyło jednak, by na chwilę spojrzeli do przodu i dwóch kolejnych ludzi z ariergardy padło pod cichymi ciosami tomahawka. Wystarczyło kilka sekund, żeby „łowca” zginął bez śladu w gęstwinie dżungli. Nastąpiła kolejna chwila popłochu, który został opanowany jednym krótkim rozkazem. Jeden z żołnierzy zboczył jednak nieopatrznie z drogi i wpadł w kolejną pułapkę. Bambusowe zęby wgryzły się w jego nogi. Wietnamczyk zawył z bólu i upadł na ziemię. Rany nie były śmiertelne, ale pozostali, kiedy go już wyswobodzą, będą musieli towarzysza nieść. Tak Rosjanin, jak i Polak doskonale zdawali sobie sprawę, co to oznacza. Wartość bojowa grupy malała niepomiarnie.

Wtedy sowiecki oficer podjął decyzję, którą podjąć musiał i na którą Julek po cichu liczył. Trzeba było pozbyć się nękającego ich wroga. Choćby po to, by samemu ujść z życiem. Nakazał Wietnamczykom zająć pozycje obronne i nieustannie obserwować otoczenie. Sam zaś zostawił ich i ruszył w dżunglę „na polowanie”. Kwiatkowski uważnie go obserwował. Rosjanin albo musiał mieć duże doświadczenie w tego rodzaju wojnie, albo być szalenie odważnym. Wkrótce sprawa się wyjaśni.

Sowiecki oficer zginął Julkowi z oczu tylko na chwilę. Stąpał bezszelestnie i poruszał się jak pantera, cały czas lustrując otoczenie, nasłuchując każdego podejrzanego dźwięku. Ścisnął rękę pistoletu. Ewentualny strzał sprowadzi Wietnamczyków na pomoc. Pod tym względem miał przewagę nad tajemniczym wrogiem. „Godny przeciwnik” - pomyślał Julek. - „Zaraz zobaczymy jak bardzo”.

Rosjanin przycupnął. Przyczaił się. Czekał na jakikolwiek ruch. Czas działał na jego korzyść. Wiedział o tym. Wkrótce mogły się pojawić w pobliżu większe siły wietnamskie. Julek postanowił zmusić go do działania. Nastąpił na gałązkę, która złamała się z cichutkim trzaskiem. Przeciętny człowiek w ogóle by tego nawet nie odnotował. Rosjanin drgnął i zrobił to, co doświadczony żołnierz zrobić powinien. Zapuścił się w dżunglę w przeciwnym kierunku do dochodzącego hałasu. Działał prawidłowo. Chciał obejść przeciwnika i zająć go od tyłu. Przeciwnik jednak spędził zbyt dużo czasu w dżungli, która stała się w pewnym sensie jego domem, żeby nie przewidzieć takiego manewru. Znając teren, potrafił też

powiedzieć, gdzie mniej więcej sowieckiego oficera najpewniej spotka i tam postanowił na niego zaczekać.

Rosjanin pojawił się szybko. W tych trudnych warunkach poruszał się wręcz podręcznikowo. Był czujny, ale nie posiadał wiedzy i doświadczenia człowieka, który w tym terenie spędził lata. Nie dostrzegł ukrytego w gąszczu wroga. Błyskawiczny atak nastąpił z najmniej spodziewanej strony. Najpierw uderzenie tomahawka w dłoń, wytrącające pistolet - wezwanie pomocy wystrzałem nie wchodziło już w grę - potem obejście od tyłu, chwyt za głowę i stalowa klinga noża znalazła się przy szyi oficera. Mężczyzna nie próbował technik obronnych. Miał na tyle rozsądku, by zdawać sobie sprawę z tego, że cokolwiek zrobi, nie zaskoczy wroga. Jeżeli do tej chwili nie został zabiły, rysowała się przed nim jakaś szansa. Nie zamierzał jej zaprzepaścić.

- Ktoś ty? - Rosjanin usłyszał zza głowy pytanie w swoim ojczystym języku.

Pierwsza myśl, że jakimś cudem trafił na swojego szybko uleciała. Nie mieli tutaj swoich o takim wyszkoleniu. Więc kto?

- Pułkownik Winogradow - odpowiedział, siląc się na spokój. - Jestem doradcą wojskowym. Nie biorę udziału w tym konflikcie.

- Posłuchaj, doradco wojskowy... - głos mężczyzny z tyłu przeszedł w złowieszczy szept.

- Zaraz tu będzie kompania Wietnamczyków - Pułkownik próbował sobie dodać animuszu blefem. - Poddaj się.

Julek prychnął mu do ucha.

- Nie liczyłem na to. Ale godny jesteś przeciwnik.

- Więc?

- Jestem porucznik Kwiatkowski. Polak. Popytaj o mnie u swoich z wywiadu. Od dzisiaj będę cię szukał, a szukam skutecznie. Wiesz, co będzie, jak cię znajdę?

- Domyślam się.

- Dlatego zabierz swoich kumpli i wyjeżdżajcie stąd. Taka dobra rada ze szczerego serca.

Porucznik nie pozwolił mu odpowiedzieć. Uderzenie w tył głowy pozbawiło Winogradowa przytomności. Za kilka godzin sam się obudzi lub towarzysze odszukają go wcześniej. Będzie miał do podjęcia trudną decyzję.

W knajpie panował zaduch. Zapach dymu papierosowego mieszał się z oparami wylanego gdzieś na podłogę podłego, ale mocnego alkoholu. Przytłaczająca liczba

klientów, głównie amerykańskich żołnierzy, sprawiała, że niejeden amator taniej rozrywki wchodził i wychodził zniechęcony. Znalezienie kawałka wolnej przestrzeni w tym przybytku zdawało się niemożliwe.

Cztery młode Wietnamki w trudnym do precyzyjnego określenia wieku płały na prymitywnej scenie w takt głośnej muzyki. Miały na sobie jedynie skąpe majtki. Wyginały szczupłe ciała ku ucieście jankeskich chłopców spragnionych oddechu po ciężkiej i niebezpiecznej służbie.

W najciemniejszym kącie pomieszczenia siedziało dwóch ludzi. Porucznik Jules Kwiatkowski i sierżant Raul Sanchez nie rzucali się w oczy. Nie interesował ich zbyt panujący dookoła zgiełk. Celebrowali kolejny tydzień, w czasie którego znowu udało się im oszukać kostuchę. Wspominali w myślach kolegów, towarzyszy broni z jednostki SOG, którzy mieli mniej szczęścia, ale w każdym przypadku drogo sprzedawali swoją skórę.

Sanches zawiesił wzrok na tańczących Wietnamkach.

- Nieźle - wyraził pochlebną opinię.

- Jak na wygłodniałe gusta - odparł porucznik.

- Nie podobają się panu, poruczniku?

- Widziałeś kiedyś piękną kobietę, Sanchez?

- Marilyn Monroe.

- A jak ci powiem, że jest kraj, gdzie Marilyn Monroe zgubiłaby się w tłumie?

Sierżant skrzywił usta w czymś, co mogło od biedy uchodzić za uśmiech.

- Mówią, że źle się dzieje w tej pana Polsce.

- Lepiej niż dziesięć lat temu.

- Jak tam jest?

- Teraz? Nie wiem. Wiem, jak było. - Porucznik zmrużył oczy. Przypłynęły zretuszowane przez czas obrazy w dużej mierze wyidealizowanego z upływem blisko trzydziestu lat kraju rodzinnego. - Ulice pełne ludzi, pogodnych, pełnych optymizmu. Dziewczyny rozkwitające na wiosnę, wzroku nie oderwiesz. Idziesz nad Wisłę i oddychasz pełnymi płucami, a powietrze sprawia, że żyć ci się chce. Cholernie ci się chce. Pikniki na łąkach, spływy kajakowe rzekami wijącymi się przez dziewiczą i surową, ale przyjazną człowiekowi przyrodę. Wycieczki do Zakopanego, w najpiękniejsze nasze Tatry.

- Tatry?

- Góry, człowieku. Jakie widoki... dech w piersiach zapiera. Góralska muzyka, jedzenie i zabawa do białego rana. Słów brak, żeby opisać. Poczuć byś to musiał wszystko.

- Tak mi się widzi, że to wszystko w Stanach mamy. - Sierżant wypił łyk piwa.

- Nie macie pięknych kobiet na każdym kroku. Nie macie tego klimatu, nastroju, który sprawia, że żyć się chce. Nie zrozumiesz tego, sierzancie.

- Jakiś czas temu znajomy był u was w Polsce. Opowiadał trochę. Szarzy, smutni ludzie, szare ulice. Tylko komuniści się poustawiali i żyją w innym świecie. Niezły kontrast. Może się nie znam, ale ma pan chyba mocno przestarzały obraz Polski, poruczniku.

Kwiatkowski zamknął się w sobie. Zdawał sobie sprawę, że Sanchez ma rację. Wciąż niezwykle mu było trudno pogodzić się z faktami. Obecna Polska to już nie jego Polska. Nie ta, którą pamiętał i do której chciał wrócić. Ale przecież ojczyzna jest tylko jedna. Nawet jeśli rozpanoszyli się w niej komuniści.

- Idę się odlać. - Julek wstał od stolika i wcisnął się w tłum mniej lub bardziej podpitych żołnierzy. Pod nieobecność porucznika przy ich stoliku stanęło trzech mężczyzn w mundurach polowych. Sanchez od razu dostrzegł naszywki w górnej części ramion: „Specjal Forces Airborne”. Nietrudno się było domyślić: siły specjalne - Zielone Berety.

Przybysze mierzyli sierżanta aroganckim wzrokiem. Sanchez rzucił okiem na insygnia. Cała trójka miała ten sam co on stopień wojskowy. Pierwszy od lewej - ogromne, potężnie zbudowane chłopisko z wytatuowanym węzem na szyi odezwało się do równie postawnych kolegów, głośno i wyraźnie, by siedzący przy stoliku usłyszał każde słowo.

- Popatrzcie, chłopaki, brudasów też do Wietnamu biorą.

Uwaga ewidentnie odnosiła się do etnicznego pochodzenia sierżanta Raula Sancheza. W niektórych południowych stanach USA niechęć do Meksykanów była powszechna, można by rzec wyssana z mlekiem matki.

- Faktycznie - stwierdził Zielony Beret, stojący w środku. - Białym miejsca zajmują.

W sierzancie SOG wzbierała fala złości. Niepotrzebna mu była awantura, ale koleśie najwidoczniej jej szukali. Trzech na jednego. Niekwestionowana przewaga dawała im niewzruszone poczucie pewności siebie.

Sanchez rozsiadł się wygodnie na krześle. Przyłożył puszkę piwa do ust i popijał ostentacyjnie. Nie chciał konfliktu, ale nie zamierzał też takowego za wszelką cenę unikać. Szczególnie że Zielone Berety wyraźnie szukały zaczepki. Tak to przynajmniej wyglądało.

- On nie rozumie - ponownie odezwał się wytatuowany. - Zająłeś nasze miejsca, człowieku - zwrócił się bezpośrednio do Sancheza.

Sanchez opuścił leniwie rękę. Wyczuł dłonią rękojeść wojskowego noża. Wiedział, że podobnie jak jego porucznik, posługuje się nim znacznie sprawniej niż komandos. W SOG wymagało się od ludzi dużo więcej.

Burda zawisła w powietrzu. Jej wynik w obecnych okolicznościach mógł być trudny

do przewidzenia. Kilka ciekawych spojrzeń z sąsiednich stolików zatrzymało się na czterech sierżantach.

Zielone Berety były gotowe do udzielenia Meksykańcowi lekcji pokory, która powinna się odbyć szybko i skutecznie.

- Hej, Richie Sutton - usłyszeli głos za plecami. - Denerwujesz mojego człowieka. - Kwiatkowski mówił spokojnie, acz dobitnie.

Tataż z wężem wykrzywił się, gdy żołnierz odwrócił głowę. Uniósł brwi na widok porucznika. Widać było, że się znają.

- Pan porucznik. - Sierżant się zmieszał. - Nie wiedziałem, że ten... - W ostatniej chwili ugryzł się w język i słowo „brudas” nie zostało wypowiedziane. - Ten sierżant jest od pana.

- Już wiesz.

- Chłopaki, idziemy - zwrócił się do kolegów.

Jednak Jules Kwiatkowski zatrzymał go wyciągniętą dłonią.

- Zapomniałeś o czymś, Richie Sutton.

- O czym?

- Domyśl się.

Sierżant Zielonych Beretów odgadł intencję porucznika. Poczzerwieniał ze złości, lecz ani myślał o ewentualnej bójce. Wiedział doskonale, z kim ma do czynienia jak konflikt by się dla niego i jego koleśki skończył,

- Przepraszam - bąknął do Sancheza przez zęby.

- Jak chcesz, to potrafisz, człowieku.

Trzej sierżanci oddalili się niepysnie. Raul Sanchez rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Nie moja wina”.

- Idziesz, sierżancie?

Latynos dopił piwo i zostawił puszkę na stole.

Na zewnątrz panował zwyczajny ruch. Nieprzeliczone rzesze Wietnamczyków dreptały pośpiesznie ulicami we wszystkie strony. Rowery i samochody kluczyły między cizbą ludzką.

Kwiatkowski wraz ze swoim sierżantem przeszli na drugą stronę szerokiej ulicy do zaparkowanego nieopodal jeepa, którym tu przyjechali. Sanchez usiadł za kierownicą i zapuścił silnik.

- Zaczekaj - powiedział do niego porucznik i utkwiał wzrok w dwojgu dzieciach kilkanaście metrów od knajpy.

Sześćcio-, może ośmioletnia dziewczynka głośno płakała i próbowała perswadować coś starszemu o kilka lat chłopcu. Trzymała go za rękaw. On co chwilę się nad nią nachylał i coś tłumaczył. Dziewczynka kręciła przecząco głową i płakała coraz głośniej. Chłopak pogłaskał ją po głowie. Przytulił mocno do siebie. Ona też objęła go w pół. Wyglądało na to, że są rodzeństwem. Dziewczynka zaczęła się uspokajać. Chlipała jeszcze przyklejona do brata.

Nagle młody człowiek, zupełnie niespodziewanie dla siostry oderwał ją od siebie i puścił się pędem w stronę knajpy. Zdezorientowana dziewczynka w pierwszej chwili nie skojarzyła, co się dzieje. Kiedy odbiegł od niej na sporą odległość, zaczęła krzyczeć wniebogłosy.

Julek obserwując sytuację, zauważył, jak pęd powietrza odchyła chłopcu rozpiętą koszulę. Na biodrach miał gruby pas. Wprawne oko natychmiast mogło dostrzec, co ten pas naprawdę zawierał. Chłopak miał na sobie materiały wybuchowe. Porucznik i sierżant od razu domyślili się, co się za chwilę zdarzy, lecz na jakąkolwiek reakcję było już za późno.

Młody Wietnamczyk minął wychodzących z przybytku trzech żołnierzy i wpadł jak burza do środka. Sekundę potem budynkiem wstrząsnął potężny wybuch. Podmuch fali uderzeniowej z wewnątrz przewrócił ludzi na ulicy. Sierżant i porucznik odruchowo schylili głowy, choć znajdowali się zbyt daleko, by doznać jakichkolwiek obrażeń.

Holy fuck! - zaklął Sanchez. - Widział pan? - zadał głupie w tej sytuacji pytanie.

- Przegramy tę wojnę - powiedział Julek głośno do siebie.

- Co?

Już ją właściwie przegraliśmy.

Kwiatkowski podał sierżantowi lornetkę. Leżeli na skraju dżungli, niewidzialni w gęstych zaroślach. Doświadczony weteran Raul Sanchez zlustrował teren. Zabudowania wiejskie kilkaset metrów od nich płonęły. Słyszał było pojedyncze wystrzały i krótkie karabinowe serie. Co jakiś czas dochodziły do nich eksplozje granatów. Dwoje Wietnamczyków wybiegło ze wsi i próbowało uciec. Biegli w ich stronę. Zza jednego z domostw wychylił się żołnierz i dwoma celnymi strzałami w głowę pozbawił ich życia. Następnie wrócił do wsi, gdzie piekielny zgiełk i wrzask mordowanych ludzi mieszał się z nawoływaniem żołdaków.

- Panie poruczniku - powiedział głośno sierżant. - To nasi. To naprawdę nasi. - Jeszcze przez chwilę nie odrywał lornetki od oczu.

- No. Na to wygląda.

- Ale co tam się, do cholery, dzieje?

- Idziemy zobaczyć. Każ młodemu wezwać ptaszka. Mam złe przecucia. Daj mi tu Raya i Mancuso. Wasza trójka zostaje. Gdyby się coś działo, wiecie co robić.

- Tak jest! - odpowiedział Sanchez i wycofał się.

Chwilę później obok Julka pojawili się dwaj żołnierze, Mark Ray i George Mancuso.

- Co robimy, poruczniku? - spytał Ray, młody Afroamerykanin.

Miał na głowie charakterystyczną dla siebie kolorową chustkę związaną na karku. Mancuso, mężczyzna o urodzie klasycznego nordyka, obserwował wioskę przez lornetkę.

- Hełm, żołnierzu - Kwiatkowski zwrócił uwagę Rayowi. - Chcesz, żeby ci czarny łeb odstrzelili?

Mark Ray natychmiast założył hełm na głowę.

- Przecież tam nasi są - bronił się Afroamerykanin.

- Tak, i strzelają do gołębi.

- Panie poruczniku - odezwał się Mancuso. - To Calloughn. Porucznik Calloughn jak nic. Poznaję jego ludzi. - Znowu przyłożył lornetkę do oczu. - Cywilów masakrują.

- Szlag by to! - warknął Kwiatkowski. - Jeszcze nam tego skurwiela tu brakowało. - Żołnierze spojrzeli na niego wyczekująco. - Idziemy - zakomenderował. - Macie być pół kroku za mną. Ja załatwiam sprawę, wy chronicie mi dupę.

Ray i Mancuso skinęli głowami. Byli młodzi, ale służyli pod rozkazami porucznika Kwiatkowskiego i sierżanta Sancheza dłuższy czas. Nie trzeba im było mówić nic więcej. Wiedzieli, co robić.

Odległość dzielącą ich od zabudowań pokonali truchtem. Już na skraju wioski zastali obraz, który budził przerażenie. Wokół pełno trupów mężczyzn, kobiet i dzieci. Przy pierwszym z domostw pod ścianą klęczała młoda Wietnamka z dzieckiem na rękę. Amerykański szeregowy stał do niej przodem. W lewej dłoni trzymał pistolet i przykładał go do głowy kilkuletniego dzieciaka. Prawą dłonią trzymał kobietę za włosy. Miał opuszczone spodnie. Najwyraźniej chciał zmusić Wietnamkę do seksu oralnego.

Kwiatkowski podszedł do niego i zanim żołnierz zorientował się, o co chodzi, porucznik zamachnął się i zdzielił go kolbą karabinu w kark. Szeregowiec zwałił się na plecy nieprzytomny, wystawiając swoje przyrodzenie na widok publiczny. Julek kazał kobiecie schować się w chacie.

- Poruczniku! - Mancuso wskazał postać nieopodal.

- Calloughn - powiedział Julek przez zaciśnięte zęby.

- Za mną.

Ruszyli biegiem w kierunku dowódcy plutonu. Po drodze natknęli się na dwóch

żołnierzy mierzących do starca z przestrzeloną ręką. Mężczyzna mimo rany starał się podnieść rękę, żeby żołnierze nie pomyśleli, że nie chce się poddać. Amerykanie odwrócili głowy na widok nieznanego porucznika. Na ich twarzach odmalowała się niepewność, ale nie opuścili broni.

Kwiatkowski nie dał im szansy przemyśleć swoich działań. Pierwszego kopnął z całej siły w krocze, drugi otrzymał potężne uderzenie kolbą w twarz. Krew trysnęła z rozbitego nosa i łuku brwiowego.

Jeszcze kilka kroków i Julek stanął przy obserwującym sytuację poruczniku Jamesie Colloughnie.

- Ty skurwysynu! Co ty wyprawiasz?! - Polak rzucił Rayowi swój karabin i zdzielił dowódcę plutonu otwartą dłonią w twarz, tak że tamten aż się zachwiał. Przez moment był osłupiały pojawieniem się intruza, a jeszcze bardziej niespodziewanym ciosem i to wymierzonym w obecności swoich żołnierzy. - Każ im przestać! Już!

Zdezorientowany porucznik rzucił kilka spojrzeń na boki. Najbliżej znajdujący się żołnierze zatrzymali się i patrzyli z zaciekawieniem na zgoła nietypową sytuację. Porucznik James Colloughn starał się dobierać sobie odpowiednich ludzi. Im kto bardziej zdegenerowany, tym bardziej się dla niego nadawał. Normalnych żołnierzy, bo i tacy mu się trafiali, traktował nieufnie i często ich dyskryminował. Tego dnia uznał nie bez racji, że może na swoich liczyć. Inaczej w konfrontacji z oficerem osławionego oddziału SOG - stworzonego do eliminacji wroga w każdym czasie, w każdym terenie i każdymi środkami - byłby z góry skazany na sromotną porażkę. Z takimi gośćmi się nie zadziera.

Porucznik Colloughn nie mógł jednak wyjść na mięczaka. Musiał jakoś zareagować. Poza tym miał znaczącą przewagę liczebną. Nie mógł pozwolić, by taka zniewaga pozostała bezkarna. Wyciągnął pistolet i wymierzył w Kwiatkowskiego. Nie zawiódł się na swoich żołnierzach. Pięciu z nich wycelowało karabiny w Julka i jego ludzi.

- Kurwa, odjechało ci Kwiatkowski?! - wrzasnął porucznik. Poczul się pewniej, widząc reakcję swoich żołnierzy. - Wietkongu bronisz?! Zastrzelę cię jak psa, zdrajco!

- Tu nie ma Wietkongu - Polak cedził słowa. Pistolet w ręku Colloughna nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. - Doskonale o tym wiesz. Mordujesz niewinnych ludzi.

- Kurwa! Partyzantów ukrywali! - darł się dowódca zbrodniczego plutonu. - Nie rozumiesz, gnoju?!

- Kobiety i dzieci?

- Jesteś trup, Kwiatkowski. - Colloughn uspokajał się. Przybliżył lufę pistoletu do

czoła Julka. - Jest wojna. Myślisz, że ktoś będzie o was pytał? *Missing in action*¹⁶, kolego.

Usta Polaka wykrzywił drwiący uśmieszek. Jednym błyskawicznym ruchem, którego ludzkie oko nie było w stanie wychwycić, złapał pistolet i wykręcając nadgarstek porucznikowi Colloughnowi, wyciągnął mu go z dłoni. Zaraz potem pociągnął go za rękę i wymierzył cios łokciem w szczękę. Colloughn padł na ziemię. Przez sekundę lub dwie był lekko zamroczony. Potrząsnął głową. Doszedł do siebie i zerwał się na równe nogi. Popatrzył na swoich żołnierzy. Wciąż celowali w Kwiatkowskiego, ale strzelić do oficera, to zupełnie inna sprawa.

W żadnym razie nie odważą się bez wyraźnego rozkazu, a i rozkaz taki mógłby zostać bez odpowiedzi.

Pozostała część plutonu przerwała masakrę i podeszła do centrum wydarzeń. Cel został osiągnięty, choć nie w taki sposób, jak Julek planował.

Colloughn, widząc wahanie swoich ludzi, dobył wojskowego noża. Zacisnął mocno rękojęść.

- Chcesz mnie zaszlachtować? - spytał kpiąco Julek. - Jak twoje bydlaki tych nieszczęśników?

- Napadłeś na mnie. Mam świadków. Zdechniesz, bracie. Tu i teraz.

- Nie sądzę.

James Colloughn skoczył do przodu i zamachnął się nożem na wysokości gardła przeciwnika. Julek odchylił się do tyłu i cofnął o pół kroku, jakby od niechcienia. Ostrze przecięło powietrze. W tym samym momencie kopnął czubkiem buta odsłonięte żebra porucznika. Colloughn jęknął mimo woli i złapał się wolną ręką za żebra. Ból był okropny. Mogło nastąpić pęknięcie.

- Coś ci marnie idzie, tłuku - rzucił szyderczo Kwiatkowski.

Colloughn ryknął jak dzikie zwierzę i jeszcze raz spróbował ataku. Siłą rzeczy, atak był zdecydowanie wolniejszy. Polak nie miał najmniejszych problemów ze złapaniem uzbrojonej w nóż dłoni przeciwnika. Kolejny chwyt, dźwignia, chrzęst pękających kości w okolicy łokcia i uderzenie kantem dłoni w twarz. Przednie zęby porucznika Colloughna znalazły się głęboko w ustach. Mężczyzna upadł.

- Zabić go, kurwa! - wybełkotał przez buchającą z ust krew. - On was zakabluje. Pójdziecie do pierdła, kurwa!

Argument był przekonujący. Żołnierze dopuścili się zbrodni wojennych. Doskonale o

¹⁶ (ang.) zaginiony w akcji

tym wiedzieli. Nie będzie tłumaczeń typu: „Wykonywałem tylko rozkazy”. Dało się słyszeć szcęk przeładowywanej broni. Sytuacja się zaogniła. Napięcie sięgnęło zenitu. Colloughn z satysfakcją obserwował rozwój wydarzeń. I wtedy znad dżungli zabrzmiał hałas nadlatującego śmigłowca. Wylądował kilkanaście metrów od nich. Wszystko się nagle skomplikowało.

Za pokładowym karabinem maszynowym ciężkiego kalibru siedział żołnierz. Był w pełni gotowy do otwarcia ognia. Drugi obok niego przyłożył megafon do ust.

- Jaki rozkaz, poruczniku Kwiatkowski?

Przez hałas rototoru ledwie dało się słyszeć jego słowa. Żołnierze jednak zrozumieli. Kolejnej zbrodni, tym razem na oficerze amerykańskich jednostek specjalnych, nie będzie. Opuścili broń.

- Ray - Julek zwrócił się do swojego żołnierza - powiedz, żeby wezwali jeszcze parę ptaszków. Trzeba ewakuować ocalałych.

Szeregowy Mark Ray pobiegł do śmigłowca. Zza jednej z chat wyszedł sierżant Sanchez z dwoma ludźmi. Colloughn z pomocą swoich żołnierzy stanął na nogi. Patrzył z nienawiścią na Kwiatkowskiego.

- Co tak długo, Sanchez? - Julek uśmiechnął się do swojego sierżanta.

- Wcale nie długo. Byliśmy zaraz za wami. Jak by ptaszek nie zdążył, to byśmy wam tyłki ratowali.

- Nie wątpię, sierzancie.

Pierwszych kilka kobiet z dziećmi wsiadało do śmigłowca.

- Co z Colloughnem?

- Pójdzie pod sąd.

- Myśli pan, że się nie wywinie?

- Zwątpiłbym w amerykański wymiar sprawiedliwości.

Na niebie pojawiły się trzy charakterystyczne sylwetki śmigłowców, w tym jeden z czerwonym krzyżem na białym tle. Nadlatywała pomoc medyczna. Chłopaki dobrze się sprawiły.

W przestronnym namiocie pułkownika Barry'ego Lestera panował półmrok. Swobodnie mieścił się tam spory stół, przy którym najczęściej planowano działania liniowe. Dzisiaj planowania nie było. Odbywało się przesłuchanie dwóch żołnierzy z plutonu dowodzonego przez porucznika Jamesa Colloughna. Obecny był jeszcze major Tim Rosco i porucznik Juliusz Kwiatkowski.

- Mów dalej, żołnierzu - zachęcił szeregowego Marthy'ego Roneya pułkownik.

Jego kolega, szeregowiec William O'Donell siedział z twarzą ukrytą w dłoniach. Dopiero teraz z pełną mocą docierało do niego, w czym tak naprawdę brał czynny udział.

- Baliśmy się. Ale chcieliśmy też się zemścić, za to że żółtki nam dokopały parę dni temu. Kazali nam zabijać wszystko, co się rusza. Spalić domy, rozwalić studnie. Chłopaki byli nabuzowani jak cholera, jak weszliśmy do wioski, to od razu zaczęliśmy w nich walić. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Porucznik wydał rozkaz, żeby wytłuc wszystkich. Miała to być misja niszczycielska, Jezu...

Julek podał młodemu, najwyżej dwudziestoletniemu żołnierzowi szklanek wody. Szeregowiec zaczął pić łapczywie.

- Też mogę? - spytał szeregowy O'Donell, chłopak w tym samym wieku.

I on dostał od porucznika naczynie.

- Co było potem? - kontynuował pułkownik.

- Conti, znaczy sierżant Frank Conti wywalił do jednej kobiety z granatnika, ale pocisk nie wybuchł. Uciekała z granatem w brzuchu. - Żołnierz patrzył przed siebie, jakby wciąż miał przed oczami makabryczne obrazy. Zaczął mówić beznamyślnie i chaotycznie, jakby opowiadał film. Stan psychiczny tylko na tyle mu pozwalał. - Widziałem, jak Fulton krzychał do dwójki dzieciaków: „lai dai”. Chłopczyk i dziewczynka mieli może ze trzy lata. Chyba nie rozumieli, co się dzieje. Często od naszych dostawali gumy do żucia i słodycze. Teraz szli do Fultona z wyciągniętymi rączkami, a ten... kurwa mać, a on...

- Co zrobił kapral Fulton?

Żołnierz spuścił głowę i wyjęczał.

- Wywalił do nich chyba z pół magazynka. - Młody człowiek ścisnął szklanek. Końce palców mu zbieleły. - Sierżant Conti podszedł do zgwałconej Wietnamki. Leżała nieruchomo, ale żyła. Na pewno. Włożył jej lufę karabinu w krocze i strzelił, aż podskoczyła. Jak manekin. Podpalali domy, wszystko było w ogniu. Wietnamczycy w tych swoich czarnych ubrankach biegali jak szaleni. Co chwilę któryś dostawał kulkę i padał.

- Jesteście w stanie powiedzieć, kto strzelał? Nazwiska?

Obydwaj szeregowcy podnieśli wzrok na pułkownika. Przez moment nic nie mówili. Patrzyli bezmyślnie na oficera. Skąd to pytanie? Przecież tam byli i wszystko widzieli. Dopiero po chwili zrozumieli, o co pułkownik tak naprawdę pytał. Chodziło o to, czy będą zeznawać przeciwko swoim towarzyszom broni.

- Kobieta z małym dzieckiem na ręku - odezwał się O'Donell - wyszła przed chatę. Bishop pociągnął do niej serię, ale nie trafił. Znaczący trafił, ale w rękę. Całe przedramię jej

urwało. Uciekła do chaty, a Richard Bishop poszedł za nią, żeby ją dobić. Dziecko też. Wyszedł i śmiał się. Powtórzę to, gdzie trzeba, panie pułkowniku.

- Roney?

- Ja też. Będę zeznawał. Tak nie może być. Ojciec mi opowiadał, co hitlerowcy wyprawiali na wojnie. My robimy tu to samo. To nie jest w porządku.

- Poruczniku - Pułkownik Lester zwrócił się do Julka - ci żołnierze będą pod pana opieką. Nie mogą wrócić do swojej kompanii ze zrozumiałych względów. Na razie mamy ofensywę Wietkongu na głowie. Nie czas na procesy. Za parę dni pomyślimy, co robić.

- Tak jest, pułkowniku.

- Możecie odejść.

Julek zabrał szeregowców i opuścili namiot sztabowy. Dowódcy zostali sami.

- Co myślisz, Tim?

- Nie wygląda to najlepiej. - Major Timothy Rosco splótł ręce na piersiach.

- Colloughn to bardzo doświadczony i dobry żołnierz.

- I zbrodniarz wojenny - zaznaczył Rosco.

- Trzeba by oskarżyć jego i pół tego plutonu.

- Trzeba by.

- Skąd wezmę ludzi na akcję? Jak zaczniemy naszych wsadzać do pierdła, nie będzie komu walczyć.

- Chcesz to tak zostawić? Colloughn i jego ludzie to mordercy. Zabijali cywilów, kobiety i dzieci. Nie słyszałeś?

- Majorze - Lester uderzył w oficjalny ton. - Mamy wojnę. Potrzebujemy każdego żołnierza, szczególnie tak doświadczonego oficera jak Colloughn.

- Kwiatkowski nie odpuści. Znam go.

- Kwiatkowski'ego biorę na siebie. Teraz musimy się zająć przygotowaniem. Idzie na nas chmara żółtków. Nie mogą przejść.

Julek szedł z żołnierzami do swojego jeepa. Zauważył nienawistne spojrzenia co niektórych ludzi kierowane na szeregowców. Wiadomość, że za ich przyczyną porucznik Colloughn może trafić do więzienia, wielu się nie podobała. Niejednemu z nich James Colloughn po prostu imponował. Był twardy, odważny i silny. Takie cechy robią wrażenie.

- Co teraz będzie, panie poruczniku? - spytał szeregowy Roney.

- Dobrze będzie, żołnierzu - uspokoił go Julek. - Nie martw się.

- Poruczniku Kwiatkowski. - Kapitan George Platt dogonił Julka idącego wzdłuż

baraków. - Dobrze, że cię znalazłem.

- Tak, kapitanie? - Polak przystanął.

- Trzeba zrobić rekonesans. Podobno żółtki próbują działać w tym rejonie. - Platt uderzył palcem wskazującym w złożoną mapę. - Trzeba sprawdzić.

- Moi ludzie jeszcze nie wrócili.

- Wiem. Chciałbym, żebyś wziął pluton porucznika Landsmana. Snajper go odstrzelił wczoraj. Zajmij się jego ludźmi, dopóki nie dostaną nowego dowódcy.

- Dlaczego ja? Niech ich Chisel weźmie. Stracił paru swoich niedawno.

- W plutonie Landsmana jest kilku nowych. Przy tobie się czegoś nauczą. Chisel się nie pieprzy z takimi. Jutro byśmy ich w workach do domu wysłali. Poza tym znałeś Landsmana, znasz jego ludzi. Łatwiej ci będzie.

- To rozkaz?

Julkowi nie uśmiechała się propozycja. Był z SOG. Mógł się zbuntować.

- Prośba. Weź ich. Tylko na parę dni.

- Dobra.

- Są u siebie. - Kapitan wskazał barak oddalony o kilkadziesiąt metrów. - Pogadaj z nimi.

Pod oknem baraku siedział samotnie żołnierz i sączył piwo z puszki. Na widok zbliżającego się porucznika wstał. Podniósł rękę do czapki i zawahał się. Powinien zasalutować oficerowi, ale wbijano im tu do głowy, żeby w miarę możliwości się powstrzymać, bo snajperzy tylko czekali na okazję, żeby oficerowi posłać kulkę w łeb. Ręka żołnierza zastygła na wysokości klatki piersiowej.

Julek ruchem dłoni kazał mu z powrotem usiąść, a sam przysiadł obok.

- Nie znam cię, żołnierzu. Nowy jesteś?

- Od tygodnia.

- Jakoś się nazywasz?

- Ben Kingsley.

- Skąd jesteś?

- Alexandria, Luizjana.

- Kraina Bayou.

- Prawie. Jeszcze kawałek. Pan porucznik zna?

- Mówi się, że w Luizjanie aligatory po ulicach biegają.

- Też tak słyszałem.

- Co myślisz o kumplach, Ben?

Młody człowiek popatrzył na oficera zaskoczony. Co to za pytanie? Miał obrabiać tyłki kolegom?

- Są w porządku - odpowiedział ostrożnie. - Dlaczego pan porucznik pyta?

- Sam siedzisz.

- Nowy jestem. Jeszcze się „nie wpasowałem”.

- „Nie wpasowałeś się”... Ilu jeszcze jest nowych?

- Trzech.

- Oni też się „nie wpasowali”?

- Nie wiem. Ich trzeba spytać - odpowiedział żołnierz burkliwie.

Kwiatkowski od razu zauważył, że ten żołnierz jest jakiś inny. Nie zintegrował się z grupą. Ciekawe dlaczego?

- Co robiłeś przed Wietnamem?

- Studiowałem literaturę angielską.

- I wzięli cię do wojska ze studiów? - zdziwił się porucznik.

- Sam się zgłosiłem. Na ochotnika. Chciałem coś zrobić dla kraju.

- Coś takiego. Patriota - stwierdził Julek z przekąsem.

- Pan porucznik nie jest patriotą?

- Jestem. Ale nie krzyżowcem.

- Co pan ma na myśli?

- Kiedyś sam zrozumiesz. - Julek podniósł się. - Przejmuję wasz pluton. Jutro idziemy na patrol. Trzymaj się mnie, a będziesz miał większe szanse, żeby wrócić do domu żywy. Kapujesz, żołnierzu?

- Tak jest.

W baraku grała muzyka. Śmierdziało od dymu papierosowego. Na widok oficera tylko trzech ludzi podniosło się z łóżek. Wiadomo, byli nowi. Pozostali nie zaprzęтали sobie jego obecnością głowy. Weterani nie mieli tego w zwyczaju. W drugim końcu pomieszczenia przy małym stoliku siedział sierżant i trzech żołnierzy. Grali w karty. Kwiatkowski szedł powoli w ich kierunku. Po drodze przystanął obok mężczyzny zagłębianego w lekturze.

- Co czytasz, żołnierzu?

Młody człowiek podniósł wzrok.

- Biblię.

- Chwalebne.

- Pan porucznik przyjął Jezusa?

- Nie dogadalibyśmy się. Ale ty czytaj. - Julek klepnął go po ramieniu.

Stanął nad karcierzami. Grali w pokera na pieniądze. Nie mogli dłużej udawać, że go nie widzą. Sierżant Matt Dickinson złożył karty i zebrał pulę.

- Witam, panie poruczniku - odezwał się, spoglądając na Julka. - Chce się pan przyłączyć?

- A wysoko gracie?

- Jak dla kogo. - Dickinson puścił oko do towarzyszy. Uśmiechali się drwiąco. - Ale zapraszamy. Może się panu poszczęści. Chłopaki, zróbcie miejsce panu porucznikowi.

Natychmiast znalazł się dodatkowy stółek, a pokerzyści się rozsunęli. Sierżant potasował karty i rozdał po pięć. Julek przyjrzał się wprawnym okiem koszulkom. Nie darmo bywał w młodości w podejrzanym, warszawskim środowisku. Oszustwa karciane nie miały dla niego tajemnic, a karty, które rozdawał sierżant, były znaczone i to w dość prymitywny, choć niezauważalny dla przeciętnego człowieka sposób.

Pierwsze rozdanie porucznik przegrał, a Dickinson wygrał.

- Panie poruczniku, sierżantowi dzisiaj karta idzie niemożliwie - powiedział do niego żołnierz z prawej, który już pozbył się resztek swojego żołdu.

- Najwyraźniej. - Kwiatkowski rzucił ciekawe spojrzenie zadowolonemu z siebie Dickinsonowi. - Najwyraźniej.

- Chyba się pan nie wycofa? - upewnił się sierżant.

Nie chciał przepuścić okazji na pomnożenie wygranej kwoty kosztem oficera.

- Ani myślę, sierżancie. Gramy.

- To rozumiem.

Kolejne rozdanie nie miało już dla Julka tajemnic. Pozostało czterech graczy. Wymiana kart. Każdy po dwie. W puli pojawiła się znacząca kwota.

- Sprawdzam. - Sierżant wyłożył karty. Full na królach. Pewien zwycięstwa, kurtuazyjnie poczekał na Kwiatkowskiego. - Panie poruczniku, pana kolej.

Julek wyłożył na stół cztery dziewiątki. Dickinsonowi mina zrzędała. Pozostali gracze przyjęli to z satysfakcją. Mieli już dość przegrywania z sierżantem. Oficer zebrał pieniądze i celowo nieporadnie potasował talię.

Kolejne rozdanie również przyniosło Julkowi wygraną. Nie mogło być inaczej. Oszukiwał, ale nauczony kiedyś przez warszawskich szulerów, robił to tak sprawnie, że nikt nie miał najmniejszych szans, by się zorientować.

Jeszcze kilka rozdań i na placu boju pozostał sierżant Matt Dickinson i porucznik Jules Kwiatkowski. Kupka banknotów urosła. Dickinson dostał cztery asy. Nie pokazał po sobie. Postanowił pójść na całość i postawił wszystkie pieniądze. Miał powód. Porucznik

wyrównał pulę.

- Sprawdzam, sierżancie.

Asy Dickinsona pojawiły się na blacie.

- Co pan na to, poruczniku?

- Chyba mam dzisiaj dobry dzień - odpowiedział Julek nonszalancko.

Karta za kartą zbudował pokera kier od dziewiątki. Dickinson i reszta wytrzeszczyli oczy.

- O kurwa - wypowiedział bezgłośnie sierżant. - Co jest? - dodał półgłosem.

Julek poskładał banknoty.

- Miał pan dzisiaj nieprawdopodobne szczęście - powiedział żołnierz z prawej.

Kwiatkowski odliczył pieniądze, z którymi wszedł do gry. Pozostałe przesunął w kierunku sierżanta i pozostałych graczy.

- Szczęście to rzecz względna. Prawda sierżancie?

- Co pan sugeruje, poruczniku?

- Domyśl się, sierżancie. Podzielcie te pieniądze - wskazał wzrokiem kupkę dolarowych banknotów. - Tylko uczciwie.

Żołnierze patrzyli po sobie. Nie do końca rozumieli sytuację. Dickinson zagryzał nerwowo wargi. Zrozumiał już, że Kwiatkowski wie. Trzeba teraz było wyjść z sytuacji z twarzą, czyli najlepiej nic nie mówić i udawać, że łaskawie zwraca wygrane wcześniej pieniądze.

- Jutro idziecie ze mną na patrol - Julek wstał od stolika. - Macie być w formie.

Schował banknoty do kieszeni i opuścił barak. Ben Kingsley wciąż siedział samotnie obok pustej puszki po piwie.

Po obu stronach wąskiej drogi rosła ściana dżungli. Pluton szedł w dwóch kolumnach. W ten sposób ubezpieczali się wzajemnie. Żołnierze rozglądali się. Zagrożenie mogło czaić się gdzieś w gąszczu. Trzeba było mieć się na baczności. Lecz z czasem czujność słabła, żołnierze rozluźniali się. Polegali na swoich dowódcach.

Sierżant i porucznik szli na przedzie. Najbardziej doświadczeni, umiejący dostrzec ukryty w zaroślach bunkier - zupełnie niewidoczny dla niewprawnego oka - odpowiadali za bezpieczeństwo swoich ludzi. Zależało im, żeby każdy z tych młodych ludzi wrócił do domu cały i zdrowy, niemalże tak bardzo jak samym zainteresowanym.

Odgłosy dżungli nie sygnalizowały żadnego zagrożenia. Gorące powietrze lepilo się do spoconej skóry. Insekty zaczynały dawać się we znaki. Nieprzyjazny klimat, duchota,

stuprocentowa wilgotność były jedynym wrogiem, z jakim dzisiaj przyszło się im zmagać.

Sierżant wyciągnął zza paska na hełmie paczkę papierosów i podsunął Kwiatkowskiemu. Porucznik odmówił ruchem głowy. Nie lubił rozpraszać się w czasie patrolu.

- Skąd pan wiedział? - spytał Dickinson, wypuszczając dym.

- O czym?

- O kartach.

- Powiedzmy, że wiele w życiu widziałem.

- Mógł mnie pan udupić. Wystarczyło słówko, i chłopaki by mi flaki wypruły.

- Tobie, sierżancie? Myślisz, że któryś odważyłby się?

- Otwarcie nie. Wiedzą, że nie mieliby szans. Ale przy sposobności, na akcji, kto wie.

- O te parę dolarów?

- O zasady, poruczniku. Nie darowaliby mi. Znam swoich ludzi.

- Myślałem, że to dobrzy żołnierze. Tak przynajmniej się o was mówi.

- Bardzo dobrzy. Paru z nich to zwykli bandyci. Tacy są najlepsi. Ale pewnych rzeczy nie odpuszczają. Nawet dowódcy.

- To po coś tak ryzykował?

- Adrenalina, poruczniku.

- Mało ci adrenaliny? W Wietnamie?

- Chciałem do takich jak pan, poruczniku, do SOG. Nie przyjęli.

- To masz szczęście. Z twoim podejściem dawno byś nie żył. Jak jesteś sam w dżungli, nie ma miejsca na nieskalkulowane ryzyko. Zimna krew, wyuczone odruchy, tylko tak możesz przeżyć. Ale często nawet to nie wystarczy.

- Słyszałem. Najwięcej was ginie. Mówią, że na jednego zabitego z SOG przypada kilkudziesięciu martwych żółtków. To prawda?

- Interesują cię statystyki, sierżancie?

Dickinson wzruszył ramionami. Rzucił niedopałek na ziemię, przydeptał mocno i wbił solidnie obcasem w miękki grunt. Rozmowy z tyłu, najpierw prowadzone półgłosem, stały się wyraźnie słyszalne. Ktoś rzucił żart, ktoś inny się zaśmiał. Sierżant odwrócił się i przystanął.

- Zamknąć mordy, do kurwy nędzy! - warknął na swoich ludzi. - Chcecie nam cały Wietkong na kark ściągnąć, durnie?

Rozmowy natychmiast ucichły. Argument sierżanta był nader przekonujący.

Julek kątem oka dostrzegł idącego po drugiej stronie szeregowego Bena Kingsleya. Ruchem dłoni przywołał go do siebie.

- Tak, panie poruczniku? - Młody człowiek zrównał krok z dowódcą.

- Przeszło ci, żołnierzu?

- Co mi miało przejść?

- Ty mi powiedz.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Posłuchaj, młody. Nowy jesteś, więc jeszcze możesz nie zdawać sobie z tego sprawy. Od tych tam - wskazał kciukiem do tyłu - nieraz będzie zależało twoje życie, jak masz z nimi jakiś problem, to musisz go załatwić od razu. Jak trzeba komuś po ryju nawalić, to tak zrób. Najlepiej, żeby nikt nie widział. Nie możesz się wyłamywać z grupy, bo szybko powędrujesz do mamusi w plastikowym worku, a tego chyba nikt nie chce, nie?

Żołnierz spojrział na oficera spode łba. Ewidentnie miał jakiś zatarg z weteranami, ale z jakichś powodów dusił problem w sobie. Nie odzywał się. Zmarszczył brwi.

- Nie tak wyobrażałem sobie naszą interwencję w Wietnamie - powiedział w końcu.

- Nie? A jak?

- Mieliśmy bronić Południa przed najazdem komunistów z Północy. Mieliśmy chronić cywilów, kobiety, dzieci.

- I co ci się nie podoba?

- Widziałem, jak nasi zgwałcili wietnamską dziewczynę. - Spuścił głowę, jakby się zawstydział. - Właściwie dziewczynkę. Miała może ze czternaście lat. Chciałem ich powstrzymać, ale dostałem po łbie. Sierżant nic nie zrobił. - Podniósł wzrok na Julka. - Nie tak miało być. Przecież nie jesteśmy zwierzętami. Tak nie można.

- Złóż raport.

- Raport?

- Na to co widziałeś. Opisz wszystko i złóż.

- To coś zmieni?

- Dla ciebie owszem. Przy najbliższej okazji dostaniesz kulę w łeb od towarzysza broni.

- Pan porucznik trzyma ich stronę?

- Nie. Uważam tylko, że jak się porywasz z motyką na słońce, to lepiej żebyś miał bardzo solidną motykę i bardzo grubą skórę, żeby cię słońce nie spaliło.

Dołączył do nich sierżant. Szeregowy Kingsley wrócił do swojej kolumny. Julek zaś uniósł lekko głowę jak pies myśliwski wyczuwający zapach zwierzyny. Poczł mrowienie na karku. Odruchowo napiął mięśnie.

- Sierzancie, każ radiotelegrafście wezwać śmigłowce.

Dickinson rozejrzał się uważnie. Nic nie zapowiadało jakiegokolwiek zagrożenia.

- Co się dzieje?

- Sierzancie, słyszałeś, co powiedziałem? - syknął Kwiatkowski. - Wykonać.

- Tak jest.

Dickinson bez przekonania oddalił się na tył. On - weteran z kilkuletnim doświadczeniem w akcjach - miał wrażenie, że ten porucznik jest trochę przeczulony. Tymczasem Julek uniósł pięść i zatrzymał obie kolumny. Żołnierz łącznikowy zdjął z pleców radiostację. Zaczął mówić do słuchawki. Dickinson spojrzął na odwróconego tyłem porucznika. Skrzywił się z niesmakiem.

- *Get down*¹⁷!!! - wrzasnął nagle porucznik.

Żołnierze odruchowo skulili się przy gruncie. Szczęknięły przeładowywane karabiny.

- Co on wyrabia? - szepnął sierżant do siebie.

Odgłosy dżungli nie zmieniły się ani na jotę.

- Kryć się! - rozkazał porucznik, a sam zagłębił się w leśny gąszcz.

Wyszkoleni żołnierze wykonali rozkaz porucznika i poszukali najbliższych miejsc schronienia przed ewentualnym zagrożeniem. Chwilę potem od strony, gdzie zniknął oficer, dało się słyszeć pojedyncze strzały. Kwiatkowski pojawił się moment później i padł na ziemię.

- Na lewo ognia!!! - Rozkazał i sam zaczął strzelać do ściany zarośli.

Sierżant Dickinson zrobił cierpiętniczą minę. Był pewien, że dowódca odbiło i wszczął fałszywy alarm. Takie rzeczy się przecież w Wietnamie zdarzały. Nawet najtwardsi nie wytrzymywali psychicznie. Zdążył tylko tak pomyśleć, kiedy ściana dżungli zaczęła pluć pociskami z broni półautomatycznej. Dwie kule trafiły go w płuco i osunął się na ziemię, tracąc przytomność. Nie widział, jak jego ludzie najpierw strzelają na oślep, a potem kierują ogień bardziej precyzyjnie, według wrzaskliwych instrukcji porucznika.

Szeregowy Kingsley razem z porucznikiem prowadzili skuteczny, metodyczny ostrzał. Co chwilę na otwartej przestrzeni pojawiali się Wietnamczycy. Byli koszeni celnymi seriami. Amerykańscy żołnierze, rażeni wietnamskimi pociskami, też padali na ziemię. Niektórzy dostali śmiertelny postrzał w głowę. Kilku innych z ranami nóg, rąk i tułowia krzyczało i wilo się z bólu. Żołnierz obok Kingsleya dostał w szyję. Krew trysnęła jak z fontanny. Nie było dla niego ratunku.

Sytuacja stawała się dramatyczna, gdy nagle nadleciały trzy śmigłowce. Maszynowa

¹⁷ (ang.) Na ziemię

broń pokładowa ostudziła zapal Wietnamczyków. Wrogi ogień zelżał na tyle, żeby Julek mógł zorientować się w sytuacji. Z plutonu pozostali tylko zabici i ranni. Sierżant Dickinson ocknął się. Trzymał się za prawą część klatki piersiowej i z trudem łapał powietrze. W tym samym momencie kula rozorała Kingsleyowi czubek głowy. Chłopak zwałił się nieprzytomny. Kwiatkowski zobaczył, że rana mocno krwawi, ale czaszka wydawała się nienaruszona. Podjął decyzję. Kilkadziesiąt metrów za nimi była rzeka i kawał otwartej przestrzeni. Zrzucił sobie Kingsleya na ramiona i pod osłoną śmigłowców puścił się w tamtym kierunku przez zarośla. Rzucił bezwładne ciało na ziemię. Wracając, natknął się na dwóch Wietnamczyków. W biegu ciął ich sprawnymi uderzeniami tomahawka. Znowu był przy drodze. Złapał kolejnego rannego. W rękę ścisnął pistolet. Tym razem śmigłowce się spisały i nie dopuściły do niego wrogów. Na drodze pojawili się Wietnamczycy. Strzelali to do przelatujących nad głową śmigłowców, to do krzyczących rannych. Julek porwał z ziemi karabin i na zimno zlikwidował zagrożenie. Trzech amerykańskich żołnierzy jednak przypląciło życiem chwilę jego tutaj nieobecności. Złapał następnego rannego. Poczł bolesne szarpnięcie na wysokości uda. Pocisk rozplątał mu skórę i prześliznął się po mięśniach, ale następny ranny był zaraz potem bezpieczny. Kolejny powrót po sierżanta Julek przyplącił raną postrzałową boku i pchnięciem bagnetu w ramię. Gdyby nie celny ogień z helikoptera, który unieszkodliwił nieprzyjaciela, następne pchnięcie byłoby śmiertelne.

Czas płynął bardzo szybko. Przybyła odsiecz i śmigłowiec medyczny. Udało się uratować ośmiu rannych. Grupa Wietnamczyków, w sumie nie wiadomo jak liczna, rozpląnęła się w dżungli. Pozostało zbieranie nieżywych i wnoszenie rannych do maszyn.

Julek usiadł i oparł się o drzewo. Był cały obolały.

- Panie poruczniku - usłyszał nad sobą głos młodego sierżanta. - Potrzebuje pan noszy?

- Nie.

- Musimy się natychmiast ewakuować. Zaraz tu będzie gorąco. Nasi będą zrzucac napalm.

Julek podniósł się ciężko. Z ogromnym trudem wsiadł do helikoptera. Z satysfakcją stwierdził, że rannymi, których uratował, troskliwie się zajęto. Odszukał wzrokiem Dickinsona. Sierżant był przytomny. Uniósł rękę i wystawił kciuk do góry. Próbował się uśmiechać, Julek odpowiedział mu tym samym gestem. Siedzącemu obok Kingsleyowi bandażowano głowę. Młody żołnierz coś mówił do medyka, jakby go instruował. Będzie żył.

*

W bazie bodaj wszyscy przyszli na lądowisko. Wieść o wyczynie oficera SOG

rozniosła się lotem błyskawicy. Julek wysiadł jako pierwszy. Zatrzymał się na moment i powiódł wzrokiem po zgromadzonym tłumie żołnierzy. Następnie pokuśtykał w stronę polowego szpitala. Wynoszono rannych. W pewnej chwili ktoś klasnął. Przyłączył się ktoś inny. Zaraz potem zabrzmiało równe, miarowe uderzenie w dłonie, raz, drugi, dziesiąty, dwudziesty. Ponownie spojrzął na ludzi wokół. Nie było wątpliwości. Dostawał owację na stojąco. Oficerowie mu salutowali. Przyłączali się zwykli żołnierze. Podbiegło do niego dwóch ludzi.

- Pomóc, poruczniku?

Wzięli go za ręce. Poczł wyraźną ulgę.

- Pewnie, że pomóc - odpowiedział szorstko. - Ileż można strugać bohatera?

Odprowadzili go w szpalerze do baraku szpitalnego.

Szeregowcy William O'Donell i Marthy Roney leżeli na pryczach. O'Donell pisał list do domu. Zrelaksowany Roney z rękami pod głową gapił się w sufi. Powoli dochodził do siebie po makabrycznych wydarzeniach, których był świadkiem.

- Myślisz, że nas puszczą? - Roney ułożył się wygodniej.

- Co?

- Do domu. Czy nas puszczą?

- Powinni. - O'Donell włożył końcówkę długopisu do kącika ust. - Jesteśmy ważnymi świadkami.

- A Calloughn?

- Pójdzie do pierdła. Jak amen w pacierzu.

- Jeszcze go nawet nie aresztowali.

O'Donell usiadł. Słyszał, że porucznik wciąż dowodzi. Nieszczególnie go to martwiło. Prowadzili przecież działania wojenne. Oficerowie byli potrzebni.

- Boisz się? - spytał ni stąd, ni zowąd Roneya.

Zapytany nie odpowiadał. Zastanawiał się, choć pytanie było zupełnie proste.

- Ja? - odezwał się wreszcie.

- Przecież nie ja.

Do baraku wpadł sierżant. Nie znali go. W odruchu dyscypliny wojskowej zerwali się z pryczy i stanęli na baczność.

- Szeregowi O'Donell i Roney? - sierżant wykrzyczał pytanie.

- Tak jest - odpowiedzieli chórem.

- Dołączycie do mojego plutonu. Natychmiast.

- Ale panie sierżancie - zaproponował Marthy Roney - jesteśmy świadkami w sprawie porucznika Calloughna. Porucznik Kwiatkowski kazał nam tu czekać i nigdzie się nie ruszać. Mamy...

- Gównu mnie to obchodzi, szeregowy. Rozumiesz?

- Panie sierżancie, ale naprawdę...

- Posłuchaj, szeregowy. - Sierżant podszedł do żołnierza. Na jego twarzy malowała się wściekłość. - Pułkownik polecił mi zebrać, kogo się da. Na południu Wietkong przerwał naszą obronę. Myślisz, że będę tu wysłuchiwał jakichś pierdoł? Rusz dupę, bo ci zaraz pomogę. Już!!!

Szeregowcom nie trzeba było powtarzać. Wybiegli z baraku. Kilka minut później siedzieli w jednym z pięciu śmigłowców. O'Donell miał niepokój w oczach. Patrzył po twarzach nieznanych sobie żołnierzy. Spojrzał na helikopter lecący obok i poczuł, jak ciarki poszły mu po plecach. Szturchnął Roneya.

- Patrz, kurwa, patrz.

- Czego chcesz?

- Popatrz, kto siedzi w ptaszku, tam.

Roneyowi szczęka opadała coraz niżej. Wytrzeszczył oczy. Nie było najmniejszej wątpliwości. Śmigłowiec wiozł na akcję dowódcę plutonu, którym był nie kto inny tylko sam James Calloughn. Szeregowcom nie trzeba było mówić, w jak śmiertelnie niebezpiecznej sytuacji właśnie się znaleźli.

ROZDZIAŁ 30

Pod budynkiem wrocławskiego szpitala klinicznego stała spora grupka ludzi. Czekali, aż rozpoczną się godziny wizyt. Nie chcieli uronić z tego dość krótkiego czasu ani minuty. Obłożnie chorzy członkowie rodzin, którzy nierzadko musieli leżeć na korytarzach w związku z chronicznym brakiem miejsc na salach, czekali na swoich krewnych całymi dniami. Rodziny przynosiły jedzenie nieporównywalnie lepsze niż to, które serwowała szpitalna kuchnia; z najwyższym trudem zdobywane owoce tropikalne, czy wystane w kilometrowych kolejkach wędliny lub inne wyroby mięsne, z którymi od lat na rynku był ogromny kłopot. Znajdowali się też wśród nich młodzi mężczyźni z przepisowymi wiązkami goździków, czekający cierpliwie, aż personel szpitala uzna, że mogą wejść na chwilę, żeby odwiedzić swoje żony i zobaczyć świeżo urodzone dzieciątka.

Edward Mencil patrzył na tych ludzi z odrobiną współczucia. Co prawda również był jednym z oczekujących, ale nie musiał się martwić o wejście do szpitala. Czekał na żonę, Marię Kwiatkowską-Mencil, którą wpuszczono po odbiór wyników badań. Denerwował się, ponieważ to, co badania wykażą, w jakiś sposób ukształtuje ich wspólną przyszłość.

Przechadzał się wzdłuż budynku. Praktycznie we wszystkich oknach stały po dwie, a czasami nawet po trzy osoby, w ogromnej większości kobiety, które machały do czekających przed wejściem ludzi. Słysząc było zdawkowe rozmowy między pacjentami a odwiedzającymi, głównie ograniczające się do pytań: „Co ci przynieść?” i odpowiedzi: „Wszystko mam”, co rzadko miało się z prawdą. Osobę w szpitalu rodzina starała się zaopatrzyć najlepiej, jak potrafiła, czasami odbierając od ust zdrowym, bo tak powszechnie było przyjęte i inaczej postępować nie wypadało. Co by ludzie powiedzieli?

Edward spojrzął na zegarek. Minęło już ponad czterdzieści pięć minut. Najwidoczniej po odbiór wyników była duża kolejka albo personel miał w tej chwili co innego do roboty, niekoniecznie ważniejszego niż czekający ludzie. Pod koniec lat sześćdziesiątych w Polsce, podobnie zresztą jak i w innych krajach bloku socjalistycznego, jednostka liczyła się znacznie mniej niż kolektyw i dobro państwa. Zwykłym Polakom dawało się to odczuć na każdym kroku. Społeczeństwo nie miało innego wyjścia, jak tylko się do tego faktu przyzwyczaić. Żyło się biednie i ciężko, ale spokojnie.

Drzwi szpitala otworzyły się i wyszła Marysia. Edwardowi serce mocniej zabiło. Podbiegł do niej. Jej wyraz twarzy niczego nie zdradzał.

- I co? - Edward wziął ją za rękę. - I co?

Kobieta spojrzała mu głęboko w oczy i pokręciła przecząco głową. Edward Mencil

wziął żonę w objęcia, mocno przytulił i pocałował.

- Przykro mi - wyszeptała łamiącym się głosem.

Ludzie wokół patrzyli na nich ze zdziwieniem. Kobieta wychodzi ze szpitala, a oni zamiast się cieszyć, zachowują się, jakby im świat się na głowę zawalił. Lecz zainteresowanie gapiów skończyło się natychmiast, gdy „wrota” szpitala otwarły się dla odwiedzających. Wszyscy ruszyli do wejścia.

- Marysiu, nie martw się - uspokajał ją mąż. - Trudno. Kocham cię całym sercem i mamy przecież siebie. To jest najważniejsze.

Westchnęła.

- Nie będziemy mieli dzieci.

- Przecież mamy wspaniałą córkę. Zosia jest...

- Lekarz powiedział, że to przez to, co się stało w czasie wojny; i oczywiście wiek.

- Jaki wiek? - oburzył się Edward zabawnie. - Który to powiedział? Ja mu zaraz...

- Wiem, wiem, mój rycerzu, że ty mu zaraz... Ale chodźmy już.

Marysia uśmiechnęła się smutno. Miała już ponad czterdzieści lat, ale przy nim zawsze czuła się dużo młodsza. Starła się dbać o siebie na tyle, na ile Polska Ludowa to umożliwiała. Lubiła się podobać i mimo swojego wieku wciąż przyciągała męskie spojrzenia.

Mąż wziął ją za rękę.

- Słusznie. Chodźmy. Zapraszam cię na wielkie lody. Chcesz?

- Pewnie, że chcę - rozpogodziła się Maria.

Przynajmniej takie starała się robić wrażenie. Nie chciała, by Edziu martwił się jej kiepskim stanem emocjonalnym. Świetnie zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo chciał mieć z nią potomstwo i z tego, ile go teraz kosztowało przybranie pozy wciąż cieszącego się z życia mężczyzny. Wiedziała, dlaczego tak postępuje. Robił to dla niej. Przede wszystkim dla niej. Może po trosze i dla siebie, by zagłuszyć niewątpliwy ból rozczarowania, o którym nigdy, przenigdy by jej nie powiedział. Z prostego powodu: żeby nie robić swojej ukochanej przykrości.

Zatrzymali się na placu Solnym.

- Poczekaj tutaj - powiedział Edward tajemniczo.

- Co się stało?

- Nic się nie stało. Poczekaj.

Edward poszedł w stronę straganów kwiaciarek. Maria domyśliła się.

- Edziu, po co...?

- Poczekaj, zaraz wracam - posłał jej wesoły uśmiech.

Wrócił rzeczywiście po chwili, dzierżąc okazały bukiet kolorowych kwiatów. Wręczył jej go, kłaniając się nisko.

- Edziu, a to z jakiej okazji? - spytała melancholijnie.

Odgadła jego intencje. Kwiaty te miały być uwieńczeniem dobrych wiadomości medycznych. Tak sobie najprawdopodobniej zaplanował. Smutna rzeczywistość znowu zaprzątnęła jej myśli.

- A co to już mąż bez okazji żonie kwiatów nie może kupić? - Uśmiechał się od ucha do ucha. - Niech ten bukiet będzie wyrazem moich uczuć do ciebie - dodał z gestem rąk niczym aktor w teatrze.

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Edziu, a czy ty przypadkiem nie jesteś za stary na takie wygłupy?

- Ja? Ależ skąd. Gdybym był stary, to byś za mnie nie wyszła.

- No, to fakt - podchwyciła jego żartobliwy ton. - Jak nic nie wyszłabym.

- Ale wyszłaś, więc teraz musisz iść ze mną na lody.

- Chyba muszę - przyznała.

Zauważyła, że kwiaciarki przyglądają im się z zainteresowaniem. Wszystkie bez wyjątku miały miny wyrażające jedno zdanie: „Ach, jaka ona szczęśliwa. Żeby mnie tak ktoś kochał...”

W kawiarni Edward zamówił dwie ogromne porcje lodów cassate. Czasem udało się taką wielosmakową półkulę dostać w sklepie, wtedy cała rodzina się delektowała niezwykle udanym polskim produktem. Edziowi udało się namierzyć kawiarenkę, która lody cassate serwowała bardzo często. Musieli mieć znajomości u producenta. Miało to oczywiście swój wpływ na cenę, sporo wyższą niż w sklepie.

Maria najbardziej lubiła część kakaową, a jej mąż z kolei przepadał za śmietankową. Podkradali sobie ulubione kawałki, bawiąc się tym doskonale. Przygnębiający nastrój opuścił kobietę na dobre. Spojrzała mężowi w zawsze pogodne oczy.

- Powiedz mi, Edziu, za co ty mnie tak kochasz?

- Za to, że jesteś, Marysiu. Za to, że jesteś, jaka jesteś. Nie wystarczy?

- Czym ja sobie na ciebie zasłużyłam?

- A czym ja?

Ścisnęła mu dłoń mocno. Wyglądali jak para zakochanych nastolatków, upojonych pierwszym prawdziwym uczuciem.

W domu czekała na nich Zosia. Była wyraźnie podekscytowana.

- Paczka przysłała z Anglii - zaszcebiotała. - Chodźcie.

Wielkie na wpół rozpakowane już pudło ukazywało wspaniałą, jak na warunki socjalistycznej Polski, zawartość. Produkty żywnościowe, w tym szynka w puszcze, angielskie słodycze, najprawdziwsze czekolady, kawa - wszystko to, czego kupienie w polskich sklepach stanowiło poważną trudność. A co najważniejsze - dla kobiet - oprócz kilku sztuk nowiusieńkich ubrań, były też zachodnie kosmetyki.

Państwo Bednarz, dawni przyjaciele Julka, z którymi korespondencyjnie przez ostatnie lata serdecznie się zaprzyjaźnili, rozpieszczali ich niemożliwie. Mogli sobie na to pozwolić, ponieważ wiedli w Anglii bardziej niż dostatnie życie. Kazimierz Bednarz był współdziałowcem doskonale prosperującej firmy, a ich rezydencja na zdjęciach, jakie kilka miesięcy temu przysłali, przyprawiała Polaków o zawrót głowy.

- Tyle wszystkiego - zachwyciła się Marysia. - Nie uwierzysz mamó, co przysłali.

- Jeszcze coś przysłali?

Zosia wyciągnęła zza pleców dwie winylowe płyty.

- The Beatles i Rolling Stones - niemalże zapiszczała jak nastolatka. - Dokładnie to, co chciałam. Ludzie na uczelni pękają z zazdrości.

- Och, dziecko, dziecko - Maria skomentowała spontaniczną radość córki.

Zosia dawno już nie była dzieckiem. Studentka przedostatniego roku Akademii Medycznej wyrosła na wspaniałą pannę, powszechnie lubianą i adorowaną przez kolegów.

- Jest jeszcze list.

- Co piszą?

- Nie wiem, mamusiu. Tym razem adresowany jest wyłącznie do ciebie.

- O - zdziwiła się Maria.

Korespondencję Bednarzowie od dawna już adresowali „Szanowni Państwo Mencil”. Znali się dobrze z wysyłanych sobie wzajemnie zdjęć. Angielskie były najczęściej kolorowe, polskie jeszcze wyłącznie czarno-białe.

Otworzyła kopertę, z której wyciągnęła jakieś urzędowe druki. Były w języku angielskim. Znalazła też list. Druki podała Zosi, która jedyna w rodzinie pilnie uczyła się angielskiego, a sama zaczęła czytać.

- Mamó - dziewczyna wpatrywała się w dokumenty, a jej twarz pojaśniała jeszcze bardziej. - To są zaproszenia do Anglii. Dla nas wszystkich.

Maria skończyła czytać i podała list Edwardowi.

- Piszą, że jakaś ichnia organizacja zdobyła informacje o Julku i najlepiej byłoby się z nimi spotkać, odpowiedzieć na całe mnóstwo pytań. - Popatrzyła na Zosię.

- Pokaż, dziecko.

Na drukach widniały ich nazwiska i dane osobowe. Czyli po to ich w ostatniej korespondencji o nie prosili.

- Znaleźli ojca?

- Nie znaleźli, tylko czegoś się pewnie dowiedzieli.

- Mamo, jedziemy.

- Córeczko, to nie takie proste. Trzeba usiąść i się na spokojnie zastanowić.

- Tato? - zwróciła się do Edwarda po wsparcie.

- Mama ma racje, Zosiu. Najlepiej wszystko na spokojnie omówić, przemyśleć.

- Co tu omawiać? Mamy okazję na Zachód pojechać.

- Tak, Zosiu, tak - matka starała się ostudzić jej emocje. - Trzeba pójść do urzędu paszportowego i dowiedzieć się wszystkiego; choćby tego, czy i kiedy nam dadzą paszporty... To nie tak szybko, kochanie. My z tatą pracujemy. Musimy sobie urlop załatwić. To tylko wy studenci macie niedługo trzy miesiące wakacji. I jeszcze pieniądze. Za coś trzeba tam pojechać.

- Bednarzowie przysłali nam na święta funty.

Zosia ani myślała odpuścić. Uznała, że trzeba kuć żelazo, póki gorące.

- Tak, Zosieńko, wszystko wiem. Daj mi chwilę, żebym mogła ochłonąć. Dobrze?

- Rety, zapomniałabym - zreflektowała się nagle dziewczyna. - Co powiedzieli w szpitalu?

- Niestety. Nie będziesz miała ani braciszka, ani siostrzyczki.

- Mamusiu - powiedziała czule Zosia i przytuliła Marię mocno. - Nie martw się, mamusiu.

Kolejna wizyta w urzędzie paszportowym. Kolejne godziny spędzone w kolejce do okienka. Kolejny czas niepewności w oczekiwaniu na decyzję wysokiego urzędnika. Nikt właściwie nie wiedział, jak głęboko władze wejrzą w jego akta prowadzone przez działy kadr w każdym zakładzie pracy, w jego życie w oparciu o wywiad środowiskowy. Nikt do końca nie mógł być pewny, czy bramy na Zachód zostaną przed nim otwarte, czy nadal oddzielać go będzie sławetna żelazna kurtyna, zza której co jakiś czas przybywały filmy, bijące w kinach rekordy popularności.

Wreszcie przyszła ich kolej.

- Chodź, Zosiu. Teraz my.

Maria wzięła córkę za rękę. Ścisnęła jej dłoń mocniej. Dziewczyna czuła wyraźnie, że

matka się denerwuje. Było czym. Za chwilę poznają decyzję w sprawie wydania lub nie wydania im paszportów, decyzję, która mocno zaważy na ich najbliższej przyszłości.

- Dzień dobry! - obie kobiety przywitały się grzecznie.

- Nazwisko - odburknęła urzędniczka.

Pracownica urzędu paszportowego była otyłą i zaawansowaną wiekiem osobą o fizjonomii buldoga. Patrzyła na petentów z góry, jak na natrętne robaki, których jak najszybciej należy się pozbyć.

- Maria Kwiatkowska-Mencel...

- Dwa nazwiska? - Urzędniczka świdrowała Marię wzrokiem milicjanta. - Też się fanaberii zachciewa. Jeszcze jakieś?

- Zofia Kwiatkowska i Edward Mencel.

Kobieta poszperała w kartotece podręcznej. Nic nie znalazła.

- Kiedy złożone?

- Już dość dawno. Ponad miesiąc temu.

- To czemu od razu nie mówi? - huknęła urzędniczka, manifestując swoje niezadowolenie. - Muszę w innej kartotece szukać.

Wstała z krzesła, co przy jej tuszy przedstawiało niebagatelną trudność. Podeszła do szafy z dokumentami i ponownie zaczęła szperać. Wyciągnęła po chwili trzy teczki, położyła na biurku i otworzyła pierwszą.

- Maria Kwiatkowska-Mencel - wyrecytowała - decyzja odmowna. Edward Mencel, decyzja odmowna, Zofia Kwiatkowska - zawiesiła głos i wbiła wzrok w papier, jakby niedowierzała jego treści. - Decyzja pozytywna. - Zamknęła teczkę. - Po paszport za dwa dni przyjść. To wszystko.

Na korytarzu urzędu odprowadzał ich wzrok czekających. Ilu z nich spotka taki sam zawód jak Marię?

- Mamusiu, może trzeba spróbować jeszcze raz - odezwała się Zosia. - Przecież nie mogą uniemożliwić wam wyjazdu.

- Mogą, córeczko, mogą - odpowiedziała zrezygnowana kobieta.

Znała procedury. Od decyzji nie było odwołania. Ponownie ubieganie się o paszport wchodziło w grę nie wcześniej niż za pół roku. Tak samo w przypadku Edwarda. Przyznając paszport Zosi, władze pewnie liczyły, że dziewczyna nie wyjedzie bez rodziców za granicę do obcych ludzi, bo państwo Bednarz nie byli przecież ich krewnymi, co jasno wynikało ze złożonych dokumentów.

- Przecież musi być jakiś sposób - upierała się dziewczyna.

- Porozmawiamy w domu, kochanie. Na spokojnie.

Edward, kiedy usłyszał wiadomości, nie wydawał się specjalnie zaskoczony. Objął żonę i przycisnął do siebie.

- Całych rodzin nigdy nie wypuszczają - stwierdził smętnie. - W zakładzie mi mówili o paru przypadkach, jedna osoba z rodziny dostaje paszport. Czasem dwie, ale rzadko. Wszystkich nie puszczają.

- Boże, kiedyż w tym kraju będzie normalnie? - Maria stęknęła przygnębiona. Spojrzała na córkę. - Przecież Zosia sama nie pojedzie.

- Mamo - zaprotestowała dziewczyna - jestem dorosła. Nie traktuj mnie jak dziecko. Mogę pojechać.

- Córeczko, jak? Sama? Taki szmat drogi? Do obcych ludzi?

- Przecież to Europa. Nie koniec świata. A Bednarzowie teraz to jakby rodzina.

- Edziu, powiedz coś - zwróciła się do męża - bo ja już naprawdę nie wiem.

- Nie gniewaj się, Marysiu, ale zgadzam się z Zosią. To jest dla niej szansa. Pod każdym względem. Choćby dla języka. Jeżeli nie możemy jechać wszyscy, trudno, ale jeżeli Zosia chce jechać, to powinniśmy zrobić wszystko, żeby jej pomóc.

- A jak jej się coś tam stanie?

- Mamo - odezwała się dziewczyna zniecierpliwionym tonem. - A co mi się tam ma stać?

- Nie wiem, dziecko, nie wiem.

- Mamusiu, ja już nie jestem dzieckiem. - Po raz kolejny zwróciła Marii uwagę na oczywisty fakt. - Czas, żebyś się już wreszcie z tym pogodziła.

- Dla mnie zawsze będziesz dzieckiem. - Maria Kwiatkowska posłała Zosi pełne miłości spojrzenie. - Dopóki będę żyła. I nic tego nie zmieni.

*

Lotnisko na warszawskim Okęciu nie robiło najlepszego wrażenia. Było małe, wręcz ciasne i zaściankowe. Zupełnie nie takie, jakie się widywało w amerykańskich filmach. Pasażerów za to było całkiem sporo. Lot Polskich Linii Lotniczych do Londynu cieszył się tego dnia stosunkowo dużym zainteresowaniem. Szczęśliwcy wyjeżdżający na Zachód stali w długiej kolejce do odprawy.

- Trzymaj paszport cały czas przy sobie. - Maria denerwowała się co najmniej tak, jakby to ona za chwilę miała lecieć do stolicy Wielkiej Brytanii. - Masz wizę?

- Mamo, wiza jest wbita do paszportu - uspokajała ją Zosia. - Nie da się jej zgubić.

- Tak, tak, wiem. To te nerwy. Strasznie się o ciebie martwię.

- Marysiu, wszystko będzie dobrze. - Edward objął żonę. - Niepotrzebnie się tak niepokoisz.

- I Zosia, pamiętaj, jak tylko dolecisz, od razu zadzwoń - gorączkowała się Maria. - Masz telefon do Słowińskich?

Maria miała na myśli sąsiadów, którzy jako jedyni w ich klatce schodowej byli szczęśliwymi posiadaczami linii telefonicznej. A to za sprawą głowy rodziny, Antoniego Słowińskiego, który pracował w Telekomunikacji Polskiej na stanowisku kierowniczym.

- Mama, mam wszystko. Nie denerwuj się, od razu zadzwonię.

- „Nie denerwuj się”. Łatwo ci powiedzieć.

- Łatwo. Po prostu się nie denerwuj, tylko słuchaj taty. Wszystko będzie dobrze.

Kolejka posuwała się całkiem sprawnie, jeszcze chwila i Zosia Kwiatkowska stanęła twarzą w twarz z surowymi i skrupulatnymi celnikami. Przy odprawie rodzice nie mogli już jej towarzyszyć. Nastąpiło czułe, ale szybkie pożegnanie. Rodzice wyściskali i wycalowali córkę.

Celnik wziął od dziewczyny paszport. Przeszył ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Co pani wiezie? - spytał.

- Rzeczy osobiste, trochę jedzenia, prezenty z Cepelii... Nic więcej.

- Na pewno nic więcej?

Obok mężczyzny stanęła młoda celniczka w charakterystycznym ciemnozielonym mundurze.

- Nie, nic - odparła Zosia zupełnie szczerze.

- Dewizy?

Dziewczyna zmieszała się. Przypomniała sobie o funtach, które dała jej matka. Było ich więcej, niż przewidywały przepisy.

- Mam trochę funtów na wydatki...

- Przecież jedzie pani na zaproszenie. Rodzina przyjmująca zobowiązała się pokryć wszystkie pani wydatki, czyż nie?

- Tak, oczywiście, ale...

- Ile?

- Sto - odpowiedziała Zosia zgodnie z prawdą.

- Nie wie pani, że takiej kwoty wywozić nie wolno?

- Proszę mi nie zabierać tych pieniędzy. To są wszystkie oszczędności rodziców.

- Pójdzie pani ze mną - powiedziała celniczka nie znoszącym sprzeciwu tonem. - Tam na zaplecze.

Zosia znalazła się w niewielkiej kabinie z kotarą zamiast drzwi. Był tam mały, okrągły stołek, kwadratowy stolik i dwa zwykle wieszaki na ubrania przykręcone do białej ściany. Celniczka weszła zaraz za nią.

- Ja nie... - Zosia chciała się jakoś tłumaczyć.

- Zostanie pani poddana rewizji osobistej - oznajmiła celniczka. - Proszę zdjąć ubranie.

- Jak to?

- Normalnie. Proszę się rozebrać. Muszę dokładnie sprawdzić pani garderobę.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Ma pani jeszcze jakieś pytania? - Celniczka traciła cierpliwość. - Ile mam czekać?

Do środka włożył głowę mężczyzna w mundurze.

- Jakiś problem, Hania? - spytał.

- Pani Kwiatkowska nie zrozumiała polecenia, ale już wszystko w porządku. - Kobieta zmroziła wzrokiem Zosię. Głowa celnika schowała się za kotarą.

Zosia zaczęła się rozbierać. Odkładała poszczególne części garderoby na stolik, a celniczka dokładnie je obmacywała. Dziewczyna nie miała zbyt wiele na sobie. Lato było gorące. Niedługo potem stała przed umundurowaną kobietą w samej bieliznie.

Celniczka przestała obmacywać jej ubiór.

- Na co pani czeka?

- Przecież... - Zosia był zaskoczona.

- To jest rewizja osobista, proszę pani. Muszę sprawdzić każdą część garderoby.

Przełamanie zupełnie naturalnego wstydu zabrało dziewczynie dobrą chwilę. Zdjęła bieliznę i zasłoniła rękami krocze i piersi. Z jakichś niezrozumiałych dla niej powodów celniczka wcale się nie śpieszyła. Można by odnieść wrażenie, że upajała się poczuciem władzy nad tą młodą kobietą. Jakby tego było jeszcze mało, do pomieszczenia bez ceregieli wszedł mężczyzna, który wcześniej tu zaglądał. Bezczelnie gapił się na nagą Zosię, żując gumę.

- I jak idzie? - spytał koleżankę.

- W ubraniu nic nie ma - odparła celniczka.

- Mogę się już ubrać?

Zosia miała ochotę zapaść się pod ziemię. Czowała, jak płonie z bezsilności i wstydu.

- Chwileczkę - warknęła mundurowa. - Jeszcze nie skończyłam. Powiem, kiedy można. - Spojrzała na kolegę. - A u was?

- Rzeczywiście sto funtów. - Celnik nie odrywał wzroku od atrakcyjnej dziewczyny. -

W bagażu podręcznym. Zarekwirowaliśmy.

- Bardzo dobrze. Cwaniaczki. Myślą, że nam walutę przed nosem wywiozą. - Jeszcze raz spojrzała na swoją ofiarę. - Można się ubierać - burknęła. - Chodź, Stefan. No chodź, chodź - ponagliła ociągającego się kolegę.

Zosia z cichym płaczem zakładała ubranie. Została upokorzona do granic możliwości. Całe szczęście, że rodzice nic nie wiedzą.

Na tarasie widokowym Edward i Maria wyglądali córki. Do schodów podjechał autobus. Pasażerowie od razu skierowali się do samolotu. Wśród nich dostrzegli Zosię taszczącą ciężką walizkę. Krzyczeli do niej i machali, choć odległość była znaczna. Dziewczyna tylko raz odwróciła się w stronę tarasu widokowego. Oczy wciąż miała pełne łez.

- Ciężko wyjeżdżać z kraju? - zagadnęła ją starsza kobieta. - Nie ma co płakać. Tam jest zupełnie inne życie. Sama pani zobaczy. Nie będzie pani chciała wracać.

Uśmiechnęła się serdecznie i ścisnęła Zosię za rękę, chcąc jej pewnie dodać otuchy.

Marysia patrzyła, jak córka znika we wnętrzu samolotu pasażerskiego. Ścisnęło jej się serce. Dziewczyna nie zatrzymała się na schodach, nie pomachała. To do niej niepodobne.

- Coś się chyba stało - powiedziała do męża półgłosem. - Tylko raz się do nas odwróciła...

- Kochanie, naprawdę niepotrzebnie się zadręczasz - uspokajał ją Edward. - Po pierwsze, to chyba z kilometr stąd i mogła nas nie widzieć. A po drugie, nadmiar wrażeń. Daj dziecku ochłonąć. Zobacysz, zadzwoni i przekonasz się, że wszystko jest w najlepszym porządku.

*

Grudzień, rok 1970

Edward Mencil otrzepał na wycieraczkę buty z resztek śniegu i wszedł do mieszkania. Zdjął futrzaną czapkę, powiesił w szafie ciepłe palto i krzyknął z przedpokoju.

- Słoneczko, jesteś już?

- Jestem, jestem - Marysia odpowiedziała z kuchni. - Chodź, zaraz obiad będzie.

Mężczyzna podszedł do żony i pocałował ją w policzek. Miała na sobie kuchenny fartuch, a w obu dłoniach trzymała przybory do makaronu.

- Co mi dzisiaj kochana żoneczka na obiad gotuje? - spytał i podniósł pokrywkę.

- Nie zaglądać mi do garnków - odpędziła go Maria, udając oburzoną. - Do stołu, proszę. Spaghetti będzie dzisiaj. W radiu włoski przepis podawali. A jak tam zebranie?

- Cały czas to samo. Dużo gadania, a mało konkretów. Benek Olejarz... kojarzysz

Benka? - upewnił się.

- Kojarzę, kojarzę. To ten, co się wtedy na czynie społecznym tak upił?

- Aj tam, zaraz upił. Trochę sobie wypił, to fakt, ale żeby zaraz upił...

- Jego żona była innego zdania. Dała mu popalić. I słusznie.

- A jak ja bym się upił? - spojrzął na nią z ukosa.

- To byś przez tydzień sobie sam obiady gotował. Albo i dwa. - Postawiła przed nim głęboki talerz pełen parującego spaghetti. Usiadła naprzeciwko. - Wiesz miałam dzisiaj bardzo niedobry sen.

- Co ci się śniło?

- Wrywałam ząb. U dentysty, chyba. Ząb wyszedł i buchnęła krew. Łała się strumieniami. To bardzo niedobrze.

- Marysiu, to tylko sen.

- No nie wiem, nie wiem. Pamiętam jeszcze przed wojną, jak mamie tak się śniło, to następnego dnia dostaliśmy wiadomość, że babcia zmarła.

- Kochanie, wierz mi, to tylko sen. To, co mówisz, to był na pewno tylko zbieg okoliczności.

- Pomyślałam, że Zosia już się długo nie odzywa. Może jej się tam, nie daj Boże, jakaś krzywda dzieje.

- Nie dzieje się - stwierdził Edward autorytatywnie. - Wręcz przeciwnie. Jest jej tam w Anglii bardzo dobrze.

- Oj, skąd ty możesz wiedzieć?

- A wiem. Zapomniałem ci powiedzieć, że byłem na poczcie. Przyszedł list od Zosi.

- I ty nic nie mówisz?

- Zapomniałem. Naprawdę - usprawiedliwił się.

Wstał od stołu i ruszył w stronę przedpokoju. Poszła z nim. Z wewnętrznej kieszeni palta wyciągnął grubą, podłużną kopertę, taką jak tylko z Zachodu przychodziły. Wrócili do kuchni. Edward zabrał się ponownie za jedzenie, a Maria wyjęła list i plik kolorowych fotografii.

- Czytałeś? - spytała, rozkładając pismo.

- Pewnie. Od razu na poczcie. Nie mogłem się powstrzymać.

Zagłębiła się w lekturę.

- Pisze, że jest najlepszą studentką na roku - powiedziała entuzjastycznie. Edward pokiwał głową. Wiedział przecież, co list zawiera. - Oprócz tego stypendium, co jej Bednarzowie załatwili, dorabia sobie jeszcze w restauracji. Niczego jej nie brakuje.

- No widzisz, a ty się martwiłaś, że jej tam się źle powodzi. Za rok skończy studia i będzie prawdziwą angielską panią doktor. Dopiero będzie miała życie.

- Może wróci. - W głosie Marysi zabrzmiała nadzieja.

- Myślisz, żebym nie chciał? Ale może lepiej nie. Do czego tutaj? Niech sobie dziecko życie tam ułoży. W końcu nas wypuszczą i pojedziemy do niej w odwiedziny.

Maria oglądała zdjęcia. Rozrzewniły ją niemal do łez. Z każdego patrzyła na nią roześmiana twarz córki wśród kolegów i koleżanek w jej wieku. Było też zdjęcie z krótkich wakacji nad morzem, spędzonych wspólnie z rodziną Bednarzów.

- Popatrz, Bednarzowie. - Podała jedzącemu mężowi fotografię. - Zosia pisze, że traktują ją jak najbliższego członka rodziny. Swoich dzieci nie mieli.

Edward dłuższy czas przyglądał się zdjęciu.

- Co za porządni ludzie - skomentował. - Tak się Zosią zajęli. Aż się wierzyć nie chce.

- Kazimierz Bednarz musiał się kiedyś z Julkiem bardzo przyjaźnić.

Przyglądała się grubym płatkom śniegu padającym za oknem. Próbowwała przywołać w pamięci obraz brata. Z czasem przychodziło jej to coraz trudniej. Edward stanął obok żony i objął ją czule.

- Myślisz, że żyje? - spytał.

- Julek? Tak. Czuję, że jest gdzieś w świecie i tęskni.

- Nie wie o was.

- Tęskni za Polską. Znam go.

- I nie wraca?

- Nie wiem dlaczego. Widocznie nie może.

Śnieg ustał. Na zewnątrz zrobiło się jaśniej. Na stole stygło niedokończone spaghetti.

- A ja myślę, że twój brat się znajdzie. Naprawdę. Tak coś czuję.

Spojrzała na niego z tklivością. Widziała, że mówi tak tylko po to, by dodać jej otuchy. I za to była mu wdzięczna. Mogła śmiało powiedzieć, że Edward Mencil jako mąż okazał się właściwie ideałem. Może poza aparycją, która dość daleko odbiegała od standardów prezentowanych przez męskie gwiazdy oglądane w amerykańskich westernach.

- Ale masz pogodę do wyjazdu na delegację - zmieniła nagle temat. - Nie mogli wysłać kogoś innego?

- Marysiu, to wyróżnienie, jadę do Gdańska na poważne rozmowy. Byłby kto nie mógłby pojechać.

- W środku zimy taki kawał drogi musisz się tłuc. O, jedzenie całkiem ci wystygło. Daj, podgrzeję na patelni.

- Sięgnęła po jego talerz.

- Kochanie, usiądź. Odpocznij sobie. - Posadził ją na krześle. - Jedzenie jest pyszne.

Nic nie trzeba podgrzewać.

- O której masz jutro pociąg?

- Chyba koło dwudziestej. Nie pamiętam. Jak będę z pracy wracał, to wstąpię na dworzec. Od razu bilet kupię. Może uda mi się miejscówkę dostać.

- Żebyś zdążyła cię spakować.

*

Następnego dnia Edward Mencil wyszedł z zakładu wcześniej. Dyrektor wydziału przekazał mu ostatnie wskazówki oraz wszystkie dokumenty i polecił, żeby wystawiono mu przepustkę na wcześniejsze wyjście z fabryki. Zdążył podjechać na Dworzec Główny i odstawszy swoje w kolejce przy kasie, zaopatrzył się w bilet. Nie miał szczęścia. Wagony z rezerwacją miejsc już wykupiono. Musiał więc się liczyć z koniecznością spędzenia podróży na korytarzu, chyba że poszczęści mu się przy wsiadaniu i zdąży zająć miejsce w przedziale. Miał nadzieję, że czas świątecznych wyjazdów się jeszcze nie rozpoczął.

W domu był przed Marysią. Od razu zabrał się za przygotowanie obiadu. Starał się wyręczać żonę w obowiązkach domowych, gdy tylko miał taką możliwość, za co żona była mu naprawdę wdzięczna.

Maria przyszła zaraz po nim. Zobaczyła w przedpokoju jego palto. Weszła do kuchni, kiedy nalewał wodę do garnka.

- Już jesteś? Tak wcześnie? - spytała.

- Dyrektor mi dał przepustkę. Zdążyłem jeszcze na stację wstąpić po bilet. Co byś sobie życzyła na obiad?

- Zostaw, Edziu. Wczoraj wieczorem zupę nastawiłam. Pomidorowa. Jest w lodówce. Makaron też. Tylko podgrzać. O której masz pociąg?

Edward zerknął na zegarek.

- Dokładnie za dwie godziny i pięć minut.

- Boże drogi, nie zdążysz - gorączkowała się. - Odgrzej sobie zupę. Zaraz cię spakuję.

Godzinę później Edward Mencil był gotowy do drogi. Potrzebował minimum czterdziestu pięciu minut, żeby dostać się na dworzec. O tej porze roku autobusy miejskie i tramwaje jeździły, jak chciały. Nikt specjalnie nie przejmował się marznącymi na przystankach pasażerami.

Na peronie był tłok. Kiedy podstawili pociąg, ciżba ludzka ruszyła po miejsca siedzące.

- Idź, Edziu - ponagliła go żona. - Ja poczekam z torbą. Podam ci, jak usiądziesz.

Edward cudem znalazł miejsce w przedziale przy samym oknie. Powiesił palto na haczyku. Wrócił do drzwi wagonu. Wziął od Marysi torbę podróżną i pocałował żonę na pożegnanie.

- Gdyby Zosia dzwoniła, to pozdrów ją ode mnie. - Wskoczył z powrotem do wagonu.

- Pozdrowię. Wracaj szybko i uważaj na siebie.

Pociąg ruszył.

- Zawsze uważam. Pa, kochanie. - Edward zatrzasnął drzwi.

Maria pomachała mężowi i poszła do wyjścia z peronów.

Kiedy wróciła do domu, w telewizji podawano wiadomości. Odczytano oficjalny komunikat o znacznej podwyżce cen artykułów żywnościowych. „Jak ludzie będą teraz żyli?” - pomyślała.

Następnego dnia nic nie zapowiadało mających wkrótce nastąpić burzliwych wydarzeń. Co prawda rozmowy w zakładzie zdominował temat ogłoszonych oficjalnie podwyżek, ale o wystąpieniach robotniczych przeciw planom władz co najwyżej tylko szeptało.

W dziale księgowości panował minorowy nastrój. Informacje o podwyżkach przybiły każdego bez wyjątku. Wszyscy odczuwają to boleśnie w swoich domowych budżetach.

Młoda pracownica, Irena Miękosz, przyjęta niecały rok temu, co chwilę wycierała nos w chusteczkę, ale nie z powodu kataru. Samotnie wychowywała dwoje małych dzieci po śmierci męża, który zmarł na raka ledwie pół roku temu. Jak do tej pory ledwie wiązała koniec z końcem. Po podwyżkach te końce będą już za krótkie. Wiedziała o tym i nic nie mogła na to poradzić.

Maria podeszła do niej. Przystawiła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko.

- Nie martw się, Irenko - powiedziała do niej łagodnie. - Załatwimy ci stałą zapomogę z zakładu. Jutro z samego rana pójde do dyrekcji.

Kobiecie puściły nerwy. Rozszlochała się w niekontrolowany sposób, jakby szefowa przyniosła jej złą, a nie dającą nadzieję wiadomość.

- Co ja dzieciom jeść dam? - łkała. - Za co kupię ubranie? Z czego wezmę na opłaty? Niech mi pani powie, pani Marysiu.

Marysia wzięła ją za rękę.

- Obiecuję ci, że nie zostaniesz bez pomocy. Choćbym miała do Komitetu Wojewódzkiego iść, to pójde. Pomoc ci się należy i ją dostaniesz.

- Ach, pani Marysiu, żeby to było takie proste. - Uspokoila się nieco. - Pani jest

bardzo dobrym człowiekiem, ale... Ja po prostu nie wiem, co dalej robić.

- Wszystko się ułoży. Zobaczysz. Bądź dobrej myśli.

Pozostałe pracownice działu księgowości rozmawiały między sobą półgłosem. Im też leżał na sercu los młodej koleżanki. Za przykładem szefowej zastanawiały się głośno, co by tu można jeszcze zrobić.

Następnego dnia Maria Kwiatkowska-Mencel zjawiała się z samego rana w sekretariacie dyrektora.

- Pan dyrektor ma naradę - poinformowała ją sucho sekretarka, Ryszarda Szymkowiak.

- Mam bardzo ważną sprawę. - Maria ani myślała ustąpić.

Sekretarka przyjrzała się jej znad grubych okularów. Była kobietą po pięćdziesiątce, o wnikliwym spojrzeniu i stanowczym charakterze. Na co dzień musiała decydować, kogo do dyrektora dopuścić, a kogo nie. Sprawy, z którymi ludzie przychodzili, były przeróżne. W co najmniej połowie przypadków zbyt błahe, by zaprzętać nimi naczelnemu głowę. Wtedy w miarę możliwości zajmowała się nimi sama lub odsyłała do odpowiedniej osoby, wykonując przedtem właściwy telefon.

- O ile dobrze się orientuję, pani Mencel, szefowa działu księgowości, tak?

- Zgadza się. - Maria była mile zaskoczona, że sekretarka dyrektora zakładu zatrudniającego tysiące ludzi kojarzy ją z nazwiska.

- W sprawach finansowych, to do ekonomicznego... chociaż... on też jest na naradzie.

- Nie chodzi mi o sprawy finansowe.

- Tylko...?

- Chociaż właściwie tak. Pracownica mojego działu potrzebuje wsparcia. Została sama z dwojgiem małych dzieci. Z jej obecnym uposażeniem, po ostatnich podwyżkach, nie da sobie rady.

- Widelki płacowe są sztywne.

- Wiem. Dlatego chcę porozmawiać z dyrektorem. Może uda się załatwić jakiś dodatek.

- Niech pani poczeka. Powinni skończyć za pół godziny. Potem dyrektor zaraz jedzie do Zjednoczenia. Nie liczyłabym dzisiaj na wiele, ale może warto spróbować.

Maria usiadła na krześle pod ścianą. Patrzyła na drzwi gabinetu naczelnego naprzeciwko, jakby wzrokiem chciała je otworzyć. Sekretarka tymczasem zajęła się przeglądaniem papierów i bieżącej korespondencji. Musiała wybrać dokumenty do podpisu na dzisiaj i oddzielić je od tych, które mogły jeszcze poczekać na decyzję.

Narada okazała się krótsza, niż sekretarka przewidywała. Już po dwudziestu minutach z gabinetu zaczęli wychodzić szefowie wydziałów. Nie byli w najlepszych nastrojach. Kwiatkowska zastanawiała się przez moment, o co mogło chodzić. Zakład nie miał problemów ani produkcyjnych, ani ekonomicznych. Wiedziałyby o tym. Pożegnali się zdawkowo z sekretarką i wyszli na korytarz. Za drzwiami słychać było jeszcze ich nerwowe rozmowy.

Ryszarda Szymkowiak stanęła na progu biura naczelnego.

- Panie dyrektorze, jeszcze jedna sprawa.

- Jaka sprawa? - zniecierpliwiał się Janusz Pasternak, człowiek zwykle postrzegany jako życzliwy, czasem surowy, ale zawsze sprawiedliwy i niezmiennie dbający o interesy całego zakładu, którego trzonem, jak często twierdził, jest załoga. - Przecież zaraz do Zjednoczenia muszę jechać. Do jutra niech poczeka.

Normalnie w takiej sytuacji sekretarka „odpuściłaby”, ale Ryszarda Szymkowiak z jakichś powodów postanowiła wesprzeć petentkę.

- Pani Maria Mencil z księgowości zajmie tylko chwilę. Chodzi o pomoc dla jednej pracownicy.

- Dobra. Pięć minut. Poproś.

- Ma pani pięć minut - zwróciła się do wstającej z krzesła księgowej - i naprawdę proszę się streszczać.

Gabinet dyrektora urządzone skromnie, ale ze smakiem. Widać było tu kobiecą rękę sekretarki, kogóż by innego.

- Dzień dobry, panie dyrektorze - powiedziała Maria.

- Witam panią. - Wskazał jej krzesło. - Ale krótko proszę. Dzisiaj naprawdę nie mam czasu.

- Pracownica w moim dziale wychowuje samotnie dwójkę dzieci. Mąż zmarł na raka. Teraz po tych podwyżkach nie będzie miała co do garnka włożyć. Proszę dla niej o jakiś dodatek do pensji. Znam jej sytuację i wiem, że bardzo potrzebuje pomocy.

- To do kadrowej z takimi sprawami. Nie do mnie. Wymyślcie razem coś.

- Panie dyrektorze, ale pan musi wyrazić zgodę na rozwiązania płacowe.

Mężczyzna sięgnął po telefon.

- Daj mi dyrektora ekonomicznego - rzucił do sekretarki. Już po sekundzie miał połączenie. - Zbyszek, mam tu jedną sprawę. Trzeba jakiś dodatek do pensji wykombinować dla jednej pracownicy z księgowości. Samotna, dwoje dzieci, w ogóle ciężka historia. Przyjdzie do ciebie szefowa księgowości. Wymyślcie coś razem i pomóżcie kobiecie. Tak? -

Zasłonił mikrofon słuchawki i zwrócił się do Marii: - Dzisiaj między dwunastą a trzynastą. Niech pani będzie u dyrektora ekonomicznego. Kadrowa niech też przyjdzie.

- Bardzo panu dziękuję, dyrektorze! - Marysia uśmiechnęła się wyraźnie zadowolona.

- A przy okazji pytanie zawodowe, jeśli można. Finansowo dobrze stoimy. Produkcja chyba też nieźle. Nasz zakład ma jakieś kłopoty?

- Pani Mario, nie zakład, tylko kraj ma kłopoty.

- Jest trudna sytuacja, to wiem, ale...

- Ludzie na północy się zbuntowali i wyszli na ulicę. Przeciw podwyżkom. Tak mówiąc między nami, to trudno im się dziwić. Protest obejmuje kolejne zakłady. Są sygnały, że i u nas coś się szykuje.

- Czy chodzi może o Gdańsk?

- W ogóle Trójmiasto.

- Mój mąż jest tam w delegacji. Inżynier Edward Mencil z wydziału wózków. Czy mam powody, żeby się martwić?

- Nie, nie trzeba się martwić. Na wybrzeżu jest milicja, chyba nawet wojsko i kontrolują sytuację. Nie ma powodu do obaw. Kiedy mąż wraca?

- Dzisiaj wieczorem powinien.

- Gdyby go nie było, niech pani powie szefowi wózków, że kazałem, żeby zadzwonił do Gdańska i się wypytał. Pociągi mogą nie chodzić albo co. Nie trzeba się niepotrzebnie martwić na zapas.

Popołudniowe spotkanie z dyrektorem ekonomicznym zakończyło się pełnym sukcesem. Maria przyniosła podwładnej tak znakomite wiadomości, że młoda kobieta aż się rozpląkała ze wzruszenia i ze szczęścia. W dziale zapanował doskonały nastrój.

Tylko szefowa była jakaś nieswoja. Wciąż brzmiały jej w uszach słowa dyrektora. Bała się o męża. Odczuwała podświadomy, zupełnie nieracjonalny lęk, że coś mu się stanie. Jednocześnie próbowała pokpiwać sama z siebie, bo co mu właściwie mogło grozić? Niepokoje społeczne to przecież nie wojna. Poza tym Edziu zawsze starał się trzymać z daleka od jakichkolwiek kłopotów. Na pewno wróci dziś wieczorem i będzie się z niej śmiał, że takie myśli jej przychodziły do głowy.

Wieczorem czekała do późna. Edward nie wrócił. Przypomniała sobie, co mówił naczelny o ewentualnych problemach komunikacyjnych w Trójmieście, więc uspokoiła się i poszła spać.

Następnego dnia, bardziej dla ukojenia nerwów niż z rzeczywistej potrzeby, odwiedziła dyrektora wydziału wózków, który polecił wykonanie kilku telefonów. Informacja

zwrotna brzmiała właściwie pomyślnie. Inżynier Edward Mencil dotarł do stoczni, ale teraz ze względu na sytuację strajkową nie było go na terenie przedsiębiorstwa. Miał czekać w hotelu robotniczym na zakończenie protestów lub, jeśli uzna za stosowne, wrócić do Wrocławia. Z tego co powiedziano, w żaden sposób nie był zaangażowany w wystąpienia robotnicze.

Po południu Maria wróciła do domu uspokojona. Odgrzała sobie zupę z poprzedniego dnia. Następnie zabrała się za jakiś bardziej konkretny obiad. Edziu mógł przyjechać w każdej chwili. Na pewno będzie głodny. Postanowiła mu zrobić schabowe z ziemniaczkami, tak jak najbardziej lubił. Schab wystąpiła w kolejce u rzeźnika, jeszcze zanim wyjechał. Miał być na święta, ale udało się zdobyć tyle, że i na obiad wystarczy.

Niecałą godzinę później obiad był gotowy. Dochodziła szósta. Pomyślała, że jak się Edziu spóźni, to mu się po prostu odgrzeje. Zresztą bardzo lubił ziemniaki odsmażane na patelni. Ucieszy się chłopina.

Zabrział dzwonek u drzwi. Pobiegła otworzyć dużo szybciej niż zwykle. Na korytarzu stała sąsiadka, Halina Paszkiewicz.

- Cześć, Marysiu. Masz może pożyczyć trochę mąki? Mąż prosi, żebym jakie ciasto upiekła. Z roboty chłop wrócił po godzinach, to niech ma. Ale mąka się skończyła. Do sklepu już za późno, a i tak pewnie bym nie dostała.

Kobieta nie czekając na odpowiedź gospodyni, weszła do przedpokoju.

- Mam, Halinko, mam. Na święta już zakupy robię.

- Ależ zapachy. - Paszkiewiczowa pociągnęła nosem.

- Schabowy, co? Edziu wrócił, to mu dogadzasz.

- Jeszcze nie wrócił. Podobno jakieś problemy z pociągami z Trójmiasta. Niedługo pewnie będzie, to podje sobie porządnie.

- Nie wrócił? - Sąsiadka brzmiała na zaskoczoną.

- Nie, jeszcze nie. Sama nawet się martwiłam. Ale w zakładzie zadzwonili do Gdańska i dowiedzieli się, że tam jakieś protesty przeciwko podwyżkom i nie da się normalnie pracować. Mówili, że Edek jest w hotelu robotniczym i że czeka, aż się to wszystko skończy. Ale chyba do domu przyjedzie, bo co będzie beczynnie siedział. Na święta trzeba się przygotowywać.

- To ty Wolnej Europy nie słuchałaś.

- Nie, a coś mówili?

- W Trójmieście jest pełno ZOMO i nawet wojsko. Straszne zamieszki się porobiły. Ciężko Edkowi się będzie wy dostać. Mówili, że nawet do robotników wojsko strzelało, ale

nie wiem, to chyba niemożliwe, żeby komuchy aż tak...

- To tym bardziej Edward powinien siedzieć w domu, a nie po hotelach robotniczych, jak tak niebezpiecznie się zrobiło. Chyba mu powiem co do słuchu.

- Co ty, Marysiu. Edziu taki spokojny. Gdzie on by się pchał w jakie niebezpieczeństwo. Przyjedzie, to ci pewnie powie, że nic nie widział. No to co, dasz mi tej mąki? - Paszkiewiczowa wręczyła jej półlitrowy słoik. Maria odsypała z torebki więcej niż połowę. - O, już, już. Starczy, kochana. Mój stary się ucieszy. Będę leciała.

Maria odprowadziła sąsiadkę do przedpokoju. I znowu zadzwonił ktoś do drzwi.

- No i zguba się znalazła - powiedziała Marysia z ulgą w głosie. - Całe szczęście.

Otworzyła drzwi, a w progu stał... dyrektor zakładu wózków z Pafawagu, Teodor Bargieł.

- Dobry wieczór, pani Mario. Przepraszam, że niepokoję w domu, ale mam coś bardzo ważnego... - spojrział wymownie na sąsiadkę.

Kobieta zorientowała się, że jej obecność niekoniecznie jest pożądana.

- To pa, kochana. Lecę. Dzięki za mąkę. Wpadnij, jak twój stary wróci.

Szybkim krokiem przemierzyła korytarz i zamknęła za sobą drzwi mieszkania naprzeciwko.

- Proszę wejść, panie dyrektorze.

- Ja tylko na chwilę. - Otrzepał buty ze śniegu i wszedł do przedpokoju. - Uznałem, że przyjdę osobiście, bo pan Edward pracował na moim wydziale.

Marii nagle zrobiło się gorąco.

- Coś się... stało?

- Pani Mario, godzinę temu dostaliśmy telefon z Gdańska. - Widać było, że mówi z najwyższą trudnością. - W sprawie pani męża.

- Co z Edwardem? Chyba nie został aresztowany. Przecież on w życiu by się w nic nie angażował.

W duchu miała szczerą nadzieję, że chodziło właśnie o aresztowanie, a nie o coś innego. Nie dopuszczała do siebie myśli, że mogło stać się cokolwiek innego.

- Nie został aresztowany. Pani mąż...

- No i całe szczęście. Dopiero bym miała kłopot. Maria manifestacyjnie odetchnęła z ulgą, jednak od razu można było dostrzec, że zachowuje się sztucznie niczym marny aktor starający się odegrać swoją rolę najlepiej jak potrafi, a potrafi niewiele. Miało się wrażenie, jakby rzeczywistość nagle nabrała dla niej innego, nieznanego dla przeciętnego człowieka wymiaru, jakby starała się gdzieś uciec całą sobą, nie wiadomo gdzie i po co.

Dyrektor odgadł, że Maria jakimś szóstym zmysłem domyśla się, co jej przyszedł powiedzieć, ale za wszelką cenę chce tę myśl wyprzeć, żywiąc irracjonalną nadzieję, że może jednak nie. Nie mógł dłużej zwlekać.

- Pani Mario, pani mąż, Edward Mencil, nie żyje. Dosięła go przypadkowa kula podczas pacyfikowania rozruchów. Przykro mi. Jeśli coś dla pani mogę zrobić...

Misternie, choć naprędce budowana wieża nadziei runęła z hukiem. Zwaliała się jej na głowę, boleśnie i bez litości.

- Nie, panie dyrektorze - powiedziała obłąkańczo stanowczym głosem. - To niemożliwe. To musi być pomyłka. Edziu w nic takiego by się nie wpakował. Panie dyrektorze, to musi chodzić o kogoś innego.

- Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje, pani Mario. Polecilem, żeby przysłali rzeczy pana Edwarda.

W tym momencie kobieta wybuchnęła głośnym płaczem. Oparła się o szafę ścienną i zsunęła na podłogę. Płakała w kucki jak małe dziecko. Mężczyzna ukląkł i położył jej dłoń na ramieniu.

- Panie dyrektorze... panie dyrektorze... - podniosła na niego pełne łez oczy - niech pan powie, że to nieprawda. Błagam pana. No, niech pan powie.

- Pani Mario, nie zostanie pani bez pomocy. Zrobimy wszystko, co możliwe, żeby... - Właściwie nie wiedział, co jej powiedzieć. Żadne słowa nie zdołałyby ukoić bólu tej kobiety i jej bezgranicznej rozpaczki po utracie najbliższej osoby. - W każdej chwili może pani na nas liczyć. Cokolwiek będzie pani potrzebowała...

- Niech pan już idzie, panie dyrektorze - zdawała się uspokajać.

- Jeszcze raz chciałem powiedzieć, że niewymownie mi przykro.

Nie reagowała. Skuliła się w sobie. Mężczyzna podniósł się i wyszedł z mieszkania, cichutko zamykając za sobą drzwi. Kiedy Maria została sama, jej ciałem wstrząsnął niekontrolowany szloch. Lamentowała żałośnie bardzo długo. W końcu wstała, wciąż łkając, poszła do kuchni i usiadła na krześle. Nie wiedziała zupełnie, co ma ze sobą teraz robić. Nagle, w jednej chwili została na świecie zupełnie sama. Utkwiła wzrok w wykafelkowanej ścianie nad kuchenką. Ostatnia praca, którą Edward w domu wykonał. Był taki z siebie dumny. Zauważyła drobniotką, tłustą plamę na fudze. Zerwała się z krzesła i wzięła do ręki mokrą ściereczkę ze zlewozmywaka. Tarła brudne miejsce bez opamiętania, długo i zawzięcie, aż fuga zaczęła się obsypywać. Zatrzymała wzrok na patelni. Kotlet schabowy był zimny. W garnku ziemniaki też już dawno wystygły. Edward Mencil nie zje swojego ulubionego obiadu. Pomyślała, że biedak pójdzie na spotkanie ze stwórcą głodny. Ogarnęła ją

obezwładniająca żal. Rozpląkała się głośno na nowo.

Następnego dnia półprzytomna z rozpacz, zdała sobie sprawę, że musi zająć się pogrzebem. Poszła do zakładu, gdzie dyrektor Bargiel natychmiast odłożył wszystkie sprawy, by ją przyjąć. Dowiedziała się, że nie musi się martwić organizacją pogrzebu. Odpowiednie polecenia już wydano, a w stosownym czasie ona zostanie o wszystkim poinformowana. Czowała wdzięczność, ale nie potrafiła tego okazać. Jeszcze wtedy nie wiedziała, że milicja organizuje potajemne pogrzeby na Wybrzeżu i że ciało męża nie będzie jej szybko wydane.

Po południu poszła na Poczta Główną. Musiała zawiadomić Zosię. Tylko jak ma jej to powiedzieć? Może w ogóle nie powinna? Dziewczyna kończy studia w Anglii, rysuje się przed nią wspaniałe życie, a znając ją, rzuci wszystko i przyjedzie, by być z nią tutaj.

Usiadła na ławce przy kabinach telefonicznych. Wahala się. Może nie dzwonić? Z drugiej strony Zosia mogłaby mieć do niej o to całkiem słuszny żal.

Wstała i podeszła do okienka.

- Proszę do Londynu. - Podała kobiecie w granatowym fartuchu złożoną kartkę papieru z numerem. - Błyskawiczną.

- Do Londynu w Anglii? - upewniła się pracownica.

- Tak, poproszę.

- Za błyskawiczną dużo pani zapłaci. Wie pani o tym?

- Wiem. Proszę błyskawiczną.

Kobieta zrobiła minę obrażonej królowej i podniosła słuchawkę telefonu na biurku. Złożyła zlecenie.

- Proszę czekać.

- Ile to może potrwać?

- A co to, ja święta Weronika jestem? - Opryskliwa baba po pięćdziesiątce z całą pewnością świętej Weroniki nie przypominała. - Ile ma być, tyle będzie. Zawołam.

Maria nie miała siły zwracać jej uwagi na niestosowność zachowania. Nawiasem mówiąc, i tak niewiele to by dało. Tamta była przecież przedstawicielką klasy robotniczej, sumiennie wykonującą swoje obowiązki, więc nikt nie miał prawa poddawać jej osoby krytyce. Tak przynajmniej na pewno uważała i nie myliła się zbytnio w swojej ocenie.

Godziny mijały niepostrzeżenie. Maria czekała w psychicznym odrętwieniu. Na zewnątrz robiło się ciemno. Za oknem zmarznięci ludzie śpieszyli do domów. Przywita ich tam ciepło rodzinne, w czasach niedogranych o tej porze roku mieszkaniach. Zazdrościła tym anonimowym postaciom zza szyby.

- Londyn! Kabina czwarta! - zabrzmiał donośny głos „świętej Weroniki”.

Maria weszła do kabiny i podniosła słuchawkę.

- Halo?

- *The Bednarz residence* - zabrzmiał żeński głos po drugiej stronie.

- Dzień dobry - powiedziała każde słowo wyraźnie.

- Nazywam się Maria Kwiatkowska-Mencel. Dzwonię z Polski. Czy mogę... - zwiesiła głos, by sprawdzić, czy została zrozumiana.

- Maria! - Osoba po drugiej stronie linii powtórzyła jej imię entuzjastycznie. - Ja jestem Kate Bednarz. Ja słabo mówi po polskiemu - wypowiadała słowa bardzo wolno - ale ja dać Zosia. Tak?

- Tak. Bardzo proszę Zosię.

Cisza w telefonie trwała tylko chwilę.

- Mama? - Usłyszała znajomy głos córki.

- Zosieńko, kochanie - rozczuliła się. - Co u ciebie?

- Mamusiu, u mnie wszystko super. Dali wam wreszcie paszporty? Możecie tu do nas na święta przyjechać? - spytała dziewczyna, ciesząc się na myśl o spotkaniu z rodzicami.

- Córuchna, dostaliśmy odmowę. Niestety, jeszcze nie tym razem, ale znowu spróbujemy... - głos się jej załamał. Z największym trudem powstrzymywała płacz. - Obiec... Obiecuję ci, że... - łzy popłynęły jej strumieniami po policzkach. - Niedługo, kochanie...

Nie wytrzymała. Zapłakała bezgłośnie. Tak jej się przynajmniej wydawało.

- Mamusiu, ty płaczesz. Co się stało?

- Nic, córuniu, nic.

- Przecież słyszę.

- Tata miał wypadek.

- Jezus Maria! - wystraszyła się dziewczyna. - Jest w szpitalu czy w domu? Mamuś, powiedz. Już w porządku? Jak się tata czuje?

- Córuniu kochana, tata nie żyje. Zastrzelili go w Gdańsku. Milicja czy wojsko, nawet nie wiem.

Maria rozplakała się na dobre. Wyciągnęła chusteczkę i wytarła nos. Po drugiej stronie zaległa grobowa cisza.

- Mamuś, kiedy pogrzeb? - spytała Zosia. - Przyjeżdżam. Jutro będę w Warszawie.

- Zosiu, kochanie, nie przyjeżdżaj. Przecież cię już nie wypuszczą. Wszystko pójdzie na marne. Zostań tam. Tu nic cię nie czeka.

- Mamo, jutro będę w Warszawie. Czekaj na mnie w domu.

- Zosiu, na miłość boską. Obiecuj mi, że nie przyjedziesz. Nie marnuj sobie życia. Ja zdobędę paszport i przyjadę do ciebie. Błagam cię, nie zaprzepaszczaj swojej szansy. Już takiej mieć nie będziesz. Na rany Chrystusa. Posłuchaj matki jeszcze tym razem.

- Mamo, jeśli tobie dadzą paszport, to dopiero za parę miesięcy.

- Szybko minie. Uwierz mi. Znowu będziemy razem. Tylko nie wracaj do tego kraju. Tu się straszne rzeczy dzieją.

- Mamusiu, ale pamiętaj...

Zosi nie dane było dokończyć. Połączenie zostało przerwane. Maria trzymała jeszcze przez chwilę słuchawkę w dłoni. „Mówi się” - powiedziała głośno do telefonu. Połączenie nie zostało przywrócone. Ktoś gdzieś uznał, że powiedziała coś, czego powiedzieć nie powinna i ją rozłączył.

Podeszła do okienka.

- Przerwano mi rozmowę - poskarżyła się nieprzyjemnej pracownicy poczty.

- Nie moja wina - odburknęła opryskliwie. Napisała na kartce kwotę. - Opłata za rozmowę. - Przesunęła papieraek w stronę Marii.

- Przecież ja nie skończyłam rozmowy.

- Dzisiaj już nie łączymy. Jak pani chce, jutro niech pani przyjdzie. Płaci pani czy nie?

Minęły kolejne dwa dni. Maria znowu pojawiła się w pracy. Wcześniej prawie nie wychodziła z domu, ale na święta została zaopatrzona jak chyba nikt inny w tym kraju, kto nie należy do najwyższych elit władzy. Dowody życzliwości, okazywane ze szczerego serca, przyjmowała z trudem ukrywanym zubożeniem. W pracy traktowano ją ulgowo i nadzwyczaj delikatnie, aż zaczęło ją to męczyć i poprosiła, by wszystko było jak dawniej. Wiedziała, że powinna coś robić, by choć trochę dojść do siebie. Przecież musiała się pozbierać do pogrzebu, który - jak miała nadzieję - odbędzie niebawem.

Wieczorem padał śnieg. Żeby zabić pustkę w domu, cały czas miała włączony telewizor. Nadawali dziennik. Nie mając nic do roboty, gapiła się w czarno-biały ekran. Na najwyższych szczeblach władzy dokonywały się zmiany. U steru rządu stanął nowy I sekretarz - Edward Gierek, który krytycznie wyrażał się o wydarzeniach na Wybrzeżu. Wraz z nim miało przyjść nowe. W wielu rozbudził nadzieję, choć przecież stara gwardia partyjna pozostała na swoich stanowiskach.

Maria obojętnie patrzyła na wiadomości, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Nie miała ochoty na kolejną wizytę sąsiadki, więc nie ruszyła się z fotela. Niech sobie myśli, że nikogo nie ma w domu. Dzwonek stawał się coraz bardziej natarczywy. Kobieta zacisnęła powieki. Zwlekła się wreszcie i poszła otworzyć. Na progu nie było Haliny Paszkiewicz. Stała tam

postać w długim, z pewnością bardzo drogim płaszczu przyprószonym śniegiem. Elegancka walizka przy nogach obutych w szykowne kozaki, jakich w Polsce się nie dostanie, miała przyklejoną nalepkę lotniczą.

Maria Kwiatkowska-Mencel rzuciła się córce na szyję. Płakała, sama nie wiedząc, czy ze szczęścia, czy z rozpaczą nad poświęceniem, jakie Zosia wykazała. Zrezygnowała ze wspianego życia i przyszłości w Wielkiej Brytanii, by być tutaj z matką. Bo przecież z kraju już jej najprawdopodobniej nie wypuszczą.

- Chodź, wejdź, dziecko. - Maria otrzepała z niej śnieg i wprowadziła do mieszkania. - Pewnie jesteś bardzo głodna. Ja wszystko mam na święta. Nie martw się.

- Mamusiu, przestań. Ja do ciebie przyjechałam.

- Córuniu moja, czy ty mi kiedyś wybaczysz, że...

- Mamo, co ty mówisz? Co mam ci wybaczać?

- Że zadzwoniłam i ci powiedziałam. Przecież mogłaś tam żyć jak człowiek.

- Mamo, kocham cię, wiesz? Nic więcej nie jest ważne.

Zosia objęła ją mocno.

ROZDZIAŁ 31

Waszyngton D.C., Stany Zjednoczone, rok 1973

Kapitan Jules Kwiatkowski wyszedł z wojskowego ośrodka rehabilitacyjnego i zatrzymał się za rozsuwanymi drzwiami. Awans wraz z odznaczeniami dostał już dawno, kiedy jeszcze z trudem mógł się w ogóle poruszać, a odzyskanie dawnej formy zdawało się niemożliwe. Dziś stało się to niezaprzeczalnym faktem. Lekarze zgodnie stwierdzili, że jego hart ducha dokonał cudu medycznego i po ranach z Wietnamu oraz związanej z tym czasowej niepełnosprawności nie został nawet ślad. Jak na swój wiek - ponad pięćdziesiąt lat - trzymał się znakomicie. Był klasycznym przykładem człowieka, o którym mówi się, że jak się uprze, żeby w pełni wyzdrowieć, to lekarze są bezradni. Nigdy się nie poddawał i zawsze dobrze na tym wychodził. Tak też okazało się i tym razem.

Zgodnie z przepisami wywieziono go z budynku na wózku inwalidzkim prowadzonym przez czarną pielęgniarkę. Dopiero za progiem wolno mu było stanąć na własnych nogach, co uczynił z prawdziwą ulgą. Na wózku czuł się zdecydowanie nieswojo, szczególnie, że jego kondycja fizyczna w najmniejszym nawet stopniu nie wymagała tego typu pojazdu. Ale cóż, przepisy przepisami. Trzeba się było dostosować.

Wyprostował się i obciągnął mundur. Prezentował się doskonale. Lekko szpakowate włosy po bokach głowy, na której tkwiła zawadiacko przekrzywiona furażerka, tylko dodawały mu uroku. Wchodzące do budynku dwie pielęgniarki zawiesiły na kapitanie wzrok. Uśmiechnęły się do siebie z wyrazem uznania. Nie usłyszał ich pochlebnych, wypowiedianych szeptem komentarzy.

Na dole przed schodami stał zaparkowany czarny Chevrolet z przyciemnionymi szybami. Juliusz zszedł po kilkunastu stopniach. Kiedy był na chodniku, drzwi pasażera otworzyły się i z samochodu wysiadł wysoki mężczyzna w ciemnym, eleganckim płaszczu za kolano.

- Witam wśród żywych - zagadnął kapitana przyjaźnie.

Juliusz uściskał wyciągniętą do niego dłoń.

- Kopę lat, pułkowniku.

- Generale. Dostałem awans zaraz po tobie.

- Pięknie. Pana też z Wietnamu wywalili?

- Wojna w Wietnamie przechodzi do historii, Jules.

- Widziałem w telewizji.

Generał otworzył tylne drzwi samochodu.

- Podwiozę cię. - Wskazał obitą czarną skórą kanapę. - Na nową kwaterę.

Juliusz wrzucił plecak i wsiadł. I tak musiał się jakoś dostać do tymczasowego lokum, które mu wojsko załatwiło.

Kierowca generała - czarny, zwalisty mężczyzna około trzydziestki - nie wyglądał na cywila. Wyraz twarzy człowieka, który wiele widział i z niejednym zagrożeniem miał do czynienia, właściwie mówił o nim wszystko. Generał Jonas Bidwell musiał wziąć go ze sobą z Wietnamu, bo skądże by indziej.

- Widziałem, jak młodzi długowłosi plują na naszych chłopców z Wietnamu. Zero szacunku. Nazywają nas dzieciobójcami i zbrodniarzami. Mają w dupie, że ludzie ginęli też za nich.

- Hippisi - wyjaśnił generał pogardliwie. - Narkomani i wywrotowcy. Odpadki zdrowego społeczeństwa. Daliśmy im za dużo wolności. Cena demokracji.

- Nikt nie pomyślał, że mogą mieć rację?

- Robisz się sentymentalny, kapitanie. Byliśmy żołnierzami. Wykonywaliśmy rozkazy demokratycznie wybranego rządu.

- Hitlerowcy też tak mówili.

- W III Rzeszy nie było demokracji.

- Na początku była. Partia nazistowska wygrała wybory. Z niewielką pomocą bojówek SA, ale zawsze.

- Masz wyrzuty sumienia?

- Widziałem wyczyny Calloughna i szlag mnie trafia, że skurwiel uszedł sprawiedliwości.

- Jedyńi świadkowie gotowi zeznawać...

- Tak, słyszałem. Zginęli w akcji. Tyle że ich tam w ogóle nie powinno być.

Przemierzali schludne ulice Waszyngtonu, co jakiś czas zatrzymując się na światłach lub w niewielkich korkach. Kierowca wybrał dłuższą trasę, ale z gwarancją mniejszego nasilenia ruchu samochodowego.

Mijali Biały Dom. Grupka głównie młodych ludzi chodziła dookoła przed płotem. Wznosili okrzyki i machali tablicami z wypisanymi odręcznie hasłami, w których najczęściej pojawiała się słowo: „Precz”. Kapitan Kwiatkowski miał mieszane uczucia, obserwując te obrazy.

- Masz jakieś plany, kapitanie?

- Upić się.

- A potem?

- Może poszukam sobie jakiejś uczciwej pracy.

Patrzył za okno. Stolica kraju wciąż jeszcze uwikłanego - jak to media powszechnie określały - w „brudną wojnę”, żyła normalnym rytmem. Przeciętnego człowieka, który nie miał nikogo w Sajgonie, właściwie niewiele obchodziły wydarzenia z Azji Południowo-Wschodniej. Ludzie chodzili do pracy, robili zakupy, wychowywali dzieci. Tylko co jakiś czas widząc reportaże z Wietnamu, ulegali negatywnym emocjom.

- Dobrze wiesz, że nie musisz szukać, kapitanie.

- Ma pan coś na oku?

- Bardzo byś się nam przydał w Forcie Bragg. Młodych zdolnych trzeba szkolić.

- Myślałem o czymś niekoniecznie związanym z wojskowością.

- Możesz też prowadzić zajęcia teoretyczne. Masz wiedzę. Mógłbyś się podzielić.

- Ciekawe. Kiedyś chciałem być nauczycielem, jak mój ojciec. Wyszło inaczej.

- To co, Jules, mogę na ciebie liczyć?

Juliusz nie odpowiadał. Patrzył za okno. Nie zastanawiał się. Decyzję już podjął. Była oczywista. Po prostu przyglądał się normalnemu życiu.

- Kiedy mam się zgłosić?

- Choćby jutro.

- To powiedzmy za tydzień. Chciałbym paru swoich ludzi odwiedzić. Dacie mi jakiś samochód?

Niewielka posiadłość znajdowała się kawałek od jednego z wielu sennych miasteczek w stanie Alabama. Z dala od uczęszczanych szlaków, stosunkowo trudna do znalezienia dla kogoś, kto nie szuka dobrze.

Młoda Latynoska o dzikiej urodzie podniosła się znad warzywnych grządek przed domem. Obrzuciła nadchodzącego, umundurowanego obcego niechętnym spojrzeniem.

- Dzień dobry, pani! - przywitał się i przyłożył dwa palce do daszka czapki. - Nazywam się Jules Kwiatkowski. Szukam sierżanta Raula Sancheza.

- Traci pan czas - odpowiedziała burkliwie. - Tato skończył z wojskiem.

- Ja też, proszę pani.

Spojrzała na jego galowy mundur i wykrzywiła usta.

- Jakoś nie zauważyłam.

- Pozory, proszę pani. Mogą mylić.

- Tato nie będzie zachwycony. Delikatnie mówiąc. Był tu już jeden taki jak pan,

kapitanie. - Symptomatyczne, że natychmiast rozpoznała dystynkcje. Cóż w końcu córka zawodowego wojskowego. - Myślałam, że karetkę będę musiała wzywać.

- Do ojca?

- Do gościa.

- Aż tak źle...?

- Odkąd wrócił z Wietnamu... bez nogi... i w ogóle... - Na twarzy odmalowała jej się boleść. - Jeszcze jak zobaczył, że ludzie w Stanach plują na weteranów, kompletnie się załamał.

- Zaryzykuję.

- Jak pan sobie chce. Tato za domem drzewo rąbie. Na pana miejscu poczekałabym, aż skończy i siekierę odłoży.

- Będę pamiętał.

Raul Sanchez był odwrócony tyłem. Przesiąknięta potem koszula kleiła mu się do pleców. Zamachnął się siekierą i z trzaskiem rozpołowił kolejny kawał drewna. Mężczyzna wyprostował się, ale nie odwrócił głowy. Zwierzęcym instynktem, który w dżungli umożliwiał przeżycie, wyczuł obecność obcego.

- Czego?

- Niełatwo cię znaleźć, sierzancie - powiedział Juliusz pogodnie.

Sanchez znał ten głos. Nie słyszał go od długiego już czasu. Zaciętość na twarzy Latynosa zelżała nagle. Odwrócił się. Wyszczrzył zęby, co od biedy można było uznać za uśmiech.

- Porucznik Jules Kwiatkowski we własnej osobie.

- Kapitan, sierzancie. - Juliusz wskazał palcem dystynkcje. - Awans dali jak w szpitalu leżałem.

Sanchez pokuśtykał dzielące ich parę metrów. Włókł za sobą protezę prawej nogi, stawiając ciężko kroki jak filmowy pirat. Uścisnęli sobie dłonie serdecznie.

- Ja sztuczną nogę dostałem. - Uderzył dłonią w materiał na wysokości kolana. - Podobno mnie przeżyje.

- Jak to się stało?

- Granat. Nie ma o czym mówić. - Gospodarz wskazał dłonią drewniany stół własnej roboty i ławę. Usiedli.

- Andrea! - krzyknął do córki na cały głos.

Dziewczyna natychmiast wybiegła z domu. Minę miała nietęgą. Spodziewała się najgorszego. Tymczasem widok ojca w dużo lepszym nastroju niż zwykle zaskoczył ją

kompletnie.

- Tak, tato?

- Przynies piwo i zrób coś do zjedzenia. Gościa mamy.

Latynoska rozpromieniła się. Z radością wykonała polecenie. Do tej pory widziała tylko, jak ojciec cierpi zamknięty w sobie. Kochała go. Cierpiała wraz z nim. Pojawienie się tego kapitana o dziwnie brzmiącym nazwisku, jakby tatę odmieniało. Może na krótko, ale choćby za to była mu już wdzięczna.

- Jak żyjesz, Sanchez?

- Państwo dało zasiłek. Da się wyżyć. Ale sam pan wie, poruczniku... znaczy kapitanie...

- Daj spokój, człowieku. Już nie jestem twoim dowódcą. Mów mi Jules.

- Gdyby nie Andrea, pewnie bym sobie w łeb palnął.

Dziewczyna przyniosła sześciopak zimnego piwa i naprędce zrobione kanapki.

- Proszę się częstować, kapitanie - zachęciła z uśmiechem. - Potem zrobię coś na ciepło.

- Bardzo pani miła, panno Sanchez. Sierżant ma wspaniałą córkę. Zazdroszczę mu.

Andrea zarumieniła się.

- Pan kapitan nie ma rodziny? - spytała bez ceregieli.

- Nie złożyło się. Nie miałem tyle szczęścia co mój sierżant.

Dziewczyna wróciła do domu. Nie mogła nie polubić tego oficera. Raul Sanchez otworzył dwie puszkę i podał jedną kapitanowi.

- Za naszych - wznosił toast.

Napili się. Złocisty płyn przyjemnie chłodził ciało.

- No właśnie, co u chłopaków? Macie jakiś kontakt?

- Wrócił tylko Parsons i Bolto. Reszta w workach. Dla SOG to normalka. Sam wiesz.

- Coś ci trzeba? Bohatera ze mnie zrobili. Jakby co, to mogę pomóc.

- Nic mi nie trzeba. Kulasa dali. Jakoś łażę. Częstuj się. Andrea dobre żarcie robi.

Juliusz wziął kanapkę. Warzywa z jajkiem na twardo smakowały doskonale. Gdyby tylko nie ten chleb, sztuczny, miękki, niepsujący się miesiącami... nie to co w Polsce.

- Zajechałbym do Parsonsa i Bolto. Wiesz, jak ich znaleźć?

- Wiem. Ale trudno będzie. Najlepiej na miejskich cmentarzach szukać.

- Mówiłeś, że wrócili.

- Wrócili. Parsons z rakiem. Zwinął się w parę miesięcy. Bolto zobaczył, co się w Stanach dzieje. Zaczął ćpać i pewnego dnia zaćpał się na śmierć. Wrócili.

- Szlag.

Sanchez stuknął krawędzią puszki o puszkę dowódcy. Piwo ponownie popłynęło do wysuszonych upałem trzewi. Andrea szła do nich z tacą pełną z daleka pachnących skrzydełek z kurczaka.

Fort Bragg, Karolina Północna, USA

Marszobieg był testem na wytrzymałość nie tylko fizyczną, ale i psychiczną. Młodzi podopieczni Kwiatkowskiego wybiegali o świcie, a sam kapitan zawsze znajdował się na czele stawki. Każdy co najmniej kilkukilometrowy odcinek musieli pokonać w wyznaczonym czasie. Jeśli ktoś się spóźnił choćby o sekundę, w bazie dostawał dodatkowy wycisk. Nikt nie mógł narzekać na nadmierny rygor, bo kapitan osobiście dawał im przykład i nie wymagał więcej ponad to, co sam był w stanie wykonać. Mimo wieku tężyzną fizyczną zadziwiał młodych ludzi.

Ich psychikę podczas marszobiegu poddawał ciężkiej próbie, nigdy nie mówiąc, która z przerw na odpoczynek będzie na dany dzień ostatnia. Nie znali końca wyczerpującego ćwiczenia. Za to każdy przejaw niezadowolenia pociągał za sobą sankcje w postaci dodatkowych zajęć fizycznych w bazie. Celem kapitana było wykształcenie w młodych adeptach sił specjalnych - specyficznego, zawsze pozytywnego myślenia i swoistej determinacji, przejawiającej się w dążeniu do wykonania zadania za wszelką cenę. Ta determinacja mogła kiedyś w przyszłości uratować im życie.

Młodym ludziom ciężko było to zrozumieć i nierzadko narastał w nich bunt w stosunku do nieprzejednanego i bezwzględneho dowódcy, który nie tolerował nawet najmniejszych uchybień. Każde jedno spotykało się z konsekwencjami, niejednokrotnie prowadzącymi do wyrzucenia ze szkolenia, a tego każdy z nich bał się jak ognia. Mieli przecież swoją dumę i honor. Mijały miesiące i nikt z żołnierzy poddanych morderczemu szkoleniu aplikowanemu przez kapitana Kwiatkowskiego nie odważył się otwarcie zaprotestować. Aż przyszedł czas, kiedy grupa postanowiła się zbuntować i dać nauczkę zniechęconemu oficerowi.

Dzień był pochmurny, ale z wysoką temperaturą i wilgotnością niezbyt sprzyjającą kolejnemu zapowiedzianemu kilka dni wcześniej marszobiegowi. Kapitan Kwiatkowski jak zwykle wcześniej rano pojawił się w baraku swoich ludzi. Zbierali się z łóżek. Na widok oficera ustawili się w szeregu przy pryczach. Z ich twarzy bił dość zagadkowy optymizm, można by wręcz powiedzieć radość, oczekiwanie czegoś nadzwyczaj przyjemnego, czym zbliżający się wysiłek fizyczny z pewnością być nie mógł.

- Za pięć minut w pełnym rynsztunku na zewnątrz! - kapitan wykrzyknął doskonale im już znaną komendę. - Ruszać się, panienki!

Jego słowa zawsze sprawiały, że w baraku zaczynało wrzeć jak w ulu. Wszyscy stawali na głowie, by zdążyć. Każdy zdawał sobie sprawę, że sekunda spóźnienia pociągnie za sobą mało przyjemne następstwa. Tym jednak razem reakcja żołnierzy była zupełnie inna. Stali niewzruszeni. Rozluźnili się. Niektórzy pod nosem się uśmiechali. Oficer od razu zrozumiał, że ma do czynienia z buntem. Wcześniej czy później musiało to nastąpić. Teraz ten bunt należało zgasić w zarodku. Wiedział o tym. Nie mógł się cofnąć ani o krok. Wykazanie żelaznej konsekwencji w tej sytuacji było kluczowe.

Nie powtórzył rozkazu. Zerknął na stoper. Czas płynął. Nie wyszedł z baraku. Nie starał się uniknąć otwartego konfliktu. Wiedział, że musi stawić mu czoło. Cokolwiek miałyby się zdarzyć.

Do pomieszczenia weszło dwóch wyjątkowo rośliwych i potężnie zbudowanych mężczyzn w czarnych czapkach zakrywających twarz. Kapitan spojrzał na nich przez ramię. Wszystko już było jasne. Żołnierze postanowili spuścić mu lanie rękami kolegów z innego oddziału.

- Chcielibyśmy przedstawić panu kapitanowi naszych przyjaciół - oświadczył Billy Hopkins, najbardziej niepokorna dusza w grupie. - Zaoferowali się, że przekonają pana kapitana, by zmienił pan swoje niedopuszczalne metody szkoleniowe. My jesteśmy zbyt wrażliwi i nie możemy się temu przyglądać.

Cała grupa odwróciła się plecami. Zapewniali sobie tym samym alibi, kiedy Kwiatkowski będzie się skarżył - po rekonwalescencji szpitalnej, oczywiście.

Dryblasy podeszły do oficera z lekko uniesionymi rękami, gotowi do udzielenia niepokornemu kapitanowi bolesnej lekcji. Podeszli blisko. Wystarczająco blisko.

Atak kapitana spadł na nich jak grom z jasnego nieba. Oficer wykonał błyskawiczny półobrót i kantem dłoni sięgnął lewej części szyi pierwszego z „nauczycieli”, który za późno uniósł ramiona w odruchu obronnym. Zablokowana tętnica szyjna odcięła dopływ krwi do mózgu, wymuszając u delikwenta utratę przytomności. Dryblas numer dwa zareagował natychmiast. Skoczył na kapitana, ale niewystarczająco szybko. Przywitało go zabójczo celne kopnięcie w krocze, po którym pochylił się nieco, a potężny dolny sierpowy na szczękę odrzucił go następnie do tyłu. Zamroczenie trwało sekundę, aż nadto, by kapitan mógł dokończyć dzieła. Najpierw lewy i zaraz potem prawy prosty sprawiły, że mężczyzna runął bez czucia na plecy.

Tymczasem młodzi podopieczni Kwiatkowskiego odwrócili się i patrzyli wielkimi

oczami na skutki działań kapitana, nie wierząc własnym oczom.

- Wiecie, co będzie, jak ściągnę tym palantom balaklawy?

- Panie kapitanie... my... - jękał się Billy Hopkins.

- Za dwie minuty widzę was na zewnątrz - wycedził.

Przeszedł nad nieprzytomnymi ciałami. Czapki zakrywające twarz pozostały na swoich miejscach. Kiedy kapitan opuścił pomieszczenie, wśród młodych ludzi zapanował gorączkowy, wręcz paniczny ruch. Mieli dwie minuty. Tylko dwie minuty. Nikt nie zamierzał się spóźnić.

Chicago, USA, rok później

Parada z okazji Dnia Kolumba była - jak co roku - kolorowa, głośnie i efektowna. Bogato udekorowane platformy, pełne trzymających narodowe flagi ludzi, reprezentujących nacje zamieszkujące Stany Zjednoczone, emanowały radością i poczuciem dumy. Orkiestry dęte i grupy tancerzy tworzyły niezapomniane, ruchome widowisko dla zgromadzonych tłumnie po obu stronach ulicy gapiów.

Juliusz Kwiatkowski obserwował przesuwany się przed jego oczami korowód. Paradę widział po raz pierwszy. Znał ją z opowieści, ale nie miał okazji widzieć jej wcześniej. Śledził więc wydarzenia na ulicy z zainteresowaniem i wyczekiwaniem. Właściwie czekał na jeden moment. I moment ten wkrótce nadszedł. Najpierw dostrzegł łopoczące na wietrze flagi, potem wielobarwne regionalne stroje z przewagą góralskich - z polskich Tatr. Usłyszał śpiewy w ojczystym języku, gdy do miejsca, gdzie stał, zbliżyła się polska część pochodu. Młode i uśmiechnięte promiennie dziewczyny w strojach krakowianek machały do publiczności.

- Nasi - powiedział z dumą Zygmunt Michta. - Co roku przychodzę ich oglądać.

Od czasu, gdy się ostatnio widzieli w Anglii w '45, minęło blisko trzydzieści lat. Zygmunt emigrował do USA zaraz potem. Tu się ożenił, założył rodzinę i postanowił zbudować prawdziwy dom - w Chicago wśród jakże licznej Polonii.

- Tego ci najbardziej zazdroszczę, Zygmusiu. - Juliusz musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć panujący wokół gwar. - Prawie jakbyś w Polsce mieszkał.

- Prawie. W sumie drobna różnica - powiedział nostalgicznie. - Ale byłem w kraju niedawno. Na urlopie. Dużo się zmieniło. Na lepsze. Ten Gierek, nowy pierwszy sekretarz, chyba nie taki zły.

- Ale komunista.

- W Polsce właściwie komunizmu nie ma. Socjalizm niby. Ale nasz naród hardy jest. Nie zrobią takiego ustroju jak na przykład w NRD. - Zygmunt napawał się widokiem paradujących rodaków. Był i cały czas czuł się częścią tej polskiej społeczności. - Zapomniałem spytać, Julek, jakżeś ty mnie w ogóle znalazł?

- Czysty przypadek. W Forcie Bragg miałem jednego żołnierza. Okazało się, że z tutejszej Polonii. Od słowa do słowa i wyszło, że jego rodzina zna twoją.

- Jak się nazywa?

- Młody? Casey Jeżko.

- Casey, kojarzę gówniarza. Popatrz, jeszcze niedawno mi gazetę przywoził. Teraz w wojsku. Jak ten czas leci. Ale ty się trzymasz, człowieku. Kariera wojskowa ci służy.

- Może znalazłem swoje powołanie.

Polska część parady znikła w oddali. Słyszeć teraz było głośne dżezowe nuty w wykonaniu czarnych muzyków.

- Chodź do domu, Julek. Halina pewnie już z pół ulicy na grilla zaprosiła. Powspominamy dawne czasy.

Wyszli z tłumu na szeroki chodnik. Nie uszli daleko, kiedy podeszło do nich dwóch ubranych w eleganckie garnitury mężczyzn. Obaj mieli na twarzach przeciwsłoneczne okulary, choć aura tego tak naprawdę nie wymagała.

- Kapitan Jules Kwiatkowski? - spytał jeden z elegancików.

- Zgadza się - odparł Juliusz.

- Generał Jonas Bidwell prosi o pilne spotkanie.

- Kiedy?

- Teraz, panie kapitanie.

Zygmunt przysłuchiwał się wymianie zdań z rosnącą ciekawością. Jednostki specjalne budziły powszechną fascynację i zainteresowanie w społeczeństwie, szczególnie wśród byłych żołnierzy jak on sam.

Juliusz zwrócił się do dawnego towarzysza broni z Armii Krajowej.

- Służba nie drużba, jak to u nas przed wojną mawiali. Na grilla wpadnę innym razem.

- Rozumiem. Trzymaj się, bracie.

Zygmunt uściśnął go.

- Gdzie? - spytał kapitan eleganta.

- Samochód czeka za rogiem.

Generał Bidwell siedział na tylnym siedzeniu. Miał na sobie mundur galowy. Przywitali się uściskiem dłoni.

- Nawet nie pytam, skąd wiedziałeś, że tu jestem... - zagadnął Polak.

- Skoro nie pytasz.

- Co się dzieje?

- Nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Mam tutaj spotkanie z delegacją wysokiego szczebla z Polski. Tłumacz dostał ataku wyrostka robaczkowego. Trudno byłoby załatwić kogoś zaufanego na ostatnią chwilę. A ty przecież Polak jesteś. Pomyślałem, że pomożesz.

- A ja miałem okazję iść na grilla ze swoimi.

- Ojczyzna ci tego nie zapomni - powiedział generał z rozbawieniem.

- Taak. Jak zawsze zresztą.

Stół w hotelowej restauracji zastawiono dla dziesięciu osób. Ze strony amerykańskiej oprócz Juliusza Kwiatkowskiego było jeszcze dwóch zaprzyjaźnionych kongresmenów. Stronę polską reprezentowali urzędnicy szczebla ministerialnego.

Rozmowy, w dużej części nieoficjalne, toczyły się wokół ogólnych spraw gospodarczych, współpracy między oboma krajami i polityki o wzajemnym poszanowaniu. Kapitan Kwiatkowski wywiązywał się ze swojego zadania całkiem nieźle. Zdarzały się kwestie, które w polszczyźnie używanej przez delegatów były mu obce, ale prosił wtedy o bliższe wytłumaczenie problemu i przekładał zdania na angielski.

W czasie rozmów dostrzegł, że jeden z polskich gości przygląda mu się bacznie co jakiś czas i marszczy brwi, jakby usilnie próbował coś sobie przypomnieć. W przerwie na papierosa Polak podszedł do kapitana.

- Przepraszam, ale my się chyba znamy. - Łysiejący człowiek w okularach powiedział niepewnie. - Kapitan Jules Kwiatkowsky, czyli po naszymu Juliusz Kwiatkowski, prawda?

- Tak by wychodziło.

- Nie wiem, czy rozmawiam z właściwą osobą, ale czy pan nie był przypadkiem kiedyś w Armii Krajowej?

- Chce mnie pan aresztować? - spytał Juliusz sarkastycznie.

- Że niby w Polsce? To już nie te czasy, kapitanie. Zupełnie nie te. Dużo się u nas zmieniło. Na korzyść. Proszę mi wierzyć.

- Byłem w AK. Dlaczego pan pyta?

- Początek lat czterdziestych. Ludzie z AK odbijali swojego pułkownika na niemieckim posterunku. Knecht się chyba nazywał czy jakoś tak.

- Skąd pan o tym wie? - zdziwił się Kwiatkowski.

- Tam był jeszcze jeden komunista.

- Zgadza się.

- Ten komunista to ja. Mieczysław Głuch. To mi pan życie uratował, jak ten pana kolega chciał mnie zastrzelić.

- Pan komunista - ucieszył się Juliusz. - Jakiż ten świat mały. Z tego co widzę, towarzysze o panu nie zapomnieli. Posada w rządzie. Nieźle. Słowem, przysłużyłem się. Ale poznał mnie pan po tylu latach?

- Twarz mniej, ale imię i nazwisko owszem.

- Nie pamiętam, żebym się wtedy przedstawiał.

- Mieliśmy już wtedy całkiem sprawny wywiad i swoich ludzi również u was. Nietrudno było ustalić nazwiska.

- Zdziwiał mnie pan.

- Panie kapitanie, chciałbym się jakoś odwdzińczyć.

- Za to że nie pozwoliłem, żeby pana bez sądu rozwalili?

- Dokładnie.

- Obawiam się, że nie jest pan w stanie.

- Niech pan przyjedzie kiedyś do Polski z wizytą. Na urlop. Załatwimy pobyty w ośrodkach rządowych, zwiedzanie kraju, choć tyle mogę.

- Służba w obcych siłach zbrojnych. Według polskiego prawa to przestępstwo.

- Niedokładnie. Jest pan przede wszystkim obywatelem amerykańskim polskiego pochodzenia. To po pierwsze. Ale nawet gdyby, to po drugie, minister spraw wewnętrznych to mój szwagier. I wszystko na ten temat. Pańskie obawy są całkowicie bezzasadne.

- Ciekawa propozycja, pomyślę.

- Warto. Kto wie, może się panu tak spodoba, że zechce pan zostać.

Towarzysz Mieczysław Głuch nawet sobie nie zdawał sprawy, jak bliskie prawdy były jego słowa. Juliusz Kwiatkowski nieraz myślał o powrocie do kraju. Wszystko zawsze się jednak jakoś rozmywało.

Przerwa się skończyła. Towarzystwo powróciło do stołu obrad.

ROZDZIAŁ 32

Wrocław, Polska

Zosia Kwiatkowska promieniała. Obróciła się parokrotnie przed lustrem. Suknia ślubna leżała idealnie. Dziewczyna była zachwycona.

Krawcowa, Mirosława Piekosz, przyglądała się swojemu dziełu krytycznym okiem, ale widać było, że jest zadowolona.

- Co pani powie, pani Mirko? - Maria Mencil cieszyła się radością córki. - Moim zdaniem rewelacja.

- Rzeczywiście suknia się udała. - Kobieta podeszła do przeglądającej się Zosi i urwała niepotrzebną nitkę fastrygową. - Pani Zosia ma idealną figurę. W sumie nie musiałam się za bardzo narobić. Ale wyszło pięknie.

Przyszła panna młoda odwróciła się.

- I jak wyglądam? - spytała kokieteryjnie, choć znała odpowiedź.

- Oj, Zosiu, próżność przez ciebie przemawia - napominała ją matka żartobliwie.

- Pewnie, że przemawia. - Powróciła do oględzin przed lustrem. - Janek się dopiero zdziwi.

- Myślisz, że Janek nie wie, że bierze sobie za żonę najpiękniejszą panią doktor we Wrocławiu?

Zosia tylko odwróciła głowę i uśmiechnęła się.

- Pani Mario, może by jeszcze welon przymierzyć? - Krawcowa ostrożnie rozwinęła papier pakowy. - Zobaczymy całość.

Kiedy mocowały welon na upiętych włosach przyszłej panny młodej, ktoś zapukał do pokoju. W uchylonych lekko drzwiach pojawiła się głowa młodego mężczyzny. Janek Szukalski, przyszły mąż Zofii Kwiatkowskiej, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale na widok narzeczonej oniemiał. Piekoszowa zareagował błyskawicznie. Podbiegła do drzwi.

- Sio, panie Janku! - odpędzała go. - Nie ma patrzenia. Nie wie pan, że to pecha przynosi? Jeszcze się pan jutro napatrzy.

- Ale ja tylko chciałem o coś spytać - bronił się wypychany na zewnątrz młody człowiek. - Nie wiem, który krawat będzie najlepszy.

Krawcowa niczym ochroniarz stanęła przy otwartych drzwiach. Widok na pannę młodą został zablokowany.

- Pan Janek pyta, który krawat ma jutro założyć - Mirosława Piekosz oznajmiła

głośno, na czym polega zaistniały problem.

- Niech pan Janek założy niebieski w prążki - odpowiedział Zosia ze śmiechem.

- Pan Janek słyszał? - przekazała krawcowa.

- Tak, pani Mirko. - Skłonił się w przedpokoju. - Przyjąłem.

- No to pan Janek sobie teraz idzie. Do jutra na ślubie.

- Jak do jutra? Przecież... - Uniósł w dłoniach dwa krawaty.

Odpowiedzią były zamykane drzwi.

Juliusz Kwiatkowski wysiadł na Dworcu Głównym z pociągu pośpiesznego relacji Warszawa - Wrocław. Całonocna podróż nie była zbyt uciążliwa, co na polskie warunki można uznać za ewenement. Wiceminister Mieczysław Głuch zadbał o odpowiednie rezerwacje osobiście. W czasie kilkudniowego pobytu Juliusza w Warszawie spędzili czas na wielogodzinnych rozmowach. Okazało się, że komunistyczny notabl dotrzymał wszystkich obietnic złożonych podczas spotkania w Chicago. Zaopiekował się amerykańskim gościem pod każdym względem. Kiedy usłyszał, że kapitan podjął decyzję o powrocie do kraju na stałe, kilkoma telefonami załatwił mu pracę nauczyciela języka polskiego w małej miejscowości, gdzie nikt nie będzie zadawał zbędnych pytań, a gdzie wciąż jeszcze odczuwano braki kadrowe i zapewniali nowemu pracownikowi mieszkanie spółdzielcze.

Miejscowość leżała w województwie zielonogórskim i nazywała się Żary. Dojechać tam można było tylko z kilkoma przesiadkami, między innymi we Wrocławiu właśnie.

Sprawdził rozkład jazdy. Pociąg do Legnicy miał dopiero za cztery godziny. Sobotnie przedpołudnie. Właściwie dobrze się składało. Pomyślał, że z przyjemnością obejrzy miasto, które po wojnie wróciło w granice Polski. Mówi się o nim piastowski Wrocław, ale z pewnością znaleźć tu można ślady dawnych, niemieckich mieszkańców.

Pierwsze kroki postanowił skierować na Ostrów Tumski. Jeszcze w Warszawie słyszał, że miejsce to, choć jako relikwint katolickich zabobonów nie znalazło się w specjalnych łaskach u socjalistycznej władzy, warte jest zobaczenia ze względu na panującą tu specyficzną atmosferę, no i naturalnie samą katedrę.

Zarzucił wojskowy plecak na ramię. Resztę bagaży obiecano mu przysłać już na adres żarskiej szkoły. Nie musiał się martwić. Wiedział, że i tym razem wiceminister stanie na wysokości zadania.

W tramwaju pasażerowie poinstruowali go, na którym przystanku wysiąść. Jazda niezwykle hałaśliwym pojazdem trwała stosunkowo krótko. Do kościelnych zabudowań prowadził niewielki most nad Odrą. Kiedy tam wszedł, od razu poczuł magię tego miejsca. Niskie budynki niczym szpaler dochodziły do majestatycznej katedry, wznoszącej się w niebo

dwiema swoimi wieżami. Ostrów Tumski zrobił na nim ogromne wrażenie już od samego początku.

Przed wejściem do katedry stał spory tłum odświętnie ubranych ludzi. Zaciekało go to o tyle, że przecież była sobota. Na mszę chodziło się w niedzielę. Czyżby jakaś niecodzienna uroczystość kościelna? Sobota to pewnie jakiś ślub - domyślił się szybko.

Jego przypuszczenie wkrótce się potwierdziło. Zajechały dwa weselnie udekorowane samochody. Z jednego wysiedli mężczyźni w garniturach i kobiety w eleganckich, ale niedrogich sukniach. Wszyscy byli w średnim wieku. Z drugiego samochodu wysiadła nie bez pomocy starszej kobiety prześliczna panna młoda. Julek stał blisko. Widział jej rozpromienioną, radosną twarz. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dziewczyna podobna jest trochę do Krysi Szumskiej, której obraz sprzed wielu lat miał wciąż w pamięci.

Orszak ślubny wszedł do katedry Juliusz zdecydował się zatrzymać tu na chwilę. Nie pamiętał uroczystego, normalnego ślubu w polskim kościele. Chciał z czystej ciekawości popatrzeć.

- Zosia wygląda zjawiskowo - usłyszał za sobą po prawej damski głos.

Spojrzał dyskretnie. Dwie młode kobiety w szykownych sukienkach wymieniały uwagi.

- Bez dwóch zdań - potwierdziła koleżanka. - Jak jej się udało katedrę na ślub załatwić?

- Marysia Mencil wychodziła. Matka w końcu. Czego się nie zrobi na ślub córki.

Juliusz poczuł napływającą nostalgię. Imię siostry obudziło wspomnienia. Samotność znowu dała o sobie znać.

Przeżegnał się i wyszedł z kościoła bez świadomości, że zostawia za sobą ludzi, dzielących radość Zofii Kwiatkowskiej i jej już męża Jana Szukalskiego, którzy właśnie wypowiadali sobie sakramentalne tak.

Chodził po mieście i przyglądał się wszystkiemu ciekawie. Wrocław pierwszej połowy lat siedemdziesiątych był jak ogromna większość polskich miast: szary, smutny i pełen zmęczonych twarzy na ulicach. Kontrast z rzeczywistością amerykańską był wprost uderzający.

Natomiast bardzo miłym, pozytywnym zaskoczeniem okazały się ceny towarów i usług. Już w Warszawie zauważył, że wszystko było tu wręcz śmiesznie tanie, jego wojskowe uposażenie z amerykańskiej armii, dość skromne jak na tamtejsze warunki, tutaj jawiło się jako prawdziwa fortuna, szczególnie gdy dolary wymieniane są po czarnorynkowym kursie, czego jeszcze się nie nauczył, ale słyszał pokątnie o takich możliwościach.

Do Żar przyjechał późnym popołudniem, pociągiem osobowym z dwoma przesiadkami. Od razu udał się do jedyne go w mieście hotelu. Obsługa niczym nie przypominała standardów w krajach zachodnich, tym bardziej poziom oferowanego pokoju. Przed przyjazdem do kraju zasięgnął języka w sprawie tego, czego należy się spodziewać, a czego nie. Dlatego postanowił nie zrażać się niedogodnościami. W końcu jako żołnierz przyzwyczał się przez te lata do wszelkiego rodzaju warunków. Trudno było go zniechęcić.

Blisko czterdziestotysięczne miasteczko prezentowało się raczej skromnie. Stara poniemiecka zabudowa przeplatała się gdzieś tam z nowymi blokami mieszkalnymi o architekturze pudełek zapalek. Mimo to, w obliczu nieustannego braku mieszkań, nawet ciasna klitka w takim bloku była obiektem westchnień i marzeń znacznej części polskiego społeczeństwa. On sam należał do szczęściarzy, którym dach nad głową zagwarantowano odgórnym dekretem z Warszawy.

Następnego dnia po spokojnie spędzonej nocy w pokoju, do którego nie dokwaterowano mu żadnego innego lokatora - dzięki wręczonemu recepcjoniście dwudolarowemu banknotowi - zjadł śniadanie w pobliskim barze mlecznym. Nie można było tam liczyć na duży wybór dań, ale z satysfakcją stwierdził, że w Polsce pierwszej połowy lat siedemdziesiątych jedzenie dawali całkiem smaczne. Przede wszystkim chleb, choć niezbyt świeży, smakował jak chleb, a nie jego amerykańska atrapa.

Szkoła Podstawowa nr 4 przy ulicy Broni Pancерnej mieściła się w dużym, piętrowym budynku z czerwonej cegły. Kilku wychodzących uczniów w granatowych mundurkach z białymi kołnierzykami przyjrzało mu się ciekawie.

Na szkolnym korytarzu przywitała go pustka. Nie dziwił się. Wczesne przedpołudnie, to i lekcje w trakcie.

- Pan do kogo? - spytała go od progu woźna. Oschły, a nawet lekko agresywny ton nie zachęcał do zawierania bliższej znajomości. - Tu nie wolno wchodzić - dodała i oparła się o szciotkę z zawiniętą szmatą na końcu.

Lekcja numer jeden - pomyślał - sprzątaczką szkolną w socjalistycznym społeczeństwie jest osobą bardzo ważną. Takie odniósł pierwsze wrażenie.

- Ja do pani dyrektor. Jestem nowym nauczycielem języka polskiego.

- A, to pan. - Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w woźnej nastąpiła gwałtowna przemiana. Rozpromieniła się. Wyglądało na to, że i ona jest zaznajomiona ze sprawą. - Pan z Warszawy. Pani dyrektor jest u siebie. Sekretariat tam na lewo. - Pokazała ręką. - Na drzwiach pisze.

„Jest napisane” - pomyślał, ale nie skomentował głośno.

Sekretarkę szkoły, kobietę mniej więcej w jego wieku, zastał walczącą z maszyną do pisania. Inaczej nie dało się tego określić. Palec prawej ręki błędził po klawiszach i uderzał radośnie, gdy znalazł właściwy.

- Dzień dobry. Nazywam się Juliusz Kwiatkowski. Jestem umówiony z panią dyrektorem.

Kobieta wyraźnie ucieszyła się na jego widok. Wychodziło na to, że zdecydowanie jest w tej szkole osobą mile widzianą.

- Już pan jest. - Wstała ze stołka. - Pani dyrektor na pana czeka.

Zapukała do gabinetu i zaanonsowała gościa:

- Pani dyrektor, pan Kwiatkowski już jest.

- Prosić, prosić - zabrzmiał wysoki głos zza ściany.

Dyrektorka szkoły, Halina Szostak, była niewielką, ale przysadzistą kobietą. Czarne włosy upięte w staromodny kok i ostre spojrzenie przywodziły na myśl surowe guwernantki z przedwojennej pensji.

- Witam, pani dyrektor, Juliusz Kwiatkowski - przedstawił się i skinął głową po wojskowemu. - Przysłała mnie...

- Tak, tak. Wiem wszystko. - Podeszła do gościa z wyciągniętą ręką. - Szostak. Bardzo się cieszę, że dołączy pan do naszego grona pedagogicznego. Proszę siadać.

- Będzie mi bardzo miło.

- W ministerstwie mówili, że studiował pan polonistykę przed wojną, ale dokumenty się nie zachowały...

- To niestety prawda. Mój ojciec uczył polskiego w gimnazjum. Myślę, że...

- Proszę mnie źle nie zrozumieć. W żadnym razie nie podważam pana kwalifikacji. Wręcz przeciwnie. Stara dobra przedwojenna szkoła. Poza tym ministerstwo wyrażało się o panu z najwyższym uznaniem. Trudno o lepszą rekomendację w tym kraju. Kiedy mógłby pan zacząć?

- Nie wiem, może najpierw skonsultowałbym się z uczącym u państwa polonistą, jakoś się wdrożył...

Dyrektorka zafrasowała się.

- Od dwóch tygodni nie mamy nauczyciela polskiego na pełnym etacie. Ja w tej chwili mam zastępstwo w klasach pani Musiał.

- Zachorowała? Mam nadzieję, że nic poważnego.

- Wie pan - skrzywiła się, jakby nie była pewna, czy może pozwolić sobie z nim na szczerłość - Pani Anna Musiał, młoda nauczycielka, niedawno po studiach, przeszła załamanie

nerwowe. Niestety mamy trudną młodzież, dlatego szczególnie się ucieszyłam, że zatrudni się u nas mężczyzna. Szkolnictwo to sfeminizowany zawód, a z tym wiążą się pewne problemy.

Do gabinetu weszła dość tęga, wysoka kobieta. Natychmiast rzucał się w oczy jej wyzywający makijaż.

- Halinko, czy możesz mi... - zobaczyła Kwiatkowskiego i umilkła na moment - o, przepraszam. Masz gościa. Sekretarki nie było i myślałam, że...

- Bardzo dobrze, że jesteś, Haniu. Poznajcie się. To jest pan Juliusz Kwiatkowski, nasz nowy nauczyciel języka polskiego, a to наша wicedyrektor, Hanna Skuła.

- Wszyscy tu na pana czekaliśmy - wicedyrektorka poczęstowała go ujmującym uśmiechem. - Z nieba nam pan spadł.

- Tym bardziej jest mi miło.

- To Halinko, ja później przyjdę. - Delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

- Ale wracając do rzeczy, nie ukrywam, że bardzo by mi zależało, żeby zaczął pan jak najszybciej.

- W takim razie jestem do pani dyspozycji. Choćby od jutra.

- To świetnie - uradowała się pani dyrektor. - Ale najważniejsze - przypomniała sobie nagle. Otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła jakiś dokument. - To jest pana przydział na mieszkanie. Proszę się z tym udać do spółdzielni przy ulicy... Napiszę panu adres - podała mu karteczkę z odręcznym pismem. - Tam panu dadzą klucze i już pan będzie u siebie. Wstawiliśmy prowizoryczne łóżko i niestety nic więcej. Jak pan wystąpi o kredyt na zagospodarowanie...

- Łóżko na razie wystarczy. A z resztą sobie poradzę.

- Normalnie w meblowym nic pan nie dostanie. W kolejce trzeba ze dwa dni stać...

- Podobno w Peweksie wszystko mają.

- Ale przecież tam tylko za dolary...

- Mam trochę oszczędności. Pracowałem jakiś czas za granicą. To o której jutro mam się stawić, pani dyrektor?

- Proszę być przed ósmą. Pójdę z panem na pierwszą lekcję. Potem usiądziemy i wszystko ustalimy.

- Nie potrzebuję się do lekcji przygotować?

- Bez obawy. Pierwsze lekcje potraktujemy ulgowo. Na początku będę panu pomagać. Potem się pan wdroży. Najważniejsze, żeby pan nie pozwolił młodzieży sobie na głowę wejść. Reszta sama przyjdzie.

- W takim razie wszystko jasne, pani dyrektor. Do zobaczenia jutro rano.

Wstała i wyciągnęła do niego dłoń.

- Liczę na owocną współpracę i życzę powodzenia, panie Juliuszu.

W korytarzu zastał tłum uczniów. Spacerowali karnie pod baczny okiem dyżurujących nauczycieli. Czyli panował porządek. To dobrze. Na szkolnym podwórzu zupełnie mała dzieciarnia z pierwszych klas biegała wśród starszych kilkunastoletnich uczniów. Ktoś kogoś szarpnął, ktoś się przewrócił, ale w gruncie rzeczy nic niepokojącego się nie działo.

Zabrział dzwonek kończący długą przerwę. Maluchy pognały do budynku, a starsi wyraźnie się ociągali. Kilka minut później dziedziniec szkoły podstawowej świecił pustkami. Jeszcze tylko paru kilkunastoletnich spóźnialskich, rzucających dyskretnie niedopałki papierosów przemknęło przez plac i zniknęło w czerwonych ceglanych murach.

Juliusz przeszedł się po terenie szkoły. Obejrzał niewymiarowe boisko do piłki ręcznej, jeszcze mniejsze do koszykówki i spory wybieg, gdzie uczniowie mogli się zwyczajnie wyszaleć.

Już miał wracać do furtki, kiedy za boiskiem przy wyrwie w płocie na tyle dużej, że przechodził przez nią nawet dorosły człowiek, zauważył zamieszanie. Grupka młodych ludzi zbiła się w krąg na tyłach sąsiadującego z terenem szkoły kina „Pionier” i wykrzykiwała coś z entuzjazmem. Zainteresował się niecodziennym wydarzeniem. Szybko znalazł się poza obszarem szkoły i zobaczył zaciętą bójkę dwóch najwyżej dziesięcioletnich chłopców. Do walki zagrzewało ich sześciu starszych kolegów, wśród których dwóch wiekowo kwalifikowało się do ostatnich klas szkoły ponadpodstawowej.

Juliusz brutalnie wepchnął się w krąg i rozdzielił okładające się maluchy. Jeden miał podbite oko i cieknącą z kącika ust kropelkę krwi. Płakał rzewnymi łzami z bólu, ale się nie podawał. Gotów był walczyć do upadłego. Drugi chłopiec, najwyraźniej protegowany „starych koni”, uśmiechał się szyderczo. Zrobił niepokieszoną minę, kiedy Kwiatkowski silnym szarpnięciem oderwał go od sponiewieranego przeciwnika.

- Co tu się dzieje? - zagrział polonista. - Co wy wyprawiacie?

- To walka bokserska jest - odparował bezczelnie jeden ze starych, mocno wyrośnięty drażał o fizjonomii wiejskiego przygłupa. - Nie widać?

- Dziadziuś, kurwa - dołączył się jego przerośnięty koleżka, z wyglądu klasyczny cygan. - Idź stąd, bo ci się krzywda stanie.

- Tacy starzy, a tacy głupi. Maluchom każecie się tłuc?

- Juliusz naiwnie próbował im wpłynąć na ambicję.

- Gównu cię to obchodzi, dziadziuś. - Cygana wyraźnie irytował natręt. - Głuchy

jesteś? Powiedziałem spieprzaj stąd. Biegusiem.

- Takiś mocny? - Juliusz mówił spokojnie, bez cienia emocji. - To może ze mną spróbujesz.

- Dziadziuś, z czym do ludzi?

- Jebnij mu, Benzol - zachęcił kumpla wiejski głupek.

- Co se, kurwa, dziadek myśli.

- Co ty, Dzidek, pierdolnę i zabiję. Spierdalaj, dziadziuś, bo się wkurwię.

Maluchy wraz z „kibicami” obserwowały sytuację z zapartym tchem. Szykowała się niezła awantura. Dziadek nie znał chłopaków, byłych uczniów Szkoły Podstawowej nr 4, którzy czasem lubili wpadać z kurtuazyjną wizytą na stare śmieci. Imponowali młodzieży siłą i buntowniczą postawą wobec wszystkich i wszędzie.

- To się wkurwij, gnojku - odpowiedział nauczyciel.

- Co, w gacie robisz ze strachu?

- Dzidek, słyszałeś? Dziadziu się stawia. Kurwa, dziadziuś, nagrabiłeś sobie. Masz wpierdol.

Drągał zamachnął się pięścią, lecz Juliusz bez najmniejszego wysiłku uchylił się i ręką młodego człowieka, ku jego zaskoczeniu, przeszła powietrze. Zrobił krok w stronę przeciwnika i jeszcze raz wypuścił cios, który tym razem został wyłapany. Ramię chłopaka znalazło się w kleszczach umiejętnie założonej dźwigni. Cygan jęknął z bólu. Kwiatkowski szarpnął nim do góry i podciął mu stopy. Jedno pchnięcie i napastnik znalazł się w powietrzu, a następnie z impetem wyrznął plecami o twardą ziemię. Upadek był tak silny, że młodzian na moment stracił oddech. Chwilę potem spróbował się podnieść, ale okazało się to nie takie łatwe.

Tymczasem jego towarzysz wyciągnął nóż sprężynowy. Zamachał nim w powietrzu.

- No, kurwa, dziadek! Teraz, kurwa, chodź.

- Rzuć to, pętaku, bo ci go w dupę wbiję.

Cygan stanął na nogi i natychmiast przypuścił bezpardonowy atak całym ciałem. Przywitało go celne kopnięcie w podbrzusze, a następnie nastąpiło uderzenie otwartymi dłońmi w uszy, co powoduje wzrost ciśnienia wewnętrznego w głowie i dotkliwy ból. Delikwent najczęściej traci wtedy ochotę do dalszych zmagania. Tak stało się i teraz. Cygan aż usiadł, trzymając się za głowę.

Na ten widok wiejskiego głupeka opanowały wątpliwości. Stracił dotychczasową pewność siebie. Mimo to skoczył z nożem na Kwiatkowskiego. Dla nawykłego do walki wręcz kapitana, skok ten był żałośnie wolny. Z dziecinną łatwością odebrał mu sprężynowca i

otwartą dłonią, żeby nie robić gnojce zbytniej krzywdy, walnął go w twarz. Cios okazał się na tyle silny, że chłopak zatoczył się i chwycił płotu. Dalszego zapалу do walki nie wykazał.

- Rany boskie! - zabrzmiał kobiecy głos zza płotu. - Kopczyński, Furman - pani wicedyrektor, najwidoczniej zaznajomiona z dwoma osiłkami, krzyczała na całe gardło. - Wynoście się stąd, bo po milicję zaraz zadzwonię.

Młodzi ludzie na tyle, ile mogli, czmychnęli haniebnie. Wyglądało na to, że słowo „milicja” miało na nich magiczny wpływ.

- A wy co tu?! - wrzasnęła na pozostałych uczniów. - Już mi do szkoły i czekać na mnie w sekretariacie.

Polecenie zostało wykonane bez szemrania. Dzieciaki prześliznęły się przez dziurę w płocie.

- Nic panu nie zrobili? - spytała z troską.

- Ci dwaj? Nie byłiby w stanie.

- Oj, panie Julku, pan ich jeszcze nie zna. Chodzą do zawodówki górniczej. Zdegenerowani kompletnie. Zresztą tam chyba wszyscy tacy. Tylko do kopalni się nadają. Nawet z milicją mają zatargi. Trzeba na nich strasznie uważać. Mogli panu coś zrobić.

- Słowem, miałem szczęście - stwierdził z dwuznaczną miną.

- Mam nadzieję, panie Julku, że się pan nie wystraszył za bardzo - zaniepokoiła się możliwością straty świeżo „zdobytego” nauczyciela polskiego. - My tu generalnie panujemy nad młodzieżą. Takie sytuacje jak z tą z górniczej - to rzadkość. Ogólnie jest spokój.

- Mnie, pani dyrektor, trudno przestraszyć. Naprawdę.

ROZDZIAŁ 33

Na szpitalnym korytarzu oddziału położniczego było prawie pusto. Dwie pacjentki z wielkimi brzuchami, wydawałoby się w pełni gotowe do porodu, wyszły w swoich zgrzebnych szlafrokach z sali i rozmawiały półgłosem. Z wymiany zdań dało się wywnioskować, że wiele by dały, żeby mieć w tej chwili przy sobie mężów. Niestety, surowe szpitalne przepisy ery realnego socjalizmu wyraźnie określiły dni i godziny odwiedzin. Nie było mowy o łamaniu ściśle ustalonych reguł, których personel szpitala pilnował z całą stanowczością. Kobiety zerkały z zazdrością na siedzących pod ścianą mężczyznę i kobietę, ewidentnie rodzinę jednej z rodzących. Niemal na cud zakrawała obecność tutaj Marii Mencil i jej zięcia Jana Szukalskiego. Jankowi, prywatnie świeżo upieczonemu doktorowi medycyny na Akademii Medycznej, przysługiwały - choć nieoficjalnie - inne prawa. Szerokie znajomości wśród wrocławskich lekarzy otwierały praktycznie każde drzwi.

Mąż Zosi Kwiatkowskiej-Szukalskiej trzymał w spoconej dłoni naręczce kwiatów. Już na pierwszy rzut oka widać było po nim zdenerwowanie.

- Jasiu, spokojnie, nie denerwuj się. - Maria położyła mu dłoń na ramieniu. - Wszystko będzie dobrze.

Spojrzał na nią półprzytomnym wzrokiem.

- Czemu to tyle trwa?

- Ach, wy mężczyźni. A co ty myślałeś? Poród zawsze długo trwa. No, może nie zawsze, ale najczęściej.

- Może ja powinienem do Zosi iść? - Nie wydawał się przekonany.

- Jesteś kardiologiem, Janek, nie ginekologiem - przypomniała mu teściowa. - Nic tam po tobie.

Janek wstał z krzesła i zaczął się nerwowo przechadzać po korytarzu. W pewnym momencie przystanął, sięgnął po paczkę papierosów, ale karcące spojrzenie Marii sprawiło, że w ostatniej chwili się zreflektował. W szpitalu nie należało palić, choć niejeden lekarz bez cienia wyrzutów sumienia łamał tę zasadę.

Czas dłużył się mu niemiłosiernie. Za to Maria zachowywała stoicki spokój. Ktoś przecież w tej sytuacji musiał.

Janek ponownie usiadł obok niej. Położył kwiaty na krześle i wbił wzrok w przeciwległą ścianę pomalowaną zieloną farbą olejną do wysokości ramion dorosłego człowieka. Pomyślał, że budynkowi szpitala przydałby się generalny remont.

Głośny płacz noworodka sprawił, że oboje zerwali się na równe nogi. Pielęgniarka

wywiozła nowo narodzone dziecko na czterokołowym wózku z plastikowymi, przezroczystymi ściankami. Niemowlę darło się wniebogłose, ale położna widać przyzwyczajona, nie zwracała na krzyki malucha specjalnej uwagi. Kiedy dostrzegła pytające spojrzenia czekających, pokręciła tylko głową. Jeszcze nie pora.

- Myślałem, że to już. - Janek oparł się plecami o ścianę.
- Cierpliwości, młody człowieku, jak przyjdzie czas, to będzie.
- Myśli mama, że wszystko idzie bez komplikacji?
- Jakby coś się działo, to by ten twój znajomy lekarz powiedział, nie?
- No tak. W sumie tak. Karol obiecał, że...

Znowu płacz dziecka zaalarmował Marię Mencil i jej zięcia. Ta sama pielęgniarka wywiozła kolejnego oseska. Rzuciła im tylko krótkie, wszystko mówiące spojrzenie, jeszcze nie tym razem. Wyraz zawodu na twarzy młodego mężczyzny był aż nadto widoczny.

Minął kolejny kwadrans. Janek zdawał się już kontrolować emocje. Siedział w miarę spokojnie w jednym miejscu. Udzielało mu się opanowanie teściowej.

Kiedy wyjechał kolejny noworodek, nie skoczył na równe nogi jak poprzednio. Wstał powoli i patrzył wyczekująco.

- Ma pan córeczkę - oznajmiła pielęgniarka i powiozła dziecko do sali za szybą, zza której ojcom wolno było podziwiać swoje latorośle.

W pierwszej chwili Jankowi odebrało głos ze wzruszenia. Szybko jednak ochłonął i złapał Marię w ramiona. Kobieta miała wrażenie, że zięć za chwilę ją udusi w przypląwie nagłej radości. Ledwie wyswobodziła się z uścisku.

- Mama! Mama słyszała? - krzyczał rozgorączkowany. - Dziewczynka! Córeczka malutka. Mam córeczkę! Mama słyszała?

- Jasiu, spokojnie. Słyszałam - starała się go uciszyć. - Nie krzycz, bo nas stąd wyrzucą.

Jakby na potwierdzenie jej słów z dyżurki wyjrzały dwie pielęgniarki.

- Proszę państwa, tu jest szpital - zwróciła im uwagę jedna.

- Tak, tak - łagodziła sprawę Maria. - Bardzo przepraszamy, ale właśnie nam się urodziła...

- Mi się urodziła - Janek z dumą pokazał na siebie. - Córeczka mi się urodziła. Czy siostra jest to w stanie pojąć? Co to oznacza?

- Aż za bardzo - prychnęła. - Ale żeby zaraz taki raban robić? Kto to widział.

Jan Szukalski w najmniejszym stopniu nie przejął się reprimendą. Radość z narodzin córeczki biła z niego na wszystkie strony.

- Mamo, do Zosi trzeba iść. - Porwał bukiet kwiatów z krzesła.
- Janek, uspokój się - powstrzymała go. - Daj żonie trochę odetchnąć. Nigdzie ci nie ucieknie. Powoli. Zdążysz.
- Tak mama myśli?
- Nie tak myślę, tylko wiem. Zaraz na pewno ktoś nas poprosi. Cierpliwości, zięciu kochany.

Usiadł na krześle z dość już sfatygowanym bukietem kwiatów na kolanach.

Dwa miesiące później

W zamku szczęknął klucz i drzwi zaskrzypiały. Maria pomyślała, że przydałoby się zawiasy wreszcie naoliwić. Będzie musiała przypilnować Janka, żeby się tym zajął w przerwach między ratowaniem życia chorym na serce pacjentom.

- Cześć, mamusia! - Zosia zawołała od progu.

- Cześć, córcia! - odpowiedziała Maria tym samym pogodnym tonem.

Dziewczyna zastała matkę przy stole. Oglądała jakieś zdjęcia. Nostalgiczne spojrzenie zdradzało emocje, jakie fotografie musiały w niej budzić. Zosia podeszła i stanęła obok niej. Zdjęcia w ogromnej większości były czarnobiałe.

- Jak tam twoja wnuczka?

- Amelka? Śpi jak aniołek. Dałam jej kaszkę, jak mówiłaś. Zasnęła zanim skończyła.

- Janka jeszcze nie było?

- Już powinien przyjść - Maria spojrzała na zegarek - Poznajesz? - wręczyła córce wizerunek małej naburmuszonej dziewczynki w szkolnym fartuszku.

Zosia patrzyła na siebie z rozrzewnieniem. To już tyle lat.

- Druga klasa. Pamiętam jeszcze naszą panią, jak nas ustawiała.

- Przemiła kobieta. Lubiliście ją, prawda?

- Przepadaliśmy za nią.

- Jak się nazywała? Zabij, nie pamiętam.

- Gertruda Ciećwierz.

- Tak, tak. Rzeczywiście. Ciekawe, czy jeszcze w szkole uczy. Prawdziwy nauczyciel z powołania.

- Mamo, co ty. Pewnie już dawno na emeryturze. Lata lecą.

Zosia wzięła ze stołu kolejną fotografię. Widniała na niej dobrze jej znana postać. Edward Mencil na tle rozgrzanego słońcem Parku Południowego uśmiechał się od ucha do

ucha, tak jak tylko on potrafił.

- Na cmentarz przydałoby się pójść - zauważyła matka.

- Jutro przed południem pójdziemy. Obiecuję. Weźmiemy Amelkę i pospacerujemy.

Wzrok obu kobiet przykuł jeszcze jeden czarno-biały, wypłowiwały już fotos. Uśmiechnięci żołnierze w furazerkach, spośród których patrzył na nią Julek, ukochany brat Marysi, którego już pewnie nigdy nie zobaczy.

- Ciekawe jak dzisiaj wygląda. - Nie odrywała wzroku od zdjęcia brata. - Pewnie nawet bym go na ulicy nie poznała.

- O ile w ogóle żyje.

- Parę razy mi się śnił. Mieliliśmy znowu po kilkanaście lat. O wojnie nikt jeszcze nawet nie myślał.

- Ojciec. - Zosia zamyśliła się. - Ciekawe czy umielibyśmy ze sobą rozmawiać.

Drzwi wejściowe znowu zaskrzypiały. Janek zajrzał do pokoju.

- Jak tam, moje panie? - spytał kurtuazyjnie.

- Bardzo dobrze - odparła Zosia z uśmiechem.

- A najważniejsza gdzie?

- Ej, bo się obrazimy, panie doktorze - napomniała go żona.

- Znaczący się... miałem na myśli... najważniejsza obok pozostałych najważniejszych...

- Śpi. Ale jak będziesz tak hałasował, to się obudzi i będziesz musiał ją nosić na rękach całe popołudnie.

ROZDZIAŁ 34

- Tak, pani dyrektor? - Juliusz Kwiatkowski zamknął za sobą drzwi gabinetu Haliny Szostak.

- A, jest pan, panie Julku. Dostałam pismo z kuratorium z Wrocławia, że jest jakiś dokument, który musi pan osobiście podpisać. Chcą mieć porządek w papierach. Jakiegoś oświadczenia od pana potrzebują. W związku z pana wykształceniem sprzed wojny.

- Myślałem, że pod Zieloną Górę podlegamy.

- Życie byłoby zbyt nudne.

- Rozumiem. Czyli muszę brać urlop i jechać?

- To wyjazd służbowy. Dostanie pan delegację.

Na korytarzu szkolnym spotkał wychodzącą z klasy wicedyrektorę.

- O, Julek. - Hanna Skuła ucieszyła się na jego widok.

- Fajnie, że cię złapałam. Słuchaj, mam prośbę. Słyszałam, że jedziesz do Wrocławia.

- To już wszyscy w szkole wiedzą?

- Prawie. - Puściła do niego oko.

- Nieźle. Szefowa mi dopiero przed chwilą powiedziała. Ale w czym ci mogę pomóc, Haniu.

- Moja córka miała robione badania w klinice we Wrocławiu. Nie chcą przysłać wyników. Każą osobiście odbierać. Biurokracja.

- Myślisz, że mi by wydali? - spytał z powątpiewaniem.

- Napiszę ci upoważnienie. Dzwoniłam. Powiedzieli, że upoważnienie wystarczy. Wiem, że to kłopot, ale...

- Żaden kłopot. Będę miał sporo czasu. Napisz mi, co trzeba i powiedz, gdzie znajdę tę klinikę. Przy okazji miasto sobie pozwiedzam.

- Naprawdę? - uradowała się kobieta. - Jesteś aniołem. Poczekaj chwilkę. - Wróciła do klasy i po chwili wyszła z dwiema kartkami. - Tu jest upoważnienie. Wpisz jeszcze swój numer dowodu. O tutaj. Sekretarka musi przystawić pieczętkę szkoły, żeby się nie czepiali, a tu masz adres. Tramwajem na plac Grunwaldzki trzeba dojechać, potem to już krótki spacer.

Juliusz spojrział na kartkę z adresem.

- Niewiele mi to mówi, ale znajdę. Masz sprawę załatwioną.

- Dzięki serdeczne. Odwdzięczę się.

Do Wrocławia przyjechał wczesnym przedpołudniem. Wszystkie perony na Dworcu Głównym pełne były czekających na swoje pociągi. W Polsce koleje wciąż pozostawały najtańszym i najpewniejszym środkiem komunikacji, szczególnie dla uczniów, studentów i kilku grup zawodowych, w tym nauczycieli, którzy objęci zostali pięćdziesięcioprocentową zniżką na wszystkie przejazdy, łącznie z kursami pośpieszonymi.

Juliusz swoje pierwsze kroki skierował do kuratorium. W sekretariacie od razu poinformowano go, do którego pokoju powinien się udać.

- Ach, to pan. - Urzędniczka pokiwała głową ze zrozumieniem, gdy się przedstawił i powiedział, z czym przychodzi. - Rekomendacja Komitetu Centralnego. Naturalnie świetna rekomendacja. Ale w papierach musimy mieć porządek, dlatego pana fатыgowaliśmy.

- Nic się nie stało. Miałem okazję zrobić sobie wycieczkę krajoznawczą.

- Pan pewnie w partii od bardzo dawna. Takie poparcie...

- W partii? W jakiej partii?

- No jak to? - zdziwiła się urzędniczka. - W PZPR.

Do Kwiatkowskiego dotarło z całą mocą, co kobieta ma na myśli. Uznała, że jest członkiem partii komunistycznej. Co więcej, uznała to za rzecz oczywistą.

- Wie pani, jakoś się nie złożyło - powiedział rozbawiony sytuacją. - Zresztą takich jak ja do partii nie przyjmują. Niech mi pani wierzy na słowo.

Kobieta osłupiała. On zaś, podpisał stosowny dokument i przesunął w jej stronę.

- Pan żartuje?

- Nic podobnego. W partii nigdy nie byłem i nigdy nie będę. Ot, takie dziwactwo. Czy coś jeszcze mam podpisać?

- Nie, to wszystko. Dziękuję.

- Do widzenia, pani.

Zostawił zdumioną kobietę, której w głowie się nie mieściło, że ktoś ma takie plecy w Komitecie Centralnym, a sam do PZPR nie należy. Życie jest pełne niespodzianek.

Do kliniki, gdzie miał odebrać wyniki badań, dojechał tramwajem. Popytał ludzi na ulicy i bez większych problemów dojechał na miejsce. W przychodni klinicznej zastał tłum chorych. Nawet do rejestracji musiał cierpliwie odstać w kolejce. Taki kraj, gdzie kolejki po wszystko i do wszystkiego urosły na miarę narodowego symbolu.

- Proszę pana, to nie tutaj - skrzywiła się rejestratorka, gdy po dziesięciu minutach doszedł do okienka.

- Musi pan iść do laboratorium. Schodami w dół, jak do piwnicy. Tam takie wielkie, metalowe drzwi. Dzwonek jest obok na ścianie. Następny!

Wskazówki pani z rejestracji okazały się wystarczająco precyzyjne. Dzwonić nie musiał. Drzwi były otwarte na oścież, a w środku - o dziwo - nie zastał nawet najkrótszej kolejki pacjentów.

Dwie starsze laborantki popijały kawę z filiżanek i gawędziły spokojnie. Trzecia, młodsza, siedziała za kontuarem podobnym do tego jak w rejestracji i przeglądała małe karteczki z wynikami badań.

- Dzień dobry! - ukłonił się.

- Słucham pana? - zareagowała kobieta zmęczonym głosem.

- Chciałbym odebrać wyniki.

- Pana nazwisko?

- Nie moje wyniki. Wyniki Małgorzaty Skuły, córki Hanny.

- Pan z rodziny?

- Nie, ale mam upoważnienie. - Położył przed nią kartkę, którą dostał od wicedyrektorki. - Tu jest...

Laborantka go nie słuchała. Do pomieszczenia weszła lekarka ze stetoskopem na szyi. Podeszła do kobiet pijących kawę, pokazała im kilka kartek i cała trójka zaczęła je omawiać. Juliusz zerknął na panią doktor. Jej ładna twarz wydała mu się znajoma. Pogrzebał chwilę w pamięci. Tak, oczywiście. Panna młoda z katedry na Ostrowie Tumskim sprzed prawie roku. Jakież ten świat mały. Teraz, gdy miał okazję spojrzeć na nią z bliska, jeszcze bardziej przypominała Krysie Szumską z zamierzchłych czasów.

- Co to jest? - wyrwał go z zamyślenia głos kobiety w okienku.

- Upoważnienie do odbioru wyników badań - odpowiedział spokojnie.

- Pani Grażynko - zwróciła się do jednej z koleżanek - wydajemy wyniki na upoważnienie?

Kobiety, łącznie z lekarką, popatrzyły w jej kierunku.

- Musi być nazwisko, numer dowodu osobistego i pieczętka zakładu pracy - padła odpowiedź.

Papier został poddany drobiazgowej analizie. Wszystko się zgadzało.

- Jeszcze raz pana nazwisko? - Kobieta zmarszczyła brwi. - Strasznie nagryzmolone.

- Juliusz Kwiatkowski - powiedział polonista głośno i wyraźnie.

Lekarka poczuła dziwny dreszcz na plecach. Powoli odwróciła głowę. Popatrzyła na tego starszego człowieka, który nosił takie samo nazwisko jak... Ale nie, przecież Kwiatkowskich w Polsce są dziesiątki tysięcy. Juliuszów też by się uzbierało kilka setek. Dlaczego niby...? A może by tak, z głupia frant...?

- Pani doktor, już wiem - z powrotem przyciągnęła jej uwagę starsza laborantka. - Ta pozycja powinna być w rubryce obok. Ktoś po prostu źle wpisał, ale wynik się zgadza.

- Dobrze, że zauważyłam. Człowiek mógłby dostać nie te leki. Pani Grażynko, takie rzeczy nie powinny się zdarzać - doktor Zofia Kwiatkowska-Szukalska udzieliła szefowej laboratorium delikatnej reprymendy.

- Oczywiście, pani doktor. Dopilnuję. Już się więcej nie powtórzy.

Zosia przypomniała sobie o panu Kwiatkowskim, ale... miejsce przed kontuarem było już puste. Starszy człowiek zdążył opuścić laboratorium.

- Ten pacjent, który tu był - zwróciła się do laborantki w okienku - gdzieś tu jeszcze jest?

- To nie pacjent. Odbierał czyjeś wyniki na upoważnienie. Poszedł już sobie. A coś nie tak, pani doktor?

- Nie, wszystko w porządku. Tak tylko pytałam.

W budynku Państwowych Domów Towarowych w skrócie nazywanym Pedetem, Kwiatkowski zobaczył znacznie większą ilość klientów niż towaru. Ludzie kupowali wszystko, co się dało. Oferta domu handlowego i tak znacznie przewyższała asortymentem to, co dało się znaleźć w Żarach, ale i amatorów na towar przychodziło tu znacznie więcej.

Juliusz rozejrzał się po dziale odzieżowym. Ubrania w żaden sposób nie przypominały garderoby sprzedawanej na Zachodzie ani krojem, ani jakością, tym bardziej kolorystyką. Wszystko sprawiało wrażenie uszytego w pośpiechu i bez pomysłu. Cóż się dziwić. Klienci i tak kupią.

Poszedł wreszcie do wrocławskiego Peweksu z nadzieją nabycia porządnej zachodniej garderoby. Luksusowy już na pierwszy rzut oka sklep z bijącą w oczy ekspozycją na wystawie, w którym towar sprzedawano wyłącznie za walutę wymienną, wcale nie świecił pustkami. Co prawda, mało kto dysponował dewizami na zakupy, ale oglądających zawsze było bez liku. Patrzyli zachłannie na nieosiągalne produkty i zawistnie na znudzone miny pań ekspedientek, niewiele mających do roboty.

- Chciałbym kupić ze dwie może trzy pary porządnych jeansów - zwrócił się do pierwszej sprzedawczyni z brzegu.

Kobieta zmierzyła go od stóp do głów. Miał na sobie mocno sfatygowaną skórzaną kurtkę jeszcze z Fortu Bragg i nie pierwszej nowości spodnie, choć skrojone lepiej niż typowe polskie. Wojskowe, amerykańskie trapery też wiele już widziały.

- Pan wie, że tu się kupuje za dewizy albo za bony?

Miała na myśli bony drukowane przez państwo, będące zamiennikiem dla

otrzymywanych od obywateli walut. Służyły one jedynie do dokonania zakupu w Peweksie. Za granicą stanowiły naturalnie bezwartościowy świstek papieru.

Mężczyzna wyciągnął z wewnętrznej kieszeni portfel, a z niego dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty. Położył je na ladzie.

- Myśli pani, że tyle wystarczy?

W kobiecie nastąpiła cudowna transformacja. Rozpromieniła się.

- Tak, oczywiście - potwierdziła natychmiast.

- Jeśli będę zadowolony z obsługi, zaokrąglę resztę, powiedzmy, do dziesiątek - dodał klient.

Ekspedientka ekspresowo dokonała w głowie odpowiedniej kalkulacji. Kilkudolarowy napiwek, będący co najmniej połową ówczesnych przeciętnych polskich zarobków jawił się jako prawdziwe zrzędzenie losu. Zachęciła go czarującym uśmiechem.

Rodzinny obiad przebiegał w pogodnej atmosferze. Rozmowy toczyły się głównie wokół tematów medycznych. Kiedy robiło się zbyt nudno, włączała się Maria Mencil.

- Kochani, nie każdy tu jest pracownikiem służby zdrowia. Prawda, Amelko? - upewniła się, że wnuczka podziela jej opinię. Trzymane na kolanach niemowlę wyszczerzyło dwa ząbki w radosnym uśmiechu. Babcia pocałowała je czule w czubek głowy. - Nudzimy się.

- Przepraszam, mamó. - Janek pierwszy zdał sobie sprawę, że nie wszyscy muszą fascynować się medycyną w równym stopniu jak on i jego żona. - Ja już nie będę. Zosia?

- Ja też nie, mamusiu.

- To teraz porozmawiajmy o czymś normalnym. Choćby o pogodzie, ale takiej, która jest obojętna dla zdrowia pacjenta, co?

- Oj, mamó - zachnęła się Zosia na tę drobną złośliwość. - Przecież obiecaliśmy.

Zapadła niezręczna cisza. Babcia kołysała Amelkę, a dziewczynka nie posiadała się z radości.

- Ale nie uwierzcie, co mi się wczoraj w laboratorium przytrafiło - przerwała milczenie Zosia. - Zeszłam, żeby...

Maria podniosła Amelce rączkę do góry, jakby maluszek chciał zabrać głos i powiedziała dziecinnym głosem:

- Mama, psiecięż obieciałaś.

- Nic o pracy. Naprawdę. Był tam starszy człowiek, odbierał wyniki za kogoś...

- Tak, tak, tak - westchnęła babcia zrezygnowana. - Was to tylko w szpitalu

zakwaterować. Dopiero bylibyście szczęśliwi. Ale mojej wnusi wam nie dam. - Przytuliła mocno dziecko.

- Nic nie mówiłem - odezwał się Janek z pełnymi ustami.

- Mamo, wcale nie. Wyobraźcie sobie, że ten człowiek musiał powiedzieć, jak się nazywa, bo laborantka nie mogła odczytać nazwiska na upoważnieniu. Nie zgadniecie jak.

Mąż Zosi wzruszył ramionami.

- Jakoś śmiesznie?

- Mama?

- Nie zgadniemy, prawda, Amelciu?

Dziewczynka dla odmiany zaczęła się ślinić. Babcia wzięła pieluszkę i wytarła jej buzię.

- Nazywał się Juliusz Kwiatkowski - oznajmiła Zosia tryumfalnie. - Wiadomo, że nie ten Juliusz Kwiatkowski, ale patrzcie, jaki zbieg okoliczności.

Maria znieruchomiała. Naturalnie Zosia najprawdopodobniej miała rację, że nie „ten”. Juliuszów Kwiatkowskich w Polsce musiało być całe mnóstwo. Poczowała jednak dziwne ukłucie w sercu. To imię i nazwisko niezmiennie od lat wywoływało w niej emocje. Spuściła wzrok.

- A jakby to był „ten”?

- Niemożliwe, mama. Takie cuda się nie zdarzają.

- Ja tam nie wiem - wtrącił się mąż - ale życie pisze czasem takie scenariusze, że w głowie się nie mieści. Kiedyś miałem jednego pacjenta...

- Jasiu - napomniała go żona.

- O, przepraszam. Zapomniałem się. A może by tak sprawdzić tego twojego Juliusza Kwiatkowskiego. Tak dla świętego spokoju. Co szkodzi?

- Daj spokój - zaprotestowała Zosia. - Nikt nie będzie się bawił w inwigilacje bogu ducha winnego człowieka. Pewnych rzeczy się nie robi.

- Skoro tak mówisz, kochana żono...

- A co, zostawił jakieś swoje dane? - spytała Maria obojętnie.

- Upoważnienie w laboratorium. Numer dowodu, miejsce pracy, chyba.

- Jedzcie szybciej, dzieci. Trzeba z Amelką na spacer iść, póki pogoda się trzyma.

Następnego dnia przed południem Maria nie mogła sobie znaleźć miejsca. Miała jeszcze kilka dni urlopu. Mogła nacieszyć się Amelką, zanim ta pójdzie do żłobka, a miało to nastąpić już jutro.

Wnuczka spała jak aniołek. W telewizji nie było jeszcze programu. W dni powszednie

zaczynali nadawać dopiero w godzinach popołudniowych. W głowie wciąż jej brzmiały słowa córki z poprzedniego dnia. Juliusz Kwiatkowski z laboratorium w klinice nie dawał jej spokoju. Całkowicie absurdalna myśl, że a nuż... przyczepiła się do niej i nie chciała odejść. W końcu poszła do przedpokoju i usiadła przy aparacie telefonicznym. Założyli im raptem tydzień temu. Prawdziwa nobilitacja, biorąc pod uwagę fakt, że w Polsce na telefon czekało się nawet kilkanaście lat. Nie ma to jak znajomości lekarskie i wdzięczność przypadkowego pacjenta.

Siedziała na stołku przy nowiutkim aparacie telefonicznym i biła się z myślami. Miała sprawdzać jakiegoś tam Juliusza Kwiatkowskiego? Po co? Przecież prawdopodobieństwo, że człowiek ten okaże się jej zaginionym bratem równało się zeru. Po co karmić się złudzeniami? Z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że nie zazna spokoju, jeżeli tego telefonu teraz nie wykona.

Przeszukała książkę telefoniczną. Podniosła słuchawkę i powoli, jakby od niechcenia wykręciła znaleziony numer. Czekala tylko dwa sygnały, nim ktoś odebrał.

- Laboratorium, słucham? - odezwał się damski głos.

- Dzwonię w imieniu doktor Zofii Szukalskiej. Potrzebuję informacji.

- Tak?

- Wczoraj u państwa odbierał wyniki badań Juliusz Kwiatkowski. Z upoważnienia za kogoś.

- Chwileczkę, sprawdzę... - Cisza w słuchawce nie trwała długo. - Zgadza się. Mam to upoważnienie. Jest prawidłowe. Coś się stało?

- Nie. Czy może mi pani podać dane pana Kwiatkowskiego?

- Oczywiście. Numer dowodu...

- Chwileczkę, wezmę coś do pisania. - Notatnik i ołówek leżały na półce obok aparatu.

- Już, proszę.

- No więc numer dowodu... - Maria zanotowała dwie litery i szereg cyfr. - A pieczętka to szkoła. Tam chyba ten Kwiatkowski pracuje. Szkoła Podstawowa nr 4 w Żarach. O ile wiem, to jest zielonogórskie.

- Bardzo pani dziękuję. Do widzenia.

Odłożyła ołówek i popatrzyła na kartkę. Numer dowodu jej się właściwie nie przyda, ale adres miejsca pracy z pewnością. Cóż, jak się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”. Ponownie przewertowała książkę telefoniczną. Niestety obejmowała numery tylko ich województwa. Zadzwoiła na informację i dostała telefon szkoły. Zamówiła międzymiastową błyskawiczną z Żarami. Teraz pozostawało tylko czekać na połączenie.

„Co ty robisz, kobieto?” - pytała siebie. „Przecież to niepoważne”.

Amelka wciąż spała. Maria poszła do kuchni i wzięła się za porządki, żeby zająć czymś głowę, jednak uporczywe myśli na temat Juliusza Kwiatkowskiego nie opuszczały jej ani na moment. Wreszcie miała dość. Uznała, że zachowuje się idiotycznie. Poszła do przedpokoju, żeby odwołać międzymiastową. Lecz w tym samym momencie telefon zadzwonił.

- Międzymiastowa, Żary - odezwała się pani z centrali.

- Tak?

- Proszę mówić.

- Szkoła Podstawowa numer cztery, słucham?

Głos kobiety po drugiej stronie linii brzmiał życzliwie.

- Dzień dobry. Dzwonię z Wrocławia. - Nazwa dużego miasta wypowiedziana przez telefon urzędowym tonem zwykle wywoływała w małej miejscowości pożądany efekt w postaci natychmiastowej gotowości do współpracy. - Potrzebuję paru informacji dotyczących jednego z waszych nauczycieli.

- Pani z kuratorium? - upewniła się sekretarka.

- Z wydziału... - kłamstwo z najwyższą trudnością przechodziło jej przez gardło.

- Tak, rozumiem - wybawiła ją z kłopotu pracownica szkoły. - O kogo chodzi?

- Juliusz Kwiatkowski.

- Nowy polonista. Jest u nas od prawie roku. Ale był u was wczoraj...

- Ach tak? Sama pani widzi, jaki u nas przepływ informacji. - Odzyskała rezon. - Ale skoro już zadzwoniłam, to może poda mi pani parę szczegółów.

- Oczywiście. Co potrzeba?

- Zweryfikujmy najpierw podstawowe dane osobowe. Mam nadzieję, że to co mam, się zgadza.

- Już momencik... tylko spojrzę do akt. O, mam. Juliusz Kwiatkowski urodzony 15 lipca 1920 roku w Warszawie. Syn Heleny i Edwarda.

Maria zaniemówiła. Zrobiło jej się nagle bardzo gorąco. Poczwała, jak krew uderza jej do głowy. Prawdopodobieństwo, że tego samego dnia, z rodziców o tych samych imionach w Warszawie urodził się jeszcze inny Juliusz Kwiatkowski było marginalne, o ile w ogóle takowe istniało.

- Czy jest pani pewna tych danych? - wydukała po chwili.

Emocje w niej szalały.

- Najzupełniej. Mam tu wszystko czarno na białym. Czy coś się nie zgadza?

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Chciałam się tylko upewnić. Wie pani, *Ordnung muss sein*, jak to mówią - zdobyła się na żart.

Delikatny śmiech w słuchawce.

- Wiem, o czym pani mówi. U nas też pani dyrektor pilnuje porządku w papierach strasznie. Czy coś jeszcze podać?

- Nie, to mi właściwie wystarczy. Bardzo pani dziękuję za pomoc. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę na widełki. Oparła się plecami o ścianę. Fakty z trudnością do niej docierały. Czy to naprawdę możliwe? Tyle lat. Aż tu nagle ni stąd, ni zowąd...

Podeszła do półki z książkami i wyciągnęła atlas. Odszukała miejscowość. Żary leżały na zachód od Wrocławia. „Będzie jakieś dwieście kilometrów” - pomyślała.

- „Pociągiem ze trzy godziny. Z przesiadkami jeszcze więcej”.

W dziecięcym pokoju rozległ się płacz Amelki. Niemowlę obudziło się i głośno domagało się towarzystwa. Babcia bez zwłoki pośpieszyła do swojego skarbu.

- Panie Julku - dyrektorka zaczepiła Kwiatkowskiego na szkolnym korytarzu. Trwała przerwa i harmider panował nieznośny. - Niech pan do mnie wejdzie na chwilę. - Dopiero w gabinecie dało się normalnie porozmawiać. Hałas zza drzwi nie miał tutaj wstępu. - Mam prośbę.

- Słucham, pani dyrektor?

- Ach, przede wszystkim dajmy sobie spokój z tym „pan”, „pani”. My tu przecież w szkole jak jedna rodzina.

- Będzie mi bardzo miło.

- No właśnie, mam do ciebie prośbę. Okazało się, że Dorotka Basznik, ta nasza nowa polonistka... kojarzysz?

- Jasne. Ta sympatyczna dziewczyna, co w Zielonej zaocznie studia kończy.

- Dokładnie. W ciąży jest.

- No proszę. Naród się mnoży - stwierdził wesoło. - Tylko gratulować.

- Na pewno. Ale lekarz jej powiedział, że ciąża jest zagrożona i musi na jakiś czas położyć się do szpitala. Nie wiadomo na ile. Od polskiego tylko ty mi zostałeś. Trzeba by wziąć jej klasy. Połowę wezmę ja, ale wszystkiego nie dam rady. Wiem, że masz już sporo godzin...

- Możesz na mnie liczyć, Halinko. Dzieci mi w domu nie płaczą, to co mam do roboty?

- Doskonale - uradowała się dyrektorka. - Co bym bez ciebie zrobiła.

- Od kiedy?

- Najlepiej od jutra. Już parę lekcji mieli odwołanych. Pomyślałam, że ty weźmiesz

VIII a...

Pochylili się nad planem zajęć.

- A gdzież to, mamusiu, się na cały dzień wybierasz? - zdziwiła się Zosia.

- Mam coś bardzo ważnego do załatwienia - odparła Maria tajemniczo.

- Aż do wieczora?

- Przed siódmą będę w domu.

- Oj, mamuś, powiedz, o co chodzi.

- A ja wiem - włączył się Janek. - Mamusia zapoznała sobie przystojnego pana w odpowiednim wieku i wybiera się na randkę.

- O właśnie - podchwyciła Maria. - Słuchaj męża. Na randkę idę. A co?

- Mamo - Zosia spojrzała na matkę z ukosa - randki to bywają całonocne, ale nie całodzienne. Bujać to my, ale nie nas.

- Jasiu - zwróciła się do zięcia po wsparcie - a nie zabrałbyś swojej ukochanej żony do kina albo na jakie ciastko do Rynku? Nudzi się dziewczyna.

- Pewnie, że zabrałbym, ale ona nie chce.

- I ty przeciwko mnie, Brutusie? - Zosia uszczypnęła go w ramię.

- Dobra, to idźcie już. - Babcia pomachała na nich dłonią. - My z Amelką doskonale sobie bez was poradzimy. No już, już, uciekajcie.

- Chodź, mężu. Nie chcą nas tutaj. - Dziewczyna zabawnie uniosła głowę niczym urażona hrabina. Janek parsknął śmiechem. - Wychodzimy.

Wnuczka baraszkowała na dywanie. Zbierała i rzucała grzechotki, z których każda wcześniej musiała być posmakowana drobnymi usteczkami.

Kobieta z niecierpliwością wyczekiwała jutrzejszego dnia, a jednocześnie obawiała się. A jeżeli jakimś nieszczęśliwym zrzędzeniem losu Juliusz Kwiatkowski okaże się kimś innym, nie jej wytęsknionym bratem? Teoretycznie wszystko mogło się zdarzyć. Dlatego nie mówiła nic Zosi. Postanowiła, że powie dopiero, jak sama się upewni. Potem to już... no właśnie, co potem? Czy Julek zostawi wszystko i przeprowadzi się do Wrocławia? Zechce zamieszkać z nimi w ich ciasnym lokum? Przecież na samodzielne mieszkanie we Wrocławiu nie ma najmniejszych szans. W każdym razie to są problemy na później. Najpierw musi się z nim spotkać.

Zastanawiała się, czy bardzo się zmienił. To w końcu ponad trzydzieści lat. Pewnie jej

nie pozna. Ale jakie to teraz ma znaczenie? Najważniejsze, że go wreszcie odnalazła. Taką przynajmniej cały czas żywiła nadzieję.

Zosia i Janek wrócili w doskonałych humorach. Ze szczegółami opowiedzieli jej amerykańską produkcję filmową, których coraz więcej ostatnio pojawiała się w polskich kinach. Kobieta jednak nie była w stanie się skupić i niewiele z ich opowieści zapamiętała. Wkrótce położyła się do łóżka. Długo nie mogła zasnąć.

Kiedy się obudziła, słyszała jak zięć z córką i wnuczką wychodzą po cichu z mieszkania. Musieli wyjść wcześniej, by zawieźć Amelkę do żłobka.

Wstała, ogarnęła się i zjadła szybkie śniadanie. Do odjazdu pociągu miała jeszcze sporo czasu. Zdąży.

*

Na trzecim peronie, skąd miał odjechać pociąg do Legnicy umiarkowana liczba pasażerów czekała cierpliwie na przyjazd przelotowego składu. Starsi siedzieli na walizkach, zerkając zazdrośnie na szczęśliwców, którym odpowiednio wcześniej udało się zająć miejsca na peronowych ławkach. Młodszy, w wieku studenckim, pilnowali swoich ogromnych plecaków na stelazach. Ubrani typowo turystycznie, w ciężkich butach górskich na nogach, najwyraźniej szykowali się na wypadek w pobliże Karkonosze.

- Ma pani ogień? - Mężczyzna z papierosem w ustach patrzył na nią pytająco. Jego ubiór wyglądał nieświeżo, a twarzy przydałaby się maszynka do golenia. Musiał być w podróży od dobrych kilkunastu godzin. - Palić się chce, a zapalniczki gdzieś w pociągu posiałem - dodał usprawiedliwiająco.

- Nie palę - odpowiedziała, kręcąc głową.

Facet schował papierosa do kieszeni. Był niepocieszony.

- Wie pani, z Przemyśla jadę. Całą noc na korytarzu. Ścisk niemożliwy. - Przetarł dłonią zmęczoną, nieogoloną twarz. - Polskie Koleje Państwowe. Za co my płacimy? A bilety coraz droższe.

- Mamy, co mamy.

- Na Zachodzie to się szanuje pasażera. Wie pani, dwa lata temu szwagier w RFN-ie był. Opowiadał. Niebo a ziemia. Przepaść, proszę panią. Przepaść.

Zaskrzeczał megafon: „Pociąg osobowy do Węglińca wjeżdża na tor szósty przy peronie trzecim”.

- Właśnie wjeżdża moja „przepaść”.

Maria popatrzyła wzdłuż torów. Lokomotywa spalinowa rosła w oczach.

- Pani też do Węglińca?

- Tylko do Legnicy - patrzyła na nadjeżdżający pociąg.

W grupie młodych turystów powstał ruch.

- Heniu, łap miejsca. - Koledzy obarczyli jednego ze swoich zadaniem. - Poczekamy z bagażami.

Chłopak z gęstymi, kręconymi włosami zerwał się z miejsca. Wyprzedził wjeżdżającą na peron lokomotywę. Obejrzał się za siebie. Nie widział, że pędzi wprost na stojącą przy torach kobietę, gawędzącą z innym podróżnym.

- Uwaga! - krzyknął nagle pasażer z Przemyśla.

Wyciągnął w jej kierunku rękę. Biegący turysta wpadł jednak na nią wcześniej. Maria Mencil straciła równowagę pod wpływem uderzenia. Rozłożyła ramiona, ale nie miała się czego chwycić. Runęła na tory, a parowóz ciągnący za sobą wagony osobowe z hukiem wpadł na peron. Rozległ się ogłuszający pisk hamulców. Dla nieszczęsnej kobiety nie miało to już jednak żadnego znaczenia. Krople krwi jak deszcz padający w górę trysnęły na krawędź peronu.

- Rany boskie! - Mężczyzna z Przemyśla złapał się za głowę. - Rany boskie!

Student - turysta stał osłupiały z otwartymi ustami. Wytrzeszczał bezmyślnie oczy. Nie docierało do niego, że właśnie nieumyślnie spowodował śmierć kobiety pod kołami pociągu. Zabił człowieka.

*

Juliusz Kwiatkowski otworzył dziennik lekcyjny. Znał klasę. Miał już tu kilka zastępstw.

- Bagińska - wyczytał pierwsze nazwisko.

- Obecna - odpowiedziała uczennica.

- Czajka?

- Obecny - padła odpowiedź.

Nagle poczuł na karku mrowienie. Po plecach przeszły mu dreszcze. Uczucie spotęgowało się w jednej chwili. Odruchowo napiął mięśnie, jak w azjatyckiej dżungli, gdzie instynktownie wyczuwał czającego się w tyle wroga. Ale przecież był w Polsce. Wietnam został daleko stąd, w przestrzeni i czasie. Miał jednak wrażenie, że ktoś za nim stoi.

Obejrzał się. Zobaczył swoje odbicie w szybie przysłaniającej równiutko ułożone książki na półce. Potrząsnął głową, jakby chciał odpędzić resztki snu. „Duchy przeszłości” - pomyślał i westchnął. Wrócił do odczytywania listy obecności.

- Gawlik? - Cisza. Zatrzymał wzrok na jednym z uczniów zajętych szeptaną rozmową z kolegą w ławce.

- Adam Gawlik, ogłuchłeś, przyjacielu? - wycedził.